

JEAN-CHRISTOPHE GRANGE

LAS CIENI

LA FORET DES MANES

Z francuskiego przełożyła

WIKTORIA Melach



Dla Almy, światła w głębi ciemności

I.
OFIARY

1.

To było to. Dokładnie to.

Czółenka Prady znalezione w „Vogue'u” z ubiegłego miesiąca. Dyskretny, zdecydowany symbol dopełniający całości. Do tego sukienka, mała, czarna, którą kupiła za bezcen na ulicy Dragon - tak będzie idealnie. Jeanne Korowa, siedząc za biurkiem, przeciągnęła się i na jej twarzy pojawił się uśmiech. W końcu wybrała strój na dzisiejszy wieczór. Oficjalny, a zarazem z pewnym polotem.

Sprawdziła jeszcze raz komórkę. Żadnych wiadomości. W żołądku poczuła lekki ucisk niepokoju. Ostrzejszy, dotkliwszy niż poprzednie. Dlaczego on nie dzwoni? Było już po szesnastej. Najwyższa pora, by umówić się na kolację.

Odepchnęła przykre myśli i zadzwoniła do butiku Prady przy ulicy Montaigne. Czy mają pantofle w numerze trzydzieści dziewięć? Będzie przed dziewiętnastą. Chwilowa ulga, zaraz potem przesłonięta kolejną obawą. Miała już na swoim koncie osiemset euro kredytu... Po tym nowym zakupie przekroczy kwotę tysiąca trzystu euro.

Na szczęście był już dwudziesty dziewiąty maja. Za dwa dni na konto zostanie przekazana jej pensja. Cztery tysiące euro.

Ani centa więcej, łącznie z premią. Po raz kolejny zacznie miesiąc z dochodami mniejszymi o jedną trzecią. Przywykła do tego. Taką praktykę stosowała od dawna i jakoś sobie radziła.

Przymknęła powieki. Wyobraziła sobie, jak idzie w lakierowanych pantofelkach na wysokich obcasach. Dziś wieczorem będzie inna. Zmieniona nie do poznania. Olśniewająca. Uwodzicielska. Reszta to po prostu dziecinna zabawa. Pojednanie. Pogodzenie się. Nowy początek...

Ale dlaczego on nie dzwoni? Przecież to on odezwał się do niej wczoraj wieczorem.

Po raz setny tego dnia zajrzała do poczty elektronicznej i przeczytała jego e-mail:

„Czasami mówi się nie wiadomo co. Oczywiście żadne słowo nie oddawało tego, co myślałem naprawdę. Masz ochotę na kolację we dwoje? Zadzwoń i przyjadę po Ciebie do sądu. Będę Twoim królem, Ty będziesz moją królową”...

Ostatnie słowa były aluzją do Heroes, piosenki Davida Bowiego. Wersja dla kolekcjonerów, w której gwiazdor rocka śpiewa kilka kawałków po francusku. Przypomniała sobie dzień, kiedy znaleźli tę płytę u sprzedawcy z tego rodzaju muzyką w dzielnicy Halles. Radość w jego oczach. Promienny uśmiech... W tym momencie niczego więcej nie pragnęła.

Wywołać i zachować ten płomień w jego wzroku. Podobnie jak westalki w starożytnym Rzymie, które musiały podtrzymywać święty ogień w świątyni.

Zadzwoił telefon. Nie komórka. Stacjonarny.

- Słucham?

- Mówi Violet.

W ułamku sekundy Jeanne przybrała oficjalny ton.

- Co nowego?

- Nic.

- Przyznał się?

- Nie.

- Zgwałcił ją czy nie?

- Twierdzi, że jej nie znał.

- Nie jest córką jego kochanki?

- Twierdzi, że matki też nie znał.

- To chyba łatwo udowodnić?

- Nic nie jest łatwe w tej sprawie.

- Od ilu godzin trwa przesłuchanie?

- Od sześciu. I jak dotąd bez rezultatu. W ciągu osiemnastu minionych godzin nie powiedział nic takiego, do czego można by się przyczepić.

- Bzdura.

- Zgadzam się z tobą. No dobrze, wracam i spróbuję go przycisnąć. Ale nie spodziewaj się cudu...

Jeanne odłożyła słuchawkę. Zastanowiła się nad swoim zubożeniem. Między wagą sprawy - gwałt i przemoc na nieletniej - a banalnymi problemami jej życia istniała przepaść. Jednakże nie była w stanie myśleć o niczym innym jak o tym spotkaniu.

Jedno z pierwszych ćwiczeń w Szkole Sądownictwa polegało na obejrzeniu taśmy, na której kamera ochrony nagrała moment dokonania przestępstwa. Następnie każdy z praktykantów musiał opowiedzieć, co widział. Wersji było tyle, ile wypowiedzi. Samochód zmieniał markę i kolor. Różna była liczba napastników. Nie zgadzała się kolejność wydarzeń. Takie ćwiczenie dowodziło jednego: obiektywizm nie istnieje. Ludzka sprawiedliwość jest niedoskonała, zmienna, subiektywna.

Jeanne machinalnie jeszcze raz spojrzała na ekran komórki. Nic. Łzy napłynęły jej do oczu. Czekala na ten telefon od samego rana. Różne myśli przychodziły jej do głowy, powracały te same nadzieje, a po chwili wpadała w totalną rozpacz. Wiele razy walczyła z

pokusą, żeby zadzwonić, ale o tym nie mogło być mowy. Musiała wytrzymać...

Siedemnasta trzydzieści. Nagle ogarnęła ją panika. Wszystko skończone. Ta niezobowiązująca obietnica kolacji była jak ostatnie konwulsje umierającego. On już do niej nie wróci. Trzeba się z tym pogodzić. Odbyć żałobę. Ochłonąć. Zająć się sobą. Idiotyczne rady, które nie znaczą nic, a tylko podkreślają beznadziejność sytuacji starych panien jak ona. Zawsze odrzucane. Zawsze cierpiące. Odłożyła długopis i wstała zza biurka.

Jej gabinet znajdował się na trzecim piętrze TGI, sądu drugiej instancji w Nanterre. Dziesięć metrów kwadratowych powierzchni zawalonej zakurzonymi i śmierdzącymi farbą drukarską aktami, z dwoma blisko siebie stojącymi biurkami, z których jedno należało do niej, a drugie do jej sekretarki Claire. Po szesnastej dała jej wolne, żeby móc spokojnie porozmyślać.

Stała przy oknie i popatrzyła na park w Nanterre. Łagodne linie pagórków, zdecydowane kontury trawników. Dwa barwne centra handlowe na prawo, a dalej drapacze chmur projektu architekta Emile'a Aillaud, który mawiał: „Prefabrykaty to konieczność ekonomiczna, ale ludzie nie powinni mieć wrażenia, że sami są prefabrykatami”. Jeanne podobało się to stwierdzenie. Nie była jednak pewna, czy rezultat spełnił nadzieje architekta. Codziennie miała w swoim gabinecie do czynienia z rzeczywistością produkowaną przez te cholerne dzielnice - kradzieże, gwałty, czynne zniewagi, ciemne interesy... Nie było w tym nic z prefabrykatów, to pewne.

Usiadła na powrót za biurkiem z uczuciem mdłości, zastanawiając się w głębi ducha, ile czasu wytrzyma, zanim sięgnie po lexomil. Jej wzrok padł na blok papieru listowego. Sąd apelacyjny w Wersalu. Sąd drugiej instancji w Nanterre. Gabinet Jeanne Korowa. Sędzia śledczy przy TGI w Nanterre. Przypomniała sobie, jak ją zazwyczaj określano. Najmłodsza z dyplomem studiów wyższych w swoim roczniku. Młoda sędzia, która pnie się do góry. Ma wszelkie dane, by dorównać takim sławom, jak Eva Joly czy Laurence Vichnievsky. To według wersji oficjalnej.

Wersja osobista była diametralnie inna. Trzydzieści pięć lat. Panna. Bezdzienna. Kilka przyjaciółek, też samotnych. Mieszkanie trzypokojowe w VI dzielnicy. Żadnych oszczędności. Żadnego spadku po ojcu czy matce. Żadnych perspektyw. Życie przepłynęło jej jak woda między palcami. A w restauracjach zaczęto się już do niej zwracać per madame, a nie mademoiselle. Niech to cholera!

Dwa lata temu załamała się. Życie, które i tak miało już posmak goryczy, przestało mieć jakikolwiek smak. Depresja. Pobyt w szpitalu. W tamtym czasie słowo „żyć” dla niej oznaczało „cierpieć”. Dwa słowa doskonale do siebie pasujące, idealne synonimy. Dziwne,

ale zachowała dobre wspomnienie z pobytu w szpitalu. Trzy tygodnie snu, dieta oparta na lekach i słoiczkach z przecierami dla niemowląt. Łagodny powrót do rzeczywistości.

Środki antydepresyjne. Psychoanaliza... Z tamtego okresu została w niej pewna luka, którą codziennie starannie omijała dzięki wizytom u psychiatry, pigułkom i rozrywkom. Jednak ta czarna dziura zawsze była blisko, przyciągała ją niemal w sposób magnetyczny...

Poszukała w torebce lexiomilu. Położyła pod językiem całą tabletkę. Kiedyś brała tylko ćwiartkę, ale teraz potrzebowała już większej dawki. Usiadła głębiej w fotelu. Czekala. Wkrótce poczuła w piersi ulgę. Oddech stał się bardziej równomierny. Myśli gubiły się...

Ktoś zapukał do drzwi. Drgnęła. Najwyraźniej zasnęła w fotelu.

Na progu pojawił się Stephane Reinhardt w marynarce w pepitkę. Rozczochrany. Wymięty. Nieogolony. Jeden z siedmiu sędziów śledczych w TGI, których nazywano „siedmioma najemnikami”. Reinhardt z daleka był bardzo seksowny. Bardziej Steve McQueen niż Yul Brynner.

- Czy to ty masz stały dyżur w sprawach finansowych?

- Można tak powiedzieć.

Przydzielono jej ten dział trzy tygodnie temu, choć nie była specjalistką w tej dziedzinie. Równie dobrze mogłaby wziąć sprawy bandytyzmu lub terroryzmu.

- Tak czy nie?

- Tak.

Reinhardt pomachał zieloną papierową koszulką.

- Pomylili się w prokuraturze i mnie przysłali to R.I.

R.I. to wstępny wniosek oskarżenia sporządzany przez prokuratora lub jego zastępcę po pierwszym zapoznaniu się ze sprawą. Urzędowe pismo przypięte do pierwszych stron akt, zawierających protokoły z policyjnych przesłuchań, sprawozdania służb fiskalnych, anonimowe listy... Wszystko, co upoważnia do wszczęcia sprawy.

- Zrobiłem ci kopię - powiedział Reinhardt. - Możesz to teraz przejrzeć. Oryginał odeślę im jeszcze dziś wieczorem. Skontaktują się z tobą jutro. Mogę też poczekać kilka dni i przekazać sprawę innemu sędziemu na dyżurze. Bierzesz to czy nie?

- A co to takiego jest?

- Anonimowy raport. Wygląda na niezły polityczny skandal.

- Prawica? Lewica?

Podniósł rękę do skroni i komicznie salutując, odrzekł:

- Zdecydowanie prawica, panie generale!

Niespodzianie poczuła w sobie znowu powołanie, ogarniające ją przekonanie, że ma

władzę, jaką daje status sędziego z mocy prezydenckiego dekretu.

Wyciągnęła rękę nad biurkiem.

- Dawaj to.

2.

Thomasa poznała na wernisazu. Pamiętała dokładnie ten dzień. 12 maja 2006 roku. Duży apartament na lewym brzegu Sekwany, w którym odbywała się okazyjna wystawa fotografii. Wtedy spojrział na nią. Na indyjską tunikę. Połyskujące, szare dzinsy. Botki ze srebrnymi zapinkami w stylu motocyklistów. Jeanne nie oglądała fotografii na ścianach. Celem jej uwagi był sam fotograf.

Wypiła tyle kieliszków szampana, że pozbyła się całkowicie wewnętrznych oporów. Kiedy już wybrała ofiarę, chętnie dawała się prowadzić, w końcu sama stając się ofiarą. *Killing me softly with his song*. Wersja w wykonaniu Fugees przebijała się nad ogólną wrzawą. Doskonała muzyka dla jej umysłowego striptizu, podczas którego pozbywała się stopniowo swoich lęków, rezerwy, wstydu... Fruwały nad jej głową niczym skąpy staniczek i stringi, aż dochodziła do stanu prawdziwej wolności, stanu pożądania. Wszyscy znają to uczucie.

Jeanne pamiętała także przestrogi koleżanek: „Thomas? Babiarcz. Uwodziciel. Drań”. Uśmiechnęła się. Było już za późno. Szampan znieczulił jej system obronny. Podszedł do niej. Odstawił swój uwodzicielski numer. Trzeba przyznać, że dość banalny. Jednak spoza dowcipów wyzierało pożądanie. A w jej uśmiechach widać było odpowiedź.

Nieporozumienia zaczęły się już od samego początku. Zbyt szybko dała się pocałować. W samochodzie, jeszcze tego wieczoru. Matka mawiała, zanim Jeanne straciła dziewictwo: „Pierwszy pocałunek dla kobiety to początek romansu. Dla mężczyzny to początek jego końca”. Jeanne miała do siebie żal, że tak łatwo uległa. Że nie umiała dłużej prowadzić podniecającej gry...

Żeby to zrównoważyć, przez kilka następnych tygodni opierała się, tworząc między nimi niepotrzebne napięcie. Tak więc podzielili się rolami - on dzwonił, ona odmawiała. Może już wtedy próbowała się chronić... Wiedziała, że w momencie kiedy odda mu się ciałem, odda mu też serce. Jak zawsze. I że zacznie się prawdziwe uzależnienie.

Thomas był dobrym fotografem, nikt temu nie zaprzeczał. Ale co do reszty - nic szczególnego. Ani przystojny, ani brzydki. Z pewnością nie cieszył się sympatią w swoim

środowisku. Skąpiec. Egoista. Podły tchórz. Jak większość mężczyzn. Prawdę mówiąc, łączyło ich tylko jedno - dwa seanse w tygodniu u psychiatry. I głębokie rany, które usiłowali zaleczyć. Kiedy się nad tym zastanawiała, nie umiała wyjaśnić tego błyskawicznego zakochania się niczym innym, jak tylko okolicznościami zewnętrznymi. Właściwe miejsce. Dobry moment. Nic więcej. Zdawała sobie sprawę z tego, a mimo to, stosując stale autohipnozę, doszukiwała się w nim wszelkich zalet. Kobięca miłość to jedyny wypadek, kiedy to jajo znosi kurę...

Nie była to zresztą jej pierwsza pomyłka. Miała talent do nieudanych związków. Jak na przykład romans z tym zwariowanym adwokatem, który wyłączał ciepłą wodę, kiedy przychodziła do niego na noc. Zauważył bowiem, że Jeanne po gorącej kąpieli zasypia, zanim zdążyli się kochać. Albo ten inżynier informatyk, który prosił, by robiła striptiz przed kamerą. Zerwała z nim, kiedy pojęła, że nie tylko on ją oglądał. Albo ten ponury wydawca, który jeździł metrem w zamszowych rękawiczkach i kradł w księgarniach książki z wyprzedazy. Byli i inni. Wielu innych... Co w niej takiego było, że przyciągała tych wszystkich fiksatów? Tyle pomyłek dla jednej prawdy: Jeanne była zakochana w miłości.

W dzieciństwie na okrągło słuchała piosenki: Nie pozwól jej upaść./Jest taka krucha./Być wyzwoloną kobietce/Jak wiesz, nie jest łatwo...

Wtedy nie rozumiała ironii zawartej w tych słowach, ale przeczuwała, że ta piosenka jakoś zaważy na jej przyszłości. I miała rację. Dziś Jeanne Korowa, paryżanka, była kobietą niezależną, wyzwoloną. I rzeczywiście nie było to łatwe...

Dni upływały jej od postępowania sądowego do procesu, od rewizji do przesłuchań, i cały czas zadawała sobie pytanie, czy jest na dobrej drodze. Czy naprawdę o takim życiu marzyła. Niekiedy nawet podejrzewała, że jest to monstrialne oszustwo. Przekonano ją, że powinna dorównać mężczyznom. Oddawać się bez reszty pracy. Zepchnąć uczucia na dalszy plan. Ale czy naprawdę to jej droga?

Wściekało ją to, że o wszystkim decydowali mężczyźni. Tak długo przekonywali, że prawdziwa miłość w ogóle nie istnieje, że kobiety zrezygnowały z wszelkich sentymentalnych marzeń, łącznie z ich prokreacyjną misją. I wszystko to w jakim celu? Żeby robić marną karierę zawodową i oddawać się marzeniom, oglądając telewizyjne seriale i popijając białe wino z tabletką lexiomilu. Witaj, ewolucjo!

Na początku tworzyli z Thomasem idealną nowoczesną parę. Dwa mieszkania. Dwa konta bankowe. Dwa formularze podatkowe. Kilka wspólnych wieczorów w tygodniu i od czasu do czasu miłosny weekend. W Deauville czy gdzie indziej.

Kiedy Jeanne próbowała tak ryzykownych słów jak „małżeństwo”, „wspólne życie”

czy tak szalonych jak „dziecko”, natykała się na niechęć. Na mur obojętności, brak odpowiedzi, odkładanie sprawy na później... A ponieważ nieszczęścia zawsze chodzą parami, nabrała pewnych podejrzeń. Zaczęła się zastanawiać, co Thomas robi w te wieczory, kiedy się z nią nie spotyka.

Podczas pożarów występuje niekiedy zjawisko, które specjaliści nazywają flashover. W zamkniętym pomieszczeniu płomienie trawią cały znajdujący się w nim tlen, a potem zasysają powietrze z zewnątrz, spod drzwi, przez szpary we framugach, przez pęknięcia w ścianach, przez ramy okienne, szyby, obniżając ciśnienie do tego stopnia, aż wszystko pęka z hukiem. Wówczas wskutek gwałtownego napływu tlenu z zewnątrz pożar przybiera na nowo na sile. To właśnie zjawisko określane jest słowem flashover.

Coś takiego przydarzyło się Jeanne. Pozbywszy się wszelkiej nadziei, zniszczyła jej źródło. Tłumione wciąż oczekiwania zaczęły w końcu wywoływać w niej złość, niecierpliwość, bezwzględne wymagania. Rozdrażniona Jeanne przyparła Thomasa do muru. Postawiła ultimatum. Osiągnęła rezultat, który był do przewidzenia. Facet po prostu się zmył. Potem wrócił. Potem znowu zniknął... Wciąż powtarzające się sprzeczki, uniki, ucieczki doprowadziły do tego, że ich związek stracił jakikolwiek sens.

Co w ten sposób osiągnęła? Nic. Żadnej obietnicy. Żadnej pewności. Przeciwnie, była jeszcze bardziej samotna. Gotowa godzić się na wszystko. Na przykład na pojawienie się jakiegoś innego mężczyzny. Wszystko lepsze niż samotność. Przystałaby na wszystko, byle tylko go nie stracić. I żeby się samej nie zagubić w jego obecności, która przeniknęła ją na wskroś, kształtowała, drążyła...

Od dłuższego czasu wykonywała swoją pracę niczym rekonwalescent, dla którego najmniejszy ruch, najmniejsza myśl stanowi nadludzki wysiłek. Studiowała akta bez żadnego zaangażowania się w sprawę. Udawała, że istnieje, pracuje, oddycha, ale przez cały czas prześladowała ją jej obsesja. Zwęglona miłość. Otwarta rana.

No i to pytanie: czy w końcu kogoś pozna?

Jeanne Korowa wróciła do domu około północy. Zdjęła płaszcz i nie zapalając światła, położyła się na kanapie w salonie, w przebijającym się przez ciemności świetle latarń.

Masturbowała się, aż w końcu zmorzył ją sen.

3.

- Nazwisko. Imię. Wiek. Zawód.

- Perraya. Jean-Yves. Pięćdziesiąt trzy lata. Jestem kierownikiem w spółce handlującej nieruchomościami. COFEC.

- Adres?

- Ulica Quatre-Septembre czternaście, w drugiej dzielnicy.

- Pański adres domowy?

- Bulwar Suchet sto siedemnaście. Szesnasta dzielnica. Jeanna odczekała, aż Claire, jej sekretarka, zapisze te dane.

Była godzina dziesiąta rano. W pokoju panował już upał. Rzadko kiedy prowadziła wstępne przesłuchania o tej porze. Zazwyczaj godziny przedpołudniowe poświęcała na studiowanie i przeglądanie akt sądowych ze wstępnych przesłuchań, konfrontacji z poprzedniego popołudnia. Tym razem jednak chciała zaskoczyć podejrzanego. Przesłała mu wezwanie poprzedniego wieczoru, aby stawiał się w charakterze świadka. Klasyczny podstęp. Świadek nie ma prawa do obecności adwokata ani do wglądu w akta sprawy. Ze świadkiem jest dwa razy łatwiej niż z podejrzanym.

- Panie Perraya, czy mam panu przypomnieć fakty?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Jeanne mówiła dalej obojętnym tonem:

- Został pan wezwany w związku z wydarzeniami na avenue Georges-Clemenceau sześć w Nanterre. Skargę złożyli państwo Assalih, pochodzący z Czadu, obecnie zamieszkali w Cite des Fleurs, przy ulicy Sadi-Carnot dwanaście w Grigny. Druga skarga, dołączona do pierwszej, została złożona przez Stowarzyszenie Lekarze bez Granic oraz AFVS, Stowarzyszenie Rodzin Ofiar Zatrucia Ołowiem.

Perraya z oczyma wbitymi w buty poruszył się na krześle.

- Fakty są następujące. Dwudziestego siódmego października dwutysięcznego roku Goma Assalih, sześć lat, zamieszkała z rodzicami na avenue Georges-Clemenceau sześć, została przewieziona do szpitala Robert-Debre. Skarżyła się na bóle brzucha. Cierpiała także na biegunki. W jej krwi odkryto przekraczający normę poziom ołowiu. Goma chorowała na ołowicę. W ciągu tygodniowego pobytu w szpitalu została poddana terapii przy zastosowaniu chelatacji.

Jeanne przerwała. Jej „świadek” wstrzymał oddech, nadal ze wzrokiem opuszczonym na buty.

- Dwunastego maja dwa tysiące pierwszego roku na Oddział Dziecięcy w szpitalu Neckera został przewieziony Boubakar Nour, chłopiec w wieku dziesięciu lat, również zamieszkały na avenue Georges-Clemenceau sześć. Diagnoza ta sama. U niego terapia chelatacją trwała dwa tygodnie. Te dzieci zatrują się od farby, którą pomalowane są ściany

ich mieszkań, prawdziwych ruder. Państwo Assalih i Nour zwrócili się do pańskiego przedsiębiorstwa o wykonanie asenizacji tych mieszkań. Nie odpowiadacie na ich prośbę.

Jeanne podniosła oczy. Perraya pocił się.

- Dwudziestego listopada tego samego roku kolejne dziecko z avenue Georges-Clemenceau sześć, Mohamed Tamar, chłopiec w wieku siedmiu lat, zostaje odwieziony do szpitala. Znowu przypadek zatrucia ołowiem. Po dwóch dniach wstrząsany konwulsjami chłopiec umiera w szpitalu Neckera. Podczas autopsji odkryto ślady ołowiu w jego wątrobie, nerkach i mózgu.

Perraya rozluźnił krawat.

- Po tym wypadku mieszkańcy domu, wspierani przez AFVS, wystąpili z powództwem cywilnym. Domagają się wykonania prac asenizacyjnych, ale w dalszym ciągu nie racycie im odpowiedzieć. Zgadza się?

Perraya odkaszlnął i wymamrotał:

- Ci ludzie prosili o przeniesienie do innych mieszkań. Powinny się nimi zająć władze administracyjne Nanterre. Czekamy, aż ich zabiorą, a wtedy przystąpimy do odtruwania.

- Czy pan wie, ile czasu trwa załatwienie takich podań? Czy zamierzacie czekać, aż oni wszyscy wymrą?

- Nie mamy możliwości, żeby ich przenieść do innych mieszkań.

Jeanne przyjrzała mu się przez moment. Wysoki, dobrze zbudowany, markowy garnitur, ufryzowane siwe włosy. Pomimo imponującej postury Jean-Yves Perraya robił wrażenie człowieka cichego, pokornego. Zawodnik rugby, który wolałby odgrywać niewidzialnego.

Otworzyła następną stronę.

- Dwa lata potem, w dwa tysiące trzecim roku, została sporządzona ekspertyza. Wnioski są smutne. Każde z tych mieszkań, a prawdę mówiąc klitek, nie przekraczało dwudziestu metrów kwadratowych powierzchni i nie miało urządzeń sanitarnych. A kwota wynajmu wynosiła sześćset, siedemset euro. Jaką powierzchnię ma pański apartament na bulwarze Suchet?

- Odmawiam odpowiedzi.

Jeanne pożałowała tego osobistego ataku. Zawsze należy trzymać się faktów.

- Kilka miesięcy później - podjęła spokojniejszym tonem - w czerwcu dwa tysiące trzeciego roku, umiera od zatrucia ołowiem kolejne dziecko mieszkające pod szóstym na avenue Georges-Clemenceau. W dalszym ciągu nie podjęliście prac asenizacyjnych.

- Podjęliśmy je.

- Gdzie są sprawozdania? Kosztorysy? Wasze biura niczego takiego nam nie dostarczyły.

Perraya zwilżył językiem wargi. Otarł spocone ręce o spodnie. Miał stwardniałe grube dłonie. Jeanne pomyślała, że musiał pracować w budownictwie, zanim zajął się sprzedażą nieruchomości. Wiedział więc dobrze, w czym rzecz, a mimo to skłamał.

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy z rozmiaru zatrucia.

- Po otrzymaniu ekspertyzy? Mając opinie lekarzy na temat ofiar?

Perraya odpiął guzik kołnierza koszuli. Jeanne odwróciła stronę i mówiła dalej:

- Sąd apelacyjny w Wersalu wydał dwudziestego trzeciego marca dwa tysiące ósmego roku wyrok, na którego mocy rodzinom zmarłych dzieci przyznane zostały odszkodowania finansowe. W końcu ludzie ci przeprowadzili się do innych mieszkań. Tymczasem eksperci stwierdzili, iż ten pański budynek jest tak stary, że prace renowacyjne nie mają sensu. Stało się jasne, że w rzeczywistości zamierzaliście budynek zburzyć i zbudować na tym miejscu biurowiec. Na ironię zakrawa fakt, że miasto Nanterre ma wam pomóc finansowo w tej rozbiórce i budowie gmachu przy Georges-Clemenceau sześć. Cała ta sprawa pomogła wam osiągnąć planowany cel.

- Proszę nie używać formy „wy”. Jestem tylko kierownikiem.

Jeanne nie zareagowała. Upał stawał się nie do zniesienia.

Kołnierzyk jej bluzki również był mokry od potu. Pałace niemiłosiernie słońce wpadało przez duże balkonowe okno. Miała ochotę poprosić Claire, by opuściła żaluzje, ale ta łazienka była częścią próby...

- Wszystko więc mogłoby się rozejść po kościach, ale - mówiła dalej - kilka rodzin, popieranym przez Lekarzy bez Granic i AFVS, wystąpiło do sądu z powództwem cywilnym. Przeciw panu i właścicielom spółki. O nieumyślne zabójstwo.

- Nikogo nie zabiliśmy!

- Ależ tak! Narzędziem zbrodni była farba na ścianach mieszkań w tym budynku.

- Nie chcieliśmy tego!

- Nieumyślne zabójstwo. To najwłaściwsze określenie.

Perraya pokręcił głową i po chwili zapytał:

- Czego pani ode mnie chce? W jakim celu zostałem tu wezwany?

- Chcę dowiedzieć się, kto naprawdę jest za to odpowiedzialny. Kto się kryje za tymi anonimowymi spółkami, do których należy ten budynek. Kto panu wydaje rozkazy. Pan jest tylko pionkiem. I pan zapłaci za innych!

- Ja nic nie wiem. Nikogo nie znam.

- Grozi panu, lekko licząc, dziesięć lat więzienia. Kara więzienia na pewno. Odsiadka może się zacząć już dzisiaj, jeśli zdecyduje o areszcie prewencyjnym.

Perraya podniósł na nią wzrok. Pod gęstymi brwiami pojawił się jakiś błysk. Jeanne czuła, że już niewiele brakuje, aby zaczął mówić. Otworzyła szufladę i wzięła do ręki kopertę z szarego papieru formatu A4. Wyjęła z niej plik czarno-białych zdjęć.

- Tarak Alouk, osiem lat, zmarł po ośmiu godzinach od przywiezienia do szpitala. Konwulsje spowodowały uduszenie. W wyniku autopsji odkryto, że poziom ołowiu w jego narządach był dwadzieścia razy wyższy od uznawanego za toksyczny.

Perraya odwrócił wzrok.

- Dzisiaj może panu pomóc jedynie podzielenie się odpowiedzialnością. Wyjawienie, kto kryje się za anonimowymi spółkami, których polecenia pan wykonuje.

Perraya milczał. Głowę miał opuszczoną, pot na szyi. Jeanne widziała, że drżą mu ramiona. Ona także drżała w mokrej od potu koszuli. Zaczęła się prawdziwa batalia.

- Perraya, odsiedzi pan w więzieniu co najmniej pięć lat. Czy pan wie, co w więzieniach robią z zabójcami dzieci?

- Ale ja nie jestem...

- To nie ma znaczenia. Plotka się rozejdzie i jeszcze uznają pana za pedofila. Kto stoi za tymi spółkami?

Perraya potarł kark.

- Nie znam ich.

- Kiedy sprawy przybrały zły obrót, musiał pan ich poinformować o tym.

- Wysłałem e-maile.

- Do kogo?

- Do biura spółki handlu nieruchomościami. FIMA.

- Otrzymał pan jakąś odpowiedź. Czy była podpisana?

- Nie. Rada administracyjna nie chciała się wtrącać.

- Nie próbował pan rozmawiać z kimś bezpośrednio?

Perraya nie odpowiedział, wcisnąwszy głowę w ramiona.

Jeanne wyciągnęła protokół z przesłuchania.

- Czy wie pan, co to jest?

- Nie.

- Zeznanie pańskiej sekretarki Sylvie Desnoy.

Perraya cofnął się na krześle. Jeanne kontynuowała:

- Przypomina ona sobie, że wraz z właścicielem budynku udał się pan na avenue

Georges-Clemenceau sześć.

- To nieprawda.

- Panie Perraya, kiedy chce pan gdzieś jechać, korzysta pan z usług korporacji G siedem. Ma pan abonament o nazwie „Sprawy klubowe”. Wszystkie kursy są automatycznie rejestrowane. Mam mówić dalej?

Milczenie.

- Siedemnastego lipca dwa tysiące trzeciego roku zamówił pan taksówkę. Był to jasnoszary mercedes z numerem trzysta czterdzieści pięć DSM siedemdziesiąt pięć. Dwa dni wcześniej otrzymał pan pierwszy raport ekspertów. Chciał pan sam ocenić sytuację. Stan zdrowia lokatorów. Zakres prac do wykonania.

Perraya zamrugał oczami. Jego wzrok był szklisty.

- Z informacji uzyskanych od korporacji G siedem wynika, że najpierw udał się pan na avenue Marceau pod numer czterdzieści pięć.

- Nie przypominam sobie.

- Avenue Marceau czterdzieści pięć to adres FIMA. Można więc przypuszczać, że pojechał pan zobaczyć się z szefem spółki. Kierowca taksówki czekał na pana dwadzieścia minut. Przez ten czas z pewnością uświadomił pan szefowi powagę sytuacji i przekonał do tego, żeby z panem pojechał. Z kim pan wtedy rozmawiał? Kogo pan kryje?

- Nie mogę podać żadnego nazwiska. Tajemnica zawodowa.

Jeanne uderzyła ręką w biurko.

- Idiotyzm. Nie jest pan ani lekarzem, ani adwokatem. Kto jest dyrektorem FIMA? Z kim pan wówczas rozmawiał?

Perraya zamknął się w swoim milczeniu. Mimo drogiego garnituru wyglądał nieszczęśliwie.

- Dunant - wymamrotał w końcu. - Nazywa się Michel Dunant. Jest większościowym akcjonariuszem w co najmniej dwóch anonimowych spółkach, które są właścicielami tego budynku. Prawdę mówiąc, to on jest właścicielem.

Jeanne dała wymowny znak sekretarce. Miała napisać: „Początek zeznania”.

- Czy tego dnia pojechał z panem?

- Oczywiście. Zanosilo się na poważne kłopoty.

Wyobrazila sobie tę scenę. Lipiec 2003 roku. Słońce. Upał. Jak teraz. Dwaj mężczyźni pocą się w swoich garniturach od Hugo Bossa, obawiając się, że banda czarnuchów zakłóci im wygodne życie, sukcesy, kombinacje...

- Dunant nie podjął żadnej decyzji? Nie mógł przecież nie zareagować.

- Zareagował.

- Jak?

Perraya znowu się zawahał. Jeanne powiedziała dobitnie:

- Nie mam żadnego dokumentu poświadczającego, że panowie zdawali sobie wówczas sprawę z wagi problemu.

Znowu milczenie. Pomimo swojego wzrostu Perraya wydawał się jakiś zmalaty.

- To z powodu Tiny - wymamrotał wreszcie.

- Kim jest Tina?

- Starsza córka państwa Assalih. Ma osiemnaście lat.

- Nie rozumiem.

Jeanne wyczuła sensację. Pochyliła się nad biurkiem i łagodniejszym tonem spytała:

- Panie Perraya, co się stało z Tiną Assalih?

- Wpadła Dunantowi w oko. - Perraya otarł czoło rękawem. - Chciał ją przelecieć.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z robotami asenizacyjnymi.

- To był szantaż.

- Szantaż?

- Tina odmówiła. On chciał... Obiecał, że prace zostaną podjęte, jeśli ona mu się odda.

Istniał więc motyw. Jeanne poczuła ucisk w dołku. Kątem oka sprawdziła, czy Claire wszystko zapisuje. W pokoju upał stał się nie do zniesienia.

- A więc dziewczyna się nie zgodziła - powiedziała Jeanne stłumionym głosem.

W oczach mężczyzny pojawił się dziwny błysk.

- Jednak prace zostały wykonane, czyż nie?

Jeanne nie odpowiedziała. Motyw. „Umyślne zabójstwo”.

- Kiedy poznał Tinę? - zapytała.

- Tego dnia. W dwa tysiące trzecim roku.

Można więc było uniknąć wielu zatruć. Albo wcześniej je leczyć. Jeanne nie była zaskoczona podłością właściciela. Widziała już takich. Dziwiła się raczej oporowi dziewczyny. W grę przecież wchodziło zdrowie jej braci, sióstr, innych dzieci.

- Czy Tina zdawała sobie sprawę z konsekwencji odmowy?

- Oczywiście. Ale i tak nigdy by nie ustąpiła. Powiedziałem to Dunantowi.

- Dlaczego?

- Pochodzi z plemienia Toubou. Mają tam bardzo surowe zasady. Kobiety w ich kraju noszą noże pod pachą. W czasie wojny rozwodzą się z mężami, jeśli zostali ranni w plecy. Tacy to ludzie.

Jeanne opuściła wzrok. Notatki, które zawsze robiła podczas przesłuchań, tańczyły jej przed oczyma. Trzeba to kontynuować. Rozsupłać ten kłębek. Odnaleźć Tinę Assalih i doprowadzić do konfrontacji z draniem Dunantem.

- Co się ze mną stanie, pójdę do więzienia?

Perraya wyglądał na załamane. Oklapniętego. Myślał przede wszystkim o własnej skórze, o swojej rodzinie, o swojej wygodzie. Poczula zatykający gardło niesmak. W takich momentach powracało przekonanie o nicości życia, jakie miewała podczas depresji. Życie nie ma żadnej wartości...

- Nie - odrzekła po chwili namysłu. - Nie będę już pana dalej męczyć, chociaż wiele wskazuje także i na pańską winę. Wezmę pod uwagę pańskie dobrowolne zeznania. Proszę podpisać protokół przesłuchania i może pan odejść.

Zeznanie spisane przez Claire zostało już wydrukowane. Jean-Yves Perraya podniósł się z krzesła. Podpisał. Jeanne spoglądała na rozłożone na biurku zdjęcia. Dzieci pod kroplówką. Chłopiec z maską tlenową. Zwłoki przygotowane do autopsji. Wsunęła fotografie do szarej koperty i dołączyła do teczki z aktami, którą położyła po prawej stronie biurka. Perraya wyszedł.

Tak właśnie wyglądały ich dni. Usiłowały z Claire prowadzić normalne życie, myśleć o zwykłych sprawach, widzieć ludzi w szarym kolorze aż do następnego strasznego wypadku. Do następnego horroru.

Spojrzała na zegarek. Godzina jedenasta. Poszperała w torebce, znalazła telefon. Thomas na pewno dzwonił. Żeby się wytłumaczyć. Przeprzić. Zaproponować inny termin spotkania... Żadnej wiadomości. Rozszlochała się.

Claire szybko do niej podeszła i podała chusteczkę higieniczną.

- Nie można tak się przejmować. Przecież miałyśmy już z takimi sprawami do czynienia.

Jeanne kiwnęła głową. *Sunt lacrimae rerum*. „Są łzy rzeczy”* - i wzrusza człowieczy ból. Jak mawiał jej mentor Emmanuel Aubusson.

- Musi się pani pośpieszyć, ma pani posiedzenie - przypomniała jej sekretarka.

- A potem lunch?

- Tak. Z Francois Taine'em. W L'Usine. O trzynastej.

- Nic ciekawego.

- Zawsze pani tak mówi. A potem wraca o wpół do czwartej najedzona i zadowolona..

* Wergiliusz, Eneida, w. 462

4.

- Przeczytałaś?

Jeanne odwróciła się w kierunku głosu. Godzina dwunasta trzydzieści. Kierowała się właśnie do wyjścia, marząc o odświeżającym prysznicu i przeklinając skąpstwo administracji sądu - awarie w urządzeniach klimatyzacyjnych były tu na porządku dziennym.

W jej stronę szedł Stephane Reinhardt. To on wczoraj wieczór podrzucił jej jakieś dziwne akta. W lnianej koszuli, z torbą na ramieniu, zawsze wymięty. I zawsze bardzo seksowny.

- Czytałaś?

- Nic nie zrozumiałam - przyznała.

- Ale zgadzasz się, że to gorąca sprawa?

- Poszczególne elementy nie bardzo się ze sobą łączą. I do tego anonimowy raport... Trzeba by znaleźć jakiś związek.

- Tego właśnie od ciebie oczekują.

- Nie mam żadnej wiedzy w dziedzinie broni. Nie znam się na samolotach. Nie wiedziałam nawet, że Timor Wschodni jest państwem.

- To część wyspy należącej do Indonezji. Jeden z najbardziej zapalnych punktów na świecie.

Doszli do bramek bezpieczeństwa. Stojący przy nich strażnicy w holu zalany światłem słonecznym smażyli się niczym kielbaski na ruszcie. Reinhardt uśmiechał się. Z torbą na ramieniu przypominał profesora zamierzającego ze swymi studentami zapalić skręta.

- Nie mam także pojęcia, co to takiego cessna - dodała upartym tonem.

- Cywilny samolot. W tym wypadku bez żadnego oznakowania, który może przewozić broń przeznaczoną do dokonania zamachu stanu.

Doczytała się tego poprzedniego wieczoru bez zagłębiania się w treść, ponieważ cały czas czekała tylko na telefon. A co do reszty...

- Ta historia z karabinami - powiedziała z mądrą miną - nie przekonała mnie. Skąd pewność, że chodzi o karabiny francuskie? I produkowane właśnie przez to przedsiębiorstwo?

- Chyba niedokładnie czytałaś. Ta broń została znaleziona przy zabitych buntownikach. Karabiny półautomatyczne Scorpio. Na standardową natowską amunicję. Kaliber 5,56. Całkowicie inna od broni, jaką zazwyczaj posługują się rebelianci w biednych krajach. Taka broń jest wyłącznie na wyposażeniu EDS Technical Services.

Jeanne wzruszyła ramionami.

- Czy nie uważasz, że autor anonimu jest całkiem niezłe poinformowany? - podjął znowu Reinhardt.

- W każdym razie lepiej niż ja. Nawet nie słyszałam o tym zamachu stanu.

- Nikt o tym nie słyszał - odrzekł Reinhardt. - Jak zresztą o wszystkim, co dotyczy Timoru Wschodniego. Wystarczy jednak zajrzeć do Internetu. W lutym dwa tysiące ósmego roku rebelianci zamordowali Jose Ramosa-Hortę, prezydenta kraju. Człowieka, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Został śmiertelnie zraniony pociskami z francuskich karabinów szturmowych! Do licha, czego ci jeszcze trzeba? Nie mówiąc już o aspekcie politycznym tych akt. Zyski z tej nieczystej transakcji zasiliły finanse jednej z francuskich partii politycznych!

- O której nigdy nie słyszałam.

- Ta partia dopiero się wyłania. Po stronie prawicy. Prawicowy beton.

Jeanne zawsze była socjalistką. Kiedyś Aubusson powiedział: „W młodości zwykle jest się lewicowcem. Z upływem lat człowiek kieruje się bardziej na prawo”. Jeszcze nie była wystarczająco stara, żeby zmienić poglądy. Zresztą Aubusson też pozostał lewicowcem.

Reinhardt przeszedł przez bramkę. Gdy żegnał się ze strażnikami, włączył się system alarmowy.

- Zjesz ze mną lunch?

- Niestety nie mogę. Jestem już umówiona.

Zrobił rozczarowaną minę, ale Jeanne nie miała złudzeń. Chciał kontynuować rozmowę o Timorze.

Teraz ona przeszła przez bramkę z wykrywaczem metali.

- Jeśli ta sprawa tak cię podnieca, dlaczego sam się nią nie zajmiesz?

- Już teraz z trudem otwieram drzwi do mojego pokoju, tak jest zawałony aktami spraw czekających na załatwienie!

- Mogę ci pomóc...

- Świetnie. Zabierzesz się do tego, zgoda? Potem mi podziękujesz.

5.

Pocałował ją, musnąwszy jej usta. Aż jej się gorąco zrobiło z wrażenia. Skręciła na parking. Lekka niczym pyłek w słońcu. Czowała się piękna, radosna, niepokonana. Depresja

zniknęła pod wpływem zwyczajnego męskiego dotyku.

Czyżby stała się już starą panną?

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale mam ochotę pieprzyć wszystko, co się nawinie.

- Cudownie.

Jeanne starała się nie mieć zaszokowanej miny. Francois Taine wpatrywał się w tyłek oddalającej się kelnerki. Odwrócił od niej wzrok, by z uśmiechem na ustach spojrzeć na swą rozmówczynię. Uśmiech ten świadczył niezbicie, że również na nią miałby apetyt. Nie czuła się tym urażona. Ich przyjaźń zaczęła się dziesięć lat temu na wykładach w Szkole Sądowej w Bordeaux. Taine próbował raz się do niej zbliżyć w okresie studiów. Później po kilku latach jeszcze raz, gdy był już po rozwodzie. Jednak Jeanne zawsze się jakoś wykręcała.

- Co będziesz jeść? - zapytał.

- Zobaczy się.

Jak wszystkie dorosłe paryżanki, będąc w restauracji, udawała tylko, że je. Dokonała wyboru w karcie, po czym rozejrzała się wokoło. L'Usine była to modna restauracja w pobliżu Etoile. Ściany z jasną drewnianą boazerią. Lśniąca kamienna podłoga. Miejsce spokojne pomimo zwykłego w porze lunchu rozgwaru. Jeanne podobało się przede wszystkim to, że restauracja miała dwa oblicza. W południe bywali w niej elegancko ubrani biznesmeni. Wieczorem ludzie ze świata mody i kina. Podobna dwoistość jak w niej samej.

Wróciła wzrokiem do Taine'a, który czytał kartę ze zmarszczonymi brwiami, jakby to był jakiś bardzo surowy wniosek oskarżenia. Bardzo jasne włosy. Wyrziste rysy twarzy. Wygląd wiecznego studenta nie pasował do jego pozycji doświadczonego prawnika. Francois Taine, trzydziestoosmioletni sędzia śledczy w Nanterre, zajmował pokój sąsiadujący z gabinetem Jeanne. Był jednym z tych, którzy nawoływali Jacques'a Chiraca, by zrzekł się mandatu prezydenta.

Taine, odkąd rozstał się z żoną, ubierał się z krzykliwą elegancją, kontrastującą z jego młodzieńczym wyglądem i wrodzoną sztywnością. Garnitury szyte na miarę u Ermenegilda Zegna. Koszule ze stretchu od Prady. Buty firmy Martin Margiela. Jeanne podejrzewała, że płaci za te ciuchy w miesięcznych ratach. Jak karciane długi.

Chcąc się pozbyć wyglądu prymusa, używał umyślnie wulgarnego języka. Myślał, że tak wypada. Ta maniera uchodziła jakoś w Paryżu, w środowisku prawników. Jednak pomimo wszystkich wysiłków Taine najczęściej przypominał tego, kim był. Odświętnie ubranego, niezbyt eleganckiego prowincjusza z Amiens.

Jeanne lubiła Taine'a, ponieważ pod pozorami pewności siebie, ostentacyjnej elegancji i sztucznej wulgarności dostrzegała jego nieśmiały charakter. Dwa szczegóły zdradzały jego

wrażliwość. Łagodny uśmiech i mocno wystające jabłko Adama, na które patrzyła z przykrością, jednocześnie nim zafascynowana.

Kiedy złożyli zamówienie, Taine nachylił się do niej.

- Znasz Audrey, stażystkę, która pracuje w sądzie dla nieletnich?

- Ta gruba?

- Nazywaj ją, jak chcesz - powiedział z obrażoną miną.

- Jest coś między wami?

Przytaknął głową z kpiącym uśmiechem.

- Nigdy cię nie zrozumiem - westchnęła Jeanne.

Taine złożył razem dłonie w geście cierpliwości, jakby dawał ostatnią szansę wezwanemu na przesłuchanie przed odesłaniem go do więzienia.

- Jeanne, powinnaś wreszcie zrozumieć, na czym polega istota pożądania u mężczyzn.

- Czekam z niecierpliwością na wyjaśnienia.

- Większość z nas pociąga uroda, elegancja, szczupła sylwetka. Typ modelki. Ale kiedy mężczyzna pragnie rozkoszy i kiedy już nikt na niego nie patrzy, zwraca się ku kobietom krągłym, o pulchnych kształtach. Mężczyźni wolą grubaski. Kapujesz?

- W każdym razie wiem, do jakiej grupy należę.

Jeanne miała sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ważyła pięćdziesiąt-pięćdziesiąt dwa kilo.

- Nie martw się. Z takimi jak ty mężczyźni się żenią.

- Nie zauważyłam.

- Mieć kobietę taką jak ty to powód do dumy. Zabiera się ją do restauracji. Ma się z nią dzieci.

- Mamuśka! Też mi coś.

Taine roześmiał się.

- Chciałabyś być jednocześnie dziwką? Masz wielki apetyt.

Jeanne, zadowolona z pochlebstwa i jednocześnie trochę urażona, powiedziała:

- No dobra, opowiadaj!

- W ubiegłą niedzielę, po południu, spotkałem się z Audrey u mnie w domu. Pamiętasz, jak było wtedy gorąco? Opuściliśmy żaluzje. Pościel była mokra od potu. Atmosfera była naprawdę... Rozumiesz.

- Rozumiem.

- O siedemnastej odezwał się domofon. Moja eks-żona, Nathalie, przyprowadziła dzieciaki. Co niedziela dzieci przychodzą do mnie na kolację, a następnego dnia rano odwozę

je do szkoły. Problem w tym, że moja była żona zazwyczaj przyjeżdżała o dziewiętnastej. Teraz tłumaczyła się, że odwołano spektakl i dlatego jest dwie godziny wcześniej. Mając Audrey w łóżku, spanikowałem.

- Przecież jesteś rozwiedziony.

- To bardzo świeża sprawa. Za każdym razem Nathalie wchodzi na górę, sprawdza całe mieszkanie, szukając kobiety. Nie minęły trzy sekundy, a ona już domyśliła się, że ktoś jest w mojej sypialni.

- Co zrobisz?

- Wciągnąłem kalesony i kazałem Audrey, by się ubrała. Mieszkam na piątym, ostatnim piętrze. Bez windy. Na korytarzu jest komórka dla służby. Wepchnąłem tam Audrey.

- Udało się?

- Częściowo. Stojąc w drzwiach mieszkania, miałem w polu widzenia jednocześnie gołe nogi Audrey znikające w tej komórce i główki dzieci idących po schodach.

Taine zamilkł na chwilę, zawieszając głos.

- No i co było dalej? - zapytała Jeanne.

- Dzieciaki pomknęły do swojego pokoju, a Nathalie weszła, rozglądając się swoim wścibskim wzrokiem. Powiedziała coś o ubrankach dzieci i dała mi bony do szkolnej stołówki. Zawsze to samo. Wszystko szło jak najlepiej. Do momentu kiedy na biblioteczkę przy drzwiach zobaczyłem przeciwsłoneczne okulary Audrey.

- A ona je widziała?

- Nie. Skorzystałem z chwili, kiedy Nathalie spojrzała na zegarek, i schowałem okulary do kieszeni.

- Skoro niczego nie zauważyła, w czym problem?

- Odprowadziłem ją do progu. Już miałem zamknąć drzwi, kiedy zapytała: „Nie widziałeś moich przeciwsłonecznych okularów? Musiałam je gdzieś położyć?”.

Jeanne uśmiechnęła się.

- Prawdziwe życie awanturnika. Jak z tego wybrnąłeś?

- Przez dobre pięć minut szukaliśmy okularów, które miałem w kieszeni. Potem ukradkiem je wyjąłem i udałem, że znalazłem je na etażerce.

Przyniesiono im przystawki. Dla Jeanne sałatka z melona. Sushi z czerwonego tuńczyka dla Taine'a. Przez jakiś czas jedli w milczeniu przerywanym szczękaniem widelców. Gwar rozmów biznesmenów był taki, jak ich wygląd - neutralny, gładki, anonimowy.

- Nad czym teraz pracujesz? - zapytał Taine.

- Nic specjalnego. A ty?

- Mam na tapecie poważną sprawę.

- Jakiego rodzaju?

- Morderstwo. Ciało znaleziono trzy dni temu. Prawdziwa jatka. Na parkingu w Garches. Ofierze odcięto ręce i nogi. Ślady kanibalizmu. Na ścianach krwawe znaki. Nikt nie rozumie.

Jeanne odłożyła widelec. Splotła dłonie, opierając łokcie na stole.

- Opowiedz o tym.

- Zadzwoił do mnie prokurator. Był na miejscu zbrodni. Poprosił, bym przyjechał. Tam przekazał mi tę sprawę.

- A jaka kwalifikacja?

- Artykuł siedemdziesiąty czwarty kodeksu karnego. „Znaleźć przyczyny śmierci”. Wziąwszy pod uwagę tę rzeź, prokuratura natychmiast wysłała sędziego śledczego na miejsce zbrodni, żeby kierował całą operacją.

Jeanne była coraz bardziej zainteresowana.

- Opisz okoliczności tego mordu.

- Zwłoki zostały znalezione na najniższym poziomie podziemnego garażu. To pielęgniarka.

- W jakim wieku?

- Dwadzieścia dwa lata.

- Gdzie pracowała?

- W ośrodku dla umysłowo chorych. Parking należy do tego ośrodka.

- Wywiad w sąsiedztwie?

- Żadnego świadka. Ani wewnątrz, ani na zewnątrz.

- Kamery bezpieczeństwa?

- Nie zainstalowano takich kamer. W każdym razie nie na tym poziomie.

- Otoczenie tej dziewczyny?

- Nieznane.

- Powiedziałeś, że to ośrodek dla umysłowo chorych. Może została ofiarą jakiegoś pacjenta?

- To ośrodek dla dzieci.

- Inne tropy?

- Zero. Zespół dochodzeniowy sprawdza jej komputer. Może bywała w jakichś miejscach spotkań. Jednak to wszystko nigdzie nas nie doprowadzi. Według mnie padła ofiarą seryjnego zabójcy. Upatrzył ją sobie jakiś szaleniec.

- Miała coś szczególnego w swoim wyglądzie?

Taine się zawahał.

- Raczej ładna. Krągła. Może rysy jej twarzy odpowiadały jakiemuś typowi. Może było w nich coś, co przyciągnęło uwagę zabójcy. Jak zawsze w takich wypadkach, nie dowiemy się niczego więcej, jeśli nie będzie następnej ofiary.

- Podaj więcej szczegółów.

Jeanne zapomniała o sałatce z melona. O gwarze panującym w restauracji. O chłodzie wiejącym z klimatyzacji.

- Na razie to wszystko. Czekam na wyniki autopsji i na analizy z Instytutu Medycyny Sądowej. Nie spodziewam się żadnych rewelacji. Scena zbrodni to mieszanka niezwyklej brutalności i przemyślanego planu. Jestem pewien, że sprawca przedsięwziął środki ostrożności. Dziwne są odciski stóp.

- Obuwia?

- Nie, gołych stóp. Policjanci przypuszczają, że okrył się futrem, żeby dokonać swojego rytuału.

- Dlaczego „rytuału”?

- Na ścianie są znaki. Przypominają znaki prehistoryczne. No i do tego ta sprawa z kanibalizmem...

- Jesteś pewien, że to kanibalizm?

- Ręce i nogi zostały oderwane, a następnie ogryzione do kości. Na ziemi wały się też inne narządy. Na całym ciele są ślady ludzkich zębów. Prawdziwy koszmar. Nawet nie wiem, czy nasze prawodawstwo przewiduje taki rodzaj przestępstwa jak ludożerstwo.

Jeanne spojrzała na salę niewidzącym wzrokiem. Opis sceny zbrodni przywołał dawne wspomnienia. Fragmenty, które usunęła z pamięci, ukrywając je pod wizerunkiem wzorowej pani prokurator.

- Co przedstawiają te znaki na ścianie?

- Jakieś dziwne kształty, prymitywne sylwetki. Zabójca użył mieszanki krwi i ochry.

- Ochry?

- Tak. Musiał przynieść ją ze sobą. Mamy do czynienia z naprawdę chorym osobnikiem. Jeśli chcesz, pokażę ci zdjęcia.

- Pokażecie te rysunki antropologom?

- Tak, zajmie się tym policja.

- Kto kieruje grupą dochodzeniową?

- Nie bierzesz udziału w tym dochodzeniu, nie mogę więc...

- Nazwisko.

- Patrick Reischenbach.

Jeanne знаła go. Ważna postać na Quai des Orfevre 36, gdzie mieści się Komenda Policji. Twardy. Skuteczny. Lakoniczny w słowach. Jednocześnie umie także docenić przyjemności życia. Przypomniała sobie pewien szczegół - zawsze był niedogolony, włosy miał sklezione żelem. Uważała to za obrzydliwe.

- Dlaczego nie było o tym nic w mediach?

- Bo postępujemy tak, jak się od nas tego wymaga.

- Zakaz informacji - uśmiechnęła się Jeanne. - To podnosi rangę sprawy...

- W takich sytuacjach przede wszystkim jest potrzebny absolutny spokój. Inaczej nie da się pracować. Musimy zbadać każdy szczegół. Zwróciłem się nawet do specjalisty od tworzenia psychologicznego portretu przestępców.

- Oficjalnie?

- Niezupełnie.

- Kto jest tym specjalistą?

- Bernard Level. Prawdę mówiąc, jedyne, jakiego mamy... Szukamy także w archiwach kryminalnych. Może znajdziemy tam jakieś podobne morderstwa. Ale nie liczę na to za bardzo. Ta zbrodnia jest pod każdym względem niecodzienna.

Jeanne wyobraziła sobie, że to ona ma tę sprawę. Przewertowałyby wtedy wszystkie kartoteki. Przejrzała wycinki z prasy. W swoim gabinecie przypięłaby wszędzie pineskami zdjęcia z miejsca zbrodni. Opuściła wzrok. Machinalnie kruszyła w ręce kawałek chleba. Pomimo klimatyzacji była cała mokra.

Taine wybuchnął śmiechem. Jeanne drgnęła.

- Z czego się śmiejesz?

- Znasz Langlebera, lekarza sądowego?

- Nie.

- Superintelektualista. Zawsze z czymś wyskakuje. Jeanne przestała kruszyć chleb i skupiła się na tym, co mówił

Taine. Bała się, że zaraz będzie miała napad lęku. Jak podczas depresji. Kiedy wychodziła z tuneli, zostawiając tam samochód. Albo kiedy czas lunchu spędzała, płacząc w toalecie w restauracji.

- Na miejscu zbrodni Langleber dał mi znak, bym do niego podszedł. Spodziewałem się, że powie mi coś istotnego. Że będzie to coś w rodzaju telenoweli. A on oznajmia mi ściszym głosem: „Człowiek jest liną rozciągniętą między zwierzęciem i nadcześnikiem”.

Pytam go: „Co takiego?”. A on kontynuuje: „Liną rozciągniętą nad przepaścią”.

- To Nietzsche. Tako rzecze Zaratustra.

- Tak też mi powiedział. Ale kto czytał Nietzschego poza tym wariatem? No i tobą, oczywiście - dodał, uśmiechając się.

Jeanne odpowiedziała mu uśmiechem. Złe samopoczucie już minęło.

- Mogłeś mu odpowiedzieć: „Wielkość człowieka polega na tym, że jest pomostem, a nie końcem”. To dalszy ciąg tego fragmentu. Jednak zgadzam się z tobą, że Nietzsche niewiele może pomóc w śledztwie.

- Bardzo lubię ten twój gest.

- Jaki gest?

- Kiedy palcami masujesz kark pod włosami.

Jeanne zaczerwieniła się. Taine rozejrzył się wokoło, czy nikt ich nie słyszy, i nachylił się do niej.

- A może byśmy tak zjedli razem kolację?

- Przy świecach i szampanie?

- Dlaczego nie?

Przyniesiono im główne dania. Dla Taine'a tournedos Rossini. Dla Jeanne carpaccio z tuńczyka.

- Chyba zrezygnuję z tego - powiedziała, odsuwając talerz - poproszę od razu o herbatę.

- No to jak z tą kolacją?

- Wydaje mi się, że już próbowałaś swojej szansy, i to kilka razy, prawda?

- Jak mawia Audrey: „Przeszłość się nie liczy”.

Jeanne roześmiała się. Bardzo lubiła tego faceta. W jego podchodach nie było nic z hipokryzji innych podrywaczy. Przeciwnie, wyczuwało się w nim prawdziwą szlachetność. Ten człowiek miał coś do dania innym. Ta myśl przypomniła jej o czymś.

- Przepraszam.

Wyjęła z torebki komórkę. Brak wiadomości. A niech to szlag! Poczowała smak goryczy w ustach. Dlaczego jeszcze czekała na jego telefon? Wszystko było już skończone. Wiedziała o tym. Ale nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości. Jak mawia młodzież: „nie przyswajała”.

W drodze powrotnej Jeanne rozmyślała o sprawie, którą zajmował się Taine. Zazdrościła mu. Była zazdrosna o to śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa. O to napięcie, jakie wiązało się z tego rodzaju dochodzeniem. Wybrała zawód sędziego śledczego, aby wyświecić krwawe zbrodnie. Jej głównym celem było ściganie seryjnych zabójców, rozszyfrowywanie ich morderczego obłędu, walka z okrucieństwem w czystej postaci.

Przez pięć lat pracy w TGI w Nanterre zajmowała się różnymi, mniejszej wagi sprawami, takimi jak handel narkotykami, przemoc małżeńska, oszustwa dotyczące ubezpieczeń. A jeśli już trafiało się jej zabójstwo, motywem zazwyczaj były pieniądze, alkohol lub impuls wywołany zwykłą nienawiścią...

Przejechała Porte Maillot i skręciła w avenue Charles-de-Gaulle, w kierunku mostu Neuilly. W gęstym tłoku na jezdniach samochody jechały wolno. Jeanne czuła, jak mimo woli ożywa jej pamięć. Sprawa, o której opowiedział jej Francois Taine, obudziła w niej najgorsze ze wszystkich wspomnienie. To, które stało się przyczyną jej powołania. Jej samotności. Upodobania do krwi.

Zacisnęła dłonie na kierownicy, szykując się do stawienia czoła przeszłości. Kiedy wspominała Marie, swoją starszą siostrę, zawsze kojarzyło się jej to z zabawą w chowanego. Tą, która nigdy się nie skończyła. W lesie ciszy...

W rzeczywistości wszystko odbyło się w zupełnie inny sposób, ale w jej wspomnieniach to ona, Jeanne, stała z głową opartą o pień drzewa, zakrywając dłońmi oczy, licząc szeptem: „Jeden, dwa, trzy...”.

Siedemnastoletnia Marie pewnego wieczoru nie wróciła do domu. Matka, która sama wychowywała córki, zaniepokoiła się. Zadzwoiła do przyjaciółek Marie, ale żadna jej nie widziała. Nikt nie wiedział, gdzie mogła pójść. Jeanne zasnęła, słuchając tych telefonicznych rozmów. Żeby zagłuszyć w sobie strach, po cichu odliczała: „Dziesięć, jedenaście, dwanaście...”. Miała wtedy osiem lat. Siostra schowała się. To była tylko zabawa.

Nazajutrz rano przyszli do domu ludzie. Powiedzieli o dworcu w Courbevoie, o parkingu położonym niżej. W tym odosobnionym miejscu znaleziono Marie. Policjanci uważali, że ciało zostało tam przywiezione o świcie, a dziewczynę zamordowano gdzie indziej... Jeanne nic więcej już nie słyszała. Ani rozpaczliwego płaczu matki, ani słów policjantów. Głośno odliczała: „Dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa...”. Zabawa nadal trwała. Trzeba było tylko mieć zamknięte oczy. Kiedy je otworzy, ponownie zobaczy siostrę.

Ujrzała ją trzy dni potem w komisariacie, kiedy matka nagle źle się poczuła i zajęli się nią policjanci. Jeanne zobaczyła wtedy zdjęcia ciała - zwłoki leżące pod balustradą, ręce i

nogi nie na swoim miejscu, wnętrzości wypływające z brzucha, białe skarpetki, baleriny małej dziewczynki, serso.

Jeanne nie pojęła tej sceny w całości. Ziarnista struktura odbitek. Czerń i biel. Blond peruka zakrywająca twarz Marie. Ale przeczytała kilka zdań raportu. Napisano w nim, że Marie została uduszona. Jeanne nie rozumiała, co to znaczy. Że Marie została rozebrana, wypatroszona (znowu nieznane słowo). Że oderwano jej ręce i nogi i przełożono na odwrót - nogi do stawów barkowych, ręce do stawów biodrowych. Napisano również, że zabójca „napawał się tą makabryczną scenerią”. Ale co to miało znaczyć?

„Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy...”. Wszystko to było takie nieprawdopodobne. Jeanne otworzy oczy i zobaczy korę drzewa. Odwróci się i znajdzie się w lesie ciszy, a Marie gdzieś tam będzie, wśród listowia. Trzeba tylko odliczać. Pilnować kolejności liczb. Dać jej czas na schowanie się. Żeby potem wypłoszyć ją z kryjówek...

Pogrzeb Jeanne przeżyła jakby we śnie. Wizyty policjantów, ich niepewne miny, zapach skórzanych kurtek, powtarzane przez nich wciąż te same zdania. Matka załamała się całkowicie. Po roku, kiedy już miała ogromne trudności z mówieniem, uzależniona bezpowrotnie od narkotyków, powiedziała, że Jeanne zawsze była jej ukochaną córką. „Urodziłaś się, gdy w mym życiu zapanował chaos i dlatego zawsze ciebie bardziej kochałam...”.

Jeanne i Marie miały różnych ojców. Ojciec Marie odszedł od nich i więcej się o nim nie mówiło. Ojciec Jeanne również odszedł i mówiło się o nim jeszcze mniej. Jedyne, co pozostawił w spadku, to nazwisko - Korowa. Wiele lat później Jeanne zapragnęła czegoś się o nim dowiedzieć. Wypytała matkę. Jej ojciec był Polakiem. Narkoman, który podawał się za człowieka kina, twierdził, że należał do środowiska Łódzkiej Szkoły Filmowej, podobnie jak Roman Polański, Jerzy Skolimowski, Andrzej Żuławski... Prawdziwy pogromca serc. Mocny w gębie. Pod koniec lat siedemdziesiątych wrócił do Polski i słuch o nim zaginął...

Jeanne była owocem hippisowskiego stylu życia z tamtych lat. Dwoje narkomanów spotkało się przy heroinie czy jakimś innym narkotyku. Kochali się. Rezultatem tego były narodziny Jeanne. Mimo to matka twierdziła, że zawsze bardziej ją kochała. Potem jednak to właśnie obróciło się przeciw niej. Matka była przekonana, że Marie umarła, bo ona o nią nie dbała. Tak więc winna była Jeanne, jej „pieszczoszka”, ulubienica. Ta, którą chroniono. Ta, która była w bezpiecznym miejscu, kiedy torturowano jej siostrę...

„Czterdzieści trzy, czterdzieści cztery, czterdzieści pięć...”.

Te słowa matki bardziej niż zabójstwo Marie zdecydowały o wyborze Jeanne. Czują się winna wobec siostry. Wobec wszystkich ofiar płci żeńskiej. Wobec kobiet gwałconych,

bitych żon, wobec anonimowych ofiar zabójstw. Postanowiła, że zostanie sędzią śledczą, że będzie ścigać łajdaków i mścić się na nich w imię prawa.

„Pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć...”.

Z tym postanowieniem zrobiła maturę. Ta obsesja towarzyszyła jej, gdy kończyła prawo i kiedy przez rok przygotowywała się do studiów w Instytucie Studiów Prawniczych, a potem wstąpiła do Szkoły Sądowej. Po studiach pojechała na rok do Ameryki Południowej, żeby uwolnić się od tej presji, ale to nic nie pomogło. Wróciła do Francji. Dwa lata pracowała w Limoges, trzy lata w Lilie, zanim osiadła w Nanterre.

Kiedy znalazła się znowu w Ile-de-France, wydobyła z archiwum akta ze śledztwa w sprawie morderstwa siostry, które zdarzyło się w Courbevoie podlegającym jurysdykcji TGI w Nanterre.

Przeczytała je. Przeczytała jeszcze raz. Przestudiowała. Nie doznała żadnego olśnienia. Naiwnie sądziła, że jej krótkie jeszcze doświadczenie w pracy pomoże coś zrozumieć. Odnaleźć jakąś wskazówkę. Nic z tego. Żadnego znaku. Zabójca siostry nigdy nie został wykryty.

Jedynie, co ją uderzyło, to uwaga dziennikarza w piśmie „Actuel”. Do akt dołączono wycinek z października 1981 roku. Autor zwrócił uwagę na podobieństwa między scenariem morderstwa a „lalkami” artysty Hansa Bellmera. Ten sam przedziwny układ rąk i nóg. Taka sama blond peruka. Takie same białe skarpetki i czarne pantofelki. Nawet serso...

Jeanne poszukała informacji i dowiedziała się, że Bellmer był niemieckim malarzem i rzeźbiarzem z początku XX wieku, który potem przeniósł się na fotografię. Gdy Jeanne zobaczyła jego lalki o rozmiarach dorosłego człowieka, przeżyła szok. Dokładnie tak samo wyglądało zmasakrowane ciało jej siostry. Odbyla wiele podróży. Zwiedziła Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Tate Gallery w Londynie, muzea w Niemczech. Poszła do Centrum Pompidou. Z płaczem oglądała rzeźby, grawiury, rysunki. Wyobraziła sobie, że zabójca odbył taką samą podróż jak ona. Jakiś szalenciec, którego natchnęły potworności wystawiane w tych muzeach.

Odwiedziła różne miejsca, gdzie przebywał Bellmer. W Niemczech. We Francji - w Paryżu i w Prowansji. Była w tamtejszych komisariatach policji i żandarmerii. Szukała jakiegoś śladu zabójcy, jakiegoś szczegółu, wskazówki. Bez rezultatu.

W końcu zrezygnowała i pogodziła się z myślą, że na zawsze pozostanie małą dziewczynką, która z zasłoniętymi oczami będzie odliczać cichym głosem, aby po chwili z niecierpliwością szukać prawdy w lesie. Aż któregoś dnia odnajdzie wreszcie źródło zła...

„Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć...”.

Jeanne drgnęła. Ktoś zastukał w szybę jej samochodu. Rozejrzała się. Prowadziła automatycznie i dojechała do siedziby sądu w Nanterre, na avenue Joliot-Curie. Machinalnie zatrzymała się przed wejściem do budynku.

- Nie może pani tu stać - rzekł strażnik, nachyliwszy się do jej okna. - Och, przepraszam... nie poznałem pani, pani sędzio.

- Już... jadę na parking.

Jeanne włączyła bieg i skierowała się na podziemny parking. Spojrzała w lusterko wsteczne. Twarz miała zalaną łzami.

Zanurzając się w ciemności parkingu, usłyszała w samochodzie jakiś dziwny dźwięk. To był jej własny głos, cicho odliczający:

- Osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy...

Mała dziewczynka stojąca pod drzewem. Z rączkami zakrywającymi oczy.

7.

Kiedy Jeanne weszła do swojego gabinetu, Claire powiedziała, że przysłano dokument oddający jej oficjalnie sprawę Timoru Wschodniego. Claire umieściła go w teczce z sygnaturą 2008/123. Jeanne postanowiła zapoznać się dokładnie ze sprawą. Przede wszystkim dlatego, że tu też polala się krew. A jeśli odnajdzie przy okazji dowody na korupcję polityków, też nie będzie źle.

Odbyła popołudniowe przesłuchania. Zwolniła Claire o godzinie siedemnastej. Nastawiła sekretarkę telefoniczną i zamknęła drzwi na klucz. W teczce znajdowało się tylko kilka kartek. Krótki raport ze śledztwa w 2006 roku, które nic nie dało, sporządzony przez sędziego śledczego z sądu w Pau. Anonimowy raport daktylograficzny z lutego 2008 roku. Notatka z urzędu skarbowego w Hauts-de-Seine ujawniająca pewne fakty opisane w oskarżeniu.

Wszystko zaczęło się w maju 2006 roku.

Pewien emerytowany kontroler lotów śledził w Internecie przeloty francuskich samolotów transportowych. Człowiek ten miał obsesję na punkcie handlu bronią. Obserwował przede wszystkim ruch powietrzny na cywilnych lotniskach położonych w okolicach fabryk produkujących sprzęt wojskowy. Miał oko głównie na swój region, południowy zachód Francji, gdzie znajduje się jeden z liderów tego rynku - EDS Technical Services.

W maju 2006 roku zwrócił uwagę na niecodzienny lot. Cessna 750, z numerem rejestracyjnym N543VP, należąca do spółki CITA, wystartowała piętnastego maja z lotniska w Joucas powyżej Biarritz w kierunku Bandżul w Gambii. Kierunek był raczej niezwykły. A do tego żaden inny samolot nie startował wtedy z tego lotniska.

Kontroler poszukał więc informacji o spółce CITA. Pierwsze zaskoczenie - taka spółka w ogóle nie istniała. Sprawdził w Internecie, jak wyglądał ten tajemniczy lot. Okazało się, że cessna w ogóle nie dotarła do Bandżul. Wyglądało na to, że będąc już w powietrzu, piloci zmienili swoją częstotliwość radiową i polecili w nieznanym kierunku.

Kontroler dotarł do faktur tego lotu. W sieci znajdowało się wszystko. Faktury dotyczące paliwa, zaopatrzenia w prowiant, płac pilotów. Następna sensacja - całość wydatków została uregulowana przez Towarzystwo Noron, filię spółki EDS Technical Services.

Dociekliwy kontroler kontynuował śledztwo. Broń francuska wylądowała po cichu gdzieś w nieznanym miejscu. Rozesłał e-maile na wszystkie cztery strony świata do innych pasjonatów ruchu powietrznego, ale bez rezultatu. Domorosły Sherlock Holmes chwilowo wyczerpał swoje możliwości.

Wrzesień 2006 roku. Wziąwszy zebraną przez siebie dokumentację, kontroler lotów udał się do komisariatu policji w Pau. Na szczęście trafił na policjanta, który wysłuchał uważnie jego rewelacji i przesłał raport z tej rozmowy do sądu w Pau. Wyznaczono sędziego śledczego, który dostał uprawnienia do prowadzenia wnikliwych poszukiwań na szczeblu międzynarodowym celem odnalezienia tego samolotu. Mógł on również zażądać rachunków od Towarzystwa Noron. Szczęśliwym trafem człowiek ten, sędzia o nazwisku Vittali, przejął się bardzo powierzoną mu sprawą.

Przesłuchanie Jeana-Louisa Demmarda, prezesa-dyrektora generalnego Noronu specjalizującego się w elektronicznym sprzęcie telekomunikacyjnym, nic nie dało. Facet nie przypominał sobie takiego lotu. Obiecał sprawdzić dokumentację. Ale przecież nie było trudno sfabrykować fałszywe dokumenty, takie jak plan lotu, przekazy pieniężne, faktury, które usunęłyby wszelkie podejrzenia. Vittali działał szybko. Nigdy dość ostrożności przy pierwszym przesłuchaniu...

Prowadzone równoległe dochodzenie międzynarodowe przyniosło owoce. W lutym 2007 roku Vittali dostał informacje o cessnie. Samolot wylądował piętnastego maja o godzinie dwudziestej drugiej na Międzynarodowym Lotnisku w Dubaju, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, żeby uzupełnić paliwo. Ale w jakim kierunku stamtąd odleciał? Potrzeba było jeszcze dwóch miesięcy na uzyskanie odpowiedzi na to pytanie. Samolot z

rejestracją N543VP dotarł następnego dnia do Timoru Wschodniego, niezależnego państwa położonego w Archipelagu Malajskim między Indonezją i Australią. Maszyna nie wylądowała na lotnisku w Dili, stolicy tego kraju, lecz na lotnisku znajdującym się dalej na zachód, w pobliżu miasta Bacau. Co zawierały ładownie samolotu?

W tym momencie dochodzenie zostało przerwane z powodu braku pieniędzy. Skończyły się przesłuchania, rewizje, podsłuchy telefoniczne. Jeanne domyślała się dlaczego. Każdy sędzia śledczy prowadzi jednocześnie średnio sto pięćdziesiąt spraw. Zanim Vittali otrzymał informacje o samolocie, minęło sześć miesięcy. W tym czasie na jego biurku urosła góra akt. Wobec braku postępu w tej sprawie urząd odmówił dalszego finansowania. Jak mówią między sobą sędziowie: „Jedna sprawa wyklucza inną”.

Koniec aktu pierwszego.

Następny zaczął się rok później, pod koniec lutego 2008. Do siedziby sądu w Hauts-de-Seine przyszedł anonimowy raport. Prawdziwy wniosek oskarżenia, do którego dołączono pierwsze akta sprawy sporządzone w Pau i dokumenty pochodzące z urzędu skarbowego departamentu - dowód na to, że autor anonimu był nie tylko poinformowany o kombinacjach spółki EDS Technical Services, ale miał również dostęp do oficjalnych dokumentów.

Anonimowy autor powiadamiał o zawartości ładowni cennych. Karabiny maszynowe. Wyrzutnie rakiet. Granaty. Karabiny szturmowe. W raporcie były dokładne dane na ten temat. Natowskie karabiny półautomatyczne Scorpio z celownikiem laserowym. Wyłączna specjalność spółki EDS Technical Services.

Anonim dostarczył jeszcze jedną wiadomość. Karabiny Scorpio znaleziono w rękach rebeliantów, którzy usiłowali zabić prezydenta Jose Ramosa-Hortę 11 lutego 2008 roku w Dili. W wyniku zamachu prezydent został ciężko ranny. Przewieziony do szpitala w Darwin w Australii nadal był w bardzo złym stanie.

Jeanne zamyśliła się. Sprawa była gorąca. Wręcz parząca: Francja współniczką w próbie zabójstwa laureata Pokojowej Nagrody Nobla, prezydenta kulejącej demokracji! Niezły pasztet...

Jednak Jeanne nie była całkowicie przekonana, że ma do czynienia z przestępstwem. Timor Wschodni nie został objęty embargiem. Tak więc nie było nic nielegalnego w eksportowaniu tam broni. Problem polegał na tym, że dotarła do niewłaściwych osób. Jednak zawsze istniała taka możliwość, że broń na początku została sprzedana wojskom rządowym i siłom bezpieczeństwa, głównie australijskim. Tak właśnie będzie utrzymywać kierownictwo EDS. Jeanne już sobie wyobraziła, jak będą wyglądać ich przesłuchania. Szefowie firmy, otoczeni przez adwokatów, chronieni przez polityków, opowiadający niestworzone rzeczy.

Pozostałoby jej tylko wysłać do Timoru Wschodniego sędziego śledczego z międzynarodowym nakazem rekwizycji sądowej. Taka procedura mogłaby trwać dobrych parę lat.

Sprawa zresztą okazała się jeszcze bardziej skomplikowana.

Trzeci akt.

Informacje z urzędu skarbowego wprowadzały jeszcze inny element. Fałszywe faktury i korupcja polityczna. Anonimowy autor raportu, nie podając bezpośrednich dowodów, sygnalizował, że jednocześnie ze sprzedażą tej broni spółka EDS Technical Services zapłaciła prawie milion euro na rzecz Rady Stowarzyszenia RAS. Dokument skarbowy potwierdzał kilkakrotne wystawienie faktur przez RAS dla EDS Technical Services. Poza tym przedsiębiorstwo to, mające siedzibę w Levallois-Perret w departamencie Hauts-de-Seine, było podejrzane o wydawanie fałszywych faktur na rzecz różnych spółek w trakcie zamówień publicznych. Jeanne zwróciła uwagę na zakrawającą na ironię nazwę tego przedsiębiorstwa nadaną zapewne umyślnie. „RAS” w języku wojskowym oznaczało: „Nic nowego” (Rien a signaler).

System był ogólnie znany. Radni handlowali zleceniami na roboty publiczne i zamówieniami na dostawy materiałów za pośrednictwem jakiejś podstawionej spółki, a uzyskane pieniądze przekazywano do kasy partii. Czasem pieniądze wpływały bezpośrednio do kieszeni radnego lub na jego konto w rajach podatkowych. W taki sposób partie polityczne finansowały swoje kampanie wyborcze, a radni się wzbogacali. Tego rodzaju oszustwo zostało ujawnione we Francji w latach dziewięćdziesiątych w związku z aferą Urba. Pierwsze z długiej serii oszustw, które okryły niesławą wszystkie partie zarówno na lewicy, jak i na prawicy.

Z raportu wynikało także, że spółka RAS była bliska nowej centrowej partii politycznej PRL (Republikańska Partia Wolności). Jeanne słyszała o tej partii w związku z wyborami do władz gminnych w ubiegłym marcu. Pojawiało się pytanie, jaką przysługę opłacało tymi fakturami EDS Technical Services. Odpowiedź była prosta. Sprzedaż broni do Timoru Wschodniego była możliwa dzięki Bernardowi Gimenezowi, który w 2006 roku był doradcą do spraw ochrony i bezpieczeństwa w Ministerstwie Obrony. W dodatku Gimenez był jednym z założycieli PRL...

Jeanne odłożyła marker. Reinhardt miał rację. To był materiał na prawdziwy skandal polityczny. Pod warunkiem, że uderzy się precyzyjnie, z zachowaniem dyskrecji podczas dochodzenia. Jeanne w 2004 roku była zaangażowana w ujawnienie afery z podsłuchami w siedzibie sądu w Nanterre, kiedy biurka urzędników, którzy głosowali na Alaina Juppego,

zostały zrewidowane, ich komputery przeszukane, linie telefoniczne wzięte na podsłuch, nie mówiąc już o naciskach, groźbach i anonimowych listach...

Brakowało jednak najważniejszego. Dowodów. Gdyby Jeanne wzięła tę robotę, musiałaby wykazać, że Gimenez interweniował w Ministerstwie Obrony w sprawie eksportu broni. Udowodnić, że faktury z RAS nie pasowały do żadnej dostawy dla wojska. Wyśledzić te pieniądze w kasie spółki, a potem w kasach PRL. No i oczywiście w kieszeniach Bernarda Gimeneza. A to oznaczałoby rozszyfrowywanie relacji między spółkami, przelewów na konta w Szwajcarii, transferów do rajów podatkowych. Jednym słowem praca dla tytana, która trwałaby lata bez najmniejszej pewności na sukces.

Jeanne była na to gotowa, mimo iż niezbyt wierzyła w sukces. We Francji tego rodzaju afery nigdy się nie kończyły. Od czasów studenckich śledziła słynne „skandale Republiki”. Fałszywe faktury, pokrętne transakcje, tajne konta, wymuszenia finansowe, podejrzane zlecenia, fikcyjne zatrudnienia... Żaden sędzia śledczy nie wygrał jeszcze sprawy przeciw politykom. Ani razu! Owszem, czasem wybuchał skandal. Przez jakiś czas zajmował pierwsze strony gazet. Ale szybko o nim zapomniano. Jeśli nawet wiele lat później dochodziło do procesu, organa sprawiedliwości i politycy zrobili już swoje. Każdy z nich wychodził z tego cało. Jak mawiał Alain Souchon: „Z ważniakami tak jest wszędzie”.

Podniosła słuchawkę telefonu i nakręciła numer ósmego wydziału sądowego, który zajmował się sprawami dotyczącymi fałszywych faktur. Znała tam kapitana Erica Hatzela, którego przezywano „Precel”, a czasami także „Fakturator” z powodu jego zdolności do rozszyfrowywania rachunków, których nikt nie rozumiał.

- Precel? Tu Korowa.

- Jak się masz?

- W porządku. Mam pewną sprawę na tapecie. Przefaksuję ci ją i powiesz mi potem, co o tym myślisz.

- Jeanne, wierz mi, jestem zawałony robotą...

- Przeczytaj.

- Czego dotyczy?

- To nie na telefon. Przeczytaj i oddzwoń do mnie.

- Od czego chciałabyś zacząć?

- Od podsłuchów. W dużej liczbie.

- Jeszcze to! Nie mam wolnych ekip...

- Przeczytaj faks. Potem zajrzyj do poczty e-mailowej. Prześlę ci listę facetów, którym trzeba by założyć podsłuch. Poszukam ich danych. Z innymi sam będziesz wiedział, co robić.

Jeanne odłożyła słuchawkę. Nie znalazła się na podsłuchach. Procedura z nimi związana była żmudna. Należało uzyskać od operatorów telefonii stacjonarnej zgodę na podpięcie się do głównego kabla. Dogadać się z firmami telefonii komórkowej.

Ale Jeanne chciała jeszcze więcej. Chciała, by zainstalowano mikrofony w biurach i podsłuchy w mieszkaniach prywatnych. Zamierzała zaangażować SIAT (międzyresortową pomoc techniczną). Ludzi, którzy zajęliby się dyskretnym zainstalowaniem maleńkich mikrofonów. Dyżurujący na zmianę funkcjonariusze policji notują ciekawe fragmenty nagrań i przekazują sędziemu śledczemu w formie raportu.

A wszystko po to, żeby bardzo szybko znaleźć się w impasie. Albo dojdzie do unieważnienia całej tej procedury z powodu ingerencji w życie prywatne. Był to pierwszy punkt zaczepienia adwokatów. Bardzo łatwo wykazać, że mikrofon założony w czyimś mieszkaniu pozwalał śledzić o wiele bardziej życie prywatne niż nieliczne podejrzone rozmowy. Wówczas sędzia śledczy od razu znajdował się na straconej pozycji. Albowiem przekroczył swoje uprawnienia. Sprawę umarzono. Jeanne gotowa była podjąć to ryzyko. Zresztą nie widziała innej możliwości ataku.

Czekając na telefon od Precla, poszukiwała w Internecie danych osób do podsłuchu. Zawodowe. Osobiste. Przy okazji sprawdziła pewien szczegół. Drobnny szczegół, który od początku chodził jej po głowie. Napisała e-maila i od nowa pogрузzyła się w aktach.

Po półgodzinie zadzwonił telefon. Linia stacjonarna. Dziewiętnasta trzydzieści. Jeden dzwonek. Minutowa przerwa. Kolejny dzwonek. Jeanne podniosła słuchawkę - to był Precl. Ustalili między sobą ten kod, żeby uniknąć rozmów z nudziarzami. Dziennikarze mieli zwyczaj dzwonić po godzinie dziewiętnastej, żeby trafić na prawników, a nie na ich sekretarki.

- Rzeczywiście niezłe - rzekł Precl. - Wchodzę w to. - Jego głos drżał z podniecenia. - W poniedziałek postaram się uzyskać nakaz rekwizycji sądowej. Tymczasem jeszcze dziś wieczór pozakładam podsłuch w komórkach i na liniach stacjonarnych. Jutro, w niedzielę, zainstalujemy mikrofony w biurach. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Wysyłam także chłopaków do Pau, żeby zajęli się tamtejszymi biurami.

Jeanne poczuła także dreszcz podniecenia. „Machina wojenna” została wprawiona w ruch. Szybka reakcja Precla utwierdziła ją w tym, o czym już wiedziała, że ten człowiek nie boi się niczego. Nie myśli o awansie ani o emeryturze. Taki sam typ jak ona.

- Jest jednak coś, co nie bardzo mi pasuje - powiedział. - Ostatnie nazwisko na tej liście: Antoine Feraud. Jaka jest jego rola w tej całej historii?

Jeanne spodziewała się tego pytania.

- Nie przejmuj się. Ja za to odpowiadam.

- To psychoanalityk czy psychiatra?

- Jedno i drugie.

- Uprzedziłaś o tym związek lekarzy?

- Odpowiadam za to, nie martw się.

- Naruszenie tajemnicy lekarskiej. Napytasz sobie biedy, ślicznotko.

- Ja prowadzę tę sprawę, jasne? Co wieczór będziesz przysyłał te nagrania bezpośrednio do mnie. Na płytce. Zrozumiałeś?

- Do czego zmierzasz?

- Ufasz mi czy nie?

- Jego mieszkanie załatwimy jutro po południu.

Jeanne odłożyła słuchawkę, czując suchość w ustach. Właśnie popełniła najgorszy z podstawowych błędów. Grzech śmiertelny dla sędziego.

Na liście osób do podsłuchu umieściła psychoanalityka, do którego chodził Thomas.

Znała jego nazwisko.

Znalazła adres jego gabinetu w książce telefonicznej.

Posłucha seansów Thomasa i będzie wiedziała.

8.

Minęło sześć dni. Nic się nie działo zgodnie z przewidywaniami.

W sobotę trzydziestego pierwszego maja Precel porozumiał się z operatorami Orange i France Telecom w sprawie podsłuchów telefonicznych. Jednocześnie faceci z SIAT umieścili mikrofony w biurze Bernarda Gimeneza w siedzibie PRL. Facet nie pracował już w Ministerstwie Obrony od 2007 roku i pełnił funkcję skarbnika tej partii. Wyposażyli w mikrofony również biura Jeana-Pierre'a Grissana, sekretarza generalnego partii, oraz Simona Maturiego, prezesa-dyrektora generalnego spółki RAS. Do biur spółek EDS i Noron w Pau Precel wysłał ludzi jeszcze w piątek wieczorem. Zgodnie z artykułem 18 kodeksu karnego, ustęp 4, sędzia śledczy może wysłać policjantów w każde miejsce we Francji, jeśli jest to konieczne do „wyjaśnienia prawdy”. W biurach Jeana-Louisa Demmarda, szefa Noronu, i Patricka Laiche'a, dyrektora EDS, założono podsłuch podczas weekendu. Objęte podsłuchem zostały linie stacjonarne, komórki podłączono do serwera.

We wtorek trzeciego czerwca Jeanne otrzymała pierwsze raporty. Kilka stron, z

których nic nie wynikało. Żadnych podejrzanych rozmów. Żadnych aluzji o ewentualnej próbie nacisku. Ani tym bardziej o transferach pieniędzy, poleceniach przelewów lub przekazania gotówki. W słownictwie żadnych skrótów, które pozwalałyby przypuszczać stosowanie jakiegoś kodu. Nic. Jeanne była pewna, że ci podejrzani używają innego sposobu porozumiewania się.

Tego samego dnia Jeanne zażądała od służb informatycznych, aby zaczęły podglądać ich e-maile. W dalszym ciągu nic. RAS słusznie nosiło swoją nazwę. Jednakże Jeanne instynktownie czuła, że podejrzani porozumiewają się nadal. Może ci ludzie dostali ostrzeżenie o podsłuchach? Precel był poza podejrzeniem. Faceci z SIAT także. Ale przecieki zawsze istnieją. Świat wymiaru sprawiedliwości jest najbardziej zepsutym środowiskiem wśród wszystkich instancji administracyjnych.

Prawdę mówiąc, Jeanne Korowa od początku tych wielkich manewrów interesowała się przede wszystkim nagraniami dokonanymi w gabinecie Antoine'a Ferauda, psychoanalityka Thomasa. Były to dwie płyty CD - jeden egzemplarz zabezpieczony i kopia do odsłuchania - w szarej kopercie z jej nazwiskiem, wsuwane co wieczór pod drzwi jej mieszkania. Nagranie z całego dnia konsultacji psychoanalityka.

Od tej strony połów był obfity.

Nawet może zbyt obfity.

Jeanne знаła dni i godziny seansów Thomasa. Poniedziałek o godzinie czternastej. W środę o piętnastej trzydzieści. Już w poniedziałek wieczorem, włożywszy płytę do komputera, rozpoznała głos Thomasa. W ten sposób uzyskała informacje, których pragnęła.

Thomas miał nie jedną kochankę, ale dwie.

Mówił o małżeństwie, o dzieciach, wahał się między jedną a drugą.

Jak sam mówił, był już w wieku, kiedy należy się ustatkować.

O Jeanne nie wspominał ani razu. Nie należała do czasu teraźniejszego. Ani tym bardziej do przyszłego. Była jedną z tych, dzięki którym zaspokajał swoje pożądanie, potrzebę podbojów, „opróżniania jaj”, jak mawiali elegancko mężczyźni, utrzymywał równowagę psychiczną i spokój nasyconego wojownika. Jeśli chodzi o kandydatki do małżeństwa, żadna z nich nie ukończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat...

Jeanne wysłuchiwała tego fragmentu dziesięć razy, płacząc, wściekając się, przeklinając. Jak mogła poświęcić tyle czasu temu łajdakowi, wiązać z nim tyle nadziei? Tej samej nocy podała wszystkie jego listy, wyrzuciła fotografie, usunęła e-maile i numer jego telefonu z pamięci komórki. Nie umiałaby powiedzieć, czy poczuła się z tym lepiej, ale przynajmniej sytuacja była jasna.

Jednak w środę wieczorem słuchała nagrania w napięciu, a nawet z pewną nadzieją. Z tą cholerną nadzieją, która jest zgubą dla dziewczyny. Może podczas następnego seansu wreszcie o niej wspomni. Nic z tego. Kolejna płyta potwierdziła diagnozę. Dwie kobiety. Dwie młódki. Małżeństwo z jedną albo drugą. Nadal ani słowa o niej. „Stara panna”.

Jeanne zauważyła w sobie pierwsze oznaki ewolucji. Zjawisko to zaczęło się już w poniedziałek wieczór... Pierwsze nagranie w jakiś sposób odegrało rolę nagłego zbawczego środka. Katharsis. Bolesne, ale wyzwalające.

Powodowana niezdrową ciekawością, Jeanne zaczęła od wtorku, jedząc swoją porcję ryżu na stojąco w salonie, odsłuchiwać seanse innych osób. Słuchała tajemnic pacjentów.

Jeden fragment zwrócił jej uwagę. Mówił ksiądz, który musiał mieć około pięćdziesięciu lat:

- Tracę wiarę, doktorze. Mogę mówić o tym tylko z panem. Moje przekonanie traci na sile... Jakby wiara się we mnie wypalała. Niczym tłący się knot, który zatrzymuje się w pewnym punkcie...

- Jakim punkcie?

- Wierzę we wszystko, również w śmierć Chrystusa. A nie jestem w stanie uznać późniejszych cudów. Zmartwychwstania. Powrotu Jezusa do apostołów. To mnie przerasta.

- A więc pańska wiara kończy się na ukrzyżowaniu?

- Tak, wierzę w ukrzyżowanie Chrystusa.

Cisza.

- Czy ksiądz pochodzi z licznej rodziny?

- Mam siedmioro rodzeństwa, braci i sióstr. Miałem szczęśliwe dzieciństwo.

- Ale ojciec zawsze kochał bardziej nowo narodzone dziecko?

- Doktorze, to nigdy nie było dla mnie problemem. Byłem najstarszy. Rozumiałem tę skłonność ojca. Zresztą wiara przyszła do mnie bardzo wcześnie i dlatego szybko opuściłem dom rodzinny.

Antoine Feraud nie skomentował tych słów. Ksiądz jakby mlasnął ustami, pewnie miał sucho w gardle. Jeanne dobrze знаła to uczucie. Kiedy się mówi, leżąc na kanapie, z głową na poduszce, do ust spływa za mało śliny, a do głowy za dużo krwi.

- Wiara, która kończy się na ukrzyżowaniu Chrystusa - powtórzył Feraud.

- I co z tego wynika?

- Czy pamięta ksiądz ostatnie słowa wypowiedziane przez Jezusa?

Znowu cisza. Potem głos księdza, który, pokonany, powiedział:

- „Ojcze, dlaczego mnie opuściłeś?”.

Jeanne uśmiechnęła się w duchu, jedząc ryż z miseczki. Dobrze zagrane, Feraud... Wyobraziła sobie gabinet doktora. Lakierowany parkiet. Marokański kilim. Tonacja złotawobrazowa. Na półkach książki. Przy kanapie fotel stojący tyłem do okna. Trochę dalej biurko.

Nie wszystkie seanse były interesujące. Byli pacjenci, którzy się spieszyli i kończyli przed czasem. Gadatliwi, mówiący bez przerwy. Milczący, wypowiadający jedno, dwa słowa na minutę. Racjonalni, którzy ustawicznie dokonywali jakichś analiz, porządkowali swoje wspomnienia lub fantazje. Poeci, którzy bawili się słowami i emocjami. Z nastawieniem nostalgicznym, którzy opowiadali o swojej przeszłości z odcieniem melancholii. Oporni, przychodzący tak niechętnie, iż wydawało się, że każdy ich seans będzie już ostatnim...

A ona słuchała. Wciąż słuchała.

- Kiedy myślę o niej, nie przestaję się masturbować - powiedział jakiś poważny głos. - Chociaż w ubiegłym roku odepchnąłem ją jako nieczystą. A nie tknąłem jej już od trzech lat! Skąd to nagle pożądanie? Jaki może być powód tej obsesji, skoro nie chcę o niej w ogóle słyszeć?

- Pańskie pożądanie nie polega na akcie masturbacji - odrzekł Feraud. - Jest wynikiem pańskiego poczucia winy. Masturbując się, pieści pan swoje wyrzuty sumienia, a nie ciało tej kobiety. Lubuje się pan w swojej winie. Jest pan winny i sprawia to panu przyjemność.

Jeanne doskonale się bawiła. Znała na pamięć wywody psychoanalityków. Przez dwa lata szpikowała się tego rodzaju replikami nieprzystającymi do niej, enigmatycznymi, ale trafiającymi w sedno i zmuszającymi do namysłu, do zagłębienia się we własne ciemności, by szukać tam nowej prawdy.

Najbardziej zniewalał ją głos Antoine'a Ferauda. W średnim rejestrze, ale męski, trochę ochryply. Dykcja również była szczególna. Uroczysta powolność, która nadawała każdemu słowu właściwy rytm, wartość. Przede wszystkim jednak była w nim słodycz. Jego głos miał słodki, zniewalający tembr, który działał na duszę niczym balsam...

Po trzech płytach - z poniedziałku, wtorku i środy - Jeanne doświadczyła dobrodziejstw tego głosu. Postępowała według pewnego rytuału. Co wieczór, nie zapalając światła, sadowiła się na kanapie i zakładała na uszy słuchawki. W ciemnościach napawała się tym słodkim, uwodzicielskim głosem. Wnikał w nią, pobudzał do życia jej serce, które niemal się rozpływało z rozkoszy.

W te wieczory Jeanne czuła, że coś w niej pęka, że budzi się w niej dziwne pożądanie... Wsuwała rękę w majteczki i pieściła się przez cały czas trwania seansów, jednocześnie mając sobie za złe, że bruka ten głos, który budzi w niej najczystsze odczucia...

9.

W czwartek piątego czerwca rano przeciągała w nieskończoność kąpiel pod prysznicem, po cichu wymyślając sobie, że masturbuje się, słuchając głosu psychoanalityka, sama w domu, po ciemku. Naprawdę patetyczne...

Wylała się ręcznikiem. Uczesła. Para na lustrze rozeszła się. Nie spieszyła się, żeby obejrzeć w nim swoją bladą twarz, napięte rysy. Mimo wszystko była piękna: pociągła twarz, jasna cera, rudawe włosy. Wystające kości policzkowe. I zielone oczy, które w dobre dni błyszczały niczym agaty. Któregoś razu Thomas porównał je do absyntu, zakazanego trunku, który robił furorę w XIX wieku, nazywany „zielonym czarodziejem”. Nad kieliszkiem z tym jasnozielonym alkoholem topiono w ogniu kawałek cukru. Thomas, chociaż nie był poetą, zauważył to podobieństwo. Zieleń oczu, płomień radości. A upojenie... Tego dnia szepnął: „Jesteś moją zieloną czarodziejką...”. Metafora znalazła finał w łóżku. Jeanne była pewna, że wyczytał to wszystko w jakimś piśmie, ale i tak zachowała wzruszające wspomnienie.

Wyszła z łazienki z mokrymi włosami. Wypiła kawę, którą sobie przygotowała. Zjadła kanapkę z chleba razowego. Połknęła codzienną dawkę effexoru 0,75 mg. Otworzyła szafę i odruchowo wyjęła ubranie, jak się wyjmuje mundur.

Białe dżinsy.

Biała bluzka z czarnym wzorkiem.

Lniany żakiet.

Pantofelki firmy Jimmy Choo z ostrymi czubkami.

Chwyciła klucze, torebkę, teczkę i zatrzasnęła gwałtownie drzwi.

A teraz do roboty.

Akta. Przesłuchania. Konfrontacje.

I nie czas na głos bez twarzy, balsam dla duszy, nocne pieszczoty.

Gdy wjechała na swoje piętro w TGI, domyśliła się, że coś się wydarzyło. W korytarzu stali plecami do niej dwaj policjanci. Atletyczne sylwetki. Czerwone naramienniki. Przy pasie pistolety.

Jeden z nich odwrócił się. Poznała źle ogoloną, trochę pyzatą twarz kapitana Patricka Reischenbacha, szefa grupy w wydziale kryminalnym. Jego czupryna jak zawsze błyszczała żelem. Gwałtownym ruchem spróbowała potargać swoje, jeszcze wilgotne włosy. Bezskutecznie.

- Cześć - powiedziała z uśmiechem. - Co wy tutaj robicie?

- Czekamy na Taine'a.

Jeanne zamierzała zapytać, o co dokładnie chodzi, kiedy Taine wyszedł z gabinetu. Był świeżo ogolony i wkładał marynarkę, trzymając w ręce skórzaną teczkę. Tuż za nim pojawiła się jego sekretarka.

- Co się dzieje? - zapytała Jeanne.

- Mamy kolejne morderstwo. - Taine poruszył ramionami, żeby marynarka lepiej się ułożyła na plecach. - Kanibal. Jadę tam. To w dziewięćdziesiątym trzecim rewirze. Prokuratura w Bobigny odebrała sprawę tamtejszej prokuraturze.

Jeanne przyjrzała się policjantom. Reischenbach miał twarz nieodgadnioną. Podobnie jak drugi policjant, którego nie znała. Również z twarzy Taine'a nic nie dało się wyczytać. Jego sekretarka zachowywała się identycznie. „Superpoważna sprawa”.

- No dobra - rzekł Taine, odgadując myśli Jeanne. - Chcesz jechać?

- A mogę?

- Oczywiście - spojrzał na zegarek. - To jest w Stains. Załatwimy, co trzeba, i wracamy na lunch.

Jeanne wpadła do swojego gabinetu, sprawdziła teczki z aktami, wydała instrukcje Claire i pobiegła do windy, by dołączyć do ekipy.

Na dworze lunął deszcz, grożący już od świtu. Ciepła letnia ulewa dająca uczucie swobody. Krople wody potrzaskiwały na chodniku niczym chińskie petardy. Niebo przypominało ogromny, czarny parasol, a wdzierający się pod niego wiatr bawił się tworzeniem ruchomych, ciągle zmieniających kształty rzeźb z pary wodnej.

Czekał na nich zwykły samochód, zaparkowany w drugim szeregu na avenue Joliot-Curie. Za kierownicą usiadł Leroux, towarzysz Reischenbacha. Kapitan zajął miejsce obok niego, a Taine, Jeanne i sekretarka usadowili się z tyłu.

Taine, nie czekając, aż Peugeot ruszy, zapytał:

- Co wiemy?

- Ofiara nazywa się Nelly Barjac. Dwadzieścia osiem lat.

- Czym się zajmowała?

- Była technikiem w laboratorium analiz medycznych. Została zamordowana w nocy na podziemnym parkingu. Pracowała do późna i wychodziła, kiedy już nikogo nie było w laboratorium. Morderca musiał czekać na nią na dole. Zaatakował ją, gdy wsiadała do auta.

- Zabił od razu?

- Nie. Zaciągnął ją na inny poziom, jeszcze niżej. Najwyraźniej dobrze znał to miejsce. Albo tam pracuje, albo przychodził wcześniej i dokładnie je zbadał. W każdym razie

wiedział, jak uniknąć kamer bezpieczeństwa.

- Kto znalazł ciało?

- Strażnik, wczesnym rankiem. Padał deszcz, więc robił przegląd tych części podziemia, które są podatne na zalanie. Nie od razu się zorientował, że są to zwłoki człowieka.

Po każdej odpowiedzi Taine przez krótką chwilę milczał. Jakby wkładał te informacje do odpowiednich szufladek w mózgu. Jeanne słuchała, starając się rozeznąć w okolicy. Nie bardzo jej to wychodziło. Proste ulice, tablice informacyjne, numery. Wszystko przyćmione deszczem. Wydawało się, że niebo nad nimi rozszerza się, obrzmiało niczym szara gąbka. Od czasu do czasu przecinały je gwałtowne błyskawice.

Kierowca pojechał wielką obwodnicą wokół Paryża, dojeżdżając do Seine-Saint-Denis na północy. Jediną jasną rzeczą w tej burzy był ekran GPS-u przymocowanego do tablicy rozdzielczej, pokazujący, w jakim należy jechać kierunku.

- A co to za laboratorium?

Reischenbach wyjął z kurtki notes i nałożył okulary.

- Laboratorium cytogenetyczne. Wykonują analizy zarodków. Coś w tym rodzaju.

- Moja żona miała robione takie badanie - wtrącił się kierowca. - Żeby sprawdzić, czy płód jest zdrowy.

- Amniocenteza.

Wszystkie oczy zwróciły się na Jeanne, która to powiedziała. A ona, siląc się na żartobliwy ton, kontynuowała:

- Ginekolog pobiera próbkę płynu owodniowego z macicy ciężarnej kobiety. Wyizolowuje złuszczone komórki płodu lub błony, które go otaczają. W następnej kolejności zakłada się hodowlę komórek i analizuje chromosomy, aby ustalić kariotyp powstałego płodu.

- Kariotyp, co to takiego? - zapytał Taine, patrząc przez okno, jakby odpowiedź wcale go nie interesowała.

- Mapa chromosomalna dziecka. Dwadzieścia trzy pary chromosomów, które określają, jakim będzie w przyszłości. Pozwala ona odkryć ewentualną anomalię jednej z par. Jak na przykład trisomia dwadzieścia jeden. Bardzo niewiele laboratoriów w Paryżu wykonuje takie badania. Jak się nazywa to laboratorium?

Reischenbach zajrzał znowu do notesu i odwracając się, odpowiedział:

- Laboratoria Pavois. Zna je pani?

Jeanne pokręciła przecząco głową. Omal nie dodała, że nie miała tego rodzaju problemów. Że nigdy nie była w ciąży. Że nie ma faceta. Że jej życie to pustka. Jednak się

powstrzymała. Była tu przecież w charakterze funkcjonariusza sprawiedliwości. Niezbyt dobry moment na wynurzenia.

- Pierwsza ofiara - Taine zwrócił się do policjanta - pracowała w ośrodku dla dzieci upośledzonych, tak?

- Tak. To ośrodek dla dzieci, które cierpią... - Reischenbach przekartkował swój notes - na pogłębiające się upośledzenie rozwoju. - Zdjął okulary i popatrzył na Taine'a. - Czy sądzi pan, że owodnia mogłaby mieć związek z nieprawidłowościami u tych dzieci?

- Czy coś łączy te dwa morderstwa? - zapytał Taine, nie odpowiadając na pytanie Reischenbacha. - Mam na myśli opus operandi.

- Wszystko. Parking. Napisy na ścianach. No i zwłoki. W takim samym stanie jak te pierwsze.

- A czy są jakieś podobieństwa między ofiarami?

- Za wcześniej, żeby coś powiedzieć. Nie widzieliśmy nawet twarzy drugiej ofiary.

Szum deszczu zagłuszał słowa. Jeanne ciągle oglądała mijany pejzaż. Wprawdzie obraz był zamglony przez ulewę, ale i tak było widać jego brzydotę. Zawsze, kiedy miała przed oczami labirynty fabryk, baraków, miejskich centrów handlowych, zastanawiała się, jak można było do tego doprowadzić.

Wyobrażała sobie powiązanie między zabójcą i tymi brzydkimi miastami, aglomeracjami, ulicami. Musiało znajdować się tutaj coś, co pobudzało zabójcę do brutalnego zachowania. Jak na przykład umyślne wzniesienie pożarów. „Jeden, dwa, trzy...”. Trzeba było przejść przez ten labirynt, zagłębić się w miejskim lesie i zlokalizować źródło. „Cztery, pięć, sześć...”. Zrozumieć, dlaczego zabójca działał w podziemiach, które były dla niego jak prymitywne grotty, gdzie celebrował pewien rytuał. Złożenie ofiary...

- Czy przepytano już ludzi z laboratorium, z sąsiedztwa? - zapytał Taine.

- Moi chłopcy przepytują właśnie strażników i sąsiadów. Nie spodziewam się żadnych rewelacji. To przemysłowa okolica. W nocy nie ma tu nikogo. Moim zdaniem zabójca opracował wszystko na zimno, zanim przystąpił do działania.

- O pierwszej ofierze nie ma nowych informacji? Nie otrzymałem jeszcze raportu lekarza sądowego.

- Ja też nie, ale lekarz obiecuje, że dziś powinny być gotowe analizy toksykologiczne i histopatologiczne. Zapewne nic w nich nie będzie nowego. Wiemy już, że zabójca poderznął dziewczynie gardło, wypił krew i zjadł niektóre części ciała. Autopsja nie doda niczego specjalnego.

- Kto może być podejrzany? Krewni? Koledzy? Co wykazały przesłuchania sąsiadów?

- Nic. Dziewczyna miała narzeczonego. Przesłuchano go. Niewinny. Zaglądała także do Internetu. Jak wszyscy.

- Czy wiadomo, na jakie strony wchodziła?

- Facebook. MSN. Sprawdzamy to. Zajmowaliśmy się także innym aspektem.

- Jakim?

- Kanibalizmem. Aż dziw, ile stron poświęcone jest temu tematowi. Wszystko po angielsku. Fora, zwariowane czaty, zapowiedzi o seansach ćwiartowania, wskazówki na temat budowy ciała ludzkiego. A nawet kandydaci oferujący swe ciało amatorom kanibalizmu. Kompletnie szaleństwo! Tysiące ludzi chcą dać się zjeść.

Tych dokładnie słów użył na swoim procesie Armin Meiwes, „kanibal z Roteburga”. Marzył on o tym, by zjeść drugiego człowieka, i w 2001 roku znalazł w Internecie ofertę Bernda Juergena Brandesa.

W nocy z 9 na 10 marca 2001 roku Meiwes przed kamerami odciął mu penisa, którego wspólnie zjedli. Następnie Meiwes poderżnął Brandesowi gardło, poćwiartował go i zjadł, komentując, cały czas przed kamerami, co robi w danym momencie.

- No i? - zapytał Taine.

- Nic. Moim zdaniem to był tylko bluff. Trudno trafić na ślad autorów tych idiotyzmów. W każdym razie w Internecie nie było żadnych śladów ofiary, Marion Cantelau. Nie miała nic wspólnego z tymi pomyłkami. Według mnie znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Jak to zawsze bywa.

- Sądzę raczej, że ten typ śledził ją od pewnego czasu.

- Zgoda. Ale już na samym początku miała pecha, że ich drogi gdzieś się skrzyżowały.

- Odciski palców? DNA? O ile pamiętam, były wszędzie. Jego ślina...

- I jego gówno.

- No dobra. I co z tego wynika?

- Nic. Nie był notowany, to i nie ma zarejestrowanych odcisków jego palców. Na wynik analizy DNA jest jeszcze za wcześnie. Ale to nic nie da. Nie zachowywał środków ostrożności, bo wiedział, że nie ma go w naszych kartotekach.

- Czy powiadomiono rodzinę zamordowanej dziewczyny? - zapytał spokojniejszym tonem Taine.

Reischenbach wskazał na policjanta za kierownicą peugeota.

- Leroux się tym zajmie. Widzę, że jest dziś w formie.

Leroux coś mruknął, po czym postukał palcem w ekran GPS.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział najwyraźniej niezbyt zachwycony.

10.

Laboratoria znajdowały się w odizolowanej strefie przemysłowej. Potężne bloki ze szkła i cementu, budynki z prefabrykatów, hangary ze szklanego włókna. Każdy budynek dysponował wieloma hektarami powierzchni pokrytej trawą, błotem, kałużami. Wszędzie było pusto.

Leroux zwołał przed długim dwupiętrowym budynkiem z szeregi okien. Tablica głosiła: „Laboratoria Pavois”. Wokół stały furgonetki policyjne, jakieś zwykłe samochody, karetki pogotowia. Jeanne poczuła przenikający ją dreszcz. Niebieskie światła radiowozów migwały bez przerwy, odbijając się od nabrzmiałych deszczem chmur, od przednich szyb, po których spływały wraz z wodą, tworząc na nich lśniące malowidło. Widać było przemyskające w ulewie w tę i tamtą stronę postacie w błyszczących, nieprzemakalnych kurtkach. Żółte taśmy odgradzały dojście do piekielnego kręgu.

Zatrzymali się sto metrów od budynku i wysiedli z samochodu. Powietrze było gorące, lepkie. Fale deszczu siekły ich po plecach. Asfaltowa aleja pokryta była błotem. Jeanne w pantoflach na wysokich obcasach omal nie upadła. Oparła się więc o ramię Taine'a i poszli skuleni aż do drzwi wejściowych, podczas gdy Leroux wymachiwał policyjną odznaką, żeby pozwolono mu wjechać na zagrodzony teren. Jeanne była zdezorientowana. Ulewa. Błoto. Atmosfera strefy przemysłowej. Inaczej wyobrażała sobie laboratorium amniocentezy, które, jej zdaniem, z założenia powinno być całkowicie sterylne.

Na ich spotkanie wyszedł kapitan miejscowej brygady. Zastępca prokuratora już odjechał. Z zabraniami zwłok czekano na Taine'a. Kapitan udzielił im krótkiej informacji na temat ofiary. Nic nowego w porównaniu z tym, co wcześniej przekazał Reischenbach.

- Na parking wyjeżdża się z tyłu budynku. Uprzedzam, że widok jest raczej... koszmarny.

Pokazali się policjanci. Słyszał było odgłos otwierania parasoli. Obeszli budynek wzdłuż krzewów ligustra. Ślizgali się na pokrytym błotem asfalcie. Scena ta miała w sobie coś komicznego, ale jeszcze śmieszniej wyglądała Jeanne w pantofelkach na wysokich obcasach firmy Jimmy Choo, w mokrym zakieciu i utyłanych białych dżinsach.

- Wejdziemy tędy - rzekł kapitan, pokazując betonową rampę znikającą w ciemnościach. - Żelazna krata powinna być otwarta. W przeciwnym wypadku będziemy musieli wrócić do budynku i skorzystać z windy. Trzeba mieć plakietki identyfikacyjne, znać kod. To laboratorium to prawdziwy bunkier.

Jeanne i Taine wymienili spojrzenia. Jakim więc sposobem zabójcy udało się tu wejść? Woda deszczowa wlewała się gwałtownymi strumieniami do podziemnego parkingu. W powietrzu czuć było wilgoć. Jeanne odniosła wrażenie, że wchodzi do rozgrzanej grotty, tajemniczego źródła legend związanych z miastem.

Niski sufit parkingu wspierał się na kolumnach. Żadnych samochodów oprócz jednego smarta otoczonego żółtą taśmą. Zapewne należał do ofiary. Policjanci w nieprzemakalnych kurtkach omiatali podłogę wiązkami światła latarek.

- Musimy zjechać jeszcze niżej - rzekł kapitan. - Na drugi poziom. Facet z merostwa objaśniał nam rolę tego podziemia, ale nic z tego nie zrozumiałem. W parkingu znajduje się system odpływów, założony w latach sześćdziesiątych, który drenuje wodę z całej tej przemysłowej strefy. Czy założycie maski? Tam okropnie śmierdzi.

Nie chcieli masek. Kolejna rampa. Mijali techników policyjnych w białych kombinezonach, którzy przy świetle reflektorów robili zdjęcia, zbierali wszystko, co mogło być przydatne, do zapieczętowanych torebek foliowych.

Doszli do betonowego pomieszczenia pilnowanego przez dwóch ludzi. Wyglądało to tak, jakby ściągnięto tutaj wszystkich policjantów z Ile-de-France. Pod nogami mieli stopy odpadków, papierów, gumy do żucia, naniesionych przez wodę, która wpływała tutaj przez drzwi. Odryglowano zamek. Przeszli przez kupy śmieci i znaleźli się na betonowych schodach. Jeanne w dalszym ciągu opierała się na ramieniu Taine'a. Pod sufitem zawieszono szturmową lampę. Mimo to ciemności były tak gęste, że wydawały się zmaterializowane, nie do przebycia.

- Żeby tu dotrzeć, trzeba zejść dobre piętnaście metrów w dół. Zabójca musiał ją nieść na plecach...

Wokół unosił się tu smród ścieków i odór stęchlizny. A także opary oleju i benzyny. I jeszcze jedna ostra woń: zapach pieczonej wieprzowiny.

- Co to za smród? - zapytała Jeanne.

Kapitan popatrzył na nią nieufnie. Od początku zastanawiał się, dlaczego do jednej sprawy przysłano dwóch sędziów śledczych. To stanowczo za dużo...

- Zabójca - odrzekł, zwracając się do Taine'a - upiekł kawałki ciała. Ale jest jeszcze coś innego.

- Co takiego?

- Znaleźliśmy dziwne resztki. Zdaniem techników może to być łój.

- Co nazywa pan łojem?

- Zwierzęcy tłuszcz. Podobno dobrze się pali. I długo. Zabójca oświetlał nim

pomieszczenie. Technicy wam to wyjaśnią. Proszę tędy.

Kolejne drzwi. Kilka stopni. I szok. Ślepe pomieszczenie, jakieś dwieście, trzysta metrów kwadratowych, z mansardowym sufitem. Czarne betonowe ściany przesiąknięte wilgocią. Mokra, połyskująca posadzka. Prawdziwa jaskinia nowożytnej ery. Ery betonu i benzyny. Kiedyś był wiek żelaza. Wiek brązu. A teraz mamy wiek ropy naftowej.

Reflektory techników odbijały się w kałużach. Technicy w maskach na twarzach krzatali się ze wszystkich stron. Zerkali na nowo przybyłych, nie przerywając pracy.

Jeanne pomyślała, że w takiej scenerii zabójca zaznał wreszcie spokoju i ulgi. Krew, zwłoki, kawałki ciała stanowiły cenę jego ukojenia. Morderca odzyskał wewnętrzny spokój...

- Czy możemy zobaczyć zwłoki? - zapytał Taine.

Kapitan wsunął latarkę pod pachę i nałożył lateksowe rękawiczki. Ostrożnie podniósł plandekę okrywającą ciało ofiary. Jeanne cofnęła się. Kolana się pod nią ugięły. Nie, nie może się załamać. Jest sędzią śledczą. Ma za sobą lata studiów i powołanie do tego zawodu. „Pamiętaj o urzędzie, który reprezentujesz”.

Zobaczyła przynajmniej pięć kawałków.

Tors z otwartym brzuchem odsłaniający białe kości aż do barków i miednicy. Ręce i nogi oderwane. Głowa kobiety, a raczej to, co z niej zostało, była odwrócona, twarz niewidoczna. Włosy pływały w kałuży.

Mimo przerażenia, które przeniknęło ją na wskroś, Jeanne zwróciła uwagę na pewne szczegóły. Biel skóry. Otyłość ofiary. Jej ramiona i biodra miały krągłość polerowanych kamieni. Jeanne przypomniała sobie rzeźby Jeana Arpa. Białe, łagodne kształty, bez rąk i nóg, które domagają się dotyku, pieszczoty samą tylko czystością swoich linii...

Rozejrzawszy się w ciemnościach, Jeanne dostrzegła nogi i ręce, na pół zjedzone, miejscami przypieczone. W głębi pod ścianą leżały szare, posklejane wnętrzości.

Zdała sobie sprawę z otaczającej ją ciszy. Wszyscy przeżyli ten sam wstrząs - Taine, Reischenbach, Leroux, sekretarka... Podeszła bliżej, gdy kapitan z wahaniem skierował promień światła na straszliwy obraz. Zobaczyła szyję, rozprutą od ucha do ucha.

- Czy mógłby pan oświetlić twarz?

Kapitan nie ruszył się. Jeanne wyjęła mu z rąk latarkę i skierowała strumień światła w tamtą stronę. Mięśnie i kości twarzy tworzyły jeden chaos. Krwawa masa wyglądała niczym monstrualna plama wina. Zabójca uderzył ofiarę kamieniem lub jakimś ciężkim przedmiotem. Kilka razy. Krew częściowo wypłynęła, częściowo stężała pod skórą. A to oznaczało, że kobieta żyła podczas tych tortur. Jeanne stwierdziła, że zabójca rozwalił jej czaszkę, gdyż zauważyła także grudki krwi między włosami i wypływające spomiędzy nich strzępy mózgu.

Skierowała światło na brzuch. Przecięty pionowo od mostka do miednicy. Na bokach widać było skaleczenia, zadrapania, otwory. Może nawet jakieś napisy. Jedna z piersi zniknęła. Druga zwisała. Jeanne domyśliła się, że zabójca zanurzył twarz i wgrzyzał się w mięśnie. Po każdym ugryzieniu zostały strzępy skóry na brzegu rany. Morderca odsuwał skórę i dopiero wtedy zagłębiał zęby w ciele. „Nie lubi skóry. Pożąda kontaktu z mięśniami, jeszcze ciepłymi, chce poczuć wiążące je nerwy, twardość kości...”.

Poświeciła latarką jeszcze niżej. Narządy płciowe. Przewidywała, że ten rejon był obiektem szczególnego okrucieństwa. I miała rację. Zabójca wyrwał wzdórek łonowy zębami lub rękami. Zostawił skórę po bokach, gryzł narządy, pił krew, wypluwał krwawe strzępy. Jeanne nie była patologiem, ale domyślała się, że zjadł genitalia w całości. Wargi sromowe, lechtaczkę, jajowód, macicę... Pożarł wszystko. Wchłonął w siebie te fragmenty ciała, symbole kobiecości.

Jeanne przyszło do głowy, że morderstwa mogła dokonać kobieta. Wściekła kobieta, która chciała przywłaszczyć sobie płodność ofiary. Podobnie jak Papuasi, którzy pożerają serca lub mózgi wrogów, by zawładnąć ich specyficznymi cechami. Na myśl przyszły jej słowa, które są wciąż powtarzane w kościele w czasie pierwszej komunii: „Kto spożywa moje ciało i pije moją krew, we mnie mieszka i ja w nim”.

Jeanne zobaczyła w kałuży swoją bladą twarz. Boże, zaraz zemdleję... Żeby odzyskać równowagę, oddała latarkę kapitanowi i zwróciła się do Taine'a:

- Czy pierwsza ofiara była w takim samym stanie?

Taine nie odpowiedział.

- Widziałeś zwłoki czy nie?

- Tylko na zdjęciach. Kiedy tam przyjechałem, już je zabrano.

- Ale podobnie wyglądały?

Taine zdołał tylko kiwnąć głową. Zbliżał się do nich krępy mężczyzna w niebieskim polo firmy Ralph Lauren, który mruczał coś do dyktafonu. Około sześćdziesiątki, matowa cera, siwe włosy z przedziałkiem pośrodku. Orli nos. Małe jasnoniebieskie oczy. Miał żywe, wesołe spojrzenie, ale jednocześnie było w nim coś agresywnego. Te jasne oczy nie pasowały do jego opalanej twarzy.

- Langleber - szepnął Taine. - Lekarz sądowy. Jestem pewien, że zaraz zaserwuje nam coś ze swoich intelektualnych idiotyzmów.

Taine dokonał prezentacji. Uścisnęli sobie dłonie.

- Myślę, że wiem, jak on działał - rzekł lekarz, chowając dyktafon do kieszeni dzinsów.

- Słuchamy.

Langleber podniósł głowę, pokazując na oprawy lamp neonowych pod sufitem.

- Zawiesił dziewczynę głową do dołu. Zmiażdżył jej twarz i poderżnął gardło. Tak jak zabija się świnie na farmach. Użył ostrego noża. Brzegi ran są równe. Ciął z lewa na prawo. Nasz sprawca jest praworęki. I mogę was zapewnić, że ręka mu nie zadrżała. Stwierdziłem cięcia przez tchawicę i przełyk aż do kręgow.

Kiedy Jeanne była mała, spędziła dwa miesiące letnich wakacji w Perche. Wiele razy widziała takie barbarzyńskie egzekucje. Prawdziwa ceremonia. Ale wtedy zabijano świnie...

- Nie ma tu dużo krwi - zauważyła.

Lekarz sądowy spojrział na nią z uznaniem.

- Racja. Przypuszczam, że ją zebrał do jakiegoś naczynia.

- I co z nią zrobił? - zapytał Taine.

Langleber powiódł po nich wzrokiem. Dwóch sędziów śledczych do jednej sprawy. Wydało mu się to dziwne.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, pewnie ją natychmiast wypił. Jeszcze ciepłą.

- Jesteś pewien co do przebiegu wydarzeń?

- Tak, jeśli chodzi o technikę. Ofiara ma ślady więzów na kostkach u nóg. W świetle neonówek zauważycie ślady napiętego sznura. Pierwsza ofiara miała kostki u nóg złamane. Moim zdaniem ta sama metoda. Wszystko napisałem w raporcie.

- Skoro już mówimy o tym - wtrącił się Reischenbach - nie dostaliśmy jeszcze pierwszego raportu.

- Będzie. Nie pali się.

- Nie wiem, na co jeszcze czekasz.

- Czy ta kobieta żyła, kiedy ją wieszał? - zapytała Jeanne.

- Oczywiście. Żeby krew trysnęła, musi pracować serce.

Taine pokiwał głową w milczeniu. Na jego twarzy widać było wahanie. Wiedział, że trzeba doprowadzić dochodzenie do końca, ale jednocześnie chciałby jak najszybciej opuścić to miejsce. Schować głowę pod poduszkę i o wszystkim zapomnieć.

- Następnie - mówił dalej niewzruszony Langleber - otworzył jej brzuch. Chwytał w dłonie wnętrzności i wyciągnął je na zewnątrz. Kolejne danie...

- Zrozumieliśmy.

- Jak otworzył brzuch? - zapytała Jeanne. - Jakim narzędziem?

- Czymś zwykłym. Czekam na wyniki odnoszące się do pierwszej ofiary. Moim zdaniem powinny tam być jakieś cząsteczki. Metalu lub kamienia. Wszystko to przypomina

epokę jaskiniową.

- Co zrobił potem?

- Ściągnął ciało na dół. Rozwiązał sznurki. Przystąpił do deseru. Widzieliście okolice wzgórzka łonowego? Myślę, że w pierwszej kolejności zjadł tę część ciała.

- Dlaczego w pierwszej kolejności? - zapytał Taine.

- Mam takie przeczucie. W każdym razie zjadł tę część od razu, na surowo. Podczas gdy inne upiekł na ogniu. Jest jakaś wyjątkowa więź między nim i kobiecą macicą.

Jeanne znowu pomyślała o swojej hipotezie. Czy zabójcą mogła być kobieta?

- Następnie oderwał ręce i nogi. Przy okazji muszę stwierdzić, że wasz klient jest niezwykle silny. Sądzę, że połamał kości w stawach i tak długo obracał rękami i nogami, aż je oderwał.

Nie, to nie kobieta...

- Wreszcie rozpałił ogień i upiekł wybrane kawałki. Rąk, nóg, narządów wewnętrznych. Nie miałem czasu, żeby dokładnie to sprawdzić, ale przy pierwszej ofierze uraczył się wątroba, nerkami i sercem. Najważniejsze było serce.

Taine przeciągnął dłonią po twarzy. Wciąż trzymał swoją teczkę. Sekretarka stała nieruchomo u jego boku. Niczym słup soli. Zniknął gdzieś autorytet, jaki mieli reprezentować ci przedstawiciele władzy sądowniczej.

- Czy to pewne, że sprawca jest ludożercą? - zapytał Taine. - Czy nie mógł zabrać tych kawałków w innym celu?

- Nie. Przy pierwszym morderstwie zrobiłem analizę resztek jedzenia. Jedne kości miały ślady ćwiartowania. Inne były tak potrzaskane, iż można było wydobyć z nich szpik. W taki właśnie sposób postępowali nasi prehistoryczni przodkowie. Na czubku czaszki widnieje dziura. Morderca rozłupał czaszkę, by wyssać z niej mózg. Nie jestem specjalistą, ale wydaje mi się, że to także technika ludzi z Cro-Magnon.

Jeanne znowu się odezwała, bo jedynym sposobem, żeby nie zemdleć, było zadawanie pytań.

- A łój?

- Tłuszczem rozpałił ogień.

- Wspomniano nam o tłuszczu zwierzęcym. O jakie zwierzę chodzi?

- Kto wam to powiedział?

- Tak mi powiedzieli technicy z laboratorium policyjnego - odparł kapitan z brygady terytorialnej.

- Pomylili się. Z analizy miejsca zabójstwa pierwszej ofiary wynika, że to tłuszcz

ludzki. Morderca odciął jego kawałki z pachwiny lub brzucha i użył go do oświetlenia pomieszczenia.

- Skoro już wcześniej rozpałił ogień do pieczenia - wtrąciła się Jeanne - po co było mu to potrzebne?

- Żeby wykonać napisy.

Langleber chwycił reflektor i skierował promień na jedną ze ścian. Pokrywały ją hieroglify. Pionowe kreski, które splatały się w każdej linijce w skomplikowany rysunek. Jakby szeregi drzew, których gałęzie tworzyły za każdym razem inny deseń. Można było również zauważyć stylizowane sylwetki ludzi. A może były to znaki prymitywnego alfabetu?

Jeanne zwróciła uwagę na jeszcze jedno podobieństwo związane z działalnością laboratorium Pavois. Te poskręcane kreski mogły przedstawiać pary chromosomów, jakie ukazują się w kariotypach.

- W Instytucie Medycyny Sądowej powiedzą wam o tym coś więcej - mówił dalej Langleber. - Z tego, co wiem, zostały namalowane jakąś przedziwną mieszanką. Krew, ślina, ekskrementy. I ochra. Wszystko naturalne.

Ochra. Taine mówił o niej, gdy byli w restauracji. Jeanne poprosiła Langlebera, aby podał jakieś szczegóły dotyczące tej substancji. Lekarz rozłożył ręce.

- Nie wiemy jeszcze, co to wszystko ma znaczyć. To farmakon według Rene Girarda.

- Nie zaczynaj znowu z tymi swoimi idiotyzmami - rzekł ze złością Taine.

Langleber uśmiechnął się. W jego szerokiej twarzy z jasnymi oczami widać było szczególne napięcie.

- „Akt ofiarny polega na tym, że wierni nie wiedzą i nie powinni wiedzieć, jaką rolę odgrywa w tym przemoc...”.

Taine już otworzył usta, żeby powiedzieć coś złośliwego, ale Jeanne położyła mu dłoń na ramieniu. Langleber zbierał się do odejścia. Z rękami w kieszeniach, w koszulce polo, w wyblakłych dzinsach i mokasynach wyglądał tak, jakby za chwilę miał wejść na swój jacht.

- Cześć, kochani. Dostaniecie dzisiaj mój raport dotyczący pierwszej ofiary. Postaram się też jak najszybciej skończyć ten drugi.

Skłonił się i skierował do schodów.

- Co za kretyn... - warknął ze złością Taine.

- Rene Girard to antropolog. Jest autorem bardzo znanego dzieła La Violence et le Sacre - wyjaśniła Jeanne.

- Naprawdę? - zaśmiał się Taine, po czym wskazując na ciało, powiedział głośniej: -

Możecie to już stąd zabrać!

Policjanci zakrzętnęli się wokół zwłok, a Jeanne mówiła dalej:

- Książka ta wyjaśnia, w jaki sposób pierwotne społeczeństwa regulowały przemoc poprzez składanie ofiar. Był to taki zawór bezpieczeństwa, dzięki któremu zmniejszała się agresja, napięcie przechodziło w uczucie ulgi. Przelana krew uspokajała umysły.

- A ta pharma... czy jak jej tam?

- Przemoc i świętość.

Zwłoki wkładano do plastikowego worka.

- Pharmakon w języku greckim oznacza substancję, która jest jednocześnie trucizną i lekiem. Według Girarda przemoc u starożytnych ludów odgrywała taką właśnie rolę. Leczyć przemoc przez przemoc... Kto wie? Może ten morderca pragnie uratować nasze społeczeństwo od chaosu.

- Bzdury. Jakiś wariat zachowuje się jak kanibal, a my nadal nic o nim nie wiemy.

- Cześć. Mogę wam coś pokazać?

Pojawił się mężczyzna w białym kombinezonie. Zdjął kaptur. Był to Ali Messaoud, szef techników. Przywitali się, podając sobie dłonie. Wszyscy się ze sobą znali.

Messaoud zaprowadził ich do miejsca zaznaczonego taśmą samoprzylepną. Przed chwilą leżało tu ciało.

- Spójrzcie na to.

Wokół sylwetki widać było czarne ślady. Jeanne zauważyła je wcześniej, myśląc, że to jakieś dziwaczne w kształcie plamy krwi.

- Odciski stóp - powiedział Messaoud. - Dokładniej mówiąc, bosych stóp. Wydaje mi się, że ten stuknięty facet tańczył nago wokół swojej ofiary.

Taine już przedtem zwrócił uwagę na ten szczegół. Jeanne wyobraziła sobie nagiego mężczyznę, pochylonego nad ofiarą na moment przed jej zjedzeniem. Drapieżnik.

- Poza odciskami stóp są tutaj także odciski dłoni. Zabójca chodził na czworakach. Coś nieprawdopodobnego.

- Robią wrażenie niewielkich - zauważyła Jeanne. - Czy mogłyby należeć do kobiety?

- Nie. Nie przypuszczam. Analiza DNA to wyjaśni. Palce miał zagięte. Opierał się o podłogę zaciśniętymi pięściami. Jeśli porównać układ dłoni i stóp, widać, że poruszał się, kierując dłonie do wewnątrz.

- Może ma jakiś defekt fizyczny? - zapytał Taine.

- Możliwe. Albo raczej naśladuje małpy.

- Czy na podstawie odcisków stóp i dłoni - dopytywała się Jeanne - można określić

jego tuszę?

- Mniej więcej. Nosi buty numer czterdzieści trzy, ale dłonie ma małe. Sądząc z jego wyczynów, jest raczej silny. Jednak głębokość odcisków świadczy o lekkiej wadze.

Taine wskazał dziwne inskrypcje na ścianie.

- A to dałeś do analizy?

- Kilku specjalistom - odrzekł Messaoud. - Zajmą się nimi antropolog, archeolog, kryptolog. Na razie czekamy.

Kapitan brygady terytorialnej podszedł do nich i stukając w swój zegarek, zapytał ponownie Taine'a:

- Czy możemy już wracać, panie sędzio? Dyrektor laboratorium czeka na nas w swoim biurze.

11.

- W czym mogę państwu pomóc?

Jeanne i Taine spojrzeli po sobie. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, pytanie to wydało im się raczej nieestosowne. Bernard Pavois był olbrzymem przypominającym marmurową bryłę. Siedział za biurkiem, ale musiał mieć z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważyć ze sto dwadzieścia kilogramów. Szerokimi barami zasłaniał oszklone drzwi balkonowe. Był po pięćdziesiątce, miał kwadratową twarz, siwe, kręcone włosy, okulary w szylkretowej oprawie. Rysy twarzy łagodne, ale złotawe oczy za szklami okularów przywodziły na myśl kostki lodu na dnie szklanki whisky. Twardy facet.

- Słucham. Jakie mają państwo do mnie pytania?

Sędziowie śledczy, policjant i sekretarka usiedli przed masywnym biurkiem.

Taine, zakładając nogę na nogę, odparł tym samym tonem:

- Proszę nam opowiedzieć o ofierze.

Pavois wygłosił stereotypową pochwałę: „Doskonała pracownica. Urocza kobieta. Nie miała wrogów”.

I tym podobne. Trudno było odgadnąć, czy wierzył choć w jedno słowo z tego, co powiedział. Jeanne słuchała go niezbyt uważnie. Starła się wrócić do równowagi, olśniona tym, co zobaczyła w samej siedzibie laboratorium.

Po opuszczeniu ciemnego parkingu przeszli przez sale o nieskalanej bieli, sterylne pomieszczenia, pokoje z klimatyzacją, gabinety przedzielone szklanymi przegrodami. Po

drodze mijali dziesiątki techników w białych kitlach. Prawdziwy przemysłowy rój. „Dwadzieścia tysięcy wykonanych rocznie amniocentez” - poinformowała zastępczyni dyrektora, która ich prowadziła.

Ale najbardziej zainteresowała Jeanne specjalność tego laboratorium. W buteleczkach, w centryfugach, sterylnych pojemnikach, wszędzie był amniotyczny płyn. Woda płodności. Narodzin. Niewinności... Po tym, co widzieli w podziemiu, było to jak przejście bezpośrednio z piekła do raju. Od śmierci do życia.

- Dwóch sędziów śledczych do jednej sprawy - zauważył Pavois - to chyba nie jest rzeczą normalną? Czy to nowe rozporządzenie Sarkozy'ego?

- Jeanne Korowa jest tutaj w charakterze konsultanta - odrzekł ze spokojem Taine.

- Konsultantka od czego?

Jeanne odezwała się, ignorując to pytanie:

- Czym się tutaj zajmowała Nelly Barjac? Była laborantką?

Pavois uniósł brwi. Miał podwójny podbródek, niczym worek u pelikana, co nadawało mu jeszcze bardziej napuszony wygląd.

- Nie. Była doskonałym cytogenetykiem. Niezwykle uzdolnioną osobą.

- Ustalała kariotypy?

- Nie tylko. Wieczorami pracowała także nad programem genetyki molekularnej.

- Jaka jest między nimi różnica?

- Cytogenetycy pracują nad komórkami. Genetycy molekularni badają bardziej mikroskopijną drabinę DNA.

Widząc miny swoich rozmówców, dyrektor westchnął i udzielił im kilku wyjaśnień:

- W każdej komórce znajdują się chromosomy. Są to włókienka o wyglądzie spirali, złożone z genów. Genetyka molekularna zajmuje się tymi sekwensami, nieskończenie mniejszym światem.

- Posiadacie sprzęt do tego typu badań?

- Jest na drugim piętrze, ale to nie nasza specjalność. Nasza codzienna praca to kariotypy. Wykrywanie anomalii wśród par chromosomów.

- Powiedział pan o programie - dociekała dalej Jeanne. - Nad czym dokładnie pracowała Nelly Barjac? Chodzi mi o ostatni wieczór.

- Kończyła pracę doktorską na temat genetycznej dziedziczności u ludów Ameryki Łacińskiej. Otrzymywała próbki krwi niemal z całego świata. Klasyfikowała je. Porównywała. Nie znam szczegółów. Była bardzo skryta w tej sprawie. Pozwoliliśmy jej, co jest dowodem naszej tolerancji, używać naszego sprzętu do jej osobistych badań.

Pavois pochylił się nad biurkiem. Wyglądał jak Budda kołyszący się na swoim postumencie.

- Jaki jest powód tych pytań? Czy ma to związek z tym, co się tu wydarzyło?

- Nie wykluczamy, że istnieje powiązanie między tymi badaniami i motywem zabójstwa - oznajmił Taine.

- To żart?

Taine, chyba tylko po to, aby nakłonić dyrektora do współpracy, odpowiedział:

- Mamy już drugie zabójstwo tego typu. Zamordowana została pielęgniarka pracująca w ośrodku dla dzieci upośledzonych. Może istnieje jakiś związek między dziećmi leczonymi w tamtym ośrodku a działalnością pańskiego laboratorium.

- Jakiego typu jest to kalectwo? Na co chorują te dzieci? Taine zerknął na Reischenbacha, zakłopotany tym pytaniem.

- Nic na ten temat nie wiemy - przyznał. - Przynajmniej na razie. Proszę nam raczej powiedzieć, jakiego rodzaju wady odkrywacie dzięki kariotypom?

- Głównie jest to trisomia dwadzieścia jeden. Nazywamy ją tak, ponieważ ta zmiana zawiera parę chromosomów z numerem dwadzieścia jeden. Rozpoznajemy w ten sposób inne nieprawidłowości, jak na przykład trisomia trzynastą, która powoduje opóźnienie psychomotoryczne i zniekształcenia fizyczne. Ma to poważne konsekwencje w rozwoju dziecka.

- Chyba jednak takie nieprawidłowości występują rzadko?

- To zależy, co pan rozumie pod słowem „rzadko”. Z naszej perspektywy pojawiają się codziennie. Lub prawie codziennie.

- Czy mogą prowadzić do jakiejś specyficznej formy szaleństwa?

- Nie rozumiem pytania.

- Mówił pan o trisomii. Czy analiza danego kariotypu może wykryć choroby, takie jak na przykład schizofrenia?

- Nie. Gdyby przypuścić, że tego rodzaju patologie są pochodzenia genetycznego, należałoby rozpoznać ich specyficzny gen i pracować nad DNA. Nie jesteśmy specjalistami w tej dziedzinie. O co panu chodzi? Pewnie sądzi pan, że zabójca mógł być umyślowo chory i że jego nieprawidłowość genetyczna dawno już została tutaj odkryta?

- Jest jeszcze inna możliwość: jego rodzice. Mogliby mieć do was o to pretensje.

- O co?

- O nieprawidłowy wynik. O to, że urodziło im się dziecko z wadą.

- To absurd - uciął Pavois.

- Gdyby pan wiedział, z jakimi motywami mamy do czynienia w naszym zawodzie.

- Powtarzam, to naprawdę absurd. Nawet przyjmując, że kariotyp wykazuje jakąś nieprawidłowość, nie ma żadnych podstaw, żeby obciążać nas odpowiedzialnością. Zwłaszcza że takie badania są wykonywane właśnie w tym celu, żeby zapobiec narodzinom dziecka z wadami. Amniocenteza jest stosowana zawsze wtedy, gdy trzeba rozważyć możliwość przerwania ciąży.

- A gdybyście popełnili błąd? Gdybyście nie odkryli wady i dziecko urodziłoby się nienormalne?

Pavois wydawał się nieco zmieszany, ale mimo to cały czas z lekka się uśmiechał.

- To niemożliwe - odrzekł. - Nasza metoda jest sprawdzona w stu procentach.

- Nigdy nie zdarzyła się zamiana buteleczek? Błąd w programie informatycznym?

- Nie macie państwo pojęcia, w jakich pracujemy warunkach. Przestrzegamy surowo zasad bezpieczeństwa. Nieustannie jesteśmy kontrolowani przez ekspertów przysyłanych przez rząd. Nie słyszałem nigdy o żadnych problemach w związku z naszą pracą. Ani tutaj, ani nigdzie na świecie.

Bernard Pavois mówił z całkowitym spokojem. Wydawało się, że nic i nikt nie byłby w stanie wytrącić go z równowagi. Ten człowiek był naprawdę jak lodowy głaz.

Taine musiał zwrócić uwagę na to samo, co Jeanne.

- Nie wydaje się pan zbyt poruszony śmiercią Nelly Barjac. Ani zaskoczony nieprawdopodobnymi okolicznościami, w jakich zginęła.

- Uważam, że trzeba przyjmować świat takim, jaki jest. Skoro czytam codziennie w gazetach o narastającym zjawisku przemocy w naszym społeczeństwie, nie mogę być zaskoczony, kiedy puka ona do moich drzwi.

- A gdzie pańskie współczucie? - W głosie Taine'a słychać było pewne rozdrażnienie.

- Nie jest pan wstrząśnięty sposobem, w jaki zamordowano Nelly, tak młodą osobę? Torturami i mękami, które jej zadano?

- Nelly zniknęła w swej doczesnej postaci, ale jej dusza kontynuuje wędrówkę we wszechświecie.

- Pan wierzy w reinkarnację? - zapytała zdumiona Jeanne.

- Jestem buddystą. Wierzę w łańcuch ciał i jedność dusz. A co do moich uczuć, to nie będę ukrywał. Nelly była moją kochanką. Mieliśmy od roku romans. I to, co teraz czuję, jest moją prywatną sprawą. I proszę nie czuć się urażonymi moimi słowami.

Zapadła cisza. Jeanne, Taine, Reischenbach i sekretarka znieruchomieli na krzesłach. Taki świadek nie zdarzał się często.

- A gdybyście chcieli wiedzieć, czy mam alibi - podjął dyrektor tym samym wyniosłym tonem - to go nie mam. Czekałem na Nelly u siebie w domu. Sam. Uprzedziła mnie, że będzie pracować do późna.

- Czy była z kimś umówiona?

- Nic mi nie mówiła.

- Nie niepokoił się pan jej nieobecnością?

- Czasami zdarzało się, że pracowała do świtu. Badania były dla niej rzeczą najważniejszą. Między innymi dlatego tak ją kochałem i podziwiałem.

Jeanne przyglądała mu się przez kilka sekund. Teraz już zrozumiała, jakim człowiekiem był naprawdę. Jego zewnętrzny spokój świadczył o niezwyklej sile ducha. Śmierć Nelly nie była mu obojętna. Przeciwnie. Pamięć o niej wyryła się w jego wnętrzu. Epitafium w marmurze. Zwrócone do wnętrza. Taine zerwał się z krzesła.

- Dziękuję, panie doktorze. Za kilka dni poproszę pana do mojego biura w TGI w Nanterre.

- Chce pan jeszcze raz mnie przesłuchać?

- Nie. Podpisze pan zeznanie. Tymczasem obecny tu kapitan Reischenbach sprawdzi pewne szczegóły.

- Na przykład, że nie mam alibi?

- No właśnie.

- Chciałabym zadać panu ostatnie pytanie - powiedziała Jeanne, także wstając.

Sekretarka spojrzała na Taine'a z wahaniem, czy ma nadal notować. Zdążyła już wstać i schowała notes do teczki. Taine dał jej znak, żeby nie robiła już notatek.

- Czy bada się kariotypy w innych okolicznościach? Na przykład u dorosłych?

- Tak, przy badaniu krwi - odparł Pavois, nie ruszając się z miejsca. - Kiedy szukamy przyczyn bezpłodności.

- Bezpłodność można odkryć w kariotypie?

- Tak. Niektóre układy chromosomów świadczą o zdolności rozrodczej. Możemy również szukać potwierdzeń genetycznych w związku z kłopotami dzieci w nauce. Sprawdzamy wówczas kariotyp i niekiedy określamy rodzaj patologii u danego dziecka.

Jeanne wróciła do swego pierwszego pomysłu. Bezpłodna kobieta, której kariotyp został wykonany w laboratorium Pavois. Niezrównoważona psychicznie kobieta, która pragnęła się zemścić, a zjadając Nelly Barjac, zabrała jednocześnie jej płodność... Jak jednak wyjaśnić zabójstwo drugiej ofiary, pielęgniarki? No i niezwyklej siłą mordercy?

Kiedy Pavois wstał, potwierdziło się to, co można było przypuszczać: miał ponad metr

dziewięćdziesiąt wzrostu i był potężny jak tur. Ubrany był w powyciągany, jaskrawozielony T-shirt z napisem „No logo” i w beżowe płócienne spodnie. Jego tors zdeformowanego atlety przypominał ogromną gruszkę.

- Nie jestem ekspertem - rzekł kpiącym tonem - ale wydaje mi się, że to bestialstwo jest dziełem seryjnego zabójcy. Przez cały rok pokazują takie rzeczy w telewizji. Dlaczego to nie miałyby się wydarzyć w rzeczywistości?

Nikt nie odpowiedział. Trudno było ukryć prawdę, że poruszali się po omacku. A ten drwiący olbrzym działał im na nerwy. Otworzył drzwi, wciąż się uśmiechając.

Wyszli w milczeniu. Pavois pożegnał ich gestem i usiadł za biurkiem.

W windzie Francois Taine odezwał się do Jeanne:

- Dziwny facet. Co o nim myślisz?

- Sprawdź, czy nie ukradziono płynu amniotycznego.

- Gdzie?

- W laboratorium.

- Kto miałby go ukraść?

- Morderca.

- W jakim celu?

Jeanne nie odpowiedziała na to pytanie.

- Przeczesz dzielnicę. Skontaktuj się z BAC. Zabójca wymknął się stąd o świcie. Nie wyjechał na latającym spodku. Może gdzieś go kontrolowano.

- Byłby to prawdziwy cud.

- Zdarzają się i takie cuda.

Drzwi windy otworzyły się. Taine wyszedł tyłem. Otrząsnął się już po szoku doznanym w podziemiu.

- Dobra, sprawdzę, co trzeba - rzekł - a kiedy otrzymam raporty z autopsji, zadzwonię do ciebie. Moglibyśmy zjeść razem lunch, co ty na to?

Jeanne skrzywiła się. Potwierdzały się jej podejrzenia. Francois Taine liczył na to, że wykorzysta te ludożercze zbrodnie, żeby ją uwieść.

Czy było z nią aż tak źle, że można ją przywabić za pośrednictwem trupa?

12.

Godzina dwudziesta trzydzieści.

Jeanne wróciła do TGI, ale odwołała umówione spotkania. Nie czuła się na siłach. Załatwiła tylko bieżące sprawy i podpisała wezwanie do sądu na nazwisko Michela Dunanta, drania przeżywającego okres godowy, który zatrzał łoświem całą kamienicę. Przejrzała pobieżnie inne akta. Nie miała jednak ochoty zagłębiać się w sprawę Timoru Wschodniego. Zrobi to jutro. Przettrzymała tak, udając, że pracuje, do godziny, kiedy miała wizytę u swojego psychiatry. Tylko seans u terapeuty mógł ją naprawdę postawić na nogi...

Teraz była już u siebie. Robił się wieczór, a wciąż ciężkie od chmur niebo groziło deszczem w nocy. Stała bez ruchu w kuchni, w mokrym żakiecie, wpatrzona w chińskie jedzenie, które kupiła z nawyku, choć nie miała wcale apetytu.

Znowu ujrzała martwą kobietę. Torturowaną. Pociętą. Częściowo zjedzoną. Jej przezroczyte oczy w zmiażdżonej twarzy. Jej ręce i nogi nie na swoim miejscu. Jej wnętrzości. I oczywiście te znaki na ścianach, których czerń przywodziła na myśl olej samochodowy. Przypomniała sobie także zbyt białe, zbyt aseptyczne sale laboratorium. Nieruchomą twarz Bernarda Pavois za okularami marki Elvis Costello. „Nelly zniknęła w swej doczesnej postaci, ale jej dusza kontynuuje wędrówkę we wszechświecie”.

Nagle poczuła ostry ból w brzuchu, któremu towarzyszył gwałtowny skurcz. Nachyliła się nad zlewem, żeby wymiotować. Nie udało się. Odkręciła kran i podsunęła twarz pod strumień zimnej wody. Wyprostowała się. Chwyciła kosz na śmieci i wrzuciła do niego chińszczyznę. Doznała dziwnego wrażenia, że ukończyła posiłek. Kosz na śmieci czy żołądek - niewielka różnica.

Poszła do sypialni, żeby się przebrać. Zajmowała trzypokojowe niczym się niewyróżniające mieszkanie przy ulicy Vieux-Colombier. Białe ściany. Ciemny parkiet. Wyposażona we wszystko, co trzeba, kuchnia. Jedno z takich odnowionych mieszkań, w których stolica lokuje tysiące samotnych ludzi.

Weszła z ulgą pod prysznic. Gorąca woda zmywała z niej deszcz i pot. Otoczona parą, w szumie wody, miała uczucie, że się dematerializuje. Cały czas balansowała na skraju przepaści... A jeśli dopadła ją depresja? Po omacku znalazła butelkę z szamponem. Ta zwykła czynność uspokoiła ją. Czuła się tak, jakby myła nie tylko włosy, ale i swój umysł.

Wyszła z kabiny już znacznie spokojniejsza. Wytarła się. Rozczesała włosy. Spojrzała w lustro i przez sekundę nie mogła uwierzyć, że ta zacięta, twarda twarz należy do niej. W ciągu jednego dnia przybyło jej dziesięć lat. Wyrziste rysy. Za bardzo wystające kości policzkowe. Zmarszczki i sińce pod oczami. Po raz pierwszy ucieszyła się, że Thomas nie dzwonił. Że nikt do niej nie dzwonił. Każdego wystraszyłaby swoim wyglądem.

Wróciła do salonu. Po ulewach popołudnia w mieszkaniu panowała wilgoć. Nocne

powietrze parowało. Na niskim stoliku leżała szara koperta z jej nazwiskiem. Dwie płyty z tego wieczoru. Zapieczętowane oryginały i kopie z dzisiejszych nagrań u Antoine'a Ferauda.

Oto kto mógł zmienić tok jej myśli.

Wkrótce cały ceremoniał był przygotowany. Kawa i szklanka gazowanej wody (zwyczaj, który przywiozła z Argentyny). Półmrok. Laptop. Słuchawki. Usadowiła się niczym kot między poduszkami. Włożyła płytę do szufladki komputera.

- Zawsze mam ten sam sen - powiedziała kobieta.

- Jaki sen?

- Przybywa złoty anioł, aby uratować mnie od śmierci.

- Od jakiej śmierci?

- Wyskakuję przez okno.

- Samobójstwo?

- Tak, samobójstwo.

- Czy w rzeczywistości próbowała pani popełnić ten ostateczny akt?

- Przecież pan wie. Trzy lata depresji. Dwa miesiące w szpitalu. Rok porażenia twarzy. W tym sensie tak, już próbowałam, jak to pan określił.

- Próbowała pani wyskoczyć przez okno?

- Nie.

Psychiatra milczał. Zachęcał ją do namysłu.

- Tak - przyznała wreszcie kobieta.

- Kiedy to było?

- Nie wiem dokładnie. To był najgorszy okres w moim życiu.

- Czy pamięta pani okoliczności? Gdzie pani mieszkała?

- Bulwar Henri-IV, w czwartej dzielnicy.

- W pobliżu placu Bastylii?

- Tak...

Antoine Feraud nie zadawał już więcej pytań. Wszystko odbywało się tak, jakby dysponował wykrywaczem kłamstw, dzięki któremu odnajdywał w potoku słów jakieś drżenie, istotny szczegół otwierający przed nim umysł pacjentki.

- Przypominam sobie - szepnęła kobieta. - Otwieram okno. Widzę niebo... Widzę ducha... ducha Bastylii... Migocze na tle ciemnego nieba. W mojej głowie wszystko się wywraca. Próżnia już mnie nie przyciąga. Przenika mnie energia anioła. Jego siła. Podtrzymuje mnie od wewnątrz. Popycha ku życiu. - Kobieta wybuchnęła szlochem. - Jestem uratowana... uratowana...

Gabinet doktora Ferauda atmosferą przywodził na myśl bajki z Tysiąca i jednej nocy. Opowieści. Losy różnych ludzi. Jeanne porównywała zachowanie psychiatry do swojego, gdy przesłuchiwała podejrzanych. Jednak cel tych rozmów był odmienny. Jeanne wypytywała swoich „klientów” po to, aby ich wtrącić do więzienia, a Feraud zadawał pytania, które miały im przynieść uwolnienie. Jednak w jednym i drugim wypadku chodziło o ujawnienie ukrytych czynów...

Jeanne wsłuchiwała się w głos Ferauda. Zawierał w sobie słodycz, ukojenie, chłód i ciepło zarazem. Słuchając go, w wyobraźni widziała zamykające się płatki kwiatu...

Puściła płytę do przodu. Zatrzymała. Egzaltowany głos, przyspieszony sposób mówienia. Mówił mężczyzna. Przerywał. Znowu się odzywał. Słowa przywoływały inne słowa. Związki słów. Aliteracje. Przeciwności.

Pacjent opisywał sen i jego okoliczności. Przed położeniem się do łóżka wziął do ręki poważne pismo „Reguła Gry” i przyśnił mu się Jean Renoir, reżyser filmu pod tym samym tytułem. We śnie ten film został zastąpiony innym filmem Renoira, Bestia ludzka, w którym Jean Gabin prowadzi lokomotywę parową. Wstrząsające, niezapomniane czarno-białe zdjęcia, pociąg pędzący z ogromną szybkością i pełna trwogi twarz Gabina. Wizja ta łączyła się z ostatnią sceną sztuki Czechowa - pacjent nie pamiętał jakiej - w której rozmówcy wymieniali ostatnie kwestie na tle gwizdu pociągu rozbrzmiewającego gdzieś z głębi sceny. Sen ten zostawiał na cały dzień mętne, niezatarte wrażenie.

Teraz przypomniał sobie o innym szczególe. Gdy studiował na wydziale literatury, napisał na zaliczenie ćwiczeń teatralnych komentarz do ostatniej sceny ze sztuki Czechowa. W końcowym wniosku wspomniał, że w psychoanalizie pociąg we śnie symbolizuje śmierć. Teraz z kolei przypomniał sobie jeszcze jeden fakt. Po napisaniu tego komentarza popadł w depresję. Przez dwa lata nie chodził na zajęcia na uczelni. Jakby tych kilka linijek o rosyjskiej sztuce, o przejeździe pociągu na tle dekoracji spowodowało w nim załamanie, śmierć jego umysłu.

Dziś, dzięki temu snowi, dzięki kanapie, uzmysłowił sobie inną okoliczność. Wydarzenie, którego nigdy z tym nie łączył. W tym czasie matka, która wychowywała go samotnie, wyszła powtórnie za mąż. Na wiosnę przeprowadziła się do swego nowego towarzysza, zostawiając go samego w ich dawnym mieszkaniu. Tak więc pociąg-śmierć ze sztuki Czechowa miał odniesienie do rzeczywistości. Pociąg zabrał matkę daleko od niego i zabił go w głębi jego świadomości...

Jeanne słuchała z oczami otwartymi w półmroku. Była zafascynowana. Straciła poczucie czasu i przestrzeni. Ze słuchawkami na uszach płynęła w ciemnościach, w osmozie z

głosami, które ją przenikały, porywały, cały czas prowadzona łagodnym, spokojnym głosem Ferauda.

Nagle ocknęła się. Spojrzała na zegarek. Druga nad ranem. Powinna się przespać, żeby jutro być w formie. Już straciła jeden dzień w biurze...

Wysłuchiwała pobieżnie pacjentów z popołudnia i zatrzymała płytę na godzinie osiemnastej.

- Nie położy się pan?

- Nie.

- Proszę więc usiąść tutaj.

- Nie. Wie pan dobrze, że nie przyszedłem tutaj w mojej sprawie.

Nowo przybyły mówił w sposób autorytatywny. Miał oschły, niski głos, w którym słyszało się hiszpański akcent.

- Czy zdarzyło się coś nowego? - Tembr głosu Ferauda stał się napięty, nerwowy.

- Coś nowego? Jego ataki są coraz gwałtowniejsze.

- Co wówczas robi?

- Nie wiem. Znika, ale jest niebezpieczny. Z całą pewnością.

- Powinienem go zobaczyć.

- To niemożliwe.

- Nie mogę postawić diagnozy na odległość. Leczyć go za pańskim pośrednictwem.

- I tak niczego by pan nie zobaczył. Niczego nie wyczuł.

- Proszę mnie zostawić ocenę.

Feraud powiedział to z niezwykłym jak na niego zdecydowaniem. Stał się wręcz agresywny. Ale Hiszpan dalej się upierał.

- Zło jest w nim, rozumie pan? Ukryte. Niewidoczne.

- Spędzam całe dnie na tropieniu obsesji, których moi pacjenci często nie są świadomi.

- Z moim synem jest inaczej.

- Pod jakim względem?

- Już panu wyjaśniałem. Człowiek, którego się boję, nie jest moim synem. To ktoś inny.

- Cierpi na rozdwojenie jaźni?

- Nie. W jego wnętrzu istnieje drugi człowiek. Dziecko, które ma swoją przeszłość, swój rozwój, swoje wymagania. Dziecko, które dojrzało we wnętrzu mego syna. Jak nowotwór.

- Mówi pan o dziecku, którym był pański syn?

- Wie pan, że nie byłem tam wówczas...
- Czego się pan teraz obawia?
- Że ta osobowość się realizuje.
- W jakim sensie się realizuje?
- Nie wiem. Ale to niebezpieczne. Madre Dios!
- Ma pan pewność co do tych ataków?

Rozległ się odgłos kroków. Zapewne Hiszpan szedł w kierunku drzwi.

- Muszę już iść. Opowiem więcej podczas następnego seansu.

- Jest pan pewien?

- To ja powinienem kierować tymi informacjami. To wszystko stanowi część jednej całości.

Hałas odsuwanej krzesła - Feraud wstał.

- Jakiej całości?

- To mozaika, rozumie pan? Każdy kawałek zawiera część prawdy.

Głos Hiszpana był także urzekający. Stawał się coraz bardziej wzburzony. Jeanne wyobraziła sobie mężczyznę wysokiego, siwego, eleganckiego, około sześćdziesiątki. Wysuszonego słońcem i strachem.

- Chciałbym go zobaczyć - nalegał Feraud.

- To bezcelowe. On nic panu nie powie. Mam na myśli tego drugiego.

- Nie chce pan spróbować?

Kroki. Feraud dogonił Hiszpana na progu. Chwila ciszy.

- Zobaczę. Zadzwoń do pana.

Pożegnanie. Trzaśnięcie drzwiami. Więcej już nic. Antoine Feraud chyba zaraz opuścił gabinet. Jeanne kilka razy odsłuchiwała tę tajemniczą rozmowę, po czym, nie zapalając światła, poszła do łazienki.

Myjąc zęby, uzmysłowiła sobie, że ten wieczór jest jakiś lepszy. Nie pieściła się. Odczuła pewną dumę. To był czysty wieczór.

Położyła się na łóżku. Noc dusiła się we własnej duchocie. Daleko na niebie błyskało, zbliżała się burza. Jeanne obserwowała przez okno chmury wędrujące w aureoli księżycowej poświaty.

Obróciła się i przytuliła policzek do poduszki. Świeży chłód. Co wieczór perfumowała pościel wodą eukaliptusową przypominającą jej dzieciństwo...

Zamknęła oczy. Antoine Feraud. Jego głos. Kilka godzin wcześniej, gdy była u swojej terapeutki, nie wytrzymała.

- Mówiono mi o pewnym psychiatrze - powiedziała możliwie najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Antoine Feraud. Czy pani go zna?

- Pragnie pani zmienić lekarza?

- Ależ skąd. Czy pani go zna?

- Trochę.

- Co pani o nim wie?

- Udziela konsultacji w jakiejś klinice. Nie pamiętam w której. Ma gabinet w piątej dzielnicy. Cieszy się dobrą reputacją.

- Jaki jest?

- Nie znam go. Widywałam go tylko na kolokwiach.

- Jaki jest w sposobie bycia?

Lekarka roześmiała się. Seans się kończył.

- Raczej miły.

- Miły?

- Bardzo miły. Dlaczego pani o to pyta?

Jeanne wymyśliła bajeczkę o psychiatrycznej ekspertyzie, o tym, że wkrótce ma się z nim spotkać. Wymknęła się niczym mysz, unosząc ze sobą cenną informację. Miły? Bardzo miły.

Zaczynała zasypiać, ale jeszcze zdążyła pomyśleć, że znalazła się na rozdrożu. Zostawiła jeden brzeg, brzeg Thomasa - i przyszło jej to łatwiej, niż mogła przypuszczać - ale nie odnalazła jeszcze drugiego. Brzegu tego głosu. Głosu Ferauda. A tymczasem strumień dni przepływał między jej gołymi stopami...

Ogarniał ją sen. Deszcz bębnił o szyby - burza wreszcie się rozpętała. Jeanne podjęła decyzję. Niejasną, mimowolną, już zmaconą przez sen, która jednak, wiedziała to, wróci nazajutrz z całą siłą.

Musi zobaczyć jego twarz. Twarz właściciela tego głosu.

13.

- Chyba coś mam - powiedział Bretzel.

Jeanne nic nie zrozumiała. Sygnał komórki wyrwał ją ze snu. Wzrokiem poszukała zegarka na stoliku nocnym oświetlonym promieniem słońca. Godzina dziewiąta piętnaście. Przespała budzik.

- Słucham cię - odrzekła, odkaszlnąwszy.

- Trzy przelewy do Szwajcarii. Za każdym razem na to samo konto w Związku Banków Szwajcarskich.

Jeanne przeciągnęła dłonią po twarzy. Słońce oblewało całą sypialnię. Nie pojmowała, o czym on mówi.

- Jakie kwoty? - zapytała machinalnie.

- Dwieście tysięcy euro. Trzysta tysięcy. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. W niecały tydzień.

- Czy znasz nazwisko właściciela konta? - pytała nadal na pół przytomna.

- Oczywiście, że nie. Ale daty pasują. Czerwiec dwa tysiące sześć, zaraz po transferze broni. Kwoty prawdopodobnie dosyć podobne. Trzeba teraz urządzić polowanie tam, w Szwajcarii.

Banki szwajcarskie... W końcu oprzytomniała. Timor Wschodni. Handel bronią. Korupcyjne machinacje między spółką przemysłową i pracownikami francuskiego Ministerstwa Obrony. Jednak umysł jej nie wyzwolił się jeszcze z sennego koszmaru. Ze snu, który powracał przez całą noc.

Jeanne szła w labiryncie wilgotnego betonu. Zobaczyła w kałuży krwi okaleczone zwłoki tęgiej Nelly Barjac. Jakaś istota ze zdeformowaną czaszką, podobna do Golema, pożerała jej ciało. Czkając, jęcząc, połykał okrwawione kawałki, odrywając z nich skórę, wysysając kości, wydłubując mózg haczykowatymi palcami. W tym śnie Golem był kobietą. Bezpłodną. Albo zgwałconą. Pomrukiwała z ustami ociekającymi krwią. Miała na brzuchu świeżą bliznę. Może ślad po urodzeniu potwora, którego ta cytogenetyczka z nadwagą nie umiała wykryć...

Koniec snu był straszny. Golem podniósł oczy i zobaczył lustro. Tym ludożerczym stworzeniem był nie kto inny, tylko ona sama, Jeanne.

- Słuchasz mnie? Obudziłem cię?

- Ależ skąd!

- Mówiłem, że ze Szwajcarią będzie trudna sprawa.

Jeanne skoncentrowała się. Bretzel wcale nie przesadzał. Już miała do czynienia z tym krajem. Żeby uzyskać nazwisko właściciela konta, trzeba było udowodnić, że przekazane na nie pieniądze pochodzą z nielegalnego źródła. W tym wypadku należy dostarczyć dowód, że wystawiano fałszywe faktury.

- Zobaczmy - powiedziała, siadając na łóżku. - Co z podsłuchami?

- Nic. Żadnej podejrzaney rozmowy. Impas.

- E-maile?
- Zero. Trzeba włączyć najwyższy bieg. Może przeprowadzić rewizję?
- Nie. Wolę raczej wezwać ich do siebie.
- A masz coś istotnego?
- Nie mam. Liczę na efekt zaskoczenia.
- Ty decydujesz. Ja dalej będę grzebał w przelewach i transferach.
- Oddzwoń do mnie. Przygotuję wezwania.
- Ostatnia rzecz. Nie mam nakazu sądowego.

Do każdego podsłuchu musiał być nakaz sądowy. Jeanne udała, że nie wie, o co chodzi.

- Jakiego nakazu?
- Dotyczącego tego psychiatry, Antoine'a Ferauda.
- Pewnie moja sekretarka zapomniała o tym.
- Bierzesz mnie za idiotę, Jeanne. Mogę poradzić sobie z sygnałem telefonu, ale nie z facetami z SIAT. Za każdym razem, gdy instaluję podsłuch, muszę im pokazać podpisany nakaz. Wie o tym student pierwszego roku.

- Zajmę się tym. Dostaniesz ten nakaz.
- Nie zależy mi na papierku. Jeśli chcesz wymusić na mnie nielegalne założenie podsłuchu, powiedz to otwarcie. Spotkamy się i pogadamy.

- Zgoda.
- Spotkamy się i pogadamy. Ale nie przez telefon... Jeanne zakończyła rozmowę i natychmiast zadzwoniła do biura, uprzedzając Claire, że się spóźni. Wstała. Włączyła ekspres do kawy. Połknęła pigułkę antydepresyjną. Poszła do łazienki. Pod prysznicem pomyślała o ostrzeżeniu Bretzela. Ta historia z podsłuchem może ją drogo kosztować. Dość naiwnie sądziła, że założenie podsłuchu w gabinecie Ferauda nie zostanie zauważone...

Wykąpana, uczesana, umalowana wróciła do kuchni. Kawa zdążyła już wystygnąć. Przygotowała drugą, robiąc sobie jednocześnie kanapkę z razowego chleba. Kiedy zabrała się do jedzenia, powróciły przebłyski nocnego koszmaru. Golem. Szare strzępy ciała. Pomruki. Jej umysł wrócił do rzeczywistości. Wczorajsza wizyta na miejscu zbrodni. Płodność jako przedmiot badań. Zjedzona macica. A może to była kobieta?

Pół godziny potem Jeanne pędziła drogą ekspresową, nie przestrzegając żadnych przepisów ograniczenia szybkości. Po następnych dwudziestu minutach siedziała za biurkiem obłożona dokumentami dotyczącymi Timoru Wschodniego. Przeznaczyła ranek, a raczej to, co z niego zostało, na zapoznanie się z aktami, żeby potem zredagować nakazy.

Przeczytała jeszcze raz wprowadzenie do sprawy. Coś tu nie grało. Po co sprzedawać broń rebeliantom w tak odległym kraju? Czy był w tym tylko interes finansowy? Ta transakcja przyniosła milion euro, który jedni i drudzy podzielili między sobą. W tego rodzaju handlu to nic wielkiego. A ryzyko, że wyśledzą to media, było ogromne. Uczestniczyć w zamachu na laureata Nagrody Nobla to nie było co.

Wróciła do swojej dokumentacji, szukając w niej klucza. Nie zabrało jej to wiele czasu. Timor Wschodni miał ropę. Podczas ostatnich wierceń na morzu przy wyspie odkryto znaczne jej złoża. Szacowano, że przez najbliższe dwadzieścia lat dochód z ropy na tym terenie wyniesie piętnaście miliardów dolarów. Australijczycy natychmiast zawarli z władzami Timoru umowę. Gdyby wydarzył się zamach stanu, nowi przywódcy kraju, rebelianci, wybraliby nowych partnerów do eksploatacji złóż. Dlaczego więc nie tych, którzy im dostarczyli broni?

Tę historię należało więc czytać wspak. Bernard Gimenez, urzędnik Ministerstwa Obrony, nie okazał zyczliwości dla spółki EDS Technical Services, żeby zyskać jakieś korzyści dla swojej partii PRL. Było całkiem na odwrót. EDS działała na zamówienie polityków, dostarczając broni sprawcom zamachu stanu, który mógł służyć interesom Francji. Politycy i przemysłowcy podzielili się następnie ciastkiem - zyskiem ze sprzedaży broni - ale była to tylko przystawka. Wszyscy czekali na ciąg dalszy - eksploatację ropy.

Zamach stanu się nie udał. Sprawa została zamknięta. Oto dlaczego nie było nic na nagraniach. EDS Technical Services, spółka RAS i PRL nie miały już ze sobą kontaktu. Taka sytuacja utwierdziła Jeanne w jej decyzji. Trzeba przejść do przesłuchań. Wezwać cały ten mały świat.

- Czy mogę wyjść? - zapytała Claire.

Jeanne spojrzała na zegarek - godzina szesnasta. Przypomniała sobie, że był to piątek.

- Oczywiście. Ja jeszcze popracuję.

Claire wyszła, szeleszcząc sukienką. Jeanne przeciągnęła się i spojrzała na dokumenty leżące na jej biurku. Miała jeszcze inne sprawy do załatwienia przed wieczorem. Najpierw jednak chciała skończyć z Timorem. Dokładnie usytuować ten strategiczny punkt na Pacyfiku. Rozłożyła mapę, którą Claire kupiła poprzedniego dnia w Instytucie Geografii, i zaczęła szukać wyspy w kształcie krokodyla.

Przyglądając się przybrzeżnym liniom, skałom podwodnym, nadmorskim brzegom, Jeanne uległa czarowi egzotycznych nazw.

Zaczęła sobie przypominać tamtą wielką podróż. Po ukończeniu studiów zrobiła sobie całoroczny urlop, żeby zwiedzić kontynent południowoamerykański.

Zaczęła od Ameryki Środkowej. Nikaragua. Kostaryka. Następnie właściwa Ameryka Południowa. Brazylia. Peru. Argentyna, Chile... Niewiele wówczas wiedziała o tych krajach. Jeździła samotnie po niezmiernych terenach, powtarzając sobie ciągle przez zaciśnięte zęby: „Tego mi nikt nie wyrwie. Każde wrażenie, każde wspomnienie zostanie moją tajemnicą”. Ślad, znak, widok, które zachowa we własnym wnętrzu. Gdy będzie tęsknić za miłością, jej dusza tam właśnie zazna pociechy, w głębi tego horyzontu...

Godzina siedemnasta. Zmarnowała całą godzinę na marzenia. O, cholera! Zabrała się energicznie do roboty. Sporządziła kilka notatek dla Claire w sprawie wezwania Bernarda Gimeneza, skarbnika PRL, Jeana-Pierre'a Grissana, sekretarza generalnego, Simona Maturi, wiceprezesa w spółce RAS, Jeana-Louisa Demmarda, szefa Noronu, i Patricka Laiche'a, dyrektora EDS.

Położyła te notatki na biurku Claire. Spojrzała na inne teczki z aktami. Miała do wyboru. Siedzieć w biurze aż do godziny dwudziestej drugiej, żeby zapoznać się z tymi papierzyskami, lub wrócić do siebie i poczytać na łóżku kilka fragmentów z Greys Anatomy, podjadając jak zwykle biały ryż.

Była jednak jeszcze jedna możliwość.

To, o czym myślała od rana.

14.

Gabinet doktora Antoine'a Ferauda znajdował się przy ulicy Le Goff nr 1. Krótka uliczka, która w cieniu Panteonu łączy ulicę GayLussac z ulicą Soufflot. Raczej ciemna, kryje w swoich zakamarkach kamienne schody w stylu Montmartre, które prowadzą do innych jeszcze węższych uliczek. Numer jeden wychodzi na ulicę Soufflot. Jeanne ustawiła samochód nieco dalej.

Jej plan był prosty. Wręcz zbyt prosty. Czekać, aż psychiatra wyjdzie. Zadzwoić na jego komórkę, żeby upewnić się, że to na pewno on. A potem śledzić, gdzie się uda... Czekala już prawie godzinę, obserwując kamienny przedsionek nagrzewany popołudniowym słońcem.

Jak na razie Antoine Feraud nie pojawił się.

Jeanne miała czas zastanowić się przez tę godzinę. Przed wszystkim nad śmiesznością sytuacji, którą sama stworzyła - sędzia śledcza w aucie, czyhająca na psychiatrę o urzekającym głosie. Była jednak w nastroju romantycznym. Przez cały czas usiłowała go sobie wyobrazić. Wysoki. Szczupły, ale nie za bardzo. Ciemne włosy. Dłonie z długimi

palcami. Dłonie są bardzo ważne. Ale przede wszystkim twarz. Nie miała żadnych uprzedzeń co do rysów, ale powinny być wyraziste. Zdradzające mocny charakter. Siła decyzji wyrażająca się w konkretnej topografii twarzy.

Minęło jeszcze pół godziny. Włączyła radio. Łagodny rock. Myślami podążyła gdzieś indziej. Thomas już nie zadzwoni. Ona też do niego się nie odezwie. I niech tak zostanie. Kiedy już nie ma nadziei, pozostaje przynajmniej duma. Pomyślała także o Timorze Wschodnim, o wezwaniach, z których zapewne nic dobrego dla niej nie wyniknie. O nakazie sądowym w sprawie podsłuchów u Ferauda, którego jeszcze nie napisała...

W wejściu pokazał się mężczyzna.

Od pierwszego rzutu oka wiedziała, że to on.

Metr osiemdziesiąt. Szczupły. Włosy długie, czarne. Wąska twarz z lekkim zarostem. Mimo grubych brwi rysom twarzy brakowało męskości. Zwłaszcza okrągły, cofnięty podbródek nie wyrażał zdecydowania, którego oczekiwała Jeanne. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Przede wszystkim nie pasował wiek. Feraud wyglądał na trzydzieści pięć lat. Sądząc z jego głosu, wyobrażała sobie, że ma dziesięć lat więcej...

Wystukała numer. Mężczyzna zatrzymał się. Poszukał w kieszeniach. Miał na sobie garnitur z jasnoszarego lnu, wymięty po całym dniu pracy.

- Halo?

Jeanne wyłączyła się. Przeszył ją rozkoszny dreszcz, gdy zobaczyła go przechodzącego tuż obok niej, zmierzającego na parking na ulicy Soufflot. Zanim zniknął, przygładził ręką włosy. Długie palce pianisty. Te ręce rekompensowały niedoskonały podbródek i młodzieńczy wygląd.

Jeanne przekreśliła kluczyk w stacyjce. Zauważyła dwa wyjazdy z parkingu, z obu stron ulicy. Którym on wyjedzie? Jaki ma samochód? Na ulicę wyjechał podniszczony skuter i skręcił w kierunku bulwaru Saint-Michel. Zdążyła zobaczyć twarz pod kaskiem. Feraud. Włączyła pierwszy bieg. Psychiatra stał już pod czerwonymi światłami bulwaru Saint-Michel, dając znak kierunkowskazem, że skręca na prawo w stronę Sekwany. Po kilku sekundach Jeanne, z bijącym sercem, zatrzymała się za skuterem.

Zielone. Feraud ruszył bulwarem Saint-Michel, minął fontannę na placu, skręcił na lewo. Jechał równo jak ktoś, komu się nie spieszy. Czy zamierzał spotkać się z kobietą? Jeanne zaciskała ręce na kierownicy. Dłonie miała wilgotne. Włączyła radio. Schowana za ciemnymi okularami wyglądała jak z parodii szpiegowskiego filmu.

Na ulicy Grands-Augustins Feraud przyspieszył. Quai de Conti. Quai Malaquais. Quai Voltaire. Wjechał w drogę ekspresową najbliżej Sekwany i zwolnił przy wtórze klaksonów

innych pojazdów. Jeanne przepuściła dwa samochody między siebie i skuter. Wszystko szło dobrze. Mogła nawet podziwiać piękny widok. Światła mostów zapalające się o zmierzchu. Sekwanę, z ciężką, pomarszczoną wodą niczym w potoku błota. I tę ogromną różową poświatę, która spowijała miasto jakby całunem. Feraud wciąż zdążał przed siebie. Dokąd?

Przejechawszy przez most Concorde, skręcił na lewo w krótki tunel, który prowadzi do wyjazdu z autostrady. Na moście Invalides skręcił na prawo, przeciął Sekwanę, skręcił ponownie w prawo, jadąc nabrzeżem w przeciwnym kierunku aż do mostu Alexandre-III. Jeanne pomyślała o Show-Case, nowym skrzyżowaniu za mostem. Jednak Feraud zatrzymał się przed parkiem okalającym Grand Palais, schował kask do bagażnika przy siodełku i poszedł pieszo w kierunku avenue Winston-Churchill.

Jeanne zaparkowała pod jedną z kwadryg Grand Palais. Zaprzęg rozpędzonych koni na szczycie przeszklonej ściany. Feraud szedł do wejścia. Jeanne przypomniała sobie, że w muzeum jest wystawa „Wiedeń 1900”, poświęcona malarzom wiedeńskiej secesji. Klimt. Egon Schiele. Moser. Kokoschka. Przyszła jej do głowy dość absurdalna myśl, że dobrze się złożyło, ponieważ od dawna chciała zobaczyć tę wystawę.

Psychiatra już wchodził na stopnie. Jeanne przyspieszyła kroku, mimochodem zwracając uwagę na wysoką kopułę ze szkła i stali, w której jak w olbrzymiej lupie odbijało się słońce. Poczula się malutka i zarazem lekka, podekscytowana, upojona blaskiem zachodu ogarniającym cały Paryż.

Feraud zniknął jej z oczu. Zapewne miał przepustkę i nie musiał stać w kolejce po bilet. Długa kolejka oczekujących ciągnęła się po drugiej stronie ku Polom Elizejskim. Jeanne poszperała w torebce. Ona także miała przepustkę. Trójkolorową kartę wydaną na mocy dekretu prezydenta. Upoważniała do rewizji. Zadziała również w wypadku wiedeńskich malarzy.

Po kilku minutach znalazła się w części wystawowej. Jej pierwszą myślą było, że te płótna, złotawobrazowe, czerwone lub ciemnobrazowe, są wielkimi kurtynami scenicznymi podniesionymi dla celów jeszcze większego spektaklu, bogatszego, łączącego wszystkie rodzaje sztuki. Wiedeń z początku XX wieku, kiedy nastąpił tam gwałtowny rozwój każdej z dyscyplin artystycznych - malarstwa, rzeźby, architektury, ale także muzyki z Malherem i zaraz po nim Schönbergiem... Nie mówiąc już o psychoanalizie stanowiącej dla nich tło.

Kilka metrów przed nią Feraud bez pośpiechu kontemlował każdy obraz. Nie miał katalogu. Nie spoglądał na umieszczone poniżej tytuły dzieł. Jakby to wszystko było mu dobrze znane. Jeanne, spocona, odprężyła się nieco i wykorzystała czas, aby podziwiać

plótna. W pierwszej sali królował Klimt. Jak zawsze była oszołomiona oryginalnością tego malarza. Każdym motywem. Wszystko świadczyło o radykalnym zerwaniu z dotychczasowym malarstwem. Zerwanie to nie miało jednak rewolucyjnego charakteru. Błede płaszczyzny przypominające japońskie znaczki. Wyrafinowany chromatyzm. Przebłyśki złota, emalii, pereł, kolorowego szkła, brązu...

No i kobiety. Uśpione wróżki z długimi włosami w kolorze miodu przycupnięte gdzieś między ekstrawaganckimi, a zarazem surowymi motywami. Symetria dekoracji - rysunki i arabeski splecione razem tworzyły nad głowami każdej z kobiet jakby osłonę chroniącą ich sen. Innym razem płótno miało charakter niewyraźny, wodnisty. Włosy płynęły niczym rudawe wodorosty. Migotanie złota i pereł dawało ciężkie, przenikające światło tańczące na zgrubieniach wypolerowanej żywicy. Płótna te dosłownie były uczcią dla oczu, umysłu, serca...

Feraud zatrzymał się przed małym obrazem nie dalej niż metr od niej. Teraz - pomyślała. Ruszyła w jego kierunku, zamierzając po prostu stanąć obok niego. Z suchością w ustach, na chwiejnych kolanach, powtarzając sobie w duchu kilka miłych uwag, niedawno wypowiedzianych pod jej adresem. Porównanie do absynty, jakie zrobił Thomas. Refleksja Taine'a o jego ręce na jej karku. Słowa Claire, jej sekretarki, która porównała ją do aktorki Julianne Moore...

Stała blisko Antoine'a Ferauda co najmniej od minuty, bez ruchu, twarzą do obrazu, którego w ogóle nie widziała.

I wtedy on przemówił.

Ten tembr głosu, który tak często słyszała w słuchawkach, rozbrzmiewał teraz tuż przy jej uchu, na żywo...

- Słucham?

- Powiedziałem, że za każdym razem, kiedy oglądam ten obraz, przypomina mi się Baudelaire... „Uformowałem błoto i zrobiłem z niego złoto...”.

Jeanne omal nie wybuchnęła śmiechem. Mężczyzna, który zagaja rozmowę, cytując Baudelaire'a, nie dojrzał naprawdę do randkowego serwisu online. Ale właściwie dlaczego nie? Skoncentrowała się na obrazie Klimta. Przedstawiał bardzo bladą kobietę w turkusowej sukni na pomarańczowym tle. Namalowana była tylko do połowy.

- Pańskim zdaniem błoto to ta modelka? - zapytała dość agresywnym tonem.

- Nie - odrzekł spokojnie Feraud. - Błoto to czas, który strawi tę kobietę i zniszczy jej urodę. Zeżre ją monotonia dnia codziennego. Banalność, która stopniowo ją opanuje. Klimt oderwał ją od tego wszystkiego. Potrafił ukazać jej dynamizm. Jej wewnętrzzną... wieczność.

Głos z nagrań. Bliższy. Bardziej realny. Spełniał jej oczekiwania. Jeanne uśmiechnęła się. Przyjrzała się obrazowi. Ten psychiatra miał rację.

Portret Johann Staude.

Na twarzy kobiety odbijały się dwa uzupełniające się kolory. Turkus sukni mieniący się jak kryształ i płonąca niczym lawa czerwien tła. Jeanne pomyślała, że bardziej niż Baudelaire pasowałby tu Paul Eluard z jego słynnym zdaniem: „Ziemia jest niebieska niczym pomarańcza”.

Kiedy mijał pierwszy szok, odkrywało się twarz. Okrągłą, bladą jak księżyc. Ta biała plama w obramowaniu czarnego futra stanowiła klucz do tego obrazu. Odsłaniał on niewypowiedzianą prawdę, poezję baśni o wróżkach, i nie potrzebował komentarza, żeby głęboko poruszyć widza, sięgnąć aż do podbrzusza, do korzeni istnienia...

Jeanne ogarnęła czułość dla tej kobiety. Dla jej twarzy księżycowego Pierrota. Czarnych, krótko obciętych włosów, które to uczesanie musiało być awangardowe w tamtej epoce. Dla jej czerwonych, delikatnych ust. Grubych brwi. Wszystkie te szczegóły przypominały jej reklamę, którą uwielbiała, gdy była dziewczynką. Reklama perfum Loulou de Cacharel. Młoda kobieta zdawała się sunąć w rytm najsłodszej melodii świata - Pavany Gabriela Faure...

Odnalazła swoją sojuzniczkę. Nagle poczuła się silniejsza, pewniejsza siebie, ale nadal niezdolna do rozmowy. Milczenie przeciągało się. Łamała sobie głowę, zastanawiając się nad tym, co by tu powiedzieć.

- Jestem na tej wystawie już piąty raz - powiedział. - Znajduję tu jakby... źródło ukojenia, odprężenia. - Zamilkł na chwilę, może chcąc zostawić jej czas na uchwycenie szmeru tego źródła. - Proszę pójść ze mną. Coś pani pokażę.

Jeanne pozwoliła się prowadzić. Poddała się całkowicie chwili. Przeszli do następnej sali. Pomimo zamętu w głowie zauważyła, że atmosfera tej sali jest inna.

Krzyki i rany. Powykręcane w konwulsjach ciała. Twarze zdeformowane żądzą lub strachem. Przede wszystkim jednak obrazy na ścianach atakowały oglądających grubymi warstwami brązu, ochry, złota, jakby nałożonymi nożem. Chropawa warstwa farb przywodziła na myśl pole orne. Wąskie twarze. Wytrzeszczone oczy. Poskręcane ręce. Jeanne przypomniała się Semana Santa z Sewilli. Tydzień pokuty, kiedy ogląda się tam postacie w habitach z zapalonymi świecami w rękach.

- Egon Schiele! - zawołał Feraud. - Mimo iż różni się od Klimta, on także sprawia, że czuję ulgę. Jego brutalność jest pozytywna. Zbawienna. Jestem psychiatrą i psychoanalitykiem. Miewam czasami bardzo trudne dni. Te płótna z początku wieku dodają

mi odwagi, energii.

- Przykro mi - zdołała mruknąć - ale ja naprawdę nie widzę...

- Te dzieła odsłaniają podświadomość! Ukazują wagę świata, któremu poświęcam życie. Sen. Seks. Niepokój... Egon Schiele nicuje duszę niczym rękawiczkę. Wraz z nim nastąpił kres pozorów, burżuazyjnych pewników, uspokajających kłamstw...

Jeanne czuła, że kręci się jej w głowie. Od rana nic nie jadła. Emocje pozbawiły ją sił. A Antoine Feraud, mimo swego uwodzicielskiego głosu, bez wątpienia wyglądał na szaleńca.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł ciszej, jakby chciał ją uspokoić. - Zapędziłem się... Nawet się nie przedstawiłem. - Wyciągnął rękę. - Antoine Feraud.

Uścisnęła miękko jego dłoń, przyglądając mu się po raz pierwszy z bliska. Zobaczyła twarz pełną napięcia, rozgorączkowaną, ale dziwnie smutną. Feraud nie usiłował ani udawać, ani się ukrywać. Stał przed nią wrażliwy, obnażony, bezbronny...

- Jeanne Korowa.

- To polskie nazwisko?

- Nazwisko z baru w Mechanicznej pomarańczy.

Boże, co ona wygaduje? Dlaczego wspomina o tym wyjątkowo brutalnym filmie?

- Ale ma pani polskie korzenie? - nie ustępował Feraud.

- Mój ojciec był Polakiem, ale zawsze mieszkał... daleko. Znowu informacja, która zamykała rozmowę. Chciała być zabawna. Zabrzmiało to jednak tragicznie. Feraud spojrział na nią w charakterystyczny dla siebie sposób, z uwagą, z pewnym niepokojem.

- Nie wygląda pani dobrze. Słyszała pani o syndromie Stendhala?

- Dario Argento - szepnęła.

- Słucham?

- Syndrom Stendhala. Włoski horror. Film Daria Argenta.

- Nie znam. Mówiłem o syndromie psychologicznym. Osoby, które cierpią na nadwrażliwość na obrazy. Które mdleją na widok jakiegoś płótna.

- Film właśnie o tym mówi.

Dlaczego się upierała? W przeblyskach pamięci ujrzała na nowo te fragmenty. Asia Argento idący ulicami Rzymu, w blond peruce na głowie, gotów zabić każdego. Gwałcone kobiety. Twarz rozdarta kulą z broni automatycznej.

Potarła dłonią czoło i dodała przepaszajaco:

- Nie jadłam od rana. Ja...

Nie dokończyła zdania, kiedy Feraud mocno ją podtrzymał.

- Wyjdźmy stąd. Postawię pani lody.

15.

Powietrze na zewnątrz nie przyniosło jej żadnej ulgi. W zachodzącym słońcu drżały na ziemi cienie liści, a Jeanne miała wrażenie, że to po prostu miga jej w oczach. Wstydziła się swojego stanu. Jednocześnie jednak w skrytości czuła się szczęśliwa, że ktoś o nią zadbał.

Przeszli przez jezdnię w kierunku teatru Marigny, potem kupili sobie w kiosku włoskie lody.

- Czy chce pani trochę pospacerować?

Skinęła potakująco głową, rozkoszując się chłodem lodów i słodyczą pytania. Szli w milczeniu do placu Concorde. Dawno już nie spacerowała w tym parku. Inne parki są zawsze ściśnięte, otoczone żelaznym ogrodzeniem. Natomiast alejki drzew na Champs-Elysees otwierały się na miasto, wchłaniając w siebie szum alei, hałas ruchu ulicznego, woń spalin... Było to miejsce spotkań drzew z asfaltem, spacerujących z samochodami, natury z zanieczyszczonym powietrzem...

- Jestem oczarowany - wyznał Feraud. - Wiedeń. Początek dwudziestego wieku... To moja pasja. To okres, kiedy w przytulnych piwiarniach i kawiarniach, gdzie podawano strudel, narodziło się tyle idei! Klimt, Freud, Malher...

Jeanne zdziwiła się, że znowu do tego wrócił. Wdał się w szczegółowy opis intelektualnej atmosfery epoki. Jeanne nie słuchała go. Cieszyła się jego fizyczną obecnością.

Szli nadal w cieniu drzew, podczas gdy samochody przemykały obok z ogromną szybkością. Blask zachodu wyglądał każdy szczegół purpurową politurą. Żelazne ogrodzenia wokół drzew błyszcząły niczym ogniste tarcze. Jeanne już dawno nie była tak szczęśliwa.

Feraud mówił z przejęciem. Ale ona nadal go nie słuchała. Wzruszał ją jego entuzjazm, spontanizm, elokwencja. A także chęć, by ją uwieść swoją wiedzą.

Na placu Concorde wziął ją pod rękę.

- Wejdzmy do Tuileries?

Kiwnęła głową. Zgiełk aut. Smród spalin. Kamienne fontanny i ich różowe rozbryzgi. Turyści fotografujący się z zachwytem. Wszystko to, co złościłoby ją w zwykły dzień, teraz wydawało się jej magiczne, cudowne, nierealne.

- Nie przestaję mówić i nic o pani nie wiem - stwierdził Feraud, gdy wchodzili do ogrodów Tuileries. - Czym się pani zajmuje?

Nie było mowy, żeby zdradziła mu swój zawód.

- Pracuję w komunikacji - wymyśliła na poczekaniu.

- To znaczy?

- Kieruję spółką wydawniczą. Wydajemy prospekty, broszury. Nic pasjonującego.

Feraud wskazał ławkę. Usiedli. Mrok wprasał się do parku. Uwypuklał każdy szczegół. Dodawał przedmiotom ciężaru gatunkowego. Cienie współgrały z nastrojem Jeanne, która poddawała się tej atmosferze.

- Liczy się to - mówił dalej Feraud - żeby lubić swój zawód każdego dnia, w każdej minucie.

- O nie! - zareagowała bezwiednie. - Liczy się przede wszystkim miłość.

Zagryzła usta zła na siebie, że powiedziała takie głupstwo.

- Czy pani wie, że wymawia pani słowo „nie” w szczególny sposób?

- Nie wiem.

Feraud roześmiał się szczerze.

- Wymawiając to słowo, przechyla pani głowę na jedną stronę, ale nie całkowicie.

- To dlatego, że nie umiem powiedzieć stanowczo nie.

Ujął jej rękę w serdecznym geście.

- Niech pani nigdy nie mówi tego mężczyźnie!

Zaczerwieniła się. Każdej replice towarzyszyło krótkie milczenie. Pauza, w której łączyły się ze sobą zmieszanie i przyjemność. Nie mówiono do niej w taki miły sposób od...

Od jakiego czasu?

Zrobiła wysiłek, żeby podtrzymać rozmowę i nie zapaść się w błogiej szczęśliwości.

- A jak pan sobie radzi z tymi brudami?

- Jakimi brudami?

- Pierze pan brudy swoich pacjentów, prawda?

- Rzeczywiście można to tak określić. Nie zawsze jest to łatwe, ale kocham moją pracę. Żyję wyłącznie dla niej.

Przyjęła to zdanie za pozytywną wskazówkę. Nie ma żony. Nie ma dzieci. Pożałowała tego, że go okłamała. Mogłaby bowiem powiedzieć dokładnie to samo o swojej pracy. Dwoje pasjonatów. Dwa wolne serca.

- Gdyby miał pan podać jeden powód swojej pasji, co by pan powiedział?

- Robi pani psychoanalizę psychiatrze?

Milczała, czekając na jego odpowiedź.

- Sądzę, że lubię być w centrum mechanizmu.

- Jakiego mechanizmu?

- Mechanizmu ojców. Ojciec jest kluczem do wszystkiego. Cień ojca zawsze kładzie

się na osobowość dziecka, na jego czyny, jego pragnienia. Zwłaszcza w dziedzinie zła.

- Nie bardzo pana rozumiem.

- Proszę wyobrazić sobie prawdziwego ludzkiego potwora. Istotę, której nie można zakwalifikować jako człowieka, bo tak straszliwe wydają się jego czyny. Na przykład Marc Dutroux. Pamięta pani tę historię?

Jeanne kiwnęła głową. Gdyby Dutroux popełnił przestępstwo w Ile-de-France, być może to ona prowadziłaby jego sprawę.

- Nie da się pojąć czynów takiego zbrodniarza - kontynuował Feraud. - Pozwolił umrzeć z głodu w piwnicy małym dziewczynkom. Gwałcił je. Sprzedawał. Grzebał żywcem. Nic tego nie może usprawiedliwić. Gdyby jednak poszukała pani w historii jego dzieciństwa, znalazłaby pani drugiego potwora - jego ojca. Marc Dutroux miał okropne dzieciństwo. On sam był ofiarą. Takich przykładów jest mnóstwo. Guy Georges został porzucony przez matkę. Matka Patrice'a Alegre wciągała go w swoje seksualne zabawy...

- Tym razem mówi pan o matkach.

- Mówię o rodzicach ogólnie. Pierwszymi obiektami miłości dziecka są na przemian ojciec i matka. Seryjni zabójcy mają jeden wspólny punkt. Psychotycy, psychopaci czy zbrodniarze mieli nieszczęśliwe dzieciństwo, które nie pozwoliło im prawidłowo się rozwijać.

Jeanne знаła to na pamięć. Mówiono jej takie rzeczy za każdym razem, kiedy zlecała psychiatryczną ekspertyzę zabójcy. Mimo to zapytała:

- Ale co to takiego „mechanizm ojców”?

- Często chodzę na rozprawy sądowe. Kiedy słyszę o środowisku rodzinnym zbrodniarza, zadaję sobie pytanie: dlaczego rodzice tego człowieka nie stanęli na wysokości zadania? Dlaczego sami byli potworami? Czy oni także byli dziećmi brutalnych rodziców? I tak dalej. Za każdym winnym człowiekiem stoi jego ojciec winowajca. Zło jest reakcją łańcuchową. W ten sposób można by cofnąć się aż do początków pochodzenia człowieka.

- Do pierwszego ojca? - zapytała, niespodzianie zaintrygowana jego słowami.

Feraud powiódł ręką po plecach Jeanne. Drugi raz, bez najmniejszej dwuznaczności. Pomimo powagi rozmowy wydawał się odprężony, zadowolony z siebie.

- Freud miał teorię na ten temat. Przedstawił ją w swojej książce Totem i tabu. Grzech pierworodny.

- Adam i jabłko?

- Nie. Zabójstwo ojca. Freud wynalazł parabolę. Bardzo dawno temu, w zamierzchłej przeszłości, mężczyzna rządził swoim rodem. Samiec dominujący. W odniesieniu do wilków nazywa się go samcem Alpha. Miał pierwszeństwo w stosunku do kobiet. Zazdrośni synowie

zabili go i zjedli. Od tego momentu żyli w poczuciu winy. Zrobili totem na podobieństwo ojca i postanowili, że nie będą dotykać kobiet z ich rodu. W ten sposób zrodził się zakaz kazirodztwa i ojcobójstwa. Do dzisiaj żyjemy z zadawnionymi wyrzutami sumienia. I chociaż antropologia zaprzeczyła tej teorii Freuda - bo taka historia nigdy się nie wydarzyła w rzeczywistości - należy pamiętać o znaczeniu tego mitu. Nosimy w sobie ten grzech. Lub jego pragnienie. Jedynie właściwe wychowanie pozwala nam zachować równowagę i zapanować nad naszymi skrytymi żądzami. Przy różnych okazjach ujawnia się jednak nasza skłonność do przemocy, nasiloną jeszcze w wypadku odrzucenia, braku miłości...

Jeanne nie była pewna, czy nadaża za jego tokiem myśli, ale to nie było ważne. Piramida Luwru błyszczała z oddali niczym kryształowy stożek. Musiała już być godzina dwudziesta druga. Zaskoczona była obrotem, jaki przybrała ich rozmowa.

- A co takiego zrobił pański ojciec?

To niedyskretne pytanie wymknęło się jej mimo woli, ale Feraud odpowiedział naturalnym tonem:

- Niech to będzie przedmiotem naszego następnego spotkania, dobrze?

- Chciał pan powiedzieć: następnego seansu?

Roześmieli się oboje, ale atmosfera się zmieniła. Nie było już między nimi poczucia wspólnoty. Jeanne niespodzianie ogarnęła melancholia.

- Czas już wracać - odgarnęła włosy z czoła. - Myślę, że mam już dość.

- Oczywiście...

Psychiatra bez wątpienia przypuszczał, że mówiła o ich rozmowie na zbyt poważne tematy. Ale mylił się. Jeanne Korowa uznała, że wystarczy jej na dzisiaj taka porcja szczęścia.

16.

Przed drzwiami mieszkania Jeanne potknęła się o kopertę położoną na wycieraczce. Nagrania z minionego dnia. Seanse doktora Antoine'a Ferauda. Podniosła kopertę, obiecując sobie, że wysłucha jej nazajutrz. Nie chciała słuchać znowu głosu psychiatry. Zakłócać świeżych wrażeń...

Skierowała się od razu do łazienki. Weszła pod prysznic, będąc ciągle pod wrażeniem spotkania. Nie umiała powiedzieć dokładnie, jak się ono skończyło. Wymienili między sobą numery telefonów komórkowych. To było wszystko, co pamiętała.

Wyszła z kabiny prysznicowej, włożyła T-shirt i szorty. Nie czuła już ani gorąca, ani zmęczenia. Tylko odrętwienie. Rozkoszną pustkę. Nie było już w niej nic oprócz tego niejasnego, niewyraźnego wrażenia rodzącej się miłości.

Kuchnia. Światło. Nie była głodna. Zrobiła sobie tylko filiżankę zielonej herbaty. Zamierzała zaraz się położyć. Zasnąć w tym upojeniu, zanim zniszczy wszystko strach. Znała siebie. Jeśli nie pójdzie spać, zacznie się zastanawiać. Czy mu się spodobała? Czy do niej zadzwoni? Jakie były oznaki pozytywne i negatywne, dzięki którym mogłaby odgadnąć jego stan umysłu? Spędziłaby tak całą noc, analizując najmniejszy szczegół. Prawdziwa procedura śledcza. A w końcu i tak nigdy nie uzyskałaby wewnętrznego przekonania.

W mroku dojrzała znowu kopertę. Zapragnęła usłyszeć jego głos. Usadowiła się w salonie z laptopem na kolanach, ze słuchawkami na uszach. Wsunęła płytę w czytnik.

Włączyła szybkie przegrywanie. Chciała posłuchać jednego, dwóch seansów. Chwytała pierwsze słowa i decydowała, czy słuchać dalej. Rozpoznawała głosy, intonacje, małe psychiczne piekielka, w których każdy miotał się niczym szczur w labiryncie.

Przesłuchiwała prawie całą płytę, zanim trafiła na coś interesującego.

Wrócił ojciec Hiszpan.

Z synem.

- Przedstawiam panu Joachima.

Nastawiła głośniej dźwięk. Domyśliła się, że ojciec i syn przyszli do Ferauda około godziny osiemnastej. Wtedy, kiedy czekała w samochodzie przed jego domem... A więc powinna była ich widzieć, gdy wychodzili z domu nr 1 przy ulicy Le Goff. Nic takiego nie pamiętała. Spodziewając się samotnego mężczyzny, nie zwróciła uwagi na dwóch razem wychodzących.

- Dzień dobry, Joachimie.

- Dzień dobry.

Słyszając ten głos, Jeanne pomyślała, że mężczyzna ma około czterdziestu lat. A więc ojciec, tak jak przypuszczała, miał przynajmniej sześćdziesiąt.

- Zgadza się pan odpowiedzieć na kilka pytań?

- Zgadzam się.

- Ile ma pan lat?

- Trzydzieści siedem.

- Żonaty?

- Kawaler.

- Pracuje pan?

- Jestem adwokatem.

- W jakiej dziedzinie?

- Obecnie pracuję dla filii ONG znajdujących się w Ameryce Południowej.

Joachim mówił bez najmniejszego śladu hiszpańskiego akcentu. Został więc wychowany we Francji. Miał naturalny dar do języków.

- Czym się zajmuje ONG?

- Niczym oryginalnym. Pomagamy najbiedniejszym. Leczymy i szczepimy dzieci. Jeśli o mnie chodzi, to odpowiadam za darowizny zbierane z całego świata.

Cisza. Feraud notował. Joachim odpowiadał na każde pytanie spokojnie, bez pośpiechu czy zakłopotania.

- Czy ma pan problemy zdrowotne?

- Nie.

- Pije pan?

- Nie.

- Bierze pan narkotyki?

- Nie biorę.

- Pański ojciec mówił, że miewa pan ataki.

Jeanne wydało się, że słyszy śmiech. Joachim traktował to wszystko lekko.

- Ataki to właściwe słowo.

- Czy może mi pan o nich coś powiedzieć?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nic nie pamiętam. Jakby czarna dziura.

- W tym problem - dodał ojciec.

Znowu cisza. Kolejne notatki.

- Czy w trakcie tych stanów pojawia się jakaś inna osoba?

- Przecież panu powiedziałem, że nic nie wiem! Joachim podniósł głos.

Pierwszy objaw nerwowości. Feraud też zmienił ton i zapytał bardziej stanowczo:

- Czy zgodziłby się pan, żebyśmy teraz odbyli mały seans hipnozy?

- Jak w Egzorcyście?

Joachim znowu mówił rozbawionym, zdystansowanym tonem.

- Jak w Egzorcyście. Dokładnie tak samo. Ta metoda daje często zaskakujące rezultaty.

Znowu śmiech.

- Sądzi pan, że jestem... obłąkany?

Nerwowość i dekoncentracja występowały na zmianę. Zarówno ze strony Joachima, jak i Ferauda.

- Nie sądzę. Być może pozostaje w panu jakieś miejsce dla innej osobowości. Powiedzmy raczej, że dla drugiej strony pańskiej osobowości. Z pewnością razem moglibyśmy wydobyć na jaw tę twarz. Hipnoza może nam w tym pomóc. Niech się pan niczego nie obawia.

Feraud powiedział to bardzo spokojnym głosem. Jak chirurg do pacjenta przed jego znieczuleniem. Szelest jakiegoś materiału. Joachim poruszył się w fotelu.

- Nie wiem...

- Joachimie...

- Tato, nie mieszaj się do tego!

Cisza. A potem:

- No dobrze, spróbujmy.

- Pozwoli pan, że opuszczę rolety.

Kroki. Szcęk płytek. Zgrzyt. Krzesła ponownie zostały ustawione na swoim miejscu. Jeanne była zafascynowana. Cały czas myślała o tym, że to wszystko odbywało się tuż przed ich spotkaniem. Doszła do wniosku, że kiedy ona odprężyła się, zajadając lody w parku przy Champs-Elysees, Antoine Feraud także próbował się rozluźnić. Wzajemna wymiana usług.

Jeanne przyspieszyła odtwarzanie płyty, przeskakując etap relaksacji, który zawsze jest wstępem do seansu hipnozy. Powolne odpowiedzi. Bezbarwny głos. Jakby stłumiony, wydobywający się z głębi gardła, z samych strun głosowych. Wyobraziła sobie ich trzech w półmroku pokoju. Feraud za biurkiem lub siedzący przy pacjencie. Joachim wyprostowany na krześle, z zamkniętymi oczami, nieruchomymi powiekami. I ojciec stojący nieco z tyłu. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, ale wyobrażała go sobie z siwymi włosami.

- Joachimie, czy pan mnie słyszy?

- Słyszę pana.

- Chciałbym nawiązać kontakt z tym kimś, kto jest w panu, jeśli taki w ogóle istnieje.

Brak odpowiedzi.

- Czy mógłbym z nim porozmawiać?

Brak odpowiedzi. Feraud powiedział głośniej:

- Zwracam się do tego, kto żyje wewnątrz Joachima. Odpowiedz mi!

Jeanne zauważyła, że Feraud przeszedł na ty. Zapewne dlatego, żeby rozróżnić swoich dwóch rozmówców - Joachima i intruza. Ostatnia próba, spokojniejsza:

- Jak się nazywasz?

Krótką pauza. Po czym w pokoju zabrzmiał inny głos:

- Nie masz imienia.

Drgnęła, słysząc ten głos. Metaliczny, skrzypiący, zgrzytliwy. Nie był to głos kobiety ani mężczyzny. Może chłopca. Kiedy spędzała wakacje na wsi w Perche, razem z siostrą bawiły się, rozmawiając przez walkie-talkie zrobione z puszek od konserw połączonych sznurkiem. Dźwięk, który wydobywał się z puszek, był taki sam jak ten. Odgłos metalu, skrzyp sznurka.

- Jak się nazywasz?

Ojciec szepnął:

- Ten ktoś nigdy nie mówi „ja”. Zawsze mówi w drugiej osobie.

- Proszę milczeć! Feraud odkaszlnął.

- Ile masz lat?

- Ty nie masz wieku. Przychodzisz z lasu.

- Jakiego lasu?

- Będzie cię bardzo bolało.

- O co ci chodzi? Czego chcesz?

Brak odpowiedzi.

- Opowiedz mi o tym lesie.

Metaliczny zgrzyt. A może szyderczy śmiech.

- Trzeba go słuchać. Las Cieni.

- Dlaczego go tak nazywasz?

Brak odpowiedzi.

- Czy poznałeś ten las, kiedy byłeś małym chłopcem?

- Czy poznałeś ten las, kiedy byłeś małym chłopcem? Ojciec ponownie wtrącił się cicho:

- Zauważyłem, że powtarzanie to jego sposób mówienia „tak”.

Feraud pominął tę uwagę milczeniem. Jeanne wyobraziła go sobie skoncentrowanego na Joachimie. Na pewno pochylał się nad nim, z rękami opartymi na kolanach.

- Opisz mi ten las.

- Las jest niebezpieczny.

- W jaki sposób?

- Zabija cię. Gryzie cię.

- Zostałeś pogryziony w tym lesie?

- Zostałeś pogryziony w tym lesie?

- Kiedy pojawiaasz się we wnętrzu Joachima, o co go prosisz?

Cisza.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Cisza.

- Odpowiedz, to rozkaz!

Znowu zgrzyt. Może śmiech. Albo czkawka. Głos chłopca podniósł się o kilka tonów i szybko wyrecytował niczym psalm:

- Todas las promesas de mi amor se irdn contigo/Me olvidards, me ohidards/Junto a la estación llorare igual que un niño,/Porque te vas, porque te vas,/Porque te vas, porque te vas...

Feraud próbował mu przerwać, ale mężczyzna-chłopiec, na jednym oddechu, powtarzał wciąż tę samą litanie:

- ...se irdn contigo/Me ohidards, me ohidards/Junto a la estación llorare igual que un niño,/Porque te vas, porque te vas.../Porque te vas, porque te vas...

Głos był straszny, jakby struny głosowe rozgrzewały się do czerwoności, aż do zerwania. Podnosząc głos, Feraud zdołał wyrwać Joachima ze stanu hipnozy. Na jego rozkaz nastąpiła cisza.

- Joachimie, czy pan mnie słyszy?

- Tak, słyszę pana.

To był znowu głos mężczyzny.

- Jak się pan czuje?

- Jestem zmęczony.

- Czy przypomina pan sobie, co powiedział pan w stanie hipnozy?

- Nie.

- Bardzo dobrze. Na tym dzisiaj skończymy.

- Co mi jest, panie doktorze?

Joachim mówił tonem, w którym wyczuwało się niepokój.

- Za wcześnie, żeby to ocenić. Czy zgodzi się pan przychodzić do mnie regularnie?

Poddać się badaniom?

- Na wszystko się zgadzam.

- Chciałbym teraz porozmawiać z pańskim ojcem. Sam na sam.

- Oczywiście. Do widzenia, panie doktorze. Szuranie krzesel. Trzask drzwi. Potem drżący głos ojca:

- To przerażające, prawda?

- Nic podobnego. Ale musimy przeprowadzić badania. Zobaczyć, czy nie ma zmian neurologicznych.

- To nie wchodzi w rachubę.

- Pański syn, to znaczy istota, z którą rozmawiałem w trakcie hipnozy, wykazuje pewne specyficzne symptomy.

- Symptomy czego?

- Inwersja zaimkowa. Powtarzanie pytań. Powtarzanie na sposób echa. Nawet jego twarz - zauważył pan, że zmieniała się, gdy odzywał się ten drugi...

- Symptomy czego?

- Autyzmu.

- Nie chcę słyszeć tego słowa.

- Nigdy nie był leczony z tego powodu?

- Zna pan jego historię. Nie było mnie przy nim w pierwszych latach jego życia.

- Jakie były jego relacje z matką?

- Matka umarła przy jego narodzinach. Hay Dios mio, czy pan tego wcześniej nie zanotował?

- Nie pojmuję, co pan zrobił z tym chłopcem.

- W moim kraju to normalna praktyka. Wszyscy tak robią.

Mówili obaj cicho. Jeanne nie słyszała, żeby Feraud podniósł rolety. Siedzieli więc nadal w półmroku.

- Muszę wiedzieć coś więcej o jego przeszłości. Kiedy wspomina ten Las Cieni, to o czym, pańskim zdaniem, mówi?

- Nic nie wiem. Nie było mnie tam jeszcze.

- A te hiszpańskie słowa, które powtarzał bez przerwy, co to takiego?

- To słowa hiszpańskiej piosenki z lat siedemdziesiątych. *Porque te vas*. Piosenka z filmu *Cria cuervos*. Kiedy czuje się zagrożony, powtarza te słowa.

- Trzeba go leczyć. Jego stan jest... złożony. Obecność drugiej osoby może oznaczać, że cierpi na schizofrenię. Ale te same symptomy mogą występować przy autyzmie. Należałoby go położyć na kilka dni do szpitala. Jestem konsultantem w doskonałej klinice...

- Nie mogę! Już panu wyjaśniałem. Najkrótszy pobyt w szpitalu odkryłby prawdę. Naszą prawdę. To niemożliwe. Jedyne Bóg może nam teraz pomóc. Wiekuisty zawsze będzie twoim przewodnikiem, napoi twoją duszę na pustyni...

Feraud już chyba go nie słuchał. Powiedział jakby do siebie:

- Niepokoję się. O niego. O innych.

- Jest już za późno.
- Za późno?
- Obawiam się, że tej nocy kogoś zabije. W Paryżu. W dziesiątej dzielnicy. Ciągle włączy się po Belleville.

17.

Jeanne nie spała praktycznie całą noc. Emocje, refleksje, głosy kłębiły się jej w głowie w koszmarze niemającym końca. Spotkanie z Antoine'em Feraudem. „Proponuję pani lody”. Potem nagranie z płyty. Seans hipnotyczny. Głos intruza. „Las cię gryzie”. Obawy ojca. „Obawiam się, że tej nocy kogoś zabije. W Paryżu, w X dzielnicy...”.

W głębi duszy nie wierzyła ani w miłosne spotkanie, ani w potencjalne morderstwo. Spotkanie było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. No i jak wierzyć w możliwość zbrodni wyznanej w gabinecie psychiatry? Psychiatry, któremu dopiero co założyła podsłuch? Niemożliwe.

Sam Feraud w to nie uwierzył. W przeciwnym razie nie poszedłby na wystawę secesji wiedeńskiej. Nie zabawiałby tak beztrąsko napotkanej przypadkowo rudej dziewczyny. Jednocześnie rozumiała, dlaczego miał napięte rysy twarzy, dlaczego, mimo uprzejmych manier, wydawał się czymś bardzo zajęty. Tak jak ona teraz i on musiał mieć poważne wątpliwości. Czy ta zbrodnia rzeczywiście zostanie popełniona? Czy powinien zawiadomić policję? Jeanne uśmiechnęła się. Gdyby mu powiedziała, czym się naprawdę zajmuje...

Wstała. Spojrzała na zegarek. Godzina dziewiąta. Była sobota. Słońce ogarnęło już całe mieszkanie. Poszła do kuchni i zaparzyła sobie kawę. Zapach i smak spalonej ziemi. Zrezygnowała ze zrobienia sobie kanapek. Połknęła codzienną porcję effexoru, przyglądając się swemu odbiciu w chromowanej ścianie lodówki. Miała na sobie szorty firmy Calvin Klein i T-shirt z hasłem przeciw Igrzyskom Olimpijskim w Pekinie - koła olimpijskie zostały zastąpione przez kajdanki. W myślach ciągle powracało zdanie ojca: „Obawiam się, że tej nocy kogoś zabije. W X dzielnicy”.

Łatwo mogłaby to sprawdzić. Była przecież sędzią śledczą. Mogła zadzwonić do Prefektury Policji w Paryżu i dowiedzieć się, czy minionej nocy nie znaleziono w mieście jakiegoś trupa. Mogła również, zakładając, że ten mężczyzna-chłopiec rzeczywiście popełnił ten akt i pozbył się ciała gdzieś na paryskim przedmieściu, zadzwonić do prokuratury Ile-de-France. Znała wszystkich prokuratorów. Albo prawie wszystkich.

Druga kawa. Przeszła do salonu. Usiadła na kanapie przed niskim stolikiem. Wyjęła z teczki specjalny spis telefonów wydany przez Ministerstwo Sprawiedliwości.

Najpierw zadzwoniła do biura pełnomocnika Prefektury Policji. Żadnego morderstwa tej nocy. Ale nie minęła jeszcze dziesiąta rano. Ponadto była sobota, co mogło odwlec odkrycie zwłok o dwa dni, jeśli znajdowały się one w jakimś biurze, magazynie czy innym miejscu pracy.

Następnie zadzwoniła do prokuratury w Nanterre.

Nic.

Bobigny.

W nocy doszło do morderstwa w Gagny. Sprzeczka między alkoholikami. Winny był już za kratkami.

Creteil.

Nic.

Jeanne wyszukiwała numery telefonów prokuratur w dużym promieniu od Paryża.

Wersal.

Nic.

Cergy.

Bezdomny, który utonął w Sekwanie.

Meaux.

Nic.

Melun.

Zabita kobieta: przemoc w rodzinie.

Fontainebleau.

Nic.

Pontoise.

Nic.

Spojrzała na zegarek. Była już prawie jedenasta. Zrobiła, co mogła. Za każdym razem prosiła rozmówcę, aby ją powiadomiono o odkryciu jakiegoś morderstwa. Wszyscy jej to obiecali. Bez zadawania zbędnych pytań. Sędzia Korowa była powszechnie znana. Na pewno miała swoje powody. Nie pozostawało nic innego, tylko czekać.

Czas najwyższy zapomnieć o tej historii. Mimo to wystukała numer do sztabu wojskowego centrum dowodzenia na placu Beauvau, gdzie odbierano wszystkie zgłoszenia dotyczące poważnych wypadków w Ile-de-France. I tu nic godnego uwagi.

Sztab żandarmerii w forcie Rosny. Też nic. Nagle przypomniała sobie, że w południe

była umówiona z fryzjerką, a potem na lunch w VIII dzielnicy.

Powrót do realnego świata.

Przebrała się i uczesała. Twarz w lustrze potwierdziła jej obawy. Wyglądała tak, jakby spędziła noc na paleniu i picciu. Spróbowała poprawić to makijażem.

Wyszła z domu w południe, o godzinie, na którą była umówiona. Czarne dżinsy. Otwarte sandaalki. T-shirt DKNY. Berecik na głowie w nadziei, że fryzjerka dokona cudu. Nie myślała już o potencjalnym morderstwie. Ani o Feraudzie. Ani o niczym.

Zmienić uczesanie.

Sobotni pośpiech.

18.

Półtorej godziny potem Jeanne Korowa weszła do restauracji. Kiedy w barze podała nazwisko osoby, która ją zaprosiła, poprowadzono ją między stolikami. Wysokie sufity. Witraże w oknach. Styl art deco. A przede wszystkim dużo przestrzeni między gośćmi. Czytała gdzieś, że ten styl architektury zainspirowany był salą jadalną na statku. W każdym razie zawsze, kiedy tu wchodziła, odnosiła wrażenie, że wchodzi na pokład.

- Przepraszam za spóźnienie.

Emmanuel Aubusson, ubrany w jasny garnitur szyty na miarę, zaprezentował całe swoje metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wysokości. Pocałował ją w oba policzki z ojcowską czułością. Ten starszy mężczyzna nigdy nie był jej kochankiem. Był dla niej kimś o wiele ważniejszym. Mistrzem. Mentorem. Ojcem chrzestnym. Jeanne poznała go, gdy kończyła studia prawnicze i zaczynała praktykę. Pracowała u jego boku, kiedy był on jeszcze prezesem Sądu Kasacyjnego w Paryżu. W wieku siedemdziesięciu lat Aubusson miał szczupłą sylwetkę i silną osobowość. Oko tak samo błyszczące jak rozetka Legii Honorowej w jego butonierce. Prawdziwy kondotier. Ale nie tylko.

Uwielbiał paradoksy. Łączył w nich swą wiedzę i inteligencję.

Wojujący lewicowiec, zrobił majątek w wieku ponad sześćdziesięciu lat, stając się ekspertem prawnym w dziedzinie rozwodów. Jeszcze dziś mógł zażądać kilkudziesięciu tysięcy euro za to tylko, że włożył okulary i pochylił się nad jakimś kontraktem małżeńskim. Samotnik, nieprzystępny, nigdy się nie ożenił, ale pozostał kobieciarzem. Nie mając dzieci, okazywał bezgraniczną czułość dla wszystkiego, co bezbronne i niewinne. Przede wszystkim jednak ten chłodny, surowy, rygorystyczny mężczyzna był estetą. Pasjonował się sztuką.

Aubusson nauczył Jeanne zawodu prawnika i historii sztuki. Te dwie dziedziny połączyły się w końcu ze sobą podczas pewnej wizyty w Luwrze w sali greckiej i rzymskiej rzeźby.

- Dlaczego umówił się pan ze mną właśnie tutaj?

- Od dawna interesuję się grecką rzeźbą. Jej pierwszymi wiekami. Potem byli Praksyteles, Fidiasz, Lizyp. Późniejszą rzeźbę okresu hellenistycznego lubię mniej. Za dużo draperii, ruchu, w jakiś sposób mniej czystego stylu.

- Obiecał pan dać mi ostatnie rady, zanim rozpocznę pracę sędziego.

- To miejsce jest tego metaforą.

- Nie rozumiem.

Wziął ją delikatnie pod rękę i podprowadził do posągu atletycznie zbudowanego mężczyzny z pustym spojrzeniem, z chłopcem na ręku.

- Hermes trzymający małego Dionizosa. Jedyna znana rzeźba, która wyszła spod ręki Praksytelesa. Ale i tak nie ma co do tego pewności. Spójrz na te linie, zgięcia, wypukłości. Mówi się, że Grecy idealizowali naturę, podobnie jak fotograf dokonujący retuszu portretu. To nieprawda. Rzeźbiarze greccy pracowali odwrotną metodą.

Jeanne nie mogła oderwać oczu od szczupłej postaci, której muskuły grały pod marmurową powłoką.

- Rzeźbiarze greccy wyszli od starożytnej tradycji egipskiej, stopniowo ukazując rysy, znaki, cechy szczególne człowieka. Słabości ich modelu. Starali się tchnąć coraz więcej życia w tworzone przez siebie posągi. Właśnie w czasach Praksytelesa metoda ta dała najlepsze owoce. Starożytne kanony nabrały życia, zaczęły oddychać w rękach rzeźbiarza. Znalaziono równowagę między abstrakcją i indywidualizmem.

Jeanne czuła rękę starszego pana na swoim ramieniu.

- Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z teczkami prowadzonych przeze mnie spraw.

- Twoje tečky, Jeanne, to twoje rzeźby. Zawsze będziesz się starać, aby osiągnąć w nich doskonałość. Żeby zeznania świadków współgrały z czasem. Żeby pokazać najdokładniej motywy. Że był jeden winny... Ale j radzę ci, żebyś postępowała odwrotnie.

- To znaczy?

- Pracuj tak jak Grecy. Scalaj niedoskonałości. Miejsca i godziny, które się nie zgadzają. Czarne dziury w zeznaniach. Sprzeczne motywy. Respektuj te anomalie. Szanuj życie twoich teczek! A wtedy ujrzysz inne prawdy, które niekiedy zaprowadzą cię gdzie indziej. Nie powinienem ci tego mówić, ale pewne sprawy prześladowają mnie do dziś. Szczegóły, które do siebie nie pasowały, a które odrzucałem w trosce o logikę. Te grzechy

ścigały mnie całe lata, aż odsłoniły mi inną prawdę. A przynajmniej zbudziły we mnie poważne wątpliwości.

- Czy chce pan powiedzieć, że do więzienia poszli niewinni ludzie?

- Niewinni, których uważałem za winnych. To się zdarza, takie jest życie. My, sędziowie, stanowimy jeszcze jedną niedoskonałość w procedurze sądowej.

Jeanne nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała. Przez następne dziesięć lat zawsze tak opracowywała akta prowadzonych przez siebie spraw, żeby wszystko było w nich jasne i logiczne. Również przejęła od niego zamiłowanie do greckiej i rzymskiej rzeźby. Odbyła wiele podróży do Grecji, Włoch, Afryki Północnej, gdzie muzea pełne były starożytnych zabytków. Nawet w Paryżu często chodziła do Luwru, by podziwiać antyczne posągi.

- Co słychać? - zapytała, siadając naprzeciw niego.

- Teraz, w czerwcu, jest dużo lepiej. - Zdjął okulary i przebiegł wzrokiem przyniesioną im kartę. - Skończyliśmy ze wszystkimi tymi idiotyzmami z maja sześćdziesiątego ósmego roku.

Jeanne uśmiechnęła się. Zanosilo się na polityczny dyskurs.

- Przecież brałeś w tym udział, prawda?

- Brałem.

- I nie zgadzasz się z tym wszystkim, co powiedziano i napisano o tamtych wydarzeniach?

Zamknął kartę. Nałożył z powrotem okulary. Miał wysokie czoło, siwe, kręcone włosy, władcze rysy, czarne oczy z niebieskimi sińcami. Wydawało się, że wewnętrzne spalanie się pogłębiło jego zmarszczki, tak jak słońce spieka afrykańską ziemię. Mimo to emanowała z niego siła. Aubusson nie należał do gatunku ludzi słabych.

- Jedno mogę stwierdzić - odrzekł - że nasi rodzice nie szykowali nam kanapek, gdy szliśmy na manifestacje. Byliśmy przeciwko nim. Występowaliśmy przeciwko burżuazyjnemu porządkowi. Walczyliśmy o wolność, swobodę myślenia, racjonalizm. Dzisiaj młodzi ludzie manifestują z myślą o czekającej ich emeryturze. Burżuazja zbrukała wszystko. Nawet ducha buntu. Kiedy ustalony porządek produkuje swoją własną opozycję, nie musi się już niczego obawiać. To era Sarkozy'ego. Era, kiedy nawet prezydent jest zwolennikiem sztuki i poezji. Naturalnie poezji, która ma sukcesy. Raczej Johnny Hallyday niż Jacques Dupin.

Lunch z Aubussonem bez przemowy przeciwko Sarkozy'emu byłby czymś niezwykle. Chcąc zrobić mu przyjemność, powiedziała:

- Zauważyłeś, że jego notowania w sondażach stale spadają?

- Podniosą się. Nie martwię się o niego.
- A jednak zaczynasz go doceniać.
- Myśliwy nabiera na koniec sympatii do starego słonia, na którego polował od wielu lat...

Kelner przyniósł zamówione przez nich dania. Dwie sałatki, wodę gazowaną. Żadnych frykasów. Oboje odżywiali się skromnie.

- Co u ciebie? - zapytał Aubusson.
- Jakoś leci.
- A sprawy miłosne?

Jeanne pomyślała o Thomasie. Z nim skończone. O Feraudzie. Niezaczęte.

- Znajduję się w punkcie zerowym.
- A co w pracy?

W tej sekundzie Jeanne zrozumiała, że przyszła tutaj podświadomie po to, żeby zapytać o radę. Opowiedzieć o swoim dylemacie. Nielegalne podsłuchy. Podejrzenie o morderstwo. Jak wybrnąć z tej sytuacji?

- Mam pewien problem. Posiadam informacje, dane, których jeszcze nie sprawdziłam, a które mogą się okazać bardzo ważne.

- Polityczne?
- Kryminalne.
- W czym problem?
- Nie mogę zdradzić źródła. Nawet nie jestem pewna autentyczności tych informacji.
- Możesz się nimi jednak posłużyć, żeby posunąć się dalej.
- Niezupełnie. Informacja jest cząstkowa.
- Czego właściwie dotyczy?
- Tej nocy być może zostało popełnione morderstwo w dziesiątej dzielnicy.
- To łatwo sprawdzić.
- Jak na razie niczego takiego nie odkryto.
- Znasz nazwisko ofiary?
- Zabójcy. I to nie do końca. Tego też nie mogę wykorzystać. Moje źródło jest zbyt...

ryzykowne.

Aubusson zamyślił się. Jeanne znowu rozejrzała się po wnętrzu w złotobrazowej tonacji. Lustra. Witraże. Dekoracja sali jadalnej na statku. Wsiadła na statek, ale nie wiedziała, dokąd płynie.

- Pamiętasz, jak razem byliśmy w Luwrze? - zapytał w końcu. - Sztuka grecka.

Niedoskonałości człowieka zintegrowane przez doskonałość reguły.

- Nadal szukam sensu w tej idei.
- Niedoskonałość stanowi część każdej pracy.
- Miałabym zboczyć z drogi? Prowadzić śledztwo, nie przestrzegając reguł?
- Pod warunkiem, że wszystko się uda. Wtedy dopasujesz akta.
- Jeśli dostanę tę sprawę.
- Zadzwoń do prokuratury. Idź za ciosem. Liczy się tylko rezultat.
- A jeśli się mylę?
- Okaze się, że jesteś zwykłą istotą, której powierzono niezwykłą władzę. To także reguła.

To właśnie Jeanne chciała usłyszeć. Uśmiechnęła się. Przywołała kelnera.

- Chciałabym się napić czegoś mocniejszego. A ty?
- Chętnie.

Niemal natychmiast przyniesiono im kieliszki z szampanem. Po kilku łykach Jeanne poczuła się znacznie pewniej. Zimno zapobiega rozkładowi. Te małe cierpkie bąbelki dodały jej siły. Zamówili jeszcze raz to samo.

- A jak twoje sprawy miłosne? - zapytała.

- Mam jeszcze kilka studentek na podorędziu - odrzekł starszy pan. - No i moją oficjalną przyjaciółkę. Pani adwokat około czterdziestki, która nie traci nadziei, że się z nią ożeni. W moim wieku! Jeszcze inne dwie sądzą, że mają szansę.

- Musi cię to chyba męczyć.

- Nie mówię, że je wszystkie uwielbiam. Ale lubię tę otoczkę miłości wokół mnie. To jak Taniec Matisse'a. One kręcą się wkoło, a ja maluję je na niebiesko...

Jeanne skrzywiła się. W głębi duszy nie pochwalała zachowania swojego mentora. Niewierność. Kłamstwa. Manipulacja. Nie była jeszcze tak stara, żeby rezygnować z marzeń o uczciwości.

- Jak ty to robisz? Jak możesz żyć w hipokryzji, w ustawicznej zdradzie? - Uśmiechnęła się, żeby złagodzić gwałtowność swoich słów. - A gdzie w tym wszystkim szacunek?

- To z powodu śmierci - odrzekł Aubusson niespodzianie poważnym tonem. - Śmierć upoważnia do wszystkiego. Można by sądzić, że w miarę jej zbliżania się zaczynamy odczuwać skruchę, oczyszczać się. A tymczasem jest na odwrót. W miarę starzenia się dostrzegamy, że wszystkie ideały, wszystkie problemy tracą na znaczeniu. Jedno jest tylko pewne: to, że umrzemy. I że nikt nie da nam drugiej szansy. No więc zdradzamy żony,

łamiemy przysięgi. Przebaczamy sobie wszystko lub prawie wszystko. Ludzie, z którymi masz do czynienia, kradną, gwałcą, zabijają z tą samą ideą. Dostać to, czego pragną, zanim będzie za późno. Jak usłyszałem w pewnym filmie: „Niebo może poczekać”.

Jeanne opróżniła kieliszek. Szczypało ją w gardle. Nagle ogarnął ją smutek. Kelner zaproponował kartę deserów. Odmówiła. Aubusson zamówił jeszcze dwa kieliszki.

- Wiesz - podjął weselszym tonem - badam teraz pewien mały problem. Modyfikację, jakiej dokonał Rimbaud w jednym ze swoich wierszy. „Co ona odnalazła? Wieczność? Morze wymieszane ze słońcem”.

Jeanne nie pamiętała tego wiersza, ale przypomniała sobie pewien obraz. Ostatnia scena w Szalonym Piotrusiu Jeana-Luca Godarda. Linia horyzontu. Słońce wślizgujące się w morze. Słowa Rimbauda, które w tle wypowiadają cichym głosem Anna Karina i Jean-Paul Belmondo...

- Chciałeś powiedzieć: „Morze odeszło wraz ze słońcem”.

- Właśnie że nie. Rimbaud opublikował dwa razy ten czterowiersz. Za pierwszym razem w wierszu zatytułowanym *Wieczność*. Za drugim razem, znacznie później, w wierszu *Sezon w piekle*. Najpierw napisał: „Morze odeszło wraz ze słońcem”. A następnie: „Morze wymieszało się ze słońcem”. Mimochodem zgubiła się idea ruchu. Szkoda. W początkowej wersji piękne jest to, że idea wieczności jest wynikiem spotkania. Nieskończoność w drodze do innej nieskończoności. W moim wieku takie idee uwodzą. Jakby śmierć nie była przepaścią, czymś w rodzaju łagodnego zbrocza...

- Jak myślisz, dlaczego Rimbaud dokonał tej zmiany?

- Może dlatego, że czuł, iż młodo umrze i że nie pozna tego ruchu. Rimbaud był spieszącym się posłańcem.

Jeanne podniosła kieliszek:

- Za Rimbauda!

Czuła się już pijana. Drgnęła na wspomnienie słów starego Hiszpana: „Obawiam się, że tej nocy kogoś zabije. W Paryżu. W X dzielnicy”.

Poszperała w torebce i spojrzała na telefon komórkowy.

Żadnych wiadomości.

A więc nie ma trupa.

Uświadomiła sobie, że czeka także na telefon od Ferauda. To było naprawdę jej przeznaczenie. Była nie tylko uzależniona od telefonii Orange. Ale także, a nawet przede wszystkim, od pragnienia bycia kochaną.

Abonament na wieczność.

19.

Po wyjściu z restauracji na avenue Montaigne Jeanne nie poszła na parking po samochód. Za dużo wypła. Postanowiła przespacerować się, żeby wytrzeźwieć. Była dwa kroki od parku Champs-Elysees. Zdecydowała się więc na wędrowkę pieszo...

Odnalazła miejsce, gdzie spacerowali poprzedniego wieczora. Minęło zaledwie kilkanaście godzin, a ten moment wydawał się jej taki daleki, nieuchwytny. Tak jak wtedy, gdy usiłujemy przypomnieć sobie sen z minionej nocy.

Szła, pocąc się w słońcu, z każdym krokiem wyparowując z siebie alkohol. Dotarłszy na plac Concorde, przecięła avenue Champs-Elysees i poszła z powrotem w kierunku parkingu na avenue Matignon. Przed wjazdem na parking zawahała się, po czym skierowała się w stronę skweru Champs-Elysees. Weszła tam i usiadła w słońcu. Na skwerze było brudno. Wszędzie wałały się śmieci. Na lewo od niej działał w najlepsze, jak zawsze w soboty, targ znaczków. A ciemnozielony teatrzyk Guignol, który wydawał się ukrywać jakiś sekret, przyciągał dzieci.

Znowu oddała się marzeniom. Z większą swobodą. W myślach postawiła nawet wszystko na jedną kartę, jak w telewizyjnej grze, i użyła słów, których na ogół unikała. Słów bardzo starych, najzwyklejszych, najczęściej wymawianych: „wielka miłość, mężczyzna mojego życia, piękny romans...”.

Sama zaskoczona była, że zastosowała je w odniesieniu do Antoine'a Ferauda. Mężczyzny, z którym rozmawiała krócej niż przez godzinę. Psychiatry, którego szpiegowała, założywszy u niego podsłuch. Specjalisty, o którym nic nie wiedziała, który wydawał się zajmować nie tylko pracą. Ale ten pośpiech właśnie był częścią romansu, miłości od pierwszego wejrzenia...

Z marzeń wyrwały ją jakieś krzyki. Nie, nie krzyki. Śmiechy. Uśmiechnęła się bezwiednie, obserwując dzieciaki bawiące się w piasku, idące niepewnym krokiem po trawniku. Dziecko. Ostatnie słowo z jej szkatułki ze skarbami...

Jeanne podchodziła do tego zbyt poważnie. Wiedziała o tym, ale gdy mówiono przy niej o zmianach fizjologicznych w czasie ciąży, gdy snuto powiastki o „piękniejszej skórze” lub przeciwnie o „grubym tyłku”, nie miała w ogóle ochoty tego słuchać ani o tym mówić. Tak to wyglądało z pozoru.

Gdyby zaszła w ciążę, złączyłaby się z logiczną tajemnicą kosmosu. Dostąpiłaby intymnego zrozumienia swojej istoty, a jednocześnie nastąpiłaby jej integracja z

mechanizmem wszechświata. Oczekiwała, że wraz z zawrotem głowy zmieszonym z lękiem pojmie sens człowieczeństwa. Że jej macica wejdzie do akcji, aby ofiarować jej najpiękniejszą rolę. Że jakiś mężczyzna ofiaruje jej miłość, zaufanie, oddanie, aby przekształciła je we własnym wnętrzu w życiodajne jądro. Taka była istota prokreacji. Miłość, która staje się ciałem. Duch, który staje się materią...

Słońce już zaszło. Niebo poczerniało. Zanosiło się znowu na burzę. Wstała pochlipując, zalana łzami. Teraz myślała, że wszystko jest już dla niej stracone. Nieosiągalne. Nigdy nie znajdzie drugiej swojej połowy. Nigdy nie połączy się z mężczyzną. Była kobietą podzieloną na kawałki. Jak jej siostra, którą znaleziono na parkingu bez rąk i nóg. Albo jak ta cytogenetyczka z poderżniętym gardłem, torturowana i pożarta, znaleziona przedwcześniej...

Poczuła w gardle gorycz. Miała ochotę wymiotować. Uratował ją sygnał komórki, która zadzwoniła w momencie, gdy zaczął padać deszcz. Szukała po kieszeniach, w torbie, jeszcze chwila i telefon się wyłączy. Pomyślała najpierw, że to Feraud. Potem, że Prefektura Policji, bo znaleziono jej trupa.

- Słucham?

- Przyjeżdżaj. Mam kolejny przypadek. Podekscytowany głos Francois Taine'a.

- Kolejny przypadek?

- Znowu morderstwo z kanibalizmem.

- Gdzie?

- Goncourt. Ulica Faubourg-du-Temple. Dziesiąta dzielnica. Zadzwonił do mnie zastępca prokuratora. Wiedział, że prowadziłem dwie poprzednie sprawy.

Jeanne nie odpowiedziała. W mózgu zapaliły się jej czerwone światełka. Oczywiście wybuchła niczym błyskawica.

„Obawiam się, że tej nocy kogoś zabije. W Paryżu. W X dzielnicy”.

Joachim był zabójcą kanibalem.

A raczej ten mężczyzna-chłopiec w jego wnętrzu.

Z trudem powstrzymała krzyk narastający jej w gardle.

- Podaj adres - zdołała powiedzieć.

20.

Jeanne wpadła do mieszkania, żeby odświeżyć się i przebrać. O godzinie dwudziestej była już na miejscu. Nie pod numerem sto jedenaście przy ulicy Faubourg-du-Temple, gdzie

popelniono zbrodnię, ale od drugiej strony tego kompleksu budynków, gdzie można było zachować pełną dyskrecję, z dala od policyjnych furgonetek i samochodów z migającymi kogutami na dachach.

Wejścia pilnowało tylko dwóch policjantów. Czekał tam na nią Francois Taine.

- Co my tu mamy? - zapytała Jeanne bez żadnych wstępów.

- Młoda kobieta. Poderżnięte gardło. Odcięte ręce i nogi. Padła ofiarą tego samego kanibala. Nie ma wątpliwości.

- Jak się ona nazywa?

- Francesca Tercia.

- Wiek?

- Starsza od tamtych dwóch. Trzydzieści cztery lata.

- Miała coś wspólnego z medycyną?

- Nie. To artystka. Rzeźbiarka pochodzenia argentyńskiego.

- Gdzie dokładnie ją znaleziono? Na parkingu?

- Nie. W atelier, w którym pracowała. W głębi podwórza, tam dalej.

- Jakiego rodzaju była artystką?

- Dość specjalną. W tym atelier wykonywano rekonstrukcje o charakterze paleoantropologicznym. Rzeźby przedstawiają w sposób wyjątkowo realistyczny ludzi prehistorycznych. Postacie z silikonu i futra, które naprawdę robią wrażenie. Zabito ją pośród ludzi z Cro-Magnon i neandertalczyków.

Jeanne słyszała o tym atelier, chyba jedynym w swoim rodzaju na świecie. Czytała artykuły o kobiecie, która je stworzyła. Nie pamiętała jej nazwiska, ale wiedziała, że artystka potrafi odtworzyć rysy twarzy człowieka sprzed trzydziestu tysięcy lat na podstawie znalezionej czaszki.

Jeanne знаła ją jeszcze z innego powodu.

- Czy przypadkiem to atelier nie pracowało dla nas?

- Dla nas?

- Dla policji. Robią w nim rekonstrukcje na podstawie kości specjalną metodą.

- Nie wiem. Właścicielka jest tutaj. Zapytasz ją o to.

- A co wiesz o ofierze?

- Na razie nic.

Taine stał obok skrzynek na listy, opierając się o ścianę, z rękami założonymi z tyłu. Miał na sobie koszulkę polo firmy Lacoste i bawełniane spodnie. Nie zapalił światła na klatce schodowej. Jego twarz tonęła w półmroku. Trudno było odgadnąć, o czym myślał. Jego głos

świadczył o zdenerwowaniu i podnieceniu. Oczywiście był zadowolony, że ją widzi, że ma ją w zasięgu ręki. Gdy w grę wchodziły trupy, zjawiała się w błyskawicznym tempie...

- Czy z wyglądu była podobna do tamtych? - zapytała Jeanne.

- Trudno powiedzieć. Brunetka. Dość pulchna. Raczej ładna. To znaczy była ładna... widziałem zdjęcia. Zabójca nie ma wyraźnie określonego typu ofiary. Może wybierał je z powodu, którego nie znamy, i...

- Czy sprawdziłeś elementy, o które cię prosiłam?

- Miałaś rację w jednym punkcie. Zabójca wykradł z laboratorium Pavois płyn o wodniowy.

- A moje drugie pytanie?

- Pomyliłaś się. Wykonano analizę DNA, z której wynika, że zabójca to mężczyzna.

Za każdym razem ten sam.

To mężczyzna, pomyślała Jeanne, i ja znam jego imię...

- A z DNA nie możemy się niczego dowiedzieć?

- Na pewno nie jego nazwiska. Facet nie jest rejestrowany, czego można było się spodziewać.

- Nie cierpi na żadną chorobę genetyczną? Na coś nietypowego?

- Absolutnie nic godnego uwagi. Profil standardowy.

Taine westchnął i oderwawszy się od ściany, zaczął chodzić tam i z powrotem.

- To wszystko - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Jest tego za mało. Najmniejszej wskazówki. Brak świadków. Nikt nie widział żadnej z tych ofiar w towarzystwie jakiegoś podejrzanego typu. Nie ma śladu żadnych kontaktów. Ani telefonicznych, ani w Internecie. Ten facet to człowiek widmo. Materializuje się, dokonuje swojego obrzędu i dematerializuje się. - Taine strzelił palcami. - Ot, tak.

- Dobrze poszperaliście w życiu prywatnym ofiar?

Taine z rękami w kieszeniach spojrzał w twarz Jeanne. Choć stał tyłem do światła, widziała jego błyszczące intensywnie oczy.

- A jak sądzisz? Reischenbach przeszedł codzienne zajęcia tych kobiet. Ich karty kredytowe, książeczki czekowe. Rozmowy przez telefon komórkowy. Sprawdzono nawet dzięki posiadanym przez nie abonamentom trasy ich przejazdów za pośrednictwem automatycznej wypożyczalni rowerów, Velib. Nie ma nic. Wiadomo natomiast, że się nie znały. Nie zetknęły się z zabójcą przed morderstwem.

- Na pewno?

- W każdym razie w ostatnich sześciu miesiącach nie spotkały tej samej osoby. Zresztą

dwie z nich prowadziły dość ograniczone życie towarzyskie. Pierwsza miała męża, Wietnamczyka. Druga niedawno się rozwiodła po dwóch latach małżeństwa. Bez dzieci. Żyła z szefem laboratorium.

- Przesłuchaliście byłego męża?

- Jeanne, mówisz mi o elementarnych sprawach. Te morderstwa mają inny wymiar. To coś absolutnie wyjątkowego, kapujesz?

Tak, kapowała. „Las, który gryzie...”.

- Wszystko wskazuje na to, że morderca jest zorganizowany, działa na zimno. Mimo jatki, jaką zastajemy na miejscu zbrodni. Wybierał ofiarę. Obserwował ją. Śledził, żeby zaskoczyć ją we właściwym momencie. Wszystko z powodów znanych tylko jemu.

- To niemożliwe, żebyście nic nie mieli.

Taine oparł się o skrzynki pocztowe.

- Dobra - rzekł. - Mamy jeden detal.

- Jaki detal?

- Autyzm.

- Wyjaśnij to.

- Mam dokładne informacje o pracy pierwszej ofiary, Marion Cantelau. W jej instytucji przyjmuje się wyłącznie dzieci mające problemy z rozwojem psychicznym. Co najczęściej oznacza syndrom autyzmu.

- Gdzie związek z drugą ofiarą, Nelly Barjac? - zapytała Jeanne z naiwną szczerością.

- Albo z zabójcą?

- Co do Barjac, nie wiem. Ale odwrócone dłonie zabójcy mogą być symptomem autyzmu. Chodząc na czworakach, skręca dłonie w kierunku stóp.

Były jeszcze inne symptomy. Znowu głos Ferauda: „Inwersja zaimkowa. Powtarzanie pytań. Powtarzanie echolaliczne. A czy zauważył pan, jak zmieniała się jego twarz, gdy mówił ten drugi...”.

Taine, nie zdając sobie z tego sprawy, był na tropie Joachima.

Istoty w jego wnętrzu...

- Masz jakiś pogląd?

- Nie mam żadnego. Dowiedziałem się, że zabójca z autyzmem nie wchodzi w rachubę. Nie potrafiłby zaplanować i popełnić takich morderstw. Tego typu chory może zachować się gwałtownie, jeśli poczuje się zagrożony, ale nie zabija z premedytacją.

- Czy mógłby istnieć jakiś związek z amniocentezą?

- Nie. W laboratorium Pavois nie wykrywa się anomalii genetycznych. Zresztą nic nie

przemawia za tym, że autyzm ma coś wspólnego z genami. Specjaliści mają w tym względzie wątpliwości.

- Wróćmy do pierwszej ofiary. Czy sądzisz, że zabójca bywał w tym instytucie jako dziecko?

- Tak. Ale tutaj znowu mamy impas. Nasz klient jest dorosłym człowiekiem. Mógł być leczony co najmniej dwadzieścia lat temu. A wtedy to centrum jeszcze nie istniało.

Taine postukał palcami w skrzynki. Zrobione były z drewna i przypominały domki dla ptaków rozwieszane w parkach.

- A te napisy?

- Eksperci jeszcze się nie wypowiedzieli. Niczego jednak nie spodziewam się z tej strony. Facet wymyślił jakiś język. Sztuczka, która nic nie znaczy. Nawet jeśli te znaki przypominają jakiś alfabet.

- Poczekaj na opinię specjalistów.

Taine wzruszył ramionami.

- Nic więcej nie mogę zrobić.

Znowu zaczął chodzić tam i na powrót. W sposób mniej nerwowy, mniej pewny. Powrót do stanu medytacji. Pomieszanych odczuć. Do stanu „impresjonistycznego”.

- Moim zdaniem - stwierdził w końcu - wszystko to przypomina nawrót do czasów pierwotnych. Regresja gatunku ludzkiego. Sceneria zbrodni odwołuje się do rytuału składania ofiar. Parkingi, podziemia to współczesne jaskinie. W tym sensie atelier pasuje do reszty.

- Dlaczego?

- Sama zobaczysz. Oto inny szczegół: według patologa kości ofiar zostały pocięte za pomocą krzemienia lub jakiegoś kamiennego narzędzia. Łamał kości także po to, żeby wysysać z nich szpik. Nasz facet naprawdę robi z siebie człowieka prehistorycznego z tendencją do kanibalizmu. Co stanowi pewne powiązanie z rzeźbiarstwem Franceski Tercii. Wszystko to prowadzi nas do czegoś archaicznego, z niepamiętnej przeszłości. Nawet ten autyzm, żeby być uznanym za cofniętego w rozwoju...

- No dobra - powiedziała Jeanne z nagłą niecierpliwością. - Idziemy tam?

- Podnieca cię to, prawda? - zapytał Taine z okrutnym uśmiechem.

- Co takiego?

- Zimne mięso.

- Nie bardziej niż inne.

- Daj spokój. No to chodźmy.

- Nie. Poczekaj. Uważasz, że zachowuję się jak sęp?

Taine zatrzymał się. W jego uśmiechu pojawiła się odrobina czułości.

- Nie zauważyłaś, że byłaś nieco... ponura?

- Ponura? Ani trochę.

- Powiedzmy, że nie jesteś wesoła.

- Zdarza się.

- Założę się, że nie znasz nawet ani jednej zabawnej anegdotki.

- Znam, i to dużo.

- Zamieniam się w słuch.

Jeanne zamyśliła się nad absurdalnością tej chwili. Na progu miejsca zbrodni zachodziła w głowę, szukając dobrego dowcipu. Chciała jednak udowodnić temu głupkowi, że nie jest taka, na jaką wygląda. Sędzią śledczą spragnioną krwi. Kobieta samotną. Dziewczynką z traumą, która w myślach wciąż znajduje się w milczącym lesie i odlicza...

- Czy wiesz, jaka jest różnica między systemem zraszania a kobietą, której proponuje się sodomie?

- Nie wiem.

- Nie ma żadnej. - Jeanne pokręciła wolno głową z lewa na prawo, naśladując automatyczny zraszacz. - Psyk, psyk, psyk, psyk...

Taine roześmiał się.

- Idziemy obejrzeć te jatki.

21.

Pierwsza sala pełna była rozłożonych na półkach głów ilustrujących epoki, wyobrażenia, różne domeny. Można było rozpoznać osobistości kina, telewizji, polityki. Przede wszystkim jednakże przodków gatunku ludzkiego. Były również nagie postacie z fajansu o muskulaturze wykonanej szpatułką.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi.

Jeanne podążała za Taine'em. Policjanci rozciągali żółte taśmy zagrażające dostęp do półek, starając się niczego nie stracić. Wszyscy przepychali się łokciami. Wokoło unosił się zapach gliny, trocin, jakichś chemikaliów.

Druga sala była jeszcze dziwniejsza.

Wzdłuż ścian stała obojętna na wszystko pomarańczowa armia figur w najróżniejszych pozycjach. Każda postać otoczona była koroną z tego samego materiału.

Torsy, ręce i nogi leżały na podłodze. Jeanne pamiętała, że rzeźbiarze najpierw modelowali sylwetki z gliny, potem oblepiali je warstwą elastomeru. Uzyskany odlew służył do utworzenia posągu z silikonu.

Trzecia sala poświęcona była obrzędom ofiarnym.

Taine zwrócił się do techników policyjnych w białych kombinezonach:

- Moglibyście nas zostawić na moment?

Technicy bez słowa opuścili salę. Jeanne weszła za Taine'em i doznała szoku na widok tego, co ujrzała. W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że prehistoryczni ludzie, te istoty z zamierzchłych czasów, urządzili sobie święto. Ofiara nadal wisiała głową do dołu, podczas gdy mężczyźni w zwierzęcych skórach obserwowali ją w milczeniu. Myśliwi ze zmierzwionymi włosami, z wydatnymi łukami brwiowymi, wystającymi szczękami, dźwigający na barkach łanie lub wymachujący harpunami z rybami na ich końcach. Z pokornej i zarazem zwycięskiej postawy tych hominidów wyzierała duma z tego, że jeszcze raz zatriumfowali nad naturą.

- Niesamowite, prawda? - szepnął Taine.

Jeanne w odpowiedzi kiwnęła szybko głową. Wstrzymując oddech, przyglądała się ofierze. Kobieta była naga.

Zawieszona pod sufitem na jednej nodze.

Zabójca użył systemu bloków znajdujących się w atelier zapewne do podwieszania rzeźb. Kobieta przypominała pomalowany posąg. Kontrast białej skóry z niebieskawymi krwiami, czarnymi smugami. Wolna noga dziwnie zgięła się w kierunku brzucha niczym u biegacza przed startem. Do tego wszystkiego dziwaczny szczegół - patolog włożył do ucha kobiety specjalny termometr, by zmierzyć temperaturę błony bębenkowej.

Jeanne kontynuowała oglądanie zwłok. Morderca otworzył brzuch ofiary aż do wzgórka łonowego i wyciągnął wnętrzności, zakrywając nimi jej twarz. Spod wnętrzności można było dostrzec opuchnięte, poranione rysy twarzy. A także rozprute gardło...

Spróbowała odtworzyć scenę. Jeśli zabójca został zaskoczony, to nie miał czasu dokończyć swojej roboty. Niewykluczone, że mógł zmienić swoją metodę. W każdym razie nie odciął jej rąk i nóg. Zadowolił się wyrwaniem kawałków ciała z ud, pachwin, pośladków. Z pewnością po to, żeby je zjeść.

Na podłodze zostały ślady krwi, mięsa, ścięgien porzuconych lub zwymiotowanych. Kości, chrząstki, oskrobane, wysane. Tej nocy nie było barbarzyńskiego przypiekania na ogniu. Kanibal zadowolił się surowym daniem.

Rozejrzała się wokoło. Nad półkami z narzędziami widoczne były krwawe znaki. Coś

w rodzaju drzew, których gałęzie tworzyły znaki w formie X i Y. Tym razem te sekwensy jeszcze bardziej przypominały chromosomy kariotypu.

Odetchnęła w końcu i zdała sobie sprawę, że zapachy rozpuszczalników i żywicy stłumiły smród krwi i mięsa. Słaba pociecha... Ponownie zaczęła zastanawiać się nad szaleństwem zabójcy. W myślach nie nazywała go Joachimem. Teraz, kiedy zobaczyła, jak przerażający był ten mord, nie mogła jakoś uwierzyć, że słyszała głos sprawcy.

Zabójca odwoływał się do pierwotnych bogów. Może sądził, że tym sposobem ocali duszę. A może planetę, nawet cały rodzaj ludzki. Przypomniała sobie Herberta Mulline'a, seryjnego zabójcę, który wierzył w to, że zapobiegnie trzęsieniom ziemi, dokonując obrzędów ofiarnych, układając z wnętrzości swoich ofiar liczbę odpowiadającą stopniowi zanieczyszczenia powietrza.

Jedno było pewne - zabójca wybrał Francescę Tercię z powodu tego, czym się zajmowała. Chciał działać właśnie w takiej scenerii, wśród sobie podobnych, prymitywnych ludzi, myślących tylko o tym, żeby przeżyć, kultywujących archaiczne wierzenia. Parkingi, ponure podziemia zastępowały mu jaskinie, gdzie ludzie żyli całe tysiąclecia.

Pomyślała o Joachimie, jak szemrzącym głosem powtarzał: *Todas las promesas de mi amor...* Ponownie ogarnęły ją wątpliwości. Czy to naprawdę on był tym zabójcą kanibalem? Może to tylko czysty przypadek. Zbieg okoliczności...

W sali pojawili się znów technicy policyjni w białych kombinezonach.

- Zaraz wracam - powiedziała do Taine'a, który zaczął rozmawiać z szefem tej ekipy.

Wyszła z sali. W korytarzu natknęła się na Reischenbacha z włosami wysmarowanymi żelem. Darł na kogoś gębę. Każda nowa ofiara uświadamiała mu jego bezradność. Jeanne skinęła mu głową. W głębi korytarza trafiła na pomieszczenie pogrążone w półmroku.

Duży, polakierowany na czarno stół. Odgradzona welurowym sznurem grupa posągów. Znowu istoty z pierwszych wieków. Każda inna od pozostałych, co świadczyło o dzielących ich tysiącach, milionach lat. Jeanne machinalnie spróbowała uszeregować je w łańcuchu ewolucji. Po lewej stronie zauważyła parę wątych, czarnych, obrośniętych futrem goryli. Błysk w spojrzeniu i uśmiech w kącikach ust upodabniał je do ludzi. Nieco dalej, również na lewo, inna para z widocznymi kłami. Mniej obrośnięci futrem wydawali się bardziej cywilizowani. Wygładzeni niczym narzędzia z krzemienia, których zapewne używali do polowania i rozpalania ognia. W ich oczach widać było iskrę wyższej inteligencji.

Nieco na uboczu stała, jakby zaproszona przez pomyłkę, grupa wieśniaków - owłosieni, z niskimi czołami, z dzidami w rękach, okryci zwierzęcymi skórami. Zmierzwiłone włosy, kanciaste szczęki, głębokie spojrzenie. Zdawali się zajmować inne miejsce w łańcuchu

ewolucji. Jeanne czytała dużo o rozwoju gatunku ludzkiego. Czytała o rodzinie neandertalczyków, którzy żyli wspólnie z Homo sapiens, zanim znikli z powierzchni ziemi.

W głębi stały posągi przedstawiające ludzi. Nie wyglądali jak współcześni, ale i nie mieli w sobie nic z małp. Uczesani byle jak, w poszarpanych strojach z wyprawionej skóry dzikich zwierząt na sposób Indian z Ameryki, przypominali Mieszczan z Calais Auguste'a Rodina. Wycieńczeni obszarpańcy. Ale w ich szklanych oczach strach ustąpił miejsca sprytowi. Gatunek ludzki posuwał się do przodu.

Wszystkie twarze odbijały się w lakierowanym blacie stołu, jakby szykowały się do picia z czarnej kałuży. Jeanne dostrzegła jeszcze jedną postać przycupniętą na końcu stawu. Kobieta w czarnym futrze lub w starym łachmanie. Uderzające były jej rude, krótko ścięte włosy. Może miała to być szamanka z pierwszych wieków ludzkości?

Kiedy gwałtownie się cofnęła, posąg się poruszył. W rzeczywistości była to kobieta siedząca na końcu stołu otulona czarnym szalem. Jej najeżone jak u punka włosy miały barwę fosforyzującej czerwieni. Wydawała się zupełnie otepiała.

Jeanne intuicyjnie domyśliła się, że jest to właścicielka atelier. Mistrzynie, która dawała życie tym prastarym postaciom. Przyszła tu, by ochłonąć. Jeanne bez zastanowienia zbliżyła się do niej i położyła rękę na jej ramieniu. Rudowłosa kobieta spojrzała na nią. Zawahała się, ale po chwili uśmiechnęła się pomimo wyrazu smutku na twarzy.

Wstała i podała rękę.

- Jestem Isabelle Vioti. Kieruję tym atelier. Pani jest z policji?

- Nie. Jeanne Korowa. Sędzia śledcza.

Oczy Isabelle Vioti zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Rozmawiałam już z sędzią śledczym.

- Towarzyszę mu.

- To normalna praktyka?

- Nie. Ale ta sprawa jest naprawdę... wyjątkowa.

Kobieta gwałtownie opadła z powrotem na krzesło. Jakby te uprzejmości wymagały od niej za dużo wysiłku. Z łokciami na stole objęła dłońmi czoło.

- Nie rozumiem... Nie rozumiem...

- Nikt tego nie rozumie - powiedziała Jeanne. - Nie jesteśmy tu po to, żeby cokolwiek wyjaśniać, analizować. Mamy znaleźć sprawcę. Aresztować go. Nawet jeśli go dopadniemy, nie rozwiążemy od razu tej zagadki.

Isabelle Vioti podniosła wzrok.

- Słyszałam rozmowy policjantów. To nie pierwsze takie morderstwo?

- Z tego, co wiemy, to trzecia ofiara. I to w krótkim czasie.

- Ale dlaczego? Dlaczego właśnie Francesca?

Jeanne wzięła drugie krzesło i usiadła naprzeciwko.

- Francesca nie została wybrana przypadkiem. Zabójca interesował się pani atelier.

- Moim atelier?

- Wszystkie te morderstwa nawiązują do prehistorii. Widziała pani inskrypcje, które zabójca zostawił na ścianie?

- Tak. Nie. Nie chcę na to patrzeć.

Jeanne nie nalegała. Później pokaże jej zdjęcia. Może Vioti będzie umiała coś z nich odszyfrować... Jeanne przerwała rozmyślenia. Co się z nią dzieje? Przecież to nie ona prowadzi śledztwo. Nie ma do tego żadnych uprawnień. Jeśli nawet zna sprawcę.

- Co jest dla pani punktem wyjścia przy odtwarzaniu tych wszystkich postaci? Szkielety?

- Czaszki, kości, odlewy. Kopie szczątków znalezionych w Afryce, w Europie, w Azji. Dla bezpieczeństwa oryginały przechowywane są w muzeach.

- Kto je pani dostarcza?

- Badacze. Muzealnicy.

- Czy nie ukradziono tu czegoś?

- Co ma pani na myśli?

- Czaszkę, fragmenty kości. Czy wszystko jest na miejscu?

- Nie wiem. Trzeba sprawdzić. Dlaczego miano by coś takiego kraść?

- Czy mogę z tobą pomówić? - usłyszała za sobą głos.

Jeanne odwróciła się. W drzwiach stał z wściekłą miną Francois Taine. Jeanne wyszła za nim na korytarz. W drugiej sali technicy policyjni z pomocą sanitariuszy zdejmowali ostrożnie ciało.

- Co ty wyprawiasz? Prowadzisz śledztwo w moim imieniu?

- Chciałam tylko dowiedzieć się, czy...

- Słyszałem. Do czego zmierzają twoje pytania? Myślisz, że zabójca kradnie kości?

- W laboratorium Pavois ukradł płyn owodniowy. Może za każdym razem coś sobie bierze jako łup. Może...

Taine już nie słuchał. Za sanitariuszami i posągami zauważył Langlebera, lekarza sądowego. W ręku miał dyktafon. Z pewnością już dokonał pierwszych oględzin. To on wydał pozwolenie na przetransportowanie ciała.

- Przysięgam, że jeśli ten facet znowu wyskoczy z czymś kretyńskim... - wycedził

przez zęby Taine.

Langleber podszedł do nich.

- Czy wiecie, co powiedział Lacan*?

- A to skurwysyn... - syknął Taine.

- „Jeśli zrozumieliście, to znaczy, że się mylicie”.

- Zaprzeszaniez tych swoich idiotyzmów?

Lekarz sądowy podniósł ręce na znak zgody.

- Dobra. Mówmy o konkretach. Sposób działania taki sam. Tyle tylko że tej nocy facet odwalił swoją robotę byle jak. Albo mu ktoś przeszkodził, albo chciał szybko zakończyć z nieznanych mi powodów. Nie zdjął ofiary. Nie odciął jej rąk i nóg. Nie piekł jej. Co do reszty, wszystko jest tak samo. Krew. Ugryzienia. Wycinanie kawałków mięsa.

- Masz dostarczyć mi raport na jutro rano.

- Będziesz go miał. Poza kilkoma szczegółami w torturowaniu to morderstwo nie różni się od poprzednich.

- Jakimi szczegółami? - zapytała Jeanne.

- Zjadł oczy.

Taine pokiwał energicznie głową.

- Mam już dość - powiedziała z niesmakiem Jeanne. - Spadamy.

Pożegnali Langlebera, przeszli ponownie przez salę odlewów, a następnie przez salę z głowami. Na dworze roіło się od policji. Jedni policjanci rozciągali jeszcze plastikowe taśmy odgradzające główne podwórze. Inni pilnowali wyjść z budynków. Żadnemu cywilowi nie wolno było pojawiać się w obrębie zaznaczonym taśmą, ale wszyscy okoliczni mieszkańcy przypatrywali się temu przez okna swoich mieszkań.

Reischenbach przeszedł pod taśmą i ruszył im na spotkanie.

- No to mamy klops. Są już tu dziennikarze.

- A kto ich poinformował? - zapytał Taine.

- Na pewno nie my. Co z tym robimy?

- Powiedz im, że prokurator zwoła pojutrze rano, w poniedziałek, konferencję prasową. Nie mamy wyboru. To pójdzie szybko, wzięwszy pod uwagę, w jakim punkcie jesteśmy.

Reischenbach oddalił się. Taine wziął Jeanne pod ramię i szepnął:

- Chodź, wyjdziemy od tyłu.

* Jacques Lacan (1901-1981), francuski lekarz i psychoanalityk.

Jak wcześniej w Laboratoriach Pavois, znowu odzyskał swój naturalny wigor. Jeanne ostudziła jego zapał.

- Znajdź mordercę. To nie zabawa.

Uśmiech zniknął z twarzy Taine'a. Nie, nie była to zabawa. Wiedział, że może chodzić o życie przyszłych ofiar. A zegar z krwawą tarczą i krzemiennymi wskazówkami tykał nieprzerwanie.

Jeanne pożegnała się z nim i skierowała do swojego samochodu. Zastanawiała się nad dwiema możliwościami.

Pierwsza - przespać się parę godzin po zażyciu leków.

Druga - dopaść Antoine'a Ferauda i pociągnąć go za język.

Nie było mowy o zabawianiu się w muzealnych koneserów ani o żadnych romansach.

Nadszedł czas prawa i kary.

22.

Już nazajutrz rano doszła do przekonania, że jej pomysł nie jest realny.

Niemożliwe było przepytanie Antoine'a Ferauda, który z pewnością zasłoni się tajemnicą lekarską. Nie mogła także przyznać się przed nim, czym się zajmuje. Na zawsze by go wówczas straciła. Nie mogła mu przecież ujawnić, że z powodu miłosnego zawodu kazała założyć podsłuch w jego gabinecie.

Zostawało tylko jedno - zdać się na Taine'a i spokojnie czekać. Jej wyznanie nie przydałoby się na nic, a ona tylko najadłaby się wstydu, przyznając się do swoich żalonych kombinacji - zainstalowania podsłuchu, odgrywania dziewczyny na luzie, perwersyjnego spędzania nocy na podsłuchiowaniu cudzych sekretów. Taine i tak nie mógłby wezwać Ferauda. Nie mógłby zrobić żadnego użytku z nagrań. Z bardzo prostego powodu - pochodziły bowiem z nielegalnego podsłuchu.

Jeanne sprawdziła godzinę na komórce. Dziesiąta dwadzieścia. Niedziela, 8 czerwca 2008 roku. Potarła twarz. W ustach miała okropny niesmak. Poprzedniego wieczoru przetrząsnęła szuflady w poszukiwaniu środków nasennych. Xanax. Stilnox. Loxapac.

Sen szybko okrył ją sztywnym, gipsowym całunem. Teraz z wysiłkiem otwierała ociężałe powieki.

Wstała z trudem i z okropną migreną poszła do kuchni. Tabletki dolipranu 1000. Tabletki effexoru. Kawa? Herbata? Znowu wracał upał. Duchota wyzierała z każdej szpary w

mieszkań. Zagotować wodę. Liście herbaty yunnan. Czajniczek... Wykonując mechanicznie wszystkie te gesty, powtarzała sobie, że nie może nic zrobić. Absolutnie nic.

Chyba że jedną rzecz...

Postawiła filiżankę i czajniczek na tacy i wróciła do salonu. Ulokowała się na kanapie i zaczęła obmyślać strategię działania. Mogła odgrywać niewiniątko. Zadzwoić do Ferauda. Zobaczyć się z nim. Porozmawiać. Wypytać go o seryjnych morderców. Ale z jakiego tytułu? Przecież pracowała jakoby w jakimś wydawnictwie. Skąd miałyby coś wiedzieć o seryjnych mordercach? I dlaczego psychiatra miałby zdradzić jej swoją opinię? Poznali się dopiero niedawno.

Zamyśliła się. Słońce świeciło jaskrawo na jasne rolety. Jego światło wdzierało się wszędzie. Płonąca kula zapowiadała już od samego rana kolejny upalny, duszny dzień.

Jeanne przypomniała sobie, że na miejscu zbrodni były media. Usiadła przy komputerze. Podłączyła się do Internetu. „Le Journal du Dimanche”. W wydaniu z ósmego czerwca: „Barbarzyńskie morderstwo w X dzielnicy”. Przerzuciła strony. W rubryce „Różne wydarzenia”, na stronie siódmej, zbrodnie z ulicy Faubourg-du-Temple opisana była ogólnikowo. Dziennikarz nie wiedział nic lub prawie nic. Nie wspominał o poprzednich morderstwach ani o kanibalizmie. Te elementy zostaną ujawnione w poniedziałek rano na konferencji prasowej prokuratora.

Czy Antoine Feraud czytał ten artykuł? Czy słuchał porannych wiadomości w radiu? A jeśli tak, czy powiązał to z Joachimem, synem swojego pacjenta? Postanowiła improwizować. Wystukała numer. Poczta głosowa. Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. A Taine? Zadzwoiła do niego. Znowu poczta głosowa. Tym razem nagrała się: „Mówi Jeanne. Jest południe. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz miał coś nowego”.

Nie miała już nic więcej do zrobienia. Mogła tylko patrzeć, jak mija niedziela z jej rozpaczliwą monotonią. Żeby się czymś zająć, wzięła laptopa i przesłuchała jeszcze raz dwa ważne seanse. Pierwszy z samym ojcem; „W nim jest jakiś inny człowiek... Wewnątrz mego syna zrodził się chłopiec. Jak rak...”. Drugi z Joachimem: „Las cię gryzie...”. Prerażające, ale nadal nie można było tego zrozumieć. Żadnej najmniejszej wskazówki.

Godzina trzynasta. Znowu telefon do Antoine'a Ferauda. Znowu poczta głosowa. Tym razem zostawiła wiadomość, starając się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. Prosiła, żeby oddzwonił. Rozłączając się, zagryzła wargi. Psychiatra z pewnością miał coś lepszego do roboty niż umizgać się do niej. Pewnie szukał Hiszpana i jego syna po całym Paryżu, chcąc ich przekonać, żeby zgłosili się na policję...

Poszła pod prysznic, myśląc o niedzielnej pańszczyźnie. Wizyta u matki

przebywającej w zakładzie opiekuńczym. Nie była tam już dwie niedziele pod różnymi pretekstami, żeby tylko uniknąć wyprawy do Chatenay-Malabry. Wymyślała te preteksty nie dla matki, która od dawna już nic nie rozumiała, ale dla samej siebie. Zawsze była przekonana, że należą się jej te wizyty.

Jeanne zjadła śniadanie w kuchni na stojąco. Miseczka białego ryżu. Koktajlowe pomidory. Nienawidziła takich poranków. Sekundy, minuty, godziny kumulowały się, tworząc prawdziwy stalaktyt samotności. Z nikim nie rozmawiała. Nie chciała włączać radia ani telewizji. Jej myśli rozciągały się, zwielokrotniały, odbijały się echem po całym mieszkaniu. Miała wrażenie, że wariuje. Że słyszy głosy. Że mówi do siebie jak jakaś staruszka.

Któregoś dnia obejrzała na kanale angielskim program o samotnych ludziach w mieście. Jakaś czterdziestolatka, siedząc w swojej kuchni, zwierzała się do kamery: „Można mówić o prawdziwej samotności, kiedy w czwartki zaczynamy się bać nadchodzącego weekendu. Kiedy w soboty organizujemy wyprawy do supermarketów. Kiedy zwykły dotyk ręki biurowego kolegi wprawia cię w drżenie na cały wieczór...”.

Jeanne zadrżała, wkładając miseczkę po ryżu do zmywarki.

Godzina czternasta. Nikt nie zadzwonił. Ani Taine, ani Feraud. Spróbowała czytać książkę, ale nie mogła się skoncentrować. Zdrzemnęła się dzięki środkom nasennym, odkładając moment wyjazdu. Obudziła się o piętnastej trzydzieści. Czuliła się całkowicie rozbita. Chwyliła kluczyki od samochodu i iPhone'a. Zamknęła drzwi mieszkania na klucz. Głęboko odetchnęła.

Porte d'Orleans. Droga krajowa 20. Gentilly. Arcueil. Cachan... Nazwy miejscowości zmieniały się, ale pejzaż pozostawał taki sam. Paryskie przedmieścia. Brudne domy. Wysuszone słońcem platan y pozbawione liści z trudem grały swoją zwykłą rolę ukrywania biedy. Od skrzyżowania Croix-de-Berny pojawiły się autostrady. Wiadukty. Rampy dojazdowe. Nazwy jeszcze bardziej odległych miast. A w dole morze dachów, domów z ciosanego kamienia. Wszystko pokryte szarym całunem upału.

Po wielu następnych kilometrach znalazła się na avenue de la Division-Leclerc w Chatenay-Malabry. Instytut Alphedia stał na samym jej końcu. Nowoczesny, ponury, bezbarwny budynek, który przypominał przydrożny hotel trzeciej kategorii. Neonowy napis głosił: „Dom Odpoczynku”. Był to trochę dom wariatów, trochę umieralnia.

W holu zazwyczaj zażywali słońca przez szyby obłożnie chorzy. Nieruchomi, ze szklanym wzrokiem, z twarzami tak pomarszczonymi, iż przywodziły na myśl kłębek nici. Do nich już nic nie docierało. Jeanne często myślała w duchu, że uwiad starczy, choroba

Alzheimerera, w ogóle wszelki brak władz umysłowych były darem z nieba, dzięki któremu nie widziało się zbliżającej się śmierci. W tym stanie szczęściem było to, że nie potrafiło się już liczyć. Ani lat. Ani dni. Ani godzin. W tym stanie powolnej wegetacji ważna była każda sekunda.

Służbowymi schodami wbiegła na drugie piętro. Starła się nie dostrzegać żywych trupów w sali telewizyjnej i z opuszczoną głową weszła do pokoju matki.

Jaskrawe kolory. Wystrój z materiałów po przecenie. Osobiste drobiazgi mające nadać intymnych cech temu miejscu. Za każdym razem, kiedy tu wchodziła, Jeanne myślała o faraonach, którzy kazali się grzebać z przedmiotami otaczającymi ich w życiu codziennym, z ich niewolnikami. Ten pokój był grobowcem. A ona - niewolnicą.

- Dzień dobry, mamó. Jak się czujesz?

Zdjęła zakiet, nie czekając na odpowiedź. Podniosła matkę ważącą jak piórko. Oparła o poduszki. Stara kobieta z kamienną twarzą nie widziała jej. Jeanne także w pewnym sensie już nie widziała matki. Przyjeżdżała tutaj od wielu lat po to, aby stwierdzić, że śmierć jest coraz bliżej. Jeden kilogram mniej. Coraz większe osłabienie. Coraz bardziej sterczące pod skórą kości...

Jeanne usiadła i popatrzyła przez okno. Nawet widoczne tam drzewa, lipy i sosny, wydawały się skażone zgrzybiałością, nieszczęściem. Zdała sobie sprawę ze smrodu panującego w pokoju. Zapach jedzenia, uryny, leków. Nie otworzyła okna. Bo i po co? Na zewnątrz unosiły się takie same wyziewy. Musi się przyzwyczaić. Jak alpinści, którzy aklimatyzują się w miarę osiągnięcia coraz większej wysokości.

Czas płynął. Jeanne siedziała bez ruchu. Nie włączyła telewizora - popołudniowe audycje niedzielne wykończyłyby ją. Nie patrzyła również na tę maleńką, szarą istotę okrytą zbyt grubymi pledami. Upał był nie do zniesienia i obecność tak opatulonej umierającej kobiety jeszcze bardziej pogłębiała jej złe samopoczucie.

Pod pozornym spokojem tej scenerii zaczynały się jej wewnętrzne zmagania. Jeanne starała się odsunąć jak najdalej swoje wspomnienia. Swoje żale. Lata spędzone z tą kobietą, która marniała od śmierci Marie. Pobyt w zakładzie specjalnym, kiedy Jeanne wstąpiła na studia. A potem te rytualne spotkania, wyczerpujące, bezużyteczne, każdej niedzieli przez wiele lat w różnych zakładach. Był to jednak dla niej jakiś punkt oparcia. Biegun jej życia. Mimo iż za każdym razem wychodziła jeszcze bardziej przybita, jeszcze bardziej przygnębiona...

Minęła godzina. Jeanne uznała, że to wystarczy, że spełniła swój obowiązek. Trzeba uciekać przed godziną siedemnastą, porą „obiadu”. Widok bezzębnych ust, połykających

paczkę dla niemowląt, brutalnie przypominał obrazy Bruegla, gdzie śmiech i trwoga ocierają się o siebie w przerażającym kontraście. „Do widzenia, mamó”. Pocałunki na wstrzymanym oddechu. Obszyte lamówką pledy. Drzwi. Ulga.

Pozostawała jeszcze ostatnia próba.

Naprzeciw zakładu otwarty w niedzielę bar ze sklepem tytoniowym przyciągał wszystkich uzależnionych od papierosów z południowych przedmieść. Zawsze z przykrością patrzyła na kolejkę tych ludzi, wymiętych, słabych, podniecających się na myśl, że zaraz odżyją. W głębi baru, przy kontuarze, dostrzegła pijaków. Pomyślała o karaluchach, stonogach, larwach, pełzających pod ziemią.

Ale najgorszy dla niej był znajdujący się kilka metrów dalej zamknięty w niedzielę kiosk z gazetami, w którym wystawione były reklamy pism porno. „Hot-Video”, „Penthouse”, „Podglądacz”... Te zdjęcia ją dobijały. Zdjęcia pokryte kurzem i brudem. Tluste, trupioblade ciała, które mają budzić równie blade pożądanie.

Jeanne wyjęła kluczyki samochodowe. Wpatrywały się w nią dziewczyny z afiszów, wystawiając na pokaz ciężkie piersi, wilgotne usta, grube uda. Otworzyła drzwiczki. Zamierzała wejść do swojego twingo, nie patrząc na nie, ale jednak rzuciła krótkie spojrzenie w tamtą stronę. Jak w przyspieszonym filmie zobaczyła ich rozplywające się marzenia o sławie - w kinie, telewizji, jako modelki - aż do wylądowania w takich zakazanych pismach. Wyobraziła sobie, jak ich ciała wędzną, puchną od rodzenia dzieci spółdzonych z przypadkowymi mężczyznami, jak gorzknieją ich dusze wskutek zawiedzionych nadziei, tłumionych żalów, ponurego upływu lat... Te kobiety na afiszach uosabiały kobietę w ogóle.

To kondensacja naszego przeznaczenia. Kochać. Mieć nadzieję. Rodzić. Starzeć się. Żeby na koniec znaleźć się w jednym z takich zakładów i tam umrzeć. Bez pełni władz umysłowych, bez świadomości.

Jeanne zamknęła drzwiczki. Ruszyła pędem. Płakała. Miała ochotę wyć lub wymiotować. Włączyła radio. Poszukała na skali i zatrzymała się na piosence *Na moim miejscu*. Axel Bauer i Zazie. Melodia gorzka, tragiczna, przejmująca. „Nie oczekuję od ciebie, żebyś była taka sama. Nie oczekuję od ciebie, żebyś mnie rozumiała...”.

Gdy dojeżdżała do Paryża, poczuła się lepiej. Lewy brzeg Sekwany. Płatany z krwistoczerwonymi liśćmi. Piękno epoki Haussmana. Nawet jej samotność, rozpacz przybierały tutaj inne oblicze... Na bulwarze Raspail przypomniała sobie o komórce. Wyłączyła ją na czas podróży. Nacisnęła klawisz. Miała wiadomość.

Nie był to telefon od Ferauda.

Dzwonił Francois Taine.

Przyłożyła telefon do ucha. Twarz miała znowu mokrą od potu i łez.

- Jeanne? Musimy się spotkać. Odkryłem coś nieprawdopodobnego. Pewną zbieżność między ofiarami. Pasuje to do twojej teorii. On nie wybiera ich przypadkiem. On to wszystko zaplanował!

Jeanne słyszała naraz dwa głosy. Taine'a i jednocześnie akcent hiszpański ojca Joachima: „To mozaika, rozumie pan? Każdy kawałek zawiera część prawdy”.

- Przyjedź do mnie około dwudziestej drugiej - mówił dalej Taine. - Ulica Moncey osiemnaście. Prześlę ci esemesem kod do drzwi. Muszę najpierw pójść do mieszkania Franceski Tercii, trzeciej ofiary. Zobaczysz. To niesamowite!

Jeanne rozłączyła się. Nagle uspokoiła się, wewnątrz zlodowaciała. Zatrzymała się na rogu bulwaru Raspail i bulwaru Montparnasse. Godzina osiemnasta. Wystarczy, żeby wziąć prysznic. Przygotować się. I pomyśleć, patrząc, jak dzień ma się ku końcowi.

Kiedy pójdzie do Taine'a, będzie gotowa.

Będzie przygotowana na nagą prawdę.

23.

Ulica Moncey na wysokości IX dzielnicy. O dwudziestej pierwszej trzydziści wjeżdżała już w ulicę Clichy. Na skrzyżowaniu z ulicą Athenes ogarnęło ją złe przecucie. Zmierzch był jakoś dziwnie czarny. Nie wiadomo skąd idący zapach spalenizny. Z wyciem syren minęło ją kilka wozów strażackich.

Szepnęła bezwiednie do siebie:

- Francois...

Na wysokości ulicy Milan jej obawy się potwierdziły. Noc rzeczywiście stała się ciemniejsza, powietrze jakby zgęstniało. Ruch został wstrzymany. Jeanne udało się przedostać na ulicę Milan, gdzie zaparkowała samochód. Wyjęła z torebki swoją trójkolorową legitymację. Pobiegła w kierunku ulicy Moncey - na szczęście włożyła dzinsy i conversy.

Mieszkańcy nadbrzeża stali na progu swoich budynków. Kierowcy powysiadali z wozów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Policjanci usiłowali zapanować nad tłumem, podczas gdy furgonetki blokowały ulicę. Jeanne biegła, wymachując legitymacją. Minęła pierwszą blokadę. Przebiegła obok wozów strażackich. Minęła drugą blokadę i zawróciła na ulicę Moncey.

Serce waliło jej jak młotem. Płomienie wydostawały się już ponad ostatnie piętro

kamienicy znajdującej się w środku ulicy.

Numer osiemnasty. Stała pod jakimś daszkiem i ogarnięta paniką omal nie zwymiotowała.

Odczekała kilka sekund i znowu pobiegła, dusząc się od dymu. Noc gęstniała w czarnej mgle. Słysząc było trzaski pomarańczowych isker przesywających zasnuwane niebo. Czyjaś sylwetka przy wozie. Krzyknęła, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Klepnęła strażaka w ramię.

Nie miał chyba nawet dwudziestu lat. Jeanne pokazała swoją legitymację. W takim momencie nie miało to w ogóle znaczenia, ale zawsze działało. Poznała wiele spraw dotyczących umyślnych podpażeń i dlatego bez chwili wahania przedstawiła się:

- Jeanne Korowa, sędzia śledcza.

- Sędzia?

- Kto tu dowodzi?

- Komendant Cormier.

- Gdzie go znajdę?

- Przypuszczam, że w środku budynku! - zawołał chłopak, przekrzykując szum strumienia wody.

- Są ofiary?

Każde słowo paliło ją w gardle. Strażak zrobił niewyraźny gest.

- Nie wiem. Pożar zaczął się na ostatnim piętrze.

- To dom numer osiemnaście?

- Tak.

- Wszyscy zostali ewakuowani?

Strażak nie zdążył odpowiedzieć. Ulicą wstrząsnęła eksplozja. Na jezdnię spadły iskry. Na chodnik i dach jednego z wozów strażackich posypały się niczym grad kawałki szkła. Jeanne bezwiednie schyliła się i przywarła do strażaka.

- Nie może tu pani zostać!

Nie odpowiedziała. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ogarniętą płomieniami fasadę budynku. Z okien pozbawionych szyb wydobywały się czarne kłęby dymu. Żółtawe języki ognia trawiły ramy okienne. W powietrze wzbijał się co chwila popiół, iskry, jakieś tłące się kawałki. Ostatnie piętro było stąd całkowicie niewidoczne. Piętro Francois...

Jeanne poszukała wzrokiem mieszkańców ewakuowanych z budynku. Stali dalej, w grupkach, przestraszeni, blisko ambulansu, podczas gdy sanitariusze w białych

kombinezonach udzielali im pierwszej pomocy. Nie dostrzegła wśród nich Taine'a. Różne myśli cisnęły jej się do głowy. U Taine'a była tylko jeden raz. Przebudował i powiększył swoje mieszkanie. Jego gabinet znajdował się na antresoli bez okien i można było się tam dostać jedynie od wewnątrz mieszkania. Może pożar go tam zaskoczył. Strażacy mogli nie wiedzieć o tym pomieszczeniu...

Opuściła wzrok i zobaczyła linię życia, linię łączącą wozy strażaków przysłanych do akcji. Zostawiła młodego strażaka i poszła wzdłuż liny, która doprowadziła ją do następnego wozu. Brnęła przez kałuże wody. Każdy oddech sprawiał jej ból. Pod numerem osiemnastym grupa mężczyzn wciąż kierowała strumieniem wody na mury.

Jeanne zajrzała do wozu. Znalazła kurtkę, kask, rękawiczki, buty. Niewiele myśląc, przebrała się w to. Odbyła kiedyś praktykę w oddziałach sapersko-strażackich w Paryżu. Chciała poznać to wszystko od strony technicznej. Teraz jednak nie umiała zamknąć kasku, w którym opuściła szybę i ochronę szyi. Pamiętała, że bardzo ważna jest maska tlenowa. Chwyciła butlę z tlenem. Podłączyła ją do kasku. Odkręciła zawór. Na koniec założyła pas z toporkiem, siekierą i gaśnicą. Teraz niczym nie różniła się od pozostałych strażaków.

Pobiegła w kierunku budynku, powtarzając sobie w duchu: „To idiotyzm, idiotyzm, idiotyzm...”. Potem ten wewnętrzny głos stłumiły inne odczucia. Skórzana kurtka ważyła tony. Tlen wysuszał usta. Wszędzie było strasznie gorąco. Podniosła oczy. Szyba wizjera ociekała wodą. Ogień ogarnął już wszystkie piętra. Z okien trzeciego i czwartego piętra wydobywały się płomienie kilkumetrowej wysokości. Wydawało się, że woda lejąca się z węży nie jest w stanie ugasić ognia.

Jeanne weszła do budynku. Chociaż nic nie widziała, szła przed siebie. Na prawo wymacała skrzynki na listy. Nie czuła żadnego strachu. Ekwipunek dawał jej złudzenie, że jest niezniszczalna. Dotarła do klatki schodowej. Wszędzie unosił się czarny jak smoła dym. Na schodach słychać było trzaski, szumy. Napotkała strażaków. Ruszyła do góry.

Pierwsze piętro.

Powiodła wzrokiem po podeście z prawa na lewo. Spadające z wyższych pięter żagwie rozświetlały panujące ciemności.

Ruszyła dalej schodami do góry. Cały czas wzdłuż linii życia i wijących się w górę węży strażackich.

Drugie piętro.

Tu także nie było płomieni. Tylko ciemności. Gęste powietrze zatykało jej płuca. Potykała się, po omacku szukała drogi, ale cały czas szła do góry.

Trzecie piętro.

Zobaczyła w końcu ogień. Popękane drzwi. Drewniane framugi popalone, zniszczone przez pożar. Ani jednego strażaka. Nie widziała już ani linii życia, ani węży z wodą. Po omacku dotarła do poręczy. Stopnie wydawały się tutaj mniej solidne. Łamliwe. Weszła po nich, jak mogła najszybciej, ze strachem, że się pod nią załamią.

Czwarte piętro. Otwarte trzy mieszkania ogarnięte płomieniami. W każdym mieszkaniu inna ekipa walcząca z ogniem. Jeanne zauważyła, że nie ma poręczy. Podest otwierał się w pustkę.

Taine mieszkał jeszcze wyżej. Jeanne weszła na następne schody, kiedy nastąpiła eksplozja oślepiającego światła. Zewsząd jednocześnie wyskoczyły z sykiem płomienie. Jeanne zachwiała się, upadła. Sekundę potem z mieszkania po lewej stronie wyszli strażacy. Jeden z nich, strzepując z siebie ogień, zrobił krok do tyłu.

Kiedy już chwał się nad przepaścią, Jeanne bez namysłu zerwała się i chwyciła go za rękaw. Nie miała wiele siły, ale wystarczyło, że upadła do tyłu, nie puszczając jego rękawa, i przyciągnęła go w ten sposób do siebie. Oboje potoczyli się na schody.

Zgięta wpół Jeanne trzymała mocno rękaw kurtki mężczyzny. Jego nogi w dalszym ciągu wisiały nad przepaścią. Oświetliło ich światło latarek. Zobaczyła wyhaftowane na kurtce dystynkcje. Kapitan. Albo komendant. Wyciągnęły się do nich ręce w rękawiczkach. Przez dym dostrzegła szyby masek pokryte jakby płynną rtęcią.

W końcu zdołała wydostać się z tego zamieszania. Zawróciła. Na czworakach pokonała ostatnie stopnie. I niczym samolot, który przebijając się przez chmury, dosięga wreszcie słońca, znalazła się twarzą w twarz z szalejącym pożarem.

Piąte piętro.

Wszędzie dokoła ogień. Unoszący się z parkietu, liżący ściany, pożerający sufit. Maski Jeanne zaczęły się palić. Zerwała ją z głowy. Odrzuciła butlę z tlenem. Kopnęła drzwi i wpadła do wnętrza, zasłaniając twarz ramieniem. Mieszkanie Taine'a było jednym wielkim ogniskiem.

Jeanne szła dalej, z twarzą wtuloną w rękaw, usiłując przypomnieć sobie topografię mieszkania. Przecięła korytarz. Zobaczyła salon tonący w kłębach ognia. Przestraszyła się, cofnęła, upadła do tyłu.

Kiedy próbowała wstać, zobaczyła go.

Francois Taine zmagił się z płomieniami na antresoli. Nie był sam. Walczył z jakimś niewysokim mężczyzną, który przytrzymywał go w płomieniach. Jeanne chciała krzyknąć, ale do jej gardła wdarło się gorące powietrze i musiała szybko zamknąć usta.

Przerażona jeszcze się cofnęła.

Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć tę scenę.

Przeciwnikiem Taine'a był nagi mężczyzna niskiego wzrostu. Może był to chłopiec. Czarna sylwetka. Kosmyki włosów na jego głowie trzeszczały, paląc się. Miał niezwykle dużą czaszkę cofniętą do tyłu, jak w filmach science fiction przybysze z innych planet. Wydawało się, że nie czuje poparzeń. Przytrzymał swoją ofiarę w ogniu jak ktoś, kto na wstrzymanym oddechu próbuje utopić pływaka, wciągając go w głębinę.

Jeanne pomyślała o Joachimie, kiedy potwór odwrócił głowę w jej kierunku. Zamarła z przerażenia. Pokraczny nastolatek utkwiał w niej wzrok, obojętny na płomienie ogarniające jego i Taine'a. Widziała jego twarz, jakby pozbawioną tłuszczu przez ogień. Z niekształną czaszką, z grubymi rysami przypominał małpich przodków człowieka.

Jeanne wyciągnęła rękę. W tym momencie antresola zapadła się z głośnym hukiem, grzebiąc te dwie postacie.

Nie widziała już nic więcej. Poczula tylko, że ktoś odciąga ją do tyłu.

24.

- Obudziła się pani?

Na progu sali stał lekarz w białym kitlu. Ręce w kieszeniach. Nazwiska na plakietce przypiętej na piersi nie była w stanie odczytać. Podeszedł bliżej i stanął przy jej łóżku. Szeroki uśmiech. Poczciwa, szczerą gębą za grubymi szklami okularów w szylkretowej oprawie.

- Jak się pani czuje?

Jeanne spróbowała odpowiedzieć, ale wargi miała jakby zlepione. Czuła się pustym pomieszczeniem z wypompowanym powietrzem. Śmierdziała potem, który zapewne po niej spływał w czasie tego koszmaru. Mrugnęła kilka razy powiekami. Przedmioty wokół niej wróciły na swoje miejsce. Linoleum na podłodze. Metalowa szafka. Opuszczone rolety. Wolne łóżko obok niej. Typowa szpitalna sala.

Udało się jej wreszcie powiedzieć: „Dobrze”. Wymówienie tych dwóch sylab sprawiło jej ból. Jakby miała zwęglone struny głosowe.

- Dopisało pani nadzwyczajne szczęście - rzekł lekarz.

Ta uwaga wydała się jej ironiczna. Zupełnie nie pamiętała, jak ją ewakuowano. Straciła przytomność. Przewieziono ją tutaj. Przez rolety prześwitywało dzienne światło.

- Miała pani dopiero pierwsze objawy zaccadzenia - dodał lekarz. - Nawet nie była pani poparzona. Pani płuca oczyszczą się same. Powiedziano mi, że jest pani sędzią śledczą...

- To prawda.
- Jeśli będzie pani chciała kiedyś zmienić zawód, mogłaby pani zostać strażakiem.
- A Francois Taine?
- Kto?
- Człowiek, którego chciałam uratować. W tamtym mieszkaniu.

Lekarz poprawił okulary. Wyraz jego twarzy zmienił się. Spoważniał. Zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że nic nie mogli zrobić - odrzekł.

Jeanne przyjęła tę wiadomość bez zaskoczenia. A więc nie śniła.

- Teraz musi pani zająć się sobą - podjął lekarz. - Cudownie ocaleni mają obowiązki wobec siebie samych.

- Kiedy będę mogła wyjść?

- Za kilka dni. Jest pani na obserwacji. - Postukał się w pierś. - Chodzi o płuca.

Jeanne nic nie odpowiedziała. Lekarz zrozumiał jej milczenie.

- Tylko proszę nie uciekać. Niecierpliwý sędzia, który chce jak najszybciej wrócić do pracy - takie numery są dobre w kinie. Proszę mi wierzyć, że dwa, trzy dni w łóżku dobrze pani zrobią. Ogólna ocena pani stanu zdrowia nie jest najlepsza. Niskie ciśnienie. Niedożywienie. Podejrzewam, że łyka pani środki antydepresyjne jak cukierki.

- To zbrodnia?

Lekarz uśmiechnął się, słysząc agresję w jej głosie.

- Zbrodnią byłoby nieskorzystanie z pobytu tutaj.

- Która jest godzina?

- Dziewięta rano.

- Jaki dzień tygodnia?

- Poniedziałek, dziewięty czerwca.

- Gdzie ja jestem?

- W szpitalu Neckera na oddziale dziecięcym. - Lekarz znowu sięgnął ręką do okularów. Uśmiechał się. - Gdzie indziej nie było miejsca. Znajduje się pani na endokrynologii.

Jeanne opuściła wzrok. W prawą rękę miała wbity kroplówkę. Druga rurka biegła do twarzy. Z pewnością respirator z tlenem wsunięty do nosa. Lekarz podszedł do okna i odchylił lekko listwy rolet. Miała prawo do światła. Pożegnał ją i obiecał, że przyjdzie znowu po południu.

Gdy tylko została sama, wyrwała rurki, wyskoczyła z łóżka i zaczęła otwierać szafki.

Dopiero w trzeciej znalazła swoje ubranie. Czarne od sadzy. Pomacała kieszenie. Znalazła komórkę. Przypomniała sobie, że samochód i torebkę zostawiła na ulicy Milan.

Wystukała numer.

- Reischenbach? Tu Korowa.

- Jak się czujesz? Mówiono mi, że...

- W porządku. Nic mi nie jest.

- A niech to... Nie wiem, co powiedzieć...

- Ja też - szepnęła Jeanne. - To niesamowite. To... Przerwała.

Reischenbach też zamilkł. Zrozumieli się bez słowa.

Niepotrzebny im był patos. Powinni myśleć o śledztwie. Jakoś z tego wyjdziemy, pomyślała.

- Czy wiadomo coś o przyczynie pożaru?

Miała trudności z mówieniem. Musiała mieć poparzone śluzówki.

- Na razie nic oficjalnego.

- Ale?

- Eksperci mówią o umyślnym podpaleniu. Na razie nie mam tego na piśmie.

- Czy jest możliwe, że celem był Taine?

- Szczerze mówiąc, nie sędzę. Chociaż pożar wybuchł na jego piętrze.

- Trzeba sprawdzić wszystkie prowadzone przez niego sprawy. Także facetów, których zapuszkował, a którzy właśnie wyszli z pudła.

- Jest godzina dziewiąta rano. Do tej pory nie przekazano mi tej sprawy. Ani żadnemu innemu zespołowi z Orfèvres.

- No to kto się tym zajmuje?

- RG albo IGS. Takie sprawy są zarezerwowane dla nich. Sędzia śledczy nie jest zwykłą ofiarą.

- A jeśli ten pożar ma związek z kanibalistycznymi morderstwami?

- To by znaczyło, że zabójca poczuł się zagrożony. No i teraz nie ma się czego obawiać. A my mamy poważny problem.

- Taine coś odkrył.

- Naprawdę? - W głosie Reischenbacha wyczuwało się sceptycyzm. - W każdym razie, jeśli nawet coś odkrył, to przepadło wraz z nim. Wszystkie papiery, jakie miał w domu, spaliły się.

Jeanne jeszcze bardziej utwierdziła się w swoim przekonaniu. Taine znalazł coś takiego, przez co został usmażony, a jego akta spalone. Musiał popełnić jakąś nieostrożność i

zaalarmować tym mordercę. Joachim zareagował natychmiast.

Oczywista wyobraźnia ujrziała scenę pożaru: Taine walczy z potworem o ogromnej czaszce i haczykowatych dłoniach. Pojęła fakt, z którego wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Tym stworzeniem o płomienistych włosach nie był adwokat, syn Hiszpana, lecz chłopiec o zgrzytliwym głosie. „Las cię gryzie...”. Czy Joachim, adwokat, miał zdolność przekształcania się w chłopca-potwora?

Odpędziła od siebie te absurdalne pomysły. Tak czy inaczej potwór zginął na antresoli.

- Czy już zabrano stamtąd zwłoki Francois?
- Tak, to, co z niego zostało.
- A drugie ciało?
- Jakie ciało?
- Nie znaleźliście drugiego trupa?
- Nie.
- Działania policji zostały zakończone?
- Oczywiście. Nie rozumiem. Czy widziałaś coś?

Przez głowę przemknęły jej różne myśli. Wygląda na to, że ogień nie miał się tego stworza. Czyżby wyszedł z tego cało? Jeżeli nadal żył, to następnym na jego liście jest Antoine Feraud...

- Muszę się z tobą spotkać. Przejrzeć twoje akta.
- Niemożliwe. Nie zostałam przydzielona do tej sprawy.
- To się okaże.
- Jeśli istnieje jakiś związek między pożarem i kanibalizmem, dochodzenie zostanie powierzone jednemu sędziemu śledczemu. I wcale nie musisz nim być ty.

- Mogę do ciebie przyjechać?

Reischenbach westchnął.

- Pośpiesz się. Jak odbiorą mi tę sprawę, nic już ci nie pomogę.
- Przyjeżdżam.

Jeanne rozłączyła się. Raz było jej zimno, raz gorąco. Pobiegła do łazienki. Białe lampy neonowe. Barwa jej twarzy przywodziła na myśl poślizgnięcia emalię umywalki. Na skroniach miała jeszcze czarne smugi. Na głowie sterczały popalone kosmyki włosów. Wyglądała okropnie.

Podstawiła twarz pod strumień wody. Uniosła głowę. Przyjrzała się sobie w lustrze. Ani lepiej, ani gorzej. Spojrzała na zegarek na ręce. Dziewięć trzydzięci. Miała tylko kilka

godzin na działanie. Zanim policja i prokuratura dojdą do porozumienia.

Znowu chwyciła telefon komórkowy. Wywołała zapisany numer. Nikt nie odpowiadał. Nie chciała zostawiać wiadomości. Cholera, Feraud, gdzie ty się podziewasz?

Wyszła na korytarz. Spacerowały po nim dzieci, popychając przed sobą stojaki z kropłówką. Inne bawiły się w swoich salach. Jeanne starała się nie patrzeć na nie. Ich widok sprawiał jej przykrość. Schody. Drzwi wyjściowe. Ruszyła wysadzaną drzewami centralną aleją.

Musi złapać taksówkę. Dojechać do swojego samochodu zaparkowanego na ulicy Milan. Jej oznaka na przedniej szybie chyba zapobiegła odholowaniu wozu na specjalny parking. Potem pojedzie bezpośrednio na komendę policji. Weźmie akta śledztwa. Ale przede wszystkim wpadnie do gabinetu psychiatry. Nie ma się co cackać. Antoine Feraud musi podać nazwisko i adres Hiszpana oraz jego syna. A ona zajmie się ich odnalezieniem i zmusi do mówienia.

Wyszła za bramę szpitalną i znalazła się na ulicy Sevres. W twarz uderzyło ją ostre światło słoneczne. Krzyknęła. Machała ręką wiele razy, wypatrując taksówki. W jaskrawym świetle nie mogła odróżnić, czy lampka na dachu sygnalizuje, że taksówka jest wolna, czy nie.

Ten zwykły drobiazg przygnębił ją. Wydało jej się, że wszystko jest stracone. Poza zasięgiem. Trotuar za wąski. Jezdnia za czarna. Ściany Instytutu dla Dzieci Niewidomych w szpitalu Neckera jakies gołe. Oparła się o kamienny filar, czując, że się chwieje.

W tym momencie zatrzymała się przed nią taksówka.

Wsiadła do wozu i mruknęła ostatkiem tchu:

- Ulica Le Goff jeden.

25.

W dzień kod zamykający drzwi nie był potrzebny. Na skrzynkach na listy w holu widniały nazwiska mieszkańców i numery pięter. Doktor Antoine Feraud. Trzecie piętro. Jeanne wsiadła do windy. W budynku czuło się zapach kurzu, zimnego marmuru. Jak w kościele.

Poprosiła kierowcę taksówki, aby na nią poczekał. Nie wiedziała, co powie Feraudowi i czy go w ogóle zastanie w domu. Zadzwoiła do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Zadzwoiła jeszcze raz. Bez rezultatu. Zapukała. Nic. Nagle ogarnął ją lęk.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do biura numerów, prosząc o numer telefonu do gabinetu doktora Antoine'a Ferauda. Po kilku sekundach już rozmawiała z sekretarką psychiatry. Udawała pacjentkę.

- Doktor Feraud odwołał wszystkie wizyty - oznajmiła sekretarka.

- Z jakiego powodu?

- Nie udzielam takich wyjaśnień.

Jeanne popatrzyła na miedzianą tabliczkę na drzwiach: „Antoine Feraud. Psychiatra. Psychoanalityk”. Serce podeszło jej do gardła.

- Jest chory?

- Nie udzielam takich...

- Rozumiem - rzekła Jeanne innym tonem, widząc, że trzeba załatwić to inaczej. - Nazywam się Jeanne Korowa. Jestem sędzią śledczą w sądzie drugiej instancji w Nanterre. Proszę odpowiadać na moje pytania albo przyślę do pani policjantów, którzy pracują ze mną nad tą sprawą. Na ogół są mili, ale nie zawsze. Czy Antoine Feraud uprzedził panią osobiście, że odwołuje wizyty na dzisiejszy dzień?

- Tak. Dziś rano. Jeanne poczuła ulgę.

- O której godzinie?

- O dziewiątej.

- Nie miała pani żadnych wątpliwości, że to jego głos?

- Nie. Nie sądzę, żeby...

- Co dokładnie powiedział?

- Anulował wszystkie wizyty. Powiedział, że nie będzie teraz nikogo przyjmował aż do odwołania.

- Czy wyjaśnił dlaczego?

- Nie.

- Czy zostawił pani informację, jak można się z nim skontaktować w razie pilnej potrzeby?

- Nie. Mam tylko numer jego telefonu komórkowego.

- Czy powiedział, kiedy znowu się odezwie?

- Nie.

Jeanne rozłączyła się. Przez moment pomyślała, żeby sprowadzić ślusarza i włamać się do gabinetu. Przeszukać kartotekę pacjentów. Znaleźć adres ojca i syna... Nie. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Wróciła do taksówki. Zanim do niej wsiadła, zauważyła kiosk z gazetami. Pobiegła

kupić kilka dzienników. „Le Figaro”, „Le Parisien”, „Liberation”. Stojąc w zgiełku ulicznym, rzuciła okiem na pierwsze strony, a potem przekartkowała wszystkie po kolei. Wydania z poniedziałku dziewiątego czerwca wspominały o zabójstwie Franceski Tercii, ale nie dawały więcej informacji niż w Internecie. Nic jeszcze nie zostało ustalone. Konferencję prasową odwołano. Nic dziwnego. Dopóki nie zostanie mianowany nowy sędzia śledczy i dopóki nie zostanie wyznaczony nowy zespół dochodzeniowy, nie będzie żadnych informacji.

Wsiadła do taksówki i kazała się wieźć na ulicę Milan. W drodze próbowała uporządkować chronologicznie wszystkie fakty. Feraud z pewnością czytał poranne gazety. Albo zrobił poprzedniego dnia przegląd prasy w Internecie. Domyślił się prawdy, ale nie chciał skontaktować się z Hiszpanem i jego synem. Przestraszył się i spakował walizki. Nie można mieć mu tego za złe. Nie było też żadnego powodu, by przypuszczać, że dowiedział się o pożarze i o śmierci Francois Taine'a.

Gdy dotarła na ulicę Milan, zobaczyła swoje twingo zaparkowane przed bramą wjazdową. Przez chwilę ogarnęła ją pokusa, żeby wrócić na miejsce pożaru. Jednak zrezygnowała z tego na myśl o poczerwiałym wnętrzu i smrodzie spalenizny.

Ruszyła gwałtownie w kierunku quai des Orfevres. Po kilku minutach zaparkowała na dziedzińcu komendy policji. Z trudem szła po schodach. Wszyscy policjanci spoglądali na nią spod oka. Nie tak często widywało się w tym budynku sędziego śledczego, a w dodatku z popalonymi włosami i w czarnym jak u kominiarza ubraniu.

- Dasz mi fotokopie akt?

- Nie wiem, czy...

Reischenbach stał w swoim biurze, przestępując z nogi na nogę, niedogolony, z lśniącymi od żeluz włosami. Przed nim leżały dwie grube teczki akt dochodzenia w sprawie „kanibala”.

- Tylko najważniejsze protokoły.

Reischenbach nie ruszył się z miejsca. Jeanne weszła do środka.

- Teraz albo nigdy, Patrick. Fakty są takie: zabójca zaatakował Francois. - Uderzyła pięścią w blat biurka. - Jest gdzieś niedaleko. Daj mi kopie tych przeklętych akt, dopóki jeszcze możesz. Za kilka godzin przyjdzie nowo mianowany sędzia śledczy i wszystko zabierze. Dla nas to będzie koniec.

Reischenbach namyślał się ze zmarszczonym czołem. Był policjantem życzliwym ludziom, szlachetnym z natury. Jednocześnie jednak wyglądał groźnie z glockiem za pasem i wielkimi szerokimi dłońmi. Jeanne wiedziała, że użył broni kilka razy w trakcie działań policyjnych.

- Nie ruszaj się - powiedział w końcu, biorąc do ręki teczkę. - Poszukam papieru.

Arkusze papieru w fotokopiarkach w siedzibie policji zaopatrzone były w logo prefektury. Jeśli chciało się skopiować jakieś akta anonimowo, trzeba było znaleźć czyste arkusze. Wiedzieli o tym wszyscy dziennikarze śledczy. A także tacy jak ona sędziowie.

Kapitan wrócił szybko z dwiema teczkami. Oryginały i kopie. Jeanne przejrzała je. Znajdowało się w nich wszystko. Protokoły z przesłuchań, raporty z autopsji, raporty wydziału technicznego. Portrety ofiar. Wnioski z rozmów z ludźmi z sąsiedztwa, dotyczące każdego morderstwa z osobna. Zdjęcia z miejsca zbrodni oraz dziwnych napisów na ścianach. Będzie miała roboty na całe popołudnie. Sama w swoim gabinecie.

Spojrzała na zegarek. Dwunasta. Południe. Przede wszystkim musi znaleźć powiązanie, jakiego Taine doszukał się między trzema ofiarami. „Odkryłem coś nieprawdopodobnego... On nie wybiera ich przypadkiem. On to wszystko zaplanował!”.

- Jeśli dam ci dwa numery telefonów komórkowych, mógłbyś zdobyć dla mnie billingi z ostatnich rozmów?

- Muszę mieć sądowy nakaz.

- Wykorzystaj nakaz z innego dochodzenia. Wymyśl coś.

- Uspokój się.

Jeanne napisała pierwszy numer na karteczce. Reischenbach zachnął się:

- Znam ten numer. To telefon...

- Francois Taine'a.

- Zwariowałaś? Nie mogę...

- Posłuchaj. Wczoraj Francois odkrył coś bardzo istotnego. I wszystko to spaliło się w jego mieszkaniu. Zostają nam tylko rozmowy telefoniczne. Rozumiesz?

- Wynikną z tego duże kłopoty. Jaki jest ten drugi numer?

Jeanne podała nazwisko i namiary Antoine'a Ferauda.

- Kto to taki?

- Później ci wyjaśnię. Na razie zdobądź billing i zlokalizuj jego komórkę.

- Rzykuję swoje stanowisko - powiedział Reischenbach, chowając obie kartki do kieszeni.

- Ale nie własną skórę. Pomyśl o Francois. Jeszcze jedno: szukam adwokata pochodzenia hiszpańskiego, który pracuje w Paryżu i ma na imię Joachim.

- Joachim i co dalej?

- Nie znam nazwiska. Możesz to komuś zlecić?

Reischenbach napisał coś na czystej kartce. Jeanne wzięła teczkę pod pachę.

- Jadę do sądu drugiej instancji. Daj znać, jak będziesz miał coś nowego.

Na drodze szybkiego ruchu Jeanne robiła slalomy między samochodami, które nie zamierzały przekraczać pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Znalazła się na wysokości mostu Alma. Plac Etoile. Porte Maillot. Avenue Charles-de-Gaulle. Bulwar obwodnicy... Jeanne naciskała do dechy pedał gazu swojego twingo. Z rykiem silnika chciała dogonić czas. Drażyć. Wertować. Wygrać z czasem. Do końca dnia musi znaleźć rozwiązanie. Wspólny punkt trzech ofiar. Plan zabójcy.

Parking przed siedzibą sądu. Jeanne wbiegła do windy z torbą na ramieniu i teczkami pod pachą. Jeszcze nie miała okazji wejść pod prysznic. Śmierdziała spalenizną, potem, strachem. W kabinie windy nie było nikogo. Tym lepiej. Nie miała ochoty spotykać kolegów i wysłuchiwać tradycyjnych, stosownych do okoliczności formułek, fatalistycznych opinii i innych zwykłych bzdur. Nawet tutaj, u specjalistów od zbrodni i przemocy, poziom dyskusji filozoficznych nie wykroczył poza kawiarniane pogaduszki.

Trzymając się ściany, skierowała się do swojego gabinetu. Otworzyła drzwi zadowolona, że nikogo nie spotkała. Drgnęła na widok Claire. Zapomniała zupełnie o swej sekretarce. Dziewczyna płakała, ocierając oczy papierową chusteczką. Ponieważ Taine nie żyje. Ponieważ Jeanne cudem ocalała. Nowiny musiały tu dotrzeć z samego rana.

Claire rzuciła się w jej ramiona i już po chwili Jeanne miała mokrą bluzkę.

Łagodnie odsunęła sekretarkę i cicho powiedziała:

- Uspokój się...

- To niesamowite... To...

- Jedź do domu. Daję ci wolny dzień.

- Ale... przesłuchania...

- Wszystko odwołaj. Muszę się zastanowić nad tą sprawą.

- Dostała ją pani?

- Jeszcze nie - odpowiedziała wymijająco Jeanne. - Ale to nie potrwa długo.

Claire wytarła nos. Zadzwoiła tam, gdzie to było konieczne, i w końcu niechętnie włożyła zakiet, wymógłszy przedtem na Jeanne obietnicę, że opowie jej o wszystkim następnego dnia. Jeanne łagodnie wypchnęła ją za drzwi. Nie czekając dłużej, wyjęła kilka rzeczy ze swojej garderoby, które miała w biurku, i pobiegła do toalety na piętrze. Umyła się pod kranem, jak kierowcy tirów w byle jakich łazienkach przy drodze, i przebrała w czyste rzeczy.

Wróciła do gabinetu. Zamknęła drzwi na klucz. Opuściła rolety. Usiadła za biurkiem, kładąc przed sobą fotokopie dokumentów. Zamierzała zapoznać się z aktami bardzo

dokładnie, aż dojdzie do prawdy.

Ale przedtem musi zadzwonić w kilka miejsc...

26.

- Czy doktor Langleber?

- Nie. Jestem jego asystentem.

Zadzwoniła na komórkę lekarza. Wystarczyło kilka telefonów i dowiedziała się, że to właśnie ten lekarz sądowy, intelektualista, miał wykonać autopsję zwłok Francois Taine'a.

- Czy może pan poprosić go do telefonu?

- Jesteśmy w sali operacyjnej. Kto mówi?

Usłyszała Langlebera, który cichym głosem mówił do dyktafonu. Czyją autopsję robili? Czy Francois Taine'a? Wyobraziła sobie dwóch mężczyzn w białych kitlach, pochylonych nad ciałem jej przyjaciela, poczerniałym, spalonym, skręconym, na stole z nierdzewnym blatem.

- Proszę mu przekazać, że mówi sędzia śledcza Jeanne Korowa.

W tle słychać było przytłumioną rozmowę. Asystent zakrył ręką słuchawkę. Rozległ się głos Langlebera:

- Czego pani sobie życzy?

Ton był nieprzyjemny. Brzmiał jak z głębi kościoła. Jeanne domyśliła się, że telefon został przestawiony na głośne mówienie.

- Chciałabym panu zadać kilka pytań.

- W jakim charakterze?

- Nie dostałam jeszcze tej sprawy - przyznała Jeanne.

- Jakiej sprawy? O czym pani mówi?

- Sądzę, że dostanę sprawę kanibalistycznych zabójstw.

- Proszę wtedy do mnie zadzwonić.

- Doktorze Langleber, nie ma czasu do stracenia. Są powody, by przypuszczać, że istnieje pewien związek między tymi kanibalistycznymi morderstwami a pożarem, w którym zginął Francois Taine.

- Co to za powody?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wolała zmienić temat.

- Czy skończył już pan obdukcję zwłok Francois Taine'a?

- Sporządzam właśnie raport.

Dobrze odgadła - zajmowali się ciałem jej przyjaciela. W przeblasku pamięci ujrzała dwie walczące ze sobą sylwetki na antresoli.

- Czy znalazł pan jakieś ślady walki?

- Chyba pani żartuje! Mam aktualnie przed oczyma to, co zostało z Francois Taine'a. Zapewniam panią, że nie ma śladów niczego. Ciało spaliło się na węgiel.

Do oczu Jeanne napłynęły łzy. Trzymała nerwy na wodzy od przebudzenia się w szpitalu, ale teraz... Przeknęła łzy. Potem zapytała bardziej stanowczym tonem:

- Żaden szczegół nie może zdradzić, co się działo przed pożarem?

- Widzę, że nie ma pani pojęcia o paleniu się. Kiedy strażacy wydobyli zwłoki, były nierozpoznawalne. Pod wpływem temperatury ciało puchnie, od czego pęka skóra. Piekla pani kiedyś kurczaka na rożnie?

- Panie doktorze, mówi pan o moim przyjaciolem.

- Francois był także moim przyjacielem. Co nie przeszkodziło, że popękał niczym kiełbaska na rożnie.

Jeanne milczała. Lekarz kontynuował:

- Żeby poznać dokładnie przyczyny śmierci, muszę otworzyć ciało. Zatrucie tlenkiem węgla poznaje się po różowawej barwie narządów. Miejmy nadzieję, że umarł z zaccadzenia i nie czuł płomieni.

Taine i ten drugi walczący na antresoli, spaleni przez ogień. Znała już odpowiedź. Nagle, kiedy nie spodziewała się już niczego, lekarz westchnął:

- No dobra. Jest coś dziwnego.

- Co takiego?

- Ślady jakiejś substancji na ciele. Zwłaszcza na dłoniach i ramionach.

- Jakaś palna substancja?

- Przeciwnie.

- Nie rozumiem.

- Niepalna. Coś w rodzaju lakieru lub żywicy. Jakby substancja ochronna.

- Czy Francois Taine posmarował sobie ręce jakąś substancją ochronną?

- Jeśli chciał się ochronić przed ogniem, to mu się nie udało. Dłonie i ramiona spaliły się podobnie jak reszta ciała - rzekł Langleber.

- Czy dał już pan próbki do analizy?

- Tak.

- Komu?

- Pani Korowa, nie mogę tego powiedzieć.
- Proszę tylko o tę informację.
- Messaoud, szef techników policyjnych.
- Dzięki, panie doktorze.
- Nie ma za co.

Zanim się rozłączył, Jeanne rzuciła jeszcze jedno pytanie:

- Czy robił pan autopsję zwłok Franceski Tercii?
- Tak, w niedzielę.
- Czy zauważył pan jakieś różnice w porównaniu z tamtymi dwiema ofiarami?
- Żadnej. Jedyne to, że drań nie zdążył dokończyć swojej roboty.
- Rany i okaleczenia są takie same?
- Dokładnie. Oprócz oczu. Wspomniałem o tym już wcześniej.
- Nie wynika stąd żadna wskazówka?

- Jedyne taka właśnie, że wszystko jest identyczne. Wie pani, co mówił Michel Foucault? „W powtarzanej plotce przeżywa to, co wydarzyło się tylko jeden raz...”.

Jeanne poczuła narastającą złość. Pomyślała o Tainie, którego także denerwował ten intelektualista sypiący cytatami na miejscu zbrodni. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że myślała o Francois w czasie teraźniejszym. Stchórzyła. Ile jeszcze razy będzie przywoływać w ten sposób jego tak bliski, żywy wizerunek, nie dopuszczając do siebie myśli o jego śmierci? Foucault miał rację: „W powtarzanej plotce przeżywa to, co wydarzyło się tylko jeden raz...”. Żałoba.

- Czy teraz ja mogę zadać pani jedno pytanie? - zapytał patolog.
- Słucham.
- Co pani robiła w tym pożarze?
- Próbowałam ratować Taine'a.

Zapadło milczenie. Po chwili lekarz powiedział z odrobiną ironii:

- Sędziom nie dają medali. Proszę do mnie więcej nie dzwonić. Chyba że dostanie pani tę sprawę z urzędu.

Jeanne rozłączyła się i wystukała numer Alego Messaouda. Jeszcze nie skończyła zdania, kiedy szef wydziału technicznego przerwał jej:

- Czy to jakaś zmowa? Przed chwilą dzwonił do mnie Reischenbach. Będę rozmawiał jedynie z osobami uprawnionymi i...
- Czy dziesięć lat przyjaźni nie wystarcza?

Messaoud nie odpowiedział. Robił wrażenie przygnębitego. Jeanne pomyślała, że

śmierć Taine'a jest naprawdę wyjątkowym wydarzeniem. Znali go wszyscy, którzy brali udział w dochodzeniu. W tej sprawie policjanci, lekarze, technicy, śledczy byli jednocześnie sędziami i stronami. Na razie większość reagowała z umyślnym chłodem, przywołując na pomoc swoje doświadczenie, by nie poddać się emocjom.

- Czy jest pewne - podjęła znowu - że chodzi o umyślne podpalenie?

- Nie ma żadnych wątpliwości. Znaleziono ślady...

- Jakiego rodzaju?

- Benzyny lub rozpuszczalnika.

- Gdzie zaczął się pożar?

- Na piątym piętrze. Przed drzwiami Taine'a. Parkiet w tym miejscu poczerniał tylko powierzchownie. To dowód na nagły ogień, a nie powolne palenie się. Stąd ogień rozszedł się dalej. Jeanne przypomniała sobie, jak w szalejącym pożarze dopadła do drzwi mieszkania Taine'a.

- Drzwi nie były spalone - powiedziała.

- To normalne. Podpalacz zapewne rozlał benzynę pod drzwiami. Ogień ogarnął mieszkanie, potem rozszedł się na niższe piętra.

- Wspomniano mi o jakiejś substancji... lakierze lub żywicy na rękach Taine'a.

- Rzeczywiście. Coś sztucznego. Wysłałem próbki do analizy.

- Czy mógłbyś mi podać numer telefonu do eksperta z waszej ekipy?

- Nie. Zresztą wyniki zostaną ujawnione dopiero wtedy, kiedy zażąda tego wyznaczony do dochodzenia sędzia śledczy. A wszystko wskazuje na to, że nie będzie to pani.

Jeanne puściła mimo uszu tę uwagę.

- Rozmawiałam z Langleberem. Według niego to jakiś środek ochronny. Taine posmarował sobie dłonie i ramiona, by ochronić się przed ewentualnym pożarem...

- Nie zgadzam się z tą opinią. Taine nie miał najmniejszego powodu obawiać się pożaru. Ani żeby mieć coś takiego u siebie w domu. Zresztą jeszcze nie wiemy dokładnie, co to za substancja.

- Ma pan jakiś pomysł?

- Coś takiego mogło stopić się w ogniu i spłynąć na niego. Choćby politura z półek biblioteki. Po zbadaniu pierwszych próbek pobranych przez nas w mieszkaniu nie możemy wyciągnąć żadnych wniosków. Ale jeszcze nie skończyliśmy analiz.

Jeanne doznała olśnienia. Fakty należało potraktować odwrotnie. To napastnik wysmarował się czymś niepalnym i to coś spłynęło na Taine'a... Dlatego był nagi. Z tego

powodu też nie czuł działania ognia. Sama widziała, że ogarnięty płomieniami nie okazywał najmniejszego bólu. A jego ciało nie zostało znalezione... Jakoś stamtąd się wydostał.

- A teraz, Jeanne - zakończył Messaoud - żegnam panią. Proszę się do mnie zwrócić, kiedy oficjalnie dostanie pani to dochodzenie...

Zaczynała mieć dość tego powtarzającego się refrenu.

- Czy zrobiliście już analizę próbek z ostatniego miejsca zbrodni, w atelier Vioti?

- Pracujemy nad tym.

- Nie ma różnic w porównaniu z poprzednimi miejscami?

Technik nie odpowiedział.

- Są różnice czy nie?

- Są w napisach na ścianach. Zawierają dodatkową substancję. Jest w nich krew, ślina, ekskrementy, ale także płyn owodniowy. Zabójca użył go w poprzednim morderstwie. To naprawdę jakiś pomyleniec.

Ceremonia płodności. Wotywny rytuał. Związany z traumą w tej dziedzinie... Czy Joachim jest bezpłodny? A może jego przyjście na świat nastąpiło w jakichś szczególnych warunkach?

Podziękowała szefowi techników i obiecała odezwać się, gdy dostanie tę sprawę. Wyczuła jego sceptycyzm. Wystukała ostatni numer. Postanowiła spróbować, nawet jeśli miało się to nie udać. Zamierzała porozmawiać z Bernardem Levelem, specjalistą od sporządzania portretu psychologicznego, do którego zwrócił się Taine. Jeanne nie miewała kontaktów z takimi ludźmi, ale w jej obecnej sytuacji... Numer tego psychologa był w aktach.

- Czy pani jest nową śledczą, której wyznaczono to dochodzenie?

Level przyjął postawę obronną. Jeanne odpowiedziała zdecydowanym tonem:

- Na razie ta sprawa nie została przydzielona nikomu. Mam przed sobą akta dochodzenia prowadzonego przez Taine'a. Jestem jego koleżanką, przyjaciółką. W aktach nie ma żadnego raportu podpisanego przez pana. Dlaczego?

- Zrezygnowano z moich usług. Zanim jeszcze sporządziłem dokładny raport.

- Czy zdecydował o tym Francois Taine?

- Nie. Odbyło się to poza nim. Przy trzecim morderstwie uznano, że moje wnioski są zbyt... przestarzałe.

- Ale mnie interesują.

Cisza. Level namyślał się. Czy opłaca mu się rozmowa z tą nieznaną? Czy spowoduje to jego ponowne zatrudnienie?

Jeanne zagrała na jego poczuciu miłości własnej.

- Śledzę tę sprawę od samego początku. Widziałam dwa miejsca zbrodni. Wiem, że tylko specjalista psycholog może nam pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy. Mamy w niej do czynienia z czymś całkowicie... nienormalnym.

- Nie musi mi pani tego mówić - zaśmiał się Level.

- Na przykład te krwawe napisy.

- Czy były także na miejscu trzeciej zbrodni?

- Tak.

- Użył tych samych substancji?

- Tym razem dodał płynu owodniowego, który ukradł przy drugim morderstwie w laboratorium Pavois.

- Byłem tego pewien.

- Dlaczego?

- Nie wybrał tych miejsc przypadkiem. Wybierał nie tylko ofiarę, ale i scenerię. Kontekst. Oto dlaczego kradnie tam jakieś elementy. To analityczne laboratorium jest świątynią płodności. Z tego, co wiem, miejsce trzeciego morderstwa jest powiązane z prehistorią. To wszystko tworzy jedną całość.

- Proszę to rozwinąć.

- Każde morderstwo jest świętym obrzędem. Życie ofiary jest darem uczynionym jakiemuś tajemniczemu bogu. Akt kanibalizmu także odgrywa tu swoją rolę. Odradza moralnie tego, kto je popełnia. Energia życiowa i kobieca macica to pojęcia leżące u podłoża takiego rytuału.

- Jaki byłby profil zabójcy z punktu widzenia psychiatrii?

- To zimny, aspołeczny psychopata, który kontroluje swoje działania. A jednocześnie chory psychicznie człowiek, który nie może zapanować nad swoimi emocjami. W takim momencie traci zupełnie grunt pod nogami.

Pomyślała o Joachimie. O jego zgrzytliwym, metalicznym głosie.

- Czy przypuszcza pan, że może cierpieć na rozdwojenie jaźni?

- Nadużywa się tego określenia. Gdyby nazwała to pani schizofrenią, zaprzeczyłbym. W tym człowieku natomiast jest jednak jakiś wewnętrzny rozłam. Część jego samego mu się wymyka.

Jeanne zastanawiała się nad pewnym problemem. Joachim miewał ataki, o których nie pamiętał. W takim razie kto obmyślał te morderstwa? Kto przygotowywał teren dla „ceremoniału”? Kto był tym chłodnym umysłem, który to wszystko organizował?

Pomyślała o autyzmie, bo taką diagnozę postawił Feraud. Wspomniała o tej patologii.

- Absurd - zaprzeczył bez wahania Level. - Autos w języku greckim oznacza „sam”. Czy tego chcemy, czy nie, morderstwo jest świadectwem czegoś zupełnie innego. Ponadto chory na autyzm nie byłby w stanie zorganizować takich morderstw. W przeciwieństwie do ogólnie panującego przekonania o geniuszu chorych na autyzm większość z nich cierpi na poważne upośledzenie umysłowe.

- Mówił pan o rozłamie... Czy jest możliwe, żeby ten morderca był z jednej strony człowiekiem wrażliwym, zorganizowanym, a z drugiej osobą autystyczną i zbrodniczym sprawcą?

- Autyzm nie jest patologią, która dotyczy tylko jednej części mózgu, a drugą oszczędza. To choroba całego mózgu, rozumie pani?

Jeanne przytaknęła. Coś nie pasowało w profilu Joachima... Pożegnała się z Levellem i skończyła rozmowę. Chwilę potem zadzwonił telefon komórkowy, który miała w kieszeni żakietu.

- Tu Emmanuel. Właśnie przeczytałem popołudniowe wydanie „Le Monde”. Co to za historia z tym pożarem?

Zegarek Jeanne wskazywał piętnastą trzydzieści. „Le Monde” z wtorku opublikował więc najwcześniej artykuł o pożarze na ulicy Moncey. Przed oczyma stanęła jej miniona szalona noc. Telefon od Taine'a. Pożar. Próba uratowania go...

- Czy ta sprawa ma coś wspólnego z tym, o czym mi mówiłaś w sobotę?

- Jak najbardziej.

- Potwierdzają się twoje przypuszczenia?

- To nie są już przypuszczenia, tylko fakty.

- Czy sądzisz, że dostaniesz to dochodzenie?

- Nie. Ale zrobię, co mam do zrobienia.

- Uważaj, Jeanne.

- Pod jakim względem?

- Pod każdym. Jeśli był to pożar umyślny, zabójca nie zawaha się wyeliminować tych, którzy znowu się do niego zbliżą. Z drugiej strony nie możesz prowadzić śledztwa bez upoważnienia. Nie mówiąc już o kłopotach w samym TGI. Nikt nie pozwoli, byś działała jako wolny strzelec.

- Będę cię informować o wszystkim.

- Powodzenia, moja mała.

Jeanne się rozłączyła. Pomyślała o Antoinie Feraudzie. Tak naprawdę nie oczekiwała, że do niej zadzwoni. Musiał zwać. Już się do niej nie odezwie. Nie wiedział, że jest ona

sędzią śledczą i że jak nikt inny mogłaby mu pomóc.

Znowu dzwonek telefonu. Tym razem nie komórka.

- Jeanne?

- Tak.

Poznała głos „Prezesa” - prezesa TGI, sądu drugiej instancji z Nanterre.

- Czekam na ciebie w moim biurze. Natychmiast. Nie zatrzymuj się w moim sekretariacie.

27.

Wygląd prezesa nie pasował do piastowanego przez niego stanowiska. Człowiek, który kierował TGI w Nanterre i narzucał własne pojmowanie sprawiedliwości większości departamentom w Ile-de-France, był karłem. Wątki, pokurczony, niewiele wyższy od swojego biurka, węższy w ramionach niż oparcie jego fotela. Łysy, z siwym zarostem, z pergaminową twarzą przypominał mieszkańców Pompei zastygłych w lawie Wezuwiusza.

Najbardziej uderzająca w nim była twarz z bruzdami, wypukłościami, pozbawiona grama tłuszczu, nieprzyjemna. W nieregularnej czaszce rodziły się tabuny pokrętnych myśli. Wypukłe oczy zawsze były zasnute jakąś żółtawą substancją. Z grubych, jakby nadąsanych ust wydobywał się niski głos. Jedyne element pasujący do jego funkcji.

- Usiądź.

Jeanne usiadła. Wchodząc tutaj schodami na górę, miała nadzieję, że prezes powierzy jej sprawę kanibalistycznych morderstw lub dochodzenie w sprawie pożaru na ulicy Moncey. A może i te dwie sprawy. Ale teraz, kiedy patrzyła na jego nieprzystępną twarz, domyśliła się, że ma prawo jedynie do czegoś zupełnie banalnego. Do solidnego zmycia głowy.

- Jesteś dumna z siebie?

Jeanne wolała milczeć. Nie wiedziała, co dokładnie miał na myśli, bo popełniła wiele wykroczeń i błędów. Czekwała na dalszy ciąg.

- Jako wyższy urzędnik sądowy masz obowiązek dbać o siebie i zawsze odwoływać się do kompetentnych władz. Jeśli chodzi o ten pożar, powinnaś była udzielić informacji strażakom. Kropka.

- Działalam jako osoba prywatna.

- Jako sędzia śledcza zostaniesz ukarana. *Dura lex, sed lex.*

Jeanne przetłumaczyła sobie w duchu: „Twarde prawo, ale prawo”. Prawnicy

uwielbiają cytaty łacińskie odziedziczone od ojców prawodawstwa - Rzymian. Prezes ich zdecydowanie nadużywał.

- Szkoda - dodał dwuznacznym tonem. - Ponieważ jesteś świadkiem w tej sprawie, prokuratura nie może ci powierzyć śledztwa.

- Nikt nie miał takiego zamiaru.

- Skąd wiesz?

- Intuicja kobieca.

Prezes uniósł brwi.

- Myślisz, że nie dostaniesz tej sprawy, bo jesteś kobietą?

- Dajmy temu spokój. - Jeanne odzyskała pewność siebie.

- Drugi punkt. Powiedziano mi, że towarzyszyłaś Taine'owi w miejscach kanibalistycznych zbrodni.

- To prawda.

- W jakim charakterze?

- Konsultanta.

Pokiwał z wolną głową. Worki pod jego oczyma zdawały się zawierać w sobie doświadczenia zgromadzone przez lata pracy.

- Idąc pod rączkę, uprawialiście kryminalną turystykę?

- Francois nie czuł się pewnie w tej sprawie. Uważał, że mam lepsze wyczucie niektórych rzeczy.

- Mimo iż nigdy nie prowadziłaś tego typu śledztwa?

Wiedziała już, że wszystko stracone. Nie dostanie sprawy z ulicy Moncey. Ani zabójstw z kanibalizmem. Być może w ogóle żadnej... Sędziego nie można zwolnić, ale jest wiele innych rozwiązań.

- Rozmawiałem z prokuraturą. Już nie będziesz zajmować się tą sprawą.

- Z jakiego powodu?

- Jesteś za bardzo w to zaangażowana. Byłaś zbyt blisko Taine'a. W tym dochodzeniu potrzebny jest sędzia śledczy neutralny. Obiektywny. Bezstronny.

- Wręcz przeciwnie. - Jeanne podniosła głos. - Potrzebny jest w tym śledztwie zacięty dochodzeniowiec, który nie popuści zabójcy i przycisnie policjantów. Z pewnością nie taki, który będzie jednocześnie prowadził inne sprawy. Boże, ile jeszcze trupów panu potrzeba?

Po raz pierwszy prezes uśmiechnął się. Piegowatymi dłońmi stukał po skórzanej podkładce na biurku.

- I tak o tym, kto zostanie wyznaczony, zadecyduje góra. Ta sprawa to naprawdę

niezły pasztet. Trzy morderstwa. Sędzia śledczy odpowiedzialny za jej prowadzenie spalony żywcem. Media w pogotowiu. Rządowi coś takiego jest bardzo nie na rękę. Dzwoniła do mnie osobiście Rachida Dati.

Jeśli sprawę upolitycznić, z pewnością zostanie rozmydlona. A szczególna gorliwość w śledztwie odniesie odwrotny skutek do zamierzonego. Biurokracja. Konkurujące ze sobą zespoły. Jeanne wyobrażała sobie śledztwo zupełnie inaczej. Mała ekipa ludzi. Pojedynek z zabójcą.

- Jest jeszcze jedna rzecz - ciągnął prezes swoim grobowym głosem. - Twoje dochodzenie dotyczące Timoru Wschodniego.

Jeanne drgnęła. Zupełnie o tym zapomniała. O wezwaniach na przesłuchanie. O reperkusjach w sferach władzy... Czy Claire wysłała listy polecane?

- Dzwoniono do mnie. Nie lubię telefonów na tę linię.

Otrzymała więc odpowiedź na własne wątpliwości. Claire wykonała swoją robotę dziś rano. Znalazła na biurku nakazy wzywające Gimeneza i jego bandę. Natychmiast je zredagowała i wysłała w pierwszej kolejności przez posłańca.

- To dopiero początek tego dochodzenia - odrzekła lakonicznie Jeanne.

- Z tego, co wiem, jeszcze się nie zaczęło. Nie masz niczego w aktach. Po co ruszać ten mały światek?

- Wspierasz mnie czy nie?

- Adwokaci Gimeneza i pozostałych szybko się uporają z twoimi wezwaniem. Zażądadają dowodów rzeczowych na piśmie. Już nie mówiąc o tym, że zarzucą ci zapatrywania polityczne, żeby odebrano ci tę sprawę.

Jeanne milczała. Prezes mówił dalej:

- Jest jeszcze inny problem. Podśluchy, które kazałaś założyć. Mam przed sobą ich wykaz. - Postukał znowu ręką w blat. - Uważałem cię za inteligentniejszą. To się nadaje do odwołania ciebie. Naruszyłaś prywatne życie osób podejrzanych, przeciw którym nic nie masz. I według moich źródeł te odsłuchy nic nie dały.

- Jakich źródeł?

Lekceważącym gestem zignorował pytanie.

- Chcesz iść za szybko do przodu, Jeanne. To była zawsze twoja wada. Każda procedura ma swój odpowiedni przebieg. *Festina lente*. Spiesz się powoli...

- Czy odbierasz mi tę sprawę?

- Pozwól mi skończyć.

Wyciągnął kartkę z jakiejś teczki. Z miejsca, gdzie siedziała, nie mogła dostrzec, o co

chodziło.

- Skontaktowali się ze mną ludzie z SIAT. Brakuje im jednego nakazu sądowego.

Jeanne zaciskała mokre od potu dłonie. Prezes pomachał kartką papieru.

- Co ma wspólnego z tym dochodzeniem jakiś psychiatra? Dlaczego kazałaś go podsłuchiwać? Dlaczego nie przygotowałaś nakazu sądowego?

Pozostał jej tylko blef.

- Te podsłuchy dotyczyły innej sprawy.

- Wątpię. Jakiej mianowicie?

- Zabójcy kanibala. Mam poufne informacje. Ten psychiatra leczy ojca zabójcy.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym Taine'owi?

- Chciałam najpierw sprawdzić te informacje.

- I dlatego każesz założyć podsłuch u tego psychiatry? Ot tak sobie, żeby „sprawdzić”?

To niedopuszczalne metody, Jeanne. Skąd masz te poufne informacje?

- Nie mogę tego powiedzieć.

Prezes uderzył silnie w blat biurka. Pierwszy sygnał, że naprawdę się zdenerwował.

- Za kogo się masz? Za dziennikarza? Mamy jasno określone obowiązki, moja mała.

- Nie jestem twoją „małą”. Podsłuchy miały dostarczyć mi niezbędnych informacji, które potem zamierzałam przekazać Taine'owi.

- No i?

Jeanne zawahała się. Mogła oddać nagrania z dwoma seansami Ferauda z Hiszpanem, ale wówczas cała sprawa wymknęłaby się jej z rąk. Żegnajcie, dowody...

- Podejrzenia nie potwierdziły się - skłamała. - Nic nie osiągnęłam.

- Masz te nagrania?

- Nie. Zniszczyłam je.

- Nawet te zapieczętowane?

- Wszystkie. Otrzymałam nagrania co wieczór. Nie kopiowałam ich.

Przesłuchiwałam i niszczyłam.

Wziął do ręki grube pióro wieczne marki Montblanc, jakby zamierzał napisać jakieś polecenie.

- Załatwimy wszystko bez niedomówień.

- Wszystko, to znaczy co?

- Timor Wschodni. Zabieram ci tę sprawę. *Acta est fabula*. Gra skończona, Jeanne.

Uśmiechnęła się. W głębi duszy wcale się tym nie przejęła. Ogarnął ją znowu spokój. Myślała o jednym - cokolwiek się zdarzy, to ona aresztuje Joachima. Żeby osiągnąć ten cel,

ma tylko jedno wyjście. Prowadzić śledztwo samotnie. Nielegalnie.

- W takim razie - powiedziała - oddaję się do dyspozycji. Mam dużo niewykorzystanych dni urlopu. Chyba nie będzie z tym problemu?

- Jak sobie życzysz.

Prezes otworzył szufladę. Wyjął cygaro. Nie spiesząc się, włożył jego koniec do gilotynki, która kliknęła, wykonując swoje zadanie. Jeanne powoli wstała. Jej ręce już się nie pociły. Była spokojna.

- Przed wyjściem chciałabym ci coś wyznać - powiedziała najmielszym, jak umiała, tonem.

Prezes podniósł na nią oczy, obracając w rękę ciężką, złotą zapalniczkę marki Dupont.

- Jesteś okropnym draniem, seksistą - powiedziała bardzo spokojnie.

Sędzia uśmiechnął się, odsłaniając sztuczne zęby.

- Jeśli chcesz odejść w takim stylu, to ci powiem, żebyś poszła...

- Poszła do diabła? - Nachyliła się nad biurkiem. - Już to dawno zrobiłam. Przez ciebie! Przez wszystkich innych, sędziów, prokuratorów, adwokatów z TGI! Podłych antifeministów i mizoginistów, którzy myślą tylko o awansie i emeryturze!

Prezes zapalił cygaro i nic nie odpowiedział. W słońcu zaśniło złoto zapalniczki. Płomień zawirował przed jego szarą, obojętną twarzą. Ten obraz przywołał ją do rzeczywistości. Nic jej nie pomoże, jeśli będzie krzyczeć, denerwować się. *Acta est fabula*. Wybiegła z gabinetu, by nie ulec pokusie przypalenia mu gęby tą jego złotą zapalniczką.

28.

Godzina siedemnasta.

Musi działać szybko. Za kilka godzin zostaną utworzone zespoły do dwóch śledztw dotyczących Francois Taine'a. A wówczas ani ona, ani Reischenbach nie będą mieli dostępu do żadnej informacji, nie będą mogli zdziałać niczego legalnie.

Przede wszystkim trzeba dokładnie przestudiować akta. Zapoznać się z faktami. Dowiedzieć się więcej o ofiarach. Położyła zegarek przed sobą, zaprogramowawszy dzwonicie na godzinę osiemnastą.

Otworzyła pierwszą koszulkę.

Marion Cantelau.

Dwadzieścia dwa lata.

Zamordowana w nocy z 26 na 27 maja 2008 roku w Garches.

Jeanne obejrzała jej zdjęcie. Ładna twarz ze zbyt grubym makijażem. Małe usta w kształcie serduszka. I sporo kilogramów nadwagi... Policjanci odtworzyli jej życiorys. Urodzona w Nancy. Trzecia z pięciorga dzieci. Ojciec rzemieślnik, mistrz ceramiki. Matka urzędniczka. Po maturze szkoła pielęgniarska, potem specjalizacja w chorobach umysłowych dzieci. W 2005 roku przeprowadza się do Paryża, żeby odbyć staż w Instytucie Bettelheima w Garches. Po stażu dostaje umowę na rok, a po roku na czas nieokreślony.

Marion była doskonałą pielęgniarką. Zwykłą dziewczyną. Zajmowała niewielkie mieszkanie w pobliżu placu Italie, na ulicy Tolbiac. Miała narzeczonego: Lucas Nguyen. Dwadzieścia siedem lat. Wietnamczyk. Nauczyciel. Przesłuchany, poza podejrzeniem. Poza tym Marion Cantelau pasjonowała się nurkowaniem, które uprawiała cały rok w basenie, oraz powieściami kryminalnymi. Połykała ich po kilka na tydzień. Wszelkiego rodzaju. Tłumaczonych z różnych języków.

Jeanne przekartkowała protokoły przesłuchań i notatki policjantów. Ludzie Reischenbacha sprawdzili ostatnie dni Marion: jej wejścia do Internetu, rozmowy telefoniczne, wydatki. Nie było kontaktu z żadnym nieznanym. Nic podejrzanego w rozkładzie jej zajęć.

Jeanne przyjrzała się jeszcze raz zdjęciu. Twarz Marion pasowała do jej osobowości. Uśmiechnięta, lalkowata, młodzieńcza. Młoda, promienna kobieta, która nie przejmuje się wyraźną nadwagą. Jeanne zwróciła uwagę na zabawną anegdotę, którą opowiedziała Farida Becker, dwudziestoosmioletnia pielęgniarka, koleżanka Marion: „Była szykowna. Zawsze wesoła. Któregoś razu w kawiarni rozmawiałyśmy o dietach odchudzających. Jedna z nas przysięgała, że je tylko ananasy. Druga stosowała dietę białkową. Jeszcze inna prawie całkowicie przestała jeść. Kiedy zapytałyśmy Marion, co ona robi, odpowiedziała: »Ja? Ubieram się na czarno«. Naprawdę żadnych kompleksów!".

Jeanne uśmiechnęła się w duchu. Czuć się dobrze w swojej skórze. Wyjść za mąż. Mieć dzieci bez odkładania na później. Rozwijać się w pracy. Banalne, ale nie takie złe. Zwłaszcza w oczach Jeanne, niemającej szczęścia w miłości ani zwykłych planów na przyszłość. Przestała się uśmiechać. To obiecujące życie nagle się skończyło. Bo jakiś szaleniec, psychopata, wybrał Marion jako ofiarę do świętego obrzędu. Dlaczego właśnie ją, a nie jakąś inną?

Pomyślała o Joachimie. O jego autyzmie. O jego możliwych powiązaniach z Instytutem Bettelheima. Taine zdążył sprawdzić, że jako autystyczny chłopiec nie mógł być leczony w tym centrum, ponieważ powstało ono zupełnie niedawno. Może należało szukać

powiązania w działalności humanitarnej adwokata? Może Marion Cantelau współpracowała z ONG - pozarządową organizacją humanitarną? Żaden ze świadków o niczym takim nie wspominał. Nie było też mowy o jakiejś zagranicznej podróży czy działalności charytatywnej. Joachim mógł ją poznać gdzie indziej. Gdzie?

Jeanne przeszła do drugiej sprawy.

Nelly Barjac.

Dwadzieścia osiem lat.

Zamordowana w nocy z 4 na 5 czerwca 2008 roku w Stains.

O wiele ładniejsza od Marion. Blondynka. Błada cera. Regularne rysy. Subtelna uroda mimo szerokich ramion. Nelly także była gruba: 95 kilogramów przy 172 centymetrach wzrostu. Żeby docenić jej urodę, trzeba było zapomnieć o aktualnej, wymuszonej modzie na chudość. Nelly Barjac nie była stworzona do naszej epoki. Uznano by ją za piękną w czasach Rubensa lub Courbeta.

Niestety Nelly okazała się także kobietą nowoczesną. Nadwaga była dla niej wstydliwym kalectwem. W raportach Jeanne natknęła się na opis jej mieszkania. Znalezione w nim mnóstwo produktów odchudzających, pigułek zalecanych w diecie, wycinków z gazet - zawsze na ten sam temat: jak schudnąć, jak pozbyć się cellulitu i tak dalej. Według jej bliskich nigdy na ten temat nie mówiła. Ta obsesja była jej tajemnicą.

Nelly była bardzo zdolna. Maturę zrobiła w wieku siedemnastu lat. Po sześciu latach na wydziale medycyny w Henri-Mondor zdała egzamin państwowy, potem przez cztery lata robiła specjalizację w cytogenetyce w Paryżu, a dokładnie rzecz biorąc, w szpitalu Neckera. Następnie odbyła praktyki w laboratoriach cytogenetyki oraz w klinikach pediatrii i genetyki medycznej. W 2006 roku zaczęła pracować w laboratorium Pavois, co pozwoliło jej wykonywać oficjalny zawód - ustalać kariotypy oraz prowadzić statystyczne badania genetyczne.

Odtworzono jej zajęcia z ostatnich dni. Od rozvodu po dwóch latach małżeństwa z lekarzem Nelly Barjac żyła tylko swoją pracą. Przyjeżdżała do laboratorium o godzinie dziewiątej rano.

Spędzała tu cały dzień. A potem, kiedy wszyscy już wyszli, przechodziła na piętro genetyki molekularnej. Tam zostawała do godziny dwudziestej drugiej, dwudziestej trzeciej, czasem do północy... Pracowała w dwóch specjalnościach. Potem szła na spotkanie z Bernardem Pavois.

Gdzie Joachim zauważył tę kobietę? Jeanne znowu pomyślała o jego działalności charytatywnej. Czy było jakieś powiązanie z pracami statystycznymi Nelly? Czy zajmowała

się zaniedbanymi populacjami wspomaganymi przez ONG Joachima? Wątpliwe, ale należało to sprawdzić.

Jeanne przeszła do trzeciej sprawy.

Francesca Tercia.

Trzydzieści cztery lata.

Zamordowana w nocy z 6 na 7 czerwca 2008 roku w Paryżu.

Koszulka z aktami tej sprawy była cienka. Dochodzenie dopiero się zaczynało. Wiadomo było, że urodziła się w Buenos Aires, że studiowała sztuki plastyczne i antropologię. Następnie wyemigrowała do Barcelony, a potem do Paryża. Nie miała chyba narzeczonego ani żadnych trwałych związków w stolicy.

Jeanne zatrzymała się na jej zdjęciu. Francesca także była przystojna. Południowoamerykańskie rysy. Bardzo czarne brwi, które nadawały jej tragiczny wygląd. Kręcone, czarne włosy, w które mężczyźni pewnie chętnie zanurzyliby ręce... Jeden tylko mankament - szerokość twarzy. Francesca także podpadała pod kategorię „wagi ciężkiej”. Jeanne przypominała sobie ciało wiszące pod sufitem w atelier. Szerokie biodra, grube uda. Okrągły pofałdowany brzuch...

To nie były „Trzy Gracje”, lecz „Trzy Grubaski”...

Jeanne zagryzła wargi. Dopóki przychodzi jej do głowy takie głupie określenia, nie jest prawdziwym funkcjonariuszem prawa. Przyjaznym, solidarnym, wyrozumiałym. Zawsze była cyniczna i wykonywany przez nią zawód niczego tu nie zmienił.

Podobnie jak Nelly Barjac, Francesca prowadziła podwójne życie. W dzień pracowała w atelier Isabelle Vioti, tworząc ludzi prehistorycznych prawdziwszych niż w naturze. Wieczorami rzeźbiła własne dzieła w atelier, którego adresu jeszcze nie poznano. Jeśli chodzi o jej życie prywatne, nie wydawało się ono interesujące.

Co miała wspólnego z Joachimem? Francesca była Argentynką. Joachim pracował z ONG działającym na rzecz Ameryki Południowej. Czy poznali się w ambasadzie w Paryżu?

Jeanne ułożyła przed sobą trzy portrety. Te trzy kobiety były do siebie podobne tylko pod jednym względem. Ich wspólną cechą była nadwaga. Czytała niedawno w pewnej książce o „kryminalnym gromie z jasnego nieba”, pod którego wpływem w zabójcy rodzi się chęć przejścia do czynów. Zazwyczaj jest to jakiś szczegół, rys w twarzy ofiary, który służy mu za detonator. Jednak sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Muszą jeszcze dojść do tego inne warunki. Okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne. I wtedy dopiero dochodzi do wybuchu bomby...

Jeanne zastanawiała się nad jednym problemem. Czy zabójca wybrał te kobiety z

powodu ich wyglądu fizycznego, czy ich zawodów? Za każdym razem mordercę interesowało to, czym się zajmowały ofiary. Autyzm. Płodność. Prehistoria... Jeanne znowu usłyszała głos Taine'a: „On nie wybiera ich przypadkiem. On to wszystko zaplanował!”.

Można więc mówić o premedytacji. Nie ulegało wątpliwości, że te morderstwa były szczegółowo zaplanowane. Jednakże Joachim zabijał, gdy miewał ataki i nie pamiętał nic z tych „czarnych dziur”. Kto wobec tego wyznaczał ofiary? Kto przygotowywał teren?

Odezwała się jej komórka. Jeanne instynktownie spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina osiemnasta. Odebrała telefon. Był to Reischenbach.

- Na czym stoisz? - zapytał.

- Zabrano mi dochodzenie. Nie mogę prowadzić śledztwa ani w sprawie zabójstw, ani w sprawie pożaru.

- Witaj w klubie. Odsunięto mnie od sprawy kanibala. Przejęła ją inna ekipa, bliższa prefekta policji. Mówi się, że zaangażowano w to około trzydziestu policjantów. Ludzie z RG i IGS rzucili się na sprawę śmierci Taine'a niczym jakaś zaraza.

- Jak syfilis na księżulka.

- Tak - rzekł Reischenbach przez zaciśnięte zęby. - To właśnie miałem na myśli. Co zamierzasz zrobić?

- Wzięłam urlop. Chcę sama zająć się tą sprawą. Pomożesz mi?

- Nie bardzo wiem, jak mam ci pomóc. Nie mogę ruszyć nawet palcem.

- Zrób jak ja. Przeczytałam akta dotyczące ofiar. Dobra robota. Ale to nie wystarczy.

- Co byś chciała jeszcze wiedzieć?

- Trzeba ustalić, jak zabójca odnajdywał te kobiety. Musiał się gdzieś z nimi zetknąć. Przypuszczam, że zawsze w tym samym miejscu. W miejscu związanym z ich pracą, zwyczajami lub wyglądem fizycznym.

- Na przykład spotkania dla odchudzających się?

- Bardzo śmieszne. Pogrzeb jeszcze w ich zajęciach, znajomościach. Sprawdź fryzjerów, gimnazjony, ginekologów, linie autobusów i metra, którymi jeździły...

- Widzę, że nie zrozumiałaś. Nie mam już czasu ani ludzi...

- Poszukaj sposobu. Dołącz te poszukiwania do innej sprawy.

- To nie takie proste.

- Patrick, rozmawiamy o seryjnym zabójcy. O szaleńcu, który będzie dalej robił to samo. O facecie, który z pewnością zabił Francois Taine'a.

Milczenie. W końcu Reischenbach odezwał się:

- Być może patrzysz na sprawę z odwrotnej strony. Wiemy, że zabójcę interesowała

praca jego ofiar. Mógł obserwować miejsca, gdzie pracowały - Instytut Bettelheima, laboratorium Pavois, atelier Vioti, a w drugiej kolejności wybrał spośród personelu kobiety przy kości.

- To możliwe. Ale ja, czytając twoje protokoły przesłuchań, doszłam do innego wniosku. On je znał osobiście.

- Jak to?

- Nie ma śladu włamań ani bezpośredniej napaści. Przy pierwszym zabójstwie nie ma śladów walki na parkingu. Drugie miało miejsce w laboratorium Pavois, które są prawdziwą fortecą. Nie sposób tam wejść niepostrzeżenie. Nelly Barjac wpuściła zabójcę i oprowadziła go po salach. To pewne. Z atelier Vioti jest podobnie. Brak śladów włamania. Francesca otworzyła drzwi w środku nocy, z pełnym zaufaniem do zabójcy. Czekala na niego.

- Sprawdziliśmy ich rozmowy telefoniczne. Porównaliśmy trzy billingi. Nie ma wśród nich wspólnego numeru.

- Zabójca kontaktował się z nimi w inny sposób. Dobrze się nad tym napracował, a my musimy to rozwikłać. Pogoń swoich chłopaków, Patrick!

- Zobaczę, co się da zrobić.

Jeanne poczuła, że wygrała jeden punkt. Zapytała już spokojniej:

- Masz coś nowego w sprawie Franceski Tercii?

- Byliśmy u niej. To duże atelier w Montreuil.

- Robiła własne rzeźby w tym atelier?

- Tak.

- Jakie one są?

- Ohydne. Sceny tortur. Pokażę ci zdjęcia.

- Poza tym nic szczególnego?

- Nie. Mam wrażenie, że zamierzała się przeprowadzić.

- Dlaczego tak myślisz?

- Jej mieszkanie ma dwa poziomy. Na dole jest atelier. Na górze mieszkanie właściwe.

Na wszystkich meblach napisana jest zawsze ta sama liczba.

- Jaka?

- Pięćdziesiąt. Na lodówce. Na kafelkach w łazience. Wszędzie liczba pięćdziesiąt. Na początku nie rozumieliśmy, w czym rzecz. Potem pomyśleliśmy, że to z powodu przeprowadzki. Jakaś wskazówka dla przechowalni mebli.

Jeanne od razu zrozumiała, o co chodzi.

- Czy masz kobiety w twoim zespole? - zapytała.

- Nie.

- Powinieneś włączyć ze dwie kobiety.

- Niby dlaczego?

- Masz raport z autopsji Franceski?

- Przed sobą.

- Jakiego była wzrostu?

- Metr pięćdziesiąt siedem.

- Ile ważyła?

- Sześćdziesiąt osiem kilogramów, według patologa. Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ Francesca stosowała jakąś dietę. Pięćdziesiąt to była waga, do której dążyła. Napisała ją wszędzie, żeby się motywować. Na przykład liczba ta napisana na lodówce przypomina o diecie. Nie wolno podjadać między posiłkami.

- Żartujesz?

- Nie, to ty nie jesteś poważny. Dopóki śledztwa w sprawie morderstw kobiet będą prowadzić tylko mężczyźni, dopóty nie pojmiecie połowy tego, co jest istotne.

- Dzięki za lekcję - rzekł urażony Reischenbach.

- Nie ma za co. Ja zapisałam sobie mój cel szminką na lustrze w łazience.

- No i co z tego? Co to wnosi do naszego śledztwa?

- Podkreśla jeszcze raz wspólną cechę tych kobiet: nadwagę. I wszystko to, co się z tym łączy w życiu codziennym. Poszukaj instytucji zajmujących się tym problemem. Może chodziły do tego samego gimnazjonu, do tej samej łaźni... Szukaj.

Reischenbach nie odpowiedział. Jeanne poczuła, że musi go zdopingować.

- Masz jeszcze coś innego?

- Na razie nie.

- Nakładanie się na siebie danych? Dzieci z Instytutu Bettelheima, płyny owodniowe z laboratorium Pavois.

- Jeszcze nad tym pracujemy. Ale do tej pory bez rezultatu.

Jeanne nie naciskała. Nie wierzyła w ten trop. Ona знаła imię zabójcy. Po prostu.

- A co z moim adwokatem o imieniu Joachim?

- Żadnego takiego nie ma we Francji. Jesteś pewna, że to Francuz?

- Nie. A co dały billingi rozmów na komórce?

- Jutro rano będę miał dokładny wykaz rozmów Taine'a. Na razie dostałem billing twojego faceta, tego Antoine'a Ferauda.

Serce Jeanne przyspieszyło.

- Nie było ich dużo w ostatnim czasie. Dziś rano tylko dwie. Potem już nic. Można się chyba domyślić dlaczego.

- Mianowicie?

- Zadzwoiłem pod te dwa numery. Jeden to był telefon do jego sekretarki. Anulował wszystkie spotkania. Drugi do biura podróży Odyssee Voyages. Feraud zarezerwował bilet na lot do Madrytu, a potem do Managui.

- W Nikaragui?

- No właśnie. Wyleciał w południe do Hiszpanii. Mam nadzieję, że nie zamierzałaś wzywać go na przesłuchanie. Bo byłoby już na to za późno. Za kilka godzin znajdzie się w tropikach.

A więc Antoine Feraud uciekł. Ta informacja uspokoiła ją. Ale dlaczego do Nikaragui? Czy miał tam przyjaciół? Nie pojechał chyba w celach turystycznych, mimo iż sytuacja polityczna znacznie się tam poprawiła...

Niespodzianie przyszła jej do głowy inna myśl. Akcent ojca. Powiązanie syna z Ameryką Południową. Może byli z pochodzenia Nikaraguańczykami? W takim wypadku wyjazd Ferauda mógł znaczyć zupełnie coś innego. Feraud nie uciekał. Przeciwnie, prowadził własne dochodzenie na temat swojego pacjenta i jego syna. Ruszył tym tropem...

- Zidentyfikowaliście rozmówców z soboty?

- Niezbyt dokładnie.

- Sprawdź to. Ich zawód. Czy w wykazie jest nazwisko o brzmieniu hiszpańskim?

- Nie zauważyłem, ale jeszcze raz sprawdzę.

- Jeszcze jedno. W twoich raportach nikt nie wspomina o notesach, terminarzach znalezionych u ofiar.

- Bo ich nie mamy. Wszystkie zabrał Taine.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Spaliły się jak cała reszta dokumentów.

Jeanne westchnęła ze znużeniem:

- Pomyślałam o jeszcze jednej rzeczy. Zabójca miał obsesję na punkcie prehistorii. Sprawdziłeś, czy nie było jakichś włamań, kradzieży, aktów wandalizmu w Muzeum Sztuki Prehistorycznej lub Jardin des Plantes?

- Nie. Ale właściwie czego się po tym spodziewasz?

Jeanne przypomniała sobie, jak zwiedzała muzea, gdzie wystawione były dzieła Hansa Bellmera. Przez wiele lat miała nadzieję odnaleźć w tych miejscach ślad zabójcy swojej siostry. Szukała jakiegoś faktu, szczegółu, tropu, które pomogłyby w zidentyfikowaniu

mordercy. Nic to nie dało. Może tym razem...

- Poszukaj we wszystkich miejscach związanych z prehistorią - powtórzyła z naciskiem. - Biblioteki, muzea, księgarnie... Popytaj personel. Może zapamiętali jakieś nazwisko. Jakieś dziwne wydarzenie, cokolwiek... Czuję, że on krąży w tym środowisku.

- Jeanne...

- Zostało nam tylko kilka godzin.

29.

- To żaden problem.

- Na pewno?

- Na pewno. Nie są pancerne. Zaraz się do nich zabiorę.

Michel Brune wyjął narzędzia. Ubrany był w roboczy kombinezon z logo swojej firmy - Kryos Zamki. Jeanne przyglądała mu się z rękami skrzyżowanymi na piersi. Stali oboje przed drzwiami gabinetu Antoine'a Ferauda. Była godzina dwudziesta pierwsza.

Brune nie był zwykłym ślusarzem. Jeanne poznała go w biurze TGI, gdy został oskarżony o powtarzające się kradzieże. Ten dwudziestosześcioletni młody mężczyzna miał zły obyczaj zatrzymywania dla siebie duplikatów kluczy, które wykonywał w ramach oficjalnej pracy. Wykorzystywał je do uzupełniania swoich kolekcji staników, brudnych spodni, numerów „National Geographic”, długopisów... Jeanne widziała śmieszny charakter tych kradzieży. Przede wszystkim jednak zwróciła uwagę na niezwykle u tego kleptomana dar do zamków. Taki ekspert mógł być dla niej pożyteczny. Nie postawiła go przed sądem. Wpuściła na wolność. Ale zachowała jego akta. Od tamtej pory korzystała od czasu do czasu z jego usług. Przy nielegalnych rewizjach.

- Zrobione.

Zamek w drzwiach gabinetu Antoine'a Ferauda został otwarty. Jeanne poczuła w całym ciele lodowaty chłód. Stało się. Za późno, by się wycofać. Za późno na powrót do legalności.

Brune pchnął drzwi i zażartował:

- Wychodząc, proszę nie zapomnieć zamknąć za sobą drzwi na klucz.

Jeanne włożyła lateksowe rękawiczki. Zanurzyła się w ciemność. W mieszkaniu było gorąco. Zamknęła ostrożnie drzwi. Zapaliła latarkę. Zasłoniła dłonią strumień światła, żeby nie zauważono go przez okna. Mieszkanie tonęło w mroku i ciszy.

Z korytarza wchodziło się najpierw na lewo do małego pokoju. Poczekalnia. Białe ściany. Gzysmy w starym stylu. Kilka krzeseł. Książki ułożone na niskim stoliku. Zamiast popularnych pism katalogi wystaw, monografie. Specjalnie dla intelektualistów. Podeszła do zamkniętych drzwi po prawej stronie. Gdy je otworzyła, zobaczyła właściwy gabinet. „Pokój przesłuchań”.

Jej wyobrażenia o nim nie odbiegały za bardzo od rzeczywistości. Około trzydziestu metrów kwadratowych. Na prawo regał z książkami. Pośrodku, przed oknem, biurko. Dwa krzesła. Na lewo kanapa przykryta brunatnoczerwonym pledem. Na podłodze czerwony dywan. Nad kanapą wisiał peruwiański szal również w czerwonym kolorze. Przypomniało się jej zdanie, jakie wypowiedział Ingmar Bergman na prezentacji swojego filmu *Szepty i krzyki*: „Od dzieciństwa zawsze wyobrażałem sobie wnętrze duszy jako wilgotną membranę o czerwonym odcieniu”. A ona teraz znalazła się w takim „wnętrzu duszy”. Ściany zdawały się rozbrzmiewać głosami, które tutaj wypowiedziano...

Stała za biurkiem. Zaczęła przeszukiwanie. Blok z białymi kartkami. Bibeloty. Ołówki. Żadnego terminarza. Żadnych notatek. Żadnych nazwisk. Otworzyła szufladę. Bloczek z receptami. Czysty. Vidal - francuski wykaz leków. *Diagnostical and Statistical Manual* - amerykańska książka klasyfikująca choroby umysłowe... Żadnych notatek o pacjentach.

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Była to jedyna okazja, żeby usunąć zamontowane przez SIAT mikrofony. Odwróciła się i wzrok jej zatrzymał się na karniszu od zasłon. Technicy postępowali zawsze według tej samej metody. Wzięła krzesło i nóż do papieru. Weszła na krzesło. Mikrofon był umieszczony w ścianie nad gzymsem. Jeden ruch nożem i mikrofon znalazł się w jej ręce.

Jeanne dostrzegła kolejne drzwi obok regałów z książkami. Weszła tam. Niezłe. Niewielkie pomieszczenie około pięciu metrów kwadratowych, w którym Feraud przechowywał swoje archiwum. Półki z teczkami pełnymi arkuszy papieru ręcznie zapisanymi. Psychiatra pracował starym sposobem. Wyjęła na chybił trafił jedną koszulkę. Dla każdego pacjenta Feraud wypełniał jedną fiszkę z jego imieniem, nazwiskiem, adresem, a następnie w trakcie seansów robił notatki. To było właśnie to, czego szukała.

Powinna przejrzeć wszystkie akta pacjentów z nazwiskiem o hiszpańskim brzmieniu, których wiek mógł pasować do Hiszpana, a więc powiedzmy powyżej pięćdziesiątki. Daremny wysiłek. Z pewnością Feraud, gdy się pakował, a tym bardziej jeśli zamierzał prowadzić swoje dochodzenie, zabrał ze sobą teczkę starego hidalga. Ponadto nic nie przemawiało za tym, że ten człowiek nosił nazwisko hiszpańskie. Jeśli pochodził z Ameryki

Południowej, mógł równie dobrze mieć nazwisko niemieckie, rosyjskie, włoskie...

Najpierw trzeba skończyć obchód mieszkania. Jeanne wyszła z archiwum spocona. W głębi korytarza znajdowała się sypialnia. Podwójne łóżko. W ścianie po lewej stronie szafa na bieliznę. Przed łóżkiem telewizor plazmowy. Nie ulegało wątpliwości, że Feraud mieszkał tutaj. Jeanne zwróciła uwagę, że ani na ścianie, ani na stoliku przy łóżku nie ma żadnej fotografii.

Doświadczyła sprzecznych uczuć. Z jednej strony była zadowolona z tego, co zobaczyła. Antoine Feraud nie miał rodziny. Ani żony, ani dzieci. Z drugiej strony taka samotna egzystencja, związana tylko z gabinetem pracy, wprawiała ją w zmieszanie. Feraud żył jak student. Nie potrzebował komfortu ani czyjejś serdeczności, uczucia. Całkowicie oddany pracy. Trudno marzyć o takim człowieku. Ale czy ona żyła inaczej?

Rzut oka do szuflad. Kalesony. Skarpetki. Koszule. Wszystko w ciemnej tonacji. Ich niewielka ilość świadczyła o dłuższym wyjeździe. Szafa na ubrania z rozsuwanymi drzwiami. Kilka garniturów z czarnej wełny. Garderoba karawaniarza, ponuraka. Może lżejsze, bardziej kolorowe ubrania zabrał do Nikaragui?

Jeanne kontynuowała przeszukiwanie. Na podłodze przy łóżku leżały książki. *The Empty Fortress* Brunona Bettelheima, *Czarodziejska góra* Tomasza Manna. *Eugeniusz Oniegin* Aleksandra Puszkina. Przekartkowała je, potrząsnęła nimi. Szukała jakiegoś zdjęcia służącego za zakładkę. Nic. Zauważyła małe biurko wciśnięte między okno i telewizor. Nie było na nim komputera. Otworzyła wąską szufladę. Przerzuciła karnety, papiery. Nic. Feraud odleciał wraz ze swoimi sekretami.

Poszła dalej korytarzem w mokrym od potu T-shircie. Odnalazła kuchnię. Podstawiła twarz pod kran z zimną wodą. Pomieszczenie to było takie samo jak pozostałe. Czyste. Zimne. Bezosobowe. Zajrzała do lodówki - pusto. W łazience - podobnie. Na półkach ani jednego kosmetyku, żadnej pasty do zębów. Przyszło jej do głowy niestosowne podejrzenie. Może Feraud spędzał tutaj tylko tydzień roboczy, a potem dołączał do rodziny w pięknym domu na prowincji? Nie. Znalazłaby tutaj jakieś zdjęcia. Rysunki dzieci. Feraud był sfiksowany na punkcie psychiatrii. Samotnik, którego pasjonowały meandry ludzkiego umysłu, secesja wiedeńska oraz „mechanizm ojców”.

Wróciła do archiwum. Weszła na krzesło i zaczęła dokładniejsze poszukiwania. Ustawiła latarkę pod odpowiednim kątem. Wyjęła plik teczek i trzymając je lewą ręką, prawą odwracała pierwsze kartki w koszulkach, żeby zobaczyć nazwisko pacjenta. Po dwóch godzinach wyselekcjonowała pięć teczek, które mogły pasować do wyobrazonego przez nią człowieka.

W szeroki rozrzucie wiekowym.

Bardzo wielkim.

Carlos Vila, 57 lat.

Reinaldo Reyes, 65 lat.

Jean-Pierre Vengas, 69 lat.

Claudio Garcia, 76 lat.

Thomas Gutierrez, 71 lat.

Obfity zbiór? Chyba nie, ale zamierzała przestudiować każdą z teczek. Spojrzała na ostatnią półkę na dole. Miała spocony kark, skronie, pachy. Jej pot zmieszał się z pyłem wzniecanym z teczek. Cała pokryta była grubą warstwą brudu.

Przyklękła, żeby zabrać się do ostatniej partii teczek, kiedy nagle zamarła ze strachu.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Nie było to spokojne pukanie, ale silne, gwałtowne walenie. Jakby ktoś rzucał kamieniami z całej siły. Pomyślała, że to musi być zabójca.

Kolejne walenie.

Trzask drzewa.

Ktoś wyważał drzwi.

Jeanne, z sercem walącym niczym młot, przylgnęła do półek. Przez głowę przebiegały jej nerwowe myśli. Zabrać latarkę. Odstawić na miejsce teczki. Znaleźć inne wyjście. Nachyliła się po latarkę. Poślizgnęła się i upadła. Upadek otrzeźwił ją. Odzyskała zimną krew. Chwyliła latarkę. Zebrała rozrzucone dokumenty. Cały czas słychać było walenie do drzwi, które chwiały się w zawiasach. Jeanne przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi na klucz. Uświadomiła sobie także, że nie ma broni.

Na czworakach zbierała koszulki. Niespodzianie nabrały nieocenionej wartości. To był jej cel, jej skarb. Przybyła tu po nie i z nimi wyjdzie. Kartki z szelestem fruwały wokół. Kiedy już miała je pod pachą, inny dźwięk przeszył ciszę panującą w mieszkaniu.

Krzyk.

Ryk.

Nigdy nie słyszała czegoś podobnego. Świdrujący skronie, drapiący podniebienie, szarpiący gardło. Krzyk przedłużał się, by zmienić się jakby w gruchanie gołębia.

Pomyślała, że to może być terakotowy gwizdek, w który ktoś łagodnie dmucha. Joachim - szepnęła do siebie. W tym krzyku usłyszała zgrzytliwy głos z nagrania na płycie. To coś wyskoczyło z ciała adwokata... Stwór przebudził się... Wrócił, aby zabić Antoine'a Ferauda, jak poprzedniego wieczoru zabił Francois Taine'a. Żeby nikt nie przeżył.

Wybiegła szybko na korytarz. Rzuciła okiem przez ramię. Zobaczyła albo się jej to tylko wydawało, że drzwi ustępują pod naporem uderzeń. Pobiegła do sypialni. Do kuchni. Do łazienki. Szukała innego wyjścia. Omiatała wzrokiem każde pomieszczenie. W łazience było okno nad wanną. Spróbowała sobie przypomnieć topografię miejsca od strony ulicy. Może jest tam jakieś przejście przez podwórze...

Trzeba się pospieszyć. Nacisnęła kontakt. W ramie okna zamiast klamki był rygiel. Położyła teczki na parapecie. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia...

Trzask.

Krzyk, wyraźniejszy, bliższy.

Zabójca wyważał drzwi. Jego gruchanie rozlegało się w korytarzu, odbijało się od ścian. Jeanne zaglądała do wszystkich szuflad. Mydła. Maszynka do golenia. Grzebień... Uderzenia nie ustawały. Drzwi chwiały się w zawiasach. Pinceta do depilacji. Dezodorant. Szminka do ust. Cholera! Cholera! Cholera! Jeanne drżała, nie panując nad sobą. Ręczniki. Flakoniki. Spraye...

Znowu przeraźliwy trzask. Drzwi ustępowały. Zabójca był tuż. GRRRRUUU!!!... Znalazła czątki przypominające kombinerki. Chwyciła nimi rygiel i starała się go obrócić. Nic z tego. GRRRRUUU!!! Ponowiła próbę. Znowu fiasko. Oczy miała zalane łzami.

W końcu rygiel ustąpił. Okno otworzyło się. Jeanne wystawiła na zewnątrz głowę. Zobaczyła wąski występ biegnący wzdłuż muru. W dole wewnętrzne podwórze. Wepchnęła teczki pod T-shirt. Wsunęła się w okno.

Kiedy stopami dotknęła występu, tuż za plecami usłyszała szept:

- Todas las promesas de mi amor se irán contigo/Me olvidarás...

Jeanne przesuwała się wzdłuż zewnętrznego gzymsu, przechodząc przez rynny, aż doszła do drugiej ściany budynku, prostopadłej do pierwszej.

Mruczenie słychać było nawet na dziedzińcu:

- ...me olvidarás/Junto a la estación lloraré igual que un niño,/Porque te vas, porque te vas,/Porque te vas, porque te vas...

Jeanne szła teraz po drugim gzymsie, starając się nie spoglądać na dół. Otwarte okno w półcieniu. Klatka schodowa. Wrzuciła do środka teczki z aktami. Papiery z nazwiskami Vila, Reyes i Garcia rozsypały się na stopniach.

Wechodząc przez okno, odważyła się spojrzeć za siebie.

Potwór nie ścigał jej.

Stał nieruchomo w oknie łazienki. Cały się trząsł. Jakby mimo upału było mu zimno. Choć widziała go pod światło, dostrzegła pewne szczegóły. Potargane włosy. Nagie ramiona.

Na ramie okiennej szponiasta dłoń odwrócona do wewnątrz.

Była pewna, że ją obserwuje, ale w tym momencie promień słońca zaświecił w oczy potwora. Opuszczone powieki drgały nerwowo. Te oczy nie patrzyły na nią.

Ani na nią, ani na nikogo.

Były zwrócone do wewnątrz.

Ku mordercy.

W kierunku lasu, który kazał mu zabijać.

30.

Obudziła się półprzytomna. Przez pierwszą część nocy próbowała się uspokoić. Przez drugą studiowała akta wyniesione od Ferauda. I nic w nich nie znalazła. Zwyczajni nerwicowcy. Żadnego śladu ojca i jego syna mordercy. Kilka godzin trzeciej części nocy poświęciła na sen, wcześniej zażywając znowu pigułki nasenne.

Powtórzyły się koszmarne sny. Śnił się jej Golem, który już przedtem pojawiał się w jej snach. Teraz był u Francois Taine'a, na antresoli, w pożarze. Jeanne próbowała krzyczeć, ale dym gryzł ją w gardle. Potem chłopiec-potwór wyłonił się z wyłamanych drzwi. W mieszkaniu Ferauda. Jeanne czołgała się w kierunku lustra, ale nie posuwała się do przodu. Chłopiec stał za nią. I przed nią, w lustrzanym odbiciu. Mruczał urywaną litaniją. Utkwione w ziemi oczy drgały. Jeanne wciąż uciekała bez skutku, ogarnięta litością dla tego chłopca o ciemnej skórze, pokręconych rękach, z gęstymi potarganymi włosami, którego cień na murze przywodził na myśl wierzchołek cedru z Libanu...

Obudziła się i ponownie zasnęła.

Znowu się budziła, zasypiała, i tak wiele razy...

Uświadomiła sobie, że ktoś dzwoni do drzwi. Wstała i przeszła przez salon. Stwierdziła, że ma na sobie spodnie od piżamy firmy Calvin Klein i wyblakły T-shirt. W sam raz, żeby się pokazać ludziom. Słońce już przygrzewało, jeszcze łagodnie, ale zapowiadał się upalny dzień.

Ponowny dzwonek do drzwi. Potknęła się o rozrzucone na podłodze teczki z aktami. To przypomniało jej gabinet Ferauda. Uciekła przed zabójcą. W jej przytępionej świadomości krystalizowała się teraz każda sekunda minionego wieczoru...

Dzwonienie nie ustawało.

Otworzyła drzwi, nie sprawdzając w wizjerze ani nawet nie zakładając łańcucha.

Na progu stał nieznajomy mężczyzna. Około pięćdziesiątki. Siwe włosy ostrzyżone na jeża. W skórzanej czarnej kurtce. Z siwymi wąsami.

Najbardziej zaskakujące było to, co trzymał w rękach.

Bukiet kwiatów.

- Czy pani Korowa?

- To ja.

- Jestem komendant Cormier. Już się poznaliśmy.

- Nie sądzę.

Mężczyzna uklonił się. Bardzo stara szkoła dobrego wychowania.

- Przedwczoraj. W palącym się budynku. Mieliśmy na głowie kaski. Gdyby nie pani, runąłbym z czwartego piętra. Jestem dowódcą straży pożarnej w dziewiątej dzielnicy.

Jeanne skinęła głową, starając się odtworzyć wspomnienia. Korytarz pełen dymu. Palący się podest. Strażak cofający się nad otwartą klatką schodową. Niemal zapomniała, że w całym tym chaosie ocalała życie jakiegoś człowieka.

- Zrobiłam to całkiem machinalnie - powiedziała, nie przypisując wielkiej wagi do swojego czynu.

- Ale nadzwyczaj skutecznie.

- Proszę wejść.

Jeanne miała w głowie zamęt od środków nasennych. Nie pozbyła się jeszcze nocnych koszmarów. W mieszkaniu panował bałagan. Unosił się w nim stęchły zapach snu. Atmosferę ratowało nieco słońce.

- Napije się pan kawy? - zapytała.

- Dziękuję. Nie chciałbym sprawiać kłopotu. Przyszedłem, żeby po prostu podziękować. - Pokazał na bukiet. - To skromny wyraz wdzięczności, ale...

- Proszę usiąść - powiedziała, biorąc od niego kwiaty. - Wstawię je do wazonu.

Kiedy wróciła, Cormier nadał stał, plecami do niej, przed oknem. Był niewysoki. Krępy. Wyczuwało się w nim siłę, zdyscyplinowanie, gotowość.

- W jaki sposób zdobył pan mój adres? Nie składałam jeszcze zeznań.

Strażak odwrócił się. Jego oczy błyszczały jak metal w jaskrawym świetle dnia.

- Przez szpital, gdzie mają pani kartę informacyjną.

- No tak.

Zapach zaparzonej kawy wtargnął do salonu. Jeanne pomyślała, że wizyta tego specjalisty jest dla niej dobrą okazją.

- Co pan myśli o tym pożarze?

- Szczerze mówiąc, niewiele. Wydaje się, że został umyślnie wywołany. Ale nie jestem ekspertem. Wiem na pewno, że zaczął się na piątym piętrze. Tam, gdzie mieszkał pani przyjaciel...

- To pan mnie stamtąd wydostał?

- Ja i moi ludzie.

- Nie zauważył pan niczego podejrzanego w mieszkaniu?

- To znaczy?

- Jakiegoś człowieka, który uciekał.

- Nie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł tam przeżyć bez specjalnego ekwipunku. Znowu ujrzała potwora. Nagi. Czarny. Pokraczny. Czy pokryty był żywicą?

- Czy pana zdaniem istnieją takie substancje, które mogą całkowicie uchronić przed ogniem?

- Sądzę, że zrobiono duży postęp w tej dziedzinie, zwłaszcza w kinie. Ale i w tym także nie jestem specjalistą.

Jeanne zamyśliła się. Może to jakiś trop. Cormier jakby odgadł jej myśli i zapytał:

- Czy chce pani, żebym zdobył informacje na ten temat?

Jeanne skinęła potakująco głową. Napisała numer swojej komórki na wizytówce. Strażak schował ją do kieszeni. Miał wielkie, szorstkie dłonie. Z każdą sekundą zwiększało się jej zaufanie do niego. Przy następnym pożarze będzie wiedziała, kogo wzywać. Cormier pożegnał ją i wyszedł, znikając w wąskim korytarzu budynku.

*

Godzina dziesiąta. Kawa. Effexor. Słoneczny poranek dawał wrażenie wakacji. A wizyta tego Świętego Mikołaja z włosami na jeża była dobrą wróżbą. Telefon. Uprowadziła Claire, że nie przyjdzie dziś do biura. Ani jutro. I w ogóle nieprędko. Sekretarka wydawała się pogubiona.

- Woźny sądowy przyszedł po akta sprawy Timoru Wschodniego - powiedziała ściszym głosem, jakby ktoś mógł ją usłyszeć. - Miał nakaz sądowy.

- Kto się tym zajmie?

- Stephane Reinhardt.

Wybór nie był taki zły. Ostatecznie to on podrzucił jej tę sprawę. Znajdzie motyw całej kombinacji - ropa naftowa. I sposób, żeby przyskrzynić winnych. Być może. W każdym razie stworzy solidną ekipę z Hatzelem i Bretzelem.

- Coś jeszcze?

- Telefony. Listy. Co mam mówić?

- Idź do prezesa. Niech przekaże innym najpilniejsze sprawy.

- A co ze mną... Czy sądzisz, że mnie wezmą?

- Zadzwoń do prezesa. Nie martw się.

Jeanne obiecała, że się z nią skontaktuje. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, odezwała się komórka.

- Słucham.

- Reischenbach.

- Co nowego?

- Mam wykaz ostatnich rozmów telefonicznych Taine'a.

- Coś z nich wynika?

- Dwa dziwne telefony. Jeden do Nikaragui, w niedzielę o godzinie siedemnastej.

Drugi, zaraz po tym, do Argentyny.

Coraz więcej fragmentów układanki. „Nieprawdopodobne odkrycie” Taine'a znajdowało swoje źródło w Ameryce Środkowej i Południowej. W dodatku Feraud poleciał poprzedniego dnia do Managui.

- Zidentyfikowałeś adresatów tych telefonów?

- Jeszcze nie. Są to numery zastrzeżone. Jeden komórki w Managui. Drugi telefonu stacjonarnego w Argentynie. Szukamy. Za kilka godzin będziemy wiedzieli więcej. - Przerwał na moment, po czym powiedział: - Czy to nie do Nikaragui poleciał ten twój Antoine Feraud? Co on robi w tej całej historii?

- To psychiatra. Przypuszczam, że jego pacjentem jest zabójca kanibal. Dokładnie mówiąc, leczy jego ojca.

- Znasz nazwisko zabójcy?

- Nie. Tylko imię.

- Joachim?

- Tak. Czy znalazłeś adwokata o tym imieniu?

- Jeszcze nie.

- Szukaj dalej. Współpracuje z ONG, która działa w Ameryce Południowej.

- Posłuchaj, Jeanne. Ty i ja zostaliśmy odsunięci od tej sprawy. Nie mam ludzi, którzy mogliby się...

- Zróbmy maksimum tego, co możemy. Nie ma innych wieści?

- Po notatce o śmierci Franceski Tercii jak zwykle zwałił się tłum świadków, mamy pełno spontanicznych zeznań. Smród już się rozszedł.

- A jak wygląda śledztwo w sprawie Franceski?

- Ależ jesteś uparta. Przecież zabrano nam tę sprawę.

- Jakieś włamania w muzeach? Coś, co by miało związek z prehistorią?

- Zająłem się tym, ale jeszcze nic nie mamy. Ale... - Reischenbach jakby sobie o czymś przypomniał - mam coś dla ciebie... - Jeanne usłyszała szelest kartek. Policjant szukał w swoich notatkach. - Jest. Messaoud przesłał mi dziś rano esemesa. Nie wiedział, do kogo się z tym zwrócić... Otrzymał wyniki analizy ochry, którą zabójca wymieszał z innymi substancjami, żeby namalować nią napisy na ścianach. Właściwie nie jest to ochra, ale... poczekaj. - Jeanne znowu usłyszała szelest papieru. - To urucum.

- Co to takiego?

- Roślina z brazylijskiej Amazonii. Messaoud skontaktował się ze specjalistą. Dowiedział się, że tamtejsi Indianie kruszą jej ziarna na puder i smarują nim ciała dla ochrony przed słońcem i komarami. Z tego powodu Portugalczycy nazwali ich w szesnastym wieku „czerwonoskórymi”.

- Czy ta roślina ma jakąś moc? Jakąś symboliczną właściwość?

- Nie wiem. Ale Messaoud zebrał najprzeróżniejsze informacje. - Reischenbach znowu czegoś szukał. - Mam. Roślina ta jest bardzo bogata w betakaroten. Nie pytaj mnie, co to takiego. Zawiera też w sobie minerały: cynk, magnez, selen... Obecnie urucum jest używane do produkcji środków chroniących skórę przed słońcem.

Jeanne poprosiła, by przeliterował dokładnie tę nazwę oraz jej łaciński odpowiednik stosowany w botanice. *Bixa orellana*.

- To mogłoby nam pomóc ustalić pochodzenie tego typu - stwierdził Reischenbach. - A przynajmniej w jakich regionach podróżował.

Ten nowy fakt potwierdzał powiązanie morderstw z Ameryką Południową. Był to jednak bardzo ogromny teren - wiele tysięcy kilometrów dzieliło Managuę w Nikaragui od Buenos Aires w Argentynie i Manaus w Brazylii...

Jeanne zastanawiała się, czy te wskazówki stanowią rzeczywisty postęp w sprawie. Jednego była pewna: starszy pan i jego syn nie byli Brazylijczykami. Znała na tyle dobrze ten kraj, że potrafiła odróżnić akcent hiszpański od portugalskiego. Kiedy potwór z wnętrza Joachima powtarzał słowa *Porque te vas*, mówił je z doskonałym akcentem hiszpańskim.

Ta refleksja przypominała jej horror, który przeżyła ostatniego wieczoru. Spacer po gzymsie. Wilgotna ciemność nocy. I ten głos za nią, wszędzie na podwórzu: *Todas las promesas de mi amor se iran contigo/Me ofoidaras...*

- Słuchasz mnie?

- Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że dziś wieczorem wszystko kończę. Policja sądowa to nie jest prywatna agencja. Jedyne, co jeszcze mogę dziś zrobić dla ciebie, to sprawdzić te tropy...

- No więc zrób to.

31.

- Pojęcie autyzmu zawiera dzisiaj w sobie wszystko, co się chce w nim znaleźć. Używa się tego słowa na określenie przeróżnych patologii o podobnych objawach. Dobrowolne lub wymuszone milczenie. Ucieczka od rzeczywistości. Trudności w uczeniu się... Termin ten oznacza raczej symptomy niż konkretną chorobę. Skutki, a nie przyczynę. Rozumie pani?

Jeanne nie odpowiedziała. Przede wszystkim nie rozumiała sytuacji, w jakiej się znalazła. Siedziała na brzegu basenu ubrana w bawełnianą bluzeczkę, podwinięte spodnie, z gołymi stopami. Był to kryty basen Instytutu Bettelheima. Helene Garaudy, dyrektorka centrum, zgodziła się na spotkanie pod warunkiem, że Jeanne uwzględni jej rozkład zajęć. W tym momencie dokonywała kąpieli sześciolatniej lub siedmioletniej sparaliżowanej dziewczynki.

Helene Garaudy trzymała dziewczynkę jedną ręką, a drugą polewała jej czoło wodą.

- Ponieważ to niczego nie załatwia - mówiła dalej - sami specjaliści nie są zgodni co do klasyfikacji tych patologii. Ani w opisie symptomów, ani tym bardziej ich źródła. Jeśli zaś chodzi o leczenie, każdy ma własne pomysły...

Jeanne próbowała się skoncentrować, ale wszystko ją tu rozpraszało: zapach środków odkażających, niebieskie kafelki w basenie, pogłos. Nie mówiąc już o tym, że jechała trzy kwadransy, żeby dotrzeć do Garches, gdzie znajdował się Instytut Bettelheima.

- Gdyby jednak miała pani opisać wspólne symptomy tych patologii, to co by pani powiedziała?

Zadała to pytanie, chcąc wrócić do konkretów. Ona sama miewała niektóre z tych symptomów. Pomyślała o spłoszonym spojrzeniu napastnika wzmożonym nerwowymi tikami, które widziała w półmroku w okienku łazienki u Ferauda. Znowu usłyszała słowa *Porque te vas* recytowane bardzo szybko.

- Istnieje całe mnóstwo sposobów zachowania się - odpowiedziała Helene Garaudy. - I tyleż stopni poziomów rozwoju. Niektóre dzieci autystyczne mogą nauczyć się mówić, inne nie. Jedne osiągają pewną niezależność, dają się wychować. Drugie nigdy. Reasumując,

symptomy są skoncentrowane wokół izolowania się. Autystyczne dziecko nie przyjmuje tego, co się dzieje poza nim, w świecie zewnętrznym. Zachowuje się tak, jakby inni ludzie nie istnieli, nawet jego rodzice. Boi się kontaktu cielesnego. Innym istotnym elementem jest potrzeba niezmienności. Dziecko chce być w bezpiecznym świecie. W jego otoczeniu nic się nie może zmienić. W swoim pokoju układa rzeczy zawsze na tym samym miejscu i doskonale pamięta, gdzie co leży. Przypuszczalnie nie widzi żadnej różnicy między sobą samym i otoczeniem. Tak więc każdą zmianę przeżywa jak zadaną mu ranę.

- Podobno mają kłopoty z mówieniem...

- Dotyczy to tych, które w ogóle potrafią mówić.

Jeanne przypomniała sobie, co wspominał na ten temat Feraud, ale chciała potwierdzenia.

- Czym się to cechuje?

- Dziecko mówi o sobie w drugiej lub trzeciej osobie, jakby zaprzeczając własnemu istnieniu. Trudno jest mu także powiedzieć „tak”. Często na znak potwierdzenia powtarza pytanie. Notuje się także zjawisko eholalii. Dziecko wymawia ciągi słów w identyczny sposób, zawsze z taką samą intonacją. Jeden z pierwszych psychiatrów, którzy zajmowali się tymi przypadkami, Leo Kanner, zauważył, że dziecko powtarza takie ciągi słów w sytuacji, w jakiej usłyszało je po raz pierwszy. Słowa te stają się metaforą danej sytuacji, związanego z nią doświadczenia.

Jeanne po raz kolejny pomyślała o piosence *Porque te vas*.

- Tak jakby doświadczyło wtedy urazu?

- Niezupełnie. Dziecko może zapamiętać jakieś zdanie w chwili, gdy czuje się szczęśliwe. I wówczas, powtarzając je, daje znak: „Jestem szczęśliwy”. Ale uwaga, wszystko, co teraz mówię, należy traktować z wielką ostrożnością. Przedstawiam emocje, reakcje typowo ludzkie na świat, który nie ma nic wspólnego z psychiką ludzką. Wszechświat osoby z autyzmem jest naprawdę... całkiem inny.

Jeanne siedziała na brzegu basenu z nogami w wodzie. Helene Garaudy podtrzymywała teraz dziewczynkę w wodzie. Mała leżała nieruchomo, wykrzywiając usta. Jeanne skoncentrowała się na swoich pytaniach. Była tutaj po to, żeby powiązać trzy bieguny wyznaczone przez zawody trzech ofiar. Autyzm. Genetyka. Prehistoria.

- Czy istnieje jakaś genetyczna przyczyna występowania autyzmu?

- Obecne badania zmierzają do tego, żeby wykazać, że niektóre symptomy autystyczne są pochodzenia genetycznego. Jednak trzeba zachować ostrożność. W dalszym ciągu nie będzie wiadomo z całą pewnością, jaki to typ genów, a zwłaszcza nieznane są odpowiedzialne

za to czynniki mózgowie.

- Nie można więc stwierdzić autyzmu przed narodzinami dziecka, badając na przykład kariotyp płodu?

- Odkryto chromosomy związane z niektórymi przypadkami autyzmu, ale wcześniejsza diagnoza jest niemożliwa. Na razie. Badania prowadzone są na szeroką skalę.

- Czy nie zdarza się, że dziecko staje się autystyczne wskutek jakiegoś urazu psychicznego?

Helene Garaudy uśmiechnęła się. Z twarzy nie można było określić jej wieku. Trudno też byłoby powiedzieć, czy jest ładna, czy brzydka. Wielkie wrażenie robiła jednak emanująca z niej niezachwiana pewność siebie, spokój.

- Dzieci rodzą się z autyzmem. Życie nie może na to wpłynąć. Chyba że mówilibyśmy o życiu przed narodzeniem, w macicy matki. W takim wypadku podzielilibyśmy pogląd Brunona Bettelheima.

- To jego imię nosi wasze centrum?

Dyrektorka nie odpowiedziała. Przesuwała dziewczynkę na powierzchni wody. Mimo iż robiła to bardzo łagodnie, widok tego białego ciała, z żółtymi rękawkami na ramionach, zanurzonego w turkusowej wodzie, był nie do zniesienia. Przykro było patrzeć na tę dziewczynkę z rozchylonymi wargami, czerwonymi dziąsłami, wiotkim ciałem... Pielęgniarka, która weszła do basenu, przejęła dziecko i pokierowała je ku asystentom czekającym na brzegu.

Helene Garaudy wyszła z wody kilka metrów od Jeanne. W talii była cienka jak osa. Miała kształtne pośladki.

- Chodźmy na słońce - powiedziała, podnosząc leżący na podłodze ręcznik i płócienną torbę. - Mam pół godziny na lunch. Zapraszam panią.

Za oszklonymi drzwiami rozciągały się gładkie i lśniące trawniki niczym pola golfowe. Filary z białego marmuru przypominały współczesne rzeźby. W ogrodzie panowała atmosfera rzymskiego atrium.

Jeanne spodziewała się, że dyrektorka przebierze się w biały fartuch, ale ona ściągnęła jedynie czepek z głowy i została w kostiumie kąpielowym. Włosy miała zaczesane w kok z umyślną niedbałością, szyję wygiętą niczym łuk, który ma za moment pęknąć.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów Marlboro, zapaliła jednego i rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku dziewczynki. Pielęgniarki wyjmowały ją ostrożnie z wody i sadzały w wózku na kółkach.

- Musimy bardzo na nią uważać. Kąpiel ją uspokaja, ale...

- Jest niebezpieczna?

Nie spuszczać oczu z dziewczynki i jej asysty, Garaudy wypuściła dym.

- Ojciec trzymał ją razem z psami. W rzeczywistości bardziej dbał o psy niż o córkę. Kiedy ją zobaczyliśmy po raz pierwszy, naśladowała zwierzęta, czekając na jakiś życzliwy gest. Kiedy zrozumiała, że my troszczymy się o ludzi, zaczęła nienawidzić psy. I zarazem bardzo się ich bać. Rodzi to w niej ogromny wewnętrzny konflikt.

- Dlaczego?

- Bo w pewnym sensie pozostała psem.

Pielęgniarki pchały wózek do głównego budynku. Jedna z nich zdjęła dziewczynce czepek kąpielowy. W słońcu zaśniły gęste, płowe włosy. Jeanne odniosła wrażenie, że w tym momencie ujawniła się zwierzęca natura dziewczynki.

- Chodźmy, usiądziemy tam.

Filary nie były z marmuru, lecz z pomalowanego cementu. Przy jednym z nich stał w cieniu automat z napojami. Helene wyjęła z niego lodowatą puszkę.

- Cola light?

- To nasz lunch?

- Przede wszystkim należy dbać o linię!

Jeanne wzięła puszkę. Pod palcami poczuła kojąco zimne krople.

Z któregoś z budynków doszedł przejmujący krzyk. Jeanne drgnęła. Miała wrażenie, że błyszcząca bielą w słońcu budynek symbolizuje zamknięty, nieprzenikniony, nieodgadniony świat autyzmu.

Dyrektorka, nie wypuszczając papierosa z ust, otworzyła drugą puszkę. Jakby nic nie usłyszała. W każdym jej ruchu było coś wyrafinowanego, odbierającego złudzenia.

- Wspomniała pani Brunona Bettelheima - przypomniała Jeanne.

- Tak. Słyszała pani o nim?

- Trochę. Czy to on napisał książkę *Cudowne i pożyteczne*. O znaczeniach i wartościach baśni!

- Zajmował się szczególnie autyzmem. Był to wiedeński psychiatra, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Stworzył ośrodek psychoterapeutyczny dla dzieci przy uniwersytecie w Chicago. Wcześniej, jeszcze w Europie, ponieważ był Żydem, został wywieziony najpierw do obozu w Dachau, a potem do Buchenwaldu, gdzie wymyślił własną metodę leczenia dzieci autystycznych.

- W jaki sposób?

- Obserwował więźniów. Zauważył, że zamykali się sami w sobie, żeby chronić się

przed niszczącym wszystko otoczeniem. Później, mając do czynienia z dziećmi autystycznymi, stwierdził, iż one w ten sam sposób postrzegają rzeczywisty świat zewnętrzny, jako niedające się uniknąć zagrożenie. Lecząc je, należy więc stworzyć świat w stu procentach pozytywny, mający dotrzeć do ich umysłów, uwolnić od strachu, odwrócić psychiczny proces zamykania się w sobie...

- Czy tę metodę stosował w swoim ośrodku?

- W tym ośrodku każdy szczegół pomyślany był pod tym kątem. Kolor zasłon i ścian. Styl mebli. Posągi w ogrodzie. Zabawki ułożone w szafach tak, aby zawsze były pod ręką. Otwarte drzwi. W wypadku gdy sytuacja się pogarszała, zabraniał rodzicom widzenia z dziećmi.

- Uważał, że są groźni?

- W każdym razie w umyśle dziecka. Na tym polega teoria Bettelheima. Jego zdaniem autyzm jest wynikiem porzucenia. Rzeczywistego czy wyobrazonego, ale głęboko odczuwanego przez dziecko. Jego zamknięcie na świat jest reakcją psychiczną. To mechanizm obronny.

Jeanne coś sobie przypomniała. W sypialni Antoine'a Ferauda była książka Brunona Bettelheima *The Empty Fortress*. Bez wątpienia psychiatra po wizycie Joachima chciał odświeżyć swoją wiedzę na temat autyzmu.

- Czy tutaj stosujecie te metody?

- Nie. Podziwiamy tego człowieka, ale metody leczenia bardzo się zmieniły.

- Pozwalacie na odwiedziny rodziców?

- Oczywiście.

Jeanne pomyślała o Joachimie i jego ojcu.

- Czy imię Joachim coś pani mówi?

- Nie. Dlaczego pani o to pyta?

- Bez konkretnego powodu - odpowiedziała Jeanne z uśmiechem. - To bardzo trudne dochodzenie. Zarzucam wędkę, ale nic nie udaje mi się złapać...

- Nie rozumiem. Prowadzi pani dochodzenie?

- Nie. W tym jest problem... Czy kontaktował się z panią Francois Taine?

- Kto to taki?

- Sędzia śledczy prowadzący tę sprawę.

- Nazwisko nic mi nie mówi, ale dzwonił do mnie jakiś funkcjonariusz prokuratury.

Pytał o autyzm. Zabrano mu tę sprawę?

- On nie żyje.

- Jak to?

- Zginął w pożarze. Przedwczoraj.

Helene Garaudy upiła łyk pianistego napoju. Bliskość śmierci nie budziła w niej lęku. Pielęgniarka zamordowana i zjedzona kilka dni wcześniej w jej instytucie. Sędzia śledczy spalony żywcem. Wszystko to spływało po niej jak woda.

- Czy te wydarzenia są ze sobą powiązane? - zapytała w końcu.

- Nie ulega wątpliwości. Nie licząc dwóch innych morderstw. Dwóch kobiet, które były podobne do Marion Cantelau.

- Seryjny zabójca?

- Na to wygląda.

Jeanne nie miała ochoty wchodzić w szczegóły. Woląa raczej pogłębić wiedzę na temat drugiej części swojej układanki - autyzm, genetyka, prehistoria...

- Czy widzi pani powiązanie między autyzmem a prehistorią?

- Co pani rozumie przez prehistorię?

- Prymitywne życie, agresywne zachowania.

- Tak, jest pewne powiązanie.

Jeanne drgnęła, nie spodziewała się bowiem odpowiedzi twierdzącej.

- Czy wie pani, co to takiego dziecko-wilk? - ciągnęła dalej Helene Garaudy.

- Nie.

- Dzikie dziecko. Dziecko porzucone, które rosło we wrogim środowisku. Na przykład w lesie. Czy słyszała pani o Victorze de l'Aveyron?

- Widziałam film *Francois Truffauta*.

- To prawdziwa historia. Ten dwunastoletni chłopiec został znaleziony w tysiąc osiemsetnym roku w lesie Aveyron. Poruszał się na czworakach, był głuchy i niemy. Stale się kołysał, nie okazywał żadnej sympatii w stosunku do tych, którzy go karmili. Został oddany na wychowanie pewnemu młodemu lekarzowi wojskowemu, Jeanowi-Marie-Gaspardowi Itardowi, który poświęcił bardzo dużo czasu na jego naukę.

Jeanne przypomniała sobie czarno-białe zdjęcia z filmu. Cierpliwy Itard, grany przez samego Truffauta. Rozczochrany chłopak, dziki, a zarazem taki czarujący. Etapy jego kształcenia. Muzyka Vivaldiego...

- Itard, mimo ogromnych wysiłków, nie zdołał „wyleczyć” Victora.

- Nie widzę związku z autyzmem.

- Dziś wszystko wskazuje na to, że Victor cierpiał na autyzm. Z pewnością było to pierwsze dziecko autystyczne poddane tak dokładnej obserwacji.

- Czy długoletni pobyt w lesie spowodował, że był niemową?

- Jest wiele hipotez. Itard uważał, że stan Victora wynikał z braku kontaktu ze społeczeństwem i edukacji. Pojawiła się jednak inna idea, przeciwstawna, według której Victor był dotknięty autyzmem od urodzenia i z tego powodu porzucono go w lesie. To autyzm spowodował, że go porzucono, a nie odwrotnie.

W głowie Jeanne zabrzmiało zdanie: „Las cię gryzie”. Czy Joachim został porzucony w lesie? Czy urodził się z autyzmem? Czy stał się autystyczny, ponieważ go porzucono? Jeanne ocierała się o prawdę, ale nie miała nic konkretnego.

- Obecnie przypuszcza się, że wszystkie znane historie o dzieciach dzikusach to wypadki autyzmu. Pisał na ten temat Bettelheim. Według niego dzieci-wilki nie straciły zdolności intelektualnych, żyjąc na łonie przyrody. One ich nigdy nie miały. Ale ponieważ trudno było uznać, że dziecko może stać się do tego stopnia dzikie, to wymyślono historyjki o adoptowaniu przez małpy lub wilki... Tak było w wypadku dwóch słynnych dziewczynek z Midnapore w Indiach, Amali i Kamali, opisanych przez wielbnego Singha w latach trzydziestych. Dziś jest jasne, że obie dziewczynki były autystyczne. Ich prymitywne zachowanie było przystosowane do powrotu do stanu zwierzęcego. W rzeczywistości musiały zostać odrzucone właśnie z powodu ich wad...

Jeanne miała ochotę postawić hipotezę o mężczyźnie schizofreniku posiadającym dwie osobowości, z których jedna dotknięta była autyzmem. Z jednej strony dziecko odcięte od świata, z drugiej cywilizowany człowiek. Domyślała się jednak, że Garaudy zareaguje tak samo jak Bernard Level i orzeknie, że to absurd.

Wróciła do bardziej namacalnych faktów sprawy.

- Niektóre szczegóły w miejscach zbrodni pozwalają nam przypuszczać, że zabójca cierpi na autyzm.

- To śmieszne. Ta patologia nie...

- Już mi to próbowano wyjaśnić. Ale co pani o tym myśli? Jeanne wyjęła z torby zdjęcia odcisków zakrwawionych dłoni.

Fotografie tak zabłysły w słońcu, że wyglądały, jakby się paliły. Dyrektorka obejrzała je z niewzruszoną miną. Jeanne pomyślała, że ma ona niezwykłą siłę charakteru, ale nie do końca pojmowała, skąd ją czerpała.

- Czy to są zdjęcia z miejsca zabójstwa Marion?

- Tak. Ale w dwóch innych miejscach zbrodni odciski są takie same.

- No i co z tego wynika?

- Wyraźnie widać, że zabójca chodził wokół ciała na czworakach. Dłonie ma

odwrócone ku stopom. To zdaje się jest także oznaką autyzmu.

- I jeszcze wiele innych rzeczy. To wszystko, co pani ma? Jeanne już chciała powiedzieć o zgrzytliwym głosie chłopca-potwora. O tym, że nie potrafił wypowiedzieć słowa „ja”. o powtarzanej piosence *Porque te vas...* Ale wówczas musiałaby zdradzić, w jaki sposób zdobyła te dowody.

- Co pani myśli o tych rysunkach? - zapytała, pokazując zdjęcia krwawych napisów na ścianie. - Czy mógł je wykonać chory na autyzm?

- Tak.

Jeanne znieruchomiała. Po raz drugi zarzuciła sondę na ślepo i po raz drugi otrzymała twierdzącą odpowiedź.

- Proszę to wyjaśnić.

- Tego rodzaju znaki widywałam często... Powtarzanie motywów... Równe szeregi. Może to być jeden z niby-języków, które tworzą czasami cierpiący na autyzm.

- Jakie to ma dla nich znaczenie?

- Na ogół jest to ochrona.

- Przed czym ochrona?

- Rysunki tak uszeregowane w liniach, jak te tutaj, odgrywają rolę zapory. Freski, fryzy odgrywają rolę granicy. Bettelheim opisał przypadek małej dziewczynki, Laurie, która tworzyła „granicę” za pomocą kawałków kory. Odtwarzała niemal doskonale sinusoidalne fale.

- Zabójca chciał więc ochronić miejsce swojej ofiarnej ceremonii?

- Niewykluczone. W jakimś sensie w ogóle swój świat.

Helene Garaudy spojrzała na zegarek. Przerwa na lunch się skończyła. Jeanne rzuciła ostatnie pytanie:

- Czy kanibalizm może w jakimś stopniu mieć coś wspólnego z autyzmem?

- Jest pani bardzo uparta - powiedziała z irytacją pani doktor. - Powiedziałam już, że ten zabójca nie może cierpieć na autyzm.

- Ale można sobie wyobrazić jakiś związek między tymi dwoma elementami?

- W pewnym sensie tak - przyznała Garaudy. - Wielu psychoanalityków, jak Melanie Klein w latach trzydziestych, zwróciło uwagę, że popęd seksualny u chorych na autyzm może prowadzić do agresji.

- Aż do kanibalizmu?

- Fantazując, można dojść nawet do zjadania ludzi. Jednak powtarzam jeszcze raz, że wasz zabójca nie ma autyzmu. Ta patologia to ułomność umysłowa, taka sama jak kalectwo

fizyczne.

Helene Garaudy oddała zdjęcia i wstała.

- Przykro mi - powiedziała, biorąc do ręki torebkę - ale muszę wracać do pracy.

Jeanne poszła za nią. Przecięły trawnik, weszły do budynku i skierowały się na schody prowadzące do szatni. W twarz uderzył je chłodny powiew klimatyzacji. Jeanne miała wrażenie, że przechodziła przez tafłę lodu.

- Nie potrafią tego wyregulować... - mruknęła Garaudy. Podeszła do jednej z metalowych szafek stojących pod ścianą.

Otworzyła ją, bez skrzypowania zdjęła kostium kąpielowy, po czym włożyła czarne majtki i w takim samym kolorze stanik. Patrząc na Jeanne, zapytała:

- Z czego jest pani bluzka?

Jeanne miała na sobie bardzo cienką koszulową bluzkę, czarną i przezroczystą, spod której widać było elegancki czarny stanik. Przybrała minę sapera, prezentującego składniki bomby.

- Bawełna. Luźno tkana.

- To chyba nieźle podnieca mężczyzn, prawda?

Roześmiały się. Jeanne pomyślała, że mogłaby pójść z nią na obiad. Poplotkowałyby sobie o mężczyznach. Ale Helene Garaudy wyjęła czarną bluzę z białym kołnierzykiem. Kwef...

Jeanne osłupiała. Pani doktor psychiatra była zakonnica. To tłumaczyło jej zimną krew wobec barbarzyńskiego zabójstwa Marion Cantelau. Uniwersalna siła wiary.

- Przedstawiam pani siostrę Helene - powiedziała, robiąc ukłon. - Zakon karmelitanek z Syjonu. Personel Instytutu Bettelheima składa się w pięćdziesięciu procentach z sióstr zakonnych. I, jak pani widzi, ta połowa nim zarządza.

Oszołomiona Jeanne nie była w stanie nic odrzec.

- Proszę nie ufać pozorom - uśmiechnęła się zakonnica. - Zwłaszcza jeśli są całkiem nagie...

32.

- Śmierdzi, prawda?

Jeanne przytaknęła głową. Znajdowała się przed oszklonymi budynkami laboratorium Pavois. Kiedy zgłosiła się w recepcji, Bernard Pavois zszedł do niej i wyprowadził na

zewnątrz. Zastanawiała się w duchu dlaczego. W powietrzu unosił się ciężki, duszący smród.

- To z fabryk w Saint-Denis - wyjaśnił Pavois. - Pozostałości po wielkim rozwoju przemysłu w tym departamencie. Czy wie pani, dlaczego począwszy od końca dziewiętnastego wieku wybudowano tak wiele fabryk w tym departamencie?

- Nie wiem.

- Z powodu wiatrów. Paryscy kapitaliści chcieli być pewni, że przemysłowe smrody nie dotrą z wiatrem do stolicy. Zwłaszcza do jej zachodniej części, gdzie powstawały najelegantsze dzielnice Paryża. Kiedy byłem chłopcem, w Aubervilliers działały jeszcze fabryki Saint-Gobain, które rozsiewały smród siarki, oraz rzeźnie w La Villette, gdzie palono kości. W tamtych czasach nie mówiono, że śmierdzi siarką lub śmierdzi śmiercią, lecz że „to śmierdzi Aubervilliers”.

- Pan się urodził w tym departamencie?

- W Bondy. Jak Andre Malraux.

Jeanne odwróciła się i popatrzyła na długi budynek z betonu i szkła. Tysiące metrów kwadratowych działalności naukowej. Cztery piętra sterylnych pomieszczeń, komputerów i naukowców w białych kitlach. Oczywisty dowód sukcesu Bernarda Pavois. Całkowicie aseptyczne przedsiębiorstwo naukowe w samym środku pogardzanego przedmieścia.

- Smród zawsze tu doprowadzi - powiedziała ironicznym tonem.

- Od dawna chciałem zrobić coś dla mojego regionu. Mógłbym wegetować w jakimś ośrodku badawczym, ale wolałem pokazać wszystkim, że to północne przedmieście jest nie tylko okropnym siedliskiem smrodu, nędzy i przemocy. Nie jestem pewien, czy mi się udało. Dziś najwięcej wiemy o zamieszkach w centrach miast i o dwojgu biednych dzieciaków, które zginęły przy transformatorze...

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Bernarda Pavois, wydał jej się chłodnym, niewzruszonym olbrzymem. Teraz robił wrażenie człowieka wrażliwego, walczącego, zaangażowanego. Golem o gorącej krwi.

- Czy mogę zapalić? - zapytał. - Zapach papierosa nie będzie pani przeszkadzał?

- Nie, wzięwszy pod uwagę miejsce, gdzie się znajdujemy.

- To zaleta tego zakątka - westchnął Pavois, robiąc do niej oko. - Można upaść znacznie niżej.

Zapalał papierosa spokojnymi ruchami. Jeanne ze zdziwieniem stwierdziła, że jest w nim niezwykły urok. Pod pozorną obojętnością wyczuwało się prawdziwą szlachetność, chęć kochania i chronienia innych. Ten potężny chłodny mężczyzna w kwadratowych okularach, z wolem pelikana, miał w sobie coś z misia. Człowiek, który mógł uszczęśliwić swoją

towarzyszkę, ale któremu kilka dni temu wszystko się zawaliło.

- Czytałem w gazetach o pożarze na ulicy Moncey. Poznałem na zdjęciu pani kolekę. Czy to ma związek z zabójstwem Nelly?

- Nazywał się Francois Taine. Odkrył coś niebezpiecznego dla zabójcy. Wszystko wskazuje na to, że został wyeliminowany.

Pavois milczał. Jeanne wiedziała, że nie potrzebuje banalnych kondolencji ani przerażających komentarzy.

- Czy to pani przejmuje tę sprawę? - zapytał, wydmuchawszy obłok dymu.

- Szczerze mówiąc, nie. Nie miałam nawet prawa być tutaj za pierwszym razem.

- Domyślałem się. Ten sędzia śledczy to pani przyjaciel?

- Bardzo bliski przyjaciel. Nie spocznę, dopóki nie znajdę zabójcy.

Szli przez długi trawnik. W porównaniu z idealnie utrzymanymi gazonami w Garches tereny zielone laboratorium Pavois wypadały bardzo blado. Miejscami pożółkłe, zachwaszczone, poryte, z kałużami błota...

- Co pani chce wiedzieć?

Jeanne nie przyjechała tutaj, aby wypytywać go o Nelly Barjac. Ani o ewentualne powiązania między autyzmem i genetyką, bo już wiedziała, czego ma się trzymać. Został niewyjaśniony problem prehistorii.

- Interesuje mnie, czy istnieje związek między genetyką i prehistorią?

- Nie rozumiem, do czego zmierza pani pytanie.

- Czy prymitywni ludzie mieli odmienny kariotyp?

- O to należałoby raczej zapytać paleoantropologów... Mogę podać pani nazwiska.

- A co pan wie na ten temat?

- Niewiele. Wróćmy do budynku. Można się roztopić na tym słońcu.

Bernardowi Pavois najwyraźniej zależało na tym, żeby jej pokazać każde piętro, każde pomieszczenie swego królestwa, i robił to nie bez pewnej dumy. Podobnie jak za pierwszym razem Jeanne była wprost olśniona. W słońcu sale laboratorium wydawały się z kryształu. Promienie światła jakby po wielokroć odbijały się gwiazdźście w szybach, blatach, pipetach. Krzyżowały się ze sobą w sterylnych pomieszczeniach, gdzie nie miały wstępu mikroby. W pokojach pod zwiększonym ciśnieniem, gdzie eliminowano najmniejsze drobinki kurzu. W salach obserwacyjnych, wyposażonych w komputery i mikroskopy binokularne.

Pavois zatrzymywał się przed każdym stanowiskiem, każdym urządzeniem i objaśniał łańcuch operacji pozwalających ustalić kariotyp. Pokazał centryfugę do izolowania komórek. Suszarki nastawione na 37 stopni Celsjusza do utrzymywania hodowli. Mikroskop

binokularny do obserwacji „metafazy”, oddzielania chromosomów, następnie ich barwienia i porządkowania. Każda próbka jest potem opisana w komputerze pod swoim numerem składającym się z dziesięciu cyfr, w których zawarta jest również data. Ostateczny wynik jest odsyłany do zlecającego operację: ginekologa, kliniki lub szpitala.

- A co z prehistorią? - przypomniała Jeanne.

- Już mówiłem pani, że nie jestem specjalistą.

- Czy kariotyp ludzi prehistorycznych był inny?

- Oczywiście. Neandertalczyk miał czterdzieści osiem chromosomów, a dzisiejszy człowiek ma ich czterdzieści sześć. Jak szympan.

- W jakim momencie ewolucji ustaliła się mapa genetyczna człowieka współczesnego?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem też pewien, czy na to pytanie odpowiedzą eksperci. Próbkę zbierane w wykopaliskach nie pozwalają ustalić kariotypów. Do tego potrzebny jest żywy materiał. Nie ulega jednak wątpliwości, że nasza ewolucja wciąż postępuje naprzód. Nasze chromosomy ewoluują ustawicznie.

- W jakim kierunku?

- Bardzo dawno temu ludzki chromosom X i chromosom Y miały taki sam rozmiar. W ciągu tysiącleci chromosom Y stale się zmniejszał. Obecnie jest o wiele mniejszy w porównaniu z chromosomem X kobiety.

- Czy to oznacza, że któregoś dnia zniknie samiec?

- Otóż to. Na ziemi nie będzie mężczyzn.

Jeanne wyobraziła sobie świat zaludniony jedynie amazonkami zdanymi wyłącznie na siebie. I chociaż mężczyźni stanowili główne źródło irytacji, taka perspektywa wcale jej nie zachwycała.

- Kiedy do tego dojdzie?

- Za dziesięć milionów lat. Mamy jeszcze sporo czasu przed sobą.

Tej żartobliwej uwadze towarzyszył niespodzianie niemal dziecinny śmiech, który wyszedł gdzieś z głębi jego gardła, ale zaraz potem na jego twarzy pojawił się cień. Jeanne zrozumiała:

Pavois pomyślał o Nelly. Swojej ukochanej kobiecie. Zmarłej tragicznie. Uszanowała jego milczenie. Jeśli ten genetyk miał coś na sercu, to o tym powie. Albo nie.

- Czy mogłabym zobaczyć gabinet Nelly?

- Policja już tam była.

- Mimo to chciałabym rzucić okiem.

- Pójdziemy tędy.

Weszli na piętro. Zwyczajne, duże pomieszczenie. Biurko z czarnym blatem. Szafa. Metalowe szafki z szufladkami. Jeanne zdziwiła się, że policjanci nie zostawili tu bałaganu, jak to mieli w zwyczaju. Usiadła za biurkiem. Pavois zostawił ją samą. Spróbowała wejść w skórę Nelly Barjac, pozostając jednak śledczą, jak ci, którzy przeczesali to miejsce.

Spojrzała na telefon. Rozmowy stąd zostały już sprawdzone. Komputer. Przejrzano również jej e-maile. Nic nie znaleziono. Ale oni, podobnie jak Jeanne, nie wiedzieli, czego mają właściwie szukać... Zrezygnowała z włączenia komputera.

Otworzyła szuflady biurka. Znalazła teczki z dokumentami. Sporządzone w jakimś dziwnym języku, pełne cyfr, schematów, symboli. Były tam również wymienione nazwy krajów, regionów z całego świata. Jeanne pomyślała o nocnej pracy Nelly, o jej badaniach nad dziedzictwem genetycznym w Ameryce Południowej, nad różnicami w DNA u różnych ludów. Reischenbach przekazał te dokumenty specjalistom. Ale co można w ten sposób osiągnąć?

Jeanne wyprostowała się w fotelu i spojrzała jeszcze raz na blat biurka. Najróżniejsze bibeloty. Pamiątki z podróży. Bransoletki zrobione z afrykańskich muszelek. Kawałki szali czy kilimów z Ameryki Południowej. Małe drewniane statuetki, zapewne z Oceanii. Były tu także spinacze, taśmy klejące, jakieś firmowe pudełko po kosmetykach, w którym mogły być herbatniki. Jeanne otworzyła je. Znalazła wewnątrz mnóstwo papierzysk. Rachunki ze sklepu papierniczego. Zapisane karteczki. Bardzo się zdziwiła, że policjanci ich nie zabrali, chociaż jasne było, że nie zawierały niczego istotnego.

Szukała dalej. Faktury z firm wysyłkowych. DHL. UPS. Fedex. Niektóre zupełnie czyste. Na innych adresy nadawców. Nelly otrzymywała przesyłki ze wszystkich zakątków Ameryki. Jeanne domyśliła się, że musiały mieć coś wspólnego z jej badaniami. Próbkę krwi. Fragmenty do analizy genetycznej...

Zatrzymała się na jednej z próbek. Pochodziła z Managui, stolicy Nikaragui. Nadawcą był Eduardo Manzarena ze spółki Plasma Inc. Przesyłka została dostarczona przez firmę UPS 31 maja 2008 roku. Pięć dni przed morderstwem. Managua. To do tego miasta Francois Taine dzwonił w niedzielę pod zastrzeżony numer. Tam też poleciał Antoine Feraud w poniedziałek rano, mając przesiadkę w Madrycie.

Jeanne schowała fakturę do kieszeni.

- Wszystko w porządku? - Na progu stał Bernard Pavois. - Muszę wracać do pracy.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Już wychodzę.

Pavois odprowadził ją do windy. Kiedy otworzyły się drzwi kabiny, wszedł za nią.

Chciał do końca odegrać rolę gospodarza. Zjechali na parter. Przeszli bez słowa przez klimatyzowany biały hol. Jeanne chętnie zapytałaby go o przesyłki, które regularnie otrzymywała Nelly Barjac, ale instynktownie czuła, że nie powinna zadawać więcej pytań.

Gdy znaleźli się na progu budynku, w popołudniowej duchocie, Bernard Pavois powiedział:

- Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie zaszokowało panią. Nie okazywałem wtedy żalu.

- Żal można wyrazić na różne sposoby, nie tylko łzami.

- A z kolei łzy mogą wyrażać coś innego niż żal.

- A nirwana?

Genetyk wsadził ręce do kieszeni. Oczy za szylkretowymi okularami znowu przywodziły na myśl monolityczną mądrość Buddy.

- Nie wiem, jakim jest pani sędzią śledczą, ale podoba mi się pani jako kobieta.

- No to proszę powiedzieć, co leży panu na sercu.

- Mam pięćdziesiąt siedem lat - odrzekł, zapalając papierosa. - Nelly miała dwadzieścia osiem. Mam dwóch synów, którzy są w jej wieku. Była śliczna. Ja z pewnością nie jestem piękny, co musiała pani zauważyć. Jednak odnaleźliśmy wspólny rytm. Czy to panią dziwi?

- Nie.

- Ma pani rację. Nelly, mimo że wiele nas różniło, była moją ostatnią szansą. Myślę też, że była ze mną szczęśliwa. Może moglibyśmy mieć nawet dzieci. Chociaż w naszej pracy nie jest się za bardzo skłonny do prokreacji.

- Baliście się jakichś nieprawidłowości?

- Zwykle przedawkowanie. Człowiek pracujący u Kelloga nie je na śniadanie płatków kukurydzianych.

- Mógłby pan znaleźć inne porównanie.

- A co pani powie na to: „Nie je się tam, gdzie się sra”?

Pavois roześmiał się z własnego dowcipu. Był to śmiech głośny, potężny, a potem, jak poprzednio, nagle ucichł. Jeanne odniosła to samo wrażenie, jak za pierwszym razem. Człowiek ten doskonale panował nad swymi uczuciami. Kiedy przypominał sobie o Nelly, uśmiech zniknął z jego twarzy. Doszedł do takiego stanu ducha, kiedy rozpacz i dobry humor całkiem się ze sobą mieszają.

- Coś pani powiem w zaufaniu - rzekł, poprawiając okulary. - W miniony czwartek, kiedy znaleziono ciało Nelly, przysięgłem sobie odnaleźć mordercę. Zabić go własnymi

rękami. - Wyciągnął przed siebie dłonie. - Proszę mi wierzyć, potrafiłbym to zrobić. Sądziłem, że moja karma każe mi pomścić Nelly. A potem w moim biurze zjawiała się pani.

- I co z tego?

- Ta karma przeszła na panią. Z jakiegoś powodu, którego nie pojmuję, to pani jest predestynowana do tego, żeby wyśledzić tego łajdaka. Pani nie odpuści. W tym polowaniu nie przeszkodzą pani żadne granice, nie pozwoli pani sobie na jedną chwilę wytchnienia. Być może stanie się to w innym życiu. Ale przeznaczeniem pani duszy i duszy tego potwora jest spotkać się i zmierzyć w walce.

- Mam nadzieję, że dokonam tego w tym życiu.

Bernard Pavois przymknął oczy. Wyglądał niczym Budda siedzący w cieniu drzewa objawienia.

- Jestem o to spokojny.

33.

- Czy czegoś się dowiedziałeś o rozmowach telefonicznych Taine'a?

- Wydawało mi się, że o tym już mówiliśmy.

- Mówiliśmy o numerach zastrzeżonych. Czy wiesz, do kogo dzwonił w Nikaragui i w Argentynie?

- Na razie tylko w Nikaragui.

- Nazwisko?

- Eduardo Manzarena.

Jeanne, siedząc za kierownicą samochodu, wyjęła z kieszeni fakturę UPS, którą zabrała z gabinetu Nelly. Teraz już wiedziała, kto jest nadawcą tej przesyłki. Poczula rozplywające się w żyłach gorąco. Trzydziestego pierwszego maja Nelly Barjac otrzymała paczkę nadaną przez Manzarena, dyrektora laboratorium Plasma Inc. Ósmego czerwca Francois dzwonił do tego człowieka, zapewne hematologa, specjalisty od chorób krwi i narządów wytwarzających krew.

- To nie wszystko - mówił dalej Reischenbach. - Przystudiowałem jeszcze raz listę rozmów telefonicznych tego twojego psychiatry, Antoine'a Ferauda. Nie tylko te dwie rozmowy z poniedziałku, ale z całego weekendu. W niedzielę o godzinie siedemnastej on także dzwonił do Nikaragui. Na komórkę. Zgadnij, kto jest jej właścicielem?

- Eduardo Manzarena.

- Tak jest. Nie wiem, jak ci się to udało, ale to ty jesteś na najlepszym tropie. A wiąże się to z Managuą.

Jeanne nic nie powiedziała. A więc istniało powiązanie między autyzmem, chromosomami i prehistorią. Coś bardzo zasadniczego, co znajdowało się w próbce plazmy, przesłanej z Nikaragui.

- A ty co działałaś? - zapytał Reischenbach.

- Odwiedzam szefów ofiar. Helene Garaudy w Instytucie Bettelheima i Bernarda Pavois w jego laboratorium...

- Chcą z tobą rozmawiać?

- Bez problemów.

- Nie przeszkadza im, że przesłuchujesz ich w charakterze sędzi śledczej?

- Nie za bardzo się w tym orientują.

- Ale wiedzą, że nie powierzono ci prowadzenia tego śledztwa? - Reischenbach chciał się upewnić.

- Prestiż tytułu.

- A właściwie czego szukasz?

- Będę wiedziała więcej wieczorem.

- Jeanne, jest już godzina siedemnasta. Nie zostało ci wiele czasu.

- To dotyczy także ciebie. Poszperałaś w codziennych zajęciach tych trzech kobiet?

- Tak. Nie znalazłem żadnego miejsca, żadnego nazwiska, które by je jakoś łączyło...

- A kradzieże lub akty wandalizmu w muzeach prehistorii?

- Też nic.

- A w wydziale kryminologii i w Instytucie Medycyny Sądowej nie mają nic nowego?

- Jeśli nawet coś mają, to mnie o tym nie zawiadomią.

- Czy wiesz, kto się tym zajmuje?

- Jak tylko będę znał nazwiska, zadzwonię do ciebie.

- Żebym ich unikała?

- Żebyś wiedziała, na kogo masz uważać.

- Sprawdź tego Eduarda Manzarena. Dowiedz się, czym się zajmuje spółka Plasma Inc. w Managuí. No i zdobądź nazwisko osoby, do której dzwonił Taine w Argentynie - powiedziała Jeanne bardziej stanowczym tonem.

- Jeanne, kończę to wszystko dziś wieczorem.

W polu widzenia miała już przed sobą Porte de La Chapelle. Opuściła drogę podmiejską i wjechała na ulicę de La Chapelle. Dowiedziała się już dużo o autyzmie i o

genetyce. Pozostała prehistoria. Zmierzała do atelier Isabelle Vioti.

Gdy dotarła do naziemnej linii metra, skręciła w prawo na bulwar de La Chapelle, następnie w lewo na ulicę Maubeuge, aż dojechała do bulwaru Magenta. Jechała w kierunku placu de La Republique, ale wcześniej skręciła w ulicę Lancry, by w końcu pojechać ulicą Faubourg-du-Temple. Jej mały samochód rozgrzany był jak piec. Klimatyzacja nie działała od niepamiętnych czasów. Jeanne miała wrażenie, że pływa we własnym pocie.

Stała pod numerem sto jedenastym, kiedy zadzwonił jej telefon. Nie знаła tego numeru.

- Słucham?

- Mówi komendant Cormier.

Jeanne nie odezwała się. Nie przypominała sobie tego nazwiska.

- Przyniosłem pani kwiaty dziś rano.

- Ach tak, oczywiście...

- Szukałem informacji na temat substancji, które chronią przed ogniem. Dzwoniłem do ludzi kina, kaskaderów, specjalistów. Powiedziano mi, że nie ma takiej substancji, która chroniłaby ciało ludzkie przed ogniem. Nagi człowiek nie ma szans.

- Tak przypuszczałam. Bardzo panu dziękuję.

Zobaczyła obraz nagiego, palącego się człowieka na antresoli u Taine'a. Ten potwór palił się, ale nie czuł żadnego bólu. Czy jej się to przyśniło?

- U pani wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje?

- Tak, w porządku. Jeszcze raz dziękuję za kwiaty.

- A ja za schody.

Wysiadając z samochodu, Jeanne zdała sobie sprawę, że drży. Miała tak roztrzęsione nerwy, że przywodziło to na myśl napięte, bliskie pęknięcia struny harfy.

Poblądziwszy trochę między podwórkami i budynkami, znalazła atelier za niewielkim pawilonem. Panowało w nim ogromne zamieszanie. Asystentki Isabelle Vioti, ubrane w białe fartuchy, przewoziły rzeźby na dwukołowych wózkach. Inne prznosiły popiersia, głowy. Jeanne dostrzegła rude włosy właścicielki.

- Przeprowadzacie się?

Jeanne stanęła na progu. Drzwi atelier były otwarte. Isabelle Vioti poznała ją. Wycierając ręce o fartuch, podeszła z uśmiechem na ustach.

- Postanowiliśmy coś tu zmienić, żeby zatrzec... no... rozumie pani... Zmienić ducha tego miejsca.

- Rozumiem.

- Pogrzeb Franceski odbył się dziś rano. Nie było nikogo z policji. Nikt do mnie nie dzwonił. Czy to normalne? Znaleźliście zabójcę?

- Raczej przeciwnie.

- Przeciwnie?

- To on nas znalazł.

Jeanne pożałowała, że pozwoliła sobie na taką grę słów. Nie był to dobry moment ani miejsce. Natychmiast spoważniała i zapytała:

- Nie czytała pani gazet?

- Dzisiaj nie czytałam.

- Sędzia śledczy odpowiedzialny za dochodzenie, który był ze mną poprzednim razem, nie żyje. Zginął w pożarze. Zabił go z pewnością morderca tych kobiet.

Isabelle Vioti zbladła. Kontrast z jaskrawą czerwienią jej włosów wart był pędzla Klimta. Biel i czerwień.

- Czy sądzi pani, że... coś nam grozi?

- Ależ nie. Skądże znowu. Czy możemy porozmawiać?

Rzeźbiarka z widocznym wysiłkiem starała się zapanować nad sobą.

- Chodźmy.

Zawróciły do sali wystawowej, gdzie stał długi, czarny stół. Rzeźby były jeszcze na swoich miejscach.

- Proszę usiąść. Co chciałaby pani wiedzieć?

- Potrzebne mi są pewne informacje - powiedziała Jeanne, siadając za stołem.

- O naszej pracy?

- O ewolucji rodzaju ludzkiego.

Isabelle Vioti nie kryła zdziwienia.

- Czy to jest ważne dla śledztwa?

- Na razie poruszam się po omacku.

- Chodzi o wiele milionów lat ewolucji... Potrzebowałybyśmy całego wieczoru, żeby...

- Proszę przedstawić to w skrócie.

Rzeźbiarka schowała ręce do kieszeni fartucha poplamionego gliną. Widać było, że się waha. Po kilku sekundach zapytała:

- Napije się pani herbaty?

- Proszę sobie nie robić kłopotu.

- To żaden kłopot. Zawsze mam gorącą herbatę w termosie.

- Wobec tego poproszę mocną, bez cukru.

Isabelle Vioti zakrzętała się i po chwili przyniosła dwie parujące filiżanki. Usiadła i zaczęła mówić. Stojące za nią prehistoryczne stworzenia zdawały się temu przysłuchiwać niczym studenci, będąc zarazem przedmiotem jej wykładu.

- Według ogólnie przyjętej opinii oddzieliliśmy się genetycznie od małp jakieś sześć do ośmiu milionów lat temu. W tym czasie we wschodniej Afryce utworzyła się szczelina. To zjawisko doprowadziło do gwałtownej zmiany ekologicznej, która zdecydowała o naszym losie. Po jednej stronie szczeliny pozostał wilgotny las i tam małpy zostały małpami. Po drugiej ziemia wyschła i dała początek sawannie. W tym nowym środowisku małpa stanęła na tylne nogi, żeby móc dostrzec zagrażające jej drapieżniki. Stała się stworzeniem chodzącym na dwóch nogach i przekształciła się w australopiteka, przodka człowieka, którego najbardziej znaną przedstawicielką jest Lucy. Na pewno pani o tym słyszała. Ta żeńska istota żyła około trzech milionów trzysta tysięcy lat temu. Ale jest pewien problem.

- Jaki?

- On.

Isabelle Vioti wzięła do ręki czarną figurkę wysokości jednego metra. Istota wyglądająca zupełnie jak małpa, ale stojąca prosto na dwóch nogach.

- Toumai. Został odkryty w dwa tysiące pierwszym roku. Mogłyśmy go tutaj zrekonstruować dzięki odlewowi jego czaszki i kilku znalezionym kościom.

- Na czym polega ten problem?

- Toumai ma siedem milionów lat. Nie ulega wątpliwości, że żył przed otwarciem się szczeliny we wschodniej Afryce. Poza tym pochodzi z Czadu. Tak więc nie ma to nic wspólnego ze zmianą krajobrazu.

- Naprawdę nie da się tego pogodzić z historią szczeliny?

- Świadczy to o tym, czego paleoantropolodzy domyślali się od dawna. Narodziny człowieka dokonywały się etapami na całym terenie Afryki. Gatunek ludzki uzależniony był od klimatu, ukształtowania terenu, warunków życia... Współżyły ze sobą różne grupy, pomału tworząc naszą ewolucję.

- Co się wydarzyło po australopiteku?

- Pojawił się Homo habilis.

Vioti odwróciła się do innej rzeźby. Mniej owłosiona, trochę większa, metr pięćdziesiąt wzrostu. Jednak nadal mająca w sobie wiele z małpy.

- Homo habilis ma mniej niż dwa miliony lat. Otrzymał taką nazwę dlatego, że zaczął używać kamiennych narzędzi. Jego mózg odgrywa większą rolę. Jest wszystkożerny. Jeszcze nie poluje. Zachowuje się raczej jak sęp, który zadowala się resztkami zostawionymi przez

drapieżne zwierzęta lub sam rozszarpuje padłe zwierzęta. Żyje w skupiskach złożonych z kilkunastu osobników.

- Jaki jest etap następny?

- Homo erectus. Pojawił się jakiś milion lat temu. Zmienia miejsce pobytu. W ciągu kilkudziesięciu tysięcy lat kieruje się na Bliski Wschód, potem do Azji.

- Nie ma pani rzeźb tej rodziny?

- Od dziesięciu lat czekam na czaszkę... Homo erectus podzielił się na dwie dobrze znane rodziny. Z jednej strony neandertalczyki, którzy stopniowo znikną, a z drugiej archaiczni przedstawiciele Homo sapiens, proto-Cro-Magnon, których ślady odkryto w Europie i na Środkowym Wschodzie. Poprzez Homo sapiens sapiens to nasi bezpośredni przodkowie...

Właścicielka atelier odsunęła się, żeby pokazać istotę większą, solidniejszej budowy, ubraną w skóry zwierzęce, z dzidą w ręce. Grube rysy zasłonięte długimi włosami. Ten człowiek mógłby być członkiem grupy hardrockowej lub zdegenerowanym mordercą ze starego filmu grozy.

- Człowiek z Tautavel. Homo erectus z Europy. Znaleziono jego szkielet we wschodnich Pirenejach. Żył niecałe czterysta pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Należy do gałęzi neandertalczyków. Nie znał jeszcze ognia. Używał kamiennych narzędzi. Polował i mieszkał w jaskiniach, skąd czyhał na drapieżniki. Niekiedy jadł ludzkie mięso...

Jeanne była pewna, że zabójca, kiedy miewał swoje ataki, uważał się za jedną z takich prymitywnych istot.

- Czy wyznawał już jakąś religię? - zapytała.

- Religia pojawia się później, wraz z rzeźbami. Mniej więcej sto tysięcy lat temu. Neandertalczyki i ludzie z Cro-Magnon czcili siły natury.

Jeanne pomyślała o krwawych napisach na miejscach zbrodni.

- Czy malowali wtedy na ścianach jaskiń?

- Nie. Neandertalczyk nie poznał nigdy sztuki tworzenia fresków. Zniknął około trzydziestu tysięcy lat temu. W tym czasie rozwija się człowiek z Cro-Magnon. A wraz nim sztuka ściennych malowideł.

- Czy to okres malowideł z Cosquer, z Lascaux?

- Tak, zostały one wykonane w tym czasie.

- Co może pani powiedzieć o tych freskach?

- To nie moja specjalność. Dam pani numer telefonu do eksperta, mojego przyjaciela.

Isabelle Vioti podeszła do grupy rzeźb ludzi ubranych w skóry odwrócone futrem do

wewnątrz, jak Siuksowie.

- Oto ludzie z Cro-Magnon.

Jeanne, podobnie jak za pierwszym razem, była zaskoczona. Zawsze wyobrażała sobie archaicznych przodków jako na pół małpy, na pół ludzi, ubranych w skóry zwierzęce, gnieźdzących się w jaskiniach. W rzeczywistości ludzie z Cro-Magnon przypominali raczej Indian z Ameryki Północnej, jakich ogląda się w westernach. Długie, czarne włosy, bluzy i spodnie ze skóry, ozdoby, zmyślnie narzędzia.

- Byli to nomadzi, myśliwi i zarazem zbieracze ziół. Bardzo biegli w obróbce kamienia, w szyciu, w kuśnierstwie... Cywilizacja ludzka posuwała się do przodu...

- Czy toczyły się walki między plemionami?

- Nie. Za bardzo byli zajęci tym, żeby w ogóle przeżyć. Uważa się nawet, że poszczególne grupy pomagały sobie wzajemnie. W każdym razie łączyli się w związki między różnymi plemionami, żeby uniknąć endogamii.

Jeanne miała ochotę zapytać o zakaz kazirodztwa, ale nie należało to do tematu. Zresztą z całego tego wykładu nie dowiedziała się wiele o zabójstwach i ich sprawcy. Wyglądało na to, że morderca wybierał znaki, rytuały z takiej lub innej epoki, niemające ze sobą związku. Jeanne doszła do wniosku, że nie miał on solidnej wiedzy antropologicznej. Zapamiętał jedynie jakieś fantastyczne obrazki z książek, z muzeów...

- Potem - mówiła dalej Vioti - nastąpiła epoka neolitu. Jakies dziesięć tysięcy lat temu. Nastąpiło ocieplenie klimatu. Step zaludniony przez ogromne stada zwierząt przekształcił się w rozległy las. Znikły mamuty. Reny, woły piżmowe powędrowały na północ. A ludzie w ciągu kilku tysięcy lat nauczyli się hodowli i uprawy roli. Wtedy pojawiły się pierwsze akty przemocy. Każde plemię pożałowało bogactw sąsiada. Zapasów ziarna. Stad... Miał rację Jean-Jacques Rousseau, który mówił, że przemoc zrodziła się wraz z własnością. Wkrótce potem nastąpił przewrót związany z użyciem brązu, a potem żelaza. Wyodrębniają się religie. Pojawia się pismo. Okres prehistorii przechodzi w epokę antyku...

Jeanne zamyśliła się. Nie bardzo wiedziała, czego oczekiwała po tym wykładzie, ale nie doznała żadnego olśnienia. Nie usłyszała niczego, co by wyjaśniało zachowanie mordercy. Nic, co pozwalałoby wykazać powiązanie między prehistorią i dwiema pozostałymi obsesjami zabójcy - autyzmem i genetyką.

- Bardzo dziękuję za ten wykład - powiedziała, dopiwszy do końca prawie już zimną herbatę. - Czy mogę zadać pani parę pytań dotyczących Franceski Tercii?

- Oczywiście.

- Od jak dawna pracowała w pani atelier?

- Od dwóch lat.

- Miała dyplomy z dwóch fakultetów, prawda?

- Tak. Z rzeźby i antropologii.

- Jak doszło do tego, że ją pani zatrudniła?

- Wystawiałam moje rzeźby w muzeum nauki Cosmos Caix w Barcelonie. Przyszła tam i pokazała mi rysunki swoich rzeźb. Nie wahałam się ani sekundy.

- Jak jej się powiodło we Francji?

Vioti wskazała na rzeźby.

- Żyła dla Toumai, dla neandertalczyków, dla człowieka kultury magdaleńskiej, ostatniego etapu paleolitu. To była jej prawdziwa pasja.

- Czy miała jakiegoś przyjaciela?

- Nie. Praca była dla niej całym życiem. I nie tylko tutaj. Także w jej pracowni w Montreuil. Tamte rzeźby są bardziej współczesne, bardziej osobiste.

- Na czym to polegało?

- Stosowała naszą technikę odlewu do przedstawienia scen nowoczesnych z nadzwyczaj realistycznymi postaciami. Zwłaszcza dzieci. Coś ohydneho. Ale zaczęto już o niej mówić. Miała nawet własną galerię.

- Czy ma pani klucze do jej pracowni w Montreuil?

- Zawsze zostawiała tutaj jedną parę.

- Czy mogłaby mi je pani dać?

Isabelle Vioti zawahała się.

- Przepraszam panią, ale... chyba nie zdarza się często, żeby sędzia śledczy przychodził osobiście zadawać pytania, prawda?

- Nie zdarza się nigdy.

- Czy jest pani funkcjonariuszem prokuratury, któremu zlecono to dochodzenie?

- Nie.

- Byłam tego pewna - uśmiechnęła się rzeźbiarka. - Tak więc jest to sprawa osobista?

- Więcej niż osobista. Francois Taine, zmarły sędzia, był moim przyjacielem. Zrobię wszystko, żeby ująć zabójcę.

- Proszę poczekać.

Isabelle zniknęła na minutę. W sali zapadał zmrok. Oczy posągów błyszcząły w półmroku niczym gwiazdy tajemniczej galaktyki. Martwej galaktyki, ale której światło wciąż docierało do Ziemi.

- Proszę, oto klucze. Ulica Feuillantines trzydzieści cztery, w pobliżu Croix-de-

Chavaux, w Montreuil.

Podala Jeanne pęk kluczy.

- Uprzedzam panią, że panuje tam niezły rozgardiasz. Poszłam do pracowni Franceski, żeby znaleźć jakieś ubranie dla niej na pogrzeb. Francesca nie miała rodziny w Argentynie. Jej rodzice zostali zamordowani w czasach dyktatury... - Przerwała, wyraźnie wzruszona. Usiadła. - Kiedy tam byłam, zauważyłam coś dziwnego...

- W jej pracowni?

- Tak. Brakowało jednej rzeźby.

- Której?

- Tej, którą właśnie kończyła. Francesca pracowała na podium stojącym na środku pokoju. System bloków i kołowrotek podtrzymywał posąg w pozycji stojącej, a potem dzięki niemu, kiedy rzeźba została ukończona, można ją było przestawić na inne miejsce. Tym razem podium było puste, ale ktoś wyraźnie manipulował niedawno przy linach. Mam oko na te rzeczy. To mój zawód.

Reischenbach i jego ludzie nie zauważyli tego szczegółu.

- Może odesłała rzeźbę do swojej galerii?

- Nie. Rozmawiałam z nimi. Zresztą nie oczekiwano tam niczego wcześniej niż za sześć miesięcy. Zdaniem właścicieli galerii Francesca pracowała nad czymś tajemniczym, czym się bardzo ekscytowała.

- Przypuszcza pani, że ktoś ukradł tę rzeźbę?

- Tak. Bez wątplenia po jej śmierci. To jakieś kompletne wariactwo.

W głowie Jeanne zaiskrzyło. Prawda była jeszcze bardziej zwariowana, niż sądziła Isabelle Vioti.

Znała złodzieja.

Francois Taine we własnej osobie.

Przypomniała sobie ostatnią wiadomość od niego: „Przyjedź do mnie około godziny dwudziestej drugiej... Muszę przedtem poszukać czegoś u Franceski Tercii, trzeciej ofiary. Sama zobaczysz! To niesamowite!”. Taine przed spotkaniem z nią chciał zabrać tę rzeźbę z mieszkania rzeźbiarki. W jakim celu?

Jeanne uzmysłowiła sobie jeszcze jedną rzecz.

Jeszcze bardziej zwariowaną.

Ona widziała tę rzeźbę.

To była ta dziwna postać, która paliła się wraz z Taine'em w czasie pożaru...

Ten Golem, którego wzięła za mordercę... Poczerniały od ognia chłopiec-potwór...

Wyglądał tak niesamowicie, bo silikon topił się w płomieniach. Ruch, który potraktowała jako atak zabójcy, chcącego wciągnąć Francois Taine'a do ognia, należało odczytać na odwrót.

To Taine za wszelką cenę starał się odciągnąć posąg od ognia. Oto dlaczego na jego rękach były ślady plastiku, żywicy i lakieru. Ślady po stopionym posągu. Z tego samego powodu nie znaleziono ciała zabójcy. Bo zabójcy w mieszkaniu nie było.

Był tam tylko posąg.

Taine wraz z nim został skazany na śmierć...

Isabelle Vioti jeszcze coś mówiła, ale Jeanne jej nie słuchała.

Zadawała sobie dwa istotne dla dochodzenia pytania:

Dlaczego Francois Taine ukradł tę rzeźbę?

Dlaczego tak bardzo chciał ją ocalić przed ogniem?

34.

Rozgardiasz.

Łagodnie powiedziane.

Maski. Popiersia. Ręce. Przypięte pineskami zdjęcia. Klisze z rezonansu magnetycznego. Rysunki. Słoje. Palety z farbami. Pędzle. Oczy z dmuchanego szkła. Włosy. Sztuczne zęby i paznokcie. Worki z gipsem. Płytki fajansu. Bloki elastomeru...

No i rzeźby.

Mrożące krew swym realizmem.

Ustawione wzdłuż ścian. Rozłożone na deskach i drewnianych kozłach. Wciśnięte między pojemniki z farbą i linki. Stojące na podwyższeniach. Nie miały nic wspólnego z beżowymi statuami w atelier Isabelle Vioti, których twarze i skóry zwierzęce wskazywały na czasy prehistoryczne. Tutaj panowała całkowicie współczesność. A zwłaszcza przemoc, która kazała widzieć w czasach prehistorycznych okres szczęśliwości.

Francesca Tercia rzeźbiła same potworności.

Dotyczące wyłącznie dzieci. Nie w roli ofiar, ale w roli katów.

Jeanne przechodziła między metalowymi rusztowaniami - to przemysłowe pomieszczenie z XIX wieku zostało wykorzystane na nowoczesną pracownię. Ukośne szklane ściany przepuszczały ostatnie promienie wieczornego światła. Podeszła do posągów.

Siedzący na podium uczeń wsadził palec swojej nauczycielki do temperówki

przymocowanej do szkolnej ławki. Ofiara krzyczała, podczas gdy chłopiec przypatrywał się przez przezroczystą oprawkę temperówki strużynom z palca, wydobywającym się stamtąd zamiast drewnianych wiórków.

W innym miejscu chłopiec w bermudach i jaskrawym podkoszulku wydłubywał łyżką oczy kociakowi. Na stole leżała przywiązana dziewczynka z rozchyłonymi nogami, ze spuszczonej majteczkami. Siedzący na niej młody chłopak bawił się pomarańczową marchewką przypominającą sztylet.

Inna scenka przedstawiała siedzącego na ziemi dzieciaka w ogrodniczkach, pieczołowicie odrywającego skrzydełka musze. Dziecko miało głowę niczym mucha z wyłupiastymi oczami.

Skąd Francesca czerpała tego rodzaju pomysły?

Jeanne podeszła bliżej do rzeźby z temperówką. Na kartce przyklepionej na dole scenki rzeźbiarka napisała: Biedna pani Klein. Bez wątpienia miał to być tytuł tej rzeźby. Co to miało znaczyć?

Nagle Jeanne coś sobie przypomniała. Tego rana Helene Garaudy wspomniała o Melanie Klein, która jako jedna z pierwszych psychoanalityków badała problem autyzmu. Czy to zwykły zbieg okoliczności? I ten szczegół - uczeń i nauczycielka ubrani byli według mody z lat trzydziestych.

Jeanne wyjęła komórkę i wystukała numer telefonu dyrektorki.

- Helene?

Zastanawiała się, czy nie powinna zwracać się do niej per „siostró” lub coś w tym rodzaju.

Jeanne zaczęła bez żadnych wstępów:

- Dziś rano mówiła mi pani o Melanie Klein, która na początku dwudziestego wieku interesowała się autyzmem.

- To prawda.

- Proszę mi wybaczyć moje pytanie, ale czy widzi pani związek między Melanie Klein i... temperówką?

- Oczywiście.

No i proszę, znowu dobrze trafiła.

- To Melanie zauważyła, że dziecko autystyczne nie jest zdolne do myślenia symbolicznego. Przedmiot związany z kimś wcale mu nie przypomina tej osoby. Po prostu jest tą osobą. Klein pracowała nad przypadkiem małego chłopca o imieniu Dick. Któregoś dnia chłopiec, patrząc na strużyny ołówka, który właśnie temperował, powiedział: „Biedna

pani Klein". Nie widział różnicy między psychoanalityczką a strużynami, kojarzącymi mu się z rysunkami, które robił na jej polecenie. Dla niego ołówek był dosłownie „panią Klein”.

Jeanne podziękowała dyrektorce i rozłączyła się. Tak więc Francesca przedstawiła mentalne wyobrażenie autystycznego chłopca. A co przedstawiał posąg ukradziony przez Francois Taine'a? Tajemnicę mającą związek z autyzmem zabójcy? Jaką jego wcześniejszą traumę? A jeśli tak, to jakim sposobem mogła wiedzieć o tym fakcie argentyńska rzeźbiarka?

Jeanne pomyślała o sylwetce widzianej w płomieniach. Ujrzała ponownie postać małego wzrostu, z palącymi się włosami, walczącą z Francois Taine'em. Nic to jej nie mówiło.

Kontynuowała zwiedzanie pracowni wśród zapachów glinki i lakieru. Przechadzała się w tym bałaganie bez żadnej nerwowości. Jakże w innym była nastroju poprzedniego wieczoru w mieszkaniu Antoine'a Ferauda. Czuła się tak, jakby zapadający zmierzch przynosił jej spokój i ukojenie.

Zauważyła biurko, a raczej duży stół do pracy, na którym znajdował się komputer, tubki farb, szmatki, szpatułki, książki z posklejаныmi stronicami... Obeszła stół i spojrzała na ścianę. Francesca Tercia przypięła na niej pineskami stare białe-czarne fotografie, szkice, polaroidy robione wieczorową porą.

Odnalazła wśród nich zdjęcie grupowe dyplomantów z tego samego fakultetu. Stare zdjęcie, formatu A4. Domyśliła się, iż była to grupa z uniwersytetu w Buenos Aires, z wydziału sztuk plastycznych lub paleoantropologii. Zmrużywszy oczy, poszukała Franceski. Dziewczyna stała w ostatnim rzędzie.

Uwagę zwracał pewien szczegół - jeden ze studentów, młodzieniec z wesołą miną i kręconymi włosami, był zaznaczony markerem, z napisem: *Te quiero!* Jeanne wyczuła, że nie jest to pismo Franceski. Wyglądało na to, że jakiś dowcipniś przysłał jej to zdjęcie z napisem wyrażającym jego uczucia... Narzeczony? Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy tym młodzieńcem nie był Joachim... Nie. Nie wyobrażała go sobie w takiej roli. Ostrożnie odpięła zdjęcie i przeczytała na odwrocie: „UBA, 1998”. „UBA” to z pewnością uniwersytet w Buenos Aires. Schowała zdjęcie do torebki.

Weszła na pierwsze piętro do mieszkania. Znalazła się w zupełnie innym świecie. Wszędzie panował idealny porządek, pastelowe kolory, lekkie materiały. Francesca, artystka lubiąca się w przemocy, tutaj stawała się uporządkowaną dziewczyną. Kobieta, która chciała ważyć pięćdziesiąt kilo. Kartki z liczbą „50” przyklejone były plastrem na każdym meblu.

Jeanne nie musiała długo się rozglądać, żeby zrozumieć, że policja zabrała stąd wszystko. Dokumenty, rzeczy osobiste. Nie miało sensu dłużej tu pozostawać. Zresztą robiło

się ciemno. Było już po godzinie dwudziestej pierwszej.

Gdy schodziła po schodach, zadzwonił jej telefon.

- Mam nazwiska naszych następców - odezwał się Reischenbach. - Tamayo, z sądu w Paryżu, jest odpowiedzialny za całość sprawy. Batiz z komendy policji został szefem grupy dochodzeniowej.

- Tamayo to idiota. Ma dwie komórki mózgowy, które się ze sobą pojedynkują.

- To i tak więcej o jedną od Batiza. Jak dotąd nie popisali się niczym specjalnym.

- Cholera!

- Nie narzekaj. Przy takich głupkach masz duży margines czasu na samodzielne śledztwo.

- Trudno nazwać to śledztwem. To oni będą mieli potrzebne do tego środki.

- Znalazłaś coś nowego?

Jeanne pomyślała o ukradzionym posągu, dowodzie zniszczonym w pożarze, o tym, iż była pewna, że Francesca знаła Joachima. Nie było w tym nic konkretnego.

- Niczego nie znalazłam. A ty?

- Zdobyłem informacje o Eduardzie Manzarenie. Ten facet kieruje największym prywatnym bankiem krwi w Managui. Naprawdę ważna instytucja. Istniała już w czasach dyktatury Moussaki.

- Chcesz powiedzieć: Somozy.

- No... tak. W latach sześćdziesiątych Manzarena płacił wieśniakom z Nikaragui za ich krew i odsprzedawał ją z ogromnym zyskiem Stanom Zjednoczonym. Nadano mu przezwisko: „Wampir z Managui”. Były ofiary śmiertelne. W końcu mieszkańcy Managui podłożyli ogień pod jego instytut. To chyba jedno z tych wydarzeń, które wywołały rewolucję w siedemdziesiątym dziewiątym roku.

Jeanne nie znała tej historii, ale znała historię rewolucji sandinistycznej, kiedy to jej serce skłaniało się ku lewicy. Zaskoczona była faktem, że śledztwo kieruje ją do kraju, który kiedyś zwiedziła i którym tak bardzo się pasjonowała.

- Kiedy komuchy przejęły władzę...

- Sandiniści nie byli komunistami, lecz socjalistami.

- Krótko mówiąc, Manzarena wtedy zniknął. Potem rządy w Nikaragui zmieniły się. Do władzy wróciła prawica i wówczas Manzarena pojawił się znowu. Od nowa kieruje głównym centrum transfuzji krwi w stolicy - Plasma Inc.

W jakim celu Francois Taine i Antoine Feraud dzwoniли do tego potentata od krwi? Co takiego Manzarena przesłał do Nelly Barjac? Jakąś próbkę szczególnego rodzaju? Jaki jest

związek między Wampirem z Managui i Joachimem? Czy ojciec i syn pochodzili z Nikaragui?

Jeanne opuściła pracownię. Zamknęła drzwi na klucz. Skierowała się do swojego samochodu.

- Czy już znasz drugi zastrzeżony numer, pod który dzwonił Taine? Ten w Argentynie?

- Tak. Coś nieprawdopodobnego. Chodzi o Instytut Agronomii w mieście na północnym zachodzie. Tocu... czy Tucu...

- Tucuman. To stolica prowincji o tej samej nazwie. Dzwoniłeś tam?

- A co miałbym im powiedzieć? Nie widzę, co ten instytut ma wspólnego z naszym dochodzeniem.

- Daj mi ten numer.

- Nic z tego, Jeanne. Przecież już uzgodniliśmy to. Robię, co mogę. Do wieczora. Jutro przekazuję wszystko Batizowi i na tym koniec. Sprawa mnie już nie dotyczy. Ani ciebie.

Jeanne wsiadła do swego twingo.

- Daj mi ten numer, Patrick. Mówię po hiszpańsku. Znam ten kraj. Wszyscy zyskamy na czasie.

- Przykro mi, Jeanne. Nie mogę przekroczyć tej linii.

Jeanne zacisnęła zęby. W głębi duszy musiała przyznać, że Reischenbach wykonał dobrą robotę.

- W porządku. Zadzwoni do mnie wieczorem, jeśli będziesz miał jeszcze coś nowego. A jak nie, to jutro rano.

Pożegnali się dość chłodno. Zachowanie Reischenbacha było pierwszym sygnałem. Począwszy od jutra nikt już nie będzie chciał z nią mówić. Nie będzie miała dostępu do żadnej informacji.

Jadąc w kierunku Porte de Montreuil, próbowała zebrać w całość kawałki puzzli. Trzy ofiary. Pielęgniarka. Cytogenetyczka. Rzeźbiarka. Zabójca o autystycznych skłonnościach. Centrum transfuzji krwi w Nikaragui. Instytut Agronomii w Argentynie. Ukradziona rzeźba, która bez wątpliwości przedstawiała chłopca i to w traumatycznej scenie. Psychiatra, który odleciał do Managui...

Trzeba być geniuszem, żeby poskładać w całość te elementy. Mimo to Jeanne nie wątpiła, że idzie w dobrym kierunku. Zwłaszcza Managua zdawała się zawierać ważny klucz do rozwiązania zagadki...

Porte de Vincennes. Nation. Jeanne poczuła, że kręci się jej w głowie. Była godzina dwudziesta druga, a ona od rana nic nie jadła. Jej żołądek przypominał lej po pocisku artyleryjskim. Pojechała w kierunku Gare de Lyon, a potem do centrum Paryża.

Rozum nakazywał, żeby wróciła do domu.

Biały ryż. Kawa. Woda gazowana. I spać lulu.

Ale Jeanne miała jeszcze inny pomysł.

35.

Goście, których liczba znacznie przewyższała możliwości lokalowe galerii, popijali szampana, stojąc na trotuarze ulicy de Seine. Jeanne zaparkowała trochę dalej. Dzień kończył się dla niej niespodziewaną okazją. Zadzwoiła na numer podany jej przez Isabelle Vioti kilka godzin wcześniej, należący do specjalisty od malowideł ściennych. Człowiek ten, Jean-Pierre Fromental, właściciel galerii, miał tego wieczoru wernisaż. Świetna okazja do złożenia mu wizyty...

Wychodząc z samochodu i poprawiając na sobie ubranie, wcieliła się w skórę paryżanki wybierającej się na wernisaż, interesującej się jakoby wystawianymi dziełami, lecz przede wszystkim szukającej mężczyzny swego życia.

Znała tę rolę na pamięć.

Z torebką na ramieniu przepchnęła się przez grupę ludzi i weszła do galerii. Z tego, co mogła zauważyć - na małej przestrzeni tłum był tak gęsty, że wystawiane tam eksponaty były prawie niewidoczne - chodziło o sztukę afrykańską i prawdopodobnie z Oceanii.

Zastanawiała się, do kogo ma się zwrócić, gdy dostrzegła młodą czarną kobietę, która sama wyglądała tak, jakby dopiero co zeszła z wystawowego podium. Jej zachowanie zdradzało, że jest dobrze obznajomiona z tym miejscem. Z pewnością była asystentką Fromental.

Jeanne zapytała ją, gdzie może znaleźć właściciela lokalu. Murzynka spojrzała na nią z politowaniem, jakby chciała powiedzieć: „Kto może chcieć rozmawiać z tak chudym straszylem?”. Była uderzająco piękna. Jej twarz to sam wdzięk i harmonia zatykające dech. Czarne źrenice i przywodzące na myśl pochodnie białka oczu były niczym drogowskaz ku prawdzie, ku skarbowi ukrytemu pod czarną jedwabistą skórą.

Dała Jeanne znak, by poszła za nią. Precyzyjnie się między zaproszonymi gośćmi, dotarły do drzwi ciasnej klitki, które Afrykanka otworzyła bez pukania. W środku tyłem do

nich stał wśród kartonowych pudeł i drewnianych skrzynek sześćdziesięcioletni mężczyzna. Rozmawiał przez telefon komórkowy:

- Aicha? Przecież wiesz dobrze, Minouchette, że ją zwolniłem. Zwolniłem! Tak jak mnie o to prosiłaś... Ja... tak... Oczywiście.

Jeanne spojrzała na Afrykankę. Nie trzeba było być geniuszem, żeby odgadnąć sytuację. Właściciel galerii odwrócił się i zauważył wpatrzone w niego dwie kobiety.

- Aicha...

- Idź do diabła!

Czarna księżniczka ulotniła się. Fromental z wymuszonym uśmiechem skłonił się uprzejmie Jeanne. Miał na sobie standardowy strój starych paryskich playboyów. Granatowa, dwurzędowa marynarka. Koszula od Charveta w niebieskie paseczki z białym kołnierzykiem. Mokusyny z frędzelkami. Rzadkie włosy zaczesane do tyłu. Twarz opalona jak u żeglarza...

- Dobry wieczór... - powiedział aksamitnym niskim głosem, odzyskawszy już pewność siebie. - Chyba się nie znamy. Czy interesuje panią któryś z eksponatów?

Jeanne nie miała nastroju do takiej pogawędki.

- Jeanne Korowa - przedstawiła się, pokazując trójkolorową legitymację. - Sędzia śledcza sądu drugiej instancji w Nanterre.

Fromental zaniepokoił się.

- Mam certyfikaty wszystkich eksponatów. Ja...

- Przychodzę w innej sprawie. Pokażę panu kilka zdjęć. Proszę powiedzieć, co pan o nich sądzi. Nie zajmie to panu wiele czasu.

- Ja... - Zamknął drzwi do pokoiku. - Dobrze. Proszę...

Jeanne wyjęła zdjęcia z torebki. Krwawe motywy na ścianach w miejscach zbrodni. Właściciel galerii zsunął okulary i przyjrzał się fotografiom. Gwar za drzwiami nie słabł.

- Czy może... Czy może pani podać okoliczności?

- Są to miejsca, gdzie dokonano zabójstw.

Fromental spojrzał na nią znad okularów.

- To świeże zabójstwa?

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. Skinął głową.

Od samego rana Jeanne była zaskoczona, że jej rozmówcy z tak chłodnym opanowaniem przyjmują wiadomość o okrucieństwie i barbarzyństwie tych morderstw. Jakby świat fikcji - kino, telewizja, książki - i jego rozmiar przemocy przyzwyczyły każdego z nich do najbardziej szaleńczego zdżiczenia.

- Isabelle Vioti powiedziała, że jest pan ekspertem od sztuki ściennej i że może

udzielić mi pan pewnych informacji.

- Pani zna Isabelle Vioti? To go trochę uspokoiło.
- Konsultowałam się z nią w związku z tym dochodzeniem.

I to wszystko.

Właściciel galerii wrócił do zdjęć.

- Czy to krew?
- Krew. Ślina. Kał. Pigment.
- Jaki rodzaj pigmentu?

Jeanne uprzytomniła sobie, że nie sprawdziła tego do końca. Zupełnie o tym zapomniała. Urucum. Roślina pochodząca z Amazonii. Z pewnością nie było rzeczą łatwą znaleźć coś takiego w Paryżu...

- Urucum. Roślina, której używają Indianie z Amazonii do...
- Wiem.

Fromental wydawał się zaabsorbowany tym, co oglądał. Z playboya zmienił się od razu w profesora uniwersytetu.

- Czy te rysunki mogą przypominać ścienne freski?
- Oczywiście.
- Proszę mi to wyjaśnić.

- Przede wszystkim użyto urucum. Ten barwnik ma coś wspólnego z ochrą. Ochra natomiast była bardzo ważną substancją w okresie neolitu. Używano jej do garbowania. A także w rzeźbie. Nie wiemy dokładnie, jaką pełniła funkcję. Może nadawała im magiczną moc... To również jeden z głównych barwników stosowanych w malowidłach naskalnych w jaskiniach.

- A co może pan powiedzieć o tych znakach? Czy przypominają jakieś znane freski?

Fromental zawahał się.

- W pewnym sensie tak. W niektórych grotach z okresu paleolitu można znaleźć znaki tego rodzaju. Jedne z nich są pełne, wyznaczają figury geometryczne: okręgi, owale, kwadraty, prostokąty przedzielone prostopadłą kreską. Kiedy indziej są to laseczki, znaki X, krzyże... Trochę jak tutaj.

Jeanne zauważyła, że Fromental mówi o neolicie i paleolicie, jakby nie były to okresy oddzielone od siebie o dziesiątki tysięcy lat. Było to potwierdzeniem tego, co sama przypuszczała, że zabójca mieszał wieki, czy to z powodu niewiedzy, czy, skłaniała się raczej ku temu rozwiązaniu, dlatego że sam siebie uważał za syntezę tych epok.

- Co one znaczyły dla ludzi prehistorycznych?

- Nie wiemy. Na ogół mówi się, że sztuka naskalna jest rodzajem kodu, do którego nie posiadamy klucza. Metodą wyrażania, która wciąż czeka na swojego Champolliona.

- Wróćmy do technik malarskich pierwszych ludzi. W jaki sposób malowali?

Fromental schował okulary do kieszeni marynarki. Chyba zrozumiał, że nie uniknie fachowego wykładu. Zza drzwi dochodził głośny gwar gości przybyłych na wernisaż, ale on zdawał się tym nie przejmować. Jeanne domyślała się, że bardziej niepokoiło go odejście Aichy...

- Zaczniemy od początku - rzekł. - Złoty wiek fresków naskalnych zaczyna się mniej więcej około czterdziestu tysięcy lat temu i kończy około dziesięciu tysięcy lat temu. Istniały w nich różne prądy, motywy, style, ale nie będę pani komplikował życia. Proszę tylko zapamiętać, że te malowidła zawsze były robione w głębi grot, co jest raczej dziwne.

- Dlaczego?

- Bo ludzie nie mieszkali w grotach wbrew temu, co się uważa. Żyli u ich wylotów. Albo budowali szałas. Natomiast malowidła robili w głębi grot, gdzie był trudniejszy dostęp. Groty stanowiły ich ochronę. Być może nawet były to ich miejsca modlitw... Niczym kościoły.

- Czym malowali?

- Wiemy dokładnie, jak wyglądała ich technika malowania. Odnaleziono kredki, pędzle. Artysta pracował z jednym lub dwoma pomocnikami, którzy przygotowywali barwniki, węgle, mangan. Siedział na czymś w rodzaju drabiny. Z pędzlem w jednej ręce i świecą łojową w drugiej.

- Łojową?

Jeszcze jeden szczegół, nad którym się prześliznęła. Ślady łoju na miejscach zbrodni.

- Musiał mieć źródło światła. W ten sposób oświetlał swoje „płótno”. Tłuszczem zwierzęcym.

Zabójca naprawdę zachowywał się w trakcie dokonywania swojego ofiarniczego obrzędu jak człowiek pierwotny, powtarzając takie same gesty, używając takich samych narzędzi, działając w miejscach przypominających groty - na współczesnych parkingach.

Jeanne obtarła spocone czoło i szyję. Fromental jakby tego nie zauważył.

- Co głównie przedstawiały te freski?

- Przede wszystkim zwierzęta.

- Czy wiadomo dlaczego?

- Nie. Tutaj także brakuje nam klucza. Niektórzy sądzą, że ludzie epoki Cro-Magnon uważali zwierzęta za bóstwa. Inni przypuszczają, że freski miały na celu zapewnić

przychylność wyższych duchów podczas polowania. Jeszcze inni widzą w tym symbole seksualne. Koń jako symbol męski, bizon - żeński... Jednak na całym świecie są miliony malowideł i można im przypisywać każde znaczenie. Według mnie sprawa jest o wiele prostsza.

- To znaczy?

- Że jest to po prostu reportaż. Przedstawiciele Homo sapiens sapiens rysowali to, co widywali codziennie, czyli zwierzęta. I to wszystko.

- To bardziej prozaiczne.

- Zależy od przedstawianych zwierząt.

Fromental wyjął książkę z biblioteczki, której Jeanne nie zauważyła za kartonowymi pudłami. Włożył okulary.

- Sztuka naskalna ukazuje również stworzenia będące na pół zwierzętami, na pół ludźmi. Proszę spojrzeć... - Pokazał palcem zdjęcie ludzkiej postaci z rogami renifera i końskim ogonem. - Albo ta rzeźba wyciosana z kła mamuta...

Otworzył książkę na stronie, gdzie widniała mała figurka mężczyzny z głową lwa.

- To także ma być reportaż? - zapytała ironicznie Jeanne.

- A dlaczegoż by nie? - odrzekł z powagą Fromental. - Proszę sobie wyobrazić choć na moment, że w bardzo dawnych czasach takie stworzenia naprawdę istniały. Ostatecznie legendy antyku nie pojawiły się znikąd. Niewykluczone, że grecka mitologia opisuje realne istoty żyjące tysiące lat wcześniej. Czyż to nie fascynujące wyobrazić sobie, że te malowidła mogły być czymś w rodzaju fotografii magicznej rzeczywistości, która nas poprzedziła? Na przykład w jednej z grot jest wizerunek bizona, który jakby gra na flecie lub innym instrumencie muzycznym. Może to przodek jakiegoś fauna lub bożka Pana? Kto nas przekona, że takie stworzenie nigdy nie istniało?

Fromental, z czołem zroszonym kroplami potu, zaczął przypominać szalonego uczonego. Żeby go przywrócić do rzeczywistości, Jeanne powiedziała:

- Teraz ja panu pokażę moje stwory.

Wyjęła inne zdjęcia. Zwłoki ofiar z odciętymi nogami i rękami, wypatroszone, nadgryzione. Uznała, że Jean-Pierre Fromental potrafi znieść takie obrazki. I rzeczywiście, nawet nie drgnął.

- Trzy ofiary - powiedziała Jeanne. - Czy widzi pan związek tych barbarzyńskich morderstw z obyczajami z czasów prehistorycznych?

- On je zjadł?

- Częściowo. Szukam zgodności... między tymi obrzędami a rytuałami, jakie

praktykowali ludzie w dawnej przeszłości. Czy pan je widzi?

- One są uosobieniem Wenus - oświadczył bezdyskusyjnym tonem.

- Wenus? Co pan ma na myśli?

Fromental otarł czoło chusteczką do nosa.

- Kiedy człowiek pierwotny zaczął panować nad naturą, uznał, że z kolei nad nim dominują siły wyższe... Zaczął czcić bogów, duchy, które wyobrażał sobie na własne podobieństwo. Bryłowate posążki Wenus z ciężkimi piersiami, szerokimi biodrami. Atrybuty związane z płodnością. A także kobiety bez twarzy. Znaleźliśmy wiele takich statuetek. Te boginie nigdy nie mają charakterystycznych rysów. Są... ogólnym wyobrażeniem. Sądzę, że wasz zabójca, zniekształcając swoje ofiary, szuka tego samego efektu.

Teraz Jeanne przyjrzała się zdjęciom. Pomysł był nowy, ale Fromental miał rację. Ciosy zadawane w twarz być może nie były tylko wyrazem agresji. Zabójca pozbawiał swoje ofiary osobowości.

Paradoksalnie uczynił z nich boginie...

- Jest jeszcze reguła rombu - mówił dalej Fromental.

- Jakiego rombu?

Powiodł palcem wokół konturów zwłok.

- Wasze ofiary wpisują się w plan rombu. Raczej mała głowa. Duże piersi i pośladki. Brak nóg... Te ciała przypominają dokładnie słynne archaiczne posągi Wenus. Mógłbym pani pokazać inne zdjęcia...

Przypomniała sobie ironiczny głos Francois Taine'a w restauracji: „Mężczyźni wolą grubaski”.

- Jaką miały moc te boginie?

- Zależały od nich płodność i żyzność. Gdy pierwotni ludzie zdali sobie sprawę ze śmierci, wszystkie ich nadzieje, cała ich wiara skierowały się ku narodzinom. I ku kobiecie.

Jeanne dowiedziała się już dostatecznie dużo. Wszystko w tej historii obracało się wokół płodności. Kanibalizm. Płyn amniotyczny. Wybór kobiet o pulchnych kształtach...

Drzwi pokoiku otworzyły się. Na progu stanęła Aicha z rękoma opartymi na biodrach.

- Dalej rozmawiasz z Minouchette?

Fromental, szczęśliwy, że znowu widzi swoją księżniczkę, udał, że nie słyszy sarkazmu w jej głosie. Wyciągnął do niej ramiona. Jeanne skorzystała z tego, żeby się wymknąć na zewnątrz. I zaczerpnąć świeżego powietrza.

36.

- Obudziłam cię?
- A wiesz, która jest godzina?
- Chciałam się z tobą pożegnać.
- Wyjeżdżasz?
- Jadę do Nikaragui, do Managui.

Reischenbach westchnął po drugiej stronie linii.

- Myślisz, że tam jest zabójca?
- Zabójca i jego motyw.
- Dlatego że Taine i ten twój psychiatra dzwonili do tych samych osób?
- Nie tylko. Nelly Barjac pięć dni przed śmiercią dostała UPS-em przesyłkę od Manzareny.

- Co zawierała?
- Nie jestem tego pewna. Moim zdaniem próbki krwi.
- To wszystko?

- Nie. Weź pod uwagę, że ten „mój psychiatra”, Antoine Feraud, również poleciał do Managui. Najpierw myślałam, że uciekał przed zabójcą, synem swojego pacjenta. Ale jest na odwrót. On go ściga. Z takiego czy innego powodu wiedział, że Joachim musiał udać się do Managui. Postanowił tam pojechać, żeby go powstrzymać. Na podstawie pewnych faktów przypuszczam, że go nawet wyprzedził.

- Kto będzie następną ofiarą? Manzarena?
- Bardzo prawdopodobne.
- Dlaczego właśnie on?
- Nie wiem. Mam wrażenie, że w centrum tego wszystkiego jest sprawa krwi.

Zakażenie. Albo jeszcze coś innego, na co dotąd nie wpadłam.

- Twoja historia jest jak z powieści.
- Przekonamy się.
- Dlaczego właściwie do mnie dzwonisz?
- Żebyś mi dał numer komórki Manzareny oraz telefon do instytutu w Tucuman w Argentynie.

- Ty nigdy nie odpuszczysz, prawda? Już ich nie mam, ale możesz znaleźć je sama.
- Komórkę w Managui, z zastrzeżonym numerem?

- Masz nazwę banku krwi. A jeśli chodzi o Instytut Agronomii, to chyba nie ma ich za wiele w jednym mieście. Radź sobie sama.

Jeanne oczekiwała takiej odpowiedzi.

- Chciałabym być z tobą w kontakcie - odrzekła.

Reischenbach westchnął zrezygnowany:

- Przekazałem moje teczki Batizowi. Wznowią dochodzenie. Odtworzą telefoniczne rozmowy Taine'a. Tak jak zrobiliśmy to my. I będą podążać tymi samymi co my tropami.

- Zaczną postępować według oficjalnej procedury. Skontaktują się z oficerem łącznikowym z Ameryki Środkowej w Paryżu. Jak również z tym z Argentyny. Zabójca zdąży zdziesiątkować całą armię, zanim oni zdobędą jakąkolwiek informację.

- Nic na to nie poradzimy.

- Więc muszę tam pojechać. Zadzwoń do ciebie.

- Powodzenia.

Jeanne usiadła w salonie, włączyła swój laptop i weszła na stronę linii lotniczych Iberia Lineas Aereas. Już samo rezerwowanie biletu w języku hiszpańskim przyprawiło ją o dreszcz. Od jak dawna nie mówiła tym językiem, który tak bardzo lubiła?

Było jedno miejsce w samolocie do Madrytu na następny dzień rano. Lot IB 6347. Przyłot o dwunastej czterdzieści. Przesiadka na samolot do Managui o piętnastej dziesięć. Siedem godzin lotu, które odzyskiwało się dzięki sześciu godzinom różnicy w czasie. Tak więc wyląduje na miejscu wczesnym popołudniem. Znowu przejął ją dreszcz. Nie mogła uwierzyć.

Przed wydrukowaniem biletu musiała potwierdzić przekazane wcześniej dane osobiste. Imię. Nazwisko. Data urodzenia. Adres paryski. Miejsce przeznaczenia. Godzina. Numer karty kredytowej...

W komputerze pojawiło się po raz ostatni pytanie, czy jest pewna, że chce kupić bilet do Managui w jedną stronę.

Już miała nacisnąć klawisz z potwierdzeniem, kiedy się zatrzymała. Ujrzała w przyspieszonym tempie obrazy z dwóch ostatnich tygodni. Thomas. Podśluchy. Zauroczenie Feraudem. Pożar u Taine'a. Walka z Joachimem. Rozmowy na tropie diabolicznej trójcy. Ojciec, syn i Duch Zła...

Kliknęła na „OK” i zaczęła robić plany na następne dni.

Skontaktować się z Manzareną. Odnaleźć Ferauda, zanim on odnajdzie tamtych. Chronić go wbrew jego woli. Następnie zlokalizować Joachima i jego ojca, zanim poleje się znowu krew. Teraz była już przekonana, że ta dwójka także pojechała do Nikaragui.

Wysłała e-maila do Claire, przekazując sekretarce instrukcje. Wreszcie zakończyła tę komputerową sesję i otarła twarz. Choć był środek nocy, upał wcale nie zelżał. Nigdy jeszcze tak nie nienawidziła lata.

Zapakowała torbę podróżną. Nie czuła żadnego zmęczenia. Pomyślała o prezesie, który chętnie by ją wziął do łóżka i jednocześnie wyrzucił z TGI. O Reischenbachu, który też naprawdę ją lubił, ale chętnie zamknąłby w szafie, żeby tam poczekała, aż sprawy się wyjaśnią w sposób właściwy - to znaczy między mężczyznami. O biednym Francois, który posłużył się seryjnym mordercą, żeby ją poderwać...

Przypomniały się jej słowa Róży Luksemburg, jej bohaterki z czasów młodości: „Człowiek wolny to ten, który ma możliwość decydować inaczej”.

Uśmiechnęła się w duchu.

Choć nie podoba się to tym panom, ona jest wolnym człowiekiem wśród innych ludzi.

II.

CHŁOPIEC

37.

Twarz Chrystusa na tyle autobusu.

Pierwszy obraz z Managui. A raczej z jej przedmieść. Klaksony, słońce, tablice z reklamami... Jeanne miała wrażenie, że znalazła się w gigantycznej strefie handlowej. Przeróżne marki. Sklepy. Najróżniejsze logo. Autobusy. Taksówki. Wozy z napędem na cztery koła. Półciężarówki. I wszędzie łopocząca na wietrze flaga nikaraguańska, białoniebieska, niosąca w sobie lekkość, którą wyczuwało się mimo całego zgiełku...

Jeanne, siedząc w taksówce, jeszcze się nie przestawiła. Godzina czternasta w Managui, ale dwudziesta pierwsza dla jej biosystemu. Jeszcze czuła się tak, jakby była w Paryżu, a silne światło słoneczne raziło ją w oczy.

W centrum było spokojniej. Managua jest długim, spalonym słońcem miastem, w którym nie ma ani jednego wysokiego budynku. Żyje się tutaj w ustawicznym lęku przed cyklonami i trzęsieniami ziemi. Szerokie ulice, wysadzone gęsto drzewami, dają wrażenie, jakby się było w lesie. W górze niskie błękitne niebo i wiejący wiatr.

Miłą atmosferę tworzą dodatkowo uśmiechy mieszkańców, ludzi niskiego wzrostu, ze smagłą cerą, jakby wymalowaną złotobrazową farbą. Wręcz niemożliwe było do wyobrażenia, że kraj ten pod koniec XX wieku był miejscem straszliwej przemocy. Na przemian dyktatura, rewolucja, kontrrewolucja niosły ze sobą śmierć i okrucieństwa.

Kierowca zapytał, gdzie ma ją zawieźć. Odpowiedziała machinalnie:

- Hotel Intercontinental.

- Nowy czy stary?

Jeanne nie wiedziała, że są dwa.

- Nowy.

Jeśli już zażywać luksusu, to na całego. Kierowca wdał się w długie wyjaśnienia. Stary Intercontinental, Metrocento, znajdował się nad brzegiem jeziora. To w nim w czasie rewolucji zainstalowali się dziennikarze. El nuevo stał w centrum miasta, obok parku Tiscapa. Spotykali się tam ludzie biznesu. Te dwa hotele odzwierciedlały pokrótce historię miasta.

- Managua się rozbudowuje!

Jeanne nie słuchała. Zza okularów przeciwsłonecznych podziwiała miasto. Jego aleje. Palmy. Budynki z różowym, niewygładzanym tynkiem. Uczniów w biało-szarych mundurkach. Malowane mury, które uzewnętrzniały naturę miasta. Ambasadę amerykańską

zbudowaną jak bunkier na terenie podbitym, a jednak niedającą poczucia bezpieczeństwa...

Wspomnienia napływały jedne po drugich. Swoją wielką podróż po Ameryce Łacińskiej zaczęła od tego kraju. W tamtych czasach słuchała na okrągło kultowego albumu zespołu Clash, a zwłaszcza utworu *Sandinista* z płyty, którą podwędziła matce. Brytyjscy rude boys wybrali ten tytuł na cześć Nikaragui i sandinistycznej rewolucji. Kiedy tu przyjechała ze słuchawkami walkmana na uszach, spodziewała się zobaczyć socjalistyczny raj. Od obalenia dyktatury nie wszystko poszło w dobrym kierunku. Ustupający prezydent, Arnaldo Aleman, był podejrzany o sprzeniewierzenie ponad sześćdziesięciu procent PKB. A legendarny przywódca sandinistów, Daniel Ortega, został oskarżony o zgwałcenie synowej... Jeanne nie chciała do siebie dopuścić gorzkiej rzeczywistości. Jeszcze głośniej nastawiła muzykę z *Siedmiu wspaniałych* i zwiedzała kraj z głową pełną utopii.

Taksówka się zatrzymała. Intercontinental był szczytem luksusu i bezosobowości. Odnalazła w nim neutralność wielkich hoteli, które dają poczucie bezpieczeństwa, ale niszczą wrażenie zmiany miejsca zamieszkania, niwelują wrażenie egzotyki. Gdziekolwiek się jedzie, zwiedza się taki sam kraj... Tutaj jednak architekci dorzucili pewne elementy hiszpańskie. Kastylijska ornamentyka. Mauretańskie posadzki. Ozdobione sztukaterią fontanny. Ale i tak niczego to nie zmieniało - nadal był to bastion standardowej turystyki. I, rzecz nie do uniknięcia, Jeanne już szczykała zębami od lodowatego chłodu klimatyzacji.

Wystrój pokoju był w tym samym tonie. Biały. Zimny. Wygodny. Niczym szczególnym się niewyróżniający. Jeanne wzięła prysznic. Włączyła telefon komórkowy. Głos w języku hiszpańskim poinformował ją, że zmieniła operatora. Uśmiechnęła się w duchu. Ten jeden szczegół definiował jej sytuację - naprawdę przekroczyła pewną granicę. Nie miała żadnych wiadomości.

Operator hotelowy połączył ją z Plasma Inc. Eduardo Manzarena był nieobecny. Oczekiwano go późnym popołudniem. Jeanne rozłączyła się i poprosiła w hotelowej recepcji o listę dwudziestu najlepszych hoteli w mieście. Antoine Feraud musiał się zatrzymać w którymś z nich.

Czuła się już lepiej. Prysznic. Klimatyzowane powietrze. Fakt, że mówi po hiszpańsku. Słowa, akcent przychodziły jej w naturalny sposób, z jakąś dziwną swojskością. Jak tylko dostała listę hoteli, zaczęła wydzwaniać po kolei do wszystkich. Zabrało jej to ponad pół godziny. Na próżno. Feraud zatrzymał się gdzie indziej. Może u znajomych? A może zameldował się pod innym nazwiskiem, choć nie widziała w tym sensu. Czy bał się Joachima? Czy czuł się śledzony?

Godzina piętnasta. Zanotowała w swoim laptopie kilka pomysłów, które jej przyszły

do głowy w czasie lotu. Trochę spała podczas dziesięciu godzin podróży w samolocie, ale przemyślała kilka tropów, kilka szczegółów do zbadania... Potem włożyła żakiet, wzięła torebkę, postanawiając zrobić dwie rzeczy, zanim uda się do biura Manzareny.

Najpierw zamierzała sprawdzić poczucie solidarności między sędziami z innych krajów.

Następnie chciała przejrzeć archiwum „La Prensa”, głównej gazety Nikaragui, by poznać lepiej historię i sylwetkę Wampira z Managui.

38.

Budynek sądu, który nosi nazwę Los Juzgados, znajduje się w południowo-wschodniej części miasta, w pobliżu dzielnicy La Esperanza. Jest wciśnięty między targ warzywny i parking autobusowy. Gwarantowane smrody gnijących owoców, smażonego mięsa i benzyny. Jeanne zapłaciła taksówkarzowi i zagłębiła się w labirynt krytych, zacienionych alejek pełnych arbuzów, bananów, wędrownych handlarzy, czyścicieli butów, sprzedawców zapalek...

Odnalazła siedzibę sprawiedliwości. Nie wyglądała z zewnątrz imponująco. Była to budowla z prefabrykatów chroniona przez walące się żelazne ogrodzenie i drzemiących wartowników. Między drzewami rozwieszono były hamaki. Policyjne furgonetki smażyły się w słońcu. Panowała tu charakterystyczna dla Ameryki Środkowej atmosfera senności i zarazem zagrożenia wojną... Wzdłuż ogrodzenia widać było w nieskończoność kolejki nikaraguańskich wieśniaków, czekających w całkowitym bezruchu, obojętnych na upał, ściskających w rękach swoje dokumenty, kanapki, dzieci...

Jeanne poszła na bezczelnego, mijając wszystkich i wymachując przed strażnikami trójkolorową legitymacją. Ten bluff zadziałał. Przynajmniej przy pierwszej bramie. Jej atutem była znajomość hiszpańskiego. Nie tylko mówiła płynnie w tym języku, ale potrafiła również przyswoić sobie lokalny akcent. Na żołnierzach zrobiła ogromne wrażenie ta wysoka rudowłosa przybyszka z Europy, która tak świetnie radzi sobie z ich gwarą, jakby mieszkała w sąsiednim barrio - dzielnicy. Zasłużyła na niebieską pieczętkę na dłoni.

Wewnątrz ta sama atmosfera, ale wszystko działo się w wolniejszym tempie. Funcionarios przechodzili z formularzami w rękach. Interesanci szukali właściwych drzwi. Żołnierze wydawali się przyklejeni do ścian własnym potem. Sam budynek, skonstruowany z tandetnych materiałów, sprawiał wrażenie, że czeka na najbliższe trzęsienie ziemi, żeby

zostać potem lepiej odbudowany.

Jeanne odnalazła w końcu biuro sędziego śledczego. Cała była mokra od potu. Z panującym wokół upałem bezskutecznie walczyło kilka wentylatorów. Przed drzwiami stał wartownik. Pokazała sekretarce swój paszport i legitymację funkcjonariusza francuskiego sądownictwa, po czym poprosiła, aby w trybie pilnym przyjęła ją pełniącą w tym momencie dyżur Eva Arias.

Kazano jej czekać. Długo. Przez niedomknięte drzwi widziała tłumy ludzi we wszystkich salach. W ogólnym rozgwarze uderzenia w klawisze komputerów rozbrzmiewały niczym odgłos chodaków. Żołnierze usiłowali zapanować nad tłumem. Wszystko to przypominało dzień wyprzedaży w Galeries Lafayette, ale w wydaniu tropikalnym.

- Señora Korowa?

Jeanne, siedząca na ławce, podniosła wzrok. Po czym spojrzała jeszcze wyżej. Kobieta, która przed nią stała, miała pewnie metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Soy Eva Arias - powiedziała, podając silną dłoń.

Jeanne poszła za olbrzymką do jej gabinetu. Zanim usiadły, Jeanne dokładnie się jej przyjrzała. Bary tragarza. Ramiona atlety. Twarz zdradzająca indiańskie pochodzenie. Wystające kości policzkowe. Orli nos. Skośne oczy. Czarne włosy, jakby posmarowane woskiem, z przedziałkiem na środku, zaplecione w warkocze opadające na ciemną szyję. I oczywiście nieprzenikniony wyraz twarzy.

Jeanne przedstawiła się i wyjaśniła powód swojej wizyty w Managui. W ramach dochodzenia prowadzonego we Francji w związku z serią zabójstw poszukuje pewnego starego człowieka i jego syna zamieszanych w tę zbrodnię. Obaj bez wątplenia są pochodzenia nikaraguańskiego. Zna jedynie imię syna: Joachim. Przypuszcza, że przed kilkoma dniami przyjechali do Managui.

Eva Arias ze względu na to, że Jeanne była cudzoziemką i odbyła długą podróż, wysłuchała jej cierpliwie, niczym nie zdradzając swoich uczuć. Jeanne, mówiąc, wyrabiała sobie opinię o tej kobiecie. Urzędniczka, z którą nie ma żartów. Indianka, której udało się dotrzeć do tego stanowiska dzięki kampanii walki z analfabetyzmem prowadzonej przez sandinistów w latach czterdziestych. Eva Arias była jedną z tych, którym nadano przezwisko „sędziowie z gołymi stopami”, odnoszące się do ich niskiego pochodzenia. Jedną z tych, którzy nie bali się atakować prezydenta republiki, Arnolda Alemana, i całej jego rodziny, gdy wyszła na jaw w pełnej rozciągłości ich korupcja...

Jeanne skończyła swoją przemowę. W pokoju zapadła cisza. Czuć było, w fizycznym tego słowa znaczeniu, pełną rezerwy siłę charakteru prawniczki.

W końcu Eva Arias zapytała surowym, stanowczym tonem:

- Czego pani ode mnie oczekuje?

- Sądziłam... Sądzę, że mogłaby pani pomóc mi w ich odnalezieniu.

- Nie zna pani ich nazwisk ani nie dysponuje żadną wskazówką, dzięki której można by ich zidentyfikować.

Jeanne pomyślała o Antoine Feraudzie - on znał nazwisko ojca. Czy powinna o nim wspomnieć? Nie bardzo podobała się jej myśl, że zaczęto by go szukać niczym jakiegoś przestępcę.

- Wiele wskazuje na to, że ów Joachim jest sprawcą mordów popełnionych w Paryżu, o których pani mówiłam.

- No i...?

- Jeśli jest rzeczywiście Nikaraguańczykiem, może tutaj, w Managui, był przed laty aresztowany.

- Kiedy?

- Joachim ma trzydzieści pięć lat. Moim zdaniem zabił już jako nastolatek. Jego sposób działania jest szczególny. Należałoby przejrzeć archiwa z ubiegłych dwudziestu lat...

- Mam wrażenie, że nie zna pani wcale historii naszego kraju.

- Znam i nie przypuszczam, żeby w latach osiemdziesiątych nie ścigano przestępców.

- Masowi mordercy dopiero niedawno zostali pozbawieni władzy. Jesteśmy młodą demokracją, proszę pani. Krajem w rozbudowie.

- Wiem o tym. Jednak nie mówię o pospolitym zabójcy. To morderca i kanibal. Musiały zostać jakieś ślady. W którymś z posterunków policji. W archiwach sądów. A może nawet w pamięci ludzi.

Eva Arias położyła dłonie płasko na biurku.

- Uważa pani, iż nasi zabójcy są bardziej brutalni niż w waszych cywilizowanych krajach?

Jeanne poczuła, że znalazła się na delikatnym gruncie narodowej drażliwości.

- Myślę, że jest na odwrót, Señora jueza. Morderca, którego szukam, jest wyjątkowo okrutny. Jego czyny musiały komuś zapaść w pamięć. Nawet w czasie rewolucji. Pokażę pani zdjęcia. Morderstwa popełnione w Paryżu są świadectwem nieprawdopodobnej dzikości.

- Czy sądzi pani, że ten zabójca jest Indianinem?

- Ani przez chwilę tak nie myślałam. Señora...

- Proszę mówić do mnie Eva. Poza wszystkim jesteśmy koleżankami.

- Eva, bardzo dobrze. Proszę pozwolić mi powiedzieć coś o sobie. Gdy skończyłam

Szkołę Sądownictwa we Francji, postanowiłam odbyć podróż po Ameryce Środkowej i Ameryce Południowej. Z czystej miłości do hiszpańskiej kultury. Słyszysz pani mój hiszpański. Spędziłam ponad rok na waszym kontynencie. Przeczytałam książki większości waszych słynnych pisarzy. Nigdy nikt nie mógłby mi zarzucić, że mam uprzedzenia wobec Ameryki Łacińskiej.

Eva Arias milczała. To milczenie i upał tworzyły coraz bardziej przytłaczającą atmosferę. Trudno było oddychać. Jeanne zastanawiała się w duchu, czy nie popełniła kolejnej gafy. Wychwalanie kultury hiszpańskiej w obecności Indianki z Nikaragui nie było chyba dobrym pomysłem. To tak, jakby wygłaszać mowę pochwalną na cześć Marka Twaina w rezerwacie Indian w Dakocie.

- W którym hotelu się pani zatrzymała? - zapytała Indianka bardziej przychylnym tonem.

- W Intercontinentalu.

- Którym?

- W nowym. Chyba zostawię w nim całą moją sędziowską pensję.

Niespodziewanie na nieprzeniknionej twarzy Indianki pojawił się uśmiech. Jeanne pojęła, że Eva Arias działała przez zaskoczenie. Niemożliwe było odgadnąć, z czym wystąpi...

- Zadzwoń w kilka miejsc. To nie będzie łatwe. Po rewolucji sandinistycznej wszyscy sędziowie zostali wymienieni. Nie ma także sensu szukać w archiwach. Wszystko to, co było przed rewolucją, gdzieś się zagubiło lub zostało zniszczone, często przez samych sędziów. A jeśli chodzi o czasy rewolucji, sprawa jest jeszcze prostsza, bo niczego nie zapisywano.

- No więc?

- Myślę o dziennikarzach. Znam kilka starych wyg, którzy wszystko widzieli, wszystko znali. Jeśli był jakiś morderca kanibal, nawet gdzieś w głębi dżungli, muszą o tym pamiętać.

Jeanne wstała. Podziękowała bez zbytej wylewności. Wołała dostosować się do flegmatycznego opanowania Indianki. Pożegnała się z Evą Arias, czując pewne wyrzuty sumienia. Nie była z nią szczerą. Nie wspomniała o Eduardzie Manzarenie. Chciała mieć przewagę nad miejscowym wymiarem sprawiedliwości.

Godzina szesnasta.

Kolejny telefon do Plasma Inc.

Eduardo Manzarena wciąż był nieobecny. Jeanne postanowiła udać się do „La Prensa”. Na szczęście taksówka miała klimatyzację. Siedziba gazety znajdowała się w drugim końcu miasta. Miała więc sporo czasu, żeby przyjrzeć się dokładnie stolicy.

Ruch na jezdniach był duży. Zwłaszcza tłoczno było pod czerwonymi światłami, gdzie odbywała się sprzedaż między samochodami. Psy, hamaki, papierosy, chusteczki higieniczne... sprzedawano tu wszystko. Jeanne zauważyła także młode kobiety spacerujące wzdłuż jezdni. Ciasno owinięte szale. Owalne twarze. Dzinsy z szerokimi u dołu nogawkami. Jedną od drugiej odróżniały tylko krótkie bluzeczki w jaskrawych kolorach - turkusowym, różowym, seledynowym, pomarańczowym... Jeanne mimo woli pozazdrościła im ich posępnej, a zarazem promiennej urody, ich młodości, życia w osmozie z ziemią, powietrzem, niebem. I tego, że były do siebie podobne. Zdawały się dzielić ze sobą sekret młodości, nie myśląc o rywalizacji.

Ona jednak wyczuwała jednocześnie coś bardziej ponurego. Ciężar przeszłości. Ludzie, wydawalioby się szczęśliwi, wciąż byli przytłoczeni brutalnością ubiegłego stulecia. W ich pamięci stale obecna była krew. Coś w rodzaju nieustającego żałobnego czuwania dręczyło ich dusze. Trzy wieki amerykańskiego wyzysku. Czterdzieści lat krwawej dyktatury. Rewolucja. Kontrrewolucja. Wszystko po to, żeby pograżyć się w korupcji, zaraźliwej, nieuleczalnej... Naprawdę żadnego powodu, żeby być optymistą.

„La Prensa” mieściła się w betonowym, bezdusznym bloku, ale archiwa znajdowały się w przyległym do niej malowniczym budynku, z niewielkim ukwieconym patio i stiukowymi ornamentami. Stare numery pisma utrwalono na mikrofilmach, tak iż nie było potrzeby ślęczenia nad zapisanymi atramentem starymi papierzyskami. Jeanne najpierw zasięgnęła rady u kierowniczkii archiwum, która okazała się prawdziwą kopalnią wiedzy. Doskonale wiedziała, które roczniki przede wszystkim należy przejrzeć, czyli z lat, gdy Eduardo Manzarena, Wampir z Managui, był „gwiazdą”.

Przewijając filmy, Jeanne zobaczyła spory fragment nowej historii Nikaragui. Dzieje bananowych republik, jak je nazywano, ponieważ państwa Ameryki Środkowej stały się dostawcami tropikalnych owoców, całkowicie kontrolowanymi przez Stany Zjednoczone. Jak większość zwolenników lewicy, Jeanne nie cierpiała Stanów Zjednoczonych. Globalnie. Arbitralnie. Nieracjonalnie. Kraj ten reprezentował to wszystko, czego nienawidziła - imperialistyczną przemoc, wszechwładny konsumpcjonizm, wolność nakierowaną wyłącznie na materialny sukces. Ale przede wszystkim radykalną eliminację słabych i ubogich. Nie

zadowolony się dokonaniem ludobójstwa na północnoamerykańskich Indianach, Stany Zjednoczone sfinansowały również najbardziej krwawą dyktaturę w Ameryce Środkowej i Południowej.

Ze złością i zarazem z dziwną radością Jeanne odświeżyła wspomnienia, zatrzymując się na niektórych artykułach. Okrutna dyktatura Anastazia Somozy Debayle'a, spadkobiercy długiej linii zabójców. Zgony. Tortury. Gwałty. Rabunki. Ten zbrodniczy tyran odpowiedział kiedyś pytającym go dziennikarzom o jego majątek, że ma tylko jedną posiadłość. Nazywa się ona Nikaragua. Potem sandinistyczna rewolucja głosząca hasła walki z analfabetyzmem, podziału ziemi, szacunku dla chłopów. A przede wszystkim dająca nadzieję. Następnie kontrewolucja, finansowana przez Ronalda Reagana dzięki handlowi bronią z Iranem... Zgroza. Zgroza. Zgroza. Obecnie sytuacja ustabilizowała się. Jednak nawiedzające ten kraj chroniczne zło wciąż czyhało...

Eduardo Manzarena był tego doskonałym przykładem.

Z pochodzenia Kubańczyk, dorobił się fortuny w latach sześćdziesiątych. Znalazłszy się w Miami, ten człowiek interesu, a zarazem lekarz hematolog, zwrócił uwagę na szczególny problem Stanów Zjednoczonych - zapotrzebowanie na krew. Wojna w Wietnamie ujawniła, jak ważną rzeczą jest transfuzja krwi. Tymczasem Stany Zjednoczone nie miały jej zapasów. Gdzie można znaleźć tak cenny towar? W biednych krajach. W 1972 roku, zaraz po trzęsieniu ziemi, Manzarena przeniósł się do Managui i otworzył tam pierwszy bank krwi. W ciągu paru lat rozwijał swoje przedsiębiorstwo z taką energią, że przewyższyło ono wydajność wszystkich pozostałych krajów dostarczających krew do Stanów Zjednoczonych, takich jak Haiti, Brazylia, Belize, Kolumbia... W 1974 roku Plasma Inc. dostarczała dwadzieścia tysięcy litrów na miesiąc, co stanowiło dziesięć procent prywatnego przemysłu amerykańskiego w tej dziedzinie.

Bogactwo Manzareny rosło wraz z ubóstwem dawców, zrujnowanych trzęsieniem ziemi chłopów, którzy sprzedawali po litrze krwi tygodniowo, nie zostawiając sobie czasu na regenerację organizmu. Z tego powodu wielu z nich umierało w siedzibie banku krwi. Wywołało to ogólne oburzenie. Plasma Inc. stało się symbolem wyzysku człowieka przez dyktaturę, prowadzącego aż do jego śmierci. Pewnego dnia w 1978 roku lud dał upust swojemu gniewowi i podpalił tę instytucję. Duch buntu rozszerzył się na cały kraj. Wybuchła sandinistyczna rewolucja. Jednak Wampir z Managui zdążył zniknąć.

Socjalistyczny rząd zakazał handlu krwią i plazmą. Oddawanie krwi odbywało się za darmo, pod kontrolą nikaraguańskiego Czerwonego Krzyża. Następnie krew była dostarczana za darmo do szpitali i klinik. Skończył się również eksport. Minęło jednak parę lat i powróciły

dawne obyczaje. Skorumpowany Arnaldo Aleman i jego rząd pozwoliły Eduardowi Manzarenie wznowić jego brudne interesy. Obecnie był konkurencją dla Czerwonego Krzyża, a do drzwi jego centrum dobijały się tłumy, by zarobić kilka cordob.

Jego imperium powiększyło się. Otwarte zostały nowe ośrodki pobierania krwi w Gwatemali, Hondurasie, Salwadorze, Peru, Ekwadorze, Argentynie. Jeanne wyobrażała sobie rzeki krwi spływające do centrum Manzareny, by następnie wpaść do morza, którym są Stany Zjednoczone. Takie rzeczy mogą się dziać jedynie w świecie, gdzie bieda usprawiedliwia wszystko. Gdzie chciwość i korupcja sięgają szczytu.

Patrzyła na zdjęcie Wampira, które połyskiwało przed nią na ekranie - ogromny mężczyzna z potężnymi szczękami, gęstymi, srebrnymi włosami zaczesanymi do tyłu, przywodzącymi na myśl hełm z czasów wojny stuletniej. Ze spokojnym, butnym wyrazem twarzy wyglądał niczym rycerz, który powalił swoich wrogów - sprawiedliwość, humanitaryzm, równość...

Co Wampir przesłał przez UPS do Nelly Barjac trzydziestego pierwszego maja? Czy była to próbka krwi? Czy z tego powodu cytogenetyczka została zamordowana? W jakim celu Taine dzwonił do tego człowieka w niedzielę dziewiątego czerwca? Dlaczego tego samego dnia kontaktował się z nim również Antoine Feraud? Co Eduardo Manzarena wiedział o morderstwach i ich sprawcy? Jakie miał powiązania z Joachimem?

Jeanne cofnęła szpulę z mikrofilmami, wyłączyła ekran, pożegnała się z archiwistką. Uznała, że nie ma sensu dzwonić do Plasma Inc. Postanowiła udać się tam prosto z archiwum. Spotkać się osobiście z Wampirem.

40.

Bank krwi.

Budynek Plasma Inc. w dzielnicy Batahola Sur był budowlą o wiele solidniejszą i lepiej chronioną niż siedziba sądu - nad ogrodzeniem drut kolczasty najeżony ostrymi odłamkami, uzbrojeni wartownicy, sprawiający wrażenie bardzo czujnych w swoich budkach.

Żeby wejść do tej fortecy, Jeanne pokazała paszport. Nie stawiano jej przeszkód. Mogła przecież być dobrowolną dawczynią. Znalazła się w dużym holu w stylu tropikalnym: kamienna posadzka, żaluzje, pod sufitem wentylatory. Dawcy stali w kolejkach przed szeregiem stanowisk. Inni siedzieli na ustawionych jak w kościele ławkach, spoglądając roztargnionym wzrokiem na ekrany telewizorów. W zasięgu wzroku ani jednej pielęgniarki,

ani jednego białego kitla, tylko intensywny zapach eteru. Stuk klawiszy komputera rozbrzmiewał w głębi niczym makabryczny werbel.

Jeanne zrobiło się słabo. Duchota. Smród. Zmiana czasu. Skręcało ją w żołądku. Dostrzegła niewysoką kobietę, która spodobała się jej z wyglądu. Około pięćdziesiątki. Bluzka w kratkę. Płaska, chińska twarz, skośne oczy za grubymi okularami.

Teczka z aktami pod pachą dodawała jej powagi. Niewątpliwie w tym celu ją niosła.

- Por favor, señora...

Nie wdając się w wyjaśnienia, Jeanne powiedziała, że chciałaby zobaczyć się z Eduardem Manzareną. Chinka z szerokim uśmiechem odpowiedziała, że pan dyrektor jeszcze nie przybył. Trzeba przyjść później. Albo jutro. Kobieta kłamała. Manzarena nie miał zamiaru przybyć tego dnia, była już bowiem godzina siedemnasta. Jakiś wewnętrzny głos podpowiedział Jeanne, że nie widziano go w biurze od dłuższego czasu...

Podziękowała kobiecie. Gdy sekretarka odeszła, Jeanne wśliznęła się w pierwsze napotkane drzwi. Znalazła się w długiej poczekalni. Ludzie drzemali pod afiszami zachęcającymi do oddawania krwi, tworzenia przyszłości Nikaragui...

Ominęła leżących i dotarła do następnych drzwi. Wisząca na nich tablica głosiła: „Sala pobierania krwi”. Smród uderzył w nią z nową gwałtownością. Dziewięćdziesięcioprocentowy alkohol, jodyna, pot... Zobaczyła pomieszczenie bez okien, stare fryzjerskie fotele obite sztuczną czerwoną skórą, siedzących na nich dawców. Mętny wzrok, blada cera, wilgotne skronie - wszyscy robili takie wrażenie, jakby byli bliscy agonii. Plastikowe pojemniki podczipione do ich żył były ogromne. Wbrew temu, co czytała w artykułach, Plasma Inc. nie wyglądała na ośrodek z nienaganną aseptyką. W jednym kącie sprzątaczką zamiatała podłogę wilgotną szczotką. W innym robotnik przyklejał linoleum, a obok niego stała otwarta skrzynka z narzędziami.

Jeanne szukała następnych drzwi. Miała nadzieję odnaleźć gabinet Manzareny lub pokój sekretarki. Tam znajdzie jego adres domowy. Skoro Wampir nie chce przyjść do niej, ona uda się do niego... Kolejny korytarz. W każdej sali była oszklona ściana, mogła więc widzieć, co się w nich dzieje. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Zatrzymał ją jakiś hałas. To szum centryfug, których bębny obracały się bez przerwy jak w pralni automatycznej. Dopiero co przeczytała artykuły na ten temat. Plazma po pobraniu trafia do centryfug, w których następuje rozdzielenie globulek krwi od płytek. Właśnie plazma zawiera cenne białka, w tym słynny czynnik VIII - białko powodujące krzepnięcie, którego pozbawieni są chorzy na hemofilię typu A. Jeanne bardzo trudno było uwierzyć, że znajduje się w miejscu mającym ratować życie.

Następna sala. Różowe ściany. Chłodnie, w których zapewne przechowywano towar przeznaczony na wysyłkę do Stanów Zjednoczonych. Były tu również oszklone szafy z ruchomymi półkami, na których wprawiano w ciągły ruch pojemniki z krwią, bez wątpienia w tym celu, żeby nie dopuścić do jej krzepnięcia. Jeanne pomyślała, że gdyby Amerykanie przyjechali tu i zobaczyli to z bliska, z pewnością przestaliby kupować plazmę od Eduarda Manzareny.

Nareszcie. Dział administracyjny. Biura. Wentylatory. Sekretarki z włosami ułożonymi w wysokie koki. Jeanne przeszła, nie zwracając na nie uwagi. Przypuszczała, że biuro szefa znajduje się gdzieś w głębi korytarza. Na pierwszym zakręcie zobaczyła aneks z dwoma pokojami, jednym na lewo, drugim na prawo. W pierwszym drzwi były zamknięte. Drugi pokój był otwarty, ale pusty. Biuro sekretarki. Dostrzegła staromodny segregator leżący obok maszyny do pisania. Perforowane fiszki spięte dwoma stalowymi kółkami.

Szybko go przejrzała. Jest. „Eduardo Manzarena”. Na fiszce były osobiste dane szefa. Adres domowy w stylu nikaraguańskim. Managua była tyle razy nawiedzana przez trzęsienia ziemi i cyklony, tyle razy odbudowywana, że ulice nie miały nazw, a domy numerów. Orientowano się więc według stron świata, według nazw kompleksów budynków lub jeszcze innych, raczej folklorystycznych punktów odniesienia.

Chwyciła kartkę papieru, długopis i przepisała wskazówki: Tica Bus, 1 cuadra del lago y 1 cuadra y media arriba. Znaczyło to mniej więcej, że należało kierować się na punkt położony między jednym kompleksem w kierunku jeziora i drugim kompleksem powyżej, czyli na wschód... Jeanne, notując, pomyślała, że kierowca taksówki na pewno się w tym połapie.

Po kilku minutach była już na zewnątrz. Kierowca nie miał kłopotu z rozszyfrowaniem tej zagadkowej informacji. Wygodnie się rozsiadła i poprosiła o nastawienie klimatyzacji na cały regulator. Otarła twarz perfumowanymi chusteczkami, które kupiła na lotnisku w Madrycie, co jak na razie było jej najlepszym pomysłem.

Próbowała się uspokoić.

Zapadał zmrok. Miała złe przeczucia. Może przyjedzie za późno... Może Joachim już zdążył zaatakować... Może Manzarena...

Zadrzała.

Pojęła, co oznaczało jej przeczucie.

Nie miało nic wspólnego z Manzareną.

Chodziło o Antoine'a Ferauda. Utwierdziła się w swoim przekonaniu, że odnalazł on Joachima i jego ojca w Managui. Chciał z nimi porozmawiać. Namówić ich, by oddali się w

ręce sprawiedliwości.

I zapłacił za to życiem.

41.

Jeanne dojechała do dzielnicy Manzareny, kiedy dzień miał się już ku końcowi. Kierowca wytłumaczył jej, jak ma dojść pieszo do willi. Latarnie uliczne jeszcze się nie zapaliły. Szła ulicą, przyspieszając kroku. Chciała zadzwonić do drzwi, zanim włączy uliczne oświetlenie.

Wokół panowała dojmująca cisza. W zapadającym zmroku domy ogrodzone murami lub żelaznymi parkanami robiły wrażenie, jakby stały bardzo gęsto. Żadnego żywego ducha ani na ulicy, ani w oknach. Kroki Jeanne rozbrzmiewały w mroku, w miarę jak mijała chilamate, potężne drzewa, których nazwę wyczytała w przewodniku kupionym na lotnisku w Madrycie. Wreszcie odnalazła opisany przez kierowcę dom.

Zadzwoniła, zerkając przez żelazną bramę. Willa wydawała się skromna. Spomiędzy czerwonych bugenwilli, fioletowawych orchidei i przysadzistych palm można było dostrzec szare mury, czerwony dach, otwarte werandy i tarasy typowe dla architektury Nikaragui. Gorąco i roślinność jakby wpraszały się do wnętrza.

Nikt nie zamierzał jej otworzyć drzwi. Gdzie się podzieli wartownicy, służba? Zadzwoniła jeszcze raz. W żadnym z okien nie zapaliło się światło. Ciemność przerywały jedynie słabe, nieregularne błyski z jednej z werand. Zapewne lampa mająca chronić przed moskitami. Eduardo Manzarena musiał wyjechać. A służba dostała urlop. Jeanne poczuła się naprawdę przygnębiona. Wszystkie jej wysiłki zmierzające do tej chwili zakończyły się fiaskiem. Znajdowała się na progu nieznanego domu, w opustoszałej, ponurej dzielnicy, ponad dziesięć tysięcy kilometrów od swojego mieszkania...

Zamierzała już odejść, kiedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Mała, dyskretna rewizja... Wyjątkowo zły pomysł. Wystarczy jeden krok, żeby znaleźć się w więzieniu w Managui. Za późno. Już trzymała uchwyt bramy - dwie ażurowe, żelazne płytki zdobne w arabeski. Żadnego oporu. Jeanne rozejrzała się na prawo i na lewo, po czym wśliznęła się do ogrodu. Nie ma psa. Nic nie słychać. W ustach jej zaschło, podczas gdy ciało spływało potem. Była na cudzym terenie. Całkowicie nielegalnie. Pozostawało już tylko kontynuować to, co zaczęła.

Przeszła przez ogród. Uginająca się pod stopami trawa. Ogromne kwiaty. Palmy z

szarymi, popękanyymi jak u ananasów pniami. Natknęła się na coś twardego. Gubiąca się w krzakach posadzka. Pierwsza weranda. W jej centrum fontanna. Pod sufitem obracał się wentylator mieszający gorące powietrze. W kącie szumiał telewizor, dźwięk był wyłączony. On zapewne był źródłem światła, które dostrzegła przy bramie. Włączony telewizor pozwalał przypuszczać, że ktoś opuścił to miejsce w pośpiechu. Nieobecność służby zwiększała złe przecucia. Co tu się wydarzyło?

Dotarła do salonu stanowiącego jakby przedłużenie tarasu. Wszystko było otwarte. Manzarena najwyraźniej nie bał się złodziei. W momencie gdy doszła do salonu, zapaliły się uliczne latarnie. Drgnęła i czym prędzej uskoczyła na bok, chowając się przed ewentualnymi spojrzeniami przechodniów. Policzywszy do dziesięciu, zaryzykowała i lekko się wychyliła. Na ulicy nie było nikogo. Rozejrzała się po salonie. Światło latarń przedostawało się przez kute, żelazne ogrodzenie, prześwity w murze, żaluzje, rzucając skośne, krzyżujące się cienie.

Zrobiła krok naprzód. Tutaj nie czuło się najmniejszego powiewu. Umeblowanie salonu stanowiły słabo widoczne w cieniu fotele, długi stół nakryty ceratą, barek z licznymi butelkami.

Oczy terakotowej maski obserwowały ją z głębi jakiejś etażerki. Nad podłogą unosił się silny zapach jodiny. Wyglądało to tak, jakby personel willi, zanim stąd się wyniósł, przeprowadził jakąś operację. Dlaczego zostawiono wszystko otwarte?

Schody. Na wszelki wypadek Jeanne zawołała: Señor Manzarena?!

Odpowiedziała jej cisza przerywana szumem wentylatora z werandy. Weszła na pierwsze piętro. Korytarz. Sypialnie. Ściany betonowe, jasnozielone lub jaskrawopomarańczowe. Drewniane łóżka. Meble z kalamusa rotangowego. Za oknami zasłoniętymi storami światło latarni z ulicy.

Jeanne szła dalej. Od pewnego momentu pojęła już, co się stało. Ten obecny wszędzie intensywny, słodkawy, mdlący zapach. Coś pośredniego między gnijącymi owocami i psującym się mięsem. Koniec korytarza. Kolejne drzwi. Uchylając je, Jeanne w tej samej sekundzie już wiedziała, że odkryła tajemnicę.

Eduardo Manzarena zgięty za biurkiem, z głową na blacie, pod szumiącym klimatyzatorem. Czaszka rozłupana na dwie połowy niczym rozkrojony arbuz. Mózg wylany na podkładkę ze skóry. Unoszący się nad tym rój much.

Joachim okazał się szybszy od niej.

Oddychając przez usta, Jeanne zrobiła dwa kroki do środka. Poszperała w torebce. Między szminką i gumą do żucia znalazła lateksowe rękawiczki, które zawsze nosiła przy sobie. Nałożyła je, podeszła do biurka oświetlonego tylko przez uliczne latarnie. Jednocześnie

w myślach odnotowała kilka faktów.

Manzarena był jeszcze grubszy niż na zdjęciu. Ważył pewnie ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Ubrany w biały bawełniany T-shirt i jasnoszare spodnie do joggingu, schylony, ręce zwisają pod biurkiem. Jeanne przypomniała sobie film *Siedmiu wspaniałych*. Grubas zamordowany z powodu grzechu obżarstwa. Widok przypominał tę scenę, ale w wersji białoczarnej. Siedmiu wspaniałych, ale widziane oczami Fritza Langa.

Drugi fakt. Zabójca przetrząsnął cały pokój. Półki z książkami przeszukane, wypatroszone. Szuflady opróżnione. Poprzewracane szafki. Podłoga zasłana książkami z tej samej serii - wszystkie z szarymi, tekturowymi okładkami. Czego szukał zabójca?

Trzeci fakt. Kanibalizm. Pokój przesiąknięty był zapachem krwi i surowego mięsa. Morderca zrobił tutaj sobie ucztę. Wyrwana dłoń wałała się pośród książek. Fragmenty tkanki mięsnej na stronicach poplamionych krwią. Joachim jest w mieście. Pożywił się Wampirem z Managui. Jaką moc chciał mu odebrać?

Ostatni element do zanotowania. Brak krwawych napisów na ścianach. Tajemniczy alfabet jest zapewne zarezerwowany tylko dla ofiar, które umiały uosabiać Wenus.

Jeanne przystąpiła do oględzin ciała. Dzięki zmęczeniu, różnicy czasu, upałowi doświadczała miłego uczucia dystansu... Pochyliła się nad biurkiem. Brzęczenie much. Krwawy kikut ucięty w łokciu. Na drugim przedramieniu ślady ukąszeń. Spodnie grubasa opuszczone. Na udach ślady nacięć, ssania - ciągle te same oznaki żarłoczności, apetytu na ludzkie ciało. Między udami czarno od krwi. Jeanne nie chciała już nic więcej wiedzieć.

Wyprostowała się. Kręciło się jej w głowie. Spojrzała do góry na kratkę klimatyzatora, szukając tam odrobiny świeżego powietrza. Chwyciła krzesło i opadła na nie. Zamknęła oczy, zbierając w sobie resztki sił. Wiedziała, że w ciągu tych cennych minut, kiedy jest sama, musi coś znaleźć, jakąś wskazówkę, jakiś znak. Potem wezwie policję.

Wstała z krzesła. Obeszła ciało, oglądając je od tyłu. Na plecach kolejna okropna rana. Morderca uderzył siekierą lub maczetą. Trysnęły strumienie krwi. Zabójca zanurzył ręce i z obu stron kręgosłupa wy dobył to, co zdołał chwycić palcami. Nerki. Jelita. Inne organy. Sterczące straszliwie kości zmarłego przywodziły na myśl skrzydła monstrualnego smoka.

Jeanne zrobiła pierwszy bilans swoich spostrzeżeń. Wyraźne objawy rozkładu. Poduszki palców obrzmiałe, jakby Manzarena kąpał się przed chwilą. Początki marszczenia się skóry. Z ust wystaje język spuchnięty od działania bakterii. Upał przyspieszył ten proces. Manzarena mógł zostać zabity wcale nie tak dawno... Zapewne mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu.

Dlaczego domownicy niczego nie zauważyli? Czy wpadli w panikę, kiedy znaleźli

trupa? A ochrona? Dlaczego w banku krwi nie zaniepokojono się jego nieobecnością?

W dalszym ciągu nie znalazła tego jedyne go śladu, który posunąłby do przodu jej dochodzenie. Przyjrzała się uważnie podłodze. Mnóstwo szarych okładek. Podniosła jedną z leżących książek. *Totem i tabu* Freuda w hiszpańskim tłumaczeniu. Słyszała już o tej książce od Antoine'a Ferauda. W parku przy Champs-Elysees.

Schyliła się i podniosła drugą książkę. Znowu *Totem i tabu*. Następna. Także *Totem i tabu*. Jeszcze inna. Też *Totem i tabu*... Jeanne spojrzała na książki na półkach. Grzbiety z szarego płótna. Tytuły napisane złotymi literami. *Totem i tabu*. Na wszystkich półkach ten sam tytuł...

Eduardo Manzarena stworzył sobie tutaj fortecę. Schronienie, którego ściany tworzą te same książki. Dlaczego? Co studiował? Czy za pomocą tych książek szukał symbolicznej ochrony?

Odwróciła się i spojrzała na biurko. Kilka tomów pozlepianych szarą masą. Wybrała jeden, leżący blisko komputera, niezbyt poplamiony. Szybko go przekartkowała. Schowała do torebki.

Otworzyła telefon komórkowy i wybrała zapisany w nim numer.

- Señora Arias, por favor.

42.

Idący przodem policjant potknął się o książki. Drugi, próbując go złapać, oparł się o klamkę drzwi. Ostatecznie obaj upadli na trupa, ale potrzeba było o wiele więcej ludzi, żeby ruszyć go z miejsca. Inny z policjantów zawadził o etażerkę, która przewróciła się, a książki na niej ustawione posypały się z hałasem na inne zaścieleające już podłogę.

- Que mierda! - krzyknął mężczyzna.

Jeanne omal nie wybuchnęła śmiechem, co było objawem zdenerwowania. Nigdy jeszcze nie widziała takiego bałaganu na miejscu zbrodni. Wszyscy policjanci chodzili w nieosłoniętych butach. Żaden nie miał rękawiczek. Nie zaznaczono strefy bezpieczeństwa. Na każdej twarzy widniał komiczny wyraz przestrawienia.

Jakiś mężczyzna w białej bluzie - pewnie odpowiednik technika sądowego w policji francuskiej - usilnie starał się otworzyć chromowany kuferek zamknięty na klucz.

- Donde es ta la llave? Tienes la llave!

Jeanne przypomniała sobie, że procent wyjaśnionych spraw przez siły porządkowe w

krajach Ameryki Środkowej jest bliski zera. Tutejsza policja zna tylko jedną metodę śledztwa - złapać kogoś na gorącym uczynku.

Za fotografem, który kręcił się wokół ciała z nieufnością, jakby bał się, że trup nagle się podniesie, Jeanne dostrzegła wysoką sylwetkę Evy Arias. Wyglądała na rozwścieczoną. Z powodu niekompetencji policjantów, obecności Jeanne, francuskiej sędzi śledczej i zarazem głównego świadka w tej sprawie. Wydawało się nawet, że ma ochotę uczynić ją odpowiedzialną osobiście za tę rzeź...

- Musimy porozmawiać.

Jeanne poszła za nią do sąsiedniego pokoju. Nie czekała na pytania. Opowiedziała, czym się zajmowała całe popołudnie. Wyjaśniła, jakie miejsce zajmował w tej historii Eduardo Manzarena. Dodała przy okazji kilka faktów. Śmierć Francois Taine'a spalonego żywcem. Udział pewnego psychiatry, który z pewnością jest teraz w Managui. Następnie szczegółowo opisała podejrzanego, Joachima, humanitarnego adwokata, a zarazem autystycznego potwora o prymitywnych instynktach...

Indianka milczała. Jej twarz wyrażała dokładnie tyle samo, co szary pień drzewa chilamate.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani tego podczas pierwszego spotkania?

- Moje dochodzenie i bez tego jest dość niezwykle. Nie chciałam o tym mówić.

Znowu cisza.

- Co pani wie o Eduardzie Manzarenie? - zapytała w końcu Indianka.

- To, co przeczytałam w archiwach „La Prensa”. Najpierw odniósł sukces w handlu krwią. Potem zniknął, gdy do władzy doszli sandiniści. Pojawił się ponownie w latach dziewięćdziesiątych.

- Wraz z powrotem do władzy prawicy.

Eva Arias dodała ten komentarz z zimną złością. Wciąż czuła gniew z powodu przegranych wówczas wyborów. Stała blisko okna. Błyski świateł policyjnych samochodów padały na jej twarz.

- Lud Nikaragui głosował przeciw wojnie - powiedziała cichym głosem. - Nie przeciw nam.

- Oczywiście. - Jeanne nie miała ochoty sprzeczać się z nią.

- Czy pani wie, że Manzarena czuł się zagrożony?

- Zagrożony? Przez kogo?

Eva Arias zrobiła gest oznaczający, że nie bardzo wiadomo.

- Było to bardzo dziwne - mówiła dalej. - W ostatnich tygodniach stale otoczony był

ochroniarzami. Nie wychodził z domu. Bez kobiet, bez dzieci, żył samotnie. Jak człowiek, który się boi.

Jeanne pojęła w tym momencie, że sekretarka w Plasma Inc. z obowiązku służbowego zapewniała ją, że Manzarena przyjedzie tego dnia do biura. W rzeczywistości nie pokazywał się tam od dawna...

- Muszę odnaleźć jego ochroniarzy - mruknęła Eva Arias. - Służbę. Z pewnością coś wiedzą.

- Czego bał się Manzarena? - zapytała ponownie Jeanne. - Kto mu groził?

Eva Arias patrzyła przez szpary żaluzji.

- Od tej chwili - odezwała się, nie odpowiadając na pytanie - zabraniam pani mieszać się w tę sprawę. Proszę nic więcej nie robić. W przeciwnym wypadku skażę panią na areszt domowy. Proszę pozwolić działać ludziom z naszej policji.

- Miałam okazję ocenić ich skuteczność.

Eva Arias przeszła ją złym wzrokiem.

- Czy macie laboratorium kryminalistyczne?

Oczy Indianki miały na nią błyskawice.

- Znam tego zabójcę - ciągnęła Jeanne. - Nie zachowuje żadnej ostrożności. W każdym razie nie martwi się o zostawione przez siebie ślady. Zdejmijcie odciski na miejscu zbrodni. Odciski zabójcy będą wszędzie. No i pani ludzi także.

Indianka nadal milczała. Wydawało się, że zaraz wybuchnie.

- Joachim bez wątplenia pochodzi z Nikaragui. Jeśli choć jeden, jedyne raz był gdzieś zanotowany przez wasze służby, można porównać jego odciski z tymi tutaj.

Eva Arias powiedziała rozkazującym tonem:

- Proszę podejść do mnie.

Jeanne wykonała to polecenie.

- Proszę spojrzeć - westchnęła Indianka.

Wszędzie widać było gęsty tłum. Ludzie stali przy żelaznym ogrodzeniu, z oczyma utkwionymi przed siebie niczym zjawy oświetlane migającym światłem samochodów policyjnych.

- Nie rozumiem, co się dzieje - szepnęła Eva Arias swoim niskim głosem. - Jak dotąd seryjni zabójcy ubrani byli w mundury i działali jak komandos. A ten zabójca jest samotny. Znęca się nad jedną ofiarą. Tak jak w Ameryce Północnej lub w Europie - dodała z lekkim uśmiechem lodowatym tonem.

- Zabójca pochodzi z waszego kraju.

- To nieważne.

Eva Arias odwróciła się do Jeanne. Jej twarz przypominała przedkolumbijskie rzeźby ciosane z bloków piaskowca.

- Nie mamy laboratoriów kryminalistycznych. Nie mamy kartotek z odciskami. Nie mamy nic, rozumie pani?

- Mogę wam pomóc.

- Nie potrzebujemy pomocy. Każę panią odprowadzić na posterunek policji. Podpisze pani swoje zeznanie i wróci do hotelu. Proszę pozwolić nam działać naszym sposobem.

- Jaki jest ten wasz sposób?

Po raz drugi zaskoczył ją uśmiech Ewy Arias. Jeszcze sekundę wcześniej trudno było przewidzieć, że tak może zmienić się wyraz jej twarzy.

- Nasz szef policji jest byłym sandinistycznym rewolucjonistą. Jednym z tych, którzy zajęli miasto Leon. W czasie największych walk, mając na sobie bombę, dobrowolnie przedostał się do centralnego garnizonu. Ocalał, bo ładunek nie wybuchnął. Oto jacy ludzie kierują naszymi śledztwami, pani Francuzko.

- Nie rozumiem, jaki może być związek tego rodzaju czynu z umiejętnościami policyjnymi.

- Trudno zrozumieć, gdy się nie pochodzi z tego kraju. Każę panią odprowadzić.

Jeanne poddała się. Na progu pokoju stał już uzbrojony mężczyzna. Zamierzała iść za nim, kiedy Eva Arias zawołała:

- Czy pani wie, że śmierć Manzareny jest w pewnym sensie ironią losu?!

- Dlaczego? Czy z powodu wylanej krwi?

- Dzisiaj czegoś się o nim dowiedziałam.

Jeanne zawróciła.

- Manzarena w czymś panią przypominał - rzekła Indianka.

- Mnie?

- Interesował się kanibalizmem. Dziś po popołudniu wykonałam kilka telefonów. Mogę panią zapewnić, że w Nikaragui nigdy nie miały miejsca zbrodnie ludożerstwa. Jednak rozmawiając z innymi sędziami, dowiedziałam się, że Manzarena do nich dzwonił. I że zadawał te same pytania jak pani. Z pewną istotną różnicą. On pytał o tego rodzaju zdarzenie w osiemdziesiątym drugim roku.

Lekarz hematolog prowadził więc takie samo dochodzenie jak Jeanne. Znał jednak elementy, o których ona nic nie wiedziała. Czy znał historię Joachima? Czy bał się, że zgładzi go autystyczny zabójca? Jaki miało to związek z paczką przesłaną do Nelly Barjac?

Eva Arias otworzyła teczkę i wyjęła z niej książkę. Był to jeden z tomów w szarej oprawie z gabinetu Manzareny. Jeanne pomyślała o egzemplarzu, który schowała w swojej torebce...

- Zauważyła pani na pewno, że jego księgozbiór zawierał tylko to dzieło?

- *Totem i tabu* Freuda.

- Czy pani wie, że w krajach Ameryki Środkowej i Południowej ludzie pasjonują się psychoanalizą?

- Nie wiedziałam o tym. Ale to nie wystarczy, żeby wyjaśnić obecność tylu egzemplarzy w jednym miejscu.

- Nie, ale zamyka to pętlę.

Eva Arias patrzyła na książkę połyskującą w odbłasku policyjnych kogutów.

- Kiedy po rewolucji zaczęłam studia, także interesowałam się psychoanalizą. Chciałam nawet napisać rozprawę o roli tej dyscypliny nauki w rozwoju demokracji w naszym kraju. Mrzonki młodej dziewczyny. - Potrząsnęła książką. - Czytała ją pani? Czy wie pani, czego dotyczy?

Jeanne bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć, co mówił jej Feraud.

- Nie.

- Kanibalizmu. Według Freuda historia ludzkości zaczęła się od pierwszego zabójstwa ojca. Ludzie z plemienia zabili swojego ojca i potem go zjedli. Zdecydowanie zły początek.

43.

Przekraczając próg Intercontinentalu, odniosła wrażenie, że wszyscy już wiedzą o morderstwie. Cuchnęła śmiercią. Miała na sobie ślady zbrodni. Zdecydowanie psuła atmosferę luksusu i wygody.

Przebieła klimatyzowany hol i wyszła znowu na zewnątrz, na upał. Znalazła się w wielkim centralnym patio tego pałacu. Popatrzyła na turkusową powierzchnię podświetlonego od dołu basenu, obsadzonego palmami. Zmieniła zdanie. To miejsce miało zdecydowany charakter. Jej przekleństwo nie przeniknęło przez mury. Tak jak oliwa nie tonie w wodzie. Luksusowy hotel zachował swoją moc obojętności.

Ułożyła się na leżaku i oddała rozmyśleniom. Chciała tego śledztwa. Modliła się o nie, pocieszała się nadzieją, intrygowała, żeby dostać prawdziwą kryminalną sprawę. Teraz ją miała. Wprawdzie nieoficjalnie, ale moralnie. Czy była z tego powodu szczęśliwa? Czy czuła

się dobrze w tym bajorze krwi i przemocy? Nie było to właściwe pytanie. Musi zneutralizować zabójcę. Pomścić Francois Taine'a i pozostałe ofiary. Basta. Pozytywne było to, że nie czuła strachu. Jakby pierwsze spotkanie z Joachimem w gabinecie Ferauda ją uodporniło...

Jej myśli przerwał kelner.

- Un Coca Zero, por favor.

Poruszywszy się na leżaku, poczuła kant jakiegoś przedmiotu w torebce. *Totem i Tabu*. Przerzuciła kartki książki. Przypomniała sobie, co mówiła Eva Arias. Ona także spotkała się z Freudem, kiedy będąc w depresji, szukała, jak wiele osób w takiej sytuacji, klucza do zrozumienia swojej sytuacji. Nigdy jednak nie interesowała się tym kierunkiem badań wiedeńskiego filozofa. Zamknęła książkę. Była zbyt zdekoncentrowana, żeby się w nią zagłębić.

Obróciła książkę w rękach. Nic szczególnego. Wydanie hiszpańskie w dużym formacie. Wydawca uniwersytecki z Madrytu. Dlaczego Manzarena miał aż tyle egzemplarzy tego dzieła? Czy istniał jakiś kod wewnątrz tłumaczenia albo w całym ciągu wydanych książek?

Przyniesiono zamówioną colę. Między upałem nocy a temperaturą tego napoju istniał ogromny kontrast. Każda kropla szczypała gardło lodowatym zimnem.

To uczucie dodało jej nagle siły. Ponownie wzięła książkę do ręki. Obmacała oprawę, grzbiet, poszczególne strony. Teraz była pewna, że książka zawiera w sobie jakiś sekret. Pomacała jeszcze raz papier, okładkę, wypukłość liter.

I znalazła.

W grubej oprawie schowany był list. Należało tylko odkleić jedną warstwę. Jeanne wyjęła złożoną kartkę z wielką ostrożnością. Powinna była włożyć rękawiczki, ale zaczynała nabierać nikaraguańskich manier.

Gdy wydobywała list, przyszły jej do głowy dwie myśli. Po pierwsze, przypomniała sobie to, co często powtarzał jej Emmanuel Aubusson, że w śledztwie wiele zależy od szczęścia. Zabrała z biurka Manzareny jeden jedyny egzemplarz i okazał się on tym, który zawierał sekret. Po drugie, doszła do przekonania, że przypadkiem znalazła to, czego szukał zabójca, demolując gabinet Wampira z Managui.

Jeanne delikatnie rozłożyła zwinięty w czworo papier. List. Napisany odręcznie. Po hiszpańsku.

Eduardo

Miał Pan rację. Zło jest tutaj, w Formosie. Na własne oczy niczego nie widziałem, ale

mam zeznania. Wszyscy Indianie to potwierdzają. Las Cieni ukrywa zło...

Zdobyłem coś bardzo istotnego. Próbkę krwi od jednego z zakażonych ludzi, mężczyzny, którego ścigaliśmy na lagunie, nie widząc go, i którego zraniliśmy. Zna Pan tę okolicę. Nie chciałem zagłębiać się dalej w las, ale zebrałem bardzo starannie kilka kropel. Mam nadzieję, że pozwolą Panu dokonać analizy, o którą Panu chodzi.

Jeśli czyta Pan ten list, znaczy to, że otrzymał Pan próbkę. Proszę obchodzić się z nią ostrożnie! Mam wszelkie powody przypuszczać, że ta choroba jest zaraźliwa. Modłę się teraz do Naszego Pana, aby nas ochraniał. Czy nie otwieramy wrót piekła?

Niels Agosto 18 maja 2008, Campo Alegre, Formosa

Pierwszą niezwykłą rzeczą było, oprócz podpisu, dokładne określenie miejsca. Campo Alegre, Formosa. Jeanne nie słyszała, żeby w Nikaragui istniała miejscowość Formosa. Ale prowincja o takiej nazwie znajdowała się w Argentynie, w jej północno-wschodniej części, w odległym regionie. Przeczytała list jeszcze raz. Eduardo Manzarena posłał swojego człowieka, aby wytropił ślady jakiejś infekcji w Argentynie. Czy obawiał się wywołać pandemię w swoim kraju, sprowadzając krew z tamtego regionu? A może właśnie interesował się z powodów osobistych tą tajemniczą chorobą?

Jeanne chronologicznie uporządkowała wydarzenia. List miał datę osiemnastego maja. Manzarena dostał z pewnością próbkę tydzień później. Co z nią zrobił? Nasuwała się jedna hipoteza, że wysłał ją do specjalistki, którą znał we Francji... Nelly Barjac. To zawierała paczka dostarczona cytogenetycznie przez UPS trzydziestego pierwszego maja.

Nelly zapewne dokonała analizy próbki, ale zabójca zabrał ją i zniszczył wyniki. Dlaczego? Czy Joachim znał tę chorobę? Czy był nią dotknięty? Jaki związek miało to z Marion Cantelau, młodą pielęgniarką z ośrodka dla chorych na autyzm, oraz z Francescą Tercią, rzeźbiarką, autorką fantastycznych posągów?

Niewątpliwie istniał bezpośredni związek między listem Nielsa Agosta i patologią Joachima. Agosto napisał wyraźnie „Las Cieni”. La Selva de las Almas.

Jednak to wyrażenie można było przetłumaczyć jako „las manów”. A tak właśnie starożytni Rzymianie nazywali duchy zmarłych. Jeanne znowu usłyszała zgrzytliwy głos mówiący po francusku w gabinecie Ferauda: „Trzeba go słuchać. Las Cieni”.

Gdy psychiatra zapytał Joachima, czy znał taki las w dzieciństwie, Joachim w hipnozie tylko powtórzył to pytanie. Co mogło oznaczać „tak” w języku autyzmu...

Wszystko pasowało. Morderca nie pochodził z Nikaragui, lecz z Argentyny. A wtedy mogła być z tym powiązana Francesca Tercia, także pochodząca z Argentyny... Zrozumiałe wówczas mogło być i to, dlaczego Francois Taine dzwonił do Instytutu Agronomii w

Tucuman, miejscowości znajdującej się w północno-zachodniej części tego kraju. Jednak nie wolno zapominać o tym, że Tucuman od Formosy dzieli ponad tysiąc kilometrów.

Za dużo pytań, za mało odpowiedzi...

Na razie Jeanne chciała sprawdzić swoją hipotezę na temat Nelly Barjac. Poszła szybko na górę do swojego pokoju, nastawiła klimatyzator na pełny regulator, wyjęła z minibarku drugą puszkę coli light. Wybrała numer telefonu komórkowego Bernarda Pavois, dyrektora laboratorium.

Była godzina dwudziesta pierwsza. W Paryżu czwarta rano. Wiedziała, że Pavois nie będzie miał jej za złe, że go obudziła. Przypadek niecierpiący zwłoki. Zgłosił się już po drugim sygnale. Nie spał.

Jeanne przeprosiła za telefon o tak późnej porze. Pavois nie okazał żadnego zdziwienia.

- Co nowego w dochodzeniu? Nie mam żadnych wiadomości od pani kolegów.

- Nie wiem, w jakim miejscu jest ich śledztwo. Ja zaś musiałam wyjechać.

- Dokąd?

- Jestem w Nikaragui.

- Tropem zabójcy?

- Tak.

- To pani karma, mówiłem to pani. Dlaczego dzwoni pani do mnie?

- Nelly Barjac trzydziestego pierwszego maja otrzymała przez UPS przesyłkę z Managui.

- I co z tego wynika?

- Nadawcą było centrum Plasma Inc. Jedyne prywatne bank krwi w Managui. Dokładniej mówiąc, przesyłkę nadał Eduardo Manzarena, dyrektor tego ośrodka.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Nazywają go Wampirem z Managui.

- Żyje pani w świecie... Czy spotkała się pani z nim?

Jeanne ujrzała rozkładające się grube cielsko bez rąk. Książki oblepione krwią. Nie zamierzała wdawać się w szczegóły.

- Chciałabym przedstawić panu pewną hipotezę.

- Słucham.

- Wspomniana przeze mnie przesyłka zawierała próbkę krwi. Była to krew zakażona.

- Jaką chorobą? - zapytał zdziwiony Pavois.

- Tego nie wiem. Jakaś rzadka choroba. Być może endemiczna w pewnym regionie

Argentyny. Jakby coś podobnego do wścieklizny.

- I przysłano próbkę do naszego laboratorium?
- Manzarena znał Nelly. Chciał, by zrobiła analizę i zidentyfikowała chorobę.
- To nie była specjalność Nelly.
- Ale chyba macie odpowiednie warunki, żeby przeprowadzić tego rodzaju analizę?
- I tak, i nie. Przede wszystkim jednak to czyste szaleństwo przesyłać zakażoną próbkę pocztą.

Jeanne też się nad tym zastanawiała. Manzarena musiał przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

- Jaki rodzaj analizy mogła zrobić Nelly? Wykryć wirusa?
- Absolutnie niemożliwe. Niezbyt dobrze się pani w tym orientuje. Mogła jedynie stwierdzić obecność pasożytów, mikrobów lub bakterii. Wirusy wykrywa się na innym poziomie... W każdym razie powtarzam pani, że my czymś takim się nie zajmujemy!
- Czy mogły zostać jakieś ślady po takiej analizie?
- Nie. Jeśli Nelly nie opisała tego w komputerze, to nie ma żadnych śladów i, jak to się mówi, „nikt nie widział, nikt nie słyszał”.

Jeanne próbowała coś jeszcze wymyślić, ale Pavois przerwał jej.

- To, o czym pani mówi, jest absurdem. Choćby z prostego powodu bezpieczeństwa. Nelly nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka. Czy zdaje sobie pani sprawę, że nasze laboratorium otrzymuje i wykonuje analizy tysięcy próbek tygodniowo? Czy wyobraża pani sobie, jaki byłby skutek zakażenia dla naszych badań?

- A analiza genetyczna? - zasugerowała Jeanne. - Mówił pan, że na jednym z pięter ośrodka wykonuje się badania zmierzające do wykrycia patologii wywołanych przez problemy genetyczne.

- Jeżeli znany jest odpowiedzialny za to gen, możemy stwierdzić obecność jakiejś anomalii w znanym nam kontekście. Nie prowadzimy rozszerzonych badań.

Nie było sensu dłużej drążyć tego tematu. Pomyliła się. Pożegnała się z Bernardem Pavois, obiecując, że będzie przekazywać mu wiadomości. Postanowiła już więcej się nad tym nie zastanawiać tej nocy. Wyłączyła klimatyzację, bo była już wystarczająco przemarznięta. Wzięła gorący prysznic, ubrała się w szorty i koszulkę z wizerunkiem swojego ulubionego zespołu, Nine Inch Nails. I od razu się położyła do łóżka. W tym momencie było to najlepsze, co mogła zrobić.

Zgasiła światło, myśląc o Antoinie Feraudzie. Czy już nie żyje, jak przypuszczała kilka godzin temu. A może, przeciwnie, posunął się dalej w swoim własnym dochodzeniu?

Po kilku minutach spała mocno, w głębi jaskini otoczonej przez prehistorycznych ludzi o małpich twarzach.

44.

Po raz drugi bank krwi.

Godzina dziesiąta rano. Wydawało się, że w Plasma Inc. wszystko idzie normalnie. Jeanne spodziewała się, że centrum będzie zamknięte. Albo że na drzwiach ujrzy czarną klepsydrę. Niczego takiego nie było. Nic, co by mówiło o śmierci Wampira z Managui. Handel krwią odbywał się bez zakłóceń. Płynęła niezmiennie niczym szkarłatna rzeka.

Jeanne przeszła przez pierwszą wartownię. Pod stopami czuła gorąco rozpalonego słońcem asfaltu. Upał wydał się jej jeszcze większy niż poprzedniego dnia. W południe miasto przypominało zionący lawą krater wulkanu.

Wewnątrz centrum ta sama rutyna. Kolejki czekających. Gwar przy okienkach. Szum telewizorów. Jeanne zauważyła przechodzącą przez hol Chinkę. Kobieta miała zaczerwienione oczy.

- Poznaję mnie pani? - zaczepiła ją Jeanne bez zbędnych wstępów. - Byłam tu wczoraj, chciałam zobaczyć się z Eduardem Manzareną.

- Kim pani właściwie jest? - zapytała pracowniczka centrum urzędowym tonem.

- To ja odnalazłam zwłoki Eduarda Manzareny.

Sekretarka zastygła w bezruchu. Jeanne pomachała służbową legitymacją.

- Jestem sędzią śledczą z Francji. Zabójstwo waszego szefa związane jest ze sprawą kryminalną, nad którą pracuję w moim kraju.

Kobieta wyciągnęła z rękawa chusteczkę higieniczną i wytarła nos.

- Czego... pani chce?

- Kim jest Niels Agosto?

Kobieta nieufnie przyglądała się Jeanne, jakby to pytanie było pułapką. Ruch wokół nich trwał nieprzerwanie. Obok przeszły dwie pielęgniarki, niosąc przenośne lodówki. Dwóch mężczyzn z ponurymi minami zmierzało do wyjścia, trzymając się pod ręce.

Sekretarka wskazała na drzwi.

- Wejdźmy do tego gabinetu.

Zamknęły się w pokoju, do którego przez niewielkie okno wpadało palące wszystko słońce. Musiało być około czterdziestu stopni Celsjusza. Jeanne przyszła na myśl łaźnia bez

wody i bez pary.

- Kim jest Niels Agosto? - powtórzyła pytanie.

- Odpowiada za jednostki mobilne.

- Co to znaczy?

- Plasma Inc. ma swoje filie w całej Ameryce Południowej. Są to ośrodki stałe. Ale ma także furgonetki, które jeżdżą po wszystkich krajach. To są jednostki mobilne. Niels Agosto zajmuje się właśnie tymi furgonetkami.

- Czy wśród krajów, gdzie macie siedziby, znajduje się także Argentyna?

- Tak.

- Czy słyszała pani o jakimś problemie w tym kraju?

- Jakiego rodzaju problemie?

- O zakażonej krwi.

- Nie.

To „nie” oznaczało „tak”. Jeanne nie nalegała.

- Gdzie mogłabym znaleźć Nielsa Agosta?

- Nie będzie mógł z panią rozmawiać.

- Czy wyjechał?

- Nie. Jest w szpitalu Fonseca, w Managui.

Jeanne pomyślała, że zapewne zaraził się chorobą z Formosy.

- Co mu jest?

- Został... - Kobieta zawahała się. Znowu sięgnęła po chusteczkę. - Został napadnięty.

Kolejna niespodzianka. Jeanne czekała na dalsze wyjaśnienia. Mogłaby ponaglić sekretarkę, ale czuła, że wydobędzie z niej trochę informacji tylko na spokojnie, narażając się na roztopienie w tym prażącym słońcu.

- Na ulicy - odezwała się w końcu Chinka. - Wracał do domu, w nocy. Zadano mu ciosy nożem.

- Czy go okradziono?

- Nie.

- Kiedy to się stało?

- Tydzień temu.

To nie mógł być Joachim, bo to nie w jego stylu.

- Dlaczego chciano go zabić?

- To ekstremiści...

Kobieta zawahała się. Jeanne czekała. W końcu sekretarka, wycierając nos chusteczką,

powiedziała:

- Z powodu krwi. Podobno Niels przywiózł z zagranicy zakażoną krew. Mówią, że Plasma Inc. zatruwa nasze szpitale, kliniki. To kłamstwo! - Podniosła wzrok. - Nigdy nie sprowadzilibyśmy zakażonej krwi. Zresztą mamy bardzo surowe przepisy, które...

- Kim są ci ekstremiści?

- Ludzie skrajnej prawicy. Chcą ratować czystość naszej rasy.

- Czy Niels Agosto jest poważnie ranny?

- Tak. Otrzymał kilka ciosów w brzuch i...

- Czy może mówić?

- Chyba tak, ale...

- Gdzie znajduje się szpital Fonseca?

- Na zachód stąd, na drodze do Leonu...

- Kiedy byłam tu wczoraj, powiedziała pani, że Manzarena przyjdzie do biura.

Kłamała pani, prawda?

- Eduardo Manzarena przebywał zamknięty u siebie w domu. Bał się.

- Napastników?

- Tak. I jeszcze czegoś.

- Czego?

- Nie wiem. Nikt nie wie.

Jeanne zostawiła sekretarkę pogrążoną w żalu. Wyszła na zewnątrz. Jaskrawe słońce smagnęło ją niczym biczem. Wsiadła do taksówki. Podała nazwę szpitala. Starła się o niczym nie myśleć.

Po piętnastu minutach poprzez tumany kurzu unoszące się nad jezdnią ujrzała szpital. Płaski budynek w głębi porośniętego krzakami, zasypanego piaskiem terenu otoczonego żelaznym ogrodzeniem. Miejsce to przypominało raczej więzienie lub wojskowy ośrodek badawczy. Jeanne skierowała się do budki wartowniczej przy wejściu. Pierwszy punkt kontrolny. Pierwsze niepowodzenie. Goście powinni mieć skierowanie podpisane przez lekarza lub przepustkę wydaną przez kierownictwo administracji szpitala. Jeanne знаła zwyczaje panujące na tym kontynencie. Wiedziała, że straciłaby wiele godzin na uzyskanie któregoś z tych dokumentów. Odeszła, postanowiła działać w inny sposób.

Dołączyła się do tłumu stojącego przy ogrodzeniu. Odwiedzający. Wędrowni sprzedawcy. Handlarze leków. Bez trudu zaopatrzyła się w skierowanie. Wypatrzyła punkt ksero w odległości stu metrów. Sporządziła sobie sama potrzebny dokument na własne nazwisko, który mógł zmylić każdego wartownika. Wróciła do punktu kontrolnego. Pokazała

dokumenty. Została przepuszczona.

Niels Agosto leżał w trzydziestym czwartym pawilonie, na końcu galerii głównego budynku. Weszła do zacienionego, otwartego korytarza i zatrzymała się. Powinna była to przewidzieć. W drzwiach pawilonu stało dwóch uzbrojonych policjantów. Agosto, ofiara „politycznej” napaści, zasłużył na osobistą ochronę.

Nie było sensu nawet próbować. Nie wpuszczą jej, a Eva Arias natychmiast zostanie o tym powiadomiona. Nie miała jednak zamiaru rezygnować. W Nikaragui nie przestrzegano zbyt dyscypliny. O godzinie osiemnastej zapadał zmrok. Wtedy zapewne nastąpi zmiana warty. Albo wartownicy pójdą coś zjeść. Wówczas, korzystając z zamieszania, prześlizgnie się.

Pojechała z powrotem do hotelu. Było południe. W pokoju włączyła klimatyzację na pełny regulator i ponownie zabrała się do poszukiwań, których nie ukończyła poprzedniego dnia. Antoine Feraud. Dręczył ją powracający obraz zwłok psychiatry porzuconego gdzieś na śmietniku, na przedmieściach Managui. Była przekonana, że igrał on z ogniem. Odnalazł ojca i syna i... Pomyślała, że powinna powiedzieć o tym Evie Arias. Jeśli teraz nic nie znajdzie, trzeba będzie wszcząć oficjalne poszukiwania.

Wyjęła komórkę. Sprawdziła pocztę głosową i esemesy. Żadnego znaku od Ferauda. Nie odezwał się także Reischenbach. Nikogo więcej nie informowała o swoim wyjeździe. Ta cisza stanowiła część podróży. Zmieniła kontynent. Sama też się zmieniła.

Poprosiła w recepcji o książkę telefoniczną - stare tomisko z tysiącem stron. Połączyła się z tymi hotelami, do których nie dzwoniła poprzedniego dnia. Antoine Feraud nie był zameldowany w żadnym z nich. W pokoju zrobiło się przeraźliwie zimno, ale taka temperatura utrzymywała ją w stanie gotowości.

Nie podając swojego nazwiska, zadzwoniła do ambasady, do konsulatu, do Alliance Francaise... Nic. Zadzwoniła do agencji wynajmu samochodów. Nikt nie chciał z nią rozmawiać, zasłaniając się obowiązującą dyskrecją. Ostatecznie przyszło jej do głowy tylko jedno wyjaśnienie - psychiatra zdobył jakąś informację, której ona nawet nie podejrzewała, i gdzieś wyjechał. Może do Argentyny?

Siedząc po turecku na łóżku, szczękała zębami z zimna. Godzina piętnasta. Nie czuła głodu. Nawet nie pamiętała, kiedy jadła ostatnio prawdziwy posiłek. Nie spała. Nie mogła nic więcej zrobić...

Jej wzrok padł na egzemplarz *Totem i Tabu*, który zabrała z gabinetu Manzareny. W oczekiwaniu na zmrok mogła wzbogacić swoją wiedzę na temat psychoanalizy. Początki gatunku ludzkiego, przejrane i poprawione przez Freuda.

Chwyciła książkę i klucze.

Poszuka sobie spokojnego miejsca do czytania na świeżym powietrzu.

45.

Managua bynajmniej nie jest miastem chaosu i rozrywek. Raczej miejscem prawdziwego spokoju. Zwłaszcza w oazie ciszy, jaką jest historyczny park Loma de Tiscapa usytuowany nad miastem.

Jeanne zwiedziła Managuę podczas swojej pierwszej podróży. Park znajdował się kilkaset metrów od Intercontinentalu. Wystarczyło pójść aleją wspinającą się na wzgórze pomalowanym na żółto trotuarem. Żelazny parkan otaczał park, jakby była to jakaś sekretna strefa badań... Wchodziło się na tonący w zieleni teren z dala od samochodów i zanieczyszczonego powietrza.

Po dziesięciu minutach znalazła się na szczycie wzgórza. Park głosił chwałę rewolucji. Ogromna, z czarnego metalu sylwetka mężczyzny w kowbojskim kapeluszu symbolizowała Augusta Cesara Sandina, byłego przywódcę ludu. U jego stóp umieszczono czołg, który według widniejącego na nim napisu został odbity z rąk żołnierzy Somozy przez bojowników rewolucji. Jeanne próbowała wyobrazić sobie tę scenę. Krzyki. Strzały. Przemoc. Nie udało się. Wszystko tutaj brzmiało niczym szmer kołysanki...

Obeszła wzgórze i odnalazła lagunę ciągnącą się u stóp zbocza. Jezioro z refleksami światła na powierzchni, otoczone lasem trzciny i wierzb. Obraz przywodził na myśl krater nieczynnego wulkanu, którego lava została zastąpiona spokojną wodą. Projektanci ogrodu ułożyli na powierzchni jeziora dużymi literami napis z kwiatów nenufara: „Tiscapa”. W oddali widać było połyskujące w promieniach słońca miasto, ginące na zamglonym horyzoncie.

Jeanne głęboko odetchnęła. Było to idealne miejsce do czytania. Ustronie między niebem i wodą. Znalazła pusty, zacieniony zakątek. Usiadła na ławce otoczona ścianami zieleni. Otworzyła książkę.

Sporo kartek posklejanych krwią. Nadawało to odpowiednią wymowę tej lekturze. We wstępie tłumacz wydania w języku hiszpańskim uprzedzał, że *Totem i tabu*, opublikowane w 1913 roku pod niemieckim tytułem *Totem und Tabu*, jest jedną z najbardziej krytykowanych książek Freuda. W rozprawie tej twórca psychoanalizy przeszedł samego siebie. Wkrótce jego teorie zostały odrzucone przez paleontologów i antropologów. Jednakże fascynacja tym dziełem nigdy nie osłabła. Jakby Freud, mimo swoich błędów, na innej płaszczyźnie trafił w

sedno. Jakby udało mu się dotrzeć do głębokiej prawdy o człowieku.

Jeanne postanowiła wyrobić sobie własną opinię. Ciepły wietrzyk owiewający jej twarz... Szelest liści za plecami... Strony wibrujące pod palcami...

Po dwóch godzinach zamknęła książkę. Na pewno nie zrozumiała wszystkiego, ale miała już własny pogląd.

W swoim eseju Freud usiłował wyjaśnić ewolucję rodzaju ludzkiego w świetle stworzonej przez siebie dziedziny - psychoanalizy. Czyny i motywy archaicznych ludzi wyjaśniał kompleksem Edypa. Głębokim, niepokonanym popędem, który ujawnił się jeszcze przed starożytnością, przed Edypem, nawet przed mitem o nim.

Oryginalne u Freuda było to, iż jego zdaniem ludzie wiedzieli, że pod wpływem tego popędu zdolni są do kazirodztwa i ojcobójstwa. Stało się to kanwą pierwotnego dramatu. W zamierzchłych czasach ludzie żyli w małych grupach plemiennych, poddani despotycznej władzy jednego męskiego osobnika, który uzurpował sobie prawo do wszystkich kobiet. Pewnego dnia w jednej z takich grup synowie zbuntowali się przeciw panującemu ojcu, żeby odebrać mu to prawo. W kolektywnym akcie przemocy zabili go, po czym zjedli jego zwłoki, żeby osiąść kobiety ich plemienia.

Po tym morderstwie ogarnęło ich straszliwe poczucie winy. Zrezygnowali więc z pierwotnego celu i wymyślili nowy porządek społeczny. Jednocześnie odnowili egzogamię - zakaz posiadania kobiet z tego samego plemienia - oraz totemizm, aby oddać cześć zmarłemu ojcu. Totemizm, egzogamia, zakaz kazirodztwa i ojcobójstwa - tak oto zrodził się wspólny model wszystkich religii. Zostały położone fundamenty ludzkiej cywilizacji.

Zdaniem specjalistów w tej opowieści wszystko było nieprawdziwe. Pierwotne plemię, o którym pisze Freud, nigdy nie istniało. Nie doszło też do ojcobójstwa. Ewolucja człowieka odbywała się przez tysiące, miliony lat i nie sposób sobie wyobrazić, aby tego rodzaju wydarzenia miały być fundamentalnymi w tym procesie.

Mimo to *Totem i tabu* pozostał esejem o kultowym znaczeniu. Jeanne otrzymała kolejny na to dowód w osobie Eduarda Manzareny, który stworzył sobie schronienie pełne egzemplarzy tego dzieła. W książce tej fascynujące było to, iż pomimo zawartych w niej błędów mówiła prawdę. Jakim sposobem fałszywa idea mogła ukazywać prawdę bardziej niż fakty antropologiczne datowane za pomocą metody C14 i przeanalizowane przez legiony specjalistów?

Jeanne domyślała się odpowiedzi. Hipoteza Freuda wynikała z mitu. Kompleks Edypa - pożądanie matki, zabójstwo ojca - zawsze istniał w głębi człowieka. Jeden raz, być może tylko ten jeden raz, człowiek przekroczył granicę, a potem tego żałował. Jego wyrzuty

sumienia dały początek społeczeństwom, religiom. A z jeszcze głębszej analizy tego mitu wynika, że to przejście do czynu uformowało w głębi nas cenzora naszego sumienia - superego. Zamknęliśmy w sobie ten dramat. Nasz mózg stał się „sędzią-strażnikiem”, aby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło. Zresztą niewielkie ma znaczenie, czy takie wydarzenie w ogóle miało miejsce. Liczył się rzucony przez nie cień.

Każdy człowiek ma w sobie zakodowany pierwotny mit z morderstwem, kazirodztwem i kanibalizmem. Każde dziecko przeżywało tę prehistorię w swych dziecięcych fantazjach. Każdy chłopiec nieświadomie dążył do tego aktu, po czym cofał się, dokonawszy samodzielnej oceny. Freud twierdził nawet, że w głębi naszych komórek zachowaliśmy fizjologicznie pamięć o tym barbarzyńskim morderstwie. Rodzaj genetycznego dziedzictwa, które nazywał „filogenetyczną pamięcią”. Jeszcze jedna zniewalająca idea. Pierwotny grzech wszczepiony w nasze jestestwo, zintegrowany z naszymi genami...

Jeanne spojrzała na zegarek. Godzina siedemnasta. Trzeba było zabrać się ponownie do śledztwa. Powinna teraz postawić sobie pytanie, jakie było powiązanie między książką Totem i tabu a sprawą, której dotyczyło jej dochodzenie. Co łączyło mit o zbiorowym zabójstwie z szaleństwem Joachima?

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Jeszcze bardziej szalona. Wirus z lasu miał coś wspólnego z kompleksem Edypa. Choroba ta wywoływała być może coś w rodzaju regresji, uniemożliwiającej mózgowi człowieka odgrywanie roli własnego cenzora...

Jeanne chciała przeczytać jeszcze raz niektóre strony, ale zaczynał zapadać zmierzch. Nie dawało się już odróżnić słów. Wstała. Zakręciło się jej w głowie. Powinna coś zjeść.

Potem pojedzie do szpitala Fonseca. Porozmawia z Nielsem Agostem, człowiekiem, który zetknął się bliżej z tym złem.

46.

Kiedy kupiła sobie quesillo - kanapkę z omletu i topionego sera - i dotarła wreszcie do szpitala, zrobiło się już ciemno. Kazała się zawieźć trochę dalej, żeby dojść do szpitala pieszo i wmieszać się w tłum odwiedzających, którzy przybyli wieczorem i teraz stali w kolejce przed bramą. Za parkanem dostrzegła płaski, parterowy budynek i szpitalny teren mający wygląd strefy poddanej kwarantannie. Nie bardzo było wiadomo, kogo ochraniała - czy chorych wewnątrz, czy przechodniów na zewnątrz.

Przez pierwszą wartownię przeszła bez problemu. Pozostawali jeszcze strażnicy

pawilonu, gdzie leżał Niels Agosto. Ale strażników nie było. Czy poszli coś zjeść? Nie zastanawiała się nad tym dłużej. W krajach tropikalnych należy brać rzeczy takimi, jakie są.

Wśliznęła się do pawilonu. Smród potu, gorączki, leków. Bardzo słabe oświetlenie elektryczne. Zatykająca duchota. Atmosfera rozkładu, która natychmiast dosięgała każdego. Nagle Jeanne poczuła się źle tak, jakby weszła do jeszcze cieplej pościeli po zmarłym.

W korytarzu dwoje drzwi. Drzwi sali na prawo były zabite deskami. Jeanne zapukała do drzwi na lewo. Nikt nie odpowiadał.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła Nielsa Agosta w całkiem dobrej formie. Spodziewała się ujrzeć człowieka umierającego, owiniętego bandażami niczym mumia. Tymczasem pacjent, który okazał się przystojnym młodym mężczyzną z włosami zaczesanymi do tyłu, siedział na łóżku i czytał spokojnie „La Prensa”.

Gdy usłyszała, że ktoś wchodzi, drgnął, ale na widok Jeanne odprężył się. Uśmiech zdradzał jego stan. Jeanne wiele razy przesłuchiwała rannych świadków w szpitalu. Oznaki przemocy pozostawały nie tylko na ciele, ale i w umyśle.

- Señor Niels Agosto? - zapytała.

Przytaknął, przymykając powieki.

- Soy Jeanne Korowa, jueza in Francia.

W odpowiedzi uniósł brwi. Jeanne zastanawiała się, czy nie stracił głosu. Może uszkodzono mu nożem struny głosowe? Szpitalna koszula zakrywała go aż po szyję. Zrobiła jeszcze jeden krok. Zamierzała kontynuować wyjaśnienia, ale zatrzymała ją ciemność.

Nagle pogasły wszystkie światła. W pokoju. Na korytarzu. W ogrodzie na zewnątrz. Przez okno widać było jedynie księżyc na niebie. Kiedy pomyślała, że w tym kraju zdecydowanie nie wszystko grało, usłyszała suchy trzask. Żadnych myśli. Żadnych refleksji. Tylko strach.

Odwróciła głowę. W ciemnościach dostrzegła zielonego węża i czerwony płomień. W następnej sekundzie została przyparta do ściany. Przez węża. Monstrualny tatuaż z arabesk i ślimacznic. Twarde mięśnie uwypuklały każdy pierścień, każdy szczegół. Wąż zamierza ją zabić. Zadusić niczym boa dusiciel. Na gardle poczuła ostrze noża połyskującego jak kropla rtęci w półcieniu.

- Hija de puta, no te mueves!

Jeanne była bliska omdlenia. W mroku dostrzegła jakiś ruch. Czerwony płomień to opaska na czole drugiego napastnika, który zaatakował chorego leżącego na łóżku. Poczuła litość dla Nielsa Agosta, który nie krzyczał i nie poruszył się, jakby pogodzony ze śmiercią. Z rezygnacją, którą przekazywały mu pokolenia ludzi prześladowanych, mordowanych,

grabionych...

Płomień oświetlił twarz Nielsa w ten sposób, aby mógł on dobrze widzieć swojego zabójcę.

- Za człowieka z gliny!

Mężczyzna wbił nóż w oko Agosta. Trysnęła krew. Krótki strumień, który natychmiast rozplątał się w ciemnościach.

- Za człowieka z drewna!

Napastnik wbijał dwa razy ostrze noża w gardło Agosta. Znowu strumień krwi. Wolniejszy, cięższy. Czarna struga wypłynęła z szyi, tworząc kałużę na szpitalnej koszuli. Zapach żelaza. Gorąco w upale. W pokoju unosiła się woń ofiarnej ceremonii. Jeanne nie myślała już o Wężu. Ani o ostrzu, które zmuszało ją, by trzymała głowę do góry. Ciemność rozlewała się w rzeki krwi...

- Za człowieka z kukurydzy!

Płomień jeszcze raz uderzył nożem w gardło. Trzask kręgów. Zgrzyt ostrza o kości. Zabójca z chrapliwym okrzykiem ciał, zanurzając rękę w ranie aż po nadgarstek.

W końcu odciął głowę i rzucił ją na podłogę, wołając:

- Nie chcemy krwi podludzi! Wąż i płomień.

Mityczni zabójcy.

Jednak mity te należały do kosmogonii, której Jeanne nie znała.

Gdy głowa uderzała o podłogę, Jeanne zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, zabójcy zniknęli.

Opuściła powieki.

Głowa potoczyła się aż do niej.

47.

- Jeden z dwóch kabli zasilania o mocy dwudziestu tysięcy woltów uległ uszkodzeniu. O godzinie osiemnastej piętnaście. To się często zdarza. Nawet w Stanach Zjednoczonych i w Europie. W takim wypadku, jak zresztą wszędzie, nasz system bezpieczeństwa powoduje, że automatycznie włączają się trzy zapasowe generatory. Z tych trzech zadziałały tylko dwa. To także może się zdarzyć. Ale to był sabotaż. Jestem tego pewna.

Eva Arias stała przed Jeanne, która siedziała na krześle w korytarzu głównego budynku szpitala. Indianka zabrała ją tutaj z pewnością dlatego, żeby nie była ona świadkiem

kolejnych nieprofesjonalnych działań policjantów na miejscu zbrodni.

Eva Arias trzymała w ręku puszkę pepsi max, jakby to był granat gotowy do odbezpieczenia. Wydawała się bardzo zaabsorbowana awarią prądu. Chciała przekonać Jeanne, że „takie coś może się zdarzyć absolutnie wszędzie”. Że nie istnieje żaden związek między tą awarią i poziomem rozwoju jej kraju.

- To był sabotaż - powtórzyła z naciskiem. - Zamach zaplanowany przez zabójców.

Jeanne zrobiła gest oznaczający „proszę dać spokój tym kablom”. Poprosiła o herbatę. Przeczytała gdzieś, że gorący napój jest najlepszy na ugaszenie pragnienia. Nie należy jednak nigdy wierzyć temu, co piszą w tygodnikach. Patrzyła teraz pożądliwie na puszkę z zimnym napojem.

- Dlaczego pani zdaniem go zabito?

- Z powodu krwi.

Jeanne była tego samego zdania, ale chciała usłyszeć wersję Indianki.

- Niels Agosto był kierownikiem mobilnych jednostek w Plasma Inc. Odpowiadał za import krwi do naszego kraju. Inaczej mówiąc, to on wstrzykiwał krew w żyły nikaraguańskich obywateli.

- To zbrodnia?

- W wypadku tej krwi tak.

- Jakiej krwi?

- Przywiezionej z Argentyny. Krwi małp.

Coraz lepiej. Mówiono jej o zakażonej krwi. Teraz okazuje się, że to krew zwierzęca... Jakież bujdy ciemnego ludu. Powstrzymała się od komentarza.

Eva Arias kontynuowała swoją myśl:

- Krąży plotka, że Plasma Inc. jakoby importowała krew zwierzęcą i mieszała ją z krwią ludzką.

- Z medycznego punktu widzenia nie ma to sensu.

- Ludzie z ulicy wierzą, że wszystko, co dotyczy Eduarda Manzareny, cuchnie.

Jeanne zrozumiała, że zabójcy po wyeliminowaniu Nielsa Agosto mieli zająć się Wampirem z Managui. Jednak robota została wykonana przez kogoś innego. Pomyślała także, że w tych opiniach kryje się być może ziarno prawdy. Jeśli Niels Agosto przywoził krew zakażoną wirusem, który zmieniał człowieka w dziką bestię, można było uwierzyć i takim pogłoskom.

Eva Arias napiła się. Gniew już z niej opadł. Kiedy przyjechała na miejsce zbrodni, Jeanne myślała, że pożre ją żywcem. Francuzka była tu dopiero od dwóch dni, a jej obecność

wywoływała trzęsienie ziemi. Jedno morderstwo na dzień.

- Przesady związane z krwią są stare jak świat - kontynuowała Eva Arias. - Podczas drugiej wojny światowej żołnierze niemieccy przebywający w Afryce woleli raczej umrzeć niż przyjąć krew żydowską lub arabską. Jeśli zaś chodzi o białych żołnierzy amerykańskich, dali oni do zrozumienia organizacji Czerwonego Krzyża, że w żadnym wypadku nie zgadzają się na transfuzję czarnej krwi, uważanej za niebezpieczną.

Jeanne milczała. Zaskoczyła ją ta historyczna dygresja. Zdawała sobie sprawę, że wstydem w sercu, że z powodu różnicy kultury nie darzyła specjalnym zaufaniem Ewy Arias. Podświadomie widziała w niej niezbyt dobrze wykształconą wieśniaczkę. Znowu ta niczym nieuzasadniona pogarda...

Jednak Indianka była tego wieczoru pełna werwy.

- Sprzedaż krwi w Ameryce Łacińskiej jest zawsze synonimem wyzysku i biedy. Biedni wieśniacy mają do sprzedania tylko dwie rzeczy: córki i swoją krew. W Brazylii każdego roku laboratoria, w których płaci się za oddanie krwi, odnotowują zwiększony ruch dawców przed karnawałem w Rio de Janeiro. Brazylijczycy sprzedają swoją krew, żeby móc sobie kupić kostium...

Jeanne przestała jej słuchać. Wrócił nagle obraz brutalnej sceny, którą dopiero co przeżyła. Gejzery krwi. Wrzaski zabójców. Hija de puta! Te przebłyski działały niczym elektrowstrząsy, które jeszcze w sobie czuła.

- Żeby interes się kręcił - stwierdziła na koniec Arias - Plasma Inc. eksportuje swoje zasoby krwi do Stanów Zjednoczonych. Co zakrawa niemal na paktowanie z diabłem.

Jeanne podniosła oczy. Ostatnie zdanie coś jej przypomniało.

- Niels Agosto był już zaatakowany przez fanatyków ze skrajnej prawicy. Czy pani zdaniem byli to ci sami ludzie, którzy zabili go dzisiaj?

Eva zignorowała jej pytanie.

- Proszę mi o nich opowiedzieć. Czy byli wytatuowani?

- Tak, przynajmniej jeden z nich. Ten, który przytknął mi nóż do gardła.

- Jaki to był tatuaż?

- Wąż. Na ramieniu.

- To podpis gangów. Mara.

Jeanne słyszała to słowo. Mara były to działające w sposób brutalny i krwawy gangi, które pojawiły się w Ameryce Środkowej pod koniec wojen domowych. Najsłynniejsze były gangi z Salwadoru - mara 18 i mara Salvatrucha. Zwalczały się między sobą bezlitośnie. Ich członkowie odróżniali się tatuażem, specyficznym ubiorem i gestami.

- Sądziłam, że mara znajdują się przede wszystkim w Salwadorze.

- Także w Gwatemali. A teraz i u nas.

Jeanne przypomniała sobie pewną anegdotę. Rząd w Salwadorze zorganizował gigantyczną obławę. Policja zatrzymała około stu tysięcy młodych wytatuowanych ludzi, z czego w areszcie zostało zaledwie... pięć procent. Doszło do aktów przemocy. Przez pomyłkę zostali uwięzieni głuchoniemi, którzy używają języka migowego.

- Tatuaż odgrywa u nich ważną rolę - mówiła dalej Eva Arias. - To coś w rodzaju symbolicznego języka.

- Co oznacza wąż?

- Nie wiem. Podobno każdy tatuaż odpowiada jednemu morderstwu. Lub karze więzienia. Niewiele o tym wiemy. Niektóre tatuaże oznaczają rangę mordercy. Jak w Rosji czy Japonii.

- Jaki ma to związek z krwią?

- Większość gangów pochodzących z Gwatemali wierzy w czystość naszej rasy. Co jest śmieszne. Ludność Ameryki Środkowej to wynik mieszania się krwi indiańskiej z hiszpańską, co się stało już czterysta lat temu.

- A co wie pani o gangach skrajnej prawicy?

- Często są to byli żołnierze z jednostek elitarnych angażowani przez meksykańskie kartele do przemykania narkotyków między dwoma kontynentami amerykańskimi. Nie są ludźmi czystymi rasowo. Mimo to mają obsesję na punkcie rasy i pochodzenia. Prawdziwi naziści.

Jeanne podniosła się z krzesła. Z olbrzymiej Indianki emanowała dobroczynna świeżość. Niczym z marmurowych rzymskich posągów, które nawet w pełnym słońcu zachowywały w sobie pierwotny chłód.

- Kiedy napastnik uderzał nożem w Agosta - powiedziała - mrucał jakieś niezrozumiałe dla mnie zdania.

- Jakie to zdania?

- Wspomniał o człowieku z gliny, o człowieku z drewna, o człowieku z kukurydzy. Pastwił się nad swoją ofiarą w imieniu tych ludzi. Czy pani coś to mówi?

Indianka zgniotła w ręce puszkę. Wrzuciła ją do kosza na śmieci. W głębi przyszpitalnego parku policjanci rozciągnęli żółte taśmy z napisem „Wstęp wzbroniony”. Wyglądali na zmęczonych. Ich mundury również były sfatygowane. Tworzyli jakby całość ze zbrodnią, kurzem, zmęczeniem.

- Oczywiście - odrzekła w końcu Eva. - Wszystko to wina Majów.

- Majów?
- Proszę udać się na posterunek i podpisać zeznanie. Za godzinę przyjadę po panią.
- Gdzie pojedziemy?
- Do mnie. Zjemy razem kolację.

48.

Willa Evy Arias niewiele różniła się od willi Eduarda Manzareny. Ale była o wiele skromniejsza. Takie same tarasy i werandy, z których schodziło się do ogrodu, wprost na gęste listowie, palące powietrze, noc z komarami... Różnica polegała na tym, że w tym domu roilo się od dzieci. Wszystkie zostały jej przedstawione: Laetizia - lat dziewięć, Anton - lat siedem, Manuela - lat trzynaście, Minor - cztery lata... Eva poprowadziła całą grupę do kuchni, obiecując, że wróci za parę minut.

Jeanne oglądała w salonie fotografie ustawione na bambusowej komodzie. Eva Arias z pistoletem maszynowym, w drelichowym ubraniu, w dżungli. Eva Arias, znowu w mundurze wojskowym, obejmująca jakiegoś bojownika o wyglądzie Che Guevary. Eva Arias odbierająca dyplom sędziego...

Jeanne pozazdrościła jej takiego życia pod znakiem miłości i rewolucji. Eva była prawdziwą bojowniczką, która walczyła o swój kraj, a jednocześnie pozostawała prawdziwą kobietą. Jeanne poczuła ciepło w sercu. Z odległości kilku metrów słyszała dziecięce głosy. Po piekło trzydziestego czwartego pawilonu znalazła się w rajku...

Przede wszystkim była żywa. Jeszcze raz uniknęła najgorszego. Te powtarzające się kontakty ze śmiercią przynosiły pewną korzyść. Dodawały blasku każdej kolejnej sekundzie życia. Zwiększały smak każdej minuty. Krew w żyłach Jeanne krążyła żywiej. Wszystkie te uczucia wydały się cudowne, nie do przecenienia.

- Chciałabym powiedzieć, że to były dobre czasy. Ale już nie jestem tego taka pewna...

Kiedy Eva Arias wróciła do salonu, Jeanne trzymała fotografię, na której Eva z podniesioną ręką stała na czołgu wśród radośnie wiwatującego tłumu.

- Mimo wszystko rewolucja, miłość...
- Trzeba było widzieć, jak zaczynaliśmy. Dyktatura. Represje. Przemoc. Nikomu nie życzyłabym życia pod jarzmem Somozy. Straciłam wtedy całą rodzinę.

Jeanne odstawiła zdjęcie na miejsce.

- Co się stało z Somozą?

- W siedemdziesiątym ósmym roku uciekł do Paragwaju. Prezydent Alfredo Stroessner był jednym z jego przyjaciół. Chronił go przed próbami zamachu z naszej strony. Ale nie do końca. W pewnym sensie koniec Somozy był trochę śmieszny.

- Dlaczego śmieszny?

- Somoza miał jedną wadę, oczywiście poza wszystkimi innymi. Był kobieciarzem. Prezydentowi Stroessnerowi nie bardzo się spodobało, kiedy zaczął uwodzić jego żonę. Otworzył wówczas granice sandinistom, którzy zabili Somozę z pancernicy raketowej. Jak to się mówi u was: Cherchez la femme.

Jeanne wzięła do ręki inną fotografię: Eva i jej „Che” w strojach ślubnych.

- To mój mąż Alberto. Zmarł dwa lata temu. Rak.

- Współczuję pani.

- W czasie rewolucji wierzyliśmy, że jesteśmy nieśmiertelni, niepokonani. Od tamtej pory wciąż się staczamy. Polityka, choroby, korupcja, dopadły nas wszystkie grzechy gatunku ludzkiego...

- Wyglądacie na bardzo zakochanych.

- Tak, kochaliśmy się, ale Alberto bardziej kochał rewolucję, politykę. Był bohaterem w najgorszym tego słowa znaczeniu.

- Najgorszym?

- Czytała pani pamiętniki Henry'ego Kissingera?

- Nie.

- O swoim wietnamskim odpowiedniku Le Duc Tho, z którym próbował negocjować warunki pokoju w Wietnamie, mówił: „Le Duc Tho był bohaterem narodowym. A my nie rozumieliśmy, że tacy bohaterowie są maniakami. Tacy ludzie rzadko są mili. Ich nieprzejednanie graniczy z fanatyzmem. Nie mają w sobie żadnych cech pożądanых w negocjowaniu pokoju”. Alberto był właśnie takim człowiekiem.

Eva zacytowała tę opinię po angielsku, tłumacząc ją jednocześnie na hiszpański. Po czym od razu wróciła do sprawy dochodzenia.

- Odnaleźliśmy ochroniarzy i służbę Manzareny.

- Wiedzą coś?

- Nie było ich w domu, gdy dokonano zbrodni.

- Zna pani datę?

- To musiało być przedwczoraj.

- Dlaczego uciekli?

- Nie uciekli. Manzarena kazał im wyjechać. Czekał na ważną wizytę. Sekretną.

- Czy mówił, na kogo czekał?

- Niezbyt dokładnie. Wspomniał tylko swemu zaufanemu człowiekowi, że chodzi o dwie osoby. Ojca i syna.

Starszy mężczyzna i Joachim...

- Mówił także - kontynuowała Eva Arias - o bardzo ważnych badaniach dla gatunku ludzkiego. Szaleństwo... W każdym razie jednego jesteśmy pewni - zabójca lub zabójcy Eduarda Manzareny nie mają nic wspólnego z fanatykami, którzy dokonali dzisiaj tego mordu. - Dla Jeanne było to oczywiste. - Proszę pójść za mną, przygotowałam tamales.

Zasiadły na werandzie wśród palm z ogrodu i przy wtórze ptasich pisków. Jeanne była zaskoczona brakiem komarów. Zwróciła już wcześniej uwagę na to w mieście. Jak na razie była to jedyna dobra niespodzianka w tym kraju...

Eva Arias ustawiła na niskim stoliku tortille, owoce awokado, liście bananowców, biały ser i słynne tamales. Jeanne знаła to danie składające się z gotowanego mięsa z kukurydzą, pomidorami i ryżem, które owijało się liściem bananowca.

- Proszę się częstować.

Jeanne wzięła sporą porcję na talerz. Chciała uczcić fakt, że żyje. Dwie godziny temu zagrożona była przez dwóch zabójców. Teraz z apetytem zajadała placki z mięsem. Wydarzenia, zmiany nastrojów następowały po sobie zbyt szybko.

- Oto, co chciałam pani opowiedzieć - zaczęła Eva Arias. - Ekstremiści, którzy zabili Nielsa Agosta, to Gwatemalczyki. Majowie. Majowie zaś mają szczególny stosunek do krwi. Często mówiło się, że nie są okrutni, w przeciwieństwie do Azteków, którzy składają ofiary z ludzi. Jednak Majowie także zabijali ludzi. Wrywali im serca, by ofiarować je Słońcu, przelać ich krew, by zaspokoić pragnienie Ziemi. Stosowali również coś takiego, jak składanie ofiar z samych siebie. Każdy musiał ofiarować bogom swoją krew według przeróżnych rytuałów mniej lub bardziej bolesnych. Cierpienie było niezbędne do komunikowania się z bogami.

- Jaki ma to związek z dzisiejszym dniem?

- Żadnego. Tyle tylko że Majowie nie pochwalają pobierania krwi. Zwłaszcza gdy jest ono wykonywane w sposób przemysłowy. Dla nich to profanacja świętych rytuałów.

- A przecież jeden z zabójców powiedział: człowiek z drewna, człowiek z gliny, człowiek z kukurydzy...

- To odniesienie do świętej księgi Majów Popol Vuh.

Te słowa wywołały w Jeanne wspomnienie, które nie miało nic wspólnego z tematem.

Popol Vuh to nazwa niemieckiego zespołu, którego słuchała jej matka pod koniec lat sześćdziesiątych, obok takich grup jak Can, Tangerine Dream, Klaus Schulze... Jeszcze teraz słyszała tę muzykę nabrzmiałą od syntetyzatorów, z delirycznym rytmem perkusji...

Wróciła do kultury Majów.

- Czy to jest jakiś ich kodeks?

- Nie. Mylą się pani epoki. Kodeksy to paski z kory. Rysowano na nich motywy i symbole. Nieliczne, które się zachowały, pochodzą z około dwunastego wieku. Popol Vuh to księga napisana odręcznie. Z pewnością powstała w pierwszym okresie hiszpańskiej inwazji. W języku kicze, ale alfabetem łacińskim. Została odnaleziona na początku osiemnastego wieku przez zakonnika, dominikanina.

- O czym mówi?

- O historii świata. O powstaniu człowieka. Bogowie najpierw ulepili człowieka z gliny, ale był za miękki, nie miał zdolności poruszania się ani siły. Stworzyli więc mężczyzn z drewna i kobiety z trzciny. Ci potrafili mówić, ale nie mieli duszy. Bogowie po raz kolejny zniszczyli te postacie i zrobili z kukurydzy czterech mężczyzn i cztery kobiety. Krew zrobili im z wody. Te istoty okazały się doskonałe. Zbyt doskonałe. Przez swoją mądrość stały się niebezpieczne. Z nieba tchnięto wówczas im w oczy parę, co zmniejszyło ich mądrość. Człowiek z kukurydzy stał się przodkiem Majów.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego zabójca wspominał o tych stworzeniach.

- Ponieważ importowanie tutaj krwi wiąże się z ryzykiem, że cofniemy się w rozwoju. Dla Majów ludzie z drewna to małpy. Ci fanatycy nie chcieli pozwolić na to, aby Agosto i Manzarena zepsuli człowieka z kukurydzy. Ale i tak to wszystko jest absurdem, bo Nikaraguańcy nie są Majami.

- Wydaje mi się, że Manzarena i Agosto otworzyli ośrodki w Gwatemali.

- Trafiła pani w sedno.

Jeanne zamyśliła się. To wszystko oddalało ją od Joachima i motywu jego zbrodni. Nie przypuszczała, żeby eliminował on ludzi ze swojej listy w imię jakiejś czystości rasy.

- Słyszałam, że były też partie zakażonej krwi. Jakoby tę krew Plasma Inc. miała importować z północno-wschodniej Argentyny. Co pani o tym sądzi?

- Nie wierzę w to. Plasma Inc. to poważna firma, która sprzedaje krew do Ameryki Północnej. Gdyby pojawił się jakiś problem, Manzarena na pewno by natychmiast zareagował.

Eva Arias zawięła tortillę i zanurzyła ją w sosie serowym. Jeanne jadła już trzecie tamale. Powinna w końcu przestać, bo dostanie mdłości...

- A pani, Jeanne Korowa, jaka jest pani rola w tym wszystkim?

Jeanne miała pełne usta, nie mogła więc odpowiedzieć od razu, co pozwoliło jej zastanowić się nad możliwą do przyjęcia wersją.

- Widzi pani - podjęła Eva Arias. - Ameryka Środkowa ma swojego agenta łącznikowego w Paryżu. To mój przyjaciel. Razem studiowaliśmy. Zadzwoiłam do niego. Wiedział o tej sprawie. Nie znał jednak pani nazwiska, co oznacza, że to nie pani powierzono prowadzenie dochodzenia.

Jeanne zrezygnowała ze zjedzenia do końca tantale. Z tą Indianką lepiej grać w otwarte karty.

- Nie odgrywam żadnej oficjalnej roli w tej sprawie, to prawda. Ale sędzia, który ją prowadził, ten, o którym pani wspominałam, był moim przyjacielem. Przez wzgląd na niego muszę kontynuować to śledztwo.

- Pani kochanek?

- Nie mam kochanka.

- Tak też i myślałam.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

Jeanne zrobiła się czerwona na twarzy. Jakby Eva Arias ujawniła jej ukrytą słabość.

- Jeanne, niech pani nie bierze tego tak serio, ale wyraźnie widać, że nic panią nie trzyma w Paryżu. Że rzuciła się pani w to dochodzenie, wyruszyła w podróż, żeby zapomnieć o Paryżu, o samotności.

- Chyba zboczyliśmy z tematu. - Jeanne wstała i powiedziała ostrzejszym tonem: - A w ogóle to nie pani sprawa!

Indianka uśmiechnęła się. Był to uśmiech poważny i zarazem dobrotliwy.

- Niech pani nie będzie taka „indiańska”. To Indianie są tacy drażliwi.

- Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Eva Arias wzięła awokado i przekroiła go jednym zdecydowanym ruchem.

- Ale ja mam coś pani do powiedzenia. Nikaraguańczycy są z natury bardzo uczynni. Jeden z dziennikarzy, do którego zadzwoniłam w sprawie tego kanibalizmu, oddzwonił do mnie dziś po południu. Nic nie znalazł w archiwach, ale popytał kolegów z krajów ościennych: z Hondurasu, Gwatemali, Salwadoru...

Jeanne zbladła.

- Trafił na coś?

- Gwatemala. Rok osiemdziesiąty drugi. Zabójstwo młodej Indianki. Z potwierdzonymi oznakami ludożerstwa. Zdarzyło się to w rejonie Atitlanu. Była tam pani?

Podobno to najpiękniejsze na świecie jezioro... Jeszcze jedna z indiańskich przechwałek.

Rok 1982. To data, która zainteresowała Eduarda Manzarenę. Joachim musiał mieć wtedy ze dwanaście lat. Czy to jego pierwsze morderstwo? Ale dlaczego w Gwatemali?

- Co pani wie o tej sprawie?

- Niewiele. Zabójstwo to przeszło wówczas niezauważone. W tamtym czasie sytuacja w Gwatemali była jeszcze gorsza niż w Nikaragui. W latach osiemdziesiątych palono Indian żywcem, wylupywano im oczy po to tylko, żeby dać im nauczkę. Tak więc jedna zjedzona kobieta... Niczego pani tam nie znajdzie. Nie ma archiwów. Nie ma świadków. Nic. Jednak wiem, że pani i tak tam pojedzie...

Jeanne chwyciła torebkę. Wydusiła z siebie już spokojniejszym głosem:

- Dziękuję za tę informację.

- To nie koniec czekających panią niespodzianek.

Jeanne zatrzymała się na progu werandy. Noc rozbrzmiewała krzykami ptaków, szelestem liści.

- Dlaczego?

- Według tego dziennikarza zidentyfikowano wtedy tego kanibala.

- Co takiego?

Eva Arias milczała, tworząc atmosferę napięcia. Jeanne miała wrażenie, że czuje bicie serca w całym ciele. W piersi. W gardle. W skroniach.

- Kto to był?

- Ksiądz.

49.

Podczas pierwszego pobytu w Peru pewien fotograf-reporter powiedział Jeanne: „Kiedy jest się za granicą i ma się jakiś problem, ostatnią rzeczą, jaka przychodzi do głowy, jest skontaktowanie się z ambasadą swojego kraju. A jednak to zawsze najlepszy pomysł”.

Przypomniała sobie tę radę. Wynajęcie samochodu w Managui o godzinie dwudziestej przypominało Mission impossible. Bez pomocy attache kulturalnego ambasady francuskiej, który nazywał się Marc, a na którego trafiła, dzwoniąc pod numer podany przez prefekturę policji, nie zdziałałaby nic. Marc znał dyrektora agencji Budget, mógł zadzwonić do niego i spowodować, że ją obsłużą. Marc mógł wszystko.

Jeanne nie wiedziała, jak wyrazić swoją wdzięczność temu młodemu człowiekowi,

który o nic się nie wypytywał. Obecnie jechała więc na północny wschód kraju, siedząc za kierownicą mitsubishi lancera. Zapowiadała się długa podróż. Musiała przejechać przez Nikaraguę, potem przez Salwador, by na końcu dotrzeć do Gwatemali. Wszystkiego około tysiąca kilometrów...

Trasa była prosta. Jedna tylko droga, zwana Panamerykańską, przecinała Amerykę Środkową z północy na południe. Legendarna droga, przez którą przetoczyły się wszystkie wojny, wszystkie rewolucje w tych małych, zapalnych krajach. Nie była to autostrada z czterema czy ośmioma pasmami, ale zwykła droga przedzielona białą linią. Wstęga rozciągnięta poprzez dżunglę, równiny, góry, pola uprawne, ubogie miasteczka, której, jak się wydawało, przyświecała jedna idea - być łącznikiem między dwoma kontynentami amerykańskimi.

Noc była ciemna. Jeanne żałowała, że nie może oglądać pejzażu. Wulkanów z dymiącymi kraterami. Jezior z połyskującym perłowo lustrem wody. Szańca dżungli z jej poskręcanyimi lianami... Jechała monotonnym czarnym asfaltem, z rękami zaciśniętymi na kierownicy, mrużąc oczy, gdy oślepiały ją światła jadących z naprzeciwka samochodów.

Próbowała podsumować w myślach nikaraguański rozdział. Bilans był marny. A właściwie żaden. Nie zapobiegła zabójstwu Eduarda Manzareny. Zabójstwo Nielsa Agosta nie miało nic wspólnego z Joachimem. O tym ostatnim nie dowiedziała się niczego. Nie odnalazła Antoine'a Ferauda. W sumie dostała tylko jeden nowy trop. Coś, co wydawało się tropem... Sprawa zakażonej krwi pochodzącej z Argentyny, co do której zresztą nie miała pewności. Tak jak nie była pewna drogi, którą teraz jechała. Zabójstwo z ludożerstwem popełnione w 1982 roku w okolicy jeziora Atitlan przez jakiegoś księdza...

Ona jednak lubiła to uczucie ucieczki. Oczyszczała się, dematerializowała w tym śledztwie. Doskonały symbol tego procesu stanowiło jej konto bankowe, które doznało poważnego uszczerbku, gdy regulowała rachunek w hotelu. W cordobach, dolarach czy w euro rachunek był słony.

Skoncentrowała się na drodze. Najbardziej fascynujące było życie skupiające się po obu stronach drogi. Anarchia z nieprawdopodobnymi transakcjami handlowymi, baraki z opon i smołowanej blachy, podrzędne, brudne restauracje. Sprzedawano tu mydło i powidło, gipsowe łabędzie, ogrodowe krasnale, chromowane zderzaki, olbrzymie dynie... Wszystko pozłocone elektrycznym światłem kramików, które przypominały żłobek z krepiny.

Zardzewiałe szyldy, tablice z napisami religijnymi - Jesu-cristo salva tu almai, afisze reklamowe z rysunkami kur i kogutów. Nikaragua miała chyba bzika na punkcie drobiu. Jeanne ciągle wyprzedzała, robiła uniki, mijała się z samochodami z naprzeciwka.

Ciężarówki. Pick-upy. Auta osobowe. Motorowery. Dwukołowe wozy. Wszystko to na pełnej szybkości, w drodze bez powrotu.

Północ. Granica Salwadoru. Dwieście kilometrów przebytych w cztery godziny. Nieźle, jeśli wziąć pod uwagę stan drogi i ruch. Teraz czas na drugi etap. Odstawić samochód. Włożyć kluczyki do skrzynki na listy Budgetu. Przejść pieszo przez granicę. Wynająć drugi samochód już po stronie Salwadoru. Utrudnienie charakterystyczne dla Ameryki Środkowej, gdzie nie można przejechać przez granice państw jednym wynajętym wozem.

Pierwszy raz stanęła w kolejce, by oficjalnie opuścić Nikaraguę i otrzymać pieczętkę w paszporcie. Potem, już w Salwadorze, skierowała się do podobnego punktu kontroli. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś nierealnym świecie. Reflektory rzucały światła na chaotycznie stojące ciężarówki, przepelnione autobusy, kałuże błota, stację obsługi, baraki z tortillami, sprzedawców sandwiczów, uśpionych tragarzy, ludzi nieoficjalnie wymieniających walutę, dziennikarzy z błędnym wzrokiem...

Znowu kolejka. Znowu pieczętka. Odnalazła biuro Budgetu - domek jak wiele innych, zamknięty na żelazną kratę. Zapukała. Zapewniano ją, że na pewno ktoś będzie w środku. I rzeczywiście był, zaspany, chwiejący się na nogach. Jednak, ku jej zaskoczeniu, wszystko odbyło się sprawnie. Podpisała umowę wynajmu, podała numer swojego prawa jazdy, odebrała kluczyki i stała się posiadaczką lśniącej nowością toyoty RAV4.

Marc mówił jej, że w Salwadorze są najlepsze drogi w Ameryce Środkowej. Może to i prawda, ale tylko tam, gdzie już je ukończono. Jeanne mijiała place budowy, na których koparki podnosiły kawałki skał, przenosiły je w inne miejsce, podczas gdy ze wszystkich stron przemykały wywrotki z czerwoną ziemią. Przejeżdżała obok wykopów drogą tymczasową, dostrzegając ludzi w nieprzemakalnych kombinezonach lub z nagimi torsami, uzbrojonych w łopaty, kilofy, łomy, zaopatrzonych w maski i robocze rękawice. Widma, których sylwetki w nocnym świetle przywodziły na myśl niewolników z innej epoki...

Podczas całej podróży przez Salwador nie widziała nic innego. Ani w San Miguel. Ani w San Vicente. Ani w San Salvador. Ani w Santa Ana... Wszystko zniknęło w strugach potopu z końca świata. Ziemię zalewał uporczywy, ulewny, parny deszcz. Jeanne miała wrażenie, że kieruje łodzią podwodną, która usiłuje wypłynąć na powierzchnię. Jej myśli straciły jakąkolwiek spójność. Myślała o krwi. O zakażonej krwi z Plasma Inc.. O krwi z rytuałów Majów... O tryskającej w ciemnościach krwi Nielsa Agosta... O szkarłatnych, żelazistych, gęstych strumieniach płynących wzdłuż drogi, wylewających się z wykopów...

Godzina szósta rano.

Granica Gwatemali. Ta sama procedura jak poprzednio. Odstawienie samochodu.

Przejdźcie pieszo. Pieczętka. Wynajęcie kolejnego samochodu. Tym razem znowu mitsubishi z napędem na cztery koła. Jeanne wymieniła u jakiegoś bezzębnego wścacha dolary i cordoby na quetzale - pieniądze gwatemalskie. Miała jeszcze przejechać dwieście kilometrów do stolicy, potem znowu pięćdziesiąt do Antigui, starożytnej stolicy państwa, gdzie znajdował się klasztor księdza mordercy.

Słońce nie ociągało się ze wstaniem. Gdy wyjechała na drogę, nad dżunglą jaśniał już jego miedziany krąg. Pierwszym obrazem, jaki zobaczyła w Gwatemali, był palący się las. Gęsty, srebrzysty dym spowijał pnie drzew u podstawy i zatrzymywał się w ich połowie, przesłaniając korony drzew, krzewy rosnące niżej, podłoże. Ten obraz przywodził na myśl rozmyte, czerwone, zamglone pejzaże chińskiego malarstwa.

Był piątek, trzynasty czerwca. Miała nadzieję, że nie przyniesie jej to pecha... teraz cofała się w czasie. Majowie, dawni mieszkańcy tych terenów, nadal tu byli, spokojni, ponadczasowi mimo pędzących drogą samochodów. Mężczyźni nosili pstre kurtki i białe teksaskie kapelusze. Kobiety chodziły boso. Każda miała na sobie tradycyjną, haftowaną bluzkę, huipil w barwach tęczy. Jeanne przypomniała sobie, co czytała. Takie ubranie symbolizowało kosmogonię Majów. Wszechświat zaludniony przez niezliczonych bogów, funkcjonujący w powtarzających się cyklach, niczym kółka zębate zegara bez strzałek, bez tarczy.

Jeanne bezwiednie zwolniła, żeby zobaczyć ich twarze. To, co ujrzała, przyniosło jej dużą ulgę. Te istoty nie uzupełniały pejzażu, one same były pejzażem. Ich brązowozłote twarze uformowane zostały tysiącami lat słońca i deszczu, bezwietrznej pogody i cyklonów, na podobieństwo ich legend. Ludzie z kukurydzy... - szepnęła do siebie.

Jeanne dojechała do stolicy Gwatemali około południa. Znowu padał ulewny deszcz. Miasto odsłaniało swój historyczny wizerunek. Niczym wojownik, który pokazuje swoje blizny. Chaotyczna zabudowa. Stolica rozbudowująca się na chybcika, w miarę napływających fal migracji ludności, spowodowanych trzęsieniami ziemi, cyklonami, powodzią...

Wjechała w bajoro, z którego przez jakiś czas próbowała się wydostać. Na próżno. Nie wiadomo już było, czy błoto spada z nieba, czy wytryska z ziemi. Jeanne przypomniała sobie zdanie, które wywarło na niej ogromne wrażenie, napisane przez Georges'a Arnaud we wstępie do *Ceny strachu*: „Nie szukajcie w tej książce dokładności geograficznej, która jest zawsze tylko złudzeniem. Na przykład Gwatemala w ogóle nie istnieje. Wiem to, bo tam byłem". Tego samego uczucia doznawała teraz. Nie ma miasta, nie ma kraju. Tylko piekło. Połączenie nieszczęścia i brudu, z którego być może kiedyś wyłoni się coś, co jeszcze jest w

stadium magmy, substancji organiczej...

Kiedy wjechała na wyższy teren, odczuła ulgę. Wysokość wiązała się z takimi pojęciami, jak „przewietrzenie”, „oczyszczenie”, „kwintesencja”... Po kilku kilometrach krajobraz zmienił się całkowicie. Z zalanych równin, z błotnistych terenów wjechała w góry ze świerkowymi lasami, z rozległym widokiem i dobroczynnym chłodem. Czasami także pojawiała się tropikalna zieleń rozrastająca się bujnie jakby dla przypomnienia, gdzie się człowiek znajduje...

O godzinie czternastej Jeanne dotarła do Antigui. Gwatemala była piekłem. Antigua była „zielonym rajem dziecięcych miłości”. Miasto chronione, które w XVII wieku było stolicą Ameryki Środkowej. Tutaj czas cofał się o dwieście, trzysta lat. Żadnego nowoczesnego, wysokiego budynku. Brukowane ulice, którymi z rzadka tylko przejeżdżały samochody, i to w bardzo wolnym tempie. No i kościoły. Wszędzie. We wszystkich stylach, ze wszystkich wieków. Kościoły białe, żółte lub czerwone, barokowe lub neoklasyczne, wyglądające jak hacjendy lub przeciwnie, z operetkowym, meksykańskim zdobnictwem.

Niebo było niskie, nabrzmiałe jeszcze deszczem. Miasto wydawało się zanurzone w ponurym oparze okolicznych wulkanów. Posępna pogoda, ołowiane niebo kontrastowały z rozświetloną architekturą kościołów i ścian domów malowanych na niebiesko, różowo lub lilaróż. Ulice były tak proste, że przywodziły na myśl flet wygrywający barwne melodie.

Jeanne trafiła na plaza Mayor.

Drzewa posadzone w układzie rombowym, sklezione galerie z czterech stron, w każdym oknie ornamenty z kutego żelaza. Zorro mógłby skakać z balkonu na balkon, obrośniętych różami i wawrzynami. Jeanne spojrzała na plan miasta i zrozumiała, na czym polega jego rozkład. Avenidas przecinały miasto z północy na południe, podczas gdy calles biegingy z zachodu na wschód... Bez trudu odnalazła kościół Iglesia y Convento de Nuestra Señora de la Merced. Tam, według informacji uzyskanej od Evy Arias, przebywał Pierre Roberge, belgijski ksiądz, który zjadł szesnastoletnią Indiankę.

50.

Z architektonicznego punktu widzenia Iglesia y Convento de Nuestra Señora de la Merced była to na poły budowla w stylu romańskim, na poły fantazyjnego baroku. Solidny budynek z grubymi murami. Starannie przemyślana konstrukcja ze spiralnymi kolumnami, brązowożłotym dachem, malowidłami na fasadach, w których renesansowe aniołki mieszały

się z motywami Majów.

Jeanne zaparkowała samochód na dziedzińcu. Podeszły do niej dwie Indianki z tandetnymi wyrobami - koralikami i wisiorami do kluczy. Każda trzymała na ręku niemowlę. Dała im do zrozumienia, że nie jest zainteresowana zakupami. Uśmiechnęła się w duchu. Była brudna, zmęczona, potargana, ale czuła się piękna, zdecydowana, bohaterska.

Gdy przeszła przez bramę, stwierdziła, że kościół reprezentuje bardzo surowy styl. Mury miały kilka metrów grubości, a kamienna posadzka szorstkość skał. Czuło się tutaj prawdziwy cel tego miejsca, którym była walka. W pierwszej wersji kościół został zbudowany na wzór zamków obronnych. Bastiony wzniesione w dżungli, by stawić czoło Indianom, klimatowi, pogaństwu...

Jeanne skierowała się na prawo. Droga pod wysokim sklepieniem prowadziła do klasztoru. Z informacji Evy Arias wynikało, że mieszka tutaj niewielka grupa jezuitów belgijskiego pochodzenia - bracia zakonu Świętego Ignacego.

Patio tchnęło jeszcze większą surowością i szorstkością. Dziedziniec był tak obszerny, iż przypominał antyczną arenę. Ze ścian wзираły miejscami cegły. Sklepienie galeryjki. Dziedziniec ze zniszczonym brukiem i rosnącymi gdzieś tam kępami trawy. W środku nieczynna fontanna.

Jakiś Indianin pchał taczkę. Jeanne zaczęła go i powiedziała, że chciałaby się zobaczyć z jezuitą, bratem Domicjanem, z którym rozmawiała wcześniej przez telefon. Indianin zniknął. Czekwała cierpliwie pod sklepieniami, wdychając unoszący się w chłodnym powietrzu zapach kamieni i bluszczu. Była u kresu sił, ale jednocześnie czuła się bardzo podekscytowana.

- Nie możemy pani pomóc.

Z ukośnie padających cieni kolumn wyłonił się młody mężczyzna. Otyły, w koszuli marki Lacoste, z obwisłymi policzkami. Jasne włosy i brwi nie nadawały jego twarzy żadnego wyrazu. Ubrany na biało zakonnik całym swoim wyglądem przywołał na myśl postać z reliefu.

Słowa te zostały powiedziane po francusku, co było pocieszające, ale wyczuwało się w nich niechętną rezerwę.

Jeanne nie dała się zbić z tropu.

- Brat nawet nie wie, co mnie tu sprowadza.

- Przez telefon powiedziała pani, że jest sędzią śledczą. Nie mamy żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości, a zwłaszcza z francuskim!

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić.

- Nie ma potrzeby. W tutejszym klasztorze jest zaledwie kilku braci. Spełniamy naszą posługę dla fizycznego i duchowego dobra wieśniaków. Nie mamy nic wspólnego z żadnymi sprawami kryminalnymi.

- Ale w przeszłości coś się zdarzyło.

- A więc o to chodzi.

Brat Domicjan przyjrzał się Jeanne z politowaniem.

- Przybywa pani tutaj, aby odgrzebywać historię sprzed dwudziestu pięciu lat?

- A dlaczego nie?

- Przede wszystkim Pierre Roberge spędził w Antigui tylko kilka godzin. Zaraz potem wyruszył na misję, którą mu zlecono. Do sierocińca nad jeziorem Atitlan.

- Skąd przyjechał? Z Belgii?

- Przybył z Argentyny. Z jej północno-wschodniej części.

Pierwsze powiązanie Ameryki Środkowej z Argentyną. List Nielsa Agosta zagubionego w dżungli północno-wschodniego regionu. Czy Roberge zaraził się tam tą chorobą? Jeanne ogarnęło podniecenie. Nie miała zamiaru zrezygnować z pierwszego solidnego tropu.

- Co brat o nim wie?

- Nie było mnie wtedy tutaj. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Wiem to, co mówili moi przełożeni. Zawsze żalowali, że go przyjęli tutaj, w Gwatemali. Ale nasz klasztor ma niewielu braci. Nie mieliśmy innych doświadczonych kandydatów. To był straszny okres. Ladino mordowali księży. Nikomu nie przyszło więc do głowy, żeby rezygnować z takiego wolontariusza. Jeśli nawet mogły być ku temu jakieś powody.

- Jakże mianowicie?

- Mówiono, że uciekał. Miał złą reputację.

- Co brat rozumie przez określenie „zła reputacja”?

Jezuita zamachał pulchnymi rękami.

- Plotki. Zwykle plotki.

- Jakie plotki?

Domicjan patrzył cały czas w bok, unikając wzroku Jeanne.

- Jakie plotki?

- Mówiono o demonie. O demonie, który mu towarzyszył.

- Był opętany?

- Nie. To coś innego. Towarzyszyło mu dziecko.

- Sierota?

Jezuita rzucił zrozpaczone spojrzenie w kierunku podwórza. Jakby spodziewał się czegoś, co by mu pozwoliło stąd odejść.

- Nie rozumie pani? - rzekł nagle ze złością.

- Czy brat chce powiedzieć, że było to jego dziecko?

Wymowne milczenie duchownego. Jeanne nie spodziewała się czegoś takiego. Ale przyjęła to do wiadomości. I w myślach zaryzykowała taką hipotezę: może Roberge był tym starym Hiszpanem z gabinetu Ferauda? Usłyszała znowu jego głos: „W moim kraju to stała praktyka. Wszyscy tak robili”. Ksiądz sypiający ze swoimi owieczkami?

Mogło tu pasować kilka punktów - tajemnica łącząca ojca i syna, poczucie odrzucenia u Joachima, straszny chłopiec, dziecko niechciane, które staje się autystyczne... Nie pasowały jednak inne szczegóły. Stary człowiek u Ferauda miał akcent hiszpański, a Roberge był z pochodzenia Belgiem. Może to skutek wielu lat pobytu w Ameryce Łacińskiej? Nie. Poza tym Roberge według Evy Arias miał wówczas sześćdziesiąt lat. Co oznaczało, iż dzisiaj miałby dziewięćdziesiąt.

Postanowiła zacząć od początku:

- Był to chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec.

- Zna brat jego imię?

- Nie.

- Ile miał lat?

- Nie wiem dokładnie. Myślę, że około dziesięciu. Powtarzam jeszcze raz, że nie zostali w Antigui. Wyruszyli w miejsce, gdzie naprawdę było gorąco. Zresztą Roberge wykonał tam dobrą robotę. Trzeba to przyznać. Dawał w misji schronienie wielu ludziom. Przeciwstawiał się żołnierzom...

- Dlaczego brat wspominał o demonie? Czy ten chłopiec był opętany?

- Proszę pani, ja nic nie wiem. Wiele rzeczy opowiadano. Podobno chłopiec był uosobieniem zła. Do tego doszły różne przesady Majów. Najczęściej powtarzano, że Roberge był uzależniony od chłopca. Morderstwo dowiodło, że plotki miały jakieś podstawy...

- Co się działo potem? Roberge został skazany?

Jezuita pokręcił przecząco głową. Jeanne czekała.

- Jeśli chce pani dowiedzieć się więcej szczegółów o tej sprawie - wyrzucił z siebie zmęczonym głosem - to jest ktoś, kto wtedy tam był. Ona opowie pani o Roberge'u.

- Ona?

- Rosamaria Ibanez. Archeolożka. Bardzo zaprzyjaźniona z Roberge'em.

- Gdzie mogę ją znaleźć?

- Tutaj. W Antigui. Prowadzi prace poszukiwawcze w dzielnicy Calle Oriente. Narysuję pani, jak tam dojść. To niedaleko stąd.

Zakonnik wziął od Jeanne notes i pisak - uszczęśliwiony, że może pozbyć się intruza. Jego białe czoło lśniło od potu.

- A o morderstwie - spróbowała jeszcze Jeanne - o zjedzonej Indiance czy może brat coś powiedzieć?

Domicjan oddał jej notes.

- Kościół San Pedro. Rosamaria Ibanez. Pracuje w ruinach klasztoru na tyłach budynku.

51.

- Jego syn? Hay Dios mio! Nigdy w życiu!

Rosamaria Ibanez przypominała bezdomną. Indianka pochodząca z Majów, z twarzą pomarszczoną jak tyłek małpy. Potargane włosy przywodziły na myśl włosie orzecha kokosowego. Oczy podkrążone jak u alkoholiczki, płaski nos, mięsiste wargi. Zdecydowanie nie była to piękność. Miała na sobie wytarty anorak, za duże levisy 501, czerwone chodaki, które wyglądały tak, jakby je ukradła jakiejś turystce.

Potrząsnęła głową z przekonaniem.

- Znałam dobrze Roberge'a. Był niezwykle prawym człowiekiem. Nie ma mowy o seksie czy innych zabawach z kobietami.

Mówiła po hiszpańsku ze skrótami trudnymi do zrozumienia. Wymawiała muy bie zamiast muy bien albo s'dia zamiast buenos dias.

- A chłopiec? Znała go pani?

- Juana? Oczywiście.

Jeanne zanotowała w myślach „Juan” nie „Joachim”. Może ta kobieta pomyliła imię chłopca?

- Jaki był?

- Piękny.

- Ile miał lat?

- Sądzę, że jakieś dwanaście.

- Czy miał problemy z rękami?

- Z rękami?

- Nieważne. Dlaczego Roberge zabrał go ze sobą do Gwatemali?

- Juan miał problemy psychiczne. Roberge nie chciał go zostawić w sierocińcu w Formosie w Argentynie.

- Jakie to były problemy?

- Rodzaj autyzmu.

- Uznano go za opętanego?

Rosamaria prychnęła grubymi wargami.

- Głupoty wieśniaków! Autyzm budzi strach. Jego objawy przypisuje się opętaniu. Zwłaszcza tutaj, gdzie ludzie obcują równocześnie z Bogiem i z diabłem.

Jeanne, siedząc na dużym kamieniu, robiła notatki. Teren wykopalisk przypominał plac budowy. Doły, gruzy. Kawałki bardzo starych murów, odkopanych spod ziemi. Żółte taśmy zabezpieczające. Taczki. Łopaty. Plastikowe plandeki rozciągnięte w różnych miejscach dla ochrony wykopalisk przed ulewami.

Jeanne przerwała zapisywanie. Zakręciło jej się w głowie. Głód. Zmęczenie. Do tego pewnie ta różnica w czasie...

- Źle się pani czuje? - zapytała Rosamaria, nachylając się nad nią. Czuć było od niej rum.

- W porządku.

- Napijesz się kawy? - Rosamaria przeszła na „ty”.

- Nie, dziękuję.

Archeolożka stała przed nią z rękami na biodrach.

- Najlepsza na świecie.

Eva Arias uprzedziła Jeanne, że z Majami nie można żartować, gdy w grę wchodzi ich duma narodowa.

- Zgoda.

- Chodź ze mną.

Szły ostrożnie między plastikowymi taśmami, plandekami, dołami. Aż do głównego stanowiska badań, gdzie stosy kamieni ułożone były na drewnianych stołach. Na prawo od nich znajdowała się kuchenka, stał młynek do kawy. Rosamaria zakrzętała się.

Jeanne usiadła przy jednym ze stołów. Ze zmęczenia robiło się jej niedobrze. Z minuty na minutę czuła się coraz gorzej.

Rosamaria podała kawę. W powietrzu rozszedł się gorzki zapach rozgrzanej ziemi. Na myśl, że ma to wypić, Jeanne poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Pokażę ci zdjęcie - powiedziała archeolożka, zaglądając do metalowej szafki.

Położyła na stole czarno-białe podniszczone zdjęcie, na którym była ona sama, trochę młodsza, obok mężczyzny około sześćdziesiątki w białej luźnej koszuli jak indiańska tunika. Nic nie świadczyło o jego duchowym stanie oprócz złotego krzyża na szyi.

Jeanne pochyliła się, by je lepiej obejrzeć. Zdjęcie było prześwietlone, zakurzone. Jasne, przejrzyste oczy Pierre'a Roberge'a kontrastowały z jego pobrużdżoną, znużoną twarzą w kolorze popiołu, podobnie jak włosy i brwi. Przypominał mnichów, pustelników żyjących na pustyni w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

- Nie ma pani zdjęcia Juana?

- Nie. Nie pozwalał się fotografować.

- Dlaczego?

- Bał się. Juan bał się wszystkiego. Wie pani coś o autyzmie?

- Trochę.

- Dla takiego dziecka świat zewnętrzny nie istnieje. Albo wręcz jest zagrożeniem. Nikomu nie wolno było wchodzić do pokoju, gdzie spał. Każdy przedmiot miał tam swoje określone miejsce.

- Roberge opiekował się nim? Dbał o jego edukację?

- To była jego pasja. Wierzył, że zrobi z niego normalne dziecko, które będzie w stanie się czegoś nauczyć.

Jeanne patrzyła ciągle na fotografię.

- Czy była pani tam, kiedy zdarzyło się to morderstwo?

- Nie. Kierowałam wykopaliskami w Solola, jednym z miast nad jeziorem. Roberge był w Panajachel. Kiedy usłyszałam o tej tragedii, natychmiast przyjechałam.

- Co mówił?

- Nie rozmawiałam z nim, bo został już aresztowany.

- Czy pamięta pani, jakie były dowody pozwalające go oskarżyć?

- Nie było żadnych dowodów. Sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

- Przyznał się do morderstwa?

- Całkowicie.

- Co się potem stało?

- Został uwolniony. W braku dowodów. Nawet tutaj, w Gwatemali, przyznanie się do winy nie zawsze wystarcza. Policjanci domyślili się, że wszystko zmyślił.

Jeanne zdziwiła się, że policja nie zadowolili się wyznaniem księdza. W takim kraju, w tamtej epoce, taka deklaracja powinna wystarczyć jako załatwienie sprawy.

Rosamaria jakby czytała w jej myślach.

- Zazwyczaj w takim wypadku policjanci z Atitlan każą podpisać zeznanie i tego samego dnia dokonana jest egzekucja. Ale Roberge pochodził z Belgii. Był już pewien problem z księdzem brytyjskim skazanym i straconym kilka miesięcy wcześniej. Przypuszczam, że w stolicy powiedziano im, żeby dali spokój gringo...

- Roberge wrócił do normalnego życia?

Archeolożka trzymała filiżankę w dwóch rękach. Jej palce ledwie były widoczne spod rękawów anoraka.

Zaśmiała się chrypliwie, odsłaniając niepełne uzębienie.

- No, mujer, no... Naprawdę nic nie wiesz o tej sprawie! Zaraz po wyjściu z posterunku policji Roberge wrócił do szpitala i popełnił samobójstwo.

Jeanne poczuła ostry ból w żołądku, jakby utkwiła w nim ognista strzała. Ta wiadomość ją dobiła... Zrobiło się jej słabo, pociemniało przed oczami, potem...

Rosamaria pochylała się nad nią ze szklanką z gęstą, bezbarwną miksturą.

- Co... co się stało? - wybełkotała Jeanne.

- Zemdlałaś, hijita.

- Przepraszam. Jechałam całą noc.

Jeanne uniosła się na łokciu. Leżała na plandecce zakrywającej jeden z wykopów. Czowała zapach wilgotnej ziemi.

- Wypij to - powiedziała Rosamaria, podając jej szklankę.

- Co to jest?

- Atol. Papka z gotowanej kukurydzy z solą, cukrem i mlekiem. To na początek.

Potem zabiorę cię, żebyś coś zjadła...

- Nie... Muszę jechać.

- Dokąd?

- Do Atitlan.

- A jaki masz tam interes?

Jeanne z trudem się podniosła i usiadła przy jednym ze stolików, żeby wypić miksturę. Myślała, że zaraz zwymiotuje. Wpatrzyła się w leżące przed nią małe kupki kamieni i ceramicznych szczątków. W końcu poczuła się lepiej.

- Powiem ci, co masz tam zrobić - rzekła Rosamaria. - Odszukasz niejakiego Hansela. To czystej krwi Indianin. Facet zdecydowanie nie jest godny polecenia. Handluje w całym kraju zabytkami prekolumbijskimi. Organizuje nielegalne poszukiwania na jeszcze nieprzebadanych terenach w regionie Peten.

Jeanne podniosła na nią wzrok. Mikstura zadziałała. Szare światło, dziury w ziemi, plastikowe plandeki, wszystko to wydało jej się teraz zupełnie inne. Jakby sama ziemia tchnęła nową energią.

- W jakim celu miałabym się zobaczyć z tym człowiekiem?

- Miał bardzo bliskie kontakty z Roberge'em. Nie pytaj mnie dlaczego. Ten rabuś i ksiądz stanowili dziwną parę... Jeśli jednak chcesz poznać prawdziwe szczegóły tej historii, powinnaś się z nim spotkać...

Jeanne zamierzała podnieść się z krzesła, ale Rosamaria przytrzymała ją za ramię.

- Nie pojedziesz w tym stanie. Nie ma mowy o tym, żebyś mogła prowadzić. Masz samochód?

Jeanne przytaknęła głową.

- Pożyczę ci mojego kierowcę, Nicolasa. Ladino. Caxlano. Zresztą i tak potrzebujesz pośrednika, żeby dotrzeć do Hansela.

Jeanne, jeszcze oszołomiona, po raz drugi skinęła głową. Czuła się osłabiona. Krucha. Zagubiona... A jednocześnie w jakiś sposób odnowiona.

- Ladino? Co to takiego? - zapytała cicho.

Rosamaria splunęła na ziemię.

- Najgorsze plemię, jakie nosiła kiedykolwiek ziemia. W pięćdziesięciu procentach Indianie, w pięćdziesięciu procentach Hiszpanie, a w stu procentach łajdacy. Trzeba się ich wystrzegać. To oni, Ladino, gnębią Indian od wieków. To oni dokonywali najgorszych zdzierstw. To oni obrabowali wieśniaków z ziemi... - Splunęła ponownie. - Złodzieje, gwałciciele, mordercy!

Jeanne aż się uśmiechnęła.

- I takiego człowieka dajesz mi jako kierowcę?

W tym momencie pojawił się wysoki mężczyzna. Około trzydziestu lat, blada cera, łysa czaszka. Ubrany jak północnoamerykański student. Buty firmy Puma. Pikowana kurtka narciarska w kremowym kolorze. Zielona, przeciwpożarna koszulka z logo „Harvard University”.

- Przedstawiam ci Nicolasa. Robi wszystko, żeby wyglądać jak gringo, ale w głębi duszy pozostaje prawdziwym Kicze!

- Kicze?

- To jedna z etnicznych grup żyjących wokół jeziora. Najpiękniejszego jeziora na świecie, chiquita? Od trzech tysięcy lat tereny te są zamieszkane przez Majów. Nic nie było w stanie ich zmienić. Ani jezuici. Ani protestanci. Ani Ladino i ich masakry. - Mrugnęła do

niego okiem. - Jeśli masz coś znaleźć, to znajdziesz właśnie tam, w rejonie tego wulkanicznego jeziora!

52.

Pomyliła się. Antigua nie była wysoko położona. Altas tierras zaczynały się za nią. Dużo dalej. Były znacznie wyższe i było tam znacznie zimniej. W samochodzie szczękała zębami z zimna, obiecując sobie kupić w Atitlan ciepły sweter i szal. Jeanne nie spodziewała się takich temperatur w tropikach.

Siedząc w fotelu obok kierowcy, obserwowała pejzaż. Pasma lasu mieszanego, raz drzewa iglaste, kiedy indziej liściaste, pokrywały wulkaniczne zbocza, kontrastując ze strugami czarnej lawy. Nad nimi przepływały niskie chmury i strzępy mgły.

Przyglądała się Indianom idącym wzdłuż drogi. W każdej wiosce mieli inne ubrania. Skomplikowane desenie w żywych, ciepłych kolorach odcinały się na tle szarego nieba niczym pąki kwiatów skropionych rosą.

- Jak ten kraj ma się rozwijać z takimi pajacami? Oni żyją wciąż w średniowieczu!

Jeanne udała, że nie słyszy. Od chwili wyjazdu Nicolas nie przestawał krytykować Indian, nazywając ich zacofanymi, hipokrytami, tępymi, przesądnymi. Chociaż pochodził z Kiczów, przede wszystkim był Ladino. Nienawidził Majów, pogardzał nimi, uważając, że nie są wcale lepsi od karaluchów, które znajduje się pod kamieniami.

Gdy skończył rasistowskie wywody, przeszedł na inny, nie mniej absorbujący go temat. Wszyscy mieszkańcy Ameryki Środkowej to miernoty. Nikaraguańczycy byli już martwi. Kostarykanie nie mieli żadnej kultury. Panamczycy sprzedali się Stanom Zjednoczonym. I tak dalej...

Jeanne w trakcie tego gadania zasnęła. Obudził ją chłód. Drżąc z zimna, sięgnęła do torby leżącej na kanapie. Wyjęła luźno tkane polo, żeby jakoś przetrzymać do miasteczka, w którym zaopatrzy się w coś ciepłego.

- Widziała pani tych głupków?

Nicolas wskazał na robotników stłoczonych w otwartej furgonetce, która jechała przed nimi. Wszyscy byli w tradycyjnych ubiorach. Niczym pstre koguciki siedzieli z ponurymi minami na stosach jabłek, bananów i innych owoców.

- Wie pani, dlaczego są tacy niezadowoleni?

- Jest im zimno?

- Ależ skąd! To są nowożeńcy. Przewożą owoce. To inicjacyjny rytuał. Przed wyjazdem powstrzymywali się od aktywności seksualnej.

- Dlaczego?

- Żeby ich energia seksualna przeszła na owoce i przyspieszyła ich dojrzewanie. Jeśli owoce dojrzeją, zanim przybędą na miejsce, znaczyć to będzie, że odnieśli sukces. Niezły pomysł, co?

Jeanne nie odpowiedziała. Pomyślała, że ona w swoim stanie abstynencji mogłaby spowodować dojrzewanie całego sadu... Zaczynała jednak mieć już dosyć szyderstw kierowcy. Chyba to wyczuł, bo powiedział spokojniejszym tonem:

- Dojeżdżamy do Solola. To stolica tego departamentu.

Domy z wysuszonej na słońcu cegły, cementu i grubych kamieni. Afisze z reklamami. Nowoczesne, kolorowe sklepy z neonami, z niepotrzebnymi towarami przywodziły na myśl przewrócony kosz na śmieci... Mimo zamglonego powietrza, mimo wilgotnej, szarej pogody różne szczegóły zdradzały wyraźnie, że jest to strefa tropików. Nad tanimi przenośnymi garkuchniami obsługiwanymi przez młode dziewczyny w dziurawych swetrach unosiły się spirale ciemnego dymu, zapachy węgla drzewnego, smażonej oliwy i pieczonej kukurydzy, co stanowiło kwintesencję tej części świata...

- Jeszcze kilka kilometrów i będziemy nad jeziorem.

Znowu zmiana ubiorów. Mężczyźni w haftowanych spodniach, w koszulach z Dzikiego Zachodu, w białych teksaskich kapeluszach z bardzo szerokim rondem. Kobiety ubrane na niebiesko, różowo, fiołkowo... Na plecach nosły drewno, na brzuchu małe dzieci, w szalu owiniętym wokół głowy. Imago mundi, obraz świata.

- Jesteśmy teraz w strefie Kiczów - powiedział Nicolas i dodał niespodziewanie uczonym tonem: - Mieszkający wokół jeziora Kiczowie dzielą się na wiele wspólnot językowych: Kakchiquel, Tzutuhil, Kiczowie... Zresztą to dość skomplikowane.

Jeanne zapytała podstępnie:

- Pan pochodzi z plemienia Kiczów, prawda?

Nie odpowiedział. Na zakręcie ukazało się jezioro. Idealnie gładka srebrzysta powierzchnia wody przypominała sierść dzikiego zwierzęcia, pantery lub jaguara. Jednak jego brzegi były tak odległe, że znikwały we mgle. Z tego samego powodu nie widać było usytuowanych nad jeziorem trzech wulkanów. Jeanne była rozczarowana. Spodziewała się pięknego widoku jak na kartce pocztowej. Jeziora obramowanego lasem i skałami bazaltowymi. A tymczasem zobaczyła tylko gubiącą się w chmurach ogromną monotonną taflę wody.

Panowała tu atmosfera niepokoju. Wydawało się, że zmagają się ze sobą dwie siły - narodziny, początek świata Majów z jego oparami i legendami. Ale również śmierć i związane z nią zniszczenie i agonia. Jeanne wiedziała, że wokół tego wulkanicznego jeziora działania wojska przeciw indiańskiej rewolcie były wyjątkowo brutalne i że okolice Atitlan stały się sceną prawdziwego ludobójstwa.

Nicolas zatrzymał samochód i zachęcił ją do wyjścia. Po czym rozłożył ramiona, stanąwszy twarzą do jeziora.

- Centrum świata Majów. Pępek ziemi i nieba! Znajdziesz tu wszystko, czego szukasz, Juanita. Grupy etniczne najbardziej tradycyjne w Gwatemali. Najstarszych bogów Indian Majów. Ale również mistyków, autostopowiczów, hipisów, narkomanów... Atitlan to nasze Goa!

Jeanne nie pojmowała przyczyn jego nagłego entuzjazmu. Nie skomentowała tego. Zapadał zmrok. Zaczęła się bać. Coraz bardziej czuła się zagubiona. Dokąd zmierza? Czego szuka w tym miejscu?

Wsiadli z powrotem do samochodu. Pojechali wzdłuż brązowo-zielonych zboczy pagórków. Aż dotarli do hotelu ukrytego w sosnowym lesie. Był to przypominający ranczo budynek z drewna, zwrócony frontem do jeziora. Prawdziwa gratka dla turystów. Nie napotkali jednak nikogo.

Nicolas zatrzymał się przed wejściem i przez otwarte okno wdał się w rozmowę z mężczyzną około czterdziestu lat, z brązową twarzą pod szerokim kapeluszem. Mówili między sobą tak szybko i z takim akcentem, że Jeanne nie rozumiała ani słowa. Domyśliła się, że kowboj był dzierżawcą lub właścicielem hotelu.

Nicolas wjechał na parking.

- Ten człowiek to Maj czy Ladino? - zapytała Jeanne.

- Juanita - odrzekł Nicolas z pewnym zdziwieniem - nie zauważyłaś jego oczu?

- A co w nich takiego było?

- Były niebieskie.

Powiedział o tym szczególe, jakby opisywał jeden z cudów świata. Nicolas znowu stał się Ladino, który marzy o jasnej cerze i amerykańskiej nowoczesności.

53.

Kiedy Jeanne znalazła się w pokoju hotelowym wyłożonym drewnem jak kabina na

statku, z oknem wychodzącym na ogród jak dżungla, sprawdziła swoją pocztę głosową i esemesy. Miała kilka wiadomości. Reischenbach prosił o jak najszybszy kontakt. Był też telefon, którego najmniej się spodziewała - od Thomasa.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Thomas - jej wielka miłość. Mężczyzna jej życia. Człowiek, dla którego gotowa była poświęcić wszystko. Thomas oszust. Kłamca. Drań. Widocznie jego planom małżeńskim musiało stanąć coś na przeszkodzie, skoro przypomniał sobie o swojej starej przyjaciółce Jeanne... Pomyślała o ogromnym dystansie, który dzielił ją teraz od tego człowieka. Nie pamiętała nawet dokładnie rysów jego twarzy. A kiedy wysiliła bardziej pamięć, widziała tylko jego wady - egoizm, hipokryzję, podłość, skąpstwo...

Prawdę mówiąc, jedynym prezentem, jaki jej kiedykolwiek zrobił, było to śledztwo. Czy powinna mu za to dziękować?

Skasowała wiadomość, numer i wspomnienie o facecie, po czym zadzwoniła do Reischenbacha. W Paryżu była godzina druga w nocy. Nie szkodzi. Obudziła go. Przedstawiła nowe fakty, ukrywając niemalą część z nich. Nie miała czasu wchodzić w szczegóły.

- Dlaczego do mnie dzwoniłeś? - zapytała. - Masz jakieś wiadomości?

- Jeden drobiazg. Ekipy Batiza ciężko pracują, ale ja odkryłem jedną rzecz. Wciąż chodziło mi po głowie, że jeśli Nelly Barjac dostała przesyłkę przez UPS związaną z morderstwami, to może i tamte kobiety też coś takiego otrzymały. Sprawdziłem w mieszkaniach Marion Cantelau i Franceski Tercii.

- Jak na policjanta odsuniętego od tej sprawy dużo ryzykujesz - zauważyła Jeanne z ironią.

- Marion nie dostała nic. Ale Francesca otrzymała na adres domowy szóstego kwietnia dwa tysiące ósmego roku przesyłkę dostarczoną przez firmę Fedex.

- Od Manzareny?

- Nie. Z Instytutu Agronomii w Tucuman w Argentynie.

- Znasz nazwisko nadawcy?

- Nazwisko napisane było na fakturze. Jorge De Almeida.

- Kto to taki? Specjalista od agronomii?

- Nie. Zadzwoniłem tam. Nie było to łatwe. Nie mówię po hiszpańsku, ale mam w mojej grupie Brazylijczyka, który biegle mówi...

- Dobra. Czego się dowiedziałeś?

- W instytucie znajduje się pracownia badań paleontologicznych. Inżynierowie agronomii użyczają badaczom narzędzi i różnego sprzętu do kopania. Nie do końca

zrozumiałem. W każdym razie De Almeida jest paleoantropologiem.

Jeanne przysłała do głowy nagłą myśl.

- W jakim jest wieku?

- Ma około trzydziestu lat.

Francesca Tercia studiowała paleoantropologię na uniwersytecie w Buenos Aires. Jest możliwe, że Francesca i Jorge znali się od czasów studiów. Jeanne przypomniała sobie zdjęcie grupy w kampusie uniwersyteckim, które widziała w atelier w Montrevil. Na tym zdjęciu głowa jednego młodzieńca o sympatycznym wyglądzie otoczona była obwódką, a nad nią widniał napis: Te quiero! Jeśli tym zakochanym był właśnie Jorge De Almeida?

- Rozmawiałaś z De Almeidą?

- Nie udało mi się. Zniknął.

- W jaki sposób?

- Podczas jakiejś ekspedycji. Nie zrozumiałem gdzie.

- Możesz mi przesłać jego zdjęcie?

- Postaram się... A czy nie chcesz sama tam zadzwonić?

- Nie chciałam ci dać numeru, kiedy cię o to prosiłam, to teraz wypchaj się. Muszę pójść tutejszym tropem.

- Zgoda.

- Dzięki, Patrick. Nic cię nie zmuszało do...

- Francois Taine był także moim przyjacielem.

- Dowiedz się jeszcze czegoś o paczce z Fedeksu. Chcę wiedzieć, co De Almeida przesłał Francesce.

- Jasne, koleżanko.

- Liczę na ciebie - powiedziała i się rozłączyła.

Szła do łazienki, kiedy zadzwonił telefon hotelowy. Nicolas. Czekał na nią w recepcji. Była już godzina dwudziesta i jego zdaniem dalsza zwłoka może spowodować, że ich wyprawa stanie się jeszcze bardziej niebezpieczna.

54.

Hansel mieszkał w Panajachel nad brzegiem jeziora Atitlan. Miasto leżące na zboczu, dużo mniejsze niż Solola. Labirynt malutkich domków z cementu, glinianej cegły, z blaszanymi dachami. Zmuszeni byli zostawić samochód i przesiąść się do trójkołowego

samochodziku z silnikiem strzelającym jak petarda, który bez trudu wjeżdżał w najbardziej wąskie uliczki. Nicolas wydawał się zaniepokojony tym, że musi zostawić mitsubishi na parkingu. Dał kilka quetzali chłopcom, by go pilnowali, ale i do nich nie miał chyba zaufania. Wszystko budziło w nim niesmak i pogardę.

Jechali pod górę przez źle oświetlone centrum. Widać tu było wszystkie atrybuty tropikalnego miasta. Anemiczne latarnie. Płatanina kabli idących górą. Kągłe, czarne kobiety stojące przy terakotowych płytach i przewracające placki omletowe to na jedną, to na drugą stronę z regularnością zegara. Ponurzy, pomarszczeni mężczyźni, siedzący grupkami na gankach domków, nad czymś rozmyślający. Niczego nie brakowało oprócz ciepła. Tego wieczoru było tak zimno, że nad każdym najmniejszym przedmiotem unosił się obłok pary. Miasto parowało niczym wilgotna ziemia...

Trójkółowy samochodzik kontynuował podróż przez labirynt uliczek. Gdy znalazł się na szczycie miasteczka, zaczął zjeżdżać w dół nowym objazdem. Jeanne wydało się, że widzi w dole jezioro. Jego wodne lustro przywodziło na myśl niebo z gwiazdami odbijającymi światło księżyca...

Nicolas zaciskał zęby. Zamiast niesmaku na jego twarzy pojawił się niepokój. Znajdowali się teraz w poblacióń. Dzielnica dla ubogich. Cement i gliniana cegła ustąpiły miejsca dachom z plastiku, ścianom z kamienia i suszonego błota. Baraki wspierały się jeden o drugi, żeby się nie rozpaść. Uliczkami ściekała brudna woda, walały się na nich odpadki, wałęsały się psy i świnię, bawiły dzieci. Na podwórkach z klepiskiem widać było rozpadające się stare motocykle z oponami do połowy zatopionymi w kałużach. Wszystko w czerwonym, krwistym kolorze. Dzielnica niczym obdarty żyweć ze skóry jakiś organizm, gdzie ulice i rynsztoki stanowiły jego wnętrzności...

Co jakiś czas Nicolas kazał kierowcy zwalniać, by zapytać o drogę pobladores, którzy odpowiadali cichym głosem. Jeanne nic nie rozumiała - obcy akcent, ciemności, zimno, wszystko zakłócało jej percepcję. Taka przerwa trwała nie więcej niż kilka sekund, ale wystarczyła, żeby wyskakiwały niczym nietoperze hordy dzieciaków z wyciągniętymi rękami, czepiających się pojazdu, błagających lub rzucających przekleństwami. Jeanne zaczął się udzielać strach Nicolasa. Potem samochodzik ruszał i zapominała o lęku. Aż do następnego postoju.

W końcu dotarli. Melina Hansela znajdowała się w garażu zbudowanym z najprzeróżniejszych materiałów, podobnym do tych, które mijali po drodze. Goła żarówka nadawała brudnemu wnętrzu wygląd jaskini Ali Baby. Jeanne wyobrażała sobie inaczej kryjówkę rabusia świętyń Majów.

Nicolas wysiadł.

- Poczekaj tu na mnie.

Poszedł w stronę garażu. Jeanne została sama. Żadnych żebraków. Żadnego motłochu. Nie tak źle. W świetle latarń widziała w uliczce jedynie jakieś dziecko babrające się w czarnym błocie. Wyglądniałe psy z zapadniętymi bokami szukające czegoś do zjedzenia. Nadpsute, na pół zmrożone kawały mięsa na drewnianych kozłach. Jeanne szczękała zębami. Ze strachu, z zimna, z głodu. Nie miała jeszcze okazji kupić sobie swetra.

Wysiadła z samochodziku i odważyła się zajrzeć do garażu. Nicolas rozmawiał z krępy, niskim mężczyzną, odwróconym do niego plecami. Usłyszała ostry, ochrypły głos właściciela garażu:

- No me gustan los gringos...

Dobrze się zaczynało. Postanowiła wejść nieproszona, przeciwstawiając się regułom tego macho.

- Y el dinero? Te gusta?

Nie podobają mu się cudzoziemcy? To może spodobać mu się ich pieniądze?

Jeanne powiedziała to przesadnym gwatemalskim akcentem. Hansel odczekał chwilę, po czym się odwrócił. W blasku żarówki ukazał się mężczyzna z bardzo brązową skórą, równie szeroki, jak wysoki. Ubrany w usmolony kombinezon i obszarpany sweter. Ręce w kieszeniach. Nogi krzywe jak nawiasy.

Bez słowa podszedł do Jeanne. Spodziewała się starszego człowieka, tymczasem on nie miał pięćdziesięciu lat. Na jego guzowatej twarzy niemal wyczuwało się połamane kości pod ciemną skórą porytą bliznami, wśród których można było dostrzec rysy twarzy i spojrzenie skośnych, indiańskich oczu przenikających człowieka na wskroś.

- Chela, wystarczy, że sprzedam jakiś posążek i mogę sobie kupić dziewczynkę w twoim rodzaju.

Jeanne poczerwieniała na tę obelgę. Nicolas zbliżył się z zaciśniętymi pięściami. Hansel nagle się uśmiechnął.

- Żartowałem, companera. - Splunął tak zręcznie, że jego ślina wylądowała w samym środku stosu opon. - *Mea culpa*.

- No więc? - zapytała Jeanne, nie czując się zbyt pewnie.

- Co chcesz wiedzieć? Nie potrafię się oprzeć takim jak ty ślicznotkom.

Przesłał jej pocałunek. Nicolas postąpił jeszcze jeden krok, ale Jeanne powstrzymała go gestem ręki.

- Interesuje mnie Pierre Roberge.

Hansel gwizdnął.

- To stara historia.

- Kim był dla pana?

- Przyjacielem. - Położył rękę na sercu. - Prawdziwym przyjacielem.

- Jak się poznaliście?

- Skomplikowana sprawa. W osiemdziesiątym drugim roku faceci z G2 znaleźli w moim garażu płaskorzeźby. Aresztowali mnie, solidnie sprali i pewnie by zabili, gdyby Roberge nie zainterweniował.

- Dlaczego to zrobił?

- Bo znaliśmy się dobrze. Od czasu do czasu wypijaliśmy po szklaneczkę. Poza tym nie mógł patrzeć na przelewanie krwi, wszystko jedno czyjej.

- Co powiedział?

- Że te fragmenty ze świątyni należą do jezuickiej misji archeologicznej. Wówczas dużo ich pracowało w rejonie Tikal. Pokazał jakieś upoważnienia, nie wiem co jeszcze. Powiedział, że powierzył mi te płaskorzeźby, bo obawiał się, że mu je ukradną w szpitalu. Żołnierze nie uwierzyli w ani jedno jego słowo, ale Roberge powiedział, że mogą sobie zatrzymać to, co skonfiskowali. Wszystko odbyło się tak, jak w pewnej francuskiej powieści, gdzie galernik okrada księdza, który przyjął go w swoim domu...

- W *Nędznikach*.

- Tak, w *Nędznikach*.

- Co było potem?

- Potem staliśmy się prawie nierozłączni.

- Pamięta pan chłopca?

- A jakże! Jego czarną duszę. Istny diabeł.

- Czy uważa pan, że był autystyczny?

Hansel splunął ponownie między opony.

- Autystyczny, moja dupko. To był wcielony demon.

A więc powrót do starych, poczciwych przesądów.

- Nigdy nie patrzył nikomu w oczy - kontynuował rabuś. - Nawet Roberge mu nie ufał. Cały czas bał się, że chłopak robi coś strasznego. Często o tym rozmawialiśmy. Wierzył, że ten dzieciak został mu przysłany przez Boga. Ja powiedziałbym, że raczej przeciwnie, że tego bękarta zesłał mu diabeł.

Handlarz mówił wysokim, drżącym, jakby zardzewiałym głosem.

- Nigdy nie wspomniał o pochodzeniu chłopca?

- Nie. - Hansel przeciągnął ręką po nieogolonym podbródku. - Ale rzecz ciekawa...

- Co takiego?

- Roberge obawiał się, że ktoś przyjdzie go zabrać... Zawsze był w pogotowiu. Nie wyobrażam sobie, kto mógłby chcieć zabierać mu takiego potwora...

Jeanne nie śmiała wyjąć notesu.

- Proszę mi powiedzieć, na czym polegał ten jego złośliwy charakter.

Hansel wzruszył ramionami. W dalszym ciągu nie wyjmował rąk z kieszeni.

- Cały czas siedział w swojej kryjówce. Wychodził tylko wieczorami. Prawdziwy wampir. Kiedyś Roberge powiedział mi, że chłopak widzi w nocy.

- Czy może miał jakieś problemy z rękami?

- A jakże! Któregoś dnia byłem świadkiem jego ataku. Tarzał się na ziemi. Ryczał niczym jaguar. Nagle uciekł pod barak. Biegł na czworakach, bardzo szybko, z dłońmi skręconymi w drugą stronę. Zupełnie jak małpa!

Pierwszy konkretny element łączący przeszłość z teraźniejszością. Złe dziecko z 1982 roku. Zabójca kanibal z ostatnich dni.

- Proszę opowiedzieć o zabójstwie tej młodej Indianki.

- Nie pamiętam już, kiedy to było.

- Zostawmy daty.

- Dziewczyna mieszkała koło Santa Catarina Palopo nad jeziorem. Nie wyjaśniono nigdy, co się dokładnie wydarzyło, ale kiedy ją odnaleziono, była rozszarpana na kawałki i do połowy zjedzona.

- Pierre Roberge powiedział panu o tym morderstwie?

- Nie. Dowiedziałem się potem, że on natychmiast do tego się przyznał.

- Co pan o tym sądzi?

Hansel znowu splunął. Na półkach wokół niego ułożone były lub zawieszane części metalowe, zderzaki, tablice rejestracyjne. W złotawej poświacie żarówki całe to żelastwo miało wygląd drogocennych przedmiotów.

- Idiotyzm. Roberge nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Dlaczego sam się oskarżył?

- Żeby uchronić swojego demona.

- To Joachim zabił tę dziewczynę?

- Jaki Joachim? Chłopak miał na imię Juan.

Jeanne bezwiednie pomyliła imiona. Ale jednocześnie wiedziała - czuła - że chodzi o tego samego chłopca.

- No tak, Juan. Dlaczego uważa pan, że to był on?

- Bo robił straszne rzeczy. Kiedyś przyłapano go w kurniku, jak pił krew kur, zjadał je żywcem. Potwór.

Jeanne poznawała coraz lepiej zabójcę. Niemal fizycznie czuła jego bliskość... Przypomniała sobie, co działo się dalej. Uwolnienie Roberge'a. Jego samobójstwo. Jeden szczegół nie dawał jej spokoju.

- Słyszałam, że Roberge zastrzelił się. Gdzie zdobył broń?

Hansel wybuchnął śmiechem.

- Nie ma pani pojęcia o tamtej epoce. Była wojna, seño-ri-ta. - Rozdzielał sylaby, żeby podkreślić naiwność Jeanne. - Roberge ukrywał w swoim szpitalu rannych guerilleros. Miał w ogrodzie zakopany prawdziwy arsenał.

- Rozumiem. Czy rozmawiał pan z nim, zanim popełnił samobójstwo?

- Nie. Ale zostawił mi list.

- Zachował go pan?

- Nie. Prosił w nim, bym zajął się jego pogrzebem. Nikt inny nie zechciałby tego uczynić. Jezuita, który strzelał sobie w łeb. Nawet wtedy było to źle widziane. Wyjaśnił, jak chce być pochowany, co ma być napisane na grobie.

- Epitafium?

- Tak, po łacinie. Nie pamiętam już jakie.

- Gdzie znajduje się grób?

- Na cmentarzu w Solola. A właściwie obok cmentarza. Mieszkańcy nie chcieli, by duchowny, który sam się zabił, leżał pośród ich zmarłych. - Hansel przeżegnał się. - To przynosi pecha.

- Czy to wszystko?

- Nie. Poprosił mnie o coś bardzo dziwnego.

- Mianowicie?

- Żebym razem z nim zakopał jego osobisty dziennik, „klucz do wszystkiego”, jak to określił. Umieściłem go pod jego głową.

Bez chwili zastanowienia Jeanne zapytała:

- Ile pan chce za ten dziennik?

- Chela, nic nie zrozumiałaś. Powiedziałem, że pochowałem go razem z nim.

- A więc ile za odkopanie księdza?

Hansel znieruchomiał. Nicolas zdrętwiał.

- Majowie nie robią czegoś takiego.

Po raz pierwszy Nicolas zdawał się zgadzać z tym karłem. Hansel trząsł się ze złości. Jego prawa noga drgała. Jeanne złękła się, że chwyci maczetę i odetnie jej głowę. Ale uśmiech wrócił na jego twarz. Pojawił się na niej wyraz chytrłości.

- To cię będzie kosztowało tysiąc dolarów, neña. Otwieranie grobów to moja specjalność.

- Pięćset.

- Osiemset.

- Sześćset.

- Siedemset. A ten twój niby-białas pójdzie ze mną. Będę potrzebował pomocy.

Jeanne popatrzyła pytająco na Nicolasa. Mrugnął potakująco oczami. Nie mógł okazać się tchórzem wobec Hansela. Jeanne opróżniła kieszenie. Trzysta dolarów.

- Resztę dam, kiedy dostanę zeszyt.

- Proszę przyjść o północy.

- Dziękuję - mruknęła. - Niezły z pana numer.

Hansel znowu się roześmiał.

- Wie pani, po czym poznaje się tutaj nefryt?

- Taki zielony kamień, prawda?

- Jest wiele różnych zielonych kamieni w tym regionie. Bierze pani nóż. Drapie nim po kamieniu. Jeśli zostaje ślad, nie jest to nefryt. Jeśli ostrze nie zostawia śladu, wtedy jest prawdziwy nefryt.

- Na panu nie ma żadnych śladów. Prawda?

- Jak na wszystkim, co jest tutaj cenne.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, Jeanne spojrzała znowu na Nicolasa. Wyglądał na wściekłego. Zrozumiała, że jeśli kierowca ma wziąć udział w tej awanturze, będzie to ją kosztowało dodatkowe siedemset dolarów.

55.

W drodze powrotnej Jeanne znalazła bankomat, zapewne jedyny w tym mieście. Użyła karty Visa i dostała równowartość pięciuset dolarów w quetzalach. Niezłe. Obliczyła, że po kupnie biletu na samolot i opłaceniu pobytu w Intercontinentalu nic jej nie zostanie. Musi czym prędzej skontaktować się ze swoim bankiem i poprosić o przelew trzech tysięcy euro - były to jej wszystkie oszczędności - na konto bieżące. Nie po raz pierwszy pomyślała,

że wydatki doprowadzą ją do zguby. Jednak wraz z ubożeniem zmierzała ku rozwiązaniu zagadki.

Wzięła banknoty i schowała do torebki. Nicolasowi zapłaci, oddając mu swój zegarek marki Cartier - cacko, które w swoim czasie kosztowało dwa tysiące euro. Nie lubiła tego zegarka. Zafundowała go sobie sama i stale jej przypominał, że nigdy nie otrzymała od nikogo żadnego prezentu.

Jeanne umówiła się z Nicolasem na godzinę dwudziestą trzecią trzydziści. Nie miała ochoty jeść z nim kolacji. Ani rozmawiać. Chciała się dobrze zastanowić przed realizacją ostatniego pomysłu - ekshumacją zwłok księdza zmarłego dwadzieścia pięć lat temu, żeby zabrać mu spod pośmiertnego wezgłowia osobisty dziennik.

Weszła pod prysznic. Woda płynęła cienkim, ledwie ciepłym strumykiem. Jednak wycierając się silnie ręcznikiem, rozgrzała się. Na dworze przekrzykiwały się papugi. Gruchały jakby specjalnie dla Jeanne, towarzysząc jej w kąpieli.

Obejrzała się w lustrze. Uznała, że wygląda całkiem nieźle. Odzyskała rumieńce. Przypomniała sobie Juliannę Moore w scenie z filmu Roberta Altmana *Na skróty*, w której aktorka z gołą pupą klóci się z mężem, prasując jednocześnie spódnicę. Ta scena niegdyś ją zaszokowała, a teraz z perspektywy czasu wydała się jej piękna. Sama sobie też wydała się piękna. Świetlista cera, płomieniste włosy - jakby wyjęte prosto z obrazów impresjonistów. Gdyby знаła Auguste'a Renoira... Jej myśli powędrowały ku końcowi XIX wieku. Absynt. Thomas...

Pomyślała, że mogłaby go mieć. Zjeść na surowo. Jednak już tego nie pragnęła. Kolejna myśl. Antoine Feraud? O nim także teraz zapomniała... Czy został w Nikaragui? Czy zrezygnował z dalszego dochodzenia i wrócił do Paryża? A może...

Wyszczotkowała włosy. Wysmarowała kremem całe ciało. Ubrała się. Pierwszy raz od rana zrobiło się jej ciepło w tej maleńkiej łazience pełnej pary. Przestała czuć mdłości. Była sama. Bała się. Ale rzecz dziwna, czuła się silniejsza niż w Paryżu. Żadnej migreny. Żadnych napadów lęków. Uświadomiła sobie, że nie brała effexoru. Znalazła się w naprawdę niebezpiecznej sytuacji. I jakimś cudem było jej z tym dobrze.

Zeszła do sali restauracyjnej. Pusto. Usiadła na oszklonej werandzie od strony jeziora. Przez okna nic nie było widać z powodu zbyt mocno oświetlonego wnętrza. Drewniane stoły. Świece wetknięte w czarne butelki. Na ścianach żółtawy, chropowaty tynk. Wystrój raczej żałobny.

Wybrała na chybił trafił danie o pasującej do otoczenia nazwie: „faszerowane w czerni". Przyniesiono jej kawałki kurczaka pływające w ostrym sosie, ze smażoną cebulą, z

kawałkami marynowanej wieprzowiny i białkami jajek. Do tego ryż. Zabrała się do tego niechętnie. Jedzenie było ostre, tłuste, z gorzkawym smakiem ziemi i korzeni. Smak ten przypomniawszy jej głos Płomienia: „Za człowieka z kukurydzy!”. Straciła apetyt.

- Jak ci smakuje?

Jeanne drgnęła. Obok niej stał Nicolas.

- Próbuję się wzmocnić.

- Wiesz, co mamy robić tej nocy? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy dla Indianina?

Jeanne wzruszyła tylko ramionami, co on mógł odebrać jako pogardę. Ladino poczuł się tego wieczoru Majem.

- Czytałaś *Tintin i świątynia słońca*?

- Dawno temu.

- Tintin i jego przyjaciele mieli zostać złożeni w ofierze bogom inkaskim. Ale Tintin przeczytał w gazecie, że tego dnia wydarzy się zaćmienie słońca. Poprosił, aby egzekucja odbyła się właśnie o tej porze, i udawał, że wzywa słońce, które całkowicie znikło. Przerażeni Indianie puścili ich wolno.

- No i?

- Mel Gibson niedawno wrócił do tego w filmie *Apocalypto*. Znowu naiwni Indianie przestraszeni zaćmieniem słońca...

Jeanne skrzyżowała ręce na piersi i zapytała go, przechodząc na „ty”:

- Do czego zmierzasz?

- Wszystko to ma realne źródło. Rzecz dzieła się w czasach kolonializmu, a pewien pisarz gwatemalski, Augusto Monterroso, opisał to w opowiadaniu *Zaćmienie*.

Jeanne westchnęła. Nie ucieknie przed historią.

- W szesnastym wieku Majowie uwięzili misjonarza Barthelemy'ego Arrazolę. Zamierzali złożyć go w ofierze. Misjonarz przypomniał sobie, że zapowiedziano na ten dzień zaćmienie słońca. Mówił trochę lokalnym językiem. Zagroził Indianom, że zaczerni słońce, jeśli go nie uwolnią. Indianie patrzyli na niego z niedowierzaniem. Zwołali naradę. Związany misjonarz czekał spokojnie, aż go uwolnią. Był pewny siebie. Pewny swojej nad nimi wyższości, wynikającej z jego kultury i jego przodków. Kilka godzin potem, już podczas zaćmienia, leżał bez życia, z wyrwanym sercem, podczas gdy Indianie obojętnymi głosami odczytywali listę wszystkich zaćmień, jakie astronomowie Majów przewidzieli na wieki następne.

Cisza. W sali nie było nawet jednego komara - poleciały gdzieś indziej, w głąb dolin,

gdzie odnalazły dobroczynne ciepło tropików.

- Nie rozumiem morału.

Nicolas pochylił się do przodu. Czarne oczy. Wąska, biała twarz. Ogolona czaszka. Orli nos, zacięte wargi. Jeanne rozpoznała teraz indiańskie rysy ukryte pod zachodnim sposobem bycia. Twarz jakby rzeźbiona w wapiennym kamieniu, niczym piramidy wzniesione przez jego przodków.

- Morał jest taki - odrzekł świszczącym głosem - że mylicie się, traktując nas jak idiotów. Nasze kalendarze z szóstego wieku były tak samo dokładne jak wasze obecne. Któregoś dnia nasz rząd będzie indiański. Jak w Boliwii. Któregoś dnia, już niedługo, będziecie musieli odpowiedzieć za wasze zbrodnie przed naszymi bogami. Popol Vuh mówi: „Nasz lud nigdy nie ulegnie zagładzie. Po dniach żałoby kiedyś w końcu zatriumfuje...”.

Tak więc Nicolas był czystej krwi Majem. Pomimo wyglądu narciarza i jasnej skóry. Mimo rasistowskich poglądów. Miał żal do swojego ludu za to, że się poddawał, że był przesądny, bierny. Wrzał wiecznym gniewem...

Jeanne nagle odniosła wrażenie, że ta noc też jest indiańska.

Wibrująca głuchą wściekłością i zimnem.

A co ona odnajdzie, gdy się skończy ta noc?

56.

Cmentarz w Solola znajdował się w najwyższym punkcie miasta, górując nad jeziorem. Jeanne nigdy nie widziała podobnego miejsca. Wszystkie groby pomalowane były na żywe kolory. Grobowce przypominały pstrokate kabiny kąpielowe w Deauville. W ścianach umieszczono urny z prochami zmarłych. Malowane prostokątne urny i bukiety sztucznych kwiatów tworzyły również różnobarwne plamy. Prawdziwy fajerwerk kolorów.

Hansel, „człowiek nefrytu”, szedł bez wahania, trzymając w ręku olbrzymią latarkę, której promień oświetlał alejkę. Na ramieniu dźwigał łopatę i kilof. Sam sposób, w jaki je trzymał, świadczył, iż był przyzwyczajony do ekshumacji i kopania grobów. Za nim szedł, stawiając ostrożnie nogi, Nicolas. Jeanne już mu dała swój zegarek.

- To tutaj.

Dotarli na koniec cmentarza. Teren urywał się nad przepaścią. Jezioro przed nimi w promieniach księżyca wyglądało jak ogromna, ratunkowa płachta z aluminium. Wyżej cienie wulkanów czuwały nad przyprawiającym o zawrót głowy kraterem, który dał życie światu

Majów. Jeanne pojęła, że w tym urzekającym ją spektaklu tkwi jego własna wieczność. Każda zmarszczka na jeziorze, każda igła sosnowa, każdy podmuch wiatru był taki sam jak na początku...

- Trzeba zejść na dół.

Zbocze opadało stromo. W dole rozciągał się pusty teren pełen śmieci, martwych drzew, splątanych konarów.

- Roberge został tam pochowany? - zapytała Jeanne.

- Mówiłem pani, że Indianie nie chcieli, żeby go pochować obok ich zmarłych.

Jeanne pomyślała ze wzruszeniem o wyklętym przez wszystkich ojcu Roberge, świętym człowieku, który skończył na śmietniku. W zamyśleniu podniosła wzrok ku gwiazdom widocznym na czarnym niebie. Inne gwiazdy połyskiwały niżej, nad zboczem. Pulsujące światełka. Może pochodnie wśród sosen i cyprysów? Gdzieś z oddali dochodził rytm bębna.

- Co tam się dzieje?

- Ludzie z Santiago Atitlan - odrzekł Hansel. - Tzutuhilowie. Przybyli z drugiego brzegu jeziora, aby nawrócić Kakchiquelów z Panajachel.

- Nawrócić na co?

- Na kult Maximona.

- Kto taki „Ma-chi-mó”? - zapytała Jeanne, naśladowując wymowę Hansela.

Rabuś się uśmiechnął.

- Bóg ciemności. Typ zainspirowany postacią Judasza, zdrajcy, który posłał Jezusa na krzyż. Napuszony niczym osioł, zawsze w otoczeniu kilkunastu kobiet, zadzierający nosa. Nosi teksaski kapelusz, fular na szyi i pali cygaro. Obnoszą go po ulicach razem ze świętymi katolickimi. To nasz święty od płodności. Rodzaj demona, który wyskoczył z parującej łaźni. Seksualna energia, witalność, żyzność ziemi. Modlą się do niego o to.

Jeanne patrzyła na światła między drzewami.

- Czczą go właśnie tej nocy?

- W każdą noc, chiquita. Ajkunowie, szamani rozpalają ogniska. Palą żywicę, tytoń. Maximon sprowadza deszcz i dobrą pogodę w Santiago Atitlan. Można go zobaczyć nawet w kościołach na płaskorzeźbach, między Świętą Dziewicą i świętym Piotrem. No dobra. Schodzimy czy nie?

Trzeba było okrążyć ostatnie groby i zejść na sam dół aż do wysypiska śmieci. Chociaż Jeanne miała na sobie conversy, skrzyła kostkę w zaroślach. Czerpała siły z nierzeczywistości tej chwili. Światło. Nieruchome jezioro. Ogniska rozpalone przez Judasza

w teksaskim kapeluszu.

Znalazłszy się na dole, przeszli po desce nad strugą słonawej wody i dotarli do wysypiska śmieci.

- To trochę dalej, na prawo.

Przedzierali się przez zatłuszczone papiery, rozdarte kartony, odpadki organiczne. Szli na ukos, stawiając możliwie jak najdłuższe kroki, jakby pokonywali bagno. Śmierdziało stęchlizną, odchodami, zgniłymi owocami, padliną...

- Już jesteśmy prawie na miejscu.

Jeanne zaciskała zęby. Kolce jeżyn wczepiały się w jej dżinsy, kłuły w kostki u nóg. Dotarli do porośniętego trawą występu między pierwszymi drzewami na zboczu. Znajdował się tutaj grób. Prawdę mówiąc, był to stos wielkich kamieni, które przed obsunięciem się chroniła dziko rosnąca trawa. Kamienie były czarne, matowe. Kawałki lawy.

Hansel wspiął się na szczyt stosu. Podał rękę Jeanne, która również weszła na górę. Choć nikt nie pomógł Nicolasowi, on też znalazł się na ich wysokości. Krótki odpoczynek. Na samym szczycie stosu umieszczono kamienną tablicę:

PIERRE ROBERGE

b. MARCH 18, 1922 in MONS, BELGIUM d. OCTOBER 24, 1982

in PANAJACHEL, GWATEMALA.

Dlaczego po angielsku? Najważniejsze było epitafium napisane poniżej:

ACHERONTA MOVEBO

Te łacińskie słowa coś jej przypominały, ale nie umiała ich przetłumaczyć.

- Po łacinie - mruknął Hansel. - Prosił mnie, abym napisał to na jego grobie.

- Co znaczą te słowa?

- Nie mam pojęcia. Cytat z któregoś z waszych starożytnych poetów. Nie pamiętam którego.

Ustawił latarkę tak, aby oświetlała grób. Chwycił pierwszy kamień, odrzucił na metr dalej i mruknął przez zęby:

- No, białasie, zabieraj się do roboty.

Nicolas bez słowa zaczął mu pomagać. Po kilku minutach odsłonili całkiem grób. Hansel wziął łopatę, Nicolas kilof. Kopali, stojąc obok siebie. Bez porozumiewania się. Pracowali tak, jakby każdy z nich był sam na świecie. Z ich ust ulatywała para.

Mijały minuty. Dziura pogłębiała się, przybierając kształt ciała lub trumny. Jeanne podniosła wzrok. Gładka powierzchnia jeziora bez najmniejszej zmarszczki. Odbicie księżycy w samym jego środku. Palące się poniżej ogniska ku czci Maximona. Znowu odniosła

wrażenie wieczności. Widziała jednak powierzchnię jeziora jak cienką błonę, która w każdej chwili może zostać rozdarta i ukazać coś strasznego.

- Madre de Dios!

Krzyk dobiegł z głębi grobu. Dwaj mężczyźni, oparci o ziemny wykop, stali jak sparaliżowani tym, co ujrzeli. Otworzyli wieko trumny. Jeanne nie od razu zobaczyła, co zawierała. A przynajmniej nie zarejestrowała tego. Nachyliła się i wzięła latarkę od Hansela. Zachwiała się i omal nie wpadła do dołu.

Ciało Pierre'a Roberge'a nie uległo rozkładowi.

Jeanne mogła rozpoznać twarz z fotografii, wychudzoną w zielonkawym, fosforyzującym świetle. Cienka warstewka porostów pokryła ciało mężczyzny i jego zakonny strój katolickiego księdza, chroniąc go przed całkowitym rozkładem. Jediną zmianę stanowiły wysuszone rysy i pustka w oczodołach, dwóch czarnych dziurach wielkości piłek golfowych.

Jeanne opanowała się, przywołując na pomoc rozsądek i posiadaną wiedzę. Zjawisko „samorzutnego braku rozkładu” było o wiele częstsze, niż przypuszczano, i całkowicie niewytłumaczalne. Nieraz, kiedy przeprowadzano ekshumację ciała kandydata do beatyfikacji, właśnie po to, żeby ocenić stan zwłok, okazywało się, że są bardzo dobrze zachowane. Autorytety kościelne ogłaszały wówczas, że zmarł on w aureoli świętości i dlatego jego ciało nie uległo rozkładowi. Gdyby Pierre Roberge był na liście takich kandydatów, z pewnością zostałby natychmiast kanonizowany...

Jakby na potwierdzenie tego obaj mężczyźni padli na kolana i zaczęli się modlić. Z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Jeanne czuła się tak, jakby miała halucynacje. Fosforyzujące, chude, skręcone zwłoki, dwaj Majowie odmawiający modlitwy, ogniska Maximona nad ich głowami...

- Hansel! - krzyknęła, aby przerwać ten stan ekstazy. - Zeszyt!

Indianin nie zareagował. Modlił się z rękami złożonymi na piersi. Nicolas był w takim samym transie.

- Kurwa mać! - krzyknęła ponownie Jeanne. - Bierz ten zeszyt!

Żaden z nich nawet nie drgnął. Nachyliła się nad grobem, opierając się na klęczącym Nicolasiu. Kiedy usiłowała sięgnąć do głowy Roberge'a, zachwiała się i stoczyła do wnętrza grobu.

Pod jej ciężarem ciało pękło niczym szkło. Skóra była nietknięta, ale od środka robaki wykonały swoją robotę. Próbując się podnieść, oparła się o tors ręką, która zapadła się aż po łokieć. Ciało rozpadało się na drobniutkie fosforyzujące kryształki. Jeanne uchwyciła się

drugą ręką brzegu trumny.

Dwaj Majowie w dalszym ciągu się modlili.

- A niech to szlag... - wymamrotała.

W końcu udało się jej obrócić i oparta plecami o wykop, wsunęła rękę pod głowę zakonnika. Leżał tam owinięty plastikiem zeszyt w skórzanej oprawie. Cofnęła rękę, którą obsiadły skarabeusze, wije i błyszczące gnojowniki. Skrzywiła się. Cały czas opierając się plecami o wykop, pomagając sobie łokciami, wydostała się na górę.

Zamierzała już odejść, zostawiając dwóch mężczyzn pogrążonych w modlitwie, kiedy Hansel przypomniał sobie o niej.

- A moja zapłata?! - zawołał, wracając nagle do rzeczywistości.

Jeanne sięgnęła do kieszeni i rzuciła mu quetzale. Deszcz połyskujących banknotów sypiących się na zwłoki był ostatnim obrazem tej sceny, jaki zobaczyła.

Odwróciła się i uciekła biegiem, przyciskając do siebie cenny łup.

Jak na piątek trzynastego miała już dość przygód.

57.

Powrót do hotelu.

Jeanne zamknęła plecami drzwi do swego pokoju. Miała jeszcze twarz czerwoną od biegu. Przed chwilą wbiegła zboczem pod górę, przecięła cmentarz, odnalazła drogę. Trójkołowy samochodzik minął ją... Teraz trzeba o wszystkim zapomnieć. Zacząć od zera. Noc. Jej życie...

Prysznic. Jeszcze mniej wody niż poprzednio. Jeanne znowu wycierała się tak energicznie, aż krew zaczęła mocniej krążyć w żyłach. Naciągnęła na siebie bawełnianą bluzeczkę, kilka polo. Majtki. Spodnie dresowe. Wszystko, co znalazła w torbie... I ciągle było jej zimno.

Biorąc pod uwagę standard hotelu, nie mogła liczyć na to, żeby przyniesiono jej coś na górę, ale w każdym pokoju był czajnik i rozpuszczalna kawa. Nie miała ochoty na kawę, ale zawsze zabierała w podróż zieloną herbatę w torebkach. Czekając, aż woda się zagotuje, stanęła przed podwójnymi drzwiami wychodzącymi na ogród. Wstrząsnęła się na wspomnienie sceny z cmentarza. Zielona twarz. Popękany szkielet. Modlący się Majowie...

Gwizd czajnika przywołał ją do rzeczywistości.

Zaparzyła herbatę. Oczy miała szeroko otwarte. Szczęki zaciśnięte. Bezmyślnie upiła

pierwszy łyk i oparzyła sobie gardło. Tym lepiej. Gorąco. Chciała, żeby gorąco przeniknęło do wnętrza jej ciała, aby całkiem odtajało. Żeby usunęło z niej strach...

Usiadła na łóżku i popatrzyła na leżący na nocnym stoliku zeszyt w skórzanej oprawie, owinięty plastikiem. Zamierzała wziąć go do ręki, kiedy sobie o czymś przypomniała. O szczególe, który chciała wyjaśnić. Wzięła telefon komórkowy i wystukała numer Emmanuela Aubussona. Tutaj była godzina druga w nocy. W Paryżu dziewiąta rano.

- Co słyhać? - zapytał swoim ciepłym głosem, kiedy ją poznał.

- Jestem za granicą. Z powodu mojego dochodzenia.

- Ale czy u ciebie wszystko w porządku?

- Posłuchałam twojej rady. Jestem na tropie zabójcy.

- A więc od tej strony wszystko idzie dobrze.

Ogniska Tzutuhitów nad głową. Ciało Roberge'a pokryte mchem. Ręka zagłębiona aż po łokieć w ciele zmarłego.

- No tak - zaśmiała się nerwowo. - Dzwonię do ciebie po pewną informację.

- Słucham.

- Czy mówią ci coś słowa: *Acheronta movebo*?

- Oczywiście. To cytat z Eneidy Wergiliusza. Całe zdanie brzmi: *Flectere si nequeo superos, Acheronta movebo*. To znaczy: „Jeśli nie wzruszę tych na górze, poruszę Acheron”. Czyli, inaczej mówiąc, poruszę piekło.

Poruszę piekło! Nie można było tego lepiej wyrazić. Roberge wychowywał dziecko ze skłonnościami przestępczymi. Hodował żmiję na własnym łonie. Wziął na siebie odpowiedzialność za jego morderczy czyn. Potem popełnił samobójstwo. Doskonale, idealne epitafium.

- Dzięki, Emmanuelu. Zadzwoń potem do ciebie.

- Będę czekał. Bardzo chciałbym wiedzieć, dokąd cię to wszystko zaprowadzi.

- Będziesz pierwszym, którego o tym powiadomię.

Odłożyła telefon. Napiała się znowu herbaty. Najwyższy czas zajrzeć do plastikowej torebki. Otworzyła ją bardzo ostrożnie, jakby miał z niej wypełznąć wąż. Uświadomiła sobie, że na dworze pada. W środku nocy rozpętała się wściekła ulewa. Ale ona miała schronienie, co przyniosło jej uczucie ulgi.

Kartki zeszytu otworzyły się same. Na jej kolana wypadło z nich zdjęcie. Dobry początek. Podniosła je i przyjrzała się. Serce podeszło jej do gardła.

Na zdjęciu był nagi chłopiec i dwaj uzbrojeni myśliwi. Mężczyźni - Indianie - starali się poskromić chłopca i chociaż próbowali zachować twarz, kulili się ze strachu.

Stojący między nimi chłopiec był potworem.

Mały, rachitycznie chudy, pokryty zwierzęcą sierścią, kawałkami kory, strzępami liści. Jego czarne ciało było pokręcone, asymetryczne, kanciaste z guzami, wrzodami, mięśniami przyklejonymi do kości.

Ale najbardziej odrażająca była jego twarz. Z dzikimi rysami wyrażającymi małpie okrucieństwo. Przypominała Golema z jej koszmarnych snów. Ten potwór był jej znany. To on mruczał piosenkę *Porque te vas*, którą słyszała przez okno w łazience u Antoine'a Ferauda. To on na parkingach łamał kości swoich ofiar, by wyssać z nich szpik...

- Joachim... - szepnęła do siebie Jeanne.

Skupiła całą swoją wolę i zmusiła się do dokładnego obejrzenia tej twarzy. Czarne, skołtunione włosy nigdy nie widziały grzebienia ani nożyczek. Ukradkowe spojrzenie spod nich zdradzało rabusia z dżungli. Twarz siedmio- lub ośmioletniego chłopca, kościstego niczym stuletni starzec. Zęby widoczne w wykrzywionych, wygiętych ustach. Ten sam wyraz okrucieństwa i dzikości, co w jego oczach...

Czarne, rozbiegane, ale wiecznie czujne źrenice. W jego wzroku strach łączył się z agresją. Oczy nie patrzyły na nikogo, uciekały w bok, przerażone własnym okrucieństwem. Pod tą czaszką wrzało, drgało, krzyczało mordercze szaleństwo...

Dziki dziecko...

Dziecko z lasu. Istota ludzka, która nie zaznała dobrodziejstwa wychowywania przez ludzi... Stworzenie będące niewolnikiem przemocy w naturze.

Ta prymitywna przemoc skupiła się w dłoniach chłopca. Krzywe, z haczykowatymi paznokciami dłonie dziecka, a już spracowane. Przede wszystkim jednak były wykręcone do wewnątrz.

Jeanne odwróciła zdjęcie i przeczytała: Campo Alegre, Formosa, 23 czerwca 1981 roku.

Odłożyła zdjęcie na łóżko i zabrała się do zeszytu. Zwróciła uwagę na regularny charakter pisma Pierre'a Roberge'a. Nie było to pismo księdza opętanego przez demona, ogarniętego przerażeniem. Pisał to człowiek całkowicie przy zdrowych zmysłach, który chciał przekazać dokładnie to wszystko, co sam zobaczył.

Przerzucając strony zeszytu, stwierdziła z miłym zaskoczeniem, że tekst jest napisany w języku francuskim.

Usadowiła się wygodnie na łóżku, z plecami opartymi o ścianę.

Uniosła kolana i oparła na nich podbródek.

Pogrążyła się w lekturze.

58.

12 maja 1982 r., misja San Augusto, Panajachel, Gwatemala

Przyjechaliśmy wczoraj. W nocy. Jak złodzieje. Wyprzedziła nas nasza reputacja. Wyczuwam otaczającą nas nieufność. Bardzo krótko przebywaliśmy w Antigui u moich braci od Świętego Ignacego. Wyglądało na to, że chcieli, abyśmy jak najszybciej wyjechali. Tym lepiej. Nie zamierzałem niczego wyjaśniać ani komentować obecności Juana u mego boku. Na razie jedyne, czego pragnę, to zapomnieć o koszmarze przeżytym w Argentynie. Do Panajachel jechaliśmy jeepem. Misja San Augusto znajduje się kilka kilometrów od miasteczka.

W drodze nad jezioro Atitlan byliśmy świadkami sceny, która mówi wiele o tym, co nas czeka. Żołnierze urządzili „lekcję przykładową” dla wieśniaków. Na skraju drogi ustawili kilkunastu więźniów, nagich, okrwawionych, z obrzękłymi twarzami. Niektórzy z nich byli oskalpowani. Inni nie mieli uszu, paznokci, pięt. Kobietom obcięto piersi. Ich ciała nosiły ślady poparzeń, wierceń. Inne nie miały żadnych ran, ale były obrzmiałe niczym pęcherze. Przypuszczam, że dano im lokalną truciznę. Kaci nosili specjalne uniformy. Nazywano ich kaibiles, co w języku Indian oznacza „tygrysy”. Objaśniali dziennikarzom każdą z zastosowanych przez nich tortur. Niczym nauczyciele. Oznajmili, że coś takiego czeka wszystkich subversivos. Na koniec oblali więźniów benzyną i podpalili ich. Ofiary nagle jakby się ocknęły, krzycząc, skręcając, wijąc się w płomieniach. Pozostali wieśniacy, stojąc pod lufami karabinów, nawet się nie poruszyli. Prawdopodobnie nie znali języka hiszpańskiego...

Ten straszny spektakl zafascynował Juana. Ja się modliłem. Zastanawiałem się nad ironią losu. Gwatemala, podobnie jak Argentyna, jest kolejnym krajem okrucieństwa i przemocy. Ale gdzie może być lepsze miejsce dla mnie i Juana?

17 maja 1982 r., San Augusto

Oceńłem pracę, jaką mam tutaj do wykonania. Ogromna. Ale sprawy już zaczynają się układać. Jako kierujący misją muszę teraz dopilnować realizacji bieżących planów. Katecheza. Ogólna edukacja. Opieka lekarska. Lokalna stacja radiowa...

Represje są gorsze niż w Campo Alegre. Żołnierze najpierw strzelają, potem zadają pytania. Kierują się motywacją nie polityczną, lecz etniczną. Powoduje nimi bezgraniczny rasizm wobec Indian. „Mięso dla psów” - jak ich określają.

Jestem tutaj od pięciu dni, a już kilkunastu wieśniaków zostało porwanych lub zabitych w pobliżu misji. Bez racjonalnego powodu. Ich ciała pocięte maczetami na kawałki

odnajdywane są na poboczu drogi. Domyślam się, że wielu catequistas, wolontariuszy, którzy pomagają nam w szpitalu i w sierocińcu, należy do FAR (Zbrojne Siły Rewolucyjne), ale nic o tym nie mówią. Jedyne lekarz znajdujący się tutaj, Gwatemalczyk, nie ufa mi. Indianie mną pogardzają. Moje belgijskie pochodzenie i argentyńska przeszłość upodobniają mnie do misjonarzy z Ameryki Północnej. Prawdę mówiąc, wolę nic nie wiedzieć. W wypadku aresztowania nie będę mógł niczego powiedzieć.

Na razie Juan zachowuje się spokojnie. Ulokowałem go w małym pokoiku obok mojego, w prezbiterium. Pozwalam mu spacerować po ogrodzie pod opieką jednego z pracowników socjalnych. Przedstawiłem go jako sierotę, ale wszyscy zastanawiają się, co nas łączy. Dziecko nieślubne? Kochanek? Nieważne. Nic już nie jest ważne.

Jeanne przerzuciła strony. Zależało jej na tym, żeby znaleźć informacje o tym „koszarze” przeżytych w Argentynie. O pochodzeniu Juana, alias Joachima... Znowu przekartkowała zeszyt. Roberge opisywał kłopoty, jakie miał z Indianami i żołnierzami. Pod datą odnoszącą się do połowy czerwca znalazła wzmiankę o okresie, który ją interesował. Roberge obiecywał sobie dołączyć do tego zeszytu notatki o Juanie, które robił w Argentynie. Na razie nie miał na to czasu.

Następne strony. Dalej nic lub prawie nic o Juanie. Roberge odnotowywał zniknięcia, które zdarzały się coraz częściej. Porwania. Tortury. Okaleczenia. Nie wchodził w szczegóły. Wspominał też o coraz bardziej brutalnym stosunku żołnierzy do niego samego. Rewizje w kościele, szpitalu, prezbiterium...

Jeanne przerzucała dalsze kartki. Tygodnie. Miesiące. Krótkie uwagi na temat Juana. „Zjadł dobrze”. „Śpi normalnie”. „Przyzwyczajają się do klimatu”.

We wrześniu nowe doświadczenie. Porwanie jednej z catequistas. Kobieta o imieniu Alaide została zgwałcona, torturowana, a następnie porzucona w lesie. Otwarte rany bardzo szybko uległy infekcji. Kobieta dosłownie gnęła żywcem. Żołnierze pilnowali, by nikt nie przyszedł jej z pomocą. Od czasu do czasu bili ją i oddawali mocz do jej ust. Ta kalwaria trwała ponad tydzień. W końcu zostawili ciało na pastwę zopilotes - tutejszych sępów. Roberge próbował wszystkiego, żeby jej pomóc, ale na próżno.

W październiku 1982 roku Roberge znalazł w końcu czas i dołączył swoje notatki argentyńskie. Dotyczyły nie roku 1982, lecz 1981. Nie był to już łagodny klimat jeziora Atitlan, lecz upał północno-wschodniego rejonu Argentyny. Wspólnym elementem były wojskowe represje. Jedyną różnicą polegała na tym, że ofiary sprowadzano z całej Argentyny do wojskowej bazy noszącej tę samą nazwę co miasteczko - Campo Alegre. I że wszystko działo się w obrębie ogrodzenia obozu koncentracyjnego.

20 maja 1981 r., Campo Alegre

Dwa dni temu pewna kobieta dokonała dziwnego odkrycia w okolicy miasteczka. Napotkała w lesie stado wrzeszczących małp, które tu nazywają monos aulladores negros - to tutaj najczęściej występujący gatunek. Kobieta zbierała drzewo w pobliżu laguny, w strefie, którą nazywają „Las Cieni” (Selva de las Almas). Małp było około dwudziestu, uczepionych gałęzi, schowanych wśród liści. Zazwyczaj straszą, żeby odpędzić intruza, a gdy to nie pomaga, uciekają. Tym razem nie ruszyły się z miejsca, krzyczały, machały łapami, spoglądając na kobietę złym wzrokiem.

Indianka nie dała się zastraszyć. Waląc kijem ze wszystkich sił, zmusiła je do ucieczki. Podeszła do drzewa bronionego przez małpy. U jego stóp siedziała małpa różniąca się od reszty. Czarna. Niezgrabna. Jęcząca. Najwyraźniej nie zdołała wdrapać się na drzewo.

Kiedy kobieta przyjrzała się jej lepiej, osłupiała. Był to chłopiec oblepiony liśćmi, korą, strzępami sierści. Miał zranioną nogę i nie mógł się ruszać. Kobieta poszła po pomoc. Po godzinie przybyli mężczyźni, przepędzili małpy, które już zdążyły wrócić, i zabrali na pół omdlałe dziecko. Z tego, co mi opowiedziano, włożyli je do worka. Jestem pewien, że musieli obchodzić się z nim brutalnie.

Moja pielęgniarka, która mieszka w Campo Alegre, widziała chłopca. Według niej ma sześć do ośmiu lat. Jest bardzo chudy. Straszliwie śmierdzi. Wokół niego krążą muchy. Jest oblepiony sierścią małp i innymi śmieciami. Gęste czarne włosy przesłaniają mu twarz. Z ust sphywają strużki śliny. Ma długie zakrzywione paznokcie obrośnięte ziemią. Śpi dużo, a kiedy się budzi, jest bardzo agresywny. Pielęgniarka uważa, że ma poważnie zranioną nogę. Trzeba go pilnie poddać leczeniu. Pójdę tam dziś wieczorem z moim lekarzem Tomasem. Udzielimy mu pierwszej pomocy na miejscu, po czym zabierzemy go do sierocińca.

21 maja 1981 r.

Niebywale. To jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy. To naprawdę dzikie dziecko. Kiedy tylko je zobaczyłem, przypomniałem sobie, co czytałem i widziałem w kinie. Dzikie dziecko z Aveyron. Dwoje dzieci-wilków z Indii, Amala i Kamala. Kilka lat temu słyszałem o podobnym wypadku w Burundi...

Podpisałem zobowiązanie w urzędzie miejskim w Campo Alegre i przetransportowaliśmy chłopca do szpitala. Wykąpaliśmy go. Obcięliśmy włosy i paznokcie. Pierwsza niespodzianka - to nie było dziecko indiańskie. Chłopiec miał białą skórę. Czarne oczy. To świadczyło o hiszpańskim pochodzeniu. Drugie spostrzeżenie - jego ciało pokryte było bliznami. Ukąszenia. Zadrapania. Cięcia. Trzecia uwaga - rana na nodze nie była poważna.

Tomas zrobił mu zastrzyk z penicyliny. Zbadaliśmy go. Trudno ocenić prawdziwy wiek chłopca. Sądzę, że ma sześć lub siedem lat. Jest chudy - waży trzydzieści dwa kilogramy - ale jednocześnie bardzo umięśniony. Cierpi na okropne bóle brzucha i zarażony jest malarią. Dokładniejsze badanie z pewnością wykaże inne jeszcze choroby...

Patrzyłem, jak Tomas bada Juana - tak nazwali go mieszkańcy miasteczka - i zastanawiałem się, ile czasu przeżył w lesie. Jak zdołał przetrwać w środowisku, które trudne byłoby do zniesienia nawet przez jeden dzień dla zwykłego człowieka? Upał. Owady. Stałe zagrożenie ze strony dzikich zwierząt w wodzie i na lądzie. Jak się bronił? Czy rzeczywiście był pod opieką wrzeszczących małp?

Na razie robi wrażenie, jakby nic nie widział, nic nie słyszał. Stałe mruga oczami, przewraca powieki. Juan nie reaguje na silne dźwięki, ale podskakuje przy najmniejszym szmerze. Lekarz stwierdził stanowczo, że nie ma żadnego powodu uważać, że chłopiec jest głuchy lub niemy. Mimo to wydaje się całkowicie obojętny na świat zewnętrzny. Bez przerwy kołysze się to w przód, to w tył. Przypomina mi autystyczne dzieci, które widziałem w Brukseli, kiedy byłem jałmużnikiem w tamtejszych szpitalach.

Skąd pochodzi? Może został porzucony przez rodziców z miasteczka? A może sam uciekł z domu rodzinnego z jakiegoś powodu? Inna możliwość - pochodzi z wojskowej bazy, gdzie czasami bywają dzieci. Jeśli to chłopiec stąd, zostanie szybko zidentyfikowany. Ale jeśli jest z wojskowego obozu, sprawa będzie bardziej skomplikowana. Żołnierze nigdy się do niego nie przyznają.

25 maja 1981 r.

Umieściliśmy Juana w żelaznym ogrodzeniu na uboczu, żeby inne dzieci nie przychodziły go prowokować. Kiedy czuje na sobie czyjś wzrok, ogarnia go panika. Miota się na wszystkie strony. Potem zapada w sen. A kiedy się budzi, ciągnie za sznur - musieliśmy go przywiązać, bo ranił się o kraty. Przypominam sobie słowa Jezusa ze świętego Mateusza: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię”-

Karmimy go. Godzi się jeść marchewkę, kolby kukurydzy, ale woli owoce i ziarna. Kiedy je, ma strach w oczach. Jakby się bał, iż ktoś zabierze mu jedzenie. Z pewnością wspomnienie z pobytu u małp.

Podczas snu cały czas się rusza. Przez twarz przebiegają mu nerwowe tiki. Spazmy wstrząsają jego ciałem. Jest w permanentnym stanie czujności. A jednak w takich właśnie momentach łatwiej odróżnić w nim pod pozorami dzikości istotę ludzką. Juan ma regularne

rysy. Smukłe przeguby. Kim on jest?

29 maja 1981 r.

Tydzień badań i obserwacji. Bilans przygnębiający. Malaria potwierdzona. Przewód pokarmowy roi się od pasożytów. Liczne infekcje. Tomas przypisał końską kurację na bazie antybiotyków. Teraz trzeba czekać.

Jeśli chodzi o zachowanie, dalej nic dobrego. Juan siedzi skulony w kącie ogrodzenia i pojękuje. Twarz ma ukrytą pod włosami, które nawet po ostrzyżeniu są dość długie. Zamierzam wkrótce zabrać się do jego edukacji, ale muszę zacząć od zera.

Od tego, żeby chodził na dwóch nogach. Jednego jestem pewien. To dziecko jest darem od Boga. Przyrzekłem sobie, że je ocalę.

6 czerwca 1981 r.

Żadnego postępu. Juan nie reaguje na bodźce zewnętrzne. Nie chce stanąć na dwóch nogach. Pogrąża się w beczynności. Budzi się tylko po to, żeby jeść. Odkryłem, że lubi daktyle. Bez wątpienia jadł je u małp. Tomas mówi, że trzeba mu dawać mięso. Żeby mógł rosnąć.

7 czerwca 1981 r.

Tej nocy poszedłem odwiedzić Juana. W tym momencie chmara nietoperzy opadła nasz żywy inwentarz. Nie było ich widać, ale się je słyszało. Uderzenia skrzydeł. Odgłos ssania.

W takiej ponurej atmosferze odwiedziłem Juana. Nie spał. Spokojnie rozglądał się wokół siebie. Nagle pojąłem, że on widzi w ciemnościach. Podobnie jak nietoperze, które popiskiwały za moimi plecami i atakowały woły... Przestraszyłem się.

16 czerwca 1981 r.

Od trzech dni w sierocińcu przebywa Carlos Estevez, etolog z miasta Resistencia. To specjalista od wrzeszczących małp. Dzięki niemu lepiej mogliśmy się przyjrzeć Juanowi.

Tego rana, gdy piliśmy napój z tutejszego ostrokrzewu, nagrałem rozmowę z Estevezem na kościelny magnetofon. Przepisuję tutaj słowo po słowie fragment, który dotyczy Juana...

Jeanne przetała oczy. Godzina czwarta rano. Fakty te miały niewątpliwe powiązanie z morderstwami. Profil dzikusa zabójcy...

Zaparzyła sobie znowu zieloną herbatę i zaczęła odtwarzać w myślach rozmowę z Helene Garaudy. Dyrektorka Instytutu Bettelheima mówiła o dzieciach-wilkach. Jej zdaniem większość z nich miała symptomy autyzmu, ale problem pozostawał otwarty - czy życie w lesie było przyczyną takiej patologii, czy może było na odwrót, że te dzieci zostały

porzucone, ponieważ były „inne”.

Jeanne napiła się herbaty. Już nie czuła zimna. Ani zmęczenia. Prawdę mówiąc, nie czuła w ogóle swojego ciała. Znowu usadowiła się na łóżku i wzięła zeszyt oprawiony w skórę. Cały czas myślała o opowieściach o dzieciach porzucanych we wrogim im lesie.

Juan był postacią z takiego opowiadania.

Senny koszmar stał się rzeczywistością...

59.

- Ich nazwa angielska brzmi black howler monkey. To najbardziej rozpowszechniony gatunek w subtropikalnym lesie północno-wschodniego regionu. Samce są czarne, samice żółte.

- Jaki jest ich tryb życia?

- Mieszkają w koronach drzew. Za pomocą ogona, który służy im jako piąta kończyna, przeskakują z gałęzi na gałąź. Prawie nigdy nie schodzą na ziemię.

- Czy sądzi pan, że Juan mieszkał z nimi na drzewach?

- Musiał mieć trudności z nadążaniem za nimi. Za to mógł im się przysłużyć na ziemi. Zbierać niektóre owoce. Wypatrywać drapieżników.

- Dlaczego nazywa się je „wrzeszczącymi małpami”?

- To bardzo agresywny gatunek. Każde plemię ma swój teren. Gdy pojawia się intruz, bronią tego miejsca krzykiem. Trudno to wytrzymać! Kiedy wrzeszczą, ich sierść się jeży, a ogon tworzy coś w rodzaju litery „o”. Wydaje mi się, że Juan, krzycząc, próbuje je naśladować.

- Jak na razie to jedyny jego sposób komunikowania się...

Jeanne podniosła wzrok. Przypomniała sobie wrzaski dochodzące z gabinetu Antoine'a Ferauda. Nie ulegało wątpliwości, że odgłosy wydobywające się z gardła Juana-Joachima miały bezpośredni związek z Lasem Cieni...

- Czy są agresywne wobec siebie?

- Jeden samiec żyje z wieloma samicami i ich potomstwem. Samiec wódz traktuje bardzo brutalnie innych. Ogólnie rzecz biorąc, zasady życia w stadzie są twarde. Z powodu seksu. Z powodu jedzenia. Z powodu wszystkiego.

Jeanne przypomniała sobie seans hipnotyczny u Ferauda. „Las gryzie...”.

- Jak mogło wyglądać życie Juana u małp?

- Musiało być ciężkie. Spotykały go ciągle niepowodzenia.

- Pewnej rzeczy nie rozumiem, przecież Juan jest o wiele większy od tych małp...

- To trop, dzięki któremu można wydedukować, kiedy Juan został przez nie adoptowany. Moim zdaniem musiał być jeszcze mały. W każdym razie nie miał metra wysokości. Ile mógł mieć lat? Cztery, pięć? A kiedy urósł, został odrzucony przez plemię. Inny wygląd fizyczny i niezręczność ruchów wykluczyły go w sposób naturalny.

Jeanne wyobraziła sobie, jakie piekło przeżyło to dziecko. Jakby w hipnotycznym transie usłyszała szelest liści, trzask gałęzi, dzikie ryki. Poczula woń innych stworzeń... Bała się, że będą ją bić, kąsać... Była Juanem...

- *Teraz ja chciałbym księdza o coś zapytać.*

- *Słucham.*

- *Jak reaguje Juan, kiedy czuje, że jest obserwowany?*

- *Denerwuje się. Miota się na wszystkie strony.*

- *Czy odwraca się plecami?*

- *Tak. Ale spogląda na mnie spod oka.*

- *Typowe zachowanie dla carayds. Czy uderza w ścianę, żeby odstraszyć tych, którzy do niego się zbliżają?*

- *Nie.*

- *Czy pokazuje tylek na znak uległości?*

- *Uległość jest obca jego naturze.*

- *Nie przejął więc wszystkich gestów małpiego gatunku.*

- *Czy sądzi pan, że mógłby odzyskać swoje ludzkie możliwości?*

- *Jestem etologiem. Nie jestem psychologiem.*

- *Wydaje mi się, że Juan ma pewne symptomy autyzmu. Czy życie w lesie mogło zahamować jego rozwój umysłowy? Wywołać coś w rodzaju regresu?*

- *Żeby wiedzieć, czy ma szansę na powrót do świata ludzi, należałoby ustalić, skąd pochodzi. W jakim wieku opuścił nasze środowisko... Czy dowiadywał się ksiądz w okolicy?*

- *Jeszcze nie.*

- *Uważam, że został porzucony. Juan jest dzieckiem, którego nie chciano. Dzieckiem, które nigdy nie było kochane.*

- *Skąd ta pewność?*

- *Bo dziecko pieszczone, karmione przez rodziców nie przeżyłoby pobytu w lesie. Wytrzymałość Juana świadczy, że miał ciężkie życie już wśród ludzi. Niech ksiądz spróbuje się czegoś dowiedzieć. Jestem prawie pewien, że natrafi ksiądz na coś niezwykłego. Na historię*

rodzinnej przemocy...

Jeanne przerwała lekturę. Linijki tekstu tańczyły jej przed oczyma. Zresztą rozmowa z nagrania skończyła się. Spojrzała na zegarek marki Swatch, który zawsze nosiła w torebce, a który teraz założyła na rękę w miejsce cartiera.

Piąta rano.

Zdziwiła się, że nie ma żadnych wiadomości od Nicolasa. Czy aż tak przeraziła go nocna ekshumacja? Miała nadzieję, że nie wrócił do Antigui jej samochodem. Pomyślała, że dobrze byłoby jeszcze raz odświeżyć się w łazience, zaparzyć znowu zieloną herbatę i powrócić do lektury.

Sekundę potem zasnęła głębokim snem.

60.

Jeanne obudziła się nagle z głową wypełnioną straszonym małpim wrzaskiem. Usiadła na łóżku i stwierdziła, że hałas ten robi komórka leżąca tuż obok jej głowy.

- Słucham?

- Reischenbach. Obudziłem cię?

- Nie.

Czuła przyspieszone bicie serca. Przyśnił się jej Joachim. Jego krzyki. Jego ręce. Jego oczy, które widziały w nocy...

- Czego chcesz?

- A więc jednak cię obudziłem - zaśmiał się Reischenbach. - Mam coś nowego w sprawie przesyłki Fedeksu. Interesuje cię to?

Jeanne otarła prześcieradłem twarz. Była spocona mimo zimna. Świtało. Wokół niej znajdowały się znajome przedmioty. Telewizor. Fotel. Boazeria na ścianach... W jej pamięci pojawiło się hiszpańskie słowo *pesadilla* - oznaczające „koszmar” - osłabiające ukrytą w nim groźbę swoją lekką wymową...

- Wiesz, co zawierała przesyłka?

- Czaszkę.

- Co?

- Gipsową czaszkę.

Jeanne próbowała połączyć elementy, informacje, słowa. To wszystko nie miało sensu.

- Powiedz coś więcej.

- Nic więcej nie wiem. Podobno facet z instytutu widział, jak De Almeida szykuje tę paczkę. To wszystko. Antropologowi najwyraźniej zależało, żeby to wysłać do Franceski Tercii. W jakim celu, nie wiadomo. Może miało to związek z badaniami, które przeprowadzał w północno-wschodnim regionie Argentyny. Z nikim jednak o tym nie rozmawiał. Jedyny, który mógłby nam pomóc, to niejaki... - szukał nazwiska w notesie - Daniel Taieb. Dyrektor pracowni paleoantropologicznej w Tucuman. Ale w tej chwili przygotowuje wystawę i nie ma go w instytucie.

- Nie wiesz nic więcej na temat tej czaszki?

- Facet z instytutu sądzi, że była to czaszka dziecka. Ze zniekształceniami.

- Jakiego rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Nic nie rozumiałem. Człowiek z mojego zespołu jest Brazylijczykiem i nie mówi dobrze po hiszpańsku...

Jeanne pomyślała o Juanie-Joachimie. Czy to była jego czaszka? Nie. Chłopiec przyjechał do Gwatemali już po pobycie w Argentynie. Czy wrócił potem do północno-wschodniego regionu? Czy tam zmarł? Nie. Joachim w dalszym ciągu żył. Joachim zabijał w Paryżu i w Managui.

- Daj mi numer telefonu do instytutu.

- Uprzedzam cię, że oni nie są...

- Mówię po hiszpańsku. Tkwię w tej historii po szyję. Dawaj ten numer!

Reischenbach ustąpił. Jeanne zanotowała numer. Nasuwały jej się kolejne pytania. Jakie było dokładnie pochodzenie czaszki? Dlaczego przesłano ją do Franceski? Jeanne przypomniała sobie, że w pracowni Isabelle Vioti rekonstruowano twarze na podstawie wykopanych czaszek. Czy Francesca używała tej samej metody w swojej prywatnej pracowni? Jaką twarz rekonstruowała? Jaką scenę odtworzyła na podstawie tej czaszki?

- Masz inne informacje?

- Szukałem czegoś o Jorge De Almeidzie. Trudno się zorientować, nad czym naprawdę pracował. Odizolował się w swojej pracowni. Robił wrażenie, że popadł w jakieś szaleństwo...

- Szaleństwo?

- Nie rozumiałem. Zdobyłem jego fotografię, o którą mnie prosiłaś.

- Możesz mi ją przesłać e-mailem?

- Oczywiście. A co u ciebie?

Jeanne nie chciała opowiadać. Za dużo wydarzeń. Za dużo rozbieżności. Za dużo

szaleństwa... Wykręciła się kilkoma wymijającymi ogólnikami i obiecała zadzwonić. Reischenbach nie nalegał.

Kolejna herbata. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Po pokoju rozlewało się szare światło niczym woda w rozlewiskach po tropikalnej ulewie. Pomyślała o chorobie, do której rozprzestrzeniania przyczynił się Eduardo Manzarena. Czy Juan był nią zarażony? A może odwrotnie, to od niego wzięła się choroba? Czy miały z tym coś wspólnego zniekształcenia czaszki?

Z filiżanką w ręku stanęła przy oknie balkonowym. Dosyć tych pytań. Trzeba przeczytać do końca dziennik Pierre'a Roberge'a. A co potem? Spoglądała na hotelowy ogród. Zdewastowana roślinność. Kupy liści bananowców, poszarpane palmy... Deszczowy smutek...

Przywoływał drugi smutek. Była bowiem całkowicie pewna, że Antoine Feraud nie żyje. Że zginął podobnie jak Eduardo Manzarena. Jak trzy ofiary w Paryżu.

Feraud chciał odnaleźć ojca i syna, ale napotkał Ducha Zła.

Wróciła do lektury pamiętnika.

Powinna skończyć historię Juana-Joachima...

Prawda kryła się być może na końcu tych stron.

61.

28 czerwca 1981 r.

Żadnych postępów. Wbrew obserwacjom Carlosa Esteveza potwierdzają się moje przypuszczenia. Autyzm.

Zamówiłem przez pocztę różne dzieła. Przede wszystkim pamiętniki Jeana-Marie-Gasparda Itarda, lekarza, który opiekował się dzikim dzieckiem w Aveyron. W dalszym ciągu uważam, że Juan był na początku wychowywany przez ludzi. Choćby test z lustrem. Juan nie był zdziwiony, widząc w nim swoje odbicie. Wziął lustro do ręki i wydawało się, że jest zadowolony.

31 czerwca 1981 r.

Nowe testy, nowe ćwiczenia. Z trudem udaje mi się go uczyć chodzenia na dwóch nogach. Robi kilka kroków i wraca znowu do swojej ulubionej pozycji - na czworakach, wygięte plecy, dłonie skierowane do wewnątrz. Muszę kontynuować moje wysiłki. Jak pisał święty Paweł, „miłość wymaga cierpliwości...”.

13 lipca 1981 r., rzeka Bermejo

Rio Bermejo. Rzeka Czerwona. Od dwóch dni pływam w okolicach Campo Alegre. Zatrzymuję się w każdym miasteczku.

A raczej - wiosce. Głoszę kazania. Rozdaję żywność i leki. Slucham. Dodaję sobie ducha...

Stwierdzam, że istnienie Juana nie jest żadnym odkryciem. Chłopiec był znany. Widziano go w różnych miejscach na brzegu rzeki. Dwa razy próbowano go schwytać. Za każdym razem uciekał.

29 lipca 1981 r., Campo Alegre

Bardzo szybkie postępy. Juan chodzi. W dalszym ciągu jednak pochylony do przodu, jakby bał się całkiem rozprostować. Nabywa pewnych umiejętności. Samodzielnie się ubiera. Pije mleko z miseczki. Pokazuje na przedmioty palcem wskazującym... Pozwalam mu poruszać się swobodnie po terenie prezbiterium. Udało mi się przekonać go do korzystania z łóżka - prawdę mówiąc, żeby zasnąć, kładzie się pod łóżkiem.

3 sierpnia 1981 r.

Juan jest o wiele zdrowszy. Przybywa na wadze. Rozwijają się jego mięśnie. Chodzi na dwóch nogach. Homo viator, spe erectus. To nadzieja utrzymuje człowieka w drodze, w pozycji wyprostowanej i czujnej.

11 sierpnia 1981 r.

Otrzymałem pierwsze książki, które wcześniej zamówiłem, a przede wszystkim pamiętnik Itarda. Stosuję ćwiczenia pedagogiczne według jego metody. Juan uzyskuje dobre rezultaty. Gdyby nie miał kłopotów z mówieniem, powiedziałbym, że ma inteligencję pięcioletniego dziecka. Na razie.

Wczoraj zaskoczył mnie pewien szczegół. Juan, siedząc w ogrodzie, kołysał się jak zawsze w przód i tył. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem, że śpiewa. Odtwarzał jakąś melodię. Mam nawet wrażenie, że próbował wymawiać słowa. Czy wraca mu pamięć z czasów przed pobytem w lesie?

21 września 1981 r.

Czas mija. Postępy są coraz większe. Po raz pierwszy Juan zjadł mięso. Najpierw je obwąchał. Potem skosztował. W końcu pochłonął wszystko. Podszedłem, żeby mu pogratulować. Spojrzał na mnie. Przestraszyłem się. Miał dziwny wzrok. Jakby był upojony smakiem mięsa. Wydawało się, że patrzy na mnie jak zwierzę.

10 października 1981 r.

Odtąd dieta Juana zawiera kawałek mięsa przy każdym posiłku. Je wtedy chętnie. Słusznie czy niesłusznie - widzę w tym ślad przebywania wśród ludzi. Poza tym ma coraz

lepsze rezultaty zwłaszcza w opanowaniu głosek. Czy kiedyś nauczy się pisać?

Jeanne była rozczarowana. Roberge opisywał w dzienniku tylko postępy cofniętego w rozwoju chłopca, który z jakiegoś powodu znalazł się w lesie. Znała ostateczny wynik tej edukacji. Joachim stał się zwykłym młodym mężczyzną, w którego wnętrzu zachowało się dawne dziecko-wilk.

Nie dowiedziała się niczego o prawdziwym pochodzeniu Joachima ani o tym, kiedy go tak nazwano. Niczego o jego ojcu, człowieku, który występował w tej roli w gabinecie Antoine'a Ferauda. Niczego o okolicznościach, w jakich znalazł się w lesie.

Niczego o jego morderczej naturze...

Przejrzała kilka następnych stron.

62.

17 listopada 1981 r.

Juan rysuje! Stawia znaki X i Y różnej wielkości. Mogą to być znaki odpowiadające literom alfabetu. Albo przedstawiają drzewa. Czy jakieś istoty. Być może próbuje przedstawić świat mały, w którym żył przez ostatnie kilka lat... Ale nie pasuje jeden szczegół. Jeśli te sylwetki mają przedstawiać carayds, to dlaczego jedna z nich trzyma nóż?

26 listopada 1981 r.

Juan znalazł krawat, który nosi w dzień i w nocy. Jakby zaklinał swoją przeszłość, pokazywał, że naprawdę należy do społeczeństwa cywilizowanych ludzi.

Nadal jednak nie używa przy jedzeniu sztućców. Kiedy przychodzi pora posiłku, sięga ręką do talerza, rozglądając się wokół zaszczutym spojrzeniem. Je już tylko mięso. Nie ma mowy o daktylach, warzywach ani w ogóle o czymś innym.

29 listopada 1981 r.

Miałem dzisiaj nieoczekiwaną wizytę. W momencie kiedy już właściwie straciłem nadzieję, że dowiem się czegoś o prawdziwym pochodzeniu Juana, przybył do nas z informacjami pewien człowiek. I to nie byle kto! Pułkownik Vinicio Pellegrini, nazywany „El Puma”, jeden z kierujących bazą w Campo Alegre.

Wyglądem pasuje do swojej funkcji. Krótko ostrzyżony, zacięta twarz, której nieco subtelniejszy wyraz nadają okulary i przycięte nożyczkami wąsy. Poza tym to prostak, głośno mówi i często się śmieje, tworząc wrażenie na przemian ciepła i lodowatego chłodu.

W tym regionie cieszy się złą sławą. El Puma wymyślił ponurą metodę el vuelo

polegającą na usypianiu więźniów, którzy nie mają już nic więcej do powiedzenia, a następnie wyrzucaniu ich z helikoptera nad meandrami laguny, gdzie albo toną, albo są pożerani przez kajmany. Podobno zwierzęta te zazwyczaj nie jedzą ludzi, bo ich ciała są dla nich za duże. Wobec tego Pellegrini polecił ciąć ciała piłą elektryczną i tak poćwiartowane wrzucać w bagniska. Kajmany stopniowo polubiły ludzkie mięso. Można więc było teraz wrzucać całe ciała usypionych nieszczęśników...

Kiedy się pojawił, pomyślałem, że nadeszła moja godzina. Ale nie. Pellegrini chciał się czegoś dowiedzieć o Juanie! Pytał, w jakich okolicznościach został znaleziony. Wkrótce okazało się, że Juan pochodzi z bazy wojskowej. Jest synem Hugona Garcii. Ten oficer zginął wraz z żoną w jakimś wypadku, o którym Pellegrini nie chciał się rozwodzić. Juan, nazywany przez pułkownika „Joachim”, ocalał z tego wypadku, a potem uciekł do dżungli.

El Puma nie chciał widzieć chłopca. Nie powiedział też nic o tym, jakie są jego plany względem tego dziecka. Obiecał jednak, że wróci...

Teraz usiłuję uporządkować fakty. Po pierwsze - sylwetki rysowane przez Juana czy Joachima (postanowiłem, że dalej będę go nazywać Juanem, by nie przeszkodzić w jego rozwoju) to nie są wrzeszczące małpy, ale żołnierze z Campo Alegre, zawodowi oprawcy. Ale skąd ten nóż?

2 grudnia 1981 r.

Od nowa przeprowadziłem dochodzenie. Tym razem bardziej dokładne. Łatwiej znaleźć, gdy się wie, czego się szuka. W knajpie, w miasteczku, gdzie żołnierze przychodzą często, by się upić, udało mi się skłonić do zwierzeń kaprała, który zdradził mi pewien sekret. Hugo Garcia, notoryczny pijak, w 1978 roku zamordował własną żonę, a potem poderżnął sobie gardło. Ich synowi, Joachimowi, udało się uciec. Miał wówczas sześć lat... Tak więc Juan ma teraz dziewięć lat. Po drugie - Estevez miał rację, że Juan nie miał szczęśliwego dzieciństwa.

Od tego samego żołnierza usłyszałem też o innym niezwykłym fakcie - Joachim nie był biologicznym synem Hugona Garcii. Został przez niego zaadoptowany. Podobne wypadki zdarzają się tutaj nie tak rzadko. Wiadomo, że żołnierze adoptują dzieci więźniów politycznych skazanych na śmierć. Juan urodził się więc w obozie wojskowym w Campo Alegre. Hugo Garcia, bezdzietny, wziął niemowlę, ale jego żona, nieplodna alkoholiczka, nigdy go nie zaakceptowała. Chłopiec był przedmiotem stałych konfliktów między nimi. Strach wyobrazić sobie, jak wyglądał rozwój psychiczny tego dziecka. Sierota, odrzucony przez rodzinę adopcyjną, żyjący w koszarach, gdzie śmierć i przemoc są obecne wszędzie...

9 grudnia 1981 r.

Apetyt Juana stale rośnie. Próbuję urozmaicić jego menu, ale rzuca się tylko na mięso. Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że zaskoczono go w kuchni. Wyważył zamek lodówki i jadł surowe mięso. Kiedy próbowano mu w tym przeszkodzić, wyszczerzył zęby jak dzikie zwierzę. Skąd u niego to upodobanie do krwi?

Resztę czasu Juan spędza na rysowaniu. Rysuje zawsze to samo - czarne sylwetki, nóż. Jeśli przedstawia scenę zamordowania swojej matki, to dlaczego bierze w tym udział tak wiele postaci? Juan już nie śpiewa, ale wydaje mi się, że lada moment zacznie wymawiać sylaby.

17 grudnia 1981 r.

Juan mnie niepokoi. W miarę jak ustępuje jego zwierzęce zachowanie, coraz bardziej wyraźne są cechy jego charakteru. Cechy szczególne, niedające się odnieść do jego wychowania u małp, a mimo to bardzo niepokojące. Wielokrotnie zastałem go na tym, jak torturował małe zwierzęta, bardzo się przy tym starając, żeby długo cierpiały.

Jest brutalny wobec innych sierot, które boją się go i schodzą mu z drogi. Atakuje je, zastawia na nie pułapki. Wczoraj zranił małą dziewczynkę, wywlókł ją z sierocińca i wrzucił do dołu, który sam przedtem wykopał. Dno dołu wyłożył bambusowymi prętami, które raniły dziewczynkę w uda, co mogło się dla niej źle skończyć. Dlaczego on to robi? Ufa chyba tylko mnie. No i jeszcze... coś bardziej niebezpiecznego. Juana ciągnie do ognia. Może godzinami obserwować płomienie. Wiele razy przyłapano go na tym, jak bawił się zapalkami. Obawiam się najgorszego od tej strony...

Te jego skłonności bardzo mnie martwią. W krawacie i czarnej marynarce Juan przypomina małego Chaplina, w którym kryje się dusza demona. Nie przestaję się modlić, bo przecież dla tych, którzy lękają się imienia Pana, wstanie słońce sprawiedliwości i pod jej skrzydłami znajdą zbawienie.

3 stycznia 1982 r.

*Na Nowy Rok Pan ofiarował mi cudowny dar. Tego rana zobaczyłem Juana siedzącego w kościele twarzą do ołtarza. Śpiewał. Nie tak jak zawsze jakąś niewyraźną melodię, ale prawdziwą piosenkę. Ze słowami! Pierwszy raz usłyszałem z jego ust wyartykułowane sylaby. Znałem tę piosenkę. To *Porque te vas*, wykonywana przez piosenkarkę anglo-hiszpańską o imieniu Jeanette. Odniosła sukces przed kilku laty. Nauczyłem jej dzieci z mojej misji w Brukseli.*

Gdzie się nauczył słów? Nieważne. Powraca moje przekonanie i nadzieja, że Joachim nie cierpi na nieodwracalny autyzm. Las tylko przytłumił jego ludzkie zdolności. Powinienem zatrzymać go przy sobie. W imię Boga. „Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie”.

17 stycznia 1982 r.

Juan przemówił. Nagle. Bez wysiłku. Wiedziałem. Zawsze to wiedziałem. Zdolność mówienia istnieje w nim. Juan nie jest dzieckiem autystycznym. Albo jego syndrom jest „autyzmem wysokiego poziomu”, jak go nazywają w jednej z moich książek. Teraz powinienem dołączyć inne elementy do jego nauczania. Czytanie. Pisanie. Modlitwę. Wygramy tę batalię.

25 stycznia 1982 r.

Szybkie postępy. Juan nie ma żadnych problemów z mową, tyle tylko że jeszcze nieco się jąka. Wyraźnie formułuje zdania. Zaczynam z nim rozmawiać. Jego sposób mówienia jest szczególny. Wydaje się, że nie potrafi mówić w pierwszej osobie. Żeby odpowiedzieć twierdząco na pytanie, powtarza je. Przy innych okazjach zamiast odpowiedzi wypowiada szereg jakichś słów. Często są to słowa piosenki Porque te vas. Nie pojmuję, co to ma znaczyć.

Jak na razie jego wspomnienia są pomieszane. Opowiada fragmentarycznie o swym życiu w lesie, o pobycie w koszarach. Ale wszystko to nachodzi na siebie. Jego umysł jest jak otwarta książka, której strony są posklejane.

Czasami nadaje małpom cechy ludzkie. Opisuje je jako istoty mówiące. Kiedy indziej swoim „rodzicom” przypisuje rytuały i zwyczaje, które odnoszą się do jego życia wśród drzew. Jedno jest pewne - nie zaznał nigdy niczego poza strachem i groźbami. Razy i baty w rodzinie zastępczej. Zadrapania i ukąszenia wśród małp.

3 lutego 1982 r.

W końcu zrekonstruowałem ucieczkę Juana. Pewnego wieczoru Garcia, pijany w sztok, zaczął bić żonę. Domyślałem się, że stosunki między tymi alkoholikami zawsze były złe. W środku nocy wziął bagnet ze swojego karabinu i poderżnął nim żonie gardło. Następnie pociął ją w kuchni na kawałki. To tę scenę po wielekroć rysował Juan (Hugo Garcia związał chłopca i zakneblował go, zmuszając do oglądania tego „spektaklu”). Ale dlaczego rysował tłum asystujący temu „obrzędowi”? Później, już w nocy, Garcia usiłował podpalić dom, oblewając go benzyną. Nie trzeba być psychiatrą, żeby odgadnąć, skąd pochodziło zainteresowanie Juana ogniem...

W końcu, o świcie, Garcia podciął sobie gardło od ucha do ucha, zapominając o synu, który dusił się w dymie, gdyż w kuchni zaczęły się już palić niektóre przedmioty. Chłopcu udało się uwolnić. Przerażony zbiegł ze schodów, wydostał się na dziedziniec koszar i zaczął uciekać do lasu. Biegł długo, aż wyczerpany upadł pod jakimś drzewem. Dalej już była tylko czarna dziura. Juan nie widzi żadnego powiązania między tą ucieczką i życiem wśród małp.

7 lutego 1982 r.

Tej nocy zastaliśmy Juana w kurniku. Moją brzytwą podcinał kurom gardła i wypijał ich krew. Na ścianach namazał takie same sylwetki, jakie rysował na papierze ohydną mieszanką krwi i kału...

Wolontariusze się przerazili. Niektórzy porzucili szpital. Rozeszła się pogłoska, że Juan jest „synem diabła”. Za karę zamknąłem go w komórcie. Chciałem, żeby zrozumiał, że źle postąpił. Skąd u niego takie pomysły, takie skłonności?

9 lutego 1982 r.

Po dwóch dniach „więzienia” zastałem Juana w okropnym stanie. Zalatwiał się gdzie popadło i pisał ekskrementami na ścianach. Koszula i spodnie oblepione były spermą. A więc wchodził w wiek młodzieńczy. Ale ku czemu zwróci się jego seksualne pożądanie?

Naszła mnie straszna myśl. To ten krwawy seans wywołał u niego pierwsze seksualne przeżycie. Nie przestaję się modlić. Bóg, który już tak dawno opuścił naszą misję, nie może zapomnieć o Juanie. To haniebne, co piszę, ale uważam, że jest nam to winien. Ocalić to dziecko w imieniu tych wszystkich, którym pozwolił tutaj umrzeć...

24 lutego 1982 r.

Juan jest spokojniejszy. Przyszedł nam do głowy pomysł, że może został zakażony wścieklizną. Ale analiza krwi niczego nie wykazała. Może należy go poddać dokładniejszym badaniom? Jedyne możliwe drogi prowadzi przez Buenos Aires.

3 marca 1982 r.

Znowu pojawił się pułkownik Pellegrini. „Joachim”, jak go nazywa, ma być adoptowany przez bardzo ważną osobistość. Muszę uciec z Juanem. Muszę ocalić jego duszę.

11 marca 1982 r.

Juan pogryzł do krwi kalekiego chłopca, którego przyjęliśmy do nas kilka miesięcy temu. Wyleczyliśmy ranę. Juan cierpi na jakąś chorobę. Czy istnieje możliwość zarażenia? Pojawiło się inne podejrzenie związane z jego głodem mięsa. Kanibalizm...

Tego samego dnia odkryłem sanktuarium blisko miejsca, gdzie Juan zaciągnął swoją ofiarę. Przedziwna konstrukcja zrobiona z kości zwierząt, kamieni, gałązek. Niektóre elementy przypominały znaki jego alfabetu. Wydaje się, że Juan przestrzega reguł jakiejś ceremonii. Gdzie się tego nauczył?

13 marca 1982 r.

Powrócił znowu Pellegrini. Dokumentacja jest już gotowa. Ojcem adopcyjnym jest admirał Alfonso Palin, jeden z członków wojskowego rządu w Argentynie. Okrutnik, który ma opinię najbardziej niebezpiecznego w kraju. Dlaczego Palin chce adoptować Juana, a nie

jakieś inne dziecko? Dyktatura zostawia każdego dnia setki sierot. Dlaczego wybrał właśnie Juana? Czy interesuje go jego skłonność do przemocy?

Skontaktowałem się z siedzibą zakonu Świętego Ignacego w Brukseli. Mogę, jeśli tak zadecyduje, wyjechać natychmiast do innej misji w Gwatemali.

21 marca 1982 r.

Jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości, pozbyłem się ich ostatniej nocy. Juan jest kanibalem. Znalaziono go na cmentarzu za szpitalem, gdzie chowamy naszych zmarłych. Juan odkopał kilka ciał, tych najświeższych, i częściowo je zjadł. Z trudem opisuję to, co zobaczyłem. Chłopiec kamieniem rozłupał czaszki, by dostać się do mózgu i wysać go. Połamał kości, by dostać się do szpiku. Skąd znał te techniki? Czy już wcześniej kosztował ludzkiego mięsa?

Wyjechać. Opuścić misję. Ocalić Juana. Tutaj panuje klimat coraz większej nienawiści. Obawiam się, że ludzie zechcą zlinczować chłopca, którego uważają za opętanego... Przeżywam rozterki. Czy zostawić dzieci i sierociniec, porzucić chorych w szpitalu, tych wszystkich niewinnych, żeby próbować ocalić Juana, który popełnia coraz więcej aktów przemocy? Czy nie taki jest sens naszej misji? Powtarzam sobie słowa Jezusa: „ Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników”^{}.*

63.

Jeanne przerwała lekturę. Ręce jej drżały. Zbyt wcześnie, aby porównywać każdy fragment dziennika z faktami jej własnego dochodzenia, konfrontować przeszłość z teraźniejszością. Jednak oczywistość tego powiązania rzucała się w oczy w każdym wierszu tekstu. Historia Juana pomimo luk i niejasnych fragmentów dawała początek wyjaśnieniu krwawych morderstw, które miały miejsce w Paryżu...

Godzina jedenasta przed południem.

Dzień tonął w mętnej poświacie. Tym lepiej. Wróciła do lektury. Przerzuciła kilka stron, na których Roberge opisywał szczegółowo podróż do Gwatemali. Po czym wrócił do pałdziennika 1982 roku. Misja San Augusto, Panajachel, Gwatemala.

Moment tragedii.

Rankiem 18 października w 1982 roku Juan zniknął. Odnaleziono go nazajutrz w

^{*} Ewangelia według świętego Marka, 2, 17.

podartym ubraniu, pogrążonego w stanie kompletnej niemoty. „Prawie tak jak na początku” - napisał zrozpaczony zakonnik.

Potem w na pół spalonym baraku znaleziono częściowo zjedzone ciało młodej Indianki. Zabójca usiłował zatrzeć swoją zbrodnię, wzniecając ogień...

Kanibalizm. Piromania. Pierre Roberge nie miał najmniejszych wątpliwości, kto jest mordercą. Ani co do wyniku dochodzenia. Juan, który już i tak miał opinię „dziecka diabła”, zostałby natychmiast oskarżony. Aresztowany. Uwięziony. Skazany na śmierć. Roberge nie chciał takiego końca. „Wiem, co mi pozostaje do zrobienia” - napisał dwudziestego drugiego października.

Jezuita przyznał się do zbrodni. Skontaktował się z pułkownikiem Pellegrinim, aby przyjechał zabrać chłopca do Atitlan. W pewnym sensie było to zwycięstwo zła. Roberge nie tylko nie zdołał wyleczyć Juana, ale w dodatku powierzał go krwawemu oprawcy. Z jednego oczywistego powodu - Juan-Joachim będzie odtąd potrzebował ochrony przed prawem. Jego kryminalna kariera dopiero się zaczynała. I tylko ojciec adopcyjny będzie mógł ustawić go ponad sprawiedliwością ludzką w Argentynie.

Plan Roberge'a nie powiódł się. Nikt mu nie uwierzył. Jego aresztowanie zbiegło się ze szczególnym wydarzeniem - Ladinosi, widząc, że tracą poparcie międzynarodowe, zaprzestali prześladowań religijnych. Zakonnik został uwolniony. Zrozpaczony postanowił popełnić samobójstwo i zabrać do grobu swoje tajemnice. Przedtem zdążył oddać Juana Alfonsowi Palinowi.

Obecnie jedno się wyjaśniło - stary Hiszpan z gabinetu Antoine'a Ferauda to okrutny admirał. „W moim kraju to normalna praktyka. Wszyscy tak robią”. Mówił o adoptowaniu przez żołnierzy dzieci ich ofiar.

Przed śmiercią jezuita chciał dokończyć swoje wyznania. Po wielu tygodniach, miesiącach, po wielu wydarzeniach zrozumiał, jakie było przeznaczenie Juana.

Przeznaczenie niesamowite.

24 października 1982 roku, San Augusto

Czas zamknąć historię Juana. Napisać czarno na białym, jaka jest jego tajemnica. Przeczytałem moje notatki z Argentyny i dochodzę do wniosku, że byłem naiwny. Na wszystkie pytania, jakie narosły wokół jego historii, jest jedna odpowiedź.

Skąd się wzięły brutalność, okrucieństwo, wściekłość Juana? Ten głód mięsa? Te rytuały, które organizował z taką precyzją, jakby je już wcześniej widział? Ten dziwny alfabet, który wygląda jak jakiś prymitywny język?

Tu nie chodzi o autyzm ani o tajemniczego wirusa. Tu chodzi o wychowanie, wiedzę,

jakie otrzymał, przebywając w dżungli. O kulturę, która nie pochodzi ani od jego przybranych rodziców, ani od wrzeszczących małp.

Juan nie napotkał w lesie wirusa.

Napotkał jakiś lud.

Nie mam możliwości rozwinięcia tej hipotezy. Jakie prymitywne plemię mogło mu wpoić takie tradycje? Nigdy nie słyszałem o innych grupach etnicznych żyjących w regionie Campo Alegre, poza Tobą, Pilaga czy Wichi. Ale i oni żyją od dawna tak jak wszyscy argentyńscy chłopci.

No więc kto? Co? Dlaczego nigdy nie słyszałem o tych istotach? Dlaczego, jeśli istnieją, żaden z mieszkańców Campo Alegre nigdy ich nie napotkał? Jednego jestem pewien - to właśnie te barbarzyńskie istoty Juan rysuje od dnia przybycia do misji. Czarne znaki, które są ludzkimi postaciami i jednocześnie znakami tajemnego języka.

„Las cię gryzie” - takie jest przesłanie.

Las kryje dziki lud, na pół ludzi, na pół zwierzęta.

Do pewnego stopnia żałuję, że nie jestem już w Campo Alegre i nie mogę prowadzić poszukiwań. Zagłębić się śladami Juana w Selva de las Almas. Ale już za późno. Dla mnie. Dla Juana.

Muszę zostawić to dziecko własnemu losowi. Modlę się o to, żeby admirał go ochronił i żeby jego dusza odnalazła mimo wszystko słuszną drogę... Co do mnie...

Jak powiedział Jakub do Boga: „Gdzie ucieknę od Twego oblicza? Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś; jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę”. [Księga Psalmów, 139 (138), 7-8.]

Jeanne znowu przerwała czytanie. To niesamowite. Odkrycie, jakiego dokonał Pierre Roberge, rozwiązywało za jednym zamachem większość zagadek z jej dochodzenia.

Prymitywny lud...

Plemię wyłaniające się z ciemności...

Był to wspólny motyw w morderstwach popełnianych przez Juana-Joachima...

KREW...

CZASZKA...

Lud mający fizyczne cechy, które nie są ludzkimi.

Południe.

Na dworze znowu padał deszcz, zamieniając świat w bezbarwne bajoro. Sprawdzić. Potwierdzić. Umocnić. Jeanne otworzyła komórkę i wystukała numer Bernarda Pavois.

Po czterech sygnałach usłyszała jego spokojny głos.

- Czy jest pan nadal w laboratorium? - zapytała bez żadnych wstępów. - Ostatnim razem, kiedy do pana dzwoniłam, stałam w miejscu. Próbkę krwi, którą otrzymała Nelly, nie zawierała ani wirusów, ani mikrobów, ani pasożytów.

- To nie trzymało się kupy.

- Człowiek z Managui przesłał ją Nelly, aby ustaliła kariotyp. Czy można to zrobić, mając do dyspozycji tylko kroplę krwi?

- Tak. Co miało wynikać z tego kariotypu?

- Anomalia.

- Jakiego rodzaju?

- Nowy profil chromosomowy. Albo bardzo stary. Inny od obecnego profilu ludzi.

- Nie rozumiem.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz drugi, powiedział mi pan, że kariotyp człowieka neandertalskiego zawiera czterdzieści osiem chromosomów.

- Tak czytałem, ale nie jestem specjalistą.

- Mówię o tego rodzaju anomaliach.

- Bzdura.

- Poszukajmy praktycznych dowodów na to, co robiła Nelly. Czy w komputerze zostaje jakiś ślad po hodowli z jednej próbki?

- Nie. Ale zostanie ślad w postaci zdjęcia metafazy, kolejnego etapu. Żeby je zrobić, trzeba otworzyć plik i nadać mu odpowiedni numer. Numer sześciocyfrowy. Nie do wykasowania.

- Mógłby pan odnaleźć ślad takiej analizy w pamięci informatycznej centralnego programu?

- Mogę znaleźć tylko wykaz tych numerów.

- Ale czy w tych cyfrach zawiera się data analizy?

- Tak. Również godzina korzystania z komputera.

- Nelly otrzymała próbkę trzydziestego pierwszego maja. Załóżmy, że zaczęła pracę jeszcze tego samego wieczoru. Ile czasu potrzebuje taka hodowla?

- W wypadku krwi jest to znacznie szybciej niż dla płynu amniotycznego. Trzy dni.

- Tak więc trzeciego czerwca Nelly ma już gotową kulturę i może użyć komputera.

- Nie. Trzeba jeszcze doliczyć dwadzieścia cztery godziny pracy, zanim dojdzie do metafazy.

- Tak więc mamy już czwarty czerwca. Tego wieczoru Nelly otwiera plik. Nadaje numer. Fotografuje chromosomy. Czy mógłby pan poszukać numeru z tej nocy? Numeru,

który nie będzie zdradzał nazwiska żadnej z pacjentek? A nawet bez fotografii. Moim zdaniem Nelly wydrukowała zdjęcie i wszystko usunęła.

Jeanne słyszała klikanie klawiszy komputera.

- Mam ten numer - mruknął Pavois po kilku sekundach. - Materiału użyto o godzinie pierwszej dwadzieścia cztery w nocy. A więc piątego czerwca. Ale nie ma nic więcej. Ani nazwiska, ani zdjęcia. Wszystko usunięto oprócz niedającego się usunąć numeru.

- Nelly zatrzymała sobie tylko zdjęcie. I z powodu tego zdjęcia zginęła.

- Skąd ta pewność?

- Piąty czerwca to data, kiedy ją zamordowano, około godziny trzeciej nad ranem.

Zabójca zaskoczył Nelly, zabił ją i zabrał wydruk.

Po chwili ciszy Pavois zapytał:

- Co naprawdę przedstawia ten kariotyp?

- Już panu mówiłam, że należy do innego gatunku ludzi.

- To absurd.

- Nelly zmarła z powodu tego absurdu.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziała?

- Bo znała pańską odpowiedź. Czekala na bardziej konkretne wyniki.

Pavois milczał. Bez wątpienia przykro mu było, że jego towarzyska nie miała do niego więcej zaufania. Że nie prowadził tych badań razem z nią. Może uniknęłaby śmierci... Jeanne nie miała czasu, żeby go pocieszać ani wyprowadzać z błędu. Podziękowała i rozłączyła się.

Wybrała numer argentyński, który dał jej Reischenbach - numer Instytutu Agronomii w Tucuman. Daniel Taieb, kierownik wydziału badań paleontologicznych, był nieobecny. Jeanne zostawiła swój numer i poprosiła, by do niej oddzwonił. Bez większej nadziei.

Na dworze wciąż padał deszcz. Wiatr płał liany w dżungli. Ale prawda była jeszcze bardziej zagmatwana... Musiała z kimś porozmawiać. Musiała wypowiedzieć na głos to, co właśnie pojęła.

Reischenbach.

Nie od razu dotarło do niego, że Jeanne zamierza przedstawić mu całą historię: znalezienie w 1981 roku Juana, dziecka-wilka, w Lesie Cieni, jego powrót do świata ludzi. Naukę podstawowych czynności, wysiłki, które podjął Pierre Roberge, żeby poznać pochodzenie Juana.

Aż doszedł do tego, że dziewięcioletni Juan nie był wychowywany przez wrzeszczące małpy, ale przez potomków prymitywnego plemienia, nienależącego do żadnej grupy

etnicznej w tej prowincji Argentyny.

- Nie sądzisz, że chyba trochę przesadziłaś? - W jego tonie brzmiało niedowierzanie.

- Ten inny lud pasuje do paryskich zbrodni.

- Powiedzmy.

- Juan, dziecko-wilk, został adwokatem. Ma trzydzieści pięć lat, mieszka w Paryżu. Z wyglądu niczym się nie różni od rodowitego paryżanina, ale w jego wnętrzu kryje się dzikie zwierzę. Kanibal, który chroni tajemnicę swojego ludu. Kiedy dowiedział się, że grozi mu zdemaskowanie, wkroczył do akcji.

Milczenie Reischenbacha przedłużało się. Jeanne mówiła dalej:

- Manzarena, właściciel banku krwi, dostał w swoje ręce próbkę krwi tego plemienia. Przesłał ją do Nelly Barjac, aby ustaliła jej kariotyp. Manzarena obsesyjnie interesował się prehistorią, pochodzeniem zła w człowieku. Nelly Barjac otrzymała próbkę trzydziestego pierwszego maja. Po dokonaniu koniecznych czynności rezultaty badań uzyskała w nocy z czwartego na piątego czerwca. Tej samej nocy złożył jej wizytę Joachim. Zabił ją, zabrał próbkę i wyniki analiz.

- Jak się dowiedział, że Nelly nad tym właśnie pracowała?

- Jeszcze nie wiem. Moim zdaniem Nelly znała Joachima. Pracowała dla wielu południowoamerykańskich organizacji humanitarnych. Byli ze sobą w kontakcie. Wiedziała, że Joachim pochodzi z północno-wschodniej Argentyny. Opowiedziała mu o swoich badaniach i zapłaciła za to życiem.

- Sprawdziliśmy wszystkie jej rozmowy telefoniczne, każdy e-mail.

- Musieli się jakoś inaczej kontaktować. Może po prostu rozmawiali bezpośrednio. Joachim zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Przybył zrobić porządek.

- Dlaczego zabił także Marion Cantelau?

- Nie mam pojęcia. Istnieje jednak pewien związek pomiędzy dziećmi autystycznymi tego centrum i Joachimem. Marion zagrażała jego tajemnicy w jakiś inny sposób. Jestem tego pewna.

- A Francesca Tercia?

- Co do niej sprawa jest jasna. Otrzymała czaszkę od De Almeidy. Czaszka musiała należeć do tego prehistorycznego ludu z lasu. Pamiętasz, że miała jakieś zniekształcenia? Z pewnością świadczyły o małych cechach bardzo starej rodziny hominidów. Francois Taine wpadł na to wszystko.

- Prawdziwy geniusz - rzekł sceptycznie Reischenbach.

- To nie jego zasługa. Po prostu zobaczył rzeźbę.

- Jaką rzeźbę?

- Rekonstrukcję wykonaną przez Francescę na podstawie czaszki. Tutaj się pomyliłam. Sądziłam, że rzeźba powstała pod wpływem natchnienia artystki. W rzeczywistości wzorowała się na czaszce dostarczonej przez paleontologa. Pracowała w tajemnicy, u siebie, bo chodziło o prawdziwą sensację... Kiedy próbowałam ratować Francois z płomieni, zobaczyłam posąg, który Taine ukradł z atelier Franceski. Posąg spłonął, ale zdążyłam zobaczyć, że przedstawiał niewysokiego mężczyznę o wyglądzie małpy...

- Jak Francois dowiedział się, nad czym pracuje Francesca?

- Joachim i Francesca znali się. Oboje pochodzą z Argentyny.

- Argentyna jest wielka.

- W Paryżu nie ma wielu Argentyńczyków. Cisza.

Reischenbach zastanawiał się.

- Mamy więc trzy kanibalistyczne morderstwa popełnione przez tego samego szaleńca, który uważa się za człowieka prehistorycznego. Wariata, którego motywu domyślamy się na podstawie kropli krwi i czaszki?

- Nie były jakiej krwi. I nie były jakiej czaszki. Dowodzą one istnienia prehistorycznego ludu. Czaszka być może jest podobna do szkieletów człowieka proto-Cro-Magnon, które znaleziono w Azji Środkowej i w Europie.

- Jak ta?

Jeanne zamarła, usłyszawszy czyjś głos za plecami. Na jej łóżku wylądowała czaszka.

Przez sekundę wpatrywała się w czaszkę z czarnymi oczodołami. Była nienormalnie biała i wyglądała na zrobioną z plastiku. Rekwizyt.

- Jeanne, jesteś tam?

Nie odpowiedziała Reischenbachowi. Powoli odwróciła się w kierunku głosu.

- Jeanne?

- Oddzwonię do ciebie - szepnęła. W drzwiach stał Antoine Feraud. Potargany. Zaniebany. Przemoczony.

Ale jak na umarłego wyglądał całkiem nieźle.

64.

Kolejna burza.

Błyskawice przecinały półmrok na dworze, tworząc na ułamek sekundy kontrastowe

pólcienie.

Negatywy rzeczywistości...

Jeanne nie zdążyła otworzyć ust. Antoine Feraud odezwał się pierwszy. Od razu przypomniała sobie głos z nagrań. Pełen wdzięku. Słodki. Uprzejmy. Zrobiło się jej bardzo gorąco.

Psychiatra zaczął zadawać pytania. Chciał wiedzieć, dlaczego przyjechała tutaj, do Gwatemali, a przedtem do Nikaragui.

A więc Feraud wiedział o wszystkim.

A jednocześnie nic nie wiedział.

- Dlaczego mnie pan śledzi? - odpowiedziała pytaniem.

- Czy przypadkiem nie odwraca pani ról? - odrzekł z uśmiechem.

- Ja pana nie śledziłam.

- Mam na ten temat inne zdanie. Wiem, czego pani szuka. Ale co pani robi w tym gnieździe os? W moim gnieździe os?

Skończył się czas kłamstw, oszustw, hipokryzji.

- Może wypijemy na dole herbatę, co pan na to?

Kilka minut potem siedzieli pod oszklonym dachem werandy, podczas gdy deszcz z szumem bębnił o powierzchnię hotelowego basenu. Z ręką zaciśniętą na filiżance Jeanne zdecydowała się bez kłamstw i wykrętów opowiedzieć wszystko. Od podsłuchu w gabinecie aż do ekshumacji i zdobycia dziennika Pierre'a Roberge'a. „Poruszę piekło...”.

Na koniec dokonała podsumowania - paryski morderca nazywa się Joachim Palin. Jest przybrany synem Alfonsa Palina, krwawego admirała z czasów dyktatury w Argentynie. Zabił trzy osoby w Paryżu, jedną w Managui, żeby uchronić swoją tajemnicę - istnienie w jednym z argentyńskich lasów spadkobierców ludu z najdawniejszych wieków...

Antoine Feraud słuchał tego w milczeniu przez ponad godzinę. Nie tknął filiżanki z herbatą. Nie wydawał się zaszokowany pomysłem założenia u niego podsłuchu z powodu banalnej łózkowej historii ani zdziwiony determinacją Jeanne. Znów miała przed sobą twarz, która tak ją zachwycała na wystawie wiedeńskiej secesji. Delikatność, harmonia rysów współgrały z jego głosem i zachowaniem. Brak jednak było zdecydowania, którego wymagało to śledztwo.

- A pan? - zapytała na koniec.

Teraz przemówił psychiatra. Tonem pewnym, obojętnym, jakby zdawał relację ze stanu umysłowego kogoś z pacjentów.

- Prowadziliśmy, Jeanne, to samo dochodzenie. Jestem mniej zdolny, mniej

doświadczony od pani. Ale ojciec Joachima ujawnił mi informacje, których pani nie zdobyła. Zaczniemy od tego, że nazywają się Alfonso i Joachim Palinowie. Część ich historii wiąże się z Argentyną. Wiedziałem, że Joachim po tragedii, jaka się wydarzyła w domu Garcii, uciekł z koszar w Campo Alegre i żył w lesie, ale Palin nigdy nie mówił o żadnym ludzisku z Lasu Cieni. Moim zdaniem nic o tym nie wie. Za to był zafascynowany przestępczymi skłonnościami przybranego syna. Alfonso Palin sam jest w pewnym sensie seryjnym zabójcą.

Ojciec, syn i Duch Zła.

- Druga informacja: Joachim zamierzał udać się do Nikaragui. Jego ojciec wiedział, że chciał się on tam spotkać z Eduardem Manzareną.

- Kiedy zorientował się pan co do przestępczej natury Joachima?

- Najpierw było ostrzeżenie ojca, w piątek. Potem w następną niedzielę pierwsza wzmianka w mediach o zamordowaniu Franceski. Zrozumiałem, że Alfonso mówił prawdę. Jego syn przeszedł do czynów. Nie mogłem się z nim skontaktować, bo nie podał mi swojego numeru telefonu ani adresu. Odnalazłem numer Manzareny w Managui. Nie udało mi się z nim porozmawiać. Zdecydowałem się na bardziej ryzykowne działanie. Wieczorem poszedłem do atelier Franceski w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

- O której godzinie?

- O dwudziestej drugiej.

- Mógł pan natknąć się na Francois Taine'a.

- Znalazłem tylko czaszkę. W poniedziałek rano kupiłem bilet do Nikaragui. Chciałem osobiście ostrzec Manzarenę.

- Dzwoniłam w Managui do wszystkich hoteli. W żadnym nie było nazwiska Feraud.

- Wybrałem mały pensjonat. Zameldowałem się pod innym nazwiskiem. Środki ostrożności... Nawet mnie nie zapytano o paszport. Zapłaciłem gotówką.

- W jaki sposób prowadził pan dochodzenie? Mówi pan po hiszpańsku?

- Niezbyt dobrze. Szukałem Manzareny. Na próżno. Nie jestem zawodowym śledczym. Skontaktowałem się również z psychiatrami w tym mieście. Odwiedziłem centra specjalistyczne. Szukałem śladów nastolatka leczonego z powodu autyzmu. Nie wiedziałem, że Palin i Joachim nigdy nie byli w Nikaragui.

- Jak odkrył pan moją obecność w Managui?

- Przypadkiem. Wiedziałem o obsesji Joachima na punkcie krwi. Wyobraziłem sobie miejsca, które mogły go interesować. Należały do nich banki krwi. Wówczas dowiedziałem się, że szefem Plasma Inc. jest właśnie Eduardo Manzarena. Udałem się tam w środę. Dojechałem w chwili, kiedy pani, najwyraźniej przestraszona, wychodziła z centrum.

Myślałem, że mam halucynacje. Do tego momentu była pani dla mnie uroczą, młodą kobietą, trochę zagubioną, którą przed tygodniem poznałem w muzeum na wystawie.

Jeanne zwróciła uwagę na określenia „młoda” i „urocza”.

Odłożyła je starannie do swojego pudełeczka ze skarbami. I natychmiast zapomniała o słowach „trochę zagubiona”.

- Pojechałem za panią - kontynuował Feraud. - Czekałem przed willą Manzareny. Widziałem, jak przyjechały wozy policyjne, karetki pogotowia. Widziałem, jak rozmawia pani z wysoką Indianką. Nic z tego nie rozumiałem. Niech pani pamięta, że okłamała mnie pani w sprawie swojego zawodu. Przedstawiła mi się pani jako dyrektorka firmy wydawniczej.

Jeanne wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam pana wystraszyć. Dla mężczyzn lepiej być stewardesą niż funkcjonariuszem państwowym.

- Prestiż munduru... Czy nosi pani togę sędziowską?

- Nigdy. Sędziowie śledczy nie biorą udziału w procesach.

- Szkoda.

Zamilkli oboje zaskoczeni obrotem rozmowy. Żartować w takiej koszarnej sytuacji...

- Co było potem? - zapytała Jeanne poważniejszym tonem.

- Poszukałem kafejki internetowej. Chciałem się dowiedzieć czegoś na pani temat. Jest pani osobą dość znaną w swoim środowisku. Zrozumiałem, że pani mną manipulowała.

- Nic podobnego. To zbieg okoliczności.

- Pojawiła się pani w moim życiu, ot tak. - Strzelił palcami. - Dowiedziałem się, że jest pani sędzią śledczą. Pomyślałem, że już tego pierwszego wieczoru chciała pani, korzystając ze swojego uroku, pociągnąć mnie za język.

- Uroku?

- Nie docenia się pani. Znowu ton flirtu...

- Co zrobił pan potem?

- Straciłem pani ślad w wieczór morderstwa. Nazajutrz poszukałem informacji o Eduardzie Manzarenie. Nie było to trudne, pisały o nim wszystkie gazety. Poczytałem również prasę francuską i dowiedziałem się, że Joachim zabił w Paryżu jeszcze dwie osoby przed Francescą. Jednak w Managui nie zrobiłem ani kroku naprzód. Nie miałem żadnego śladu, żadnej wskazówki, nic. Niemożliwe okazało się odnalezienie Joachima i jego ojca w tym mieście. Znalazłem się w ślepym zaułku. Nie miałem środków ani umiejętności, żeby ich

znaleźć.

- Dlaczego pojechał pan do Gwatemali? Śledził mnie pan?

- Nie. To był znowu przypadek. W czwartek wieczorem poszedłem do ambasady francuskiej. Rozmawiałem z attache kulturalnym, niejakim Markiem, który okazał się bardzo pomocny.

- Nasze drogi mogły się tam skrzyżować.

- Rzeczywiście. W rozmowie wspomniał o Francuzce, która wybierała się do Antigui. Proszę mi wybaczyć, ale jego zdaniem ta kobieta zachowywała się... trochę histerycznie. Domyśliłem się, że to pani... O świcie wyleciałem do stolicy Gwatemali. Wynająłem samochód i pojechałem do Antigui. Miasto nie jest duże i w końcu zobaczyłem panią wychodzącą z kościoła Nuestra Señora de la Merced.

- Zachowywałam się histerycznie?

Feraud się uśmiechnął.

- Może heroicznie. Od tej chwili nie traciłem pani z oczu.

Umilkł. Musiała teraz wybrać. Przyjaciel czy wróg? Sprzymierzeniec czy rywal? W głębi duszy bardzo się ucieszyła. Nie była już sama. Dalej prowadzić będzie dochodzenie razem z najmilszym z paryskich psychiatrów, który nie skąpił jej przy tym komplementów...

Próbując usilnie nie zdradzić stanu swego ducha, lodowatym, urzędowym tonem zapytała:

- Pańskie wnioski?

- Ojciec i syn zamierzają kontynuować podróż. Teraz chcą jechać do Argentyny. Tutaj zrobili porządek w sprawie krwi. Tam zrobią to samo w sprawie czaszki.

- Zgadzam się z panem.

Jeanne spojrzała na torbę Ferauda, w której była gipsowa czaszka.

- Co pan wie o tej czaszce?

- W atelier Franceski znalazłem dane paleontologa, który ją jej przysłał.

- Jorge De Almeida.

- Jego komórka nie odpowiadała. Zadzwoiłem do jego instytutu w Tucuman. Udało mi się porozmawiać z kierownikiem laboratorium Danielem Taiebem.

- Miał pan szczęście.

- Dowiedziałem się, że De Almeida kierował kilkoma ekspedycjami w Lesie Cieni i za każdym razem przywoził dziwne szczątki. Z ostatniej wyprawy dotąd nie wrócił. Według mojego rozmówcy De Almeida w ostatnich miesiącach był bardzo podekscytowany. Sądził, że dokonał rewolucyjnego odkrycia.

- Ta czaszka?

- I inne wykopane szczątki.

- Na czym polega rewolucyjny charakter tych kości?

- Należą do archaicznego gatunku Homo sapiens sapiens. Ta czaszka miałaby mieć cechy charakterystyczne dla człowieka proto-Cro-Magnon: cofnięty podbródek, wystające kości policzkowe, wysunięte do przodu szczęki... Te małe cechy dowodziłyby obecności prototypu człowieka na kontynencie amerykańskim już trzysta tysięcy lat temu.

- To niemożliwe - zauważyła Jeanne, przypominając sobie chronologię przedstawioną jej przez Isabelle Vioti. - Przedstawiciele Homo sapiens sapiens przybyli do Ameryki znacznie później.

- To właśnie powiedział mi ten naukowiec. Ale jest jeszcze coś bardziej zwariowanego. De Almeida twierdził, że ustalił wiek tych kopalnych szczątków. Zwłaszcza czaszki.

- Mianowicie?

- Nie ma dwudziestu lat.

Jeanne nie wiedziała, co ma myśleć. A przecież przeczuwała tę prawdę od wielu godzin.

Antoine Feraud postawił kropkę nad „i”.

- Ci proto-Cro-Magnon istnieją do dzisiaj. Żyją w głębi Lasu Cieni.

III.

LUD

65.

Odwróciła głowę i wyjrzała przez okienko. Skrzydło samolotu skręcało ku wielkiemu miastu, które wyłaniało się z chmur - Buenos Aires. Jeanne chętnie wykorzystałaby w pełni tę podróż do stolicy Argentyny, która olśniła ją w czasie jej studenckiej wyprawy. Teraz jednak jej umysł zajęty był czymś innym. Wciąż zastanawiała się nad nieprawdopodobną hipotezą, która zamykała rozdział Ameryki Środkowej, o tym, że w głębi północno-wschodniej laguny żyje w dzisiejszych czasach jakiś prymitywny lud.

Można było snuć takie przypuszczenia na podstawie pewnych oznak. Może nawet były na to dowody... Jeanne jednak nie potrafiła zaakceptować takiej możliwości. Nie pozwalał jej na to zdrowy rozsądek. Od czasu do czasu w prasie i w telewizji wspomniano o plemionach całkowicie odciętych od świata cywilizacji. O tubylcach, którzy jakoby nigdy nie widzieli białego człowieka. W Amazonii. W Papui. W Nowej Gwinei. Jeanne jednakże tak wiele podróżowała, że wiedziała, iż tego rodzaju odkrycia nie były obecnie możliwe. W porze satelitów. Wycinania lasów. Nielegalnych kopalni...

Niepokoili ją jeszcze inna sprawa. Jeśli istniał lud z Lasu Cieni, nie był zwykłą archaiczną grupą. Stanowił brutalny, okrutny, złośliwy fragment ludzkości. Były to istoty kanibalistyczne, czczące nieznaną bóstwa, ludzie, których tryb życia opierał się na barbarzyństwie i sadyzmie. Zboczeni zabójcy, którzy składali w ofierze kobiety w trakcie ceremonii rodem z filmów grozy.

Z zamyślenia wyrwało ją uderzenie kół o płytę lotniska.

Wyjście z samolotu. Kontrola paszportowa. Odbiór bagaży. Jeanne i Feraud postanowili połączyć swoje siły. Bez dyskusji. Bez zastanawiania się nad niebezpieczeństwami tej wyprawy. Ustalili po prostu, że najbliższym etapem będzie Buenos Aires. Do stolicy Gwatemali wrócili samochodem Ferauda, ponieważ Jeanne nadal nie miała żadnych wiadomości od Nicolasa. Jeszcze tego samego wieczoru pojechali na lotnisko La Aurora i polecili samolotem do Miami. Po kilku godzinach snu w lotniskowym hotelu udało im się wsiąść do samolotu linii lotniczych Aerolinas Argentinas odlatującego do Buenos Aires o godzinie siódmej piętnaście rano.

W samolocie doszło do zwierzeń. Jeanne przedstawiła swoje życie od najlepszej strony, ukrywając wszystko to, co mogło rzucić na nie ponury cień - zamordowanie starszej siostry, obsesyjne zainteresowanie przemocą, rozpieszczona matka, jej własne depresje, niezdolność do zatrzymania na dłużej kochanka... Antoine Feraud udawał, że wierzy w tę

zachwycającą wersję, podejrzewając niewątpliwie pewne luki. Zresztą w pracy psychiatry miał nieustannie do czynienia z niedopowiedzeniami.

On swoje życie przedstawił jako dość banalne. Okazało się, że był bardzo uzdolniony. Dzieciństwo w rodzinie mieszczańskiej w Clamart. Matura w wieku siedemnastu lat. Dyplom z medycyny w wieku dwudziestu trzech lat. Gdy miał dwadzieścia sześć lat, zrobił specjalizację z interny, a potem doktorat z psychiatrii. Później był asystentem na wydziale Sainte-Anne i pracował jako psychiatra w szpitalu tego samego imienia. Od pięciu lat nastawił się głównie na praktykę prywatną, zachowując cotygodniowe konsultacje w szpitalu Sainte-Anne. Nie otworzył gabinetu dla pieniędzy, ale po to, jak sam mówił, by mieć „swoją intymny teren”. Na co dzień miał do czynienia z paryżanami cierpiącymi na zwykłe neurozy.

Co do reszty, nic godnego uwagi. W wieku trzydziestu siedmiu lat Antoine Feraud nie miał żony ani kochanki, ani byłej żony czy byłej kochanki. Przynajmniej tak mówił. Jego jedyną pasją była praca. Żył dla psychiatrii, psychoanalizy i tego osławionego „mechanizmu ojców”, o którym opowiadała Jeanne już wcześniej. „Za każdą zbrodnią kryje się grzech ojca...”. Pod tym względem Joachim stanowił klasyczny przypadek. Ale kto był jego występnym ojcem? Hugo Garcia? Plemię z lasu? Alfonso Palin? A może ojciec biologiczny, zapewne więzień polityczny, zamęczony w kazamatach Campo Alegre? Jedno nie ulegało wątpliwości - Joachim był naznaczony przemocą. Z niej się narodził. Dla niej żył.

Jeanne słuchała Ferauda. W miarę jak mówił z coraz większym ożywieniem, przestawał być podobny do mężczyzny z jej snów. Wydawał się młodym zapaleńcem, całkowicie niezorganizowanym. Niezdającym sobie sprawy z tego, w jaką wplątał się awanturę. Uzbrojony w swoje teorie i wiedzę psychiatryczną nie pojmował, że ma teraz do czynienia z prawdziwym życiem, z prawdziwym zabójcą i prawdziwymi ofiarami. Teren dobrze znany Jeanne, która zaczęła się obawiać, że będzie dla niej ciężarem, a nie wsparciem w dochodzeniu.

Wyszli z lotniska Eizeiza. Rozejrzeli się za taksówką. Znalazłszy się na dworze, Jeanne doznała szoku. Godzina dziesiąta rano. Słońce. Powietrze niezwykle, trudne do opisanania... Był czerwiec, a w Argentynie panowała zima. Zima w wersji słonecznej.

Tuż obok niej policjant powiedział kilka słów z cudownym, ciepłym akcentem tego kraju. Przyszły jej na myśl umieszczone w dymku wypowiedzi bohaterów komiksów. Niespodzianie, pomimo śledztwa, smaku śmierci we wszystkim, poczuła radość. Jakby znalazła się w innym świecie...

Taksówka. Jechali autostradą. Z lasu powoli wynurzało się miasto. Płaskie i szare niczym morze. Migotało, połyskiwało, drgało. Jasno oświetlone centra z białymi domami

pojawiły się pośród bujnej zieleni. Domy zawsze wąskie z kilkoma oknami. Obraz miasta zbudowanego z kawałków cukru z eteryczną elegancją.

Aleja 9 Lipca. Główna ulica Buenos Aires przedstawiała sobą istny katalog architektury stolicy. Monumentalne budowle, w których mieszały się style, epoki, materiał. Duże, szlachetne liściaste drzewa - tipuanas, sykomyry, laurowce, obejmujące swymi lekkimi cieniami fasady domów. Całe miasto wibrowało. Przywodziło na myśl dzwonięcie cymbałów w zimowym słońcu.

Jeanne widziała tylko to. Gdy patrzyła na ulice, budynki, bramy, wracały jej wspomnienia. Zapach wiciokrzewu targanego ciepłym wiosennym wiatrem. Błękitno-różowe zasłony jaracarandas z listkami lżejszymi niż kwiaty bawełny. Szum samochodów, wieczór, który zlewał się z nocą na placu San Marin u stóp olbrzymich drzew laurowych...

Wskazała kierowcy hotel, który zapamiętała w dzielnicy Retiro, w północno-wschodniej części miasta. Hotel Jousten przy ulicy Arroyo. Pamiętała zwłaszcza ulicę. Arteria, która na zakręcie, co się rzadko zdarzało w tym mieście zbudowanym na planie szachownicy, znikwała pod drzewami niczym rzeka obrośnięta z obu stron wierzbami.

Ulica Arroyo numer 932. Jeanne zapłaciła za taksówkę. Feraud niezbyt chętnie otwierał portfel. Zaskoczyło ich zimno. W cieniu było nie więcej niż kilka stopni powyżej zera. A ona w dalszym ciągu nie kupiła sobie ciepłego swetra. Ta zimowa atmosfera całkowicie się różniła od tego, co poznała w czasie swojej pierwszej tu podróży. Jednak ulica nadal była piękna. Budynki górujące nad koronami drzew miały w sobie niezwykłą szlachetność. Obrobione kamienie, zaokrąglone rogi, rzeźbione balkony...

W hotelu wolne były dwa pokoje. Na tym samym piętrze, ale nieprzylegające do siebie. Doskonale. Nie przyjechali tutaj, żeby swawolić. Jeśli nawet w Gwatemali taka myśl wydawała jej się naturalna, teraz była bardzo daleka...

Jeanne wykąpała się pod prysznicem. Po dziesięciu minutach wodnego masażu wyszła z kabiny rozgrzana, zregenerowana. Ubrała się znowu w bawełnianą koszulkę i lekkie polo. Umówiła się z Feraudem w hotelowym holu w południe.

Cel był jasny.

Odnaleźć ślad admirała Palina i pułkownika Pellegriniego.

66.

Jeanne podała kierowcy adres „Clarín”, lewicowego dziennika w Buenos Aires. Miała

nadzieję, że stały niedzielny dyżur umożliwi jej dostęp do archiwów.

Siedziba gazety znajdowała się w alei Corrientes, w dzielnicy San Nicolas. Taksówka przecięła opustoszałe centrum biznesowe, gdzie wznosiła się otoczona trawnikiem Wieża Anglików. Wokoło stały amerykańskie budynki rzucające zimne cienie. W dzielnicy tej czuło się dojmującą samotność, która wywoływała niemal metafizyczny niepokój.

Samochód wjechał w węższe, bardziej zatłoczone uliczki. Jeszcze inne oblicze Buenos Aires. Ciemne bramy, okratowane balkony, wąskie okna ustrojone krzewami kwiatów. I wszędzie słońce. Niekiedy ledwie widoczne, ale zawsze w pogotowiu. Tu błysk szyby otwieranego okna. Tam lśnienie karoserii pędzącego samochodu. Gdzie indziej migotanie metalowej rzeźby ustawionej na trawie. Jeanne przypomniała sobie rozważania Emmanuela Aubussona na temat słów Rimbauda: „Wieczność... morze przybyłe wraz ze słońcem”. Buenos Aires zaś było „zimną przybyłą wraz ze słońcem”...

Dotarli do alei Corrientes, długiej arterii obramowanej ciemnymi, ustawionymi w szereg budynkami. Kontrasty tutaj były tak silne, że wszystko wydawało się malowane na czarno i biał.

Jeanne słusznie przewidywała, że w gazecie jest stały dyżur. Archiwum mieściło się w sali bez okien oświetlonej rurkami neonowymi, z pulpitemi, na których stały komputery.

Wystarczyło kilka kliknięć i Jeanne miała już dostęp do gazety. Feraud stał za nią, milczący, poważny. Zastanawiała się, czy zna on na tyle dobrze hiszpański, żeby nadażać za tym, co będzie się ukazywało na ekranie. Poszukiwania zaczęła od admirała Alfonsa Palina. Uzyskała niewiele.

Palin zajmował wysokie stanowiska w słynnej Escuela de Mecanica de la Armada (ESMA), głównym ośrodku zatrzymań, tortur i eksterminacji „brudnej wojny”. Potem nadzorował inne nielegalne ośrodki więziennictwa w samym Buenos Aires - Automotores Orletti, El Banco, El Olimpo... W artykule mówiono, że to on zarządził odtwarzanie utworów muzycznych w tych ośrodkach, żeby zagłuszyć krzyki więźniów. W 1980 roku został kierownikiem sekretariatu Państwowych Służb Informacyjnych. Odbierał więc rozkazy bezpośrednio od Jorge Rafaela Videli. Musiał znajdować się na czele listy oficerów oskarżonych przez rządy demokratyczne, które nastąpiły po dyktaturze, ale po wojnie o Falklandy ulotnił się w 1984 roku.

Od tamtej pory nie napisano o nim ani linijki. Najwyraźniej admirał musiał gdzieś wyemigrować. Jeanne nie była tym zaskoczona. Wszystko wskazuje na to, że już od dawna mieszka w Europie. W Hiszpanii lub we Francji.

Jedyną, co uzyskała, to zdjęcie, na którym był z innymi oficerami. Wszyscy stali

sztynno w mundurach. Niektórzy nosili ciemne okulary i wyglądali jak mafiosi. Przypominali swoje własne karykatury.

Jeanne odwróciła się do Ferauda.

- Który z nich?

Psychiatra jakby zakłopotany pokazał palcem. Palin wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała. Wysoki, szczupły, suchy niczym martwe drzewo. W latach osiemdziesiątych miał jeszcze gęste, czarne włosy zaczesane do tyłu. Zimne niebieskie oczy i dwie symetryczne zmarszczki, które obejmowały jego twarz niczym szczypce do lodu. Jeanne spróbowała wyobrazić go sobie znacznie starszego, w garniturze, w gabinecie Ferauda. Raczej zaniepokojonego w roli pacjenta...

Wydrukowała to zdjęcie i przeszła do kolejnej postaci. Vinicio Pellegrini. Przy tym nazwisku komputer się ożywił. Pokazało się mnóstwo artykułów. Pułkownik uczestniczył chyba we wszystkich procesach, korzystał ze wszystkich amnestii, potem znowu wrócił na ławę oskarżonych za aktualnego rządu, który nie żartował w sprawie przestępców z czasu dyktatury. Pellegrini stosował wszystkie metody. Podłe. Zdradzieckie. Ale także przynoszące mu rozgłos. Człowiek ten, chociaż już od dawna nie brał udziału w życiu publicznym, był w Buenos Aires prawdziwą gwiazdą.

Jeanne zabrała się do czytania, kiedy przypomniała sobie o Feraudzie. Odwróciła się do niego i zaskoczyło ją zmieszanie w jego wzroku. Pewnie miał problem z językiem, ale także z historią polityczną tego kraju. Nawet ona czuła się nieco zagubiona. Jeśli naprawdę chcieli zrozumieć coś z tego galimatiasu, powinni najpierw odświeżyć sobie pamięć. Zagłębić się w minione trzydzieści lat dziejów Argentyny. Okresu junt wojskowych, których rządy przekroczyły wszelkie granice grozy.

Archiwa „Clarín” zawierały syntetyczne zestawienia artykułów na różne tematy. Jeanne wybrała dział „Sądownictwo, dyktatury, reformy”. Otworzyła plik i zaczęła głośno tłumaczyć swojemu partnerowi kolejne artykuły.

Fakty.

Marzec 1976 r. Generał Jorge Rafael Videla, dowódca armii lądowej, dokonał przewrotu, w którego wyniku straciła władzę prezydent Republiki Isabela Peron, ostatnia żona Juana Dominga Perona. Od tamtego momentu władzę sprawowało wielu generałów. Videla od 1976 do 1981 roku. Roberto Viola przez kilka miesięcy. Leopoldo Galtieri od 1981 do 1982 roku, zmuszony do podania się do dymisji po klęsce Argentyny w wojnie o Falklandy. Jego miejsce zajął Reynaldo Bigogne, który z kolei w 1983 roku musiał zrzec się władzy na rzecz demokratycznej republiki.

Tak więc przez siedem lat panował terror. Cel generałów był jasny - wykorzeniec wszelkie wywrotowe elementy. Zabijano ludzi masami. Nie tylko podejrzanych, ale także ich otoczenie.

Zgodnie z tym, co powiedział generał Iberico Manuel Saint-Jean, ówczesny gubernator Buenos Aires: „Zabijemy najpierw wszystkich agentów opozycji, potem ich współpracowników, później ich sympatyków, następnie obojętnych, na końcu nieśmiałych”.

Zaczyna się epoka porwań. Żołnierze ubrani po cywilnemu, w zielonych fordach falcone bez tablic rejestracyjnych, porywają mężczyzn, kobiety, dzieci. Taka scena może odgrywać się na ulicy, w miejscu pracy, w mieszkaniu podejrzanego. O każdej godzinie dnia i nocy. Świadkowie słyszą rozkaz: No te metas (Nie mieszaj się). W ten sposób zniknęły tysiące ludzi przy wymuszonej obojętności pozostałych.

Oryginalna była technika końcowej eliminacji. Po poddaniu torturom tysięcy subversivos trzeba było się ich pozbyć. Zastosowano więc procedurę el vuelo. Przed przewiezieniem więźniów do innego więzienia poddawano ich „szczepieniom”. Pierwszy zastrzyk znieczulający odbierał im wszelką wolę oporu. Tak otumanionych ładowano do samolotu transportowego. W samolocie dawano im drugi zastrzyk, który całkowicie ich usypiał. Następnie żołnierze ściągali z nich ubranie i wyrzucali nagie ciała do Atlantyku. Tym sposobem zginęły setki porwanych. Wyrzucano ich z wysokości dwóch tysięcy metrów. Rozbijali się na powierzchni wody. W każdym więzieniu wyznaczonych było kilka dni na tę „morską robotę”. Wojskowi uważali, że znaleźli wyjście chroniące ich przed międzynarodowymi protestami. Nie ma ciał. Nie ma śladów. Nie ma kłopotu...

Te właśnie zniknięcia stały się przyczyną buntu w Buenos Aires. Od 1980 roku zdesperowane matki zaczęły się domagać odpowiedzi na pytanie, co się stało z ich dziećmi. Jeśli nie żyją, chciały przynajmniej pochować ich szczątki. Stały się sławne i zaczęto o nich mówić Madres de Plaza de Mayo. Żołnierze nadali im przydomek „wariatki z placu Majowego”. Manifestowały bez przerwy, w każdy czwartek, przed pałacem prezydenckim Casa Rosado. Stały się symbolem ludu, który nie mogąc uwolnić się od dyktatury, chciał chociaż pogrzebać swoich zmarłych.

Ten bunt zbiegł się z porażką junty wojskowej, która w 1982 roku wdała się w wojnę o Falklandy. W ciągu paru tygodni, po zatopieniu kilku okrętów, Argentyna została pokonana przez armię brytyjską. Generałowie oddali władzę w 1983 roku, sami sobie udzielając amnestii, by uniknąć procesów sądowych.

Ta strategia zadziałała tylko w połowie. Rząd demokratyczny powołał Narodową Komisję do Zbadania Sprawy Zniknięcia Osób (CONADEP), która w raporcie

zatytułowanym Nunca mas („nigdy więcej”) ujawniła cały ogrom horroru. Raport mówił o trzydziestu tysiącach zaginionych. Liczba ta została oficjalnie zredukowana do piętnastu tysięcy. Opisano również metody tortur. Na pierwszym miejscu wymieniono picaña, igła pod prądem, którą przekuwano różne części ciała - powieki, dziąsła, pachy, narządy płciowe... Świadczenie wymieniają także inne techniki - systematyczne gwałcenie kobiet, amputacje piłą elektryczną, przypalanie papierosami, wydłubywanie oczu, wprowadzanie żywych gryzoni do pochwy kobiet, kaleczenie części rodnych brzytwą, wiwisekcja bez znieczulenia, wrywanie paznokci u rąk i nóg, psy tresowane do gryzienia lub gwałcenia więźniów...

Jak ukarać za takie czyny? Demokratyczny rząd Raula Alfonsina nie mógł dłużej zwlekać. Pomimo groźby nowego wojskowego zamachu stanu trzeba było wszcząć procesy i wydać wyroki. Zaczęła się więc zabawa w kotka i myszkę między oskarżonymi i władzą cywilną, w której na przemian otwierano procesy lub ogłaszano dekryty o amnestii. Jak na przykład wydana w 1986 roku ustawa o „finalnym punkcie” (punto final), która wyznaczała ostateczną datę składania skarg pozwalającą tym samym zaprzestać ścigania wojskowych. Czy też ustawa z 1987 roku o „wymogu posłuszeństwa” (obediencia debida) oczyszczająca z wszelkich zarzutów żołnierzy działających na rozkaz przełożonych.

Pozostawali jeszcze wysocy dygnitarze. Generałowie. Admirałowie. Członkowie wojskowych rządów. Oni także przeszli przez oka sieci. Z prostego powodu - byli za starzy. W najgorszym wypadku zostali skazani na areszt domowy w swoich rezydencjach. Większość z nich wykorzystała władzę na zgromadzenie olbrzymich majątków.

Jeanne odwróciła się od ekranu i spojrzała na Antoine'a Ferauda. Zrozumieli się od jednego spojrzenia. Szukali zabójcy amatora w kraju zabójców profesjonalnych. Alfonsowi Palmowi udało się uciec, uniknąć procesu.

Inaczej było z Pellegrinim.

Jeanne wróciła do artykułów piszących o nim. Od początku procesów pisano o nim wszędzie. El Puma, wpływowy człowiek z Campo Alegre, stał się przedmiotem wielu aktów oskarżenia. Jego odpowiedzialność za popełnione zbrodnie nie ulegała wątpliwości. Jego imię pojawiało się w schematach organizacyjnych. Nawet rozkazy - rzecz rzadka - były podpisane jego ręką. Morderstwa. Tortury. Zniknięcia...

Mimo tych dowodów Pellegrini bywał często wyłączany z procesów. Kiedy zostawał skazywany, natychmiast wnosił apelację, nie zgadzając się nigdy z wyrokiem. Skazany na areszt domowy organizował przyjęcia w swojej willi i zainwestował nawet pieniądze w drużynę piłki nożnej. Były oprawca stał się mecenasem sportu argentyńskiego, otrzymywał zezwolenia na uczestniczenie w meczach i audycjach telewizyjnych.

Jeanne wydrukowała jego zdjęcie. Wysoki mężczyzna, siedemdziesięcioletni, krótko ostrzyżony, w okularach w złotej oprawie, z uśmiechem nasyconego krokodyla.

- To on jest nam potrzebny - stwierdziła.

- Jak go odnaleźć?

Wyłączyła komputer.

- Mam pewien pomysł.

67.

Lokal Madres de Plaza de Mayo znajdował się na południe od alei Corrientes. Jeanne bez trudności odnalazła ten adres - siedziba organizacji mieściła się w okazałym budynku. Taksówka minęła Plaza de Mayo i pałac prezydencki, wjechała w aleję J.A. Roca, by wreszcie dotrzeć do ulicy Piedras.

W trakcie jazdy Jeanne przedstawiła Feraudowi swój plan. Od trzydziestu lat organizacja „Madres” stanowiła jedyny front oporu przeciw generałom. Stworzyła biura poszukiwań, współpracując z adwokatami, detektywami, genetykami, ekspertami od patologii. Mając te kobiety przeciw sobie, przestępcy nie mogli spać spokojnie. Nie mówiąc już o tym, że regularnie urządzały demonstracje pod ich oknami, wznosząc okrzyki: La casa no es un penal! (Dom nie jest więzieniem!) albo: Si no hay justicia, hay escrache popular! (Gdy nie ma sprawiedliwości, są doniesienia ludu!). Przed laty Jeanne uczestniczyła w jednej z takich manifestacji. Była wstrząśnięta postawą tych starych kobiet w białych chustach na głowie, śpiewających, krzyczących, domagających się przy dźwięku bębenków prawa do sprawiedliwości.

W ostatnich latach założyły nowe stowarzyszenie, Babki z placu Majowego, którego zadaniem było identyfikowanie i odnajdywanie dzieci porwanych w czasach dyktatury. W latach 1976-1983 dzieci urodzone w więzieniach oddawano „szanowanym rodzinom”, to znaczy popierającym prawicę. Niekiedy jakiś oficer oddawał noworodka swojej bezpłodnej żonie. Inni zorganizowali prawdziwy handel, sprzedając dzieci bogatym rodzinom. Setki dzieci odebranych przez katów ich biologicznym rodzicom nigdy nie dowiedziały się, jakie jest ich pochodzenie.

Babki, abuelas, zorganizowały zakrojoną na szeroką skalę kampanię, zachęcając wszystkich argentyńskich trzydziestolatków, mających wątpliwości co do swego pochodzenia, aby oddawali krew. Następnie porównywano ich DNA z DNA kobiet, którym

odebrano dzieci. Dzięki tym porównaniom wiele skradzionych dzieci odzyskało prawdziwych rodziców, a przynajmniej ich nazwiska.

Babki i matki w tym stowarzyszeniu stworzyły archiwa, w których gromadzono dane ludzi zamieszanych w ten proceder. Dzięki temu poznano ich kombinacje, by uciec przed sprawiedliwością. Ich finansowe oszustwa. Ich siatkę adwokatów. Było to idealne miejsce, żeby odnaleźć Pellegriniego. Istniał tylko jeden problem - w niedzielę biuro mogło być zamknięte.

Taksówka zatrzymała się na ulicy Piedras pod numerem 157. Jeanne znowu sama zapłaciła za kurs, z rozdrażnieniem spoglądając na Ferauda, który wcale się do tego nie kwapił. Zauważyła jednak, że jest blady, napięty, nieuczesany i wygląda na bardzo przygnębionego. Przybyło mu co najmniej dziesięć lat od tamtego wieczoru, kiedy go poznała w Grand Palais. Wyglądał jak pacjent w przychodni lekarskiej, który dostał pałką w głowę. Przypomniała sobie, że rano w samolocie przeczytał dziennik Pierre'a Roberge'a. Do tego doszły teraz te okropności argentyńskie. Stanowczo za dużo jak na salonowego psychiatrę...

Przez chwilę podziwiała jego rysy, czarne oczy, wyraźnie zarysowane brwi meksykańskiego aktora. Naprawdę piękny facet. Ale nienadający się do śledztwa w terenie. Wzruszył ją. Mimo woli poprawiła ręką opadający mu kosmyk włosów. Natychmiast pożałowała tego gestu czułości. Klepnęła go w ramię i zawołała, otwierając drzwi samochodu:

- Vamos, companero!

Na ulicy Piedras było chłodno i pusto. Budynki sprawiały wrażenie niezamieszanych. Nie znali kodu do bramy pod numerem 157. Musieli poczekać dziesięć minut, zanim ktoś wyszedł z budynku. Było im to zimno, to ciepło. Dawała o sobie znać ciężka noc, godziny niewygodny w samolocie.

Wewnątrz budynku panowała także atmosfera pustki. Szare mury. Brązowa podłoga z białymi kafelkami. Szereg drzwi. Wszystkie identyczne. Znaleźli windę. Żelazna klatka. Trzecie piętro. Znowu korytarz. Kolejne drzwi. Te do organizacji „Madres” znajdowały się na samym końcu. Na drzwiach przyklejone czarno-białe zdjęcie Plaza de Mayo.

Jeanne zadzwoniła. Cisza. Byli już gotowi wracać do hotelu, znaleźć jakąś małą restauracyjkę i odgrywać turystów aż do następnego rana. Jednak po kilku sekundach zazgrzytał w zamku klucz. Drzwi otworzyły się. Choć to absurdalne, ale Jeanne spodziewała się ujrzeć jakąś starą kobietę o wyglądzie czarownicy.

Osoba stojąca na progu nie miała nic wspólnego z tym wyobrażeniem. Był to czterdziestoletni mężczyzna, w koszuli w różowe paski, w dobrze skrojonych spodniach,

mokasynach z frędzlami. Raczej bankier niż wojujący wolontariusz.

Jeanne podała mu nazwisko swoje oraz Ferauda, wyjaśniła, że przyjechali z Paryża.

- Z Paryża? Znam Paryż! - roześmiał się i powiedział po francusku z chropawym akcentem: - Odbyłem tam część moich studiów. Sorbona! Georges Bataille! Kinoteka!

Wszystko jasne. Inteligencik. Można mu wcisnąć każdą blagę, jak choćby to, że chcą napisać książkę o wymierzaniu sprawiedliwości ludziom związanym z dyktaturą. Facet ledwie jej słuchał. Cofnął się i znowu głośno się roześmiał.

- Proszę wejść! Nazywam się Carlos Escalante. Ja także jestem dziennikarzem. Dano mi klucze do biura, żebym mógł sobie tu poszperać.

Weszli do pokoju pełnego metalowych etażerek, drewnianych szuflad, szaf ze sklejk. Teczki z aktami leżały ciasno aż pod sufit. Na drzwiach szaf nalepki ze słowami: Desaparecidos lub Buscar el hermano.

Jeanne zapytała przez grzeczność:

- Nad czym pan pracuje? Zaginieni podczas dyktatury?

- Nie. Skradzione dzieci. Potajemne porody.

Jeanne zerknęła na Ferauda - mogło to się przydać w ich dochodzeniu. Escalante zauważył tę wymianę spojrzeń.

- Interesuje was ten temat?

- Zamierzamy poświęcić temu jeden rozdział. Przypuszczam, że wielu winnych zostało skazanych...

- Trzeba umieć rozpoznać, kto jest winny, oraz zorientować się w charakterze przestępstw...

Carlos Escalante zaprosił ich, by usiedli przy ustawionym na środku stole z wieloma komputerami. Argentyńczyk był uprzejmy, uśmiechnięty i pogodny, jakby na przekór przedmiotowi ich rozmowy.

- Interesujące jest to - zaczął swój wykład - że zbrodnie przeciw małoletnim w Argentynie nie podlegają przedawnieniu. Amnestie ich nie obejmują. Tak więc sprawa kradzieży dzieci pozwala ścigać generałów, którzy uniknęli innych oskarżeń. Nawet Carlos Rafael Videla został skazany w dziewięćdziesiątym ósmym roku. Był sądzony jako autor pomysłu porwania małych dzieci, pozbawiania ich własnego środowiska, fałszowania danych osobowych. Dziś niektóre dzieci występują w sądzie nawet przeciw przybranym rodzicom...

Jeanne usiłowała wyobrazić sobie ten cały koszmar. Kobiety, które rodziły w miejscach, gdzie je torturowano. Dzieci, które dawano w prezencie niczym czekoladki na

Boże Narodzenie. Oprawcy, którzy wychowywali potomstwo swoich ofiar. Trzydziestoletni ludzie, którzy teraz zaciągali swoich przybranych rodziców na ławę oskarżonych i odnajdywali własne pochodzenie na podstawie szczątków znalezionych na pustyni lub na atlantyckich plażach Urugwaju...

- Czy ci wojskowi są w więzieniu?

Escalante znowu parsknął śmiechem. Nie usiadł. Mówił głośno, podnosząc podbródek, jakby chciał przerzucić swoje słowa ponad mur.

- W Argentynie nikt nie siedzi w więzieniu! Skazany odbywa areszt domowy i to wszystko.

- Czy nie natrafił pan na chłopca o imieniu Joachim?

- Jakie jest jego prawdziwe nazwisko i jak nazywają się jego przybrani rodzice?

- Nie wiem - skłamała Jeanne po chwili wahania.

- Mogę poszukać, jeśli pani chce. Kto to taki?

- Chłopiec, o którym słyszeliśmy. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście istniał.

Dziennikarz zmarszczył brwi. Jeanne zmieniła temat, by uniknąć dalszych pytań.

- Prawdę mówiąc, potrzebny nam jest adres pułkownika Vinicia Pellegriniego.

- El Puma? - dziennikarz znowu się rozpromienił. - Nic trudnego. Wystarczy poczytać gazety. Rubryka „ludzie”. Ale mogę też znaleźć tutaj.

Escalante siadł na fotelu na kółkach i obrócił nim niczym zaaferowany dentysta. Zaczął szukać w jednej z metalowych szuflad.

- Jest. Ortiz de Campo trzysta sześćdziesiąt dwa. Najbardziej elegancka dzielnica w Buenos Aires: Palermo Chico.

- Sądzi pan, że zechce z nami rozmawiać?

- Oczywiście! Pellegrini stanowi przeciwieństwo pozostałych generałów. Lubi gadać. Prowokować innych. A jednocześnie jest to charyzmatyczny człowiek. Przynajmniej...

Jeanne i Feraud podnieśli się jednocześnie. Dziennikarz zrobił to samo, podając im kartkę, na której zanotował adres pułkownika.

- Możecie od razu tam pojechać. Z pewnością przyjmuje przyjaciół. Niedziela to dzień asado. Nie ma u nas nic bardziej świętego niż grill!

68.

Grillowane steki. Parujące churrascos. Ociekające tłuszczem kiełbaski. Pieczone

krwawe kiszki... Wszystko to skwierczało, syczało, piekło się na kilkumetrowej długości grillu.

Dzielnica Palermo Chico położona była w północno-zachodniej części miasta. Wille w stylu francuskim, pensjonaty, angielskie rezydencje ciasno stały obok siebie wśród drzew i bujnej zieleni. Budki wartowników i splątane z bluszczem kable elektryczne miały zapewne dobrze strzec cennych domostw.

Kamery. Domofon. Straże. Psy. Wykrywacze metali. Rewizja osobista. Jeanne i Feraud przeszli przez te wszystkie etapy, zanim dotarli wreszcie do ogrodu Pellegriniego. Ich pochodzenie francuskie otworzyło im drzwi. Willa była nowocześniejsza od pozostałych budynków w tej dzielnicy. Budowla o jasnych ścianach, prostych liniach w stylu Mallet-Stevensa, [Robert Mallet-Stevens (1886-1945), francuski architekt, propagator tak zwanego stylu międzynarodowego, którego przykładem są wille na ulicy jego imienia w Paryżu.] ozdobiona kanciastymi wieżyczkami i artystycznymi witrażami.

Jeanne pomyślała, że rezydencja Pellegriniego jest najpiękniejszym więzieniem domowym, jakie można sobie wyobrazić.

Poszli w głąb ogrodu. Na trawnikach rosły wierzby płaczące, stuletnie dęby, wyniosłe sykomory. Pod nimi, przy górach mięsa, krzatali się kucharze przebrani za francuskich szefów kuchni, w białych czepkach i fartuchach. Goście Pellegriniego czekali cierpliwie z talerzami w rękach...

Jeanne spodziewała się zobaczyć tu generałów w mundurach, damulki w kostiumach. Znowu banał... Całość przypominała raczej przyjęcie w lokalu klubowym w Miami. Mężczyźni przekroczyli już wiek średni, ale byli dobrze zakonserwowani, elegancko ubrani, spaleni argentyńskim słońcem. Dopasowane spodnie, koszulki polo marki Ralph Lauren, pantofle do golfa. Kobiety natomiast wyglądały jak ich wnuczki. Wiele z nich było już po liftingu, na spreparowanych przez chirurga plastycznego twarzach widniał wyraz zmęczenia. Lalunie ubrane były w stroje od Gucciego, Versace lub Prady i wyglądały tak, jakby całkiem niedawno ubiegały się o tytuł Miss Argentyny lub Miss Ameryki Łacińskiej.

Dyktatura konserwuje - powiedziała sobie w duchu Jeanne. Ci oficerowie, którzy torturowali, bezprawnie więzili i od trzydziestu lat byli ścigani przez wymiar sprawiedliwości ich kraju, znakomicie się trzymali. Oczekiwali w spokoju na swoje procesy, świadomi tego, że argentyńskie sądy działają o wiele wolniej niż kostucha z kosą.

Jeanne zerknęła na Ferauda. Wpatrywał się w góry mięsa rozłożonego na grillu.

- Źle się pan czuje?

- Ja... jestem wegetarianinem.

Rzeczywiście, ten psychiatra tak nadawał się do podbicia Argentyny jak ona do konkursu mokrych podkoszulków.

- A oto i moi Francuzi!

Odwrócili się na dźwięk słów głośno powiedzianych po hiszpańsku. W ich kierunku szedł olbrzym z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami, ubrany w ciemnoniebieską polarową koszulkę i szerokie, dobrze skrojone dżinsy. Vinicio Pellegrini zachował swoje znaki charakterystyczne - okulary w złoczonej oprawie, wąsiki przywodzące na myśl szczotkę. Podkreślały one kanciasty zarys jego twarzy. Gęba drapieżnika w doskonałej formie. Puma musiał mieć z siedemdziesiąt pięć lat, ale wydawał się dwadzieścia lat młodszy.

- Co was tu sprowadza, muchachos!

W jednej ręce trzymał talerz z porcją wołowiny wielką jak pizza. W drugiej kieliszek z czerwonym winem, co nasuwało porównanie ze świeżą krwią. Radosny potwór. Jeanne wyobraziła sobie zachowanie Pellegriniego, gdyby Matki z placu Majowego manifestowały przed jego domem. Pewnie by spuścił psy na te stare kobiety lub przepędził armatkami wodnymi.

Przedstawiła pokrótce powód ich wizyty. Dochodzenie. Książka. Generałowie. Zwykły blef.

- No, no - zaśmiał się bez śladu najmniejszego zażenowania - amatorzy wspomnień, co?

Poszukał wzrokiem spokojnego kąta, gdzie mogliby usiąść. Wskazał na stół z drewna tekowego w cieniu sykomory. Zajęli miejsca na krzesłach.

Gospodarz uniósł brwi, widząc ich puste ręce.

- Nic nie jecie?

Jeanne z koszyka ustawionego na stole wyjęła empanada, rodzaj pierożka z ciasta francuskiego nadziewanego mięsem. Dała wzrokiem znak, by Feraud poszedł w jej ślady. On jednak pokręcił przecząco głową.

- Kto pani dał mój adres?

- Biuro Matek z placu Majowego.

- Dziwki!

- Nie zauważyliśmy...

- Wszystkie one to dziwki! - Pomachał nożem. - Z Cristiną Kirchner na czele! Czy wiecie, że ta zdzira przyznała bajonki budżet dla tych starych wariatek? Podczas gdy kraj jest na skraju przepaści!

Cristina Fernandez Kirchner została prezydentem kraju po swoim mężu. Jeanne

pamiętała, że zreformowali oni Sąd Najwyższy i ogłosili w sposób niekonstytucyjny prawo do bezkarności. Wszystko po to, żeby przypodobać się staremu Pellegriniemu.

- Wariatki z placu Majowego to oszustki. Ich synowie żyją. Spokojnie prosperują w Europie.

Kłamstwo było grubymi nićmi szyte, ale Jeanne nie zdziwiła się, że w Buenos Aires krążą takie plotki. Zresztą Pellegrini nie wydawał się szczerze rozzłoszczony.

- Wśród osób, które chcielibyśmy wymienić w naszej książce - podjęła wcale niezbita z tropu - jest admirał Alfonso Palin...

Puma zabrał się do steku. Z zapalem kroił soczyste od krwi mięso.

- Życzę powodzenia - powiedział, połykając kawałek. - Nikt go nie widział od przynajmniej dwudziestu lat.

- Ale pan go znał. Prawda?

- Oczywiście. Prawdziwy patriota. Zajmował ważne stanowisko w służbach informacyjnych armii argentyńskiej. Filar w wojnie przeciw opozycji.

- Co może nam pan o nim powiedzieć? O jego osobistym życiu?

Pellegrini żuł energicznie mięso. Ta operacja zdawała się całkowicie go pochłaniać. Szukał słów, by opisać admirała Palina.

- Miał pewną wadę - odrzekł, upiwszy spory łyk wina. - Świętoszek. Był blisko związany ze środowiskami katolickimi.

- Te przekonania współgrały z jego działalnością... wojskową?

- A jak pani myśli? Palin miał krew na rękach. Dużo. Ale musiał to robić... Pomimo że władze kościelne w tamtym czasie sprzeciwiały się eksterminacji buntowników.

Pułkownik znowu miał pełne usta. Wołowiny. Wina.

- Przypominam sobie pewną historię - rzekł. - Na początku dyktatury, w siedemdziesiątym szóstym roku, Palin brał udział w pierwszych vuelos. Czy wie pani, co to takiego?

Jeanne nie odpowiedziała, zdumiona tym, że pułkownik tak swobodnie mówił o przemocy w przeszłości.

- Wie pani, co to takiego, czy nie?

- Tak, wiem. Ale...

- Ale co? Jest już przedawnienie, prawda? Proszę nigdy nie zapominać o jednej rzeczy: to była wojna. Nasz kraj był chory. Ocaliliśmy Argentynę od katastrofy. Gdybyśmy nie wyplenili tych wszystkich lewaków - użył słowa hiszpańskiego *izquierdistas*, kładąc na nie nacisk - nie daliby nam potem spokoju.

Puma odgryzł kawałek steku. Za jego plecami spacerowali goście w jaskrawych koszulkach polo, sukienkach przeróżnych marek niczym na paradzie w cyrku.

- W każdym razie nie potrzebujemy niczyich pouczeń - wskazał widelcem na Jeanne. - To wy, Francuzi, wymyśliliście to wszystko! Wojna z opozycją. Tortury. Szwadrony śmierci. Nawet wyrzucanie ciał do morza! Wszystko to robiliście w Algierii. Napisał o tym w swojej książce *Wojna współczesna* pułkownik Trinquier. My po prostu posłużyliśmy się tym modelem. Francuzi przyjechali, aby nas szkolić. Połowa OAS zainstalowała się w Buenos Aires. Paul Aussarresses miał swoje biuro w ambasadzie francuskiej. Przez wiele lat!

Jeanne, próbując zachować zimną krew, wzięła jeszcze jedno empanada.

- W każdym razie - mówił dalej - trzeba nam przyznać, że działaliśmy skutecznie. Załatwiliśmy się z tym w ciągu trzech lat. Wróg został zniszczony. Potem musieliśmy się zająć innymi drobnymi problemami.

- Jak operacja Kondor?

Pellegrini wzruszył obojętnie ramionami.

- Nie będziemy wracać do wszystkich starych spraw.

- Wojskowi doprowadzili także Argentynę do klęski - powiedziała Jeanne z niewinną miną.

Pellegrini stuknął sztućcami o stół.

- Jedyne niepowodzenie to wojna o Falklandy! Głupi pomysł głupiego generała. Przekłęci Anglicy! W dziewiętnastym wieku, kiedy oblegali Buenos Aires, nasze kobiety wylewały im na łby wrzącą oliwę. To były dobre czasy! - Wskazał widelcem na Ferauda. - Ten facet nic nie je?

- Zjadł już wcześniej. Wspominał pan o czymś, co przydarzyło się admirałowi Palinowi.

- Tak. Kiedy Palin był jeszcze zwykłym oficerem marynarki, przytrafiło mu się coś niemiłego podczas jednego z pierwszych vuelos. W samolocie lekarz uśpił więźniów. Rozebrano ich. Uczestniczyłem w tych operacjach. Obraz stosu nagich ciał niczym w nazistowskim obozie koncentracyjnym nie sprawiał miłego wrażenia... Potem otworzono ładownię i zaczęto wyrzucać ciała. Palin spychał trupa, gdy nagle facet się obudził. Uczepił się go mocno. - Pellegrini zaśmiał się. - Omal nie wypadł razem z tym subversivo!

Śmiał się coraz głośniejszym śmiechem, aż śmiech przeszedł w kaszel. Z ponurą miną zabrał się z powrotem do swojej wołowiny.

- Opowiadał potem, że ten typ śnił mu się po nocach. Palin wciąż widział jego przerażoną twarz. Rękę, która chwyciła się jego ramienia. Słyszał jego niemy krzyk, gdy

spadał... Dla Palina ta scena obrazowała całą groźbę vuelos. Jakby Bóg zbudził więźnia, aby uświadomił Palinowi potworność jego czynu. - Pellegrini przybrał teatralny ton i zadeklamował po francusku: - „Oko było w grobie i wpatrywało się w Kaina...”.

Machnął zakrwawionym nożem w powietrzu, naśladując ruch wycieraczki samochodowej.

- To mu nie przeszkodziło w dalszej działalności. Między innymi brał udział w założeniu Triole A - Alianza Anticomunista Argentina. Dobra robota.

Jeanne знаła tę nazwę. Antykomunistyczny Sojusz Argentyński. Terrorystyczna grupa skrajnej prawicy, która w tamtych ponurych latach tworzyła szwadrony śmierci.

- Następnie - kontynuował pułkownik - został admirałem. Videla go uwielbiał. Uchodził za intelektualistę w tej bandzie. Nie było to trudne. Został mianowany szefem sekretariatu stanu do spraw informacji. Już nie musiał brudzić sobie rączek. A potem odkrył psychoanalizę.

- Psychoanalizę?

- W Argentynie cieszy się ogromnym powodzeniem. Jego doświadczenia z psychoanalizą trwały całe lata...

Jeanne wyobraziła sobie admirała Alfonsa Palina, głównego oprawcę, seryjnego zbrodniarza, „mózg” czystek skierowanych przeciw opozycji, udającego się co tydzień do psychoanalityka, by znaleźć pocieszenie dla swego sumienia. Mission impossible.

Czas wracać do właściwego tematu.

- Wiemy, że Alfonso Palin w osiemdziesiątym pierwszym roku przybył do pana, gdy kierował pan Campo Alegre.

Pellegrini zabrał się do achuras. Kielbaski. Krwawa kiszka...

- Jest pani dobrze poinformowana.

- Czy może pan opowiedzieć, co się wtedy stało?

Pellegrini zamyślił się.

- Dlaczego miałbym to pani opowiadać?

Postawiła na jego próżność.

- Żeby mógł pan znaleźć się w centrum naszej książki. Zresztą, jak pan sam powiedział, wszystko uległo przedawnieniu.

Pułkownik uśmiechnął się szeroko, przepelniony dumą. Tak. Próżność była jego piętą achillesową. Jeanne mimo woli poczuła pewien podziw dla tego człowieka. Zabójca. Ludobójca. Ale jakże szczery!

- W tamtym czasie mieliśmy pewien problem - zaczął. - Generałowie zdecydowali,

żeby nie zabijać dzieci więźniów. Należało więc je wziąć. Wychować. W Chile mówiło się: „Trzeba zabić sukę, żeby nie rodziła szczeniąt”. Tutaj odbierano dzieci i sprowadzano je na dobrą drogę. Inna szkoła. Według mnie był to błąd. Należało je likwidować. Wszystkie. Teraz widać, do czego to nas doprowadziło. Te przekłete dzieciaki, które oszczędziliśmy, wychowaliśmy, teraz przeciw nam się buntują. Trzeba je było wyrzucić z samolotu. Dobry zastrzyk i...

- Co się wtedy wydarzyło?

- Panował kompletny burdel - podjął spokojniej Pellegrini. - Nie było żadnych reguł. Więźniarki rodziły w celach. Oficerowie zabierali noworodki od swoich ulubionych kurew. Pewien komisarz adoptował dziewczynkę, by na stare lata mieć z niej swoją „małą narzeczoną”. Podoficerowie sprzedawali dzieci bogatym rodzinom. Videla chciał zaprowadzić porządek w tym bałaganie. Zlecił Palinowi wykonanie spisu.

- Dzieci urodzonych w więzieniach?

Pułkownik połknął kielbasę.

- Właśnie.

W tym momencie wtrącił się po raz pierwszy Feraud:

- A matki tych dzieci?

- Zostały przewiezione.

- Dokąd?

Pellegrini obrzucił wzrokiem najpierw Jeanne, potem Ferauda. Wydawał się zażenowany ich naiwnością.

- Do Buenos Aires wysłano teleks z dopiskiem RIP. Requiescat in pace. Wtedy było jeszcze poczucie humoru.

- W listopadzie osiemdziesiątego pierwszego roku - podjęła Jeanne - Palin przybył do Campo Alegre, żeby dokonać spisu. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego: admirał zapragnął adoptować dziecko.

Pułkownik gwizdnął z podziwem.

- Naprawdę jest pani dobrze poinformowana, companera...

- Chłopiec miał dziewięć lat. Nazywał się Joachim. Został adoptowany przez młodszego oficera z bazy wojskowej, Hugona Garcję. Alkoholika, który w końcu zamordował własną żonę i sam się zabił. Joachim uciekł do lasu. Po trzech latach wziął go do siebie pewien jezuita z Belgii, Pierre Roberge. W marcu osiemdziesiątego drugiego roku Roberge zamiast oddać chłopca Palinowi, uciekł z nim do Gwatemali. Żeby po jakimś czasie skontaktować się z panem, powierzyć chłopca Palinowi, a potem odebrać sobie życie.

Pellegrini roześmiał się.

- Nie wiem, czego jeszcze mogłaby pani się ode mnie dowiedzieć.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Alfonso Palin chciał adoptować Joachima, skoro chłopiec miał symptomy autyzmu i mordercze skłonności?

Puma pokiwał głową w zamyśleniu. Na jego ustach błąkał się uśmiech. Jakby nadał nie wierzył w żarty, jakie potrafi robić przeznaczenie...

- Miał do tego powód. Najlepszy ze wszystkich. Joachim był jego synem. Biologicznym synem.

- Co takiego?

- Jeśli porówna pani daty, spostrzeże pani od razu, że jest pewna anomalia w chronologii wypadków. W osiemdziesiątym drugim roku Joachim miał dziewięć lat. To znaczy, że urodził się w siedemdziesiątym trzecim. Trzy lata przed nastaniem dyktatury. Nie mógł więc być wśród dzieci zabieranych od roku siedemdziesiątego szóstego. Jego matka stała się dla nas problemem, zanim jeszcze przejęliśmy władzę.

- Kim była?

- Sekretarką w Escuela de Mecanica de la Armada. Nie pamiętam, jak się nazywała. Okazało się, że była lewaczką. Szpiegowała nas. Wysłano ją do Campo Alegre i tam zmuszono do mówienia.

- Nie widzę związku z Alfonsem Palinem.

- Była jego osobistą sekretarką w ESMA. Spali ze sobą. W łóżku dziewczyna wyciągała od niego różne informacje. Chyba naprawdę się kochali, nie wiem... Krótko mówiąc, kiedy Palin zobaczył naszą tajną listę porodów z nazwiskami więźniarek, znalazł na niej nazwisko swojej dziewczyny. Policzył lata i zrozumiał, że jest ojcem chłopca.

- Mógł to być przecież jakiś inny kochanek. Jakiś lewicowiec. Montonero.

- Tak mu mówiłem, ale Palin był uparty. Okazało się potem, że miał rację.

- W jakim sensie?

- Chłopak z biegiem czasu stawał się coraz bardziej do niego podobny.

- Fizycznie?

- Fizycznie i umysłowo. To samo zamiłowanie do krwi, tylko jeszcze większe. I bardziej dzikie...

Jeanne spojrzała na Ferauda. Ten nieprawdopodobny fakt wyjaśniał jednocześnie początek i koniec historii. Upór Palina, by odzyskać chłopca. Fakt, że teraz, w gabinecie psychiatry, przedstawiał go jako swojego własnego syna.

- Co się działo potem? Po Gwatemali?

- Nie znam szczegółów. Palin pojechał odszukać chłopca w Atitlan. Jezuita pogubił się. Popełnił samobójstwo. Potem nie widziałem już nigdy żadnego z tej trójki. Po wojnie o Falklandy Palin całkowicie zniknął.

Pellegrini spojrział na zegarek. Oparł pięści na biodrach i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzał się swoim rozmówcom.

- Uważam, że pani pytania zaczynają być naprawdę dziwne.

Jeanne miała już przygotowaną na to odpowiedź.

- W naszej książce Joachim, syn Palina, stanowi szczególny przypadek działania poza prawem.

- Dlaczego?

- Bo sam został mordercą. We Francji.

Puma nie okazał zdziwienia. Wziął do ręki butelkę i napełnił sobie kieliszek.

- Kurewskie dzieci... - mruknął pułkownik, wypiwszy zawartość kieliszka do dna. - Trzeba je było wszystkie zabić.

69.

- Señora Constanza? Me llamo Jeanne Korowa.

Kiedy wrócili do hotelu, zaproponowała Feraudowi, żeby odpoczął, a sama w tym czasie zamknęła się w swoim pokoju. Chciała zastanowić się nad drugim wątkiem śledztwa. Czaszka. Prymitywny lud. Jorge De Almeida... Wolała nie wspominać Pellegriniemu o Lesie Cieni, instynktownie domyślając się, że nic na ten temat nie wie.

O godzinie szesnastej zadzwoniła do Instytutu Agronomii w Tucuman. Nie zastała nikogo z inżynierów. Była niedziela. Rozmawiała jedynie z jakimś człowiekiem z ochrony. Odmówił podania numeru telefonu Daniela Taieba, jak również jego zastępcy, o którym wspominał Reischenbach. Dostała tylko numer telefonu satelitarnego do miejsca wykopalisk w rejonie Jujuy, sześćset kilometrów od Tucuman. Pracami na tym stanowisku kierowała Penelope Constanza, paleoantropolog.

Po kilku nieudanych próbach Jeanne w końcu udało się z nią porozmawiać. Połączenie było złe. Wiatr gwizdał w słuchawce. Constanza musiała być w terenie. Jeanne wyobraziła sobie pustynię, kłęby spiralnie unoszącego się pyłu. Kości spalone przez słońce...

Przedstawiła się w kilku słowach i bez dalszych wstępów zapytała:

- Czy zna pani Jorge De Almeidę?

- Nie.

Niezły początek. Constanza zastanowiła się i pomiędzy dwoma podmuchami powiedziała:

- Zetknęłam się z nim parę razy. - Musiała mieć już sporo lat, gdyż mówiła drżącym głosem. A może była to wina nie najlepszej jakości połączenia. - Często wyjeżdżam, a on z kolei ciągle jest w terenie.

- Czy zna pani miejsce, gdzie on pracuje?

- Gdzieś na północnym wschodzie. To nie moja strefa.

Jeanne miała w pamięci mapę Argentyny. Tucuman leżało w jej północno-zachodniej części. Tysiąc kilometrów od Buenos Aires. Rejon Jujuy znajdował się sześćset kilometrów wyżej. Natomiast do północno-wschodniej Argentyny trzeba by jeszcze dodać tysiąc kilometrów. Odległości w Argentynie znacznie różnią się od tych, do jakich przyzwyczajeni są mieszkańcy Europy.

- Czy pamięta pani daty jego ostatnich ekspedycji?

- Wydaje mi się, że wyjeżdżał trzy razy. W dwa tysiące szóstym, siódmym i ósmym roku. Mówił, że przekroczył granice ustalonych tam wykopalisk. Nie wierzę w to.

- Dlaczego?

- To laguna. Teren podtopiony.

- No więc?

- Mówimy o paleontologii. Nedorzecznnością jest liczyć na to, że odkryje się jakieś szczątki na terenie, gdzie wszystko gnije w ciągu kilku dni. Naszymi głównymi sprzymierzeńcami poza klimatem to wysuszenie, osadzanie się, zwapnienie.

Jeanne nie pomyślała o tym. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, przyglądała się trzem otaczającym ją ścianom. Kremowe, szare. Przypominały salę przesłuchań.

- Wygląda na to, że De Almeida przepadł.

- Nie daje znaku życia, a to co innego. W laboratorium mówią o nim, że to oryginał.

- W jakim sensie?

- Prowadzi swoje ekspedycje samotnie. To zwiększa ryzyko wypadku i zniknięcia. Na razie jednak nic nie świadczy o tym, że coś mu się przydarzyło... Z miejscem, gdzie jest, nie ma żadnej łączności. Czy wie pani, że ten rejon nazywają El Impenetrable?

Jeanne nie odpowiedziała. Podążała za swoją myślą.

- Nie ma telefonu satelitarnego?

- Nie wiem, jaki zabrał ze sobą sprzęt.

- Co pani słyszała o jego badaniach?

- Tylko plotki powtarzane na korytarzach. Twierdzi, że odkrył kości, które zburzą naszą koncepcję o prekolumbijskiej historii. Które dowodzą, że człowiek pojawił się na kontynencie amerykańskim setki tysięcy lat temu. To idiotyzm. Wiadomo, że człowiek przybyły z Azji zjawiał się w Ameryce Północnej trzydzieści tysięcy lat temu. A w Ameryce Południowej około dziesięciu tysięcy lat. W naszym zawodzie musimy być otwarci na odkrycia, ale to wydaje się absolutnie niemożliwe. W laboratorium nikt w to nie wierzy. Dlatego De Almeida, wściekły, wrócił na teren wykopalisk. Żeby znaleźć niezaprzeczone dowody.

Jej głos był miły, ale zdarty. Jeanne wyobraziła sobie starszą panią udrapowaną w saharijski strój. Wśród kamieni i otaczających ją kaktusów. W wypalonym, podległym erozji środowisku, gdzie można napotkać tylko skamieliny i cierniste krzaki.

- Czy nazwisko Francesca Tercia coś pani mówi?

- Nie. Kto to taki?

Jeanne nie odpowiedziała. Zadawanie pytań należało do niej.

- Jak dawno wyjechał De Almeida?

- Dwa miesiące temu. W naszej pracy to nie jest dużo.

- Ale ludzie z instytutu niepokoją się.

- Chyba nie za bardzo... - Penelope Constanza jakby zorientowała się, że poddawana jest prawdziwemu przesłuchaniu. - Nie bardzo rozumiem, jaka jest w tym wszystkim pani rola. Jest pani sędzią śledczą z Francji?

- Tak. Zniknięcie De Almeidy wiąże się ze sprawą, nad którą pracuję w Paryżu.

- Paryż... - powtórzyła rozmarzona Constanza. Niespodzianie zrobiła się bardziej przystępna. - Radzę pani skontaktować się z Danielem Taiebem, moim szefem. To on nadzoruje badania Jorge.

- Czy zna pani numer jego komórki?

Pani paleontolog dała go bez wahania. Jeanne nareszcie miała numer telefonu Taieba Ducha. Podziękowała serdecznie swej rozmówczyni i rozłączyła się. Natychmiast spróbowała dodzwonić się do niego. Odezwała się poczta głosowa. Jeanne nie zostawiła wiadomości.

Godzina siedemnasta. Nagle poczuła zmęczenie ostatnich dni. Może ona także powinna oddać się sjęsćie? Nie. Trzeba działać. Posuwać się do przodu. W braku czegoś lepszego postanowiła zrobić porządek w materiale zebranym w komputerze.

Najpierw jednak policzyła pesos, które wymieniła na lotnisku. Nie miała tego dużo, ale życie w Argentynie nie było drogie. Mimo to powinna przesłać wiadomość do swojego banku, aby przenieśli jej pozostałe oszczędności na konto bieżące. Zanosilo się na kolejne

wydatki... Jej śledztwo mogłoby się skończyć z powodu braku funduszy. Tak po prostu.

Otworzyła pocztę e-mailową. Pokoje hotelowe wyposażone były w system Internetu bezprzewodowego. Znalazła wiadomość od Reischenbacha. Kliknęła na załączony dokument. Zdjęcie Jorge De Almeidy. Uśmiechnięta gęba renesansowego aniołka w aureoli kręconych włosów. Poszukała w swoich dokumentach i odnalazła zdjęcie grupowe, które zabrała z mieszkania Franceski Tercii. Grupa z wydziału paleontologii Uniwersytetu w Buenos Aires, rok ukończenia studiów 1998. Miała rację. Jorge De Almeida był tym młodzieńcem, nad którego głową widniał w otocze napis: Te quiero!

Tak więc wszystko się zgadzało. Żeby udowodnić prawdziwość swoich odkryć, De Almeida przesłał do Franceski Tercii, dziewczyny, w której kochał się w młodości, odlew czaszki odkrytej w Lesie Cieni. Rzeźba Franceski wywołałaby wstrząs na dużą skalę. Cały świat oniemiałoby ze zdziwienia, oglądając istoty, które zamieszkały w Argentynie trzysta tysięcy lat temu i żyją tam do dzisiaj! Jorge De Almeida stałby się gwiazdą paleoantropologii.

Nie mówiąc już o sprawie dziecka-wilka... Pozostawało ciągle to samo pytanie: w jaki sposób Joachim dowiedział się o tym tajnym projekcie? Czy Francesca go знаła? Czy opowiedziała mu o swojej pracy?

Jeanne zrobiła nowe notatki. Na koniec skopiowała je na pendrivie, który schowała do kieszeni.

Godzina osiemnasta.

Ponownie pomyślała o odpoczynku. Czowała się połamana. Powieki ciążyły jej jak ołów. Wstała z łóżka i sprawdziła drzwi. Zamknięte. Zasunęła rolety. Położyła się. Dziwne, ale czuła się tu bezpieczna. Nie dzięki Feraudowi, który nie znaczył wiele w tej awanturze. Raczej dzięki Buenos Aires. Jego przestronności, rozmachowi...

Tak. Chroniła ją wrzawa, tłumy tego miasta...

Zasnęła z tym miłym uczuciem w sercu.

70.

- Niech mi pan opowie o Joachimie.
- Co chce pani wiedzieć?
- Jak wyglądał?
- Niewysoki. Szczupły. Bardzo ciemne włosy. Typ latynoski.
- A twarz?

- Podobny do ojca. Twarz bardzo wąska z wystającymi kośćmi policzkowymi.
- A jego profil psychiatryczny? Czy jest autystyczny?
- Nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.
- Pan sam na nagraniu z ostatniego wieczoru zdiagnozował syndrom autyzmu.

Antoine pokręcił przecząco głową.

Godzina dwudziesta pierwsza.

Oświetlenie restauracji było jaskrawe. Ostre, białe światło padało prostopadle z sufitu, nadając każdemu elementowi agresywny charakter. Steki na talerzach ociekały krwią. Twarze zaczerwienione od zimna lśniły. Sztucce leżące na obrusach połyskiwały. W dodatku wzrastał się ogólny gwar. Paryska piwiarnia w godzinach szczytu plus południowoamerykańska żywiolowość.

- Myliłem się. Już wtedy to wiedziałem. Coś takiego nie może istnieć. Osobowość autystyczna i jednocześnie osobowość ukształtowana, nazwijmy to, normalnie. To niemożliwe.

Podszedł kelner, by przyjąć zamówienie. Jeanne rzuciła okiem na plastikowaną kartę, która w jaskrawym świetle wyglądała jak naoliwiona.

- Włoska sałatka.

- Dla mnie to samo.

Dwie sałatki z pomidorów z mozzarellą i bazylią w środku zimy w Buenos Aires. Naprawdę mieli kiepski gust. Ich jedynym wytłumaczeniem było to, że wybrali pizzerię Piegari - restaurację włoską ukrytą pod wiaduktem przy autostradzie, dwieście metrów od ich hotelu.

- Moim zdaniem - podjął Feraud - Joachim cierpi na schizofrenię. W jego wypadku to coś więcej niż odchylenie od normy. W tym dorosłym mężczyźnie kryje się druga... psychika. Istota, która być może cierpi na syndrom Aspergera.

- Co to takiego?

- Hans Asperger jest jednym z odkrywców autyzmu, podobnie jak Leo Kanner. Ale używa się jego nazwiska, gdyż przedstawił w swoich pracach specyficzny opis tego rodzaju zaburzeń. Zaburzeń wpływających na rozwój, ale na wyższym poziomie. Takie dziecko nie cierpi na opóźnienie umysłowe i potrafi poprawnie się wyrażać.

- Nie odnosi się to do Joachima.

- Jego „cywilizowana” osobowość doskonale radzi sobie z mówieniem. Joachim porozumiewa się po francusku, hiszpańsku, angielsku. Natomiast ta druga, dzika, nadal eksperymentuje z mówieniem, używając go na sposób autystyczny.

- A więc syndrom Aspergera odpowiada zaburzeniom autystycznym?

Feraud rozłożył ręce.

- Specjaliści nie są co do tego zgodni. Problem jednak tkwi w czym innym. Chodzi o to, skąd się biorą takie zaburzenia. Czy są u niego wrodzone, czy nabyte w kontakcie z brutalną rzeczywistością?

- Kiedy żył wśród ludu z lasu?

- Może nawet wcześniej, po tragedii rodzinnej.

Przyniesiono im włoskie sałatki. Oboje nie zwrócili na nie uwagi.

- Według mnie stało się to w dwóch płaszczyznach czasowych. Przerazenie wywołane morderstwem w Campo Alegre usunęło z umysłu Joachima wszystkie ślady wychowania wśród ludzi. Jego mózg stał się białą kartą, którą wkrótce wypełnił pobyt u tego prymitywnego ludu.

- Chce pan przez to powiedzieć, że na jego sposobie bycia, wszystko jedno jak je nazwiemy, odcisnęły się obyczaje ludu z laguny?

- Oczywiście. Jego autyzm jest iluzją. Zło bierze się z czegoś innego. Zresztą czy jest to zło, czy po prostu rezultat specyficznego wychowania? Chłopiec-wilk wyrósł wśród dzikusów. Stał się konglomeratem kultury dawnych wieków. Pamięta pani jego rytuał. Wybór ofiar o bujnych kształtach. Ścienne napisy. To jest niezwykle. I dlatego powinienem z nim porozmawiać.

Jeanne była zaskoczona logiką Ferauda.

- Ma pan nadzieję, że on jeszcze żyje?

- Naturalnie. Muszę go wyleczyć.

- Chyba raczej wychować.

- Trzeba go uczyć, żeby go wyleczyć. Nie ma wątpliwości, że skończy się to wielkim odkryciem w dziedzinie antropologii! Dzięki Joachimowi. Dzięki ludziom z Lasu Cieni!

Żeby go uspokoić, Jeanne zrelacjonowała mu rozmowę z Penelope Constanzą. Jej obiekcje na temat badań De Almeidy.

- To jej zdanie - odrzekł trochę nadąsany. - Rewolucyjne odkrycia zawsze wprowadzają zamieszanie. Zwłaszcza wśród naukowców. To prawo paradygmatów i...

- Paradygmaty nie mają tu nic do rzeczy. Las Cieni jest na lagunie. Żadna skamielina nie może zachować się w takim bagnie.

- Ale tu nie chodzi o skamielinę! Ta czaszka nie ma dwudziestu lat! Ten archaiczny lud nadal istnieje!

Jeanne znowu próbowała go uspokoić:

- To wszystko musi zostać udowodnione. Może jest to całkiem zwyczajna czaszka. Nie widzieliśmy kariotypu ustalonego przez Nelly Barjac. Nic nie świadczy o tym, że rzeczywiście istnieje jakaś różnica w odniesieniu do dwudziestu trzech par chromosomów u człowieka współczesnego.

- A te morderstwa? Sądzi pani, że zabito tylu ludzi w imię jakiejś chimery?

- Od zawsze zabijano ludzi dla jakichś urojeń. Istnieje to, w co wierzy zabójca. Joachim prawdopodobnie sądzi, że chroni tajemnicę. Tajemnicę swojego ludu. Jednak wiele przemawia za tym, że taki lud w ogóle nie istnieje.

- A pobyt Joachima w lesie? Sposób, w jaki dokonywał morderstw? Przekonanie tego jezuity?

- Są to dowody pośrednie. Na ich podstawie nie da się wykazać konkretnej prawdy.

- Mówi pani jak sędzia.

Skrzyżował ramiona na piersi i zamilkł obrażony.

- Feraud - podjęła pojednawczym tonem. Zwróciła się do niego po nazwisku, bo nie cierpiała jego imienia. - Każdy zakątek Ziemi został przetrząśnięty, przebadany, opisany. Nikt więcej nie odkryje żadnego plemienia ukrytego w głębi dżungli. A już na pewno nie prehistorycznego. Jestem pewna, że istnieje jakieś inne wytłumaczenie.

- W każdym razie - mruknął przez zęby psychiatra - klucz do zagadki jest w tym lesie.

- W tym się zgadzamy.

- No więc jak? Jedziemy tam?

Jeanne uśmiechnęła się. Pierwszy raz poruszyli ten problem głośno. Zagłębić się w Las Cieni. Rzucić się w paszczę wilka czy innego stwora.

- Sądzę, że nie mamy wyboru - odpowiedziała, chcąc zminimalizować wagę decyzji. - Ale najpierw musimy udać się do Tucuman. Porozmawiać z Danielem Taiebem, kierownikiem pracowni. Według Penelope Constanzy on najlepiej znał Jorge De Almeidę. A w każdym razie wiedział o jego poszukiwaniach.

- To daleko stąd?

- Tysiąc kilometrów na północny zachód.

- Polecimy tam samolotem?

Jeanne znowu się uśmiechnęła.

- Zarezerwowałam już bilety.

Poniedziałek, 16 czerwca, lot 1712 Aerolinas Argentinas.

Wystartowali o godzinie szóstej nad ranem.

Przylecieli o świcie.

Patrząc przez okno, Jeanne odkryła ponownie prawdziwą naturę Argentyny. Łąd rozległy jak morze. Niczym nieograniczony. Horyzont był tutaj asymptotą zmierzającą ku niebu. W tym kraju mówiono, że drogi biegną tylko w jednym kierunku - w stronę horyzontu.

Między chmurami Jeanne widziała pola, pastwiska, lasy. W rodzącym się świetle dnia każdy element przybierał jaskrawą barwę. Woda w rzekach wydawała się czerwona. Równiny połyskiwały w tonacji szmaragdowej. A wyżej ośnieżone łańcuchy gór i odcinające się na niebie szczyty pokryte czapami śniegu. Ten kontrast między lodową bielą i żywną zielenią ożywił w Jeanne pewne wspomnienie. Prowincja Tucuman nazywana była „rajem Argentyny”. Po tysiącach kilometrów suchych, zapyłonych terenów była to największa rolnicza strefa dostarczająca pożywienia znacznej części ludności tego kraju.

Łądowanie. Na płycie lotniska szeroka panorama krajobrazu. W którąkolwiek stronę skierowało się wzrok, widać było ginącą linię ziemi, bez najmniejszego punktu zaczepienia. Jeanne doświadczyła dziwnego uczucia. Coś w rodzaju horyzontalnego zawrotu głowy...

Samo lotnisko było tego całkowitym przeciwieństwem. Format kieszonkowy. Sala odbierania bagaży przypominała westybul. Hol przylotów - salon. Wyjście - korytarz. Feraud wydawał się rozczarowany banalnym wyglądem innych pasażerów. Inżynierowie. Handlowcy. Studenci...

- Czego się pan spodziewał? - zapytała go Jeanne. - Indian z piórami w nosie?

- Nie mam pani doświadczenia - odrzekł urażony.

Pojawiły się ich bagaże. Jeanne chwyciła je, zanim Feraud w ogóle zareagował.

- Nie mam dużego doświadczenia, ale znam Argentynę. Kraj wielkich marzeń, wielkiego serca i wielkich długów. Na pierwszy rzut oka nic egzotycznego. Argentyńczycy to ludzie jak pan i ja, większość pochodzenia europejskiego, rozproszeni na terenie pięć razy większym od Francji. Wie pan, co oni sami mówią? „W Ameryce Łacińskiej wszyscy pochodzą od Indian. W Argentynie wszyscy pochodzą ze statków”.

Niebo miało kolor napoju z granatów. Każdy szczegół, każda powierzchnia, każdy przedmiot żarzył się w niezwykły sposób. A przecież temperatura nie przekraczała kilku stopni powyżej zera, w powietrzu unosił się zapach wilgotnej, zimnej ziemi. Pejzaż czekał na rzeźbiarza...

Oszołomiona Jeanne roześmiała się.

- Niesamowite, prawda?

Feraud nie odpowiedział. Szedł z głową wciśniętą w ramiona, odurzony, niosąc ich dwie torby. Jeanne miała ochotę go ucałować. Jakie to romantyczne, że była tutaj z nim na tropie zabójcy kanibala i plemienia ludzi-małp, podczas gdy jeszcze dwa tygodnie wcześniej wcale się nie znali.

Złapali taksówkę. Jeanne kazała się zawieźć do centrum miasta. Najpierw trzeba znaleźć hotel, żeby się wykapać i zostawić bagaże. Nie była w stanie się skoncentrować. Podziwiała widok za oknem. Mimo zimna opuściła szybę. Gardło miała suche, oczy zmęczone ogromem tego, co widziała, skórę pozłoconą wstającym słońcem...

Postanowiła zapytać kierowcę:

- Donde se encuentra un bueno hotel?

Kierowca, nie odwracając się, polecił Catalinas Park. Na palcach ręki pokazał, że był to hotel pięciogwiazdkowy.

- Pięć gwiazdek? - mruknął Feraud. - Przecież to będzie kosztować majątek!

A to sknera... - pomyślała Jeanne.

- Niech się pan nie przejmuj. W Argentynie gwiazdy spadają z nieba bardzo łatwo.

Miała rację. Catalinas Park, stojący naprzeciw parku 9 Lipca, był hotelem drugiej kategorii. Architektura z lat siedemdziesiątych, z zaokrąglonymi kątami i ciekawym daszkiem, który przypominał plastikową wannę zawieszoną nad oszklonymi drzwiami.

W środku niekończące się korytarze, wąskie, białe drzwi, złote cyfry lśniące niczym kostki cukru. Jeanne miała pokój z numerem 432. Kiedy zapaliła lampę pod sufitem, zobaczyła skromny pokoik ze ścianami w piaskowym kolorze. W tej samej tonacji były zasłony, pościel, wykładzina dywanowa.

Uśmiechnęła się. Klimatyzacja hałasowała jak diabli. Blade światło żarówek. W łazience czekają zapewne na nią karaluchy. Prawdziwy hotel w tropikach. Linia równika znowu się przybliżała...

Weszła pod prysznic. Była jeszcze namydlona, kiedy nagle przestała z kranu lecieć woda. Przeklinając pod nosem, wyszła z kabiny. Owinęła się dziurawym ręcznikiem. Przez sekundę przyjrzała się sobie w lustrze. Rude włosy. Piegi na ramionach. Po raz kolejny uznała, że wygląda nieźle. Całkiem nieźle... Znowu nabierała wiary w siebie.

Włożyła majtki, bawełnianą bluzeczkę, dzinsy. Musi w końcu kupić sweter. Ale najpierw śniadanie. Potem trzeba udać się do Instytutu Agronomii i odnaleźć Daniela Taieba, antropologa zjawę.

Szukanie ducha w rajcu...

Ciekawa perspektywa...

72.

Co się tyczy rajy, to Tucuman w żadnym wypadku nie mógł uchodzić za jego stolicę.

Miasto było labiryntem bez początku i końca, z kompleksami bloków ustawionymi według symetrycznego schematu. Na każdym skrzyżowaniu zbiegały się arterie, które z kolei prowadziły do następnych identycznych skrzyżowań z siecią ulic, i tak dalej. Geometria bez granic i bez centrum. Nie było to jednak miasto zjawy, opustoszałe, gdzie tylko świszczę wiatr. Przeciwnie, ożywiał je gwar pieszych, hałas samochodów, autobusów, atmosfera handlu i ogólnej krzątaniny.

Jeanne i Feraud udali się najpierw do Instytutu Agronomii. Okazało się, że Taieb przygotowywał wystawę w klasztorze w centrum miasta. Wrócili więc na plaża Independencia, plac Niepodległości. Jeanne przyglądała się twarzom przechodniów. W większości byli to Indianie. Myliła się, mówiąc o prawie wyłącznie europejskim pochodzeniu Argentyńczyków. Zapomniała o tym, o czym zapominali wszyscy, mówiąc o Argentynie. Kiedy Hiszpanie przybyli na te tereny, nie były one puste. Zamieszkiwały je małe indiańskie grupy etniczne. Zgodnie z zasadą Zachodu plemiona te zostały wymordowane, zmuszone do uległości, zakażone chorobami, pozbawione wszelkich dochodów.

Plaża Independencia. Jeanne znalazła się na znajomym terenie. Wielki plac typowy dla miast południowoamerykańskich. Drzewa palmowe. Pałac gubernatora w stylu kolonialnym. Wspaniałe kościoły. Przechodnie opalający się na ławkach z taką rozkoszą, jakby pili małymi łydkami słodki likier.

Najbardziej uderzająca była ostrość widzenia wszystkich przedmiotów. Pod błękitnym niebem każdy szczegół miał precyzję rzeźby wykutej z żelaza, najpierw rozgrzewanej do białości, a następnie zanurzanej w zimnej wodzie. Każdy element, każda twarz miały na sobie trwały ślad działania ciepła słonecznego i ukąszeń lodowatego wiatru.

Klasztor znajdował się na przylegającej do placu ulicy przeznaczonej tylko dla pieszych. Jeanne zapłaciła za taksówkę. Feraud nadal zachowywał się tak, jakby był jej gościem. Zanurzyli się w tłum. Między dwoma supermarketami odnaleźli klasztor z poczerniałymi murami, z widocznym na nich afiszem głoszącym dumnie: DE LA PUNA EL CHACO, UNA HISTORIA PRECOLOMBINA. Jeanne pamiętała, że Puna i Chaco to nazwy regionów we wschodniej Argentynie. Przedstawili się w okienku i powiedzieli, że chcieliby zobaczyć się z Danielem Taiebem.

Poprowadzono ich przez teren wystawy. Pierwsza sala przeznaczona była do stałej

ekspozycji. Sztuka sakralna pierwszych wieków hiszpańskiej inwazji. Malowane, drewniane figurki Dzieciątka Jezus przypominały lalki firmy Chucky. Dziewice z bladymi twarzami i włosami z włosia budziły strach. Statuy jezuitów z drugimi brodami przypominały postacie świętych, fanatycznych popów. Kielichy, krzyże, biblie, alby przywodziły na myśl stare narzędzia rolnicze, które miały krzewić wiarę na nowym kontynencie...

Druga sala tonęła w półmroku. Ściany pomalowane były na pomarańczowo. Wnęki słabo oświetlone. Wewnątrz ostrza z obsydianu, ciosane kamienie, czaszki ludzkie. Jeanne przeczytała napisy i znalazła potwierdzenie tego, co mówiła Penelope Constanza - żaden eksponat nie miał więcej niż dziesięć tysięcy lat. Amerykańska prehistoria była bardzo młoda...

- Czy to państwo jesteście Francuzami, którzy mnie szukają?

W pomarańczowym półcieniu Jeanne ujrzała mężczyznę niewysokiego wzrostu, z opaloną na brąz twarzą i szerokim uśmiechem. Korona srebrzystych włosów otaczała łąsą czaszkę błyszczącą niczym kula z wosku. Daniel Taieb trzymał na ramieniu drabinę.

Jeanne ledwie zdążyła przedstawić siebie i Ferauda, kiedy powiedział:

- Macie państwo szczęście, że trafiliście na naszą wystawę. Zgromadziliśmy tutaj najbardziej kompletny zbiór szczątków...

- Nie jesteśmy archeologami.

Taieb zamrugął oczami.

- Nie?

- Ja jestem sędzią śledczą, a mój towarzysz psychiatrą.

Oczy Taieba zaokrągliły się jeszcze bardziej. Jego tęczęwki wciąż zmieniały barwę, przechodząc od zieleni, poprzez błękit do szarości. Jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Prawdopodobnie spowodowane to było gonitwą myśli.

- W jakim celu tu przybyliście?

- Chcielibyśmy, by opowiedział nam pan o Jorge De Almeidzie. Jego zniknięcie jest być może związane z morderstwami, nad którymi pracujemy we Francji.

Zamarł w bezruchu.

- Rozumiem, rozumiem... - powiedział z miną świadcząca o tym, że nic nie rozumiał.

Szybkim ruchem zdjął z ramienia drabinę.

- Chodźmy napić się kawy.

Wyszli na wielki plac. Jeanne kątem oka obserwowała uczonego, który dreptał po trotuarze niczym koźlątko w górach. W Tucuman sporą grupę mieszkańców stanowiła ludność żydowska. Taieb musiał należeć do ich gminy. Sprawiał wrażenie, że doskonale się

czuje w swoim stroju - dżinsach, koszuli w szkocką kratę, płóciennej marynarce. Wsunął rękę do kieszeni. Przypiął do paska pęk kluczy. Poprawił fałdkę na koszuli.

Wybrał małą włoską kafejkę, która nosiła nazwę Jockey Club. Kontuar z czarnego marmuru. Ściany wyłożone drewnianą boazerią. Krzesła i stoliki z jasnego drewna. Nad wszystkim unosił się intensywny zapach gorącej kawy.

Usiedli przy kontuarze na wysokich stołkach.

- No cóż - powiedział antropolog, gdy już zamówił dla nich kawę - De Almeida był szaleńcem.

- Dlaczego mówi pan o nim w czasie przeszłym?

- Minęły już dwa miesiące, a on nie wrócił. Dwa miesiące bez żadnej wiadomości. To chyba jest odpowiedź, prawda?

Mówił chropawym głosem, niewyraźnie, połykając sylaby. Na marmurowym blacie pojawiły się zamówione kawy. Taieb chwycił cukierniczkę i wsypał trzy łyżeczki cukru do małej filiżanki. Ruchliwy był jak ryba.

- Sądzi pan, że on nie żyje?

Archeolog wzruszył ramionami, mieszając łyżeczką.

- Trudno walczyć z przeznaczeniem. De Almeida był opętany.

- Czym?

- Tym regionem... Północnym wschodem... Chaco...

- Wiemy, że dokonał tam ważnego odkrycia.

- To on tak uważał. Ale nie przedstawił najmniejszego dowodu.

- Mówiono nam o szczątkach kostnych...

Taieb roześmiał się.

- Nikt ich nigdy nie widział. Zazdrośnie ich strzegł. A może po prostu niczego nie znalazł. Osobiście tak właśnie przypuszczam.

- Czy mógłby pan coś więcej nam opowiedzieć na ten temat?

Archeolog w dalszym ciągu mieszał łyżeczką.

- Jorge początkowo był uznany za geniusza na uniwersytecie w Buenos Aires. Jego rozprawa doktorska na temat migracji *Sapiens sapiens* przez Cieśninę Beringa stała się dla innych badaczy punktem odniesienia. Został zaproszony do naszej pracowni w Tucuman. Przyjęliśmy go z otwartymi ramionami, sądząc, że będzie z nami współpracował. Ale on, ogarnięty swoją obsesją, chciał być bliżej regionu północno-wschodniego w prowincji Formosa, gdzie miał nadzieję znaleźć paleolityczne szczątki. Śmieszna hipoteza.

Wcześniej te same wątpliwości wyraziła Penelope Constanza. Taieb wypił duszkiem

swoją kawę.

- Udało mu się jednak zgromadzić fundusze na pierwszą wyprawę. W dwa tysiące szóstym roku. Trwała ona wiele miesięcy.

- Odkrył coś?

- Już mówiłem, że on niczego nie chciał pokazać. Ale twierdził, że jest to coś, co wywoła niezły wstrząs. Tak właśnie się wyraził: „niezły wstrząs”. Nasze prace traktował z politowaniem. Jakby straciły już sens.

- W następnym roku znowu wyjechał?

- Tak. Nie było go jeszcze dłużej. Wrócił spokojniejszy. Nawet zbyt spokojny. Wyglądało na to, że... się boi. - Antropolog zamyślił się. - Jakby przestraszył się tego, co zobaczył.

- Nadal nie mówił, w czym rzecz?

- Nie. Twierdził, że musi najpierw przeprowadzić analizy. Skontaktować się z innymi specjalistami. Uważał, że jego odkrycie jest tak niebywałe, że należy postępować ostrożnie. Przede wszystkim jednak robił wrażenie, jakby zaraził się bagienną gorączką.

- I nigdy nie pytał pan, co to takiego było?

Taieb nie od razu odpowiedział. Ciszę wypełniał szum ekspresu do kawy. Szczęk filiżanek. Szmer głosów. Zamówił jeszcze jedną kawę. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie wyglądał tak, jakby porządkował wspomnienia.

- Oczywiście, że pytałem. Odkrył jakoby dowody zmieniające całkowicie spojrzenie na prehistorię Ameryki. Człowiek miałby pojawić się tutaj nie dziesięć tysięcy lat temu, ale trzysta tysięcy!

- To by znaczyło, że znalazł szczątki człowieka proto-Cro-Magnon.

Antropolog uniósł brwi, spoglądając z nagłą nieufnością na Jeanne. Czyżby ukrywała przed nim, że jest specjalistką w dziedzinie paleontologii?

- Nie jestem ekspertem - wyjaśniła. - Zasięgnęłam tylko informacji.

- No tak - podjął, kiwając głową. - Mówił, że znalazł czaszkę młodzieńca z cechami podobnymi do czaszek archaicznych przedstawicieli Homo sapiens. Według niego czaszka ta nosiła wszystkie znamiona charakterystyczne dla tej rodziny. Mówimy o istotach zamieszkujących Afrykę ponad trzysta tysięcy lat temu, które pojawiły się nagle w Argentynie!

Podano mu drugą kawę. Cukierniczka, cukier, łyżeczka...

- To, co on twierdzi, jest fizycznie niemożliwe. Homo sapiens sapiens urodził się w Afryce. Następnie wywędrował do Europy i Azji. Potem dotarł na kontynent amerykański

suchą nogą wąskim pasem lądu, który przecinał Cieśninę Beringa w czasie, gdy obniżył się poziom morza. Nie znamy dokładnej daty, ale przypuszczamy, że stało się to dwadzieścia do trzydziestu tysięcy lat temu. Dopiero potem ci ludzie rozproszyli się po całym kontynencie amerykańskim. Hipoteza De Almeidy jest więc absurdalna, chyba że założymy, iż nieznanne nam zjawiska klimatologiczne doprowadziły do wyschnięcia Morza Beringa w innym, znacznie wcześniejszym okresie. Albo że niektórzy proto-Cro-Magnon byli w tamtym czasie doskonałymi żeglarzami.

- A dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Bo nie ma na to dowodów. Jak na razie w żadnej naukowej pracy nie ma wzmianki na ten temat.

Daniel Taieb sam przyznawał w ten sposób, że jego wątpliwości zniknęłyby, gdyby miał w rękach namacalne dowody.

- Wróćmy do poszukiwań De Almeidy.

- Chciał pojechać w tamte strony po raz trzeci. Ale ani nasza pracownia, ani uniwersytet w Buenos Aires nie zgodziły się na finansowanie tej ekspedycji.

- Sam ją sfinansował?

- Tak. Zamierzał sprawdzić pewne fakty. I oto rezultat. Zniknął. Kolejny szaleniec, który padł ofiarą swoich przekonań.

- Czy próbowaliście go odnaleźć?

- Oczywiście. Ale gdzie mielibyśmy szukać? Jak wszyscy badacze, De Almeida ukrywał miejsca swoich poszukiwań. Ślad po nim ginie w małym miasteczku Campo Alegre, dwieście kilometrów na północ od Formosy.

- Czy nazwa Las Cieni coś panu mówi?

- Nie. Czy to właśnie tam?

Jeanne zabrała się do picia kawy. Ciepła. Taieb w zamyśleniu znowu mieszał łyżeczką. Jakby na dnie filizanki widział nie przyszłość, ale przeszłość. Wyczuła, że może coś jeszcze z niego wydobyć. Instynkt sędzi śledczej. Nawet nie musiała go zachęcać.

- Najdziwniejsze jest to, że De Almeida twierdził, iż nie tylko odkrył pierwsze ślady obecności człowieka na naszym kontynencie, ale także źródło zła.

- Źródło zła?

- Mówił, że poszukiwania doprowadziły go do sanktuarium zbrodni. Przy czaszce młodzieńca i jego szkielecie były jeszcze inne szczątki. Kości należące do osób dorosłych w wieku około czterdziestu lat. Kości te miały na sobie specyficzne znaki. Były połamane, oskrobane, przepiłowane krzemieniem.

- Ten młodzieniec był kanibalem?

- Tak. Ale jest jeszcze jeden szczegół. De Almeida dał do zbadania DNA tych kości, co, nawiasem mówiąc, nie ma sensu, bo nie da się odnaleźć sekwensów genetycznych w tak starych szczątkach, ale... rezultaty przekroczyły jego oczekiwania.

- Dlaczego?

- Kości ofiar i kości młodzieńca należały do tej samej grupy genetycznej. Nasz proto-Cro-Magnon pożarł własną rodzinę! Braci. Ojca. Madre Dios! Według De Almeidy oni się nawzajem zjadali!

W sali rozległ się syk pary.

Stuk talerzyków i łyżeczek. Ale nie tak głośny, żeby Jeanne nie dosłyszała szeptu Ferauda:

- *Totem i tabu...*

73.

Tysiąc dwieście kilometrów dzieli Tucuman od Formosy.

Okolo dwudziestu godzin jazdy samochodem.

Człowiek, u którego wynajęli toyotę land cruiser station wagon V8, uprzedził ich, żeby nie spodziewali się przyjemnej jazdy. Asfalt wkrótce się skończy, a droga zacznie przypominać zwykłą ścieżkę. Przy mijaniu się z ciężarówką będzie jak w rosyjskiej ruletce.

- Mogę pożyczyć wóz tylko do Formosy - dodał na koniec. - Dalej poszukacie lokalnego biura wynajmu. To już jest na końcu świata.

Jeanne знаła ten kraj. Jeśli Argentyńczyk używa takiego określenia, znaczy to, że Formosa naprawdę bije rekordy prowincjonalnej biedy. I tym razem ona sama opłaciła podróż. Nie zastanawiała się już nad stanem swego konta w banku. Musiała płacić gotówką. Argentyńczycy nie lubią kart kredytowych. Rozległe imperium kart magnetycznych kończyło się właśnie tutaj, w Argentynie. Będzie musiała poszukać banku. Wypełnić formularze. Skontaktować się ze swoją agencją w Paryżu. Zajmie to całe popołudnie.

Podstawiono wóz terenowy. Cofnięto licznik kilometrów do zera. Nie prosili o kierowcę, ale w Argentynie czas człowieka mniej się liczy niż zużycie samochodu. Dlatego wynajmuje się samochody z kierowcami, by czuwali nad skarbem, jakim jest pojazd na czterech kołach.

Teraz pędzili pełną szybkością. Zapadał piękny zmierzch. Czerwony. Płomienisty.

Jeanne opuściła szybę. W powietrzu unosił się zapach ciepłego kurzu. Zdawało się, że nawet niebo przesycone jest ceglanym pyłem. Patrzyła na pola uprawne, które mijali. Zboże. Kukurydza. Trzcina cukrowa. Była zima. Panował lodowaty chłód. A mimo to widać było, jak urodzajne są te tereny.

Zajęli miejsca na tylnej kanapie. Feraud zasnął. Stale osuwał się na jej ramię. Za każdym razem delikatnie go odsuwała, wyczuwając wątłą budowę ciała pod jego koszulą. Niczym uczeń w szkolnym autobusie. Przypomniała sobie podobną scenę w powieści Françoise Sagan *Czy pani lubi Brahmsa?* Historia kobiety w „pewnym wieku”, która zakochała się w młodym mężczyźnie. Czy jej także to groziło? Nie. Waga ich wyprawy, żeby nie powiedzieć samobójczej, przywróciła jej pewność siebie. W tej sprawie przede wszystkim była sędzią śledczą. Funkcjonariuszem prawa, który z chłodnym opanowaniem zmierza do końca swej misji...

Od czasu do czasu odrywała wzrok od krajobrazu i obserwowała kierowcę w lusterku wstecznym. Był Metysem. W połowie Europejczyk, w połowie Indianin. W jego rysach odzwierciedlała się cała historia Argentyny. Powolne mieszanie się krwi. Napływ emigrantów. Jego twarz była mapą czasu. Wyczytać w niej można było podboje, bitwy, mariaże krajów...

Oddała się refleksjom. Może nie miała racji, ale uważała, że świadectwo Taieba potwierdza ich hipotezę. Archaiczny lud. Plemię kanibali. Grupa oparta na pokrewieństwie krwi, kazirodztwie, ojcobójstwie, która znalazła schronienie w niedostępnych lasach. Która od tysięcy lat nie miała żadnego kontaktu z bardziej „rozwiniętymi” przedstawicielami gatunku ludzkiego.

To, co niemożliwe, przybierało kształty.

I zrodziło potwora - Joachima.

Na skraju drogi pojawiła się stacja benzynowa.

Po dwóch godzinach jazdy przez bezludzie dwa dystrybutory i odnowiony budynek stawały się wielkim wydarzeniem. Jeanne wysiadła z wozu, by rozprostować nogi i załatwić naturalną potrzebę. Odnalazła tutaj dawną, zapomnianą atmosferę. Taką jak w Peru, Chile, Argentynie. Na tych pustych terenach stację benzynową, z dala od pędzących samochodów, otacza absolutna cisza. Tworzy ona nad nią jakby aureolę wyglądającą jak mgła nad jakąś wyspą. Albo sanktuarium z wonią składanych w nim ofiar...

Wracając do samochodu, Jeanne przeszła obok dwóch Indian siedzących na schodkach budynku. Obojętni na wszystko, z włosami aż do ramion, wydzielali zapach mieszaniny ziół i sfermentowanego mleka. W świetle elektrycznym rysy ich ciemnych twarzy

przywodziły na myśl motywy rzeźbione w drewnie kaktusa. Rzeźby, które miały przerażać. Zwłaszcza wąskie jak dwie szparki oczy wywoływały bezwiednie głuchy, tajemniczy strach.

Jeden z nich zasysał płyn przez metalową rurkę zanurzoną w czarnym kubku. Obok nich stał termos, z którego mogli dolewać gorącej wody. Jeanne przypomniała sobie, że północny wschód był tradycyjnym regionem uprawy yerba mate.

- Co on robi?

Feraud, rozmamłany, zaspany, miał twarz bardziej zmiętą niż jego marynarka.

- Pije mate.

- Co to takiego?

- Wywar z pewnej rośliny. Bardzo gorzki. Typowy dla Argentyny.

Indianin podał rurkę sąsiadowi, który zaczął pić z obojętnym wyrazem twarzy.

- Łatwo nabawić się opryszczki - powiedział psychiatra z niesmakiem.

Jeanne zaczynała uważać go za głupka. A w każdym razie był zbyt ograniczony wobec wielkości Argentyny. Bezgłośnie pożegnała dwóch Indian, którzy nawet na nią nie spojrzeli. Jeanne jakby dostrzegła mieszczącą się w nich wielką pustkę. Wolność bez imienia i granic, którą dzielili z pejzażem. Nie posiadali ochronnych barier burżuazyjnego życia. W ich umyśle nie było lęku. Byli na ty z bogami, z nieskończonością. Jedyne ograniczenie dla nich stanowił horyzont i pory roku.

Wyruszyli w dalszą drogę.

Od dawna nie było już asfaltu, tylko ubita ziemia. Jeanne tym razem usiadła z przodu. Kiedy samochód przyspieszał, zaczynały się wibracje przenikające do szpiku kości. Niespodzianie droga zrobiła się piaszczysta. Ślizgali się po piachu z nieprzyjemnym wrażeniem, że zapadają się w głąb siebie.

Jeanne wzięła do ręki mapę. Chciała przestudiować trasę. Prowadząca na wschód jedyna droga skręcała na południe, zataczając szerokie koło, potem wracała na północ przez prowincję Santiago del Estero. Jeanne wyobraziła sobie maleńkie miasteczka, które będą ukazywać się co sto kilometrów...

Obudziła się o drugiej nad ranem. Zerknęła na licznik. Siedemset kilometrów. Otworzyła szerzej oczy. Jakby wyczuła bliskość skrzyżowania. Z drogi numer 89 jechało się na drogę numer 16 w stronę miasta Avia Teray. Kierowca skręcił w prawo. Ten manewr oznaczał wjazd do innej prowincji - Chaco. „Polowanie” w języku Indian...

Jeanne znowu spojrzała na mapę. Jechali teraz w kierunku Resistencia. Potem będzie droga numer 11. Jeszcze dwieście kilometrów i wreszcie Formosa... Na pół przebudzona przypomniała sobie pewien dowcip. W Buenos Aires mówiono, że najlepiej załatwić problem

emerytur, wysyłając starców na wakacje. W zimie do Ziemi Ognistej. W lecie do Formosy. Umrą albo z zimna, albo z gorąca. Podobno w północno-wschodnim regionie można pracować tylko w nocy, bo w dzień jest tu istne piekło...

Mapa wysliznęła się jej z rąk. Znowu zapadła w drzemkę. Przyśnili się jej Alfonso Palin i Joachim. Joachim był jeszcze dzieckiem z fotografii. Pokryty korą, liśćmi, strzępkami sierści zlepionej śliną i brudem. Jego ojciec stał za nim. Z cienia wyłaniała się jego srebrzysta czupryna, muskularna sylwetka... Alfonso Palin był centaurem, pół człowiekiem, pół koniem. Obie postacie jak z jakiegoś mitu...

74.

Formosa ze swymi drzewami palmowymi i świeżo odmalowanymi domami przypominała uzdrowisko. Gdy dojechali do jej końca, natknęli się na szarą, błotnistą rzekę Paragwaj, która zlewała się z horyzontem. W oddali na jej powierzchni pływało kilka krzewów, przypominając, iż nie jest to morze.

Kierowca zawiózł ich do Internacionalu, jedyne hotelu przeznaczonego dla cudzoziemców. Niespodzianką była panująca tu temperatura. W czerwcu w północno-wschodnim regionie upał zelżał. Było teraz między 20 a 30 stopni. Kierowca Metys, nadal nie odzywając się, postawił ich bagaże w holu i zniknął. Czekало go teraz dwadzieścia godzin drogi powrotnej. Bez najmniejszego odpoczynku. Zdolność do pokonywania takich dystansów należy do dziedzictwa genetycznego Argentyńczyków. Przyzwyczajeni są do wielkich przestrzeni, czasu ciągnącego się bez końca.

Jeanne wynajęła dwa pokoje i zapłaciła za nie z góry. Rozlokowali się. Pokoje pasowały do obrazu miasta. Obszerne. Duszne. Jeanne włączyła klimatyzację. Podniosła rolety i popatrzyła na płynącą pod oknami rzekę. Przy pięknej pogodzie można było zapewne zobaczyć brzegi Paragwaju, lądu na tle nieba.

Tego jednak dnia, w zamglonym świetle południa, ląd wydawał się tak nierealny jak Atlantyda.

Jeanne powiedziała Feraudowi, że potrzebuje około godziny, aby wynająć drugi samochód z drugim kierowcą. Zadzwoiła do recepcji. Czy jest tu jakieś biuro turystyczne? Nie. Wszystkie agencje podróży zastępuje jeden człowiek, który ma tylko imię - Beto. Wykręciła jego numer. Agent podniósł słuchawkę przy drugim sygnale, jakby czekał na ten telefon. Wyjaśniła, o co chodzi. Beto był wolny i mógł od razu jechać. Gdy zapytała, czy

mogłaby się z nim spotkać i przedstawić mu szczegóły wyprawy, odrzekł, że nie ma problemu i będzie w recepcji hotelu za pięć minut. Prawdziwy rekord szybkości w organizacji podróży.

Jeanne pozwoliła sobie jednak na kąpiel pod prysznicem i przebranie się. Dopiero potem zeszła do holu. Beto już czekał. Mężczyzna około czterdziestki, w szerokim kapeluszu, ubrany w koszulę i szorty khaki. Szerokie bary, buty aż do kolan, radosna mina dopełniały obrazu.

Pocałował ją w policzek. Nie spodobało się to Jeanne, chociaż wiedziała, że to taka argentyńska tradycja. zaproponowała, by usiedli w restauracji hotelowej. Była godzina trzynasta, pora największego tłoku, ale znaleźli wolny stolik. Jeanne poprosiła w recepcji o mapę północno-wschodniego regionu Argentyny. Rozwinęła ją i uprzedziła Beta, że nie ma zamiaru zwiedzać wodospadów w Iguazii ani ruin w San Ignacio (w prowincji Misiones), jedynych atrakcji tego regionu. Oddzielonych jedna od drugiej o tysiąc kilometrów.

Argentyńczyk zdjął kapelusz.

- Nie?

- Nie. Chcę jechać do Campo Alegre.

- Tam nie ma nic do oglądania.

- Właśnie dlatego wybieram tamten kierunek.

- W jakim celu?

- Żeby dotrzeć do Lasu Cieni.

- Jest niedostępny.

- Interesuje mnie, jak tam dojechać.

Beto westchnął, po czym wskazał palcem na mapie.

- Jesteśmy tutaj, w Formosie. Jeśli mam tam zawieźć panią, trzeba będzie jechać drogą numer osiemdziesiąt jeden. To właściwie ścieżka, najczęściej nieprzejezdna.

- A potem?

Beto przesunął palec.

- Jedzie się w ten sposób około dwustu kilometrów. W tym miejscu, w Estanislao del Campo, zawraca się w kierunku południowo-wschodnim i dalej ścieżką aż do Campo Alegre.

- Ile czasu to zabierze?

- Ponad pół dnia.

- A do Lasu Cieni?

- Muszę sprawdzić. Nigdy tam nie jeździłem. Moim zdaniem jedyną możliwą drogą jest rzeka Bermejo. Czy wie pani, co to słowo znaczy? „Czerwień”. Nazywają ją tak z

powodu jej koloru. Sądzę, że jakaś barka płynie do Paragwaju.

- Barka? Bardzo dobrze.

- Proszę poczekać, aż ją pani zobaczy. - Beto wybuchnął śmiechem. - Barka się nie zatrzymuje! Mówimy o tysiącach hektarów terenów zalewowych. Zagmatwana sieć bagien i yungas. Całkowicie bezludnych.

- Yungas?

- To lasy subtropikalne. Większość z nich jest zalana. Stada kajmanów, piranie, ruchome piaski. Nawet strażnicy leśni nie zapuszczają się w te rejony. Prawdziwy horror. Są to ziemie, które stale zmieniają geomorfologię. Rozumie pani?

- Nie.

- Na tych podmokłych terenach są pływające wyspy mniej lub bardziej ze sobą połączone. Nazywają je embalsados. Idzie pani drogą i zapamiętuje jakieś punkty rozpoznawcze. Ale kiedy pani wraca, wszystko już uległo zmianie. Drzewa, łąd, bieg rzeki nie są już na poprzednim miejscu.

Jeanne popatrzyła na zieloną strefę na mapie. Labirynt wody i lasów, ustawicznie zmieniający topografię. Może w tym się kryje tajemnica przeżycia ludu z Lasu Cieni...

- Widzę tu jakieś nazwy. Czy to wioski?

- Señora, jesteśmy w Argentynie. Najczęściej na tym miejscu nie ma już nic. Może tablica zatknięta w błoto. Albo ślad ogrodzenia.

- A Campo Alegre?

- Tak, jest tam parę baraków. Jednak nazwa ta znana jest przede wszystkim z powodu obozu wojskowego, który zamknięto w latach dziewięćdziesiątych. Dlaczego chce pani tam jechać?

Jeanne, zaskoczona pytaniem, wspomniała o projekcie książki na temat ostatnich dziewięciu miejsc na świecie.

- Ma pani sprzęt audiowizualny?

- Mam tylko aparat fotograficzny.

Beto wydawał się sceptycznie nastawiony. Jeanne wciąż patrzyła na mapę. Zaznaczona była na niej nazwa „Selva de las Almas”. Zadała sobie nagle pytanie, dlaczego Joachim podczas seansu hipnotycznego, a przed nim Roberge w swoim dzienniku przetłumaczyli tę nazwę na Foret des Manes - Las Cieni. „Dusze” i „cienie” to nie to samo...

- Istnieje taka legenda - odrzekł Beto, jakby odgadując jej wątpliwości. - Na oznaczenie duchów lasu używa się wielu słów. Almas (dusze). Espiritus (duchy). Fantasma (zjawy). A w rzeczywistości chodzi jeszcze o coś innego... Indianie mówią o tym lesie, że jest

„nienarodzony". To świat przed pojawieniem się ludzi. Duchy „nienarodzone" przemieszczają się na embalsados, ponieważ są „błąkającymi się duszami".

- Czy wiadomo, do czego są podobne te duchy?

- Niektórzy Indianie powiadają, iż są to olbrzymy. Inni - że karły. Wersja bardziej współczesna mówi, że to dusze więźniów z bazy, których z samolotu wyrzucano w bagna, gdzie pożerały ich kajmany.

Jeanne zrozumiała teraz, dlaczego Roberge użył w tym wypadku słowa „cienie". Starożytni Rzymianie określali tym słowem dusze ludzi oddzielone od ciała. Czczono je podczas corocznie urządzanych uroczystości. Cienie (Manes) wychodziły z podziemi przez specjalnie zostawione w grobowcach szpary...

- Ale nikt ich nigdy nie widział?

- Señora, to legendy nieuczonych Indian. Oni uwielbiają tego rodzaju historie. Opowiadają o strażnikach leśnych, którzy zaginęli w tajemniczych okolicznościach. O różnych kradzieżach... Studiowałem na uniwersytecie Resistencia i nic nie...

Nie słuchała już racjonalnej przemowy Beta. Mity wywodzą się z dawnych wydarzeń, realnych, ale zniekształconych, rozbudowanych przez umysł ludzki. Opowieści związane z Campo Alegre stanowią być może trop, ślad wskazujący na realność archaicznego ludu. Ludu żyjącego w jarzmie Erosa i Tanatosa, pożądania i śmierci. Z wyraźnie większym respektem dla Tanatosa, boga destrukcji.

- Ile pan chce za dowieszenie mnie tam?

- Señora, to nie jest kwestia pieniędzy.

Znaczenie tej odpowiedzi było oczywiste. Jeanne zamyśliła się. Będzie musiała powtórzyć wszystkie zabiegi z Tucuman. Bank. Gotówka. Opróżnienie konta do ostatniego euro. Bez zastanawiania się. Bez oglądania się za siebie.

I być może - ta myśl przyszła jej do głowy pierwszy raz - nigdy stamtąd nie wróci.

75.

Palmowe piekło.

Krajobraz nasuwał takie właśnie porównanie. Setki, tysiące, miliony palm. Jak okiem sięgnąć. Gałęzie w nieskończoność, ostre niczym bagnety. Wysuszone. Spalone. Zwęglone. Końce kłujące w oczy. Ostre brzegi wbijające się w ciało, przecinające żyły, aż krew podda się absolutnemu władcy - słońcu...

U stóp tej gęstwiny rozciągała się ogromna płatanina krzewów, gałęzi, lian. Jak pajęczna sieć, poprzez którą przenikało palące powietrze. Ziemia miała barwę cegły. Niebo było nieskazitelnie błękitne, z flotyllami postrzępionych bardzo jasnych obłoków, jak na obrazach z XVII lub XVIII wieku. Watteau. Poussin. Gainsborough... Malowane przez nich chmury, zachowane tutaj w oryginale, zarchiwizowane w lazurze Argentyny.

Jeanne, olśniona, liczyła oznaki życia, ludzkiego lub zwierzęcego. Nie było ich dużo. Słabo widoczne słupy elektryczne. Sztachety płotów. Nandous, argentyńskie strusie biegające wśród zarośli. A na samej ścieżce martwe jaszczurki, rozdęte od upału.

Załatwianie spraw finansowych zajęło jej parę godzin. W tym czasie Beto przygotował swój wóz - jeep land cruiser, który odbył już niejedną taką podróż. Zaopatrzył się w sprzęt konieczny do obozowania w dżungli. Namiot. Zestaw kuchenny. Maczety. Suszona wołowina. Warzywa w próżniowych opakowaniach. Orzechy ziemne...

O godzinie szesnastej opuścili Formosę bez oglądania się za siebie.

Droga robiła się coraz gorsza. Zapadała się, wybrzuszała, jakby żyła własnym życiem. Jeep nie omijał przeszkód. Dzielnie stawiał im czoło. Wibrował. Śpiewał. Wpadał w rezonans na zakrętach, przy wtórze zderzających się ze sobą sprzętów załadowanych do bagażnika.

Obojętny na monotonię pejzażu, hałas i upał, Beto mówił bez przerwy. Opisywał rzadkie atrakcje regionu. Przedstawiał polityczne problemy prowincji. Opowiadał o artystycznym rzemiośle Indian...

Jeanne przerwała mu w tym momencie, chcąc sprawdzić pewną rzecz.

- Wspólnota etniczna zamieszkująca te tereny to Matacos?

- Proszę ich tak nie nazywać. To pogardliwa nazwa nadana im przez Hiszpanów. Mataco to małe zwierzę żyjące w zaroślach. Oni nazywają się inaczej, w zależności od plemienia. Tobas, Pilagas, Wichis...

- Jacy są?

- Niebezpieczni. Zawsze stawiali opór inwazji hiszpańskiej. Formosa jest ostatnią podbitą przez Hiszpanów prowincją. Stolica nie ma jeszcze stu lat...

- Jak żyją?

- Zgodnie z tradycją. Polowania, rybołówstwo, zbieractwo.

- Czy używają urucunf!

- Co to takiego?

- Ekstraktem z nasion tej rośliny smarują swoje ciała.

Oczy Beta zabłyśły pod kapeluszem.

- Oczywiście! Nazywa się to tutaj inaczej, ale używają go podczas swoich ceremonii.

Kolejne pasujące do poprzednich ogniwo łańcucha. Wiązały się ze sobą, zaciskały niczym garota.

- Czy Indianie - zadała kolejne pytanie - chodzą czasami do Lasu Cieni?

- Tak, ale nie zapuszczają się w głąb. Boją się tego lasu.

- Z powodu zjaw?

Beto z lekka się skrzywił, dając tym do zrozumienia, że odpowiedź nie jest prosta.

- To bardziej symboliczne. Dla nich las ze swoimi embalsados jest obrazem samego świata.

- Jak to?

Podczas rozmowy Beto wciąż puszczał kierownicę i chwycił ją w ostatniej chwili, zanim land cruiser zdążył się przewrócić.

- Proszę zrobić takie doświadczenie. Niech pani zada Indianom jakieś pytanie rano. Otrzyma pani na nie odpowiedź. Proszę zapytać o to samo nazajutrz. Otrzyma pani inną odpowiedź. Ich postrzeganie świata jest ruchome, rozumie pani? Dokładnie tak jak las i cały ten teren, które wciąż zmieniają kształt i miejsce.

Około godziny dziewiętnastej, gdy już zrobiło się ciemno, Jeanne poprosiła, by się zatrzymali z powodu jej pilnej potrzeby. Z nastaniem ciemności wrócił chłód. Przyszło jej na myśl, że Chaco leży tak daleko na południe od równika, jak Sahara na północ od niego. Ta sama dwoistość zimy - upał w dzień, lodowate zimno w nocy.

Poszła za pierwsze z brzegu drzewa i już drżała z zimna. Ukucnęła między krzewami, kiedy usłyszała mrozący krew w żyłach krzyk. Chrapliwy, niski, straszny. Bliski i zarazem odległy, jakby odbijał się od zarośli.

Jeanne podniosła się szybko w wysokiej trawie. To był krzyk z gabinetu Ferauda. Krzyk, o jakim mówił Pierre'owi Roberge'owi etolog Estevez. Krzyk wrzeszczących małp. Poczula się tak, jakby czyhał na nią Joachim.

Pospieszyła do samochodu. Beto, nadal w szortach, ale otulony pikowaną kurtką, oparty o maskę wozu, popijał wyciąg z liści ostrokrzewu, zwany herbatką jezuitów. Feraud przeciągał się i ruszał nogami. Ich twarze pokrywał czerwony pył. Jeanne domyśliła się, że wygląda podobnie.

- Słyszeliście?

- Oczywiście - odrzekł Beto, nie wypuszczając słomki z zębów.

- Czy to wrzeszczące małpy?

- Jest ich bardzo dużo w tym regionie.

Beto nie wydawał się ani trochę przestraszony. A potem, jak dobry przewodnik, dodał:

- Są wpisane do Księgi Guinnessa jako najbardziej hałaśliwe istoty i...

Jeanne popatrzyła na swoich dwóch towarzyszy broni. Beto w kapeluszu argentyńskiego kowboja, który kupił chyba w strefie wolnocłowej na lotnisku, w stroju badacza w stylu Indiana Jones, złośliwy i cwany, daleki był od wizerunku lokalnego przewodnika. Co się tyczy Ferauda...

„Płynę w górę rzeki wraz z nimi i wysadzam ich tam, zanim zagłębię się w las...”.

76.

Campo Alegre było miastem zjawą.

Albo raczej zjawą miasta.

Dotarli do niego około północy. Zakurzone ulice z ubitą nawierzchnią. Chatki z kamienia lub cementu. Rachityczne psy utyłane kurzem, umordowane słońcem w ciągu dnia, teraz trzęsące się od nocnego chłodu. Żołnierze, zaniedbani, nie mniej brudni, zdawali się czekać na zmianę, która nie miała nigdy nadejść.

Wszystko to ukazało się w świetle lamp sztormowych ustawionych na progach domów. Jednak większe wrażenie od ciemności robiła panująca tutaj wielka, groźna pustka. Wydawało się, że Campo Alegre to miasto, w którym nikt nie mieszka, nic się nie dzieje. Miasto bez racji bytu, które mogłoby zniknąć za jednym podmuchem wiatru. Albo zalane błotem.

Na końcu głównej ulicy znajdował się motel.

Szereg pomieszczeń z malowanej cegły. Gwałtowne podmuchy wiatru podnosiły kłęby kurzu, unosząc palmowe liście, jakby wyplute przez kaszlącą ziemię.

- Nie wygląda to najlepiej - rzekł Beto, ustawiając się na parkingu. - Ale wewnątrz jest wygodnie.

Wysiedli z jeepa. Temperatura jeszcze się obniżyła. Było blisko zera. Czulo się kąsanie nocnego chłodu. Naprzeciwko hotelu grupka okutanych kobiet stała wokół koksownika. Ich zawód nie ulegał wątpliwości. Wśród kłębow pary bijącej znad koksownika widać było ich twarze z jaskrawym makijażem przypominającym malowaną maseczkę z glinki.

Przewodnik oznajmił, że będzie nocował niedaleko stąd, w domku kuzyna. Spotkanie wyznaczili na godzinę siódmą czterdzieści pięć rano następnego dnia. Barka do Paragwaju wyruszała o godzinie ósmej trzydzieści.

Jeanne załatwiła formalności hotelowe w stanie pólśnu. Rejestracja. Paszporty. Opłata z góry. Klucze. Wszystko to wykonywała mechanicznie, na pół świadomie. Odmówiła zjedzenia kolacji w towarzystwie Ferauda. Powiedziała mu dobranoc i poszła do swojego pokoju.

Cztery szare ściany. Wygniecione łóżko. Wytarty pled. Pod sufitem lampa dająca słabe światło. Łazienka ograniczała się do plastikowej kabiny prysznicowej. Zerknęła na komórkę. Żadnych wiadomości, ale był zasięg. Jeanne pomyślała, że nie opuściła jeszcze cywilizowanego świata.

Z wdzięcznością przyjęła strumyk wody, który pozwolił jej zmyć z siebie kurz. Zgasiła światło i położyła się na łóżku. Gdy tylko zamknęła oczy, ujrzała palmy, zarośla, kolce... W całym ciele czuła jeszcze drzenie jeepa. Wciąż przemierzała niekończącą się sawannę...

Czuła się dobrze, choć była zmęczona, odrętwiała, oszołomiona. Wszystko wydawało jej się odległe. Groźba niebezpieczeństwa. Obecność Joachima. Tajemnica lasu... W jej umyśle nie stanowiły już powodu do niepokoju. Już nie wiedziała, w którym kierunku zmierza... Jednego była pewna: ta podróż zmieniała jej życie. Hartowała duszę. Carl Jung pisał, że nerwica jest cierpieniem duszy, która szuka dla siebie sensu. Może ona właśnie znalazła taki sens dla siebie... Do tej pory koncentrowała siły na Erosie. Poszukiwaniu miłości. A znalazła śmierć, przemoc. Tanatos. Dopiero w roli sędzi śledczej poczuła się naprawdę dobrze...

Nakryła się pledem. Jej myśli pobiegły w innym kierunku. Ujrzała swoje samotnie spędzone ostatnie noce w Paryżu. Jak słuchała nagrań z podsłuchów. Jak się masturbowała w ciemnościach... Znowu poczuła wstyd, gorycz tamtych godzin... Ale to już było za nią. Nie dotykała się od wielu dni. Nie było to jej teraz potrzebne. W samym centrum koszmaru czuła się oczyszczona. Oddana wyłącznie wysłedzeniu zła.

Teraz Joachim jest tutaj.

W jej pokoju.

Czarny. Nieruchomy. Zgięta postać przy nogach łóżka. Znowu podobny do portretu na fotografii. Jego skóra pokryta jest korą, liśćmi, sierścią. Jego usta ociekają krwią. Oczy okrutne, zatrute szaleństwem, obracają się, nie widząc jej. Chłopiec drży, jakby przeniknięty zimnem.

Nie jest sam.

Za nim sylwetka ojca. Wysoki, szczupły, nieruchomy. Jeanne widzi dokładnie jego twarz. Słyszy oddech. Charczenie. Odgłos skrobania. Jakby codzienne krzyki zniszczyły coś

w jego systemie oddechowym. Jeanne jest bezsilna. Bezwładna. Nie jest w stanie zrobić żadnego ruchu...

Joachim wyciąga swoją przekręconą rękę. Zakrzywione paznokcie dotykają twarzy Jeanne. Nachyla się nad nią. W jego oddechu czuć ziemię, korzenie, krew. Obwąchuje ją. Wdycha jej zapach. Ona zaś zapada się coraz głębiej w sen. Spokojna. Wyciszona. Odprężona. Zrozumiała, że on nie zrobi jej krzywdy, nie zada bólu. Szanuje ją. Czci ją...

Jest jego boginią. Jego Wenus.

A tym samym jest nietykalna...

77.

Godzina siódma czterdzieści pięć.

Jeanne obudziła się nagle. Na ekranie komórki świeciły się cyfry. Godzina, o której miała się spotkać na śniadaniu z Feraudem i Betem. Wskoczyła w dżinsy. Włożyła bawełniany T-shirt. Dwa polary. Wyszła na dwór.

Była piękna pogoda. Świeciło blade, zimne, rzeńskie słońce. Jeanne poklepała się po ramionach, żeby się rozgrzać, i zapukała do drzwi pokoju Ferauda. Cisza. Zapukała jeszcze głośniej. W końcu otworzył drzwi, potargany, z opuchniętą twarzą.

On także zasnął.

- Już jest prawie ósma - powiedziała oschle. - Spóźnimy się na barcę.

- Zaraz... zaraz będę gotów.

- Czekam na ciebie w restauracji w głównym budynku - odrzekła, machinalnie przechodząc na ty. - Beto już pewnie tam jest.

- Zg... zgoda.

Jeanne poszła wzdłuż szeregu pokoi. Wciąż jeszcze pełna obrazów ze snu, niejasnych odczuć...

Beta nie było w restauracji. Uświadomiła sobie, że nawet nie ma numeru jego komórki. Uznała, że nie będzie się tym martwić. Na ladzie stały termosy. Kawa. Mleko. Gorąca woda. Jeanne, nie siadając, nalała sobie kawy. Nie miała ochoty na kromki suchego chleba rozłożone na ladzie.

Godzina ósma.

Barca odpływała za trzydzieści minut. Co z tym Betem? Czyżby ich zostawił? Usłyszała jakiś hałas z tyłu. Feraud, który już trochę doszedł do siebie, zniósł swoje bagaże.

- Wypij kawę - powiedziała autorytatywnym tonem. - Pójdę po moją torbę. Potem odzyskamy Beta. U jego kuzyna.

- Przecież nie wiemy, gdzie on mieszka.

- Wiemy. Dwieście metrów stąd. Opisał mi drogę. Na wszelki wypadek.

Kilka minut potem szli główną arterią Campo Alegre. Przy zakurzonej ulicy stały liczne cementowe baraki i drewniane domki z dachami krytymi falistą blachą lub plastikowymi płachtami. Wszechobecnym kolorem była szarość. Kury, gdacząc, dziobały ziemię. Psy, świnie, konie... Panowało większe ożywienie niż w nocy, ale i tak wszystko toczyło się w zwolnionym tempie. Puls miasteczka zamierał.

Domek kuzyna znajdował się na drugiej uliczce po lewej stronie. Stał w głębi piaszczystego podwórka. Jeanne zapukała kilka razy do drzwi. Brak odpowiedzi. Przewodnik nie spakował się. Jego land cruiser stał nadal na parkingu przed motelem.

- Beto?

Podniosła żelazną zasuwkę pełniącą funkcję zamka i pchnęła drzwi. Zobaczyła magazyn wszelakiego rodzaju przedmiotów, na które przez rolety padały wąskie promienie dziennego światła. Garnki, maczety, liny, skrzynki, materiały, piece, szale, worki na orzechy ziemne, słoje, butelki... Wszystko to było zawieszane lub ciasno ustawione, tworząc przedziwną plataninę przeróżnych, mało wartościowych rupieci.

- Beto?

Duszne, ciemne wnętrze domu sprawiało niemiłe wrażenie. Pachniało trocinami. Zobaczyła hamak.

- Beto?

Był tam, z twarzą przesłoniętą kapeluszem. Na podłodze czarna kałuża. Płótno hamaku pod bezwładnym ciężarem trupa dotykało podłogi. Jeanne podeszła bliżej. Promień światła padał na jego gardło. Poderżnięte od ucha do ucha. Morderca ciął z rozmachem, głęboko, przecinając jednocześnie tętnicę i żyłę szyjną. Jeanne nie miała najmniejszej wątpliwości, kto był zabójcą.

- Mam tego dosyć - usłyszała głos Ferauda za plecami. Drżał, jakby miał konwulsje. Ona, przeciwnie, stała nieporuszona. Miała wrażenie, że jej własna krew tężeje, wolniej płynie. Joachim chce, żeby dotarli do niego sami. Bez niczyjej pomocy czy sprzętu. Do Lasu Cieni...

Psychiatra chwycił ją za ramię i brutalnie odwrócił do siebie.

- Słyszała pani, co powiedziałem? Mam tego dosyć!

- Opanuj się.

Nagle pojęła jeszcze inną prawdę. Joachim nie chciał, żeby wybierali się razem do Lasu Cieni. Czekał na nią i tylko na nią. Feraud był następnym na liście. Dziecko-wilk wyeliminuje go przy pierwszej okazji.

Feraud puścił jej ramię, zrobił nieokreślony gest i powiedział, opuszczając wzrok:

- Już jestem spokojny i rezygnuję.

- Jak chcesz.

- Pójdzie pani dalej sama?

Jeanne spojrzała na zegarek.

- Barka odpływa za dziesięć minut - odrzekła, kierując się ku drzwiom.

- A on? Tak go pani zostawi? Nie powiadomi policji? Już na progu domku odwróciła się do Ferauda.

- Jaka policja? Zanim Indianie skontaktują się z najbliższym posterunkiem policji, miną trzy dni. Nie będzie żadnego dochodzenia. Nikt nas nie posądzi o to morderstwo. Przyjechaliśmy w nocy. Spaliśmy w różnych miejscach.

- A samochód? Sprzęt?

- Zostawiamy wszystko. Wracaj do Formosy autobusem i...

- Nie.

Dogonił ją na ganku. Jeanne miała ochotę krzyknąć, by wracał do Francji, do swoich mętnych teorii na temat ludzkiej psychiki. Żeby pozwolił jej skończyć dochodzenie.

Ale Feraud spoglądał na nią ze zmarszczonym czołem.

- Co pani ma na twarzy?

Zaciekawiony wyciągnął rękę. Odsunął kosmyki włosów z czoła Jeanne.

- Krew. Zraniła się pani?

- Gdzie? - Jeanne pomacała się po twarzy.

- Dotykała pani zwłok?

Nie odpowiedziała. Nawet gdyby nachyliła się zbyt nad raną Beta, nie powinna się tak ubrudzić. Krew w ranie przewodnika już dawno zastygła. Ta krew pochodziła skądinąd. Obróciła się na pięcie i wróciła do domku. Chwyciła wiszące na ścianie lustro. Przybliżyła je do twarzy. Czarna smuga przecinała skroń. Odgarnęła włosy. To nie była zwykła plama. Odcisk. Niekompletny odcisk dłoni. Palca serdecznego i małego...

Drobna dłoń.

Dłoń chłopca.

Jeanne, tracąc na moment oddech, pojęła rzecz oczywistą. Jej sen nie był snem. Kiedy w hotelowym pokoju czuła, że staje się uosobieniem Wenus, kiedy widziała Joachima

pokrytego liśćmi i korą, nachylającego się nad nią, żeby ją pogłaskać, działo się to naprawdę.

Dziecko-wilk przyszło do niej po zamordowaniu Beta.

Wciąż trzymając lusterko, poprawiała włosy. Najpierw Joachim musnął ją dłonią po czole. Potem zostawił ślady palców zwróconych ku dołowi... Jeanne odtworzyła w myślach scenę, która odbyła się w ciemnościach. Joachim tuż przy jej twarzy. Jego zakrwawiona ręka, ręka mordercy kanibala, na jej czole.

Ale dlaczego zwrócona grzbietem do dołu?

Odpowiedź była prosta.

On znów miał atak.

I dlatego jego nadgarstki skierowane były do wewnątrz...

78.

W mitologii greckiej rzeki Hadesu wydostawały się na powierzchnię ziemi. Styks wpadał w wąski wąwóz w Arkadii, na północy Peloponezu. Acheron przepływał w Epirze i wpadał do Morza Jońskiego. Druga rzeka o tej samej nazwie płynęła w Lakonii i znikła w okolicach przylądka Tenare, gdzie jakoby było wejście do świata podziemnego...

Będąc już na barce, Jeanne zastanawiała się, do jakiego piekła prowadzi rzeka Bermejo. Do Lasu Cieni? Do ludu Tanatosa? Chyba że piekłem było po prostu jej dochodzenie. Ktokolwiek się do niego zbliżał, ginął wciągnięty w spiralę okrucieństwa i przemocy.

Jeanne nie znajdowała w sobie śladów współczucia dla Beta. Człowieka, który miał pecha znaleźć się na ich drodze. Zostawili zwłoki. Uciekli. Pocieszała się nadzieją, że nikt nie powiąże ich z tym kierowcą. Albo że zdążą zgubić się w lesie i tamtejszych mokradłach, zanim przybędzie policja.

W myślach wracała także do Marion Cantelau, Nelly Barjac, Franceski Tercii, Francois Taine'a, Eduarda Manzareny, Jorge De Almeidy... Byli też zapewne inni nieszczęśnicy, którzy zbliżyli się, choćby z daleka, do ludu embalsados. Do jego realnego istnienia lub fantasmagorii. Nie było co opłakiwać tych zmarłych. Jedyne, co Jeanne mogła dla nich teraz zrobić, to dotrzeć do celu swojej wyprawy. Odnaleźć Joachima i aresztować go w taki czy inny sposób. Pavois powiedział: „To pani karma”.

Stojąc na dziobie, Jeanne odwróciła się i obrzuciła uważnym wzrokiem barkę. Spektakl wart był oglądania. Stara, zniszczona, zardzewiała, wielokrotnie łatana łódź,

długości sześćdziesięciu metrów, na której oprócz kilkuset Indian płynęło bydło, worki z produktami żywnościowymi, kanistry z benzyną, psy, drewno na opał, liny, susząca się bielizna, zioła do parzenia napojów, Kuchenki, garnki... Pływająca wioska, pełna wrzawy, ścisłu, którą rzucono ot tak sobie na wodę...

Barka posuwała się wolno pod koronami drzew, które splatały się ze sobą, zasłaniając niebo. Otaczała ich typowo tropikalna dżungla. W morzu palmowców niczego nie było widać. Jeanne знаła to zjawisko. Wilgotne brzegi rzek zawsze porośnięte są specyficzną, gęstą roślinnością. Las, który tworzy galerię selva en galeria, jak mówią Argentyńcy.

Jeanne patrzyła na przepływające obok ściany zieleni i czerni. Płatanina lian. Gęstwina liści. Kiście kwiatów na gałęziach. A przede wszystkim nieskończona ilość drzew. Jeszcze palmowce, ale również drzewa karobowe, mangrowce, bananowce... Las nie do przebycia. El Impenetrable.

Spojrzała w dół. Wbrew swojej nazwie rzeka nie była czerwona. Miała raczej kolor pozieleniałego brązu. A czasami miedzi w pomarańczowym odcieniu. Albo szarego ołowiu. Woda o barwie metali.

Mijały godziny. W miarę jak barka zagłębiała się w las, na pokładzie robiło się coraz ciszej. Dźwięki dżungli stały się bardziej słyszalne. Szelest liści. Pogwizdywanie ptaków. Granie cykad. Potem nagle wszystko ucichło. Bez widocznego powodu. Teraz słyhać było zgrzyt żelaznego kadłuba łodzi prującego wodę. Materializował czas i przestrzeń zmieszane z mułem rzeki...

Nadeszła pora obiadu. Kawały wołowego mięsa piekły się na porzewiałym grillu. Indianie zaprosili Jeanne i Ferauda pod plandekę rozciągniętą dla osłony przed słońcem. Wzięła kawałek różowego mięsa. Psychiatra wolał surowe jarzyny.

Trochę później, gdy pasażerowie zapadli w drzemkę, rozległy się krzyki. To krzycał kapitan, wystawiając głowę z kabiny na mostku kapitańskim, Indianin około pięćdziesięciu lat, którego czaszka i twarz pozbawione były całkowicie włosów. Nie miał ani brwi, ani rzęs. Gdy Jeanne wchodziła na pokład, zauważył jej zdziwione spojrzenie. Wyjaśnił, że ogolił się i wydepilował, żeby uniknąć insektów we włosach.

Teraz krzycał na kobiety, które udawały przerażenie, głośno się śmiejąc.

Feraud, usadowiony na płóciennych workach, zapytał, nie podnosząc głowy:

- Co on mówi?

- Że jeśli nie przestaną go denerwować, to je wszystkie zgwałci. Pyta też, co powinien sobie jeszcze ogolić, żeby ustrzec się przed takimi stworzeniami.

Psychiatra nie zareagował, odporny na indiańskie poczucie humoru. Skulony na

pakach, był ciągle w stanie szoku.

Jeanne znowu popatrzyła na niedostępne obrzeża dżungli. Przypomniała sobie słowa Beta. Bermejo opływała las i jego bagna, żeby po kilkuset kilometrach dotrzeć do granicy Paragwaju. Cywilizowanego świata.

Nikt nie zatrzymywał się w tym dzikim lesie, do którego zmierzali Jeanne i Feraud. W jaki sposób uda im się wysiąść z łodzi? Jak wejść w tę dżunglę?

Popatrzyła na ekran komórki. Nie było już zasięgu. Przekroczyli więc tę graniczną linię... Ze ściśniętym gardłem schowała komórkę na dno torby. W tym samym momencie coś mignęło między drzewami. Szary występ, który zlewał się z monotonią lian i liści. Jego horyzontalna linia była zbyt prosta, zbyt regularna, żeby mogła należeć do świata roślinnego.

Podniosła się i zmrużyła oczy. Pod splątanym baldachimem zieleni wyłaniał się budynek z szarego cementu. Ślady cywilizacji...

Jeanne domyśliła się już, co to takiego. Pochylając się pod plandekami, przeszła między miskami, kozami, Indianami do porzewiałej nadbudówki, gdzie urzędował kapitan.

- Co to jest? - spytała.

Kapitan, z ręką na sterze, nawet się nie odwrócił.

- Co to za budynek? - powtórzyła.

- Campo Alegre. Obóz koncentracyjny.

Dobrze odgadła. Teatr, w którym wszystko się zaczęło. Miejsce urodzenia Joachima... Uświęcone ofiarami... Instynktownie wiedziała, że jest tam coś do odkrycia.

- Ile pan chce za to, żeby się tu zatrzymać?

- Nie ma mowy. Żadnych przystanków.

Jeanne sięgnęła do kieszeni zakietu. Znalazła kopertę z pieniędzmi, które zdobyła w Formosie. Wszystkie jej oszczędności. Szybko odliczyła dwieście pesos. Położyła je na pulpicie sterowniczym z trzema porysowanymi zegarami i manetkami posklejanymi plastrem.

- Nie jest pani sama na tym pokładzie.

Kapitan miał na sobie bawełnianą koszulkę z wizerunkiem Krzysztofa Kolumba, nad głową widniał napis: „Poszukiwany”. Niżej nagroda - pięć tysięcy dolarów. No tak, wiadomo, o co chodzi.

- Ile? - zapytała Jeanne, stojąc w wejściu do nadbudówki.

Łysy kapitan nie odpowiedział. Łódź płynęła dalej, mijając szarą twierdzę. Jeanne widziała, jak znika w brudnym okienku.

- Ile?

Zauważyła widoczne do połowy baraki, zniszczony pomost. Zagubiona, przesłonięta

roślinnością placówka na rzece.

- Wystarczy mi godzina - powiedziała. - Zobaczą bazę i wracam.

- Nie da się podpłynąć do brzegu. Za płytko.

Jeanne przypomniała sobie, że do burty barki podczepiony jest ponton. Łódź ratunkowa, załatana kawałkami opony. Na pulpicie pojawiło się dodatkowe dwieście pesos.

- Wezmę ponton. Proszę wyznaczyć kogoś, kto popłynie ze mną.

- Będzie to kosztować jeszcze więcej.

- Zgoda.

- Trzeba też coś dać pasażerom za przerwę w podróży.

- A może wystarczy alkohol?

Ruchem głowy kapitan wskazał wioskę do połowy zalaną wodą.

- W porządku - powiedziała Jeanne, ocierając czoło. - Niech pan robi, co trzeba.

79.

Słońce było teraz czerwone, czyste jak przecięty owoc. Operacja kotwiczenia trwała dwie godziny. Pasażerowie popłynęli łodzią ratunkową, żeby kupić butelkowe piwo w wioskowym barze. Podpili sobie. Wznosili toasty za zdrowie Jeanne. Było dużo śmiechu. W końcu Jeanne mogła zejść na ląd. Feraud uparł się, żeby jej towarzyszyć. Odpowiadało to jej, bo nie chciała spuszczać go z oka.

Pontonem dopłynęli wolno do pomostu. Rzeka w tym miejscu przypominała naturalne śmietnisko. Kawałki trzciny. Strzępy nenufarów. Wysepki liści. Na pół zanurzone pnie drzew, podobne do wzdętych trupów.

Wyskoczyli na brzeg. Jeanne powtórzyła sternikowi pontonu, że wróci za godzinę. Przeszli przez nadrzeczną osadę. Zbyt duże słowo dla dziesięciu baraków na palach wkopanych w błoto. Deski, belki, kamienie budowlane, plastikowe plandeki, wszystko to zdawało się zgromadzone przez jakieś plemię ludzi-bobrów. Byli tutaj. Tłuste włosy, zepsute zęby. Większość z twarzami pokrytymi popiołem. Inni mieli na policzkach czerwone smugi - Jeanne pomyślała o urucum. Coraz bliżej... Ludzie ci nie wyglądali ani na przestraszonych, ani na zagubionych.

Bardzo mało uczęszczana ścieżka prowadziła przez leśny gąszcz do bazy wojskowej. Szli dziesięć minut. Promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez zielony baldachim niczym przez witraż. Rozproszone światło z żywymi refleksami przywodziło na myśl gorące

powietrze drgające w soczewkach lornetki...

W końcu pojawiły się zabudowania.

Jeanne pomyślała o ciężkim więzieniu w Cayenne. Ślepe mury z plamami wilgoci. Otwory strzelnicze obrośnięte liśćmi. Korzenie i liany wyrastające z pęknięć w cemencie. Dachy podziurawione gałęziami drzew. Las zaatakował więzienie i pokonał je. Teraz już nie wiadomo było, kto na kogo czyha. Miłosny pocałunek z torturą. Gorączkowy uścisk kamieni i roślin. Jeanne stanęły przed oczami świątynie w Angkor. Jednak tutejsi bogowie byli złymi bóstwami. Tortury. Egzekucje. Zniknięcia...

Do wnętrza można było dostać się bez trudu. Liany, niczym monstrualne łomy, rozepchnęły drzwi, sforsowały zamki. Za nimi czekał na nich duży dziedziniec wypełniony połyskującą roślinnością. Wszystko tonęło w bursztynowej poświacie. Prawdziwa egzotyczna szklarnia, witraż z purpurowym prostokątem nieba widocznym między budynkami.

Skręcili w prawo pod otwartą galerię. Filary. Mieszkania strażników. Sala jadalna. Żelazo ustępowało teraz miejsca drewnu. Strefa administracyjna. Czy są tu jakieś archiwa? Absurdalny pomysł, wzięwszy pod uwagę upływ lat i rodzaj tego miejsca. Kaci nie pisali. A jeśli nawet były jakieś notatki, to zostały one strawione, pochłonięte przez las w ciągu kilku dni...

W głębi galerii znajdował się korytarz. W głębi korytarza - biura. Podłoga usiana zwiedłymi liśćmi. Szli po nich z szelestem w czerwonym półmroku. Szereg pokoi z oknami obrośniętymi zielenią. Jakimś cudem szafy, krzesła, meble stały tu nadal...

Jeanne zawróciła.

W jednej z sal zauważyła coś nieoczekiwanego. Chyba siedzącą na tle jasnego okna ludzką sylwetkę. Weszła do środka i utwierdziła się w swoim przypuszczeniu. W pokoju o rozmiarach kilku metrów kwadratowych, z gruzami i kawałkami lian na podłodze, twarzą do okna siedziała kobieta z aureolą karminowego światła nad głową. Wyglądała na staruszkę. Sztywna, nieruchoma niczym trafione piorunem drzewo.

Jeanne podeszła bliżej.

- Señora? Por favor...

Żadnej odpowiedzi. Patrząc pod światło, Jeanne pomyliła się. Kobieta siedziała zwrócona twarzą do nich. Jeanne wyjaśniła, że przyплыnęli barką. Że są francuskimi dziennikarzami. Że szukają zapomnianych miejsc z czasów dyktatury w Argentynie.

Cień nadal nie odpowiadał.

Jeanne podeszła jeszcze krok bliżej. Nie widziała dobrze rysów kobiety, ale z pewnością nie była to Indianka.

Po kilku sekundach odezwała się:

- Pracowałam tutaj. Opiekowałam się ludźmi. Naprawiałam to, co tamci niszczyli.

Ton głosu pasował do nieruchomego ciała. Głos zastygły, skamieniały. Utrwalony latami. Został w nim akcent z Buenos Aires.

- Była pani lekarzem?

- Pielęgniarką. Przełożoną pielęgniarek w bazie. Mam na imię Catarina.

Jeanne miała nadzieję znaleźć tutaj jakieś wskazówki. Ale znalazła coś o wiele lepszego. Świadka. Pamięć. Z jakiegoś powodu kobieta nie chciała opuścić fortecy.

- Czy rodziły się tutaj dzieci?

Jeanne obawiała się, że zaprzepaści szansę, tracąc czas na niepotrzebne wstępy.

Pielęgniarka odpowiedziała bez wahania obojętnym tonem:

- Campo Alegre miało szpital, ambulatorium, gdzie leczono torturowanych, żeby ich utrzymać przy życiu. Jedna z sal była przeznaczona dla kobiet mających rodzić. Potajemne macierzyństwo.

Catarina zapewne nie widziała od lat żadnego białego człowieka. Prawdopodobnie nie była przepytwana przez żadną komisję. Ale miała tutaj swoją rolę do odegrania - przekazać innym przed śmiercią to, co wiedziała.

Catarina była więcej niż świadkiem, była jak wieszczka.

Teraz Jeanne widziała już lepiej jej rysy. Podkrążone, zapadnięte głęboko oczy. Wyschnięte ciało. Zniszczone przez czas, dżunglę, szaleństwo...

- Czekano, aż będą gotowe do porodu - mówiła dalej pielęgniarka.

- Jak były traktowane?

- Lepiej niż pozostałe. Wojskowym zależało na dzieciach. Ale kobiety były skute kajdankami. W dzień i w nocy na oczach miały opaski. Były przesłuchiwane, torturowane aż do ostatniej chwili. Pilnowały ich psy. Te kobiety były w piekle. Dawały życie w piekle.

- Znała pani ich nazwiska?

- Tylko numery. Były matkami-nosicielkami. Noworodki też nie miały nazwisk. Szybko znikwały. Całą resztą zajmowali się lekarze i wojskowi. Stan cywilny, świadectwo urodzenia... Te dzieci rodziły się, będąc już z góry zaadoptowane.

- Czy przy porodach asystowali lekarze?

Kobieta roześmiała się.

- W Campo Alegre? To się nie zdarzało. Oficerowie byli znudzeni tymi kobietami. Nie mogli ich gwałcić. Trzeba było zajmować się nimi, a to ich nie bawiło. Wymyślili więc pewną zabawę.

- Jaką zabawę?

Catarina od początku rozmowy nawet nie drgnęła z rękami opartymi na kolanach. Siwe włosy i bezkrwiste palce tworzyły różowe plamy w czerwonym świetle wypełniającym pokój.

Nagle Jeanne pojęła prawdę. Nieruchomość pielęgniarki. Pochylenie sylwetki. Oczodoły bez światła. Była niewidoma. Czy wylupiono jej oczy? W przedziwny sposób ta ślepotą pasowała do jej roli wieszczki. W świecie antycznym wróżbici, bazarze byli często ślepcami. Homer, Tejrezjasz...

- Zakładali się o płeć dziecka. Kiedy kobieta miała już rodzić, prowadzili ją do specjalnego pawilonu. Stała tam maszyna rolnicza.

Jeanne próbowała bezskutecznie przełknąć ślinę. Czuła, że Feraud za jej plecami jest jak sparaliżowany.

- Do czego służyła... ta maszyna?

- Do wytworzenia wibracji. Przywiązywali kobietę do maszyny i wprawiali w ruch silnik. W ten sposób wywoływali poród. Przed maszyną ustawiali stolik do gry w karty, żeby stawiać zakłady. Słychać było krzyki rodzącej. Śmiech oficerów. Hałas silnika, który wszystko zagłuszał. Koszmar.

- Co robili z dzieckiem?

- Zabierał je lekarz.

- A co działo się z kobietą?

- Od razu ją zabijano. Strzał z karabinu to pierwszy dźwięk, jaki słyszało nowo narodzone dziecko.

Jeanne zamyśliła się. Jeszcze zada jedno, dwa pytania i kobieta zamilknie. Wróci do swego świata duchów.

- Czy była pani tutaj w siedemdziesiątym drugim roku?

- Byłam.

- Czy pamięta pani pewien poród w tamtym roku? Jeszcze przed nastaniem dyktatury?

- Pamiętam. Żołnierze wypróbowywali maszynę na tej kobiecie.

- Znała pani jej nazwisko?

- Już mówiłam: nie znałam żadnych nazwisk.

- A imię dziecka?

- Joachim. Został adoptowany przez oficera z koszar Garcie. Nic niewart. Pijak.

- Czy wie pani, co się potem wydarzyło w tej rodzinie?

- Garcia zamordował żonę, a sam popełnił samobójstwo w siedemdziesiątym siódmym

roku. Chłopiec uciekł. Potem opowiadano, że przeżył w dżungli. Że wrócił do dzikiego życia. Ale naprawdę dzikie życie było tutaj, w Campo Alegre.

- Po kilku latach jednak odnaleziono chłopca. Czy przypomina pani sobie o tym?

- Pamiętam Alfonsa Palina. W osiemdziesiątym drugim roku przyjechał tutaj szukać tego dziecka. Ale Joachim wyjechał z jakimś jezuitą z miasteczka.

- Czy wiedziała pani, że to był naturalny syn Palina?

- Krążyły takie plotki. Mówiono, że Palin spał z matką chłopca jeszcze w Buenos Aires. Chciał odzyskać dziecko. Pellegrini, który wówczas dowodził bazą, umierał ze strachu. Palin pokazał, do czego jest zdolny.

- To znaczy?

Catarina pokiwała głową. Na jej twarzy pojawił się jakby cień uśmiechu. Jednak czarne oczy nie zmieniły wyrazu. Nie mogły, bo zostały po nich tylko oczodoły.

- Kiedy dowiedział się, jaki los spotkał jego kochankę, odnalazł żołnierzy, którzy ją zabili. Każdy dostał kulkę w łeb.

- Pellegrini nie oponował?

- On miał tylko jedną rzecz do zrobienia: odnaleźć chłopca. Oddać go Palinowi. I modlić się, żeby admirał już nigdy tu nie wrócił.

Co było dalej, Jeanne wiedziała.

Dała znak Feraudowi, którego sylwetka niknęła w półmroku. Czas wracać. Odnaleźć ponton przed zapadnięciem nocy.

Kiedy już byli na progu, Jeanne nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Co się stało z pani oczami?

Catarina nie od razu odpowiedziała. Zaciśnęła pięści na kolanach.

- To kara.

- Żołnierze?

- Nie żołnierze. Ja sama. - Podniosła pięści do pustych oczodołów. - Pewnego dnia uznałam, że już się dosyć napatrzyłam. Poszłam do kuchni. Wzięłam łyżeczkę. Zdezynfekowałam ją nad ogniem i... zrobiłam sobie tę operację. Odtąd mieszkam z Indianami.

Jeanne pożegnała kobietę i wypchnęła na korytarz Ferauda, który potknął się o jakiś korzeń i omal nie upadł.

- Proszę zaczekać.

Jeanne zatrzymała się w drzwiach.

- Dokąd idziecie? - zapytała pielęgniarka.

- Do Lasu Cieni.

Krótkie milczenie. A potem Catarina swym głębokim, obojętnym głosem powiedziała:

- No to je zobaczycie.

- Kogo?

- Matki. Matki tych noworodków.

- Mówiła pani, że oficerowie zabijali je zaraz po porodzie.

- Na tym świecie są martwe. Ale nie w Lesie Cieni. Błąkają się po ruchomych terenach laguny. To dusze kanibalistyczne. Zjadają mężczyzn. Mszczą się. Kiedy je zobaczycie, przekażcie moje pozdrowienia. Proszę im powiedzieć, że nie zapomniałam o nich.

80.

Joachim - dziecko Zła.

„Mechanizm ojca” ze wszystkimi jego objawami. Ukształtowała go nie tylko przemoc. Była już przy jego narodzinach. Wróżki nachylone nad jego kołyską to sadystyczni, zdeprawowani żołnierze. Następnie małżeństwo Garcíów, para brutalnych pijaków. Potem lud z pradawnych czasów, kanibale, krwiopijcy. Potem wrzeszczące małpy. Potem Alfonso Palin... Traumatyczne doświadczenia następowały w życiu tego chłopca jedno po drugim.

„Mechanizm ojców”.

Jeanne pomyślała o maszynie rolniczej, o krzykach rodzących kobiet, o silniku, którego wstrząsy wyznaczały moment narodzin dziecka-wilka...

Zardzewiała barka płynęła nocą już od kilku godzin. Nad głowami pasażerów słychać było trzepot skrzydeł nietoperzy. Znowu powrócił chłód. Wszyscy podróżni skupili się przy koksownikach. Rozmawiali ściszymi głosami.

Jeanne i Feraud drżeli z zimna. Przykryto ich kocami. Dano im jeść. W chwiejnym świetle ognia nie widzieli, co jedzą. Za bardzo byli zmęczeni, żeby czuć, czy im smakuje, czy nie.

Owinięta kocem Jeanne wpatrywała się w otaczającą ją ciemność. Nie widziała nic. Ściana lasu tworzyła drugą ciemność wciśniętą w tę pierwszą, bardziej gęstą, czarną, dodającą nocy szczególnej gęstości.

Brzegi rzeki jakby się przybliżyły. Były bardziej obecne pod względem zapachów, hałasów. Teraz Indianie śpiewali do księżyca. A może byli już tutaj „Nienarodzeni” i

przyglądali się płynącej barce? A Joachim? Czy pojechał z ojcem do swego ludu? Czy mieli własną łódź?

Nagle dostrzegła między liśćmi świetliki. Była zaskoczona, że widzi je tak wyraźnie. Po chwili przekonała się, że to nie świetliki, lecz lampy... Usłyszała dźwięk, który rozpoznałaby wśród tysiąca innych. To warkot generatora elektrycznego, pracującego na pełny gaz.

Wstała i znowu poszła do kabiny kapitana. Gruchał z dwiema Indiankami, które siedziały na jego kolanach. Nie wyglądało to na gwałt. Ani trochę.

- Co to są za światła? - zapytała.

- Tranquila, mujercita... Chyba nie chce pani wyskakiwać na brzeg za każdym razem, kiedy mijamy jakiś barak?

- Co to za barak?

- Farma.

- Farma w lesie?

- Jesteśmy w Argentynie. Zawsze gdzieś jest jakaś farma.

- Do kogo należy?

- Nie wiem. Bogacz. Hiszpan.

Pospieszne myśli. Prysznic. Posiłek. Odpoczynek. Tragarze... Ta farma stanowiła idealny etap przed zanurzeniem się w nieznane. Na pewno uda się jakoś dojść do porozumienia z właścicielem lub dzierżawcą posiadłości...

- Czy mógłby się pan zatrzymać?

- Ależ pani jest uparta. Ta barka to nie autobus. Przystanek dopiero w Paragwaju.

- Już raz jakoś się dogadaliśmy.

Kapitan westchnął. Krzysztof Kolumb na jego koszulce patrzył na Jeanne krzywym okiem. Dwie dziewczyny chichotały. Jeanne sięgnęła do kieszeni i wyjęła garść pieniędzy, które położyła na pulpicie sterowniczym.

- Niech pani zabierze te swoje pieniądze. Nie mogę się już więcej zatrzymywać. Za silny prąd. Na ten manewr zużyłbym za dużo paliwa.

- A jeśli popłyniemy pontonem?

Kapitan spojrzał na nią ze złością.

- Farma na pewno ma swój własny pomost - nalegała. - Kiedy do niego dotrzemy, da nam pan znać. Wskakujemy do pontonu razem z tym chłopakiem, co poprzednio. Wysadza nas. Wraca do barki. Pan nie musi się zatrzymywać.

Kapitan sięgnął po forszę.

- Dam pani znać, kiedy będziemy mijać pomost.

- Ile to potrwa?

Spojrzał przez okienko, jakby chciał coś dojrzeć w ciemności.

- Za dziesięć minut.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Wskoczyli do pontonu, który natychmiast odbił od barki z warkotem silnika. Złapali bagaże, które zrzucano im z pokładu. W niecałe pięć minut ponton dobił do pomostu. Wskoczyli na spróchniałe deski. Feraud znowu się zachwiał i omal nie wpadł do rzeki. Na pożegnanie zostali opryskani lodowatą wodą. Ponton już odpłynął. Dwie bruzdy piany znikwały w ciemności niczym zjawy.

Jeanne dostrzegła ścieżkę prowadzącą do farmy. Oceniała w myślach absurdalność tej chwili. Byli sami. Nie mieli ani ekwipunku, ani mapy, ani przewodnika. Tysiące kilometrów od wszelkiej cywilizacji, bez najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzają. Ona z torbą na ramieniu zawierającą jej macintosha, akta śledztwa, egzemplarz *Totem i Tabu*. Feraud ciągnący przez błoto walizkę na kółkach. Musieli wyglądać naprawdę śmiesznie.

- Jeanne.

Odwróciła się. Jej towarzysz się zatrzymał.

- Nic nie widzę.

- Ja również.

- Ale ja naprawdę nic nie widzę.

Zawróciła. Uczepiony był kurczowo swojej walizki. Zbliżyła się do jego twarzy. Mimo ciemności zobaczyła, że białka jego oczu nabiegły krwią, a źrenice przesłoniła jakaś mgielka.

- Od jak dawna to masz?

- Nie wiem.

- Boli?

- Nie, ale coraz gorzej widzę.

Tylko czegoś takiego jeszcze brakowało. Zarzuciła sobie na szyję lewą rękę Ferauda, po czym chwyciła jego walizkę. Ruszyli ponownie w drogę, posuwając się z trudem do przodu niczym dwaj ranni na wojnie żołnierze. Przyszła jej do głowy pewna myśl. Złe samopoczucie Ferauda dawało doskonały pretekst, żeby go zostawić na farmie.

Do Lasu Cieni wybrałyby się sama.

Szli tak około pół godziny. Coraz głośniejszy warkot generatora wyznaczał rytm ich kroków. Las budził się, jakby zakłócono jego intymność. Krzyki. Trzaski. Jakieś ruchy. A może Jeanne też traciła jasność widzenia. Drzewa zdawały się wybuchać śmiechem. Ich

korony zamykały się nad nimi, przesuając się płynnie. Jeanne myślała już tylko o tym, żeby postawić następny krok. Miała wrażenie, że idzie przez las z bajek. Dżunglę, która nie ma ani środka, ani granic, której każdy fragment żyje, myśli, wydaje dźwięki...

W końcu ukazały się wyraźne kontury farmy. Coś w rodzaju boiska futbolowego otoczonego zewsząd dżunglą. A nad nim mocniej niż lampy jaśniało rozgwieżdżone niebo. W głębi polany Jeanne dojrzała płaskie budynki z blaszanymi dachami. Ogrodzenie. Stodoły. Silosy. Dotarli na miejsce.

Zarżały konie. Zaszczekały psy. Jeanne szła dalej, cały czas podtrzymując Ferauda. Była za bardzo zmęczona, żeby się bać. Hałas na werandzie głównego budynku - zapewne to posada, budynek mieszkalny. Pojawiła się sylwetka jakiegoś mężczyzny.

Chrapliwy głos i jak jego echo szczęk odbezpieczanego karabinu.

- Quien es?

Gdy Jeanne wyjaśniła właścicielowi farmy ich sytuację, usłyszała w odpowiedzi donośny śmiech. W końcu ona sama także się roześmiała. Feraud im wtórował. Rzeczywiście wszystko to było bardzo komiczne... A przecież nie zdradziła ostatecznego celu ich wyprawy, by nie wywołać jeszcze większej wesołości.

Mężczyzna zaprosił ich do środka. Gruby, niski, bardzo opalony, z gęstymi czarnymi włosami. Jego skóra była bardzo popękana. Jeanne pomyślała o argentyńskich wołach, które tarzały się w błocie dla ochrony przed insektami. Przytłumiony głos i szorstka wymowa jeszcze bardziej kojarzyły się z suchym błotem. Lokalny ssak żyjący wśród palmowców, spalony słońcem.

Nazywał się Fernando. Pilnował posiadłości i zwierząt. Pracował dla młodego ekologa z Katalonii, który zbił fortunę na Internecie. Słuchając, jak opowiada o swoim codziennym życiu, Jeanne pomyślała o latarniku. Oczyma wyobraźni zobaczyła mapę Formosy. Farma była ostatnim posterunkiem przed zielonym oceanem...

Fernando zaproponował, by zjedli mięso, które jeszcze było na grillu. Grzecznie odmówili. Pokazał więc, gdzie mogą przenocować, i zaproponował, że opatrzy oczy Ferauda.

Jeanne zostawiła ich samych. Zamknęła się w swoim pokoju. Cztery ściany pobielone wapnem. Żelazne łóżko. Krucyfiks. Dokładnie to, czego potrzebowała. Położyła się na łóżku, nie zdejmując ubrania.

Jej oczy natychmiast się zamknęły.

Było to tak, jakby nad światem zapadła kurtyna.

A może było odwrotnie?

Może spektakl miał się dopiero zacząć?

81.

Siódma rano.

Jeanne podniosła rolety. Okno jej pokoju wychodziło na polanę obsadzoną drzewami palmowymi. Przesłaniając ręką oczy, przyjrzała się lepiej okolicy. Miejsce to miało znajomy wygląd. Rolnicze zabudowania, zagrody, kurnik... Ogólnie jednak widok raczej ponury, deprymujący. Cały teren pokryty był błotem lub pyłem. Wyglądał niczym wielka rana wycięta w ciele lasu. Rana, która wymagała zablźnienia, powrotu do bujnego stanu pierwotnego.

- Dobrze pani spała?

Jeanne wychyliła się i spojrzała niżej, na prawo. Fernando siedział przy kempingowym stoliku, plecami do słońca.

- Proszę zejść na kawę.

Po kilku minutach siedziała przy stole w migotliwym, jaskrawym, oświetlającym wszystko blasku słońca. Ta jasność wydawała się przenikać każdą trawkę, każdy kolec ciernistych krzaków. Energia światła.

Kawa dla niej.

Nalewka z ostrokrzewu dla niego.

- Czego pani tak naprawdę szuka? - spytał Fernando bez żadnych krasomówczych wstępów. Ta bezpośredniość spodobała się Jeanne.

- Szukam zabójcy - odpowiedziała tak samo szczerze.

- Gdzie?

- W Lesie Cieni.

- Jest ich tam dużo. Wyjętych spod prawa, bandytów, uciekinierów. Ale oni nie żyją.

- Przebywa pan tu cały rok?

- Z kilkoma kowbojami do koni. Jestem strażnikiem piekieł. Fernando umilkł i upił łyk swego napoju.

- Czy słyszał pan o starożytnym ludzie, który przeżył w tym lesie?

- W tej okolicy wciąż się o tym mówi. Ale to legendy.

Jeanne opuściła oczy. Ręce jej drżały, jakby ciało przeczuwało bliskie niebezpieczeństwo, o którym umysł jeszcze nie wiedział. Pomyślała o koniach, które wyczuwają burzę, podczas gdy żaden zewnętrzny znak nie ostrzega ludzi.

- Proszę opowiedzieć mi o tych legendach.

Fernando wziął stojący na ziemi termos i nalał gorącej wody do metalowego kubka. Za jego plecami pałace światło spływało na palmy.

- Poza obrębem farmy nie ma żadnych śladów człowieka. Przez setki kilometrów. Las Cieni. Las Nienarodzonych.

- Nie zauważył pan śladów... czyjejs obecności?

- Ja nie. Ale mój ojciec chętnie opowiadał pewną historię. Któregoś dnia, kiedy zapędził się na lagunę, zobaczył coś... Proszę sobie wyobrazić taką scenerię. Nieruchoma woda. Las trzciny przerastających człowieka o głowę. Świt. Wszystko tonie w tajemniczej aureoli światła. Ojciec, zgodnie z tym, co opowiadał, wszedł na teren małą. Nagle zobaczył polanę. Potem wyczuł czyjąś obecność za sobą. Odwrócił się i zobaczył pod światło jakąś niewyraźną sylwetkę. Ogromną. Z oczami zarośniętymi włosami. A może były to bliźni... Ojciec zmieniał wersje swojej opowieści. Czasami ta istota miała nos jakby przeżarty syfilisem. Kiedy indziej bardzo ostre zęby. Za każdym razem miała inny wygląd. Ale kiedy do niej się zbliżał, znikła. To wszystko, co wiem o Nienarodzonych.

Jeanne wypła kawę. Machinalnie sięgnęła po jedną z kanapek leżących na stole. Gdy ją ugryzła, poczuła gorzkawy smak bułeczek razowych, które jadła na śniadanie w Paryżu. Niespodzianie Fernando się zaśmiał.

- Chyba nie należy pani do tych pomyleńców, którzy szukają tutaj yeti czy czegoś w tym rodzaju.

- A tych pomyleńców było tutaj dużo?

- W ostatnim czasie dwóch.

- Niels Agosto i Jorge De Almeida. Pierwszy przyjechał z Nikaragui. Drugi z Tucuman.

- Jest pani dobrze poinformowana. Nie wiem, co się z nimi stało.

Jeanne złana była potem. Wokoło rozlegało się granie cykad. Przypominało to jej rysowanie metalem po szkle.

- Jak mogłabym się dostać na lagunę?

- To samobójstwo.

- Jak tam dotrzeć?

Uśmiech pojawił się na jego pomarszczonej twarzy.

- Na nic się nie zda przemawianie pani do rozumu, co?

- Na nic.

- Tego się obawiałem.

Fernando wyjął z kieszeni marynarki, która wisiała na oparciu jego krzesła,

narysowaną na filcu mapę Lasu Cieni.

- Żeby tam dotrzeć, jest tylko jeden znany mi sposób - powiedział, rozkładając mapę na stole. - Trzeba popłynąć laguną na północ.

- Łodzią?

- Tak. Łodzią. Jeden z moich kowboi może was zawieźć na skraj lasu. Znajdzie tam pani ścieżkę. Używają jej pracownicy rezerwatu, kiedy chcą dokonać oszacowania zwierząt. Będzie pani szła w tym kierunku cały dzień. Potem musi się pani zatrzymać. Marsz dalej jest niemożliwy. Drugi dzień na powrót. Koniec podróży.

- Pański człowiek będzie mi towarzyszył?

- On nie postawi nogi w tym lesie, comprende! Wszystko, co mogę zrobić, to wysłać go pojutrze po południu, aby czekał na panią tam, gdzie zaczyna się ścieżka. Idzie pani cały dzień, napawa się atmosferą dżungli. Potem pani wraca. Jeśli pójdzie pani dalej, to koniec. Nikt już nie będzie mógł nic dla pani zrobić.

Jeanne przyglądała się narysowanej mapie. Rzeki wsączały się w las. Autor mapy, żeby odtworzyć dżunglę, narysował sylwetki drzew. Te rysunki przypominały znaki Joachima - tajemniczy alfabet na miejscach zbrodni.

- A ten krzyż, co to takiego?

- Posiadłość Palina.

Jeanne zadrżała.

- Admirala Alfonsa Palina?

- Pani go zna? Laguna należy do niego.

Doznała szoku. Wszystkie elementy niespodzianie nabrały nowego znaczenia. Dlaczego wcześniej nie pojęła tego zasadniczego faktu? Ta niezbadana strefa. Ten samotny lud. Wszystko to żyło pod ochroną Palina. Zakazany świat należał do admirała.

- Alfonso Palin dorobił się majątku podczas lat dyktatury - powiedział Fernando. - Nie bardzo wiadomo w jaki sposób. Po wojnie o Falklandy schronił się tutaj i bez trudu wymógł na rządzie, żeby sprzedano mu ten teren. Kto by chciał to nienadające się do uprawy bagno? Zrobił tu rezerwat przyrody. Podobno Palin ma wiele istnień ludzkich na sumieniu. Teraz chroni drzewa i krokodyle.

Wszystko się konkretyzowało. Stawało się jasne. Jeanne domyślała się prawdziwych motywacji tego oficera marynarki. Po prostu kupił ten teren ze względu na swojego syna.

- Czy Alfonso Palin tam mieszka? - zapytała stłumionym głosem.

- Czasami tutaj przyjeżdża.

- Którędy tam się dostaje?

- Przylatuje własnym samolotem. Zbudował koło swojej willi lądowisko.
- Czy jest tam teraz?
- Nie wiem. Już od tygodni nie słyszałem jego odrzutowca. Ale to nic nie znaczy.

Wszystko zależy od kierunku wiatru.

- Gdzie znajduje się jego posiadłość? To znaczy dom, w którym mieszka?
- W bok od ścieżki, o której pani mówiłem. Na prawo jest druga ścieżka. Ale nigdy tam nie chodziłem. Naprawdę lepiej unikać tego miejsca. To niebezpieczny człowiek.

- Wiem.

Fernando uśmiechnął się.

- Stare porachunki?

Nie odpowiedziała. Fernando mógł pomyśleć, że jest córką jednego z desaparecido. Dziewczynka, skradziona w czasach dyktatury, która przybyła, żeby się zemścić.

- Wyruszacie za dwie godziny - powiedział, wstając. - Poproszę, żeby przygotowano wam lancha i zaopatrzone w sprzęt do spania w lesie.

Jeanne też podniosła się z krzesła.

- Czy mogę pana prosić o jedną przysługę?
- Wydawało mi się, że już ją zrobiłem.
- Czy mój towarzysz, Antoine Feraud, mógłby zostać u pana na czas mojej wyprawy?
- Chce pani jechać sama?
- Bez niego będzie mi łatwiej.

Fernando znowu się krzywo uśmiechnął:

- Gringa. Proszę mi wybaczyć to określenie, ale pani...
- Zgadza się pan?

Zanim zdążył odpowiedzieć, koło werandy rozległy się kroki.

- Jestem gotów.

Kiedy odwróciła się i zobaczyła Ferauda ubranego jak podróżnik, w ciemnych okularach.

- Oczy mam już w porządku - rzekł, uprzedzając jakiegokolwiek uwagi. - Albo prawie. W każdym razie mogę wyruszać.

Jeanne nic nie odpowiedziała. Jej milczenie mogło uchodzić za wyrażenie zgody.

- Niech pan coś zje - powiedział Fernando, wskazując na stół. - Będzie pan potrzebował sił. Chcę, żeby señora coś zobaczyła.

Feraud bez słowa usiadł przy stole. Jeanne poszła za Argentyńczykiem do przybudówki przylegającej do głównego budynku. Fernando otworzył solidny zamek.

We wnętrzu nie było mebli. Tylko umieszczone pod ścianami stojaki na broń. Żadnej broni myśliwskiej. Jedynie karabiny szturmowe. Jeanne nie cierpiała broni palnej, ale przeszła kilka kursów strzelania i balistyki, żeby poznać problem „od wewnątrz”. Na pierwszy rzut oka rozpoznała większość modeli. Pistolet maszynowy HK MP5 SD z celownikiem holograficznym.

SIG używany w wojskach NATO. Karabin z lunetą Hecate II PGM, broń snajperska, z której można zatrzymać pojazd z odległości dwóch tysięcy metrów. Karabin Remington Mag, kaliber 12 strzelający pociskami fosforanowanymi. Były także pistolety półautomatyczne, rewolwery wszelkiego kalibru...

Fernando może i nie wierzył w Nienarodzonych z laguny, ale był przygotowany na ewentualny atak z ich strony.

Podszedł do stojaka z bronią krótką i zdjął Heden HK USP, broń klasyczną. Jednym ruchem wyciągnął magazynek. Sprawdził jego zawartość. Wsunął z powrotem.

Trzymając za lufę, podał go Jeanne.

- To pistolet półautomatyczny.
- Wiem - odrzekła, biorąc od niego broń.
- Czy mam wyjaśnić, jak działa system amortyzatora cofania?
- Nie ma potrzeby.
- Odda mi go pani po powrocie.

Jeanne sprawdziła bezpiecznik, po czym wsunęła pistolet za pasek, na plecach. Fernando dał jej jeszcze cztery dodatkowe magazynki. Schowała je do kieszeni żakietu.

Ten niedźwiedziowaty facet nie miał wyglądu anioła stróża, ale był nim dla niej.

Odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

- Dziękuję. Czy nie lepiej, żeby dał pan broń człowiekowi, który z nami popłynie?
- Już to zrobiłem.

82.

Teren tutaj był płaski.

Czterdzieści centymetrów przewyższenia co dziesięć kilometrów. Powiedział im o tym sternik łódki. Świat w stanie stagnacji, którego roślinność odgrywała rolę filtru, odnawiając ilość tlenu. Woda i ziemia stykały się ze sobą. Zwierzęta przemykały między nenufarami i zaroślami. Czas stanął tutaj w miejscu. Wszystko pokrywała mgła, jakby

pieczętując ten skamieniały świat.

Siedząc na dziobie lancha, smukłej łódki wyłobionej z jednego pnia i wyposażonej w silnik, Jeanne doświadczała takiego samego uczucia jak wtedy, kiedy wchodzi się do wanny ze zbyt gorącą wodą. Gęste, palące, nieruchome powietrze. Każdy gest był jak przecinanie plastra nożyczkami. Zanurzali się w tę atmosferę, podobnie jak wysepki roślinności zanurzały się w czarnej wodę. Sternik wyjaśnił, że te błota zasilane są tylko deszczami. Do lagun nie wpływa żadna rzeka, co je chroni przed wszelkiego rodzaju zanieczyszczeniami.

Ten człowiek był gaucho, kowbojem. To uświadomiło Jeanne, że dotarła już do najdalszych krańców Argentyny i nie napotkała dotąd żadnego konia. Ani nie słyszała rytmu tanga.

Jeśli chodzi o tego gaucho, nie miał nic wspólnego z wizerunkiem prawdziwego kowboja w szerokim kapeluszu, z sumiastymi wąsami. Indianin miał brązową skórę i orlą twarz. Ubrany był w czerwoną czapkę bejsbolową i dziurawy T-shirt. Tylko bufiaste w kroku spodnie i skórzane wysokie buty przypominały o wykonywanym przez niego zawodzie.

Lancha sunęła przez martwe bagienne odnogi przecinające zalaną w połowie sawannę. Między zaroślami i trzcinami pływało czujne wodne ptactwo. Dalej był las. Na razie przypominał zieloną ścianę, jaka im towarzyszyła, gdy płynęli rzeką.

Jeanne wpatrywała się w wodę i dostrzegała stworzenia upodabniające się do otoczenia barwą i budową. Szare. Zielone. Olbrzymie kajmany nieruchome niczym głazy. Mało widoczne węże żyjące na drzewach. Żmije, które upodabniały się do bruzd wody... „Nienarodzony las...” - powtarzała sobie Jeanne. Ekosystem w trakcie formowania się, jeszcze zanurzony w swym płynie owodniowym.

Wpłynęli pod gęste roślinne sklepienie. Łódka wsuwała się między trawy niczym zęby grzebienia we włosy. Mgła jakby gęstniała. Jeanne obserwowała brzegi, nasiąknięte wodą korzenie, kleiste grudy ziemi przypominające wilgotne wargi. W powietrzu unosił się smród ryb, podgniętego szlamu, namoczonej kory.

Nie umiałyby wyjaśnić dlaczego, ale czuła, że oni tu są. Nienarodzeni. Chowali się w głębi tego niedostępnego labiryntu, za oparami przywodzącymi na myśl gigantyczną zasłonę dymną okrywającą równinę. W tym momencie, jakby w odpowiedzi na jej myśli, rozległy się wrzaski. Chrapliwe krzyki, które Jeanne natychmiast poznała. Wrzeszczące małpy. Carayds. Wrzeszczały, odpowiadały sobie, a narastający, przeraźliwy zgiełk przenikał aż do brzucha.

Jeanne zerknęła na Ferauda. Porozumieli się wzrokiem. Przybywali na teren ludzi Tanatosa.

A ich wartownikami były małpy.

To ich system alarmowy.

83.

- Cholera!

Jeanne powstrzymała się, żeby nie rozgnieść pijawki na szyi. Nigdy nie wolno tego robić, bo wtedy jej przyssawki pozostają w ciele i wywołują zakażenie. Szli już od trzech godzin i te obrzydlistwa wciąż spadały na nich z drzew, czując ich krew. Wbijały się w skórę niczym szpilki i opite krwią odpadały. Jeanne ostrożnie zdjęła z siebie to paskudztwo. Po czym z całej siły uderzyła je maczetą. Odcięte kawałki jeszcze żyły, wijąc się w błocie. Ze złością rozdeptała je obcasem.

Bez słowa znowu ruszyła. Feraud szedł za nią. Jego twarz, przesłonięta ciemnymi okularami, nie wyrażała nic. Jeanne zaczynała się zastanawiać, czy wraz z utratą wzroku nie tracił także rozumu...

Pierwszą noc przesпали razem z kowbojem w lesie przy wejściu na ścieżkę. Niczego ciekawego nie zauważyli. O świcie ruszyli wąską dróżką pokrytą liśćmi i zarośniętą drzewiastymi paprociami. Od czasu do czasu zdarzały się oazy - odcinki z miękką trawą do połowy zalaną wodą. Potem znowu była dżungla. Niezmierzona i zarazem bliska. Pełna życia i zgnilizny...

Jeanne szła z zaciśniętymi pięściami, dźwigając na plecach cały ekwipunek - brezentowy namiot, apteczkę pierwszej pomocy, buty z cholewami, maczety, ubranie na zmianę, żywność, kuchenkę turystyczną... Fernando miał hojną rękę. Mimo to czuła się lekka. Niepokonana.

Zielona otchłań. Czerwona ziemia. Czarne kałuże. Wysoko nad nią widniały korony olbrzymich drzew. Pomyślała o fundamentach tego przyprawiającego o zawrót głowy ekosystemu. Pnie odgrywały w nim rolę słupów. Jego baldachimem było niebo... Przede wszystkim jednak doświadczała głębszego uczucia. Miała wrażenie, że wchodzi w żywy organizm. Skomplikowaną sieć interesów, symbiozy, rywalizacji. Krzaki wyrastały z martwych drzew, które gniły u ich stóp. Kwiaty rodziły się z rozpadu zwiędłych owoców. Epifityczne rośliny żywiły się wodą znajdującą się w lianach, które z kolei wysysały korę drzew...

W miarę jak posuwali się naprzód, przeszkód było coraz więcej. Gęsty niskopienny zagajnik. Płatanina lian. Płożące się po ziemi korzenie. Kopce termitów... Niekiedy lepkie,

ciepłe strumienie. Kiedy indziej chłodniejsze, bardziej przejrzyste potoki. Albo czerwone błoto, w które Jeanne i Feraud zapadali się po pas.

Robiło się ciemno. Ze słów Fernanda wynikało, że posiadłość Palina znajduje się o dzień marszu od początku ścieżki. Jeśli nie pomylili kierunku, musieli być bardzo blisko siedziby centaura. Zatrzymali się na polance.

Rozstawili namiot i rozwinęli śpiwory. Przemoknięte ubranie rozłożyli na rosnących wokół krzakach. Próżna iluzja. Przy sięgającym stu procent stopniu wilgotności nic tutaj nie mogło wyschnąć. Wyciągnęli ze swoich toreb zapasowe rzeczy. Wszystkie drelichowe. Jeanne wyjęła mały kanister z benzyną, który im dano, i zakreśliła krąg wokół ich obozowiska, tak jak to zrobił poprzedniego dnia gaucho, żeby odciąć drogę mrówkom i skorpionom.

Rozlokowali się w namiocie. Straciła już poczucie czasu i przestrzeni. Całkowicie ubrana, leżąc na plecach w śpiworze, obserwowała jasną smugę świetlików przelatujących między drzewami. Ze zmęczenia nie była w stanie myśleć. Trudno przewidzieć, co ich czeka nazajutrz. I następnej nocy. W dalszym ciągu nie czuła najmniejszego strachu. Zapewne dzięki pistoletowi, który miała zatknęty za paskiem...

Już zasypiając, pomyślała o Feraudzie, który leżał nieruchomo obok niej, cały czas w ciemnych okularach. Przypomniała sobie, jak siedząc na ławce w parku przy Champs-Elysees, marzyła o miłości z tym człowiekiem. I teraz, w ciemnościach, miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Wspomniała słowa Francois Taine'a: „Założę się, że nie znasz żadnej zabawnej historyjki”.

Owszem, znała jedną.

O sobie samej.

84.

Nazajutrz rano stwierdzili, że zniknęły ich bagaże. Nie zostało nic.

A przecież wszystko starannie ułożyli wewnątrz. To znaczyło, że ktoś otworzył namiot, wszedł do środka, ukradł torby, po czym z powrotem zamknął namiot. W jakim celu? Jeśli byli to ci „inni”, to dlaczego ich nie zabili? Feraud milczał za swoimi ciemnymi okularami.

Jeanne zrozumiała przesłanie. Mieli wejść na teren Alfonsa Palina ogołoceni ze wszystkiego, bez ochrony, w pewnym sensie wolni od nowoczesności. Teraz była o tym

przekonana. Nienarodzeni pojawiali się na rozkaz starego centaury. I czcili jego syna-Joachima.

- Wychodzimy - rzekła Jeanne.

Wyjrżeli na zewnątrz i wyszli z namiotu. Wszystko przesłaniała zielonkawa mgiełka. Zniknęły także rozwieszane na krzakach ubrania. Żadnego śladu po czyjejs bytności. Żadnego zerwanego listka, złamanej gałązki. Jakby złodzieje byli istotami tak niematerialnymi jak otaczająca ich mgła.

Jeanne wyszła na ścieżkę kilka metrów dalej. Nikogo. Zastanowiła się. Jeśli do tej pory nie byli martwi, to znaczy, że chciano, aby przybyli do celu.

A ten cel był bardzo blisko...

Trzeba iść ścieżką odchodzącą w prawo.

Czerwona linia wiodąca aż do piekieł.

Ruszyli w drogę, drząc z zimna, z pustymi żołądkami, nawet nie złożywszy namiotu. Godzina. Może dwie. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by spojrzeć na zegarek. Szli jak somnambulicy przez zasłone mgły. Jeanne wyobraziła sobie, że to tchnienie dantejskiego potwora. Mgła była jego oddechem. Tworzyła się w jego paszczy o kształcie krateru...

Niespodzianie wyłonił się przed nimi duży, płaski teren bez drzew, z posadzonymi kilkoma palmami. Miejsce to przypominało farmę, na której byli poprzedniego dnia. Po przebytych przez nich kilometrach dżungli panująca tu czystość i porządek były wręcz zaskakujące. Wymowny symbol, ostrzeżenie przed najwyższą potęgą.

Szli ostrożnie. Od wyruszenia rano w drogę nie zamienili ze sobą ani słowa. W dżungli używanie języka stawało się niepotrzebne. W głębi polany zarysowała się grupa budynków. Stodoły z czerwonej cegły. Ogrodzenia z jasnego drewna. Kilka koni z krótko przyciętymi grzywami.

Całkowicie niewinny obrazek.

I absolutny spokój.

Żadnych psów. Żadnych wartowników. Nic groźnego. Jeanne poszukała wzrokiem lądowiska. Dostrzegła je po prawej stronie za krzewami eukaliptusów. W polu widzenia żadnego samolotu. Czyżby admirał i jego syn byli nieobecni? To niemożliwe.

Dzikie trawy ustąpiły teraz miejsca świeżo strzyżonym trawnikom. Między zabudowaniami Jeanne dojrzała willę. Wysokie bielone wapnem ściany, blaszany dach... Odwróciła się do Ferauda, który skinął głową. Dotarli. Boże, udało im się...

Jeanne jeszcze raz rozejrzała się wokoło. Nie słyhać było żadnego ptaka ani brzęczenia owadów. W tym odizolowanym od świata miejscu wyczuwało się teraz

przytłaczającą siłę. Jakby wszystko nagle zastygło na znak zbliżającego się zagrożenia...

Weszła po schodkach. Otworzyła niezamknięte na klucz drzwi zasłonięte moskitierą. Ujrzała typowy na farmach salon. Płytki terakotowe na podłodze. Wysoki kominek obramowany drewnem. Skóry krokodyli i jeleni zawieszane na ścianach. Fotele i kanapa wokół niskiego stołu z czarnego drewna, telewizor z szerokim ekranem w kącie. Cóż bardziej banalnego? Nie tak wyobrażała sobie Jeanne jaskinię centaury.

Skierowali się do korytarza. Na ścianie wisiało lustro. Jeanne nie mogła uwierzyć, że obraz, który się w nim pojawił, to ona sama. Chudy szkielet w drelichowym łachmanie w kolorze khaki. Szara, zapadnięta twarz, podkrążone oczy. Chociaż czuła się dziwnie bezpieczna od wszelkiego zagrożenia, wyglądała jak żywy trup.

Feraud wyprzedził ją. Jeanne poszła za nim. Każdemu jej krokowi towarzyszyło jakieś dziwne wrażenie. Coś tu było nie tak. Za łatwe. Otwarte drzwi. Feraud się zatrzymał. Jeanne stanęła obok niego na progu.

Gabinet Alfonsa Palina.

Jeanne minęła Ferauda i weszła do środka. Ściany z niewygładzonego białego tynku. Dębowa, wywoskowana podłoga. Umeblowanie w stylu kastylijskim. Ustawione ukosem biurko, kamienny kominek. Duże oszklone drzwi otwierały się na ogrodzony teren. Słoneczne poranne światło gwałtownie wdzierало się do wnętrza gabinetu, przynosząc ze sobą marzenia o śniadaniu, ciekawym dniu, konnej przejażdżce...

Klimatyzacja działała na pełny regulator. Zimno przenikało do kości. Jeanne weszła głębiej. Zaintrygował ją jeden szczegół. Na półkach wzdłuż ścian stało mnóstwo oprawionych w ramki fotografii. Były to sceny rodzinne przedstawiające zawsze ojca i syna. Lub samego chłopca.

Ze ściśniętym sercem przestała niemal oddychać.

Wiedziała, że klucz do całej historii kryje się w tych zdjęciach.

Alfonso Palin i Joachim.

Centaur i jego nieślubny syn.

Dopiero w tym momencie pojęła prawdę.

Oczywistość.

A przecież wcześniej nie przyszło to jej w ogóle na myśl.

Za sobą usłyszała głos Joachima.

Tkwiąca w nim istota śpiewała:

- ...se irdn contigo/Me ohidas, me ohidas/Junto a la estación lloraré igual que un niño/Porque te vas, porque te vas...

Jeanne, dziwnie spokojna, odstawiła fotografię ojca i syna. Nie odwróciła się.

Alfonso Palin odezwał się po hiszpańsku swym szorstkim głosem:

- Milcz, Joachimie. Jeanne powinna poznać prawdę.

Zacisnęła pięści i dopiero teraz się odwróciła.

Przed nią nie było nikogo.

Nikogo z wyjątkiem Antoine'a Ferauda.

Antoine Feraud, który był tym młodzieńcem na zdjęciach, w koszulce polo, w mundurku studenta szkoły wyższej, na jachcie, na nartach...

Albo w objęciach ojca.

85.

Ten młodzieniec zdjął ciemne okulary. Miał nabiegłe krwią oczy.

- Za każdym razem, kiedy wracam do domu, tracę wzrok. Z oczu płynie mi krew. Bez wątplenia syndrom Edypa. Winnego, który nie może znieść okrucieństwa swoich grzechów...

Jeanne skoncentrowała się na czarno-białym zdjęciu stojącym po prawej stronie. Alfonso Palin, wysoki mężczyzna z siwymi włosami, przytulał do siebie syna, cherlawego nastolatka z nastroszonymi brwiami. Psychiatrę o dwadzieścia lat młodszego.

- Kiedy zabiłeś ojca? - zapytała po hiszpańsku.

- Złożyłem go w ofierze i zjadłem w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Tutaj. Byłem wtedy na uniwersytecie w Buenos Aires, studiowałem prawo i paleoantropologię. Dużo czytałem. Przede wszystkim *Totem i tabu*. On się nawet nie opierał. To musiało się stać, rozumiesz? Grzech pierworodny. Zresztą on nie umarł tego dnia. Zintegrował się ze mną. Cały czas żyje. - Uderzył się w piersi. - Tutaj.

Jeanne jako sędzia śledcza miała jeszcze dużo do nauczenia się. Zachowała się jak nowicjusz. Wszystko zaczęło się od podsłuchów. Od nagrania z piątku 6 czerwca 2008 roku. Trzy głosy. Antoine Feraud. Alfonso Palin. Joachim Palin. A właściwie cztery, jeśli dodać głos dziecka-wilka w ciele argentyńskiego adwokata. Nigdy nie widziała tych osób. Wymyśliła je, wyobraziła sobie, skonstruowała wokół tego, kogo realnie poznała - psychiatry.

Tak naprawdę był tylko jeden człowiek.

Mieściło się w nim kilka osobowości. Te, które wyznaczyły jego egzystencję, które rok po roku zawłaszczwały jego psychikę. W myślach „rozkładała” go na części tak, jak to robiła z jaskrawoczerwoną rosyjską matryoską. Chłopiec kanibal z Campo Alegre.

Doskonale wykształcony młodzieniec z Buenos Aires, który został adwokatem. Ojciec admirał pożarty w Lesie Cieni. I w końcu Antoine Feraud, paryski psychiatra, bojaźliwy, skąpy, wegetarianin, szarlatan, który wysłuchiwał cierpliwie wynurzeń swoich pacjentów, obserwował ich neurozę, jak się obserwuje gada w wiwarium. Różne osobowości, które niekiedy wchodziły ze sobą w konflikt, ale najczęściej wcale się nie znały. W mózgu Joachima prawa półkula nie wiedziała, co robi lewa...

Jeanne, w za obszernym dla niej ubraniu, stała nieruchomo w plamie światła. Nie bała się. Nadal się nie bała, zafascynowana tym, co się dzieje. Patrzyła, jak Antoine Feraud bierze do ręki jedną fotografię po drugiej. Ogląda je. Odstawia na miejsce. W tym momencie przypominał młodego, przystojnego mężczyznę, którego śledziła aż do muzeum w Grand Palais.

- Powiedz mi, co to wszystko znaczy - powiedziała po francusku.

Odwrócił się w jej kierunku. Jego twarz zmieniła się, zapadła, pomarszczyła, jakby miał o czterdzieści lat więcej. Był Alfonsem Palinem, krwawym admirałem na emeryturze.

- Co pani mi da w zamian? - zapytał po hiszpańsku.

- Moje życie.

Alfonso Palin uśmiechnął się. Jego twarz ponownie się zmieniła. Znowu był Antoine'em Feraudem, uprzejmym, młodym.

- Przecież już je mamy.

Nie. To nie był Feraud. To Joachim Palin, adwokat z Buenos Aires, rzecznik humanitarnych stowarzyszeń.

- No to potraktuj to jak ostatnie życzenie skazańca. Ostatni papieros - powiedziała Jeanne.

Uśmiechnął się. Odzyskał naturalność, jaką miał Antoine Feraud. Te zmiany głosu, twarzy, osobowości... Był istotą, w której dziedzictwo genetyczne nie do końca się utrwaliło...

- Masz rację. Skoro doprowadziliśmy ciebie aż tutaj, to w tym celu, żeby wyjawić ci prawdę. Całą prawdę.

Psychiatra usiadł za biurkiem. W miarę jak mówił, zmieniał się jego głos, sposób gestykulowania, punkt widzenia. Rysy twarzy wzięte od lekarza. Promienny uśmiech adwokata. Posiwiła głowa Alfonsa Palina. Niekiedy również małpi pysk dziecka-wilka. To ostatnie było przerażające. Grymas wykrzywiał jego twarz. Jakby rozrył ją z jednej strony haczyk na ryby. Opowieść traciła wówczas spójność. Wracały z całą siłą symptomy autyzmu.

Potem znowu wszystko się zmieniało i słowa odzyskiwały swoją logikę.

Jeanne wyobrażała sobie, jak Antoine Feraud odgrywał w gabinecie oddzielne role.

Postacie widziane jakby w deformującym lustrze. Prawdziwie oczyszczające seanse. I jeden z takich seansów został nagrany na jej życzenie pewnego czerwcowego wieczoru...

Wyznania te nie mówiły Jeanne nic. Znała wszystkie epizody i podejrzewała, że Feraud znowu kłamie. Żeby zgadzały się z wersją, którą cierpliwie wypracowali oboje w trakcie dochodzenia. Ten schizofrenik ukrywał jeszcze w swojej historii jakieś ciemne zakamarki.

Będąc sędzią śledczą, skupiła się na zdobytych przez siebie faktach. Na śledztwie, którego podjęła się sama po śmierci Francois Taine'a.

- Dlaczego popełniłeś te morderstwa w Paryżu?

Szorstki głos ojca odpowiedział po francusku z silnym hiszpańskim akcentem.

- Zwykła zbieżność wydarzeń. Nasz lud był zagrożony.

- Nelly Barjac i Francesca Tercia stanowiły jakieś zagrożenie dla waszej tajemnicy.

Ale Marion Cantelau? Co ona miała z tym wspólnego?

- Odkryła nasze... symptomy.

- Gdzie?

- W Instytucie Bettelheima.

- Sprawdziłam. Joachim nigdy w nim nie przebywał. Alfonso Palin uśmiechnął się i odgarnął z czoła kosmyk włosów.

Antoine Feraud.

- Żaden z nas nie leczył się w tym instytucie. Ale ja lecę innych. Udzielam tam konsultacji. Autyzm mnie pasjonuje. To chyba zrozumiałe, prawda? Mogę przydać się innym dzięki mojemu doświadczeniu...

Ale ze mnie idiotka, pomyślała. Skupiła się na wykazie dzieci leczonych w Instytucie Bettelheima. Nie sprawdziła natomiast listy personelu medycznego. Gdyby to zrobiła, od razu zauważyłaby nazwisko Antoine'a Ferauda. Kolejna lekcja.

- Pewnego razu Marion zaskoczyła mnie, gdy miałem atak. Zrozumiała, że ja także cierpię na syndrom autyzmu...

- I że byłeś oszustem. Joachim być może ma wykształcenie prawnicze i w dziedzinie paleoantropologii, ale Antoine Feraud nie jest psychiatrą. Antoine Feraud nie istnieje.

- Wiesz, co się mówi - rzekł z uśmiechem psychiatra. - Że to szaleniec minął się ze swoim powołaniem...

- Jak poznałeś Nelly Barjac?

- Jako Joachim. Spotkałem ją na konferencji dotyczącej dziedzictwa genetycznego ludów Ameryki Łacińskiej. Po jakimś czasie zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o próbie

krwi przesłanej przez Manzarenę. Wiedziała, że pochodzę z północno-wschodniej Argentyny. To ten sam region, z którego była próbka...

- Francesca Tercia?

- Francesca była moją dawną znajomą. Poznałem ją na uniwersytecie w Buenos Aires na wykładach z paleoantropologii. Razem z nami studiował też Jorge De Almeida. Byliśmy na tym samym roku.

A niech to szlag. Gdyby uważniej przyjrzała się temu grupowemu zdjęciu, na którym De Almeida napisał *Te quiero* - rozpoznałaby na nim Antoine'a Ferauda. Miała wskazówki prawie od samego początku.

- Opowiedziała mi o czasie, o badaniach, które prowadził De Almeida. Nie wiedziałem jednak, że pracuje nad rzeźbą...

Jeanne notowała wszystko w pamięci. Fakty nie różniły się tak bardzo od tego, co przypuszczała.

- Francois Taine?

- Z nim sprawa była jeszcze prostsza. Zadzwoił do nas.

- Do którego z was?

- Do Joachima Palina. Porównał billingi Nelly Barjac i Franceski Tercii. Powtarzało się na nich nazwisko Joachima. Zadzwoił do mnie w niedzielę rano. Był w swoim biurze. Umówiliśmy się na spotkanie w Ogrodzie Luksemburskim. Zdążył już zadzwonić do Eduarda Manzareny i do Daniela Taieba z Instytutu Agronomii w Tucuman. Domyślił się, że kluczem do morderstw mogło być odkrycie paleontologiczne w północno-wschodniej Argentynie. Jeszcze tego samego wieczoru złożyłem mu wizytę u niego w domu...

Jeanne oparła się o mur. Plecy miała spocone mimo zimnego powietrza z klimatyzacji. Sprawdziła wykaz rozmów z jego komórki, ale nie z gabinetu - kolejny błąd. Reszta nie wymagała komentarza. Joachim dokończył swoje sprawy w Nikaragui. A potem wrócił do swoich źródeł... W jej towarzystwie.

Nie pasował jednak jeden detal.

- W poniedziałek dziewiątego czerwca - powiedziała - Antoine Feraud poleciał przez Madryt do Managui. Tego samego wieczoru zostałam napadnięta w jego gabinecie przez Joachima. Jest was kilku, ale nie macie daru bycia jednocześnie w różnych miejscach.

Psychiatra uśmiechnął się. Z czerwonymi oczami wyglądał tak, jakby wyszedł z filmu grozy z lat sześćdziesiątych, w których wampirami są śliczni chłopcy spragnieni krwi.

- Zarezerwowaliśmy lot, ale nie poleciliśmy.

- Dlaczego?

- W Roissy zauważyliśmy popołudniowe wydanie „Monde”. W gazecie napisano o śmierci Taine'a. Mówiono także o pewnej prawnicze, która z narażeniem własnego życia chciała go uratować z płomieni. Zamieszczono jej zdjęcie. Od razu poznaliśmy ciebie. Młoda kobieta z Grand Palais. Nieźle nas okłamała. Wróciliśmy. Śledziliśmy ciebie do siedziby sądu w Nanterre. Zdecydowaliśmy, że potraktujemy cię łagodnie. Feraud i jego osobisty urok... Ale Joachim, dziecko z Campo Alegre, przejął władzę. Wymknęłaś się nam... Wyjechaliśmy jeszcze tego wieczoru do Managui. Zresztą, co mogłaś nam zrobić?

- Dlaczego potem mnie oszczędziliście?

- Powiedzmy, że z... ciekawości. A nawet z podziwu. Kiedy zobaczyliśmy ciebie z policjantami nikaraguańskimi u Manzareny, powiedzieliśmy sobie, że nie jesteś zwyczajnym przeciwnikiem.

- Mogłam jednak być przeszkodą.

- W czasach prehistorycznych ludzie, którzy penetrowali groty, dostawali się tam przez szczeliny powstałe w wyniku pęknięć w skale. Rysowali je na swoich freskach. Ty byłaś dla nas taką szczeliną. Postanowiliśmy cię wykorzystać. Włączyć do naszego fresku. Mogłaś nam pomóc w tym, abyśmy lepiej poznali samych siebie. Odkryli elementy naszej historii, których nie znaleźliśmy.

Jeanne poczuła narastający w niej strach. Pojęła całą prawdę.

- I co teraz?

- Przybyliśmy do lasu, moja śliczna. Miejsca jedności. I ofiary.

Jeden, dwa, trzy... - liczyła Jeanne w myślach. Ona także dotarła do swojego źródła. Od śmierci siostry to dochodzenie było jej przeznaczeniem.

Wyśledzić zło w lesie milczenia.

Odnaleźć prawdę w głębi ciemności.

- A twój lud? - szepnęła drżącymi wargami. - Gdzie jest?

- Ależ on jest tu, wokół mnie... Nienarodzeni...

Przez drzwi wślizgiwały się jedno po drugim cienie. Jeden rzut oka wystarczył, by poznać oszustwo. To nie był żaden prymitywny lud, tylko pokiereszowani, kalecy ludzie, poranieni, oblepieni liśćmi i kawałkami kory, niezgrabnie się poruszający.

Twarz jednego z nich była jakby uderzona żelazkiem do prasowania. Drugi miał długie blizny w dole twarzy, inny oczy na różnych poziomach. Byli to mężczyźni i kobiety jednakowo brudni i straszni. Najstarsi byli najbardziej pokiereszowani. Najmłodszy mieli zdeformowane czaszki, co musiało się wydarzyć w pierwszych dniach ich życia, kiedy ich kości były jeszcze bardzo miękkie. Również małe rysy twarzy zostały sztucznie

wymodelowane.

Joachim sam stworzył ten prymitywny lud. Archaiczną maskaradą. Jeanne przypomniała sobie comprachicos z *Człowieka śmiechu* Victora Hugo, którzy za grosze kupowali dzieci, a potem je okaleczali i deformowali, żeby pokazywać takie maskary na jarmarkach.

Cała ta historia opierała się na zbiorowym szaleństwie. Nigdy nie było ludu różniącego się genetycznie ani ludu ze specyficzną morfologią. Wszystko to istniało tylko w szalonym mózgu Joachima i w umysłach zbyt wielkich entuzjastów odkryć, takich jak Nelly Barjac, Francesca Tercia, Niels Agosto, Eduardo Manzarena, Jorge De Almeida. Ten ostatni został na pewno zamordowany przez te jarmarczne postacie gdzieś w głębi laguny.

Nienarodzeni zbliżali się. Jeanne cofnęła się. Widok ich zdeformowanych, okaleczonych, sztucznie uformowanych ciał był nie do zniesienia. Spodziewała się wszystkiego - napaści w lesie, walki na pięści, pułapek najeżonych ostrymi palami, ale nie tego.

- Kim oni są?

- To ocaleni z vuelos - zachichotał stary Palin po hiszpańsku. - Człowiek ma... niesamowitą zdolność przeżycia. Mogły ich zaatakować kajmany. Zeżreć kawałek po kawałku. A oni przeżyli. Rozmnożyli się. Powariowali na tych bagnach. W ciągu paru lat cofnęli się w historii ewolucji gatunku ludzkiego. Stali się prawdziwymi dzikusami.

- „Mechanizm ojców” - odezwał się Feraud po francusku. - To są dzieci Zła. Synowie strachu. Powstali z przemocy i do niej wracają. Lud Tanatosa, który zna tylko kazirodztwo, gwałt, ojcobójstwo, kanibalizm...

Jeanne pojęła nagle, że Joachim nigdy nie był ofiarą.

- To ty zamordowałaś swoich przybranych rodziców, małżeństwo Garcia.

- Podczas tego ofiarnego obrzędu w radio nadawali *Porque te vas...*

- To ty zachęciłaś ocalałych z bagien do kanibalistycznych praktyk.

- Nie musiałem się za bardzo wysilać. Zdążyli się już znacznie cofnąć w rozwoju.

- To ty skierowałaś tych ludzi ku przemocy, okrucieństwu, najbardziej prymitywnym instynktom... Urodziłaś się pod znakiem rzezi.

Stary Palin, podnosząc haczykowany palec, oświadczył:

- To nasze wojsko, Juanita. Jądro przemocy... Tak jak się mówi o jądrze atomowym. Cofnęliśmy czas. Powróciliśmy do pierwotnej nocy. Zostaliśmy wybrani do tego, aby powtarzać akt tworzenia. Jeszcze raz i jeszcze raz... Kazirodztwo. Ojcobójstwo. Kanibalizm. „Oto ciało moje... Oto krew moja”.

Pokój zakołysał się wokół niej. W oczach pociemniało. Jeśli teraz zemdleje, wszystko będzie stracone.

Joachim skoczył ku niej, ale zatrzymał się w miejscu.

Jeanne wycelowała w jego twarz swój HK USP.

To była jedyna rzecz, o której istnieniu Antoine Feraud nie miał pojęcia.

Bestia znieruchomiała z głową dziwnie przekrzywioną na bok. Jeanne cofnęła się do okna i otworzyła je. Dwie prawie jednoczesne myśli. Pierwsza - nie wprowadziła pocisku do lufy. Druga - nie odbezpieczyła broni.

Trzymała w ręku broń równie niebezpieczną jak pistolet na wodę.

Jeśli choć jeden z tych barbarzyńców zaatakuje ją, będzie po niej.

Cały czas mierząc w tę bandę, przerzuciła nogi przez parapet okienny.

- Nie masz żadnych szans z nami - powiedział cicho Joachim. - My nie mieszkamy w lesie. To las mieszka w nas. Jeśli uciekniesz na lagunę, to tylko się do nas zbliżysz. Jesteśmy już w tobie. Jesteśmy już w tobie! Jesteśmy...

Jeanne nie słyszała końca tego ostrzeżenia. Biegła przez polanę zalaną palącym słońcem.

86.

Biegła ścieżką.

Było to najgłupsze, co mogła zrobić.

Zaraz dopadną ją Nienarodzeni. W błocie znajdą jej ślady i pójdą jej tropem. Właściwie mogą ją wszędzie zlokalizować. Znali doskonale tę drogę i całą okolicę. Każdy zakątek laguny. „My nie mieszkamy w lesie. To las mieszka w nas”. Jeanne biegła. Palenie w piersi. Jedna myśl w głowie - nie mam żadnych szans.

Mimo to uczepliła się jednej, jedynej myśli. Sternik lancha powiedział: „Wrócę jutro wieczorem w to samo miejsce”. Dobiec do rzeki przed zapadnięciem nocy. Poczekać na łódkę. Wsiąść na nią. I adios.

Wciąż biegła. Wyregulowała rytm. Krótkie oddechy. Codzienny jogging w Ogrodzie Luksemburskim na coś się w końcu przydał... Korzenie. Liany. Kałuże... Uważaj, gdzie stawiasz nogi, dziewczyno.

Wpadła do olbrzymiego dołu. Chciała krzyknąć, ale zachłysnęła się czerwoną wodą. Pluła, krzywiła się, brnęła w błocie. Wyobraziła sobie, jak jaszczurki, węże, węgorze,

pływające w tej obrzydliwej wodzie, wślizgują się pod jej ubranie, w otwory jej ciała... W kilka sekund dobrnęła do drugiego brzegu.

Chwyciła się rosnących tam traw i wydostała na powierzchnię. Upadła na suchą ziemię. Gdy starała się złapać oddech, dotarła do jej świadomości kakofonia rozbrzmiewających wokół dźwięków. Ptaki. Zwierzęta. Ropuchy... A jeszcze bliżej piekielne brzęczenie owadów... Nigdy się stąd nie wydostanie...

Podniosła się. Znowu zaczęła biec. Południe. Miała pięć godzin, żeby dotrzeć do rzeki. Jeśli utrzyma to tempo. Jeśli nikt jej nie zaatakuje. Jeśli...

Nagle uderzenie w głowę.

Znowu ślizgała się w błocie. Przez głowę przelatywały bezładne myśli, strach, oszołomienie. Czarna dziura usiana gwiazdami. Oprzytomniała. Niebo. Ziemia. Las. Straszliwy ból przeszył jej dolną szczękę.

Podniosła oczy.

Po jej twarzy spływała lepka krew.

Przed nią stał Nienarodzony.

Był w łachmanach i miał torbę z jeleniej skóry. Sztywne jak druty włosy. Oblepiony był suchym błotem. Czaszka wołu założona na twarz. Jeanne widziała tylko jego oczy w kościstych oczodołach. Uniósł znowu do góry swoją broń. Coś dużego. Gruby drąg lub młot. Jeanne sięgnęła ręką za plecy.

Pistoletu nie było.

Musiał wypaść, gdy się przewracała.

Maszkaron zbliżał się. Jeanne na czworakach szukała HK w zaroślach. Kiedy tuż nad głową usłyszała oddech napastnika, zobaczyła pistolet. Chwyciła go, odwróciła się i nacisnęła spust. Nic. Odciągnęła zamek. Morderca z kościstą gębą zaryczał. Teraz dostrzegła, że jego broń to najeżona zębami szczęka kajmana.

Nacisnęła spust. Nic. Krzyknęła. Bezpiecznik. Zapomniała o nim. Sięgnęła do niego kciukiem. Ponownie ujrzała nad sobą szczękę, którą wymachiwał napastnik.

Wstrzymała oddech. Wycelowwała. Strzeliła. W potwornej czaszce pojawiła się trzecia dziura. Jeanne strzeliła jeszcze raz. i jeszcze raz. Trzy krwawe dziury w czaszce wołu. Napastnik zważył się na ziemię.

Jeanne cofnęła się, nadal siedząc. Pokryta krwią, która trysnęła z czaszki. A może krwią z jej własnej rany... Przetoczyła się po trawie i niechący wystrzeliła. Stracony nabój. Wstała z ziemi. Nie może tu dłużej zostać... Tamci na pewno usłyszeli strzały.

Ponownie ruszyła biegiem. W tym tempie może w trzy godziny pokonać dystans

pięciogodzinne marszu. Pomacała ranę. Nic takiego. Mój Boże, może da radę...

Otworzył się przed nią zielono-czerwony tunel, który miejscami biegł między wysokimi, jasnymi trzcunami, a potem znowu zanurzał się w szmaragdową zieleń. Jeanne pomyślała o swojej amunicji. Zużyła cztery naboje. Zostało jeszcze dwanaście. Zapasowe magazynki zgubiła przy pierwszym lub drugim upadku.

Godzina czternasta.

Bezmyślnie pokonywała kilometry. Niepokoilo ją jedno - nikogo nie było widać. Co oni przygotowują? Zasadzkę? Czy chcą ją złapać żywcem?

Godzina piętnasta.

Wróciła nadzieja. Jakaś tajemnicza molekula krążyła w krwi Jeanne, w mięśniach, komórkach nerwowych, podwajając jej energię. Uda się, musi się udać...

Nagle stanęła. Byli tu. W odległości trzydziestu metrów. Blokowali drogę ze wszystkich stron. Rozstawiali się między drzewami, pniakami, lianami. W łachmanach, potargani, zdeformowani, pokiereszowani, z ozdobami dzikusów. Na głowach mieli czaszki zwierzęce. Na szyjach ludzkie kości. Drobne kawałki, nanizane na skórzane linki. Przy zielonkawym świetle spadającym na nich spomiędzy listowia wyglądali niczym gady.

Jeanne wyciągnęła pistolet. Poczula się przy tym trochę nieswojo. Przewaga cywilizacyjna nad światem zwierzęcym.

Ludzie-gady nie ruszali się. W rękach trzymali groźną broń zrobioną z kości, drewna, kamienia. Jeanne skręciła na prawo, zagłębiając się między listowie. Wiedziała, że nie powinna schodzić ze ścieżki, ale może uda jej się zgubić ich w tej gęstwinie, obejść dużym kołem i wrócić na drogę ocalenia. Każdy ma prawo do marzeń...

Upadła między trzciny. Posuwała się dalej na czworakach, brnąc przez zastygłe błoto i wśród wodnych hiacyntów. Pojawiła się przed nią zalana do połowy polana. Podniosła się. Straciła pewność siebie. Nie mogła utrzymać równowagi. Co się dzieje?

Wówczas zrozumiała.

To nie ona uciekła ze ścieżki. To ścieżka uciekała od niej. Pod jej nogami ruszała się gąbczasta ziemia. Embalsados. Pływające wysepki, o których opowiadał Beto.

Jakby na potwierdzenie tego za krzakami zobaczyła inne pływające wysepki. Na ich obrzeżach stali Nienarodzeni. Za pirogi służyły im liście nenufarów i trzciny. Zdawało się, że ci archaiczni ludzie potrafią nimi kierować. Błąkające się dusze na błąkających się ziemiach...

Mierzyli do niej z kościanych łuków. Nie namyślając się dłużej, Jeanne wyciągnęła przed siebie broń i strzeliła. Na odgłos detonacji wrogowie zastygli w bezruchu. Jeanne nie była w stanie dobrze wycelować. Jej wysepka odpływała, kołysała się pod nogami. Mimo to

znów dwukrotnie wystrzeliła. Żeby ich przestraszyć.

Świst z lewej strony. Potem z prawej. Strzały. Niezręczne. Niecelne. Nieprzyjacielowi także przeszkadzał brak stabilności. Przykucnęła. Położyła się na brzuchu i splotła ręce, żeby mieć lepsze podparcie. Jeden strzał, drugi, trzeci. Właściwie nic nie widziała. Drzewa, trzciny, liany przesuwwały się przed jej oczyma.

Wkrótce zabraknie jej amunicji. Zorientowała się, że wprawdzie uniknęła śmierci od strzału z łuku, ale mogła zginąć w inny sposób. Jej wysepka wciąż odpływała. Jeśli oddali się za bardzo od ścieżki, nie odnajdzie potem drogi.

Zawróciła na czworakach i podniosła się. Wydało jej się, że poznaje w oddali linię palm i drzew karobowych, które wyznaczały skraj ścieżki. Jeśli będzie przeskakiwać z wysepki na wysepkę, może uda jej się tam dotrzeć. Bez wahania przeskoczyła niczym żaba na liść nenufaru. Żaba, która nie mogła wiedzieć, czy podłoże utrzyma jej ciężar. Skoczyła znowu. I znowu. Wokół niej świszczały strzały.

Dotarła do twardego gruntu.

Odnalazła ścieżkę.

Rzuciła okiem za siebie. Nienarodzeni wciąż dryfowali na swoich liściastych pirogach. Pomyślała, że chyba jest poza ich zasięgiem. Spojrzała na zegarek. Piętnasta trzydzieści. Cel - lancha - był nadal do osiągnięcia. W biegu wyciągnęła magazynek pistoletu, żeby sprawdzić, ile zużyła amunicji. Został jej już tylko jeden nabój.

Biegła poprzednim rytmem. Palmy, paprocie, trzemy... I krwista czerwień ziemi. Ile jeszcze miała kilometrów do przebycia? Nie wiedziała. Tak samo jak nie wiedziała, czy te zdegenerowane istoty nadal ją ścigają...

Szelest traw i liści z czterech stron. Oto odpowiedź. Szurania, trzaski powtarzały się wśród trzciny, kolczastych liści, za drzewami. Napastnicy posuwali się do przodu, nie zachowując żadnej ostrożności. Chcieli, by ona się bała. Wiedziała, że jej największym wrogiem jest strach. Strach, który by ją sparaliżował. Pozbawił resztek sił.

A może to nagonka?

Usiłowali wpędzić ją w zasadzkę...

Biegła dalej. Przed siebie. Zauważyła drzewo, którego pień rozwidlał się na wysokości około dwóch metrów, tworząc idealną kryjówkę. Podbiegła do niego i chwyciła się lian, by się wspiąć do góry. Rozmyśliła się. Miejsce do schowania się było za dobre. Nienarodzeni zauważą, że jej ślady tutaj się kończą. Bardzo łatwo ją odnajdą.

Przypomniała sobie, co czytała o pojedynkach samotnych snajperów z czasów wojen w XX wieku. Jednym z ich ulubionych podstępów było znalezienie kryjówki, do której wcale

się nie chowali. Przeciwnie, obserwowali ją z oddali, wiedząc, że wróg podejdzie do niej, chcąc zaskoczyć przeciwnika...

Jeanne wycofała się przez błoto po własnych śladach, zanurzając się w znacznie wyższe od niej trawy. Znalazła drugą kryjówkę. Mniej dostępną, w spalonym czarnym pniu, pod parasolem z gałęzi i liści. Uchwyciła się lian oplatających podpalony pień. Podciągnęła się i znalazła się w dziupli. Wsunęła się do niej i zwinęła w kłębek, starając się nie myśleć o owadach i pełzających tam robakach.

Zanim schowała się całkowicie, urwała kawałek mchu długości pięćdziesięciu centymetrów i zakryła nim twarz. Świetna maska, dzięki której, gdy usłyszy jakiś hałas, będzie mogła wyrzeć na ścieżkę, nie będąc widziana.

Ułożyła się na lianach. Czuła się tu bezpiecznie jak małe dziecko. Tak jak przygotowała swoje ciało, tak samo przygotowała swój umysł.

I czekała.

Nie liczyła upływającego czasu. Gorące, wilgotne, nieruchome powietrze. Spocona pod maską z mchu, przyglądała się żyłkom liści, bruzdom w korze, spacerom mrówek... Czuła się zjednoczona z naturą. Z wyostrzoną, rozwiniętą, wręcz paranormalną świadomością. Kochała teraz to czarne drzewo. Ten las...

Jakiś hałas.

Kroki. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Byli tu. Czterech. Pięciu. Sześciu... Nie mieli już czaszek na głowach ani ozdób z kości. Oblepieni byli czerwonym błotem. Dawało się ich zauważyć tylko wtedy, kiedy się ruszali. Nie odzywali się. Nie wykonywali żadnych gestów. Jakby porozumiewali się między sobą w myślach.

Podeszli do drzewa przy ścieżce. Przekonają się, że nie ma jej tam. I co dalej? Rozejdą się na wszystkie strony i z pewnością odnajdą ją w tej kryjówce...

Zaszyła się głębiej w swojej dziupli. Dzień chylił się ku zachodowi. Została godzina, by dojść do rzeki. Może się jej to uda pod warunkiem, że polujący na nią nie zostaną tu długo. I że nie napotka już żadnej przeszkody.

Szelest liści. Szmer traw. Czy to oni się zbliżają? Czy wyczuli ją? Rzut oka na zewnątrz. Zniknęli. Czy będą ją ścigali do rzeki? Czy zawrócili? Nie był to czas na pytania ani wahanie.

Wcisnęła się głębiej. Jeszcze mocniej poczuła gorąco, czyjąś niebezpieczną bliskość.

Zamarła.

Podściółka z lian ugięła się pod nią. Jeanne przechyliła się na jedną, potem na drugą stronę. Zanim przeanalizowała sytuację, już знаła odpowiedź. Czarna ściana przed nią

otworzyła oczy. A liany w rzeczywistości były ramionami.

Zerwała maskę z mchu i przeraziła się.

Kora drzewa przedstawiała twarz.

Joachim.

Schowwał się tutaj godzinę przed nią. Idealnie nieruchomy, doskonale wpasowany w czerń i zieleń dziupli. „My nie mieszkamy w lesie. To las mieszka w nas”.

Teraz widziała jego twarz. Skórę napiętą na kościach. Zeschłe liście i ślinę na policzkach.

I oczy. Nabiegłe krwią. Zamglone. Pałace...

Chciała podnieść rękę, ale Joachim ścisnął jej nadgarstek.

Czuła na ramieniu jego wykręcone palce.

Chciała go uderzyć.

Unieruchomił jej drugą rękę.

Nachyliła się ostrożnie do Joachima. Zaskoczone dziecko-wilk nie opierało się. Tak jak w jej śnie pachniał wilgotną ziemią, korzeniami, krwią. Różowa mgiełka osnuwała jego oczy jak u małpy. Pochyliła się jeszcze bardziej, żeby znaleźć się bliżej jego szyi. Czułość. Zmysłowość. Ociężałość...

Jednym ruchem odgryzła mu ucho.

Joachim zawył.

Wyswobodziła jedną rękę i wbiła kciuk w jego oko. Oko wyskoczyło do połowy. Zawył ponownie. Jeanne chciała uwolnić rękę, w której miała broń. Joachim nie rozluźniał uścisku. Teraz on próbował ją ugryźć. Zdążyła się cofnąć, padając plecami na liście. Joachim skoczył, by złapać ją za gardło.

Wtedy zdołała uwolnić prawą rękę. Wymierzyła HK w napastnika, ale przeszkodziła jej liana. Joachim ugryzł ją w ramię. Pomyślała o chorobach. O wampirze. Pomyślała, że zaraz umrze.

Szarpnęła się gwałtownie do tyłu i oswobodziła uzbrojoną rękę. Joachim nadal ją gryzł. Czuła, że jeszcze chwila i zemdleje. Odwrócić lufę i wycelować w skroń Joachima. Ostatni nabój.

Joachim wrzasnął na widok pistoletu. Jakby chciał przerazić stalową lufę. Ale w świecie nowoczesnej mechaniki wszystko funkcjonuje inaczej. Jeanne wepchnęła mu w usta lufę pistoletu i nacisnęła spust. Czaszka Joachima rozprysła się. Zamarła. Do jej twarzy przykleiły się cząsteczki mięśni, kości, skóry.

Opanowała się. Ścieżka. Przystań. Lancha. Wytarła pokrytą krwawymi szczątkami

tarczę zegarka. Szesnasta trzydzieści. Miała pół godziny. Pół godziny, żeby dobiec do rzeki.

Zrzuciła z siebie ciężące jej ciało Joachima. Chwyliła się brzegów dziupli. Musi wyjść z kryjówki. Pobiec w kierunku rzeki. Wyrwać się z Lasu Cieni...

Po kilku sekundach jej stopy dotykały twardego gruntu ścieżki. Najpewniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miała pod nogami.

Podjęła na nowo bieg. Zaskoczona, że nogi są jej posłuszne, a oddech miarowy. To przypomniało jej o czymś innym. O ranie. Zatrzymała się i dotknęła lewego barku. Rana była powierzchowna. Joachim nie zdążył wbić głębiej zębów. Nie wiedząc, dlaczego tak robi, zagarnęła ręką trochę błota i posmarowała nim ranę. Nie miała pojęcia, czy to skuteczny środek, ale poczuła się uspokojona.

W tym momencie rozległy się pomruki. Potem takie wrzaski, jakby otwierały się wnętrzości lasu. Jakby wydawały je struny głosowe powstałe z wyrwanych z ziemi korzeni. Krzyki narastały. Przedzierały się przez korony drzew. Rywalizowały między sobą. Nienarodzeni znaleźli ciało swojego pana. Czy zabiorą zwłoki i wrócą do swego pierwotnego zwyczaju? A może będą chcieli zemścić się na winnej jego śmierci?

Wolała o tym nie myśleć.

Wciąż nie widziała rzeki. Zastanawiała się, czy nie zablądziła. W końcu, blądząc po tym lesie, zginie.

Godzina siedemnasta.

Biec. Biec. Biec.

Nienarodzonych nadal nie było.

Potykała się. Traciła świadomość. Nic już nie czuła. Tamtych nie było. Zapomnieli o niej. Wrócili do swego świata przemocy i błota...

Nagle dojrzała wstęgę koloru miedzi. Z trudem zebrała myśli. Ziemia, krew, wysychając na niej, paraliżowały jej komórki nerwowe.

Ależ tak!

To była rzeka, na końcu bagna.

- Czy to krew?

GaUCHO stał w łódce zasłonięty do połowy trzcinami. Miała ochotę go ucałować, uściskać, paść mu do nóg.

- Błoto - odpowiedziała. - Przewróciłam się.

- Gdzie jest pani towarzysz?

- Został.

- Został?

- Potem wyjaśnię.

Gaucha podał jej rękę. Weszła do łódki. Znowu była ludzką istotą.

Położyła się na dnie łódki. Na plecach. Z twarzą ku niebu z różowymi obłoczkami, jakby wziętymi ze starych obrazów. Zamknęła oczy. Czysta rozkosz. Napawała się każdym uderzeniem serca. Każdym pulsowaniem krwi. Każdą oznaką życia...

Kowboj pomyślał zapewne, że usnęła. Zaczął śpiewać cichym głosem, jakby chciał ją ukołysać.

Z zamkniętymi oczami wspominała swoje samotne wieczory w Paryżu. Biały ryż. Zieloną herbatę. Lexomil popijany białym winem...

Po prostu, życie. Ostatecznie nie takie złe.